

ŚLADY



ZBRODNI

MAŁGORZATA
I MICHAŁ

KUŹMIŃSCY

Pierwszą ofiarą
jest **prawda**

KAMIEŃ



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Polecamy etnokryminaty
Małgorzaty i Michała
Kuźmińskich

ŚLEBODA

PIONEK

KAMIEŃ

MAŁGORZATA I MICHAŁ
KUŹMIŃSCY

KAMIEŃ



WROCŁAW 2017

Nie przyszłam do was, byście jeść mi dali.

Przychodzę, byście chcieli mi uwierzyć.

Nie przyszłam do was po wasze pieniądze.

Przychodzę, byście rozdali je wszystkim.

(...)

Nie przyszłam do was po wasze pieniądze.

Przychodzę, byście wszystkich przyjęć chcieli,

żebyście czarnej nocy nie czynili

w biały dzień.

(Bronisława Wajs „Papusza”, Przychodzę do was

[Me jawjom ki tume], przeł. Jerzy Ficowski)



PROLOG

W konfesjonale zadzwoniła komórka.

Wnętrze kościoła było puste. Zachód słońca kładł na posadzce kanciaste cienie. Za oknami beskidzka zieleń powoli zmieniała kolory, szarzejąc w mroku. Dzwonek telefonu tłukł się echem o betonowy strop świątyni.

Duchownemu udało się wreszcie wydostać komórkę z kieszeni sutanny. Przeczesał włosy nad zakolami i odebrał.

– Proszę księdza – mówił ktoś drżącym, łamiącym się, dopiero wchodzącym w mutację głosem. – Chciałbym... chciałbym przyjść dziś do księdza na noc.

Mężczyzna wstał i otworzył drzwiczki konfesjonału. Rozejrzył się.

– Przyjadę po ciebie – powiedział.

Ołowiany kłęb wstał nad lasem. Uniósł się gęstym słupem i rozsunął nad Dunajcem, ponad szczytami drzew. Okrywał zbocza doliny niczym zakurzone prześcieradło, w którym grzęzła luna i nikło światło księżyca. W zapach igliwia, trawy i mgły wdzierał się swąd palonego plastiku, ebonitu i gumy.

W samotnym domu z widokiem na dolinę zapaliło się światło. Trzasnęło zamykane okno.

Zdzisław Brzyna zakasłał ciężko, poprawiając spodnie od piżamy. Przysunął się do szyby i osłonił dłonią oczy od światła nocnej lampki, usiłując coś dostrzec w ciemnościach. Widział głównie swoje czerwone ze złości odbicie.

– Co się stało, Zdzisiu? – usłyszał senne pytanie żony.

– Znowu pałą, skurwysyny! – syknął. – Teraz po nocach pałą! Czujesz, jaki smród?

Rzeczywiście, śmierdziało. Aż gryzło w oczy. Kobieta mruknęła coś i przykryła głowę poduszką. Jej mąż, sześćdziesięciopięcioletni przedsiębiorca budowlany, przysiadł na skraju łóżka, trzymając się za serce.

– Już nawet spać przy otwartym oknie nie można – sapnął.

Nie tak miało być, myślał, wpatrując się w sufit. Ich wymarzona ostoja wśród lasów zmieniała się stopniowo w obłąconą twierdzę. Grzybodajna, śliwownicą płynąca kraina obfitości i świętego spokoju okazała się opanowana przez szarańczę. Gdyby dzisiaj dorwał człowieka, który sprzedał mu ten dom, toby mu nogi połamał. Ale sam jest sobie winny. Powinien był się zastanowić, skąd taka niska cena, zamiast zacierać ręce, że zrobił interes życia.

Szybko się okazało, że tutaj trzeba stale ryglować bramę, że strach zostawić pusty dom, a nawet żonę puścić samą przez dolinę do wsi. A świeże powietrze,

z którego tak się cieszyli, co raz zamieniało się w toksyczną zupę. I nikt nie mógł nic z tym zrobić. Ani wójt z Łącka, ani urząd powiatowy w Sączu. Telewizja była, zapalała oburzeniem, odjechała. I nic.

Nie tak miało być, myślał, leżąc bezsennie przez kolejną godzinę.

Nagły hałas gdzieś z dołu poderwał go na równe nogi.

– Hołota pierdolona! – krzyknął i wypadł z sypialni na schody.

– Już mi stąd! – Maria Brzynowa usłyszała, jak jej mąż szarpie za rygle drzwi wejściowych. Takie nocne zrywy powtarzały się kilka razy w tygodniu, powoli stając się obsesją Zdzisława.

Na werandzie Brzyna, w kapciach i szlafroku, z siekierą Fiskarsa w garści, zatrzymał się raptownie. Stracił rezon. Za granicą żółtego światła lampy gęstniała ciemność. Pociągnął nosem. Swąd zelżał. Było zupełnie cicho.

Z blatu ogrodowego stolika podniósł paczkę papierosów. Zapalniczką skrzesał płomyk, zaciągnął się.

Znowu łoskot. W lesie, daleko w dole. Mocniej zacisnął dłoń na trzonku siekiery. Nie takie hałasy zdarzało im się tu słyszeć. Ale te...

Te były inne. Cofnął się z powrotem do drzwi. Nasłuchiwał.

Szelest. Kroki.

Cisza.

Mężczyzna nabrał powietrza, żeby rzucić bluzgiem w ciemność, a potem zgasić papierosa, zakląć pod nosem i iść spać, mając poczucie kolejnej wygranej potyczki.

Wtedy dolina pod nim rozbrzmiała przeciągłym, niezrozumiałym zawodzeniem. Krótkie, męskie warknięcie. Trzaśnięcie drzwi auta. Noc przeszył wysoki jęk. Brzyna się zakrztusił. Rzadkie włosy stanęły mu dęba. Wstrzymał oddech.

Znowu było cicho. Długo.

Potem chrupnięcie, jakby kłamki samochodu. Zagrał silnik, zachrobotwały opony na gruntowej drodze. Wszystko umilkło.

Brzyna odchrząknął i się wyprostował. Wszystko jasne, niepotrzebnie się obawiał. Już miał dzwonić na policję, a to tylko znowu nocne burdy. Ale nie daruje im. Kiedyś im pokaże. Łby porozwala.

– Hołota pierdolona – burknął, dusząc w popielniczce dawno zgasły niedopałek. W dolinie znów było całkiem cicho.

Zdzisław Brzyna wrócił do ciepłego łóżka. Zasnął snem sprawiedliwego, niczym już tej nocy nie niepokojony.

To mgła obudziła ją przed świtem. Mgła, która wsącza się przez szpary w oknie, wpełza pod szpitalną kołdrę z nadrukowanym w rogu numerem inwentarzowym, przedostaje się do jej piersi, do jej serca, do jej głowy. Kobieta skuliła się przy ścianie. Otworzyła szeroko oczy. Czekwała. Mogła tylko czekać.

Do ściany przyklejone były taśmą obrazki. Kolorowe, narysowane kredkami. Trzy niezdarne postacie: podłużne korpusy, patykowate kończyny i uśmiechy. Dziecko jest najmniejsze, ale najbardziej okrągłe. Postacie stoją przed domem i trzymają się za ręce. Kolejny rysunek przedstawia tę samą scenę, ale jest więcej szczegółów i kolorów. Piękna mama, wysoki tata, pulchne dziecko, dom ma komin i firanki w oknach. Dalej wisiały portrety uśmiechniętej pyzatej twarzy. Na policzkach czerwone rumieńce, blond włosy zamasyście namazane woskową kredką, ogromne niebieskie oczy.

Postacie z obrazków patrzyły teraz na nią. Sama je narysowała. Odmawiała leków, nieludzkich i fałszywych, bo trzeba ufać tylko prawdzie o nas samych, on tak zawsze mówił, ona tak zawsze mówiła. Więc zamiast tego prosili, żeby rysowała. A ona opowiadała im wszystko kolorami.

Odważyła się spojrzeć w okno. Mgła. We mgle zapełgało wyraźnie światełko, płomyk, błędny ognek. Migotał pomarańczowo, coraz bliżej. Wślizgnął się razem z mgłą do środka, nabierał konturów.

Stanęło w kącie, patrząc na nią wielkimi oczami w zapadniętej, szarej twarzyczce. Chude, kruche, słabe. Dziecko.

Krzyczała. Krzyczała aż do świtu.

Ulepiła jaskółka

pod moim oknem gniazdo,

jaskółka czarna

jak Cyganeczka.

Wskazywała nam dobre drogi.

Zamieszkała w stajniach i domach.

Zginęła w bagnach.

(Bronisława Wajs „Papusza”, Bajka cygańska

[Paramiśa romani], przeł. Jerzy Ficowski)



ROZDZIAŁ 1

Podkomisarz Janusz Głód zatrzymał samochód i wysiadł, stąpając ciężko mokasynem. Zaklął. Schylił się i obejrzał zanurzony w błocie but i uwalaną nogawkę.

– Dobrze, że pan jest! – powiedział funkcjonariusz w mundurze z gołymi pagonami posterunkowego.

Gromada dzieciaków ubranych w powyciągane koszulki przyglądała im się z drugiej strony mostu, czy raczej rdzewiejącej kładki z kątowników i wybrakowanych desek, która tylko prawem prowizorki wisiała nad zwężającym się w tym miejscu zakolem Dunajca.

– I niby jak tu wjedzie karetka? – Głód wytarł spocone czoło. – Gdzie są wszyscy?

– Jest droga gruntowa po drugiej stronie, od Zarzecza. – Policjant wyciągnął rękę w stronę drzew widocznych na drugim brzegu. – A reszta naszych jest tam, gdzie ujawniono... – Wskazał palcem i wyjąkał: – Ciało.

Głód podciągnął spodnie za pasek i wszedł na kładkę. Uchwycił spojrzenie dzieciaka stojącego na środku i postąpił do przodu, nie bacząc na ostrzegawcze skrzypienie desek. Malcy pierzchli jak na komendę. Dalej napotkał grupę kobiet w spranych bluzach z kapturem lub swetrach i długich spódnicach. Tylko kilka najmłodszych wcisnęło krągłe biodra w dzinsy. Prawie wszystkie były czarnowłose, niektóre ostentacyjnie ufarbowane na blond. Mężczyźni stali dalej. W spodniach od dresów, dzinsach i koszulkach polo pod kurtkami, patrzący jednakowo spode łba, kulący ramiona jak bokserzy wagi muszej. Wisiała nad nimi niespotykana tu cisza.

Głód wybrał numer. Pozornie niedbała czynność pozwalała mu sprawiać wrażenie, że czuje się swobodnie. Na dźwięk zasnętego głosu prokuratora dyżurnego podkomisarz zacisnął zęby.

– Panie prokuratorze, pan nie w drodze? Mówiłem, co tutaj mamy, ekipa już jedzie, chcemy zaczynać oględziny, a bez pana nie możemy. Sytuacja jest delikatna. – Ostatnie słowa wyszeptał z taką miną, jakby miał nadzieję, że rozmówca go zobaczy.

– Panie Januszu – zaczął konfidencjonalnie prokurator. – Pan jest doświadczonym policjantem. A ja musiałbym się teraz tłuc taki kawał. Nie będę was spowalniał, potem wam wszystko podpiszę, co?

– Panie...

– To jest tam u Cyganów, tak? – przerwał mu prokurator i syknął, jakby zaboląła go głowa. – To co by się tam mogło wydarzyć, z czym sami sobie nie dacie rady?

Głód się rozłączył, rozjuszony. Niech się policja męczy, podczas gdy szanowny pan prokurator będzie leczyć kaca.

Rozejrzał się. Dwa rzędy bud, altan z dykty, blachy falistej, kartonów po bananach i eternitu były poprzetykane nieco lepszymi budowlami, zgarbionymi i przykurczonymi, zastygłymi w połowiczności: spomiędzy pustaków wystawały klopsy zaprawy, futryny otaczały żółte falbany pianki montażowej, zamiast blachodachówki więźbę spowijała folia. Z przodu skorupa niedokończonego domu ziała pustymi otworami okiennymi. Na klepisku pomiędzy zabudowaniami gniły w kałużach błota kartony, walał się złom, puszki i plastikowe butelki. W powietrzu zawirowała foliowa reklamówka. Zaszczekał pies, odpowiedziało mu kilka innych.

– Ale slumsy – burknął.

– Jak to u Cyganów. Przepraszam: Romów. – Posterunkowy uśmiechnął się krzywo.

Zawiewało to palonymi śmieciami, to nieszczelnym szambem. Głód podniósł głowę i spojrzał na szczyt aluminiowego słupa.

– Z tych kamer jest obraz? – zapytał, wskazując palcem na zamontowane na szczycie stalowe tubusy ustawione tak, że tworzyły literę V.

– Tak jakby jest – odparł posterunkowy.

Głód popatrzył na niego, unosząc brwi.

– Kto ma do tego dostęp? Dzielnicowy?

– To znaczy... raczej wójt – odpowiedział niepewnie policjant.

– Chcę nagranie z całej nocy. – Podkomisarz już nie słuchał. – Na wczoraj.

Droga między zabudowaniami kończyła się gęstwiną krzewów. Głód wszedł w zarośla. Zacisnął zęby, gdy gałąź leszczyny zacięła go w udo.

Krzaki rzedyły, wśród nich kładły się łopiany i wybujałe paprocie, płożyla się dzika malina. Jeszcze nie rozproszyła się poranna mgła, w której majaczyła policyjna taśma. Głód wysoko podnosił nogi. Przeszedł pod taśmą, schylając się z wysiłkiem. Trzeba coś zrobić z tym brzuchem. Nie dość, że nie dodaje mu powagi, to jeszcze przeszkadza w pracy. Nie wspominając o tym, co kardiolog mówił podkomisarzowi o jego szansach na pierwszy zawał przed pięćdziesiątką.

– To pokażcie, co tam macie – mruknął do posterunkowego. Ten przełknął ślinę i przerażony popatrzył w zarośla. Praca w policji na prowincji to miała być stabilna robota i wczesna emerytura, a nie oglądanie czegoś takiego, mówiło jego pełne wyrzutu spojrzenie.

Głód klepnął policjanta w ramię i wyminął go. Odcinał już ze sznura samobójców, kiedy powiał halny, wyławiał z Dunajca topielców, znał wszystkie zastosowania noża kuchennego i siekiery. Najgorsze, co go może czekać, to smród.

Tu, na skraju lasu, było trochę chłodniej. Może nie będzie tak bardzo śmierdzieć, pomyślał podkomisarz. Odruchowo wstrzymał oddech. Ekipa posterunku w Łącku, w czarnych kurtkach z odblaskowym napisem „Policja” na plecach, otaczała krzaki, starając się nie patrzeć.

Jeden z policjantów wskazał mu kępę paproci. Głód rozgarnął liście.

– O kurwa – wyszeptał i potrząsnął głową. Jednak nie wszystko jeszcze widział.

Chłopiec leżał na brzuchu, z rączkami ułożonymi wzdłuż tułowia. Prawy policzek miał przyciśnięty do ziemi, na obróconej na bok główce tkwiła czapka z daszkiem przysłaniającym twarz. Ubrany był w czerwoną bluzę i brudne spodnie od dresu, na których wykwitły mokre plamy. Mógł mieć może pięć, góra sześć lat.

Policjant pociągnął nosem. Nie czuł rozkładu, tylko ostrą woń wymiocin i biegunki. Chłopiec musiał umrzeć niedawno.

– Wzywajcie od razu sanepid – powiedział podkomisarz, zasłaniając usta i nos przedramieniem. – Widzicie, co tu się dzieje. Martwy szczeniak w takim miejscu, wymioty, sraczka. Zaraz będziemy tu mieli epidemię.

Puścił paprocie, które opadły zielonym baldachimem na ciało chłopca.

– Namiot mi nad zwłokami rozstawić i nie łązić jak cielęta! Gdzie są technicy?! – wrzasnął, sięgając po telefon. – Zaraz im...

– Nie trzeba, już są! – odkrzyknął posterunkowy na widok mężczyzny w odblaskowej kamizelce taszczonego duża, stalową walizę.

Głód wrócił na polanę, wyjął e-papierosa i zaciągnął się głęboko. Zamknął oczy i ścisnął palcami nasadę nosa. Kardiolog zabronił mu palić tytoń. No to przestał palić tytoń.

– Kto znalazł chłopca? – zapytał.

– Dzieci – odpowiedział posterunkowy. – Dziś o ósmej trzydzieści rano. Akurat w wiosce był ksiądz i zadzwonił na sto dwanaście. Inaczej pewnie byśmy tak szybko się nie dowiedzieli. A może nigdy.

– Ktoś go ruszał?

Posterunkowy pokręcił głową.

– Nie, nikt. Tylko ksiądz zeznał, że sprawdził, czy dziecko żyje.

– Chciałbym porozmawiać z tym księdzem – mruknął Głód.

– Ksiądz Drzewicki, wikary od nas z parafii w Zabrzeży – poinformował funkcjonariusz. – Musiał pojechać pół godziny temu, mówił, że ma przygotowanie do bierzmowania.

– I pozwoliłeś mu?! – Głód podniósł głos.

– Przecież to ksiądz. – Chłopak przepaszająco rozłożył ręce.

– A tożsamość ofiary ustalona? Którzy to jego rodzice?

– No więc właśnie... – Posterunkowy podrapał się za uchem. – Nikt się nie przyznaje.

– ...bry, panie Januszu, pan dowodzi? – przerwał im technik kryminalistyki, łysiejący mężczyzna w okularach połówkach na sznurku. – Prokurator kiedy przyjedzie?

– Pan prokurator – wyszczerzył zęby Głód – będzie z nami duchem. Proszę zaczynać oględziny.

Skinął w stronę namiotu rozstawionego nad ciałem. Sam ruszył do osady, na spotkanie muru zaciętych twarzy.

*

Studenci zbierali się do wyjścia. Anka powiodła wzrokiem po sali, jednej z większych, gdzie wylądowała ze swoim wykładem „*Orbis interior/Orbis exterior*. Swoi, obcy i granice świata w kulturze wsi polskiej”. Jej zajęcia cieszyły się ostatnio rekordową popularnością wśród słuchaczy, tak że profesor Gwizdałowski musiał przenieść się ze swoją metodologią nauk społecznych do mniejszej salki obok. Co tydzień z urażoną miną przedzierał się przez tłumek czekający na Ankę, rzucając zbolące spojrzenia.

Studenci zachowywali się teraz na jej wykładach inaczej. Nie bawili się smartfonami, nie ziewali, ale notowali, czasem zadawali pytania. Raz nawet ktoś został po zajęciach, żeby dopytać o dodatkową literaturę. Doprawdy, wystarczy pojawić się kilka razy w telewizji, żeby z czarownicy nagle przeobrazić się w czarodziejkę.

– Pani doktor... – usłyszała nieśmiały głos. – Czy mogę prosić o podpis?

Dziewczyna położyła na stole książkę. Anna Serafin i Sebastian Strzygoń, *Pionek*. Anka sięgnęła po wieczne pióro, zakończyła dedykację autografem i podmuchała, żeby atrament wysechł. Zauważyła, że nawet podpis ostatnio jej się zmienił. Zrobił się bardziej zamaszysty. Uśmiechnęła się do studentki i wróciła do porządkowania papierów.

– Fani nie dają popracować w spokoju? – Profesor Gwizdałowski wyrwał ją z zamyślenia. Podniosła głowę. Starszy pan bawił się zawieszonym na palcu kluczem. – Taki los celebryty. Cóż, to dobrze, popularyzuje pani dziedzinę. To poniekąd chwalebne. Można by jednak zadać sobie pytanie, czy sposób, który pani wybrała, jest najszcześniejszy...

– Co pan ma na myśli? – Ściągnęła brwi. – Ma pan jakieś zastrzeżenia do naszej książki?

– Książka sama w sobie jest nawet dość ciekawa. – Profesor wykonał w powietrzu nieokreślony gest. – Chociaż można mieć pewne uwagi natury metodologicznej...

– O jakiej metodologii pan mówi? – weszła mu w słowo Anka. – To jest książka dziennikarska, popularna, a nie rozprawa habilitacyjna.

Stoczyła z redaktorem batalię o przypisy – zgodził się tylko na bibliografię – ale z książki była bardziej niż zadowolona. Od czasu doktoratu nie czuła takiej

satysfakcji z pisania. Nie da jej sobie odebrać.

– O, to, to! – Profesor dźgnął palcem powietrze. – Trafiła pani w sedno! Bo ja to bym wolał, żeby pani zaczęła myśleć o habilitacji, a nie o jakichś tam mordercach. I jeszcze ten pani kolega z tabloidu...

– Sebastian Strzygoń jest uznanym dziennikarzem „Horyzontu” – przerwała mu znowu, coraz bardziej zła. I jeszcze musi bronić Bastiana. Ostatnio coraz częściej zawłaszczwał szum wokół *Pionka*, lansował się w tej swojej Warszawie jako autor bestsellerowej książki non-fiction, zapominając o niej. A może robił to specjalnie. – To opiniotwórcze pismo – dodała.

Spuściła głowę, walcząc z niemieszczącym się do torby skoroszytem, żeby profesor nie zauważył, jak drży jej kącik ust.

– Martwimy się z kolegami z katedry o panią – zagaił łagodnie Gwizdałowski. – To dobrze, że zyskuje pani popularność wśród studentów, że cieszy się pani sukcesem, jak widzę, również finansowym...

Zawiesił wzrok na wiecznym piórze, które wciąż leżało na blacie. Dostała je z okazji pierwszego spotkania autorskiego, nie miała pojęcia, ile jest warte. Spojrzenie profesora wędrowało dalej, ku jej pomarańczowej skórzanej kurtce, którą narzuciła na ramiona. To nie była plastikowa ramoneska z sieciówki, ale cacko z Mediolanu albo Paryża. Anka cieszyła się, że nie wie, ile kurtka kosztowała, bo wtedy nie mogłaby jej przyjąć.

– Ale podzielę się z panią dobrą radą starszego kolegi. Karierę naukową robi się dzięki cierpliwości, benedyktyńskiej pracy i poszanowaniu dla autorytetów. A nie – skrzywił się – przebojem.

– Jasne, panie profesorze – rzuciła sucho. – Postaram się być mniej przebojowa.

– Pani jest taka urocza, kiedy się pani złości, pani Aniu. – Gwizdałowski pokręcił głową.

Pomyślała, że jeśli zaraz stąd nie wyjdzie, to strzeli go w twarz. Ale stała tam dalej i pod kurtką robiło jej się coraz bardziej gorąco.

– Proszę się nie denerwować. To dla pani dobra. Bo w końcu grupą odniesienia powinno być dla pani środowisko akademickie, a nie jacyś studenci czy, nie daj Bóg, media. Nie chcielibyśmy, żeby woda sodowa uderzyła pani do głowy. Proszę nie zapominać, że przede wszystkim reprezentuje pani uniwersytet. A nic nie potrafi zaszkodzić uniwersyteckiej karierze tak, jak – chrząknął – skandal.

Bąknęła coś i odeszła, zbyt głośno stukając obcasami.

Trzasnęła drzwiami i wybiegła z instytutu. W holu sięgnęła do torebki. Obiecała mu, że zostawi na uczelni trochę ulotek o wystawie. Popatrzyła na kosz na śmieci. Nie, nie może mu tego zrobić. Poza tym musiałaby go okłamać. A gdyby powiedzieć, że zapomniała? Będzie mu przykro. Słowa o skandalu wciąż

dźwięczały jej w uszach. Wyszła z budynku, czując, jak coś kielkuje jej w żołądku nieprzyjemnym drżeniem. Nagle przystanąła. Przecież tu niedaleko jest Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej. A studenci dziennikarstwa na pewno będą bardziej zainteresowani fotografią niż te jej sierotki z antropologii.

I na pewno nikt jej tam nie zna.

Pod policyjnym namiotem zalegała cisza.

Technik zrobił kilka zdjęć. Z dziećmi zawsze jest trudniej, pomyślał. Wczoraj w nocy przerabiał podobne widoki, przy koszmarnym wypadku przed Tylmanową, tam gdzie droga idzie łukiem między skarpią a brzegiem Dunajca. Idiota w beemwicy na krakowskich blachach wyprzedzał na podwójnej ciągłej i walnął czołowo w miejscowego matiza. Zablokowana droga, pięć trupów – starsze małżeństwo z matiza i kobieta z dwojgiem dzieci z bmw. Technik zapamiętał wciąż cudem działający tablet, na którym leciała *Świnka Peppa*, miał w uszach zgrzyt ciętej przez strażaków blachy i szelest worków na zwłoki do wtóru radosnej melodyjki, której nigdy nie zapomni.

I nawet nie zdążył odespać, bo musiał się zerwać i przyjechać tutaj.

Nie odkrył żadnych rozbryzgów, wydzielin ani włókien na paprociach. Nie były też połamane, więc nie stoczyła się tu walka. Wokół ciała nie stwierdził żadnych przedmiotów. Śladów nawet nie próbował szukać. Skoro przy zwłokach chodzili nie tylko policjanci, ale na domiar złego ksiądz i pewnie też Romowie, to pozamiatane. Dosłownie.

Ziewając, zaczął uzupełniać rubryki w protokole. Sprawdził kieszenie bluzy i dresowych spodni dziecka. Nie znalazł żadnej legitymacji, karty na autobus, telefonu, niczego, co pozwoliłoby na identyfikację. Czapeczka była głęboko naciągnięta na głowę. Zdjął ją delikatnie.

Oniemiał.

Janusza Głoda, który miał tu z nim siedzieć, wciąż nie było. Technik powinien na niego poczekać, ale delikatnie, wręcz z czułością, odwrócił ciało na wznak.

To się pan podkomisarz zdziwi.

Bastian patrzył, jak ekspres do kawy spienia mleko. Szumiała klimatyzacja, miękka wykładzina tłumiła odgłosy kroków. Szklane przepierzenia odbijały blask niemego telewizora na ścianie, z włączonym na stałe TVN24. Pachniało kawą i jabłkami, które przedstawiciel firmy dostarczającej owoce właśnie wniósł do kuchni. Pastelowe kolory przywodziły na myśl przedszkole albo salon spa.

Doprawdy, nie rozumiał, dlaczego ludzie nazywali to miejsce Mordorem. Dla niego to było Rivendell.

Zrobił zdjęcie swojej kawy i wystukał na ekranie smartfona: *Poranek w „Horyzoncie”*. Najpierw kawusia, a potem zmieniamy świat. Zwinął ze stolika dzisiejsze gazety i ruszył do biurka. Postawił kawę koło laptopa, rzucił gazety

na blat.

Kobieta siedząca przy biurku naprzeciwko posłała mu znudzone spojrzenie.

– Dzień dobry. – Bastian przywołał na twarz swój najbardziej rozbajający uśmiech. – Weźże się uśmiechnij, pani redaktor!

Od kilku miesięcy bezskutecznie próbował się zaprzyjaźnić z Jadwigą Rajchert, obrończynią praw kobiet, wyzyskiwanych pracowników i dyskryminowanych mniejszości. Jedną z najbardziej cenionych – przynajmniej w niektórych kręgach – dziennikarek w kraju. I jedną z najbardziej niesympatycznych, jak ostatnio coraz częściej stwierdzał.

– „Weźże”? Po jakimu ty do mnie rozmawiasz, Bastian? – syknęła i popchnęła gazety w jego stronę.

Na biurku Jadzi Rajchert znajdowały się tylko laptop, notes z ołówkiem i szklanka wody. Biurko Bastiana zavalone było papierami, które cudem nie pospadały jeszcze na podłogę.

– Jadę wieczorem do Krakowa – rzucił. – Przywieźć ci coś?

– Tak, wiejską kiełbasę – burknęła. – Albo maczankę w słoiku.

– A może oscypka? Dopilnuję, żeby był *fair trade* – odparował. – Od górala, co nie dyskryminuje owiec ze względu na kolor runa i dyma wszystkie po równo, białe i czarne.

Nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się wśród starych znajomych, on, nowy bohater warszawskiego dziennikarstwa, który przebojem wdarł się do najbardziej opiniotwórczego pisma w kraju, przeskakując kilka szczebli medialnej kariery. I może będzie okazja naprawić stosunki z Anką, która coraz częściej miała do niego pretensje, chociaż to on uwijał się jak w ukropie, żeby wcisnąć się z ich książką wszędzie, gdzie tylko się dało, a ona przychodziła na gotowe.

– Seba, stary cię woła. – Sekretarka naczelnego wystawiła głowę zza załomu ściany.

Nienawidził, kiedy ktoś mówił do niego „Seba”. A ta jęcza albo była za głupia, żeby się tego nauczyć, albo robiła mu na złość. Dopił kawę i dalej bębnił palcami w klawiaturę.

– Na co czekasz, Seba? – Jadzia Rajchert z emfazą przeciągnęła ostatnie słowo. – Biegnij, zaszczyt cię kopnął.

Zamknął szklane drzwi akwarium szefa i poczuł, jak ulatnia się jego pewność siebie.

– Twój tekst. – Naczelnny trzepnął wydrukiem o klawiaturę. – Nie pójdzie, chyba że coś z nim zrobisz. Nie dość, że pieściłeś się z nim za długo, to efekt jest taki sobie. Redaktor powycinał ci efekciarskie grepsy, ale przepisywać za ciebie nie będzie. I ten artykuł jest za długi. Nie piszesz już bloga. To jest gazeta. Tutaj liczy się profesjonalizm, a nie gwiazdorstwo.

– Tekst miał być wyrazisty. – Bastian wytarł dłonie w spodnie. Już zdążył ogłosić, że w najnowszym numerze „Horyzontu” ukaże się jego sensacyjny artykuł. – Nie wyrywajmy mu zębów – dodał, patrząc na czubki swoich converse’ów.

Naczelnny bawił się długopisem. Bastian nawet nie miał gdzie usiąść, bo nie było tu krzesła dla gości, więc stał, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

– Ty zdajesz sobie sprawę, Strzygoń, że fakt, że tu jesteś, to nie nagroda za twoje osiągnięcia, tylko zobowiązanie? – odezwał się wreszcie szef. – Dałem ci szansę. Żebyś się uczył, terminował u najlepszych, bo masz talent, ale brakuje ci pokory i dyscypliny. Więc zamiast ujawniać kolejną lokalną aferkę, jadąc swoim stylem „patrzcie-jaki-jestem-zajebisty”, zacznij się wreszcie rozwijać.

Bastian gwałtownie wciągnął powietrze. Jego artykuł o czyścicielach kamienic i ich powiązaniach z politykami narobił sporo szumu. *Tylko ktoś spoza warszawskiego układu mógł opisać ten haniebny proceder z taką odwagą* – chwaliły nawet konkurencyjne media. Handel narkotykami wśród kibiców. Afera pedofilska w szkole muzycznej. Czy to mało?

– Tematy społeczne leżą na ulicy – ciągnął naczelnny. – Świat się zmienia. Muszę ci mówić, co masz robić, żeby tu zaistnieć? Ja cię niedługo rozliczę z tej szansy, którą ci dałem.

Wreszcie Bastian wrócił do biurka i bez słowa usiadł do komputera.

– Co, mistrzu, szef poklepał po plecach? – zapytała Jadzia Rajchert, gryząc ołówkę.

– I wymasował stopy – mruknął Bastian.

Zaczął zdanie po zdaniu skracać swój artykuł, pozbywając się słów, które tak mu się kiedyś podobały. Dobrze, że tego procesu nikt nie ogląda, przemknęło mu przez myśl. Że ludzie zobaczą tylko jego nazwisko na kredowym papierze i pomyślą: *wow*.

I on też pomyśli wtedy: *wow*. Ale najpierw będą krew, pot i łzy.

Podkomisarz powiódł wzrokiem po ludziach zebranych za policyjną taśmą, próbując wyobrazić sobie, co się tu wydarzyło. Skrajnie zaniedbany chłopiec łapie jakiegoś rotawirusa albo inne paskudztwo, snuje się ze sraczką po tym śmietniku, gdy zamroczeni wódą rodzice leżą gdzieś przed telewizorem. Przecież widział na paru budynkach anteny satelitarne. W końcu wycieńczone dziecko pada w krzakach i umiera. Umiera tak, jak żyło – samotne, brudne i głodne.

Niech tylko ich dorwie, a popamiętają. Zarzuty o nieudzielenie pomocy to będzie dopiero początek.

– Jak trzeba wyciągać rączki po pomoc społeczną na dzieci, to są pierwsi. A teraz nikt się nie przyznaje. Powiedzcie im – syknął Głód do posterunkowego – że będą dawać rodzicom zasiłek pogrzebowy. Wtedy na pewno się znajdą.

– Ale kiedy nikt nie chce gadać. – Posterunkowy zniżył głos. – Baby lamentują, a chłopcy milczą.

– Jeszcze będą śpiewać, zobaczysz, szabadabada amore. – Głód ruszył w stronę Romów. – Jest tu jakiś... eee... starszy plemienia? Nie wiem, kurde, wódz?

Z boku stał wysoki, postawny mężczyzna. Miał okrągłą, nieogoloną twarz i falujące czarne włosy z pasmami siwizny. Ubrany był w sprany podkoszulek Adidasa i luźne spodnie. Inni trzymali się na dystans, od czasu do czasu spoglądając na niego z powagą.

– Ty, Cygan! – zawołał do niego Głód, przekraczając policyjną taśmę. Ludzie rozstąpili się przed nim. Jakaś kobieta zaczęła płakać, kierując w jego stronę niezrozumiałe zawrozczenia. – Ty tu jesteś bossem?

– Wójtem – odparł tamten, biorąc się pod boki. – Powiedzmy.

– To jej dziecko? – rzucił ostro policjant, wskazując na kobietę.

– Nie.

– To czego tak wyje?

– Każde dziecko to dar od Boga – powiedział spokojnie mężczyzna.

Głód przewrócił oczami.

– Musimy ustalić personalia chłopca i jego rodziców. Skoro ty tu jesteś bossem, to powinieneś wiedzieć. Nie mamy czasu pieścić się z każdym z osobna.

– Już mówiłem. To nie nasze dziecko. – Rom pokręcił głową.

– Taki jesteś pewien? – warknął podkomisarz. – A wy ogarniacie w ogóle, ile dzieci tu macie i czyje są?

Oczy mężczyzny się zwięziły. Zmełł w ustach niezrozumiałe słowo.

– Przecież to *gadzio* – mruknął, ruchem głowy wskazując na zarośla.

– Co? – zdziwił się Głód.

– *Gadzio*. Nie nasz. Nie Rom. Obcy.

Głód zaklął, odwrócił się na pięcie i skoczył ku gęstwinie. Przedzierał się przez krzaki, nie zwracając uwagi na czepiające się jego spodni ciernie. Odepchnął stojącego przed namiotem policjanta i szarpnął za połę kotary.

W tramwaju na Podgórze zaczęła przechodzić do porządku dziennego nad Gwizdałowskim i jego mądrościami starego oportunisty. Ma teraz wrócić do swojej celi i zająć się iluminowaniem starych skryptów, czekając na swoje pięć minut w uniwersyteckiej kolejce po sukces? Niedoczekanie! W głowie zaczęła układać plan na dziś. Sprzątanie. Fryzjer. Konspekt artykułu na konferencję we Wrocławiu. I sklepik na Kleparzu, gdzie podobno mają prawdziwy ser *Pecorino di Pienza*. Chciała wieczorem ugotować coś specjalnego, a francuski piesek przecież byle czego nie zje.

Z zamyślenia wyrwała ją muzyka. Kulawo grany czardasz wypełnił jazgotem puszkę tramwaju. Odwróciła się. Smagły chłopiec ugiął się pod ciężarem akordeonu. Podchodził do pasażerów i nie przestając grać, podsuwał im kubek ze Starbucksa przyklejony taśmą klejącą do instrumentu. Starsza pani wyjęła portfel, zagrzechotały dwudziestogroszówki. Zbici w grupkę licealiści pokazywali

sobie coś na komórkach. Facet z teczką odwrócił głowę. Dziewczyna ze słuchawkami w uszach uśmiechnęła się przepaszająco.

Chłopiec stanął nad Anką. Nie patrzył na nią, tylko gdzieś ponad jej ramieniem i przebierał palcami po guzikach instrumentu. Miał najwyżej dziesięć lat.

Bezwiednie sięgnęła do torebki. Cofnęła rękę. Rozejrzała się. Nikt nie zwracał na dziecko uwagi.

– Chłopczyku – odezwała się. Miała wrażenie, że wszystkie spojrzenia w tramwaju powędrowały ku niej. – Jest z tobą ktoś dorosły?

Nie odpowiedział, tylko podszedł do kolejnej osoby. Tempo czardasza przyspieszyło.

– Poczekaj – rzuciła za nim Anka. – Gdzie są twoi rodzice? Wiedzą, że tu jesteś?

Chłopiec ruszył ku drzwiom. Usłyszała stłumiony chichot, zaszemrały głosy. Tramwaj stanął na placu Wolnica. Dzieciak skoczył do wyjścia.

Przecież jak już się wmieszała, to tak tego nie zostawi. Zerwała się z siedzenia. Udało jej się go dogonić przed przejściem dla pieszych.

– Nie powinieneś być w szkole? – zapytała. Odwrócił się gwałtownie. Był przerażony. – Chodzisz w ogóle do szkoły? Nie jesteś głodny?

Nie odpowiadał, ale zaczął oddychać szybciej.

– Ktoś cię do tego zmusza? Komu dajesz te pieniądze?

Nagle się odwrócił i puścił pędem na drugą stronę ulicy, uginając się pod akordeonem. Anka patrzyła, jak dziecko przebiega przed ostro hamującym samochodem. Już miała odpuścić, usprawiedliwiając się, że przecież zrobiła, co mogła, ale zacisnęła wargi i przebiegła przez ulicę na tyle szybko, na ile pozwalały jej szpilki.

Za rogiem budynku muzeum wpadła prosto na dzieciaka. Chciał odskoczyć. Złapała go za chude przedramię. Krzyknął niezrozumiale. Spod przetłuszczonej czupryny patrzyły na nią olbrzymie czarne oczy.

– Dlaczego jesteś bez opieki? – spytała, zawstydzona tym, jak zimno i bezdusznie zabrzmiały jej słowa. Chłopiec zaczął się wrywać. Wielki akordeon majtający się na jego ramionach krępował mu ruchy. Kubek się odkleił, upadł na ziemię. Monety zadźwięczały na chodniku i potoczyły się we wszystkie strony.

Wydał usta wygięte w podkówkę. Był bliski płaczu. Ona też. Nagle wyszarpnął coś z kieszeni. Starą nokię. Pokazywał na telefon i coś jej gorączkowo tłumaczył w języku, w którym pobrzmiwały rumuńskie nuty. Wybrał numer i przycisnął słuchawkę do ucha. Dygotał mu podbródek. Wyrzucił z siebie do słuchawki płaczące słowa i wcisnął jej komórkę w dłoń.

– Ja panią proszę, zostawi moje dziecko – usłyszała zatroskany męski głos. – Ja tylko na chwilę musiał go zostawić, ja zaraz wracam.

– Tak? – wypaliła. – On był sam w tramwaju!

– Ja panią proszę. – Głos próbował tłumić emocje. – Ja zaraz przyjadę.

Popatrzyła na dziecko, które ciągle trzymała za ramię. Chłopiec przestępował z nogi na nogę.

– Muszę zadzwonić na policję – powiedziała.

– Ty nic nie rozumiesz, ty głupia, tępa kurwa.

Chłopiec wyrwał jej telefon, wykręcił się z uchwytu i puścił się pędem, przerzucając akordeon na plecy. Odruchowo spojrzała na swoją torebkę. Nie zauważyła, czy pobiegł w Bonifraterską, Mostową, czy Bocheńską.

Wyprostowała się. Poprawiła włosy. Rozejrzała się. Grupka turystów synchronicznie odwróciła wzrok. Spojrzała pod nogi. Na chodniku leżały monety.

Kucnęła i zaczęła je zbierać do kubka, na którym dziecięca ręka dorysowała postaci z logo Starbucksa wasy i okulary. Wszystkiego było niecałe pięć złotych.

Ruszyła przez plac. W kościele Bożego Ciała wrzuciła monety do puszek z napisem „Na uchodźców”. Odbiły się głucho od pustego dna.

Technik schował do worka czapkę i obejrzał tanie buty sportowe. Na podeszwach tylko ściółka. Spodnie uwalane wodnistym kałem, choć ubranie nie było dziurawe ani postrzępione.

Podciągnął bluzę chłopca. Układ fioletowoczerwonych, niezbyt wyrazistych plam opadowych na szczerzącej zębra klatce piersiowej, wychudzonym brzuchu, twarzy i szyi wskazywał, że ciało leżało w pozycji, w jakiej je znaleziono, od zgonu.

Technik ucisnął plamę na brzuchu. Wokół palca skóra zrobiła się biała. Plamy były względnie świeże, rozkładająca się krew jeszcze nie zabarwiła tkanek. A to oznaczało że zgon nastąpił poniżej ośmiu godzin temu, czyli koło pierwszej, drugiej w nocy. Ujął w dwa palce żuchwę chłopca. Stężenie pośmiertne było w niej już wyraźne. W ramionach odczuwalne, ale słabsze. W nogach zupełnie słabe. Uniósł powiekę. Rogówka całkiem zmętniała, ale nie było jeszcze śladów wysychania na wargach i nosie.

Głód wpadł do namiotu i stanął jak wryty. Dyszał ciężko. Otarł przedramieniem perlące się od potu czoło. Ukląkł koło zwłok.

Patrzył na filigranową figurkę, bladą, jak z alabastru lub półprzezroczystej porcelany. Na czerwone plamy opadowe kontrastujące z białą skóry. Jasnej skóry. Biel i czerwień pełgały mu przed oczami jak mroczki, gdy wciągnąwszy silikonową rękawiczkę, dotknął delikatnej twarzy o wąskich, bezkrwistych ustach, ledwie widocznych jasnych brwiach i zapadniętych policzkach. Okolonej włosami o barwie pszenicy.

Wyszedł przed namiot. Policjanci otoczyli go kręgiem. Zaciągnął się e-papierosem, skrzywił i wcisnął go do kieszeni. Skinął na jednego z funkcjonariuszy, wyciągnął dłoń, a ten poczęstował go czerwonym marlboro.

– Panowie – powiedział Głód. – Mamy przejebane. Chociaż nie, *sorry*.

Popatrzył wymownie w stronę zebranych za taśmą Romów.

– To oni mają przejebane.

Jedni siedzieli przy stolikach, inni spacerowali z kieliszkami w dłoniach, oglądając czarno-białe zdjęcia. Statystyczny krakowski przekrój, pomyślał Bastian. Trochę studentów, trochę inteligencji w starych marynarkach, krewni i znajomi królika. Zaczesał palcami bujną czuprynę do góry – wierzył, że przez to wydaje się wyższy – wygładził koszulę i pomachał do Anki.

Ubrana była w zieloną, dopasowaną sukienkę. Na szyi miała egzotyczny wisiołek, na nogach szpilki, rude loki spływały jej na ramiona łagodnymi falami. Podeszła i popatrzyli na siebie nieufnie. Napięła ramiona i założyła ręce na piersiach.

– *Sorry*, że tak cię objechałam za to radio – powiedziała. Nie może się na niego obrażać, bo bez niego medialnie nie istnieje. – Ale wkurzyłam się.

– Nie, to ja *sorry*. – Zamachał rękami. Nie może iść z nią na udry, bo bez niej straci swój wyróżnik. – Nie dałem ci znać, ale im się spieszyło. Wejście albo za godzinę, albo wcale. Nie miałem wyboru.

– Co słyszeć? – Opuściła ramiona. – Wielka kariera na „Horyzoncie”?

– Coś w tym stylu. Kup sobie jutro najnowszy numer. Zobaczysz.

Ruszyli wzdłuż ścian, na których ciągnęły się rzędy antyram. Ławka w parku, na niej czarnoskóry student ze słuchawkami w uszach śmieje się i patrzy w tablet. Obok staruszka w berecie pochyla się nad różańcem. Podpis pod zdjęciem: *Daleka rozmowa*.

– A ciebie pewnie teraz na uniwerku na rękach noszą, co nie? – zmienił temat.

– Studenci walą na zajęcia drzwiami i oknami. – Skrzywiła się.

Budka z kebabem. Chłopak w szaliku Piasta Gliwice i w koszulce z napisem „Bóg, Honor, Ojczyzna” oraz sprzedawca o arabskich rysach uśmiechają się szeroko, ściskając sobie prawice. Dopiero po chwili można było się zorientować, że panowie wcale nie podają sobie rąk – kibic płaci za kebab. Podpis: *9,99*.

– To o czym teraz napisze Sebastian Strzygón? – Anka spojrzała na niego z ukosa.

– Nie zdradzam. – Przyłożył palec do ust. – Ale to będzie prawdziwa bomba.

Po ostatniej rozmowie z naczelnym miał w głowie pustkę. Wiedział jednak, że aby zaimponować staremu, musi wymyślić coś nowego, bo inaczej cała jego piękna, świeża kariera pęknie jak przekłuty balon. Obiecał sobie dzisiaj dobrze się bawić, a nagle poczuł irytację.

– Pewnie coś o uchodźcach – powiedziała.

– Nuda. – Machnął ręką, wydymając wargi. – Poza tym w Polsce nie ma uchodźców.

– Nie ma, ale są. Są, chociaż ich nie ma. Nikt teraz nie rozpala zbiorowej wyobraźni tak jak uchodźcy, chociaż żaden Polak ich na oczy nie widział. To nawet nie temat na artykuł. To temat na habilitację. – Zamyśliła się.

– A może pani biegła-przebiegła podrzuci mi jakiś przeciek z policji? – Zrobił konfidencjonalną minę.

– Tylko wpisali mnie na listę. Zresztą nie wiem, po co im antropolog kultury. Może jak się dwóch Karaimów pobije albo złapie Kozak Tatarzyna...

Zdjęcia radykalnie zmieniły charakter. Dwie dziewczyny w łóżku. Jedna ma regularne rysy i krótkie włosy w nieładzie. Przytula twarz do klatki piersiowej tej drugiej. Tej bez włosów i z blizną zamiast jednej piersi. Podpis: *Trójkąt*. Nagi chłopak z bębniem między nogami. Uniesione ręce, dookoła głowy aureola latających dredów. Podpis: *(HIV) positive vibrations*. Te zdjęcia były naprawdę dobre. To też go zirytowało.

– Twój facet fotografuje nagich mężczyzn. – Chrząknął. – Kto to, jakiś znajomy z piwnicy?

Rzuciła mu spojrzenie pełne furii.

– A ty nie powinnaś się przebadać? – Bastian popatrzył na podpis pod zdjęciem. – Kto wie, jakie pamiątki ten twój samiec alfa przywłókł z orgietek, co złapał i od kogo...

– Nie życzę sobie takich komentarzy – syknęła, wbijając mu paznokcie w nadgarstek. – Z czym ty masz problem, Bastian? Z nim konkretnie czy z faktem, że w ogóle mam faceta? A ten chłopak zaraził się w Afryce. Pojechał tam z Lekarzami bez Granic, jest pediatrą.

– Dżizas, Anka, wyluzuj. – Roztarł bolącą rękę. – Drocę się z tobą.

Przystanęli na końcu galerii. Naga kobieta, w światłocieniu, siedzi na dywanie, trzymając w ramionach olbrzymi album Taschena *Arab Art*. Twarz ma zasłoniętą włosami. Ostry snop światła wydobywa z tła regał z książkami. Podpis: *Szherezada*. Drugie zdjęcie przedstawiało tę samą sytuację, ale z dalszego planu. Regał na książki, lampa na statywie, kobieta z profilu. Naprzeciwko niej po turecku siedzi fotograf, przykładając do oka aparat. Też jest nagi. I było coś takiego w tym, jak siedzieli, w jej przekrzywieniu głowy, w linii jego pleców, że podpis *Intymność* wydawał się zbyteczny.

– Przecież to ty! – Bastian wytrzeszczył oczy. – Serio dałaś sobie zrobić rozbierane foty?

– Jakie tam rozbierane. – Spuściła wzrok. – Przecież tu nic nie widać...

– Tu jest napisane, że te zdjęcia można kupić. – Bastian wyciągnął z kieszeni ulotkę i zaczął ją czytać. – Muszę to mieć na ścianie!

– Ani mi się waż – warknęła. – Przepraszam, muszę lecieć.

I uciekła. Patrzył, jak podchodzi do faceta wyrastającego głową ponad tłumek, jak jego dłoń łąduje na jej ramieniu, wędruje przez plecy, biodro

i zatrzymuje się na jej pośladku. Poczul się jeszcze bardziej zirytowany. A najbardziej zirytował go fakt, że tak go to zirytowało. Ciekawe, kto komu daje większy wycisk, pomyślał. Było widać, że Anka schudła. A facet miał podbite oko pod nierówno rozproszonym podkładem.

– Bastian, rany, a co ty tutaj robisz? – Z zamyślenia wyrwał go głos Wiolki z „Flesza”.

– O to samo mógłbym zapytać ciebie. – Przywołał na usta nonszalancki uśmiech. – Odkąd „Flesz” interesują takie imprezy?

– Założyliśmy z Fryderykiem mały serwis o wydarzeniach w Krakowie. Mamy dość tabloidowej ściemy.

– Załóżcie bloga – poradził demonstracyjnie współczującym tonem. – Czasami można na tym wypłynąć.

– My to jesteśmy z ciebie tacy dumni... – Zrobiła maślane oczy. – To musi być fantastyczne!

Przemknęło mu przez głowę, że jeśli zacznie kolejnej osobie opowiadać, jak cudownie mu się pracuje w „Horyzoncie”, to obleje się benzyną i podpali.

– I tak sobie pomyślałam – nawinęła kosmyk włosów na palec – że jakbyście potrzebowali kogoś na staż albo do jakichś drobnych rzeczy, to mógłbyś mnie polecić...

– Tam nawet do obsługi ksero trzeba mieć dorobek – powiedział. Ściąganie Wiolki do „Horyzontu” byłoby ostatnią rzeczą, której by chciał. – Ale zobaczę...

– Dzięki! – Położyła mu dłoń na mankiecie koszuli.

Uśmiechnął się, kierując kąciki ust w dół.

– Strasznie tu nudno. Może się gdzieś zwiniemy?

– Jasne! – Oczy jej się zaświeciły. – Tylko jeszcze dorwę gościa, co robi te foty, żeby mi się wypowiedział do tekstu. Ty wiesz, który to? Jak wygląda?

– Gerard Keler – prychnął Bastian. – Śliczny jak zimowy poranek na froncie wschodnim. Jak młody esesman na przepustce w rodzinnej alpejskiej wiosce. Chwilowo zamienił szpicrutę i oficerki na *Lederhosen* i kapelusik z piórkiem, tylko tatuaż z kościotrupem prześwituje mu przez białą koszulę. Tam, pod ścianą, facet z pociętą twarzą.

Zniknęła na chwilę. Dopił wino, zjadł orzeszki i dokończył oglądać zdjęcia. Kusiło go, żeby sprawdzić na komórce, jak redaktor zmaltretował mu tekst. Ale był twardy, wytrzymał. Kiedy wychodzili, Wiolka śmiała się, łapiąc go za ramię, kiedy traciła równowagę na schodach. Podtrzymał ją i też się roześmiał.

– To co teraz? – zapytała, gdy wyszli na ulicę.

– Idziemy w jakieś miłe miejsce. – Sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów po papierosa.

– Do mnie czy do ciebie? – zamruczała.

Mógłby ją przelecieć. Może byłoby to nawet zabawne. Coś między triumfem

a dominacją. Ale przyłapał się na myśli, że nie ma ochoty. I że najwyższa pora, by zaczął się szanować.

– Do Prozaka. – Wypuścił dym kącikiem ust. Obserwował, jak rzędzie jej mina.

– Babcia z Murzynem sprzedała się dwa razy, Maciek i jego wielki bęben raz, ale konkurs wygrywa Anka bez majtek. Poszły trzy kopie – podsumował barman.

W knajpie było już pusto. Chłopak z dredami zwijał skręta, a Gerard bezradnie szarpał się z krawatem. W krawacie i białej koszuli opiętej na szerokich plecach wyglądał, jakby się za kogoś przebrał.

– Jak to? – Anka poczuła, jak się rumieni. – Ktoś kupił moje zdjęcie? Kto?

– Jedno jakiś lanser z Warszawy, drugie facet z UJ. A trzecie to nie pamiętam.

– Jaki facet z UJ? – Zrobiło się jej gorąco. – Skąd wiesz, że był z UJ?

– Miał ze sto lat i znaczek uniwersytetu w klapie marynarki.

Kto to mógł być? Ktoś z Zarządzania? Wsunęła palce we włosy. Co ona sobie myślała, kiedy godziła się, żeby Gerard wystawił jej zdjęcia? I jakim cudem pozwoliła sfotografować się nago? To był błąd, od samego początku. Zachciało się jej faceta młodszego o dziesięć lat, więc ma za swoje. W głowie zaczął jej się przesuwac film, co będzie, gdy na uczelni odkryją, że daje robić sobie rozbierane fotki swojemu studentowi. Studentowi, z którym sypia. Do tego bohaterowi kryminalno-obyczajowego skandalu z BDSM w roli głównej.

– Hej, mała, ty się czymś stresujesz? – Gerard uniósł Ance podbródek, żeby popatrzeć jej w oczy. – A mnie wcale nie dziwi, że komuś spodobało się to zdjęcie.

– Nie, młody, niczym się nie stresuję. – Wyrwała mu się.

– Ona się boi, że zrujnujesz jej karierę naukową. – Chłopak z dredami zaśmiał się, zapalając skręta.

Zagryzła wargi i pomyślała, że nikt tak nie psuje zabawy w towarzystwie jak ktoś, kto zawsze mówi, co myśli. I do tego ma rację.

– Prezent z okazji pierwszej wystawy. – Maciek podał Gerardowi pakunek zawinięty w gazetę. – Możecie się od razu przebrać.

To były dwa podkoszulki. Mniejszy, biały, z napisem „Piękna” i czarny, większy, z napisem „Bestia”. Anka założyła podkoszulek na sukienkę. Gerard patrzył na swój z wahaniem.

– Co jest, stary? – zapytał chłopak. – Wstydzisz się? My musieliśmy dla ciebie rozebrać się do naga, a ty nawet klaty nie chcesz pokazać?

Gerard rzucił mu dziwne spojrzenie i zaczął rozpinać koszulę.

– Aua – mruknął Maciek, widząc jego posiniaczone żebra. – Co ci się stało?

– Mały wypadek na motorze.

– Szukaliśmy takiego z napisem „Sadysta”, ale nie było. – Barman rozlał im

do kieliszków resztę wina.

Gerard się roześmiał, ale Anka zauważyła, że drgnęła mu brew i bezwiednie przesunął palec po bliźnie na twarzy. Nabrał takiego odruchu, kiedy był zdenerwowany. Pomyślała, że musi z nimi porozmawiać, żeby darowali sobie takie dowcipy. Szczególnie teraz, kiedy Gerard dopiero zaczął wychodzić na prostą po depresyjnym epizodzie, którym przypłacił proces mordercy Miśki Smolorz.

– Ciekawe obrażenia jak na wypadek na motorze – zauważył półgłosem Maciek i otaksował Gerarda wzrokiem lekarza, przysiadając się do niego na kanapie.

– Ani słowa Ance. Będzie się wściekać.

– Będzie się na ciebie wściekać dlatego, że ktoś cię skopał? – zdziwił się chłopak.

– Nie. Nie na mnie. Po prostu będzie się wściekać. – Gerard potarł czoło.

– A nie wściekała się, że miałeś wypadek na motorze?

– Wściekała.

– To ja już nic nie rozumiem.

– Ja też nie – westchnął Gerard.

Maciek pokręcił głową i wyciągnął komórkę.

– Fantastycznie razem wyglądacie w tych koszulkach. Hej, pani doktor – pomachał do Anki, która stała przed swoim zdjęciem, marszcząc czoło – chodź, to zrobię wam fotkę na fejsika.

– Dzięki, ale to nie jest najlepszy pomysł – rzuciła przepraszająco. – Nie afiszujemy się ze swoim związkim, zwłaszcza na Facebooku.

Gerard się nie odezwał, ale pomyślał, że jest różnica między nieafiszowaniem się a nieprzyznawaniem. Ostatnio zadał sobie pytanie, dlaczego nie zna nikogo z jej kolegów i koleżanek z uczelni. Dlaczego, gdy pojechali w góry, nocowali w pensjonacie w Bukowinie, a nie u jej kuzynki w Murzasichlu, o której tyle mu opowiadała. Dlaczego tak się spięła, gdy kiedyś zamiast czekać na nią z motorem na parkingu przed kampusem, wszedł do środka, bo lało. Przecież w Krakowie nikt go nie zna. Nikt nie wie, co z niego za kawał zбочzonego skurwysyna. Tutaj mogła się wstydzić co najwyżej gówniarza z pociętym ryjem.

Anka zerknęła na niego ukradkiem – wiedziała, że więcej dowie się ze spojrzeń, z oszczędnej mimiki i mowy ciała niż z jego słów. Ciągłe uczyła się go jak obcego języka, ale zorientowała się, że zabolalo. Zrobiło jej się głupio, więc podeszła do niego, stanęła za kanapą i zarzuciła mu od tyłu ręce na szyję.

– Świetny byłeś dzisiaj, wiesz? – wyszeptała mu do ucha.

Tego wieczoru z ulgą patrzyła, jak z dalekiej podróży do wewnątrz wraca dawny Gert – bezczelny, szalony dzieciak, który wyrwał ją kiedyś SMS-em. Jak śmieje się głośno, rozmawia z ludźmi i nie szczędzi jej bezceremonialnych czułości. Może to była zasługa wystawy, pierwszej rzeczy od dawna, która

sprawiła mu radość, a może słabych leków antydepresyjnych, na które Gerard zdecydował się po konsultacji z psychiatrą.

Zbyt późno dostrzegła ten błysk w oku, niewidziany już od dłuższego czasu. Gerard wyciągnął ręce, złapał ją za ramiona i przeleciała przez oparcie kanapy, z sukienką zarzuconą na plecy lądując mu na kolanach. Sto pociech i siedem nieszczęść, chociaż może proporcje są dokładnie odwrotne, pomyślała, próbując odzyskać pion i nie stracić resztek godności.

Bastian wytoczył się z knajpy. Zmrużył oczy od dziennego światła. Stracił rachubę, ile szotów wypił, ile lasek próbowało wyciągnąć go na parkiet, ile razy musiał opowiadać, jak pewnego poranka na ostrym kacu odebrał telefon od naczelnego „Horyzontu”. I jak kilka godzin później, pachnący i odprasowany, siedział w jego gabinecie i podpisywał umowę o pracę na czas nieokreślony, za to od zaraz.

W głowie mu szumiało. Może niepotrzebnie pomieszał wino z szotami we wszystkich kolorach tęczy. Może niepotrzebnie spławił Wiołkę, tę małą, co przyszła z ludźmi z „Flesza”, i jeszcze tę przy barze, co pamiętała go z telewizji. Ale te puste buźki, szczerzące się do niego na imprezach, w lanczowniach i burgerowniach, na klimatyzowanych korytarzach i w windach, nie budziły już w nim emocji. A przynajmniej nie takich, jak wspomnienie czerwonej wersalki. Co za ironia, że teraz, kiedy mógłby mieć wszystko, a przynajmniej wszystkie, sam nie wiedział, czego chce.

Powlókł się plantami na tramwaj. W kiosku kupił „Horyzont” i klapnął na ławkę, wybierając najmniej opaskudzoną przez gołębie. Znalazł swój artykuł i zaczął czytać. Cholera, naczelnym miał rację, jak zwykle. Jego tekst skrócony i zredagowany był o niebo lepszy. Był genialny. Zamknął gazetę i przez chwilę rozkoszował się tą myślą.

A potem znowu poczuł żądło irytacji wbijające mu się w brzuch. Wciąż nie miał pojęcia, co teraz napisać, ale wiedział, że daleko nie zajędzie na tym, na czym jechał od początku. Mógłby wydusić z siebie wyciskacz łez o niepełnosprawnych dzieciach. Polityczną filipikę o Trybunale Konstytucyjnym. Mógłby włożyć kamizelkę kuloodporną i pojechać do Donbasu. To na pewno spodobałoby się staremu. Tylko że na żadnym z tych tematów się nie znał. Żaden go nie interesował. I z żadnym z nich nawet Anka mu nie pomoże.

Nagle wyprostował się na ławce. Anka. Powiedziała coś ważnego. Mówiła coś o uchodźcach. Że są, chociaż ich nie ma.

Może trzeba to sprawdzić. Może on powinien to sprawdzić. On, Sebastian Strzygoń, znowu na tropie.



ROZDZIAŁ 2

Bastian zaklął i zwlókł się z łóżka. Na początku wyobrażał sobie, że przy barze, przy którym właśnie pił poranną kawę, przeglądając pocztę i newsy, będzie serwował kolegom z medialnego olimpu drinki z palemką, a w olbrzymim łóżku w sypialni będą czasem nocować koleżanki. Nic z tych rzeczy. Pobudka o siódmej, po ósmej był już w robocie. Potem w redakcji obóz pracy do wieczora, tak że na imprezy Bastian nie miał siły.

Wynajął to mieszkanie, bo spodobał mu się wystrój. Muranów, blok z lat pięćdziesiątych. Białe ściany świeżo po remoncie, na podłodze parkiet, w kuchni czerwona lodówka *à la* lata pięćdziesiąte, w salonie stolik z palety i adapter z czarną płytą Milesa Davisa. Zatrzymał wzrok na zdjęciu Anki, jedynym autentycznym przedmiocie w tym wnętrzu. Bo przecież lodówka była nowa. Stolika nie zrobiono z palety, tylko tak wyglądał. Poza tym co Bastian mógł mieć wspólnego ze stylem eko? Przecież tylko segregował śmieci. Płyta Milesa Davisa nigdy się nie kręciła, a on nie lubił jazzu. Cała ta dzielnica była atrapą wybudowaną zamiast czegoś innego. Ale odkąd powiesił to zdjęcie, nie czuł się już jak w pokoju hotelowym.

Na przystanku tramwajowym przesuwiał kciukiem po wyświetlaczu smartfona. Wyglądał jak każdy inny zapatrzony w świecący ekran korposzczur. Tyle że na fanpage'u, przez który sunął Bastian, wiły się litery arabskiego alfabetu.

Neutralne światło. Połacie białych kafelków w czarny rzucik, jak w łazience w bloku. Przy ścianach szafki, blaty i wieszaki, sprawiające, że przestronne wnętrza robiło się ciasne. Drzwi staroświeckiej windy, której nie wypadało nazywać towarową, z okrągłymi bakelitowymi uchwytami. Bordowe tuniki i przewiązane na nich białe fartuchy laborantów. Beznamiętne głosy, szcęk narzędzi o metalowe tace, chrobot ręcznej piły, stukanie chodaków, chrzęst rozdzielanych powłok, mlaskanie skóry ustępującej pod ostrzem.

Podkomisarz Janusz Głód zawsze czuł to samo. Nie od razu przyjmował do wiadomości, że te osoby są martwe. Umysł akceptował tę wersję dopiero na końcu.

W sali sekcyjnej krakowskiego Zakładu Medycyny Sądowej stały trzy stoły. Znajdujące się na nich ciała były już rozebrane, umyte i ułożone na plecach. Na pierwszym leżała drobna staruszka ze złamanym nosem i nienaturalnie przekrzywioną żuchwą. Na ostatnim mężczyzna z nadwagą i malinowej barwy plamami opadowymi, pozwalającymi podejrzewać zatrucie tlenkiem węgla.

Pośrodku, na zbyt dużym stalowym blacie, spoczywał nagi pięciolatek o pszenicznych włosach.

– Niech pan się nie opiera w tym miejscu. – Medyk sądowy podniósł na Głoda życzliwe spojrzenie. – Wieszamy tam ubrania. Nie nasze.

Podkomisarz odsunął się od wieszaków, starając się stać jak najbliżej środkowego stołu i jednocześnie jak najdalej od niego. Zwłoki widział nie raz. Ale sekcji unikał, jeśli tylko mógł.

W tym przypadku nie mógł.

Lekarz schylał się nad obojczykiem dziecka, lustrując skórę. Policjant zastanawiał się, czy choroba, na którą zmarł chłopiec, daje objawy zewnętrzne. I oddychał płytko, rozmyślając, czy może być jeszcze zaraźliwa.

Medyk sądowy robił nacięcia na sinoczerwonych plamach na brzuchu, potem na szyi chłopca. Głód zmarszczył nos i skurczył się w sobie. Nie patrzył, tylko kątem oka zarejestrował, że przy sąsiednim stole laborant wykonuje płynne, długie cięcie. Rozszedł się smród kału i kiszonki. Podkomisarz nie należał do wrażliwców. Ale nie umiał przejść do porządku dziennego nad pewną obecną wśród przykrych zapachów wonią: nieco spoconej i zbyt długo niemytej skóry. Przez odór rozkładu przebijała niepokojąca nuta życia.

Medyk przeprowadzał oględziny zewnętrzne chłopca. Mijała druga doba od szacowanego czasu zgonu, a nikt w okolicy nie zgłosił zaginięcia. Trzeba załatwić rekonstrukcję wyglądu przyżyciowego, rozważał Głód. Poprawiony cyfrowo portret zamieściłoby się w lokalnym dodatku „Krakowskiej”, w „Dzienniku” i w „Mieście”, w internecie, a nawet powiesiło w parafialnych gablotkach. Może ktoś go pozna.

– Panie Januszu, pan pozwoli. – Głos patologa wyrwał go z zamyślenia.

Głód starał się jak najmniej nachylać, jak najmniej patrzeć i jak najmniej oddychać.

– Pan tu spojrzy. O, tu.

Lekarz unosił głowę chłopca za podbródek, wskazując na jego szyję, gdzie pod cienką skórą biegły tętnice. Policjant z głośnym sapnięciem wypuścił powietrze z płuc.

– Czytałem w protokole oględzin, że technik sprawdził plamy opadowe, ale zanotowane było, że tylko na brzuchu – powiedział lekarz. – Założył, że to wszystko są plamy opadowe.

Przesunął dłonią nad skórą pokrytą sinoczerwonymi plamami krwi, która po śmierci, gdy nie pracuje już serce, opada pod wpływem grawitacji. Dziecko leżało na brzuchu, plamy zgromadziły się w całej przedniej części ciała. Zatrzymał się na wysokości szyi.

– Książkowe przeoczenie. Co on, spał, jak robił oględziny? – mruknął. – Mogliście od razu mieć rozeznanie, co się stało, byłby pan w śledztwie dwie doby

do przodu. W świeżych zwłokach plamy opadowe ustępują pod uciskiem, a takie jak te nie ustępują, bo są już częściowo utrwalone. Wtedy można było je łatwo rozpoznać. Teraz trzeba zrobić nacięcia. Niech pan patrzy: ze śladu na brzuchu po nacięciu sączy się krew. To plama opadowa. A ze śladów na szyi nie sączy się nic.

Teraz podkomisarz je dostrzegł. Ciągące się symetrycznie na całej długości drobnej szyi, owalne placki rozstawione na szerokość dłoni dorosłego człowieka.

– To nie są plamy opadowe, tylko sińce – wyszeptał Głód.

– Podbiegnięcia krwawe – poprawił go lekarz. – Część schowała się pod plamami opadowymi, pewnie dlatego technik je przeoczył. O, a przy tym widać lekkie zadrapanie od paznokcia. Niech się pan też przyjrzy twarzy dziecka – kontynuował. – Charakterystycznie opuchnięta, przekrwiona. I sprawdzimy jeszcze...

Palcem uniósł powiekę chłopca, delikatnie dotknął gałki ocznej i poruszył nią. Podkomisarz odruchowo zamrugał.

– Widzi pan? To podspojówkowe wybroczyny krwotoczne. Od ciśnienia w żyłach szyjnych.

Lekarz przeniósł uwagę na przedramiona i dłonie chłopca, przyglądając się jego paznokciom.

– Nic nie widzę – stwierdził. – Żadnych śladów walki, otarć naskórka, sińców na kończynach. Pobierzemy jeszcze pazurki.

Wielki jak zapaśnik laborant bez słowa sięgnął po nożyczki podobne do tych, których do manikiuru używała żona podkomisarza. Ujął drobną dłoń chłopca i ostrożnie zaczął obcinać mu paznokcie.

– Ale na oko nie zauważyłem, żeby coś pod nimi miał.

– Czyli malec się nie bronił, gdy ktoś go dusił – wywnioskował Głód.

Bastian poprosił o kawę. Barman popatrzył na niego, jakby klient zamówił przynajmniej *confit* z kaczki, i nasypał neski na dno plastikowego kubka. Zasycał zaskorupiały czajnik.

– Odkamienia pan to czasem? – mruknął dziennikarz.

– Wapń i cenne minerały. – Facet uśmiechnął się krzywo. – Będziesz miał pan zdrowe kości.

Kolorowy neon z napisem „Las Vegas” zabarwiał brudną żaluzję to na zielono, to na czerwono. Dwóch dresiarzy grało bez entuzjazmu na jednoręcznych bandytach, z rezygnacją wrzucając drobne do maszyny. Śmierdziało przepoconymi podkoszulkami i wiśniowym wkładem do e-papierosa.

Siedzący w kącie mężczyzna skinął na niego. Bastian rozumiał, dlaczego powinni się umawiać w miejscach, gdzie nie bywają znajomi żadnego z nich, ale to była przesada.

– Dzień dobry, panie Łukaszu. – Bastian się uśmiechnął. Lubił myśleć, że to

nie jest prawdziwe imię jego rozmówcy. Nie wiedział, jaką właściwie instytucję reprezentuje mężczyzna. Bastian nawiązał kontakt z nim jako oficerem CBS. Nieważne, gdzie Łukasz teraz pracował, ważne, że miał dostęp do ciekawych kwitów. – Co tam słyhać w służbie Rzeczpospolitej?

– Ciszej – syknął tamten i głębiej wcisnął się w ką.

– Przepraszam. – Bastian usiadł i łyknął kawy. Coś zachrząściło mu w zębach. – Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać. Wiem, że ostatnio narozrabiałem. Miał pan prawo być zły.

Mężczyzna patrzył na niego spod półprzymkniętych powiek, co parę sekund rzucając czujne spojrzenia na wejście, barmana i siedzących przy maszynach graczy.

– Nie, skąd. Dobrze się stało. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Ktoś wrzucił granat do szamba, mleko, żeby nie powiedziec gównu, się rozlało i już nie można było udawać, że nie ma problemu. Paru oszołomów z podejrzanymi powiązaniem zostało skompromitowanych, Ruskim spalił się jeden kanał, a nasz MON może się na przyszłość zastanowi, czy chce robić wojsko z chłopców wielbiących azjatyckie symbole szczęścia.

Kiedy Bastian pisał artykuł o łysych, którzy zorganizowali sobie w obwodzie kaliningradzkim obóz survivalowy ze strzelaniem z AK-47 i hajlowaniem przy ognisku, był przekonany, że rozgrywa mistrzowski gambit dzięki wyciągniętych spod ziemi informacjom. Łysi wystawili się sami, bo pochwalili się zdjęciami na Facebooku. Ale bombę pomógł mu odpalić Łukasz, który dostarczył dowodów, że sponsorem wycieczki była mętna fundacja powiązana z ministerstwem spraw wewnętrznych Federacji Rosyjskiej. Bastian sądził, że Łukasz robi to z awersji do łysych. Teraz usłyszał między wierszami, że chodziło o nacisk na resort obrony. Nie przypuszczał, że to jego ktoś może rozgrywać, aby jeden organ państwa pokazał jego ręką środkowy palec drugiemu organowi.

Poczuł wściekłość. Ale zaraz pomyślał, że może dobrze się zdarzyło. Facet ma u niego dług, więc będzie współpracował.

– To o czym chciał pan ze mną dzisiaj porozmawiać? – zapytał mężczyzna.

– Uchodźcy – odpowiedział Bastian i oparł łokcie na stoliku. Obserwował reakcję swojego rozmówcy.

– Co uchodźcy? – Tamtemu nawet nie drgnęła brew.

– Czy w Polsce są uchodźcy z Syrii?

– A widział ich pan na ulicach? – Facet mówił monotonnym, ginącym w szumie tła głosem, aż Bastian musiał się do niego nachylać.

– Nie.

– No to odpowiedział pan sobie na pytanie.

– Ha, ha. Bardzo śmieszne. – Bastian się skrzywił i zaczął się podnosić z miejsca. – Następnym razem, jak będzie pan potrzebował wyserwisować

szambo, to proszę nie dzwonić do mnie.

– Czekaj – warknął mężczyzna i złapał go za rękę. Bastian syknął z bólu. – Siadaj pan i nie rób pan scen.

Dziennikarz grzecznie usiadł.

– W Polsce nie ma mechanizmów prawnych, woli politycznej ani tym bardziej woli suwerena, które by umożliwiły masowe przyjmowanie uchodźców. Dostać azyl jest bardzo trudno. Instytucje i procedury służą głównie temu, żeby azylantów zniechęcać. Nikt ich tu nie chce: ani państwo, ani ludzie. Po co uchodźcy mieliby tu przyjeżdżać, nawet nielegalnie? Nie mają w Polsce punktu zaczepienia, bo nie ma tu społeczności muzułmańskiej, nie mogliby się też rozplątać w wielokulturowej masie. Nie ma dla nich pomocy społecznej, mechanizmów integracji. Nie ma dla nich pracy ani perspektyw. Nie wiem, co musiałoby się wydarzyć w Europie – wojna, stan wyjątkowy, zamieszki, pogromy – żeby sami z siebie wybrali Polskę. Wystarczy?

– A przejazdem?

– Nie wykluczamy tego.

Bastian wiedział, co to znaczy w języku niedopowiedzeń, którym posługiwali się tacy jak jego rozmówca.

– Jak? – zapytał.

– Dzisiaj znacznie trudniej dostać się do Europy niż jeszcze pół roku temu – szeptał dalej mężczyzna. – Szlak bałkański przestał istnieć, Węgry zamknęły granicę, ludzie są odsyłani do Turcji. Szukają sobie nowych tras. Przez Chorwację i Słowenię. Albo przez Rumunię, Słowację, Ukrainę, do Niemiec, Francji i na północ. Nie wykluczamy, że są grupy, które przez Polskę próbują dostać się do Skandynawii.

– A nie wykluczacie którejdy dokładnie? – Bastian pochylił się, żeby lepiej słyszeć.

Mężczyzna rzucił mu tylko złe spojrzenie.

– Kto się tym zajmuje? – Bastian zmrużył oczy. – Sami się przecież nie szmuglują.

Tamten dalej jakby nie słyszał, tylko błędził wzrokiem po ścianach.

– Dobra, a w drugą stronę? – Dziennikarz nie dawał za wygraną.

– Z ziemi polskiej na dżihad? – Łukasz wreszcie na niego popatrzył. Bastian skinął głową. – Tego też nie wykluczamy.

Zapadła cisza. Szumiał wiatrak rozklekotanego wentylatora, barman sennie przeglądał „Flesz”. Bastian myślał intensywnie.

– Czyli mamy w Polsce terrorystów? Tak, wiem, nie wykluczacie tego – rzucił, widząc wyraz twarzy swojego rozmówcy. – Jak duże jest zagrożenie? A co ze Światowymi Dniami Młodzieży?

– Strzygoń – tamten nachylił się jeszcze niżej – tu chodzi o bezpieczeństwo

narodowe, którego nie będę narażał dla pańskiej kariery. Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, i to *off the record*, to ja się bardziej boję polskiego Breivika albo ruskiej prowokacji niż islamskich terrorystów.

Mężczyzna wstał, zgrzytnęło krzesło.

– Ja nie chcę niczego demaskować. – Bastian uspokajająco podniósł rękę. – Chcę tylko dotrzeć do uchodźców, którzy przebywają już w Polsce, żeby zrobić społeczny materiał, nie żadne śledcze fajerwerki.

– To czemu przychodzi pan do mnie, a nie do jakiejś fundacji, która ich tu ściąga w ilościach homeopatycznych?

Bastian milczał. Nie wyszło mu to zagraianie.

– Miałem nadzieję, że dowiem się od pana czegoś, o czym nie wszyscy jeszcze wiedzą – burknął.

– No to jak pan znajdzie tych mitycznych uchodźców, to proszę dać mi znać.

– Łukasz wcisnął na głowę czapkę z daszkiem. – Chętnie z nimi rozmawiam, z czystej ciekawości.

Mężczyzna oddalił się sprężystym krokiem. Bastian nie dowiedział się wiele, ale sposób, w jaki Łukasz, kimkolwiek jest, z nim rozmawiał, potwierdził jego przypuszczenia.

Wypił łyk kawy, wypluł coś w chusteczkę i wyszedł.

Brzęki. Chrobot. Chrzęsty. Spokojne głosy.

Podkomisarz patrzył na nóż, który mógłby pochodzić z domowej kuchni, sunący przez blond czuprynkę, a potem wzdłuż wystającego mostka i zapadniętego brzucha. Myślał o tym, że wszystko się zmieniło. Nie będzie to sprawa z artykułu 160 paragraf 2 Kodeksu karnego o narażenie dziecka na niebezpieczeństwo, z artykułu 210 paragraf 2 o porzucenie dziecka skutkujące jego śmiercią ani z artykułu 162 paragraf 1 o nieudzielenie pomocy.

To był artykuł 148. „Kto zabija człowieka...”

– Żołądek obkurczony i pusty – mruzczał medyk. – Całkowity brak treści pokarmowej w jelitach. Mocz? – zwrócił się do współpracownika.

– Zero – odparł laborant, odkładając kuchenną chochelkę, która służyła tu do mierzenia zawartości pęcherza.

Lekarz uszczypnął skórę na ramieniu dziecka. Gdy puścił, fałd skóry utrzymywał się jeszcze przez chwilę.

– Odwodniony – stwierdził. – Zobaczmy jeszcze oczy.

Laborant sięgnął po dwie duże pęsety. Głód odwrócił wzrok.

– Gałki oczne zapadnięte – usłyszał. – Czyli bardzo odwodniony.

Maluch został uduszony i się nie bronił, rozmyślał Głód. Był chudy, wycieńczony, głodny, odwodniony i chory. Dziecko znaleziono przy cygańskim koczowisku, ale było białe. Nasze.

Dodawał sobie dwa do dwóch. To nie były trudne rachunki.

– Wylewy krwawe w mięśniach szyjnych – oznajmił medyk. – Złamanie rogu chrząstki tarczowatej. Złamanie kości gnykowej, ciężkie.

Podkomisarz Janusz Głód pozwolił płynąć przypuszczeniom: dziecko przetrzymywane w tym syfie. Rozchorowało się, każdy normalny człowiek by się tam pochorował. Ktoś się wystraszył, że się wyda, gdy trzeba będzie wezwać pogotowie. I załatwił malca. A wycieńczone dziecko nawet nie stawiało oporu.

Tylko czemu morderca porzucił zwłoki tuż przy koczowisku? Ktoś go spłoszył? Więc może ktoś coś widział?

Nad ciałkiem schylał się teraz olbrzym w białym fartuchu, w skupieniu zszywając korpus. Pracował igłą dłuższą niż palec wskazujący dziecka. Snuł gruby ścieg od szyi po podbrzusze. Policjantowi przypomniła się podobnie zszyta pieczeń z szynki wieprzowej, którą na święta przygotowywała jego żona. Grdyka drgnęła mu mocno.

Lekarz z trzaskiem ściągnął rękawiczki. Dopiero teraz Głód zauważył, jak rysy doktora się pogłębiły.

– W mojej ocenie – powiedział sucho medyk – bezpośrednią przyczyną śmierci było uduszenie gwałtowne przez zadławienie rękami. Uszkodzenia chrząstek krtani mogą sugerować nadmierne użycie siły. Tak się dzieje, kiedy zabójcy działają pod wpływem emocji. Spieszą się. Lub boją. Pobraliśmy paznokcie i wymazy ze skóry. Może hemogenetyce uda się znaleźć materiał od sprawcy. Ważne, co laboratorium powie o jego ubraniu. Mogą być tam mikroślady, włosy.

– Jasne – niemal niesłyszalnie potwierdził Głód.

– Przykre. Cholera. – Ton głosu lekarza sądowego się zmienił. – Macie jakąś wersję śledczą?

Podkomisarz kiwnął głową. Szybko wyszedł na korytarz, żeby uniknąć podawania medykowi ręki.

Zbiegł po schodach i przez majestatyczny hol wyszedł na ulicę Grzegórzecką. Wyszarpnął z kieszeni jednocześnie komórkę i e-papierosa. Zawahał się przez chwilę, co jest czym. Wreszcie w kłębach zawieszony z pary i chińskich chemikaliów wybrał numer.

– Panie prokuratorze, to bardzo pilne.

Nad Mordorem zmierzchało, niskie słońce zaglądało do *open space'u* redakcji „Horyzontu”. W pomieszczeniu było pusto, tylko przyszczaty wydawca serwisu dręczył palcem rolkę myszki, a hucząca niczym kombajn drukarka świadczyła o tym, że siwy grubas z kultury znów próbuje wydrukować sobie internet.

Bastian intensywnie klikał, scrollował, kopiował i wklejał. Marszczył czoło i mamrotał do siebie, składając słowa. Starał się odnaleźć sens w tym, co miał przed oczami.

– Co, Bastian, uczymy się czytać?

Podniósł głowę i spojrzał na przyglądającą mu się Jadwigę Rajchert.

– To się przydaje w pracy w gazecie. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Może potem nauczysz się pisać.

– O, Jadzia, ty jesteś taka mądra. – Zrobił słodkie oczy. – Ty wszystko wiesz. Przetłumaczysz mi z arabskiego? Bo Google Translate się nie wyrabia.

– Co ty właściwie robisz, Bastian? – zapytała. Ciekawość wygrała i Rajchert, udając, że się nie spieszy, podeszła do niego i zajrzała mu przez ramię. Zobaczyła witrynę zapisaną arabskim alfabetem. – Uważaj, żeby nam przez ciebie ABW nie weszło z orkiestrą. Nie wiesz, ilu ludziom w tym kraju się marzy, żeby nam tu urządzić powtórkę z „Wprostu”.

– Monitoruję fora dla uchodźców. Wiesz, ile tego jest w internecie? Profile facebookowe, gdzie jest opisane krok po kroku, jak się dostać do Europy, gdzie się zatrzymywać, w których krajach służby są be, a w których cacy, jak nawiązać kontakt z przemytnikami, co ze sobą zabrać i tak dalej. Nawet aplikację na komórki mają. Prawdziwy Trip Advisor.

– Uważaj, co mówisz, to są ludzkie dramaty. – Jadzia się wyprostowała.

– No więc próbuję się dowiedzieć – puścił jej uwagę mimo uszu – czy jest tu cokolwiek na temat Polski. I coś tam niby jest, ale z Google Translate wychodzi mi jakiś bełkot. Nic z tego nie rozumiem. Czy to znaczy, że jest jakaś droga, ale jej nie polecają, czy że nie polecają, bo nie ma drogi? Serio, znasz kogoś, kto mówi po arabsku?

– Uganiaasz się za duchem. – Jadzia pokręciła głową. – A w kraju dzieją się poważne rzeczy.

Urwała, bo jej smartfon zabrzmiał krótkim gongiem. Spojrzała na ekran. I aż przysiadła na krawędzi biurka.

– Co, dostałaś Grand Pressa? – parsknął Bastian, przyglądając się z zaciekawieniem to ściągniętej twarzy publicystki, to całkiem atrakcyjnej krągłości na blacie przed sobą.

– Rzecznik prokuratury w Sączu – odparła, nie odrywając oczu od ekranu. – Chłopiec spod osady romskiej. „W wyniku sekcji... ustalono przyczynę...” – czytała półgłosem. – „Przez uduszenie”. Jezus Maria. „Policja na polecenie prokuratury dokonuje ustaleń w ramach wszystkich wersji śledczych... Jednak niezbędne będą dalsze czynności w obrębie siedliska, zmierzające... Miejscowość i jej mieszkańcy... znani dobrze policji z wielu interwencji i konfliktów z prawem... Narastające konflikty społeczne i zatargi...” Mój Boże! – krzyknęła nagle. – Ty wiesz, co to znaczy?

– Dla mnie brzmi jak urzędniczy bełkot – przyznał.

– „Czynności w obrębie siedliska”! Dziennikarz śledczy, a nie łapie takich niuansów?! Mają zbrodnię i automatycznie podejrzewają Cyganów! Romów! –

poprawiła się. – Sukinsyństwo! Co się dzieje z tym krajem?

Z impetem usiadła przy swoim biurku i poderwała klapę laptopa. Bastian słuchał, jak dziennikarka mamrocze pod nosem:

– *Najwyraźniej mało było po tragedii w Kamieniu internetowego hejtu... nie, lepiej: bluzgu, który nienawistnicy... albo czekaj: hejterzy wylali na Romów. Wyzywanie od brudasów roznoszących zarazę, wyzwiska znane z języka okupacyjnych periodyków... Bastian, jak się nazywały... A, już wiem. Z języka okupacyjnych gadzinówek, natychmiastowe oskarżenia romskiej społeczności o przyczynienie się... mimo że brak jakichkolwiek dowodów, by...*

Zerknęła na zapatrzzonego w nią Strzygonia.

– *Teraz do seansu nienawiści postanowiły przystąpić policja i prokuratura, której lapidarny komunikat zdradza złowieszczy zamiar. Czy odważą się...* – Coraz mocniej uderzała palcami w klawisze.

– Mała, jest sprawa. – Ance nie spodobał się ton jego głosu. – Nie dam rady przyjechać na ten weekend.

Zmarszczyła czoło i zamknęła drzwi gabinetu.

– Zadali nam projekt do zrobienia na następne zajęcia. Pewnie będę nad tym siedzieć cały tydzień. Nie wiem, czy się wyrobię. – Oddychał płytko, słyszała jego kroki.

– A nie możecie zrobić tego projektu w grupach? Podzielić się robotą? – Usłyszała, jak Gerard zakrztusił się dymem. – Przyjeźdź, chociaż na chwilę. Możesz popracować u mnie, a wieczorem gdzieś wyskoczmy.

– Będę potrzebować mocnego komputera i dużo czasu. To nie jakaś socjologia, do której można się pouczyć na wieczór przed egzaminem i zdać. To jest w ciul roboty.

– Co ty powiedziałeś? – wysyczała do słuchawki.

– Głupio palnąłem, zapomnij. Przepraszam.

– O, nie musisz za nic przeproszać – wycedziła. – Powiedziałeś, co myślisz.

– Wcale tak nie myślę. Powiedziałem tak, bo jestem wściekły. Ktoś zajmował nam weekend.

– I, jak to sadysta, postanowiłeś wyżyć się na mnie? – Po drugiej stronie Gerard zaciągnął się nerwowo. – Masz prawo tak myśleć, nie musisz się tłumaczyć. Tak samo jak masz prawo spędzać czas tak, jak chcesz. Nie musisz przyjeżdżać. Możesz się włóczyć, gdzie chcesz i z kim chcesz – rzuciła odrobinę zbyt głośno i ugryzła się w język. Na korytarzu siedzieli studenci, słyszała ich śmiechy. Ciekawe, czy oni słyszą ich rozmowę.

– Nigdzie nie będę się włóczył, tylko kwitł przed kompem. Jak chcesz, to włączę kamerkę, żebyś mogła sprawdzić w każdej chwili.

– Jeszcze tego brakowało, żebyś musiała cię sprawdzać. – Anka wyduła wargi. – Mówiłam ci na początku, że jeżeli masz jakieś potrzeby, których nie

jestem w stanie zaspokoić, to możemy uznać nasz związek za otwarty. Powiedziałeś wtedy, że nie, więc mam prawo oczekiwać, że nie będziesz mnie okłamywał.

– Anka, wystarczy – przerwał jej Gerard. – Nie wiem, jak ta rozmowa zawędrowała w takie rejony. A może ty przyjedziesz do mnie? – zaproponował nagle. – Mama się ucieszy, że ma dla kogo gotować. Weźmiesz sobie coś do czytania, ja będę orał projekt, a w przerwach możemy gdzieś wyskoczyć.

– Nie wiem. – Zawahała się. – Zobaczę. Też mam dużo pracy.

– To się zastanów i daj znać.

Rozłączył się. Anka wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że architektura to trudne studia, ale zdenerwował ją. I odgryzła się mocniej, niż chciała. A w imię czego miałyby zrobić mu na złość i nie pojechać do Gliwic? Przecież lubiła tam jeździć. Posiedzieć z książką w ogrodzie, wyrwać się na jakieś odludzie i porobić zdjęcia, zjeść kolację z jego rodzicami. Złapała się ostatnio na tym, że odkąd przełamała poczucie dysonansu pokoleniowego, czuje się z jego rodzicami swobodniej niż z własnymi. Sama nie miała odwagi przedstawić Gerta rodzinie. Przecież jej ojciec mógłby być jego dziadkiem.

Telefon na biurku zaczął wibrować. Mimo swojego uporu po takich spięciach to on zawsze dzwonił pierwszy. Odebrała, nie patrząc na wyświetlacz.

– Hej, młody, bez sensu wyszła ta rozmowa – powiedziała, zła na siebie, że znowu słowo „przepraszam” nie przeszło jej przez usta. – Niepotrzebnie pojechałam ci od sadysty i wyskoczyłam z otwartym związkiem. Przyjadę na weekend, jeśli twoi rodzice nie mają nic przeciwko temu.

Po drugiej stronie rozległo się chrząknięcie.

– Pani doktor Anna Serafin? – zapytał głos. – Tu Komenda Wojewódzka Policji. Potrzebujemy pani pomocy.

Sylwia zamknęła za sobą drzwi, zrzuciła buty na ciężkiej podszwie i ściągnęła śmierdzące skarpetki. Pociągnęła plecak za szelkę do sypialni. Zdjęła bluzę i przepocony podkoszulek. Spostrzegła się, że stoi w samym staniku na wprost pozbawionego firanki okna, kiedy zaczęło do niej machać dwóch chłopaków z balkonu bloku stojącego naprzeciwko. Wystawiła środkowy palec i zasunęła roletę. Dopiero wtedy się odwróciła, zza paska dżinsów wyciągnęła broń i schowała do nocnej szafki.

Stała pod prysznicem, patrząc, jak woda zmywa karpacki pył z jej oliwkowej skóry. Przebrała się w czyste majtki i zbyt duży męski podkoszulek, pamiątkę po jakimś facecie, którego twarzy nie mogła sobie przypomnieć. W kuchennych szafkach znalazła paczkę krakersów, z plecaka wyjęła pół czekolady Studenckiej, puszkę złatego bażanta i rozłożyła się na kanapie.

Próbowała oglądać jakiś film, ale po kilku scenach zorientowała się, że nie wie, co ogląda. Przełączyła na TVN24 i przez chwilę słuchała newsów z kraju.

Gadające głowy, czy raczej ujadające łby, znudziły ją tak, że prawie zasnęła. Zmieniła kanał na CNN i obejrzała materiał o zamachu w Bagdadzie i postępach Kurdów walczących z Państwem Islamskim. Kiedy na ekranie pojawił się Donald Trump, przełączyła z powrotem na TVN. Pięćset plus, marsz KOD-u, ustawa aborcyjna – szybko miała dosyć i wróciła na Al-Dżazirę. Spadające ceny ropy naftowej wywołały dyskusję, czy agencja Moody's obniży Sauidom rating. W Afryce jak zwykle działo się najgorzej: Boko Haram w Nigerii, ebola, wojna w Libii, a w Egipcie zamach, o którym nikt tutaj nie słyszał, bo wśród ofiar nie było Polaków. Dojadła krakersy, dopiła piwo i położyła się do łóżka.

Coraz bardziej zła, patrzyła w sufit. Przez kilka ostatnich dni marzyła o tym, żeby zwinąć się w kłębek we własnym łóżku i wyspać się do południa. A teraz, kiedy wreszcie mogła to zrobić, adrenalina nie pozwalała jej zasnąć. W całym ciele ciągle czuła skurcz mięśni gotowych do walki i ucieczki.

Wstała, włożyła krótką spódnicę i naciągnęła na gołe ciało obcisłą bluzkę z dekoltem. Przeczesała czarne włosy, pociągnęła usta szminką i wyszła z mieszkania. Musiała odreagować.

Kazimierz tętnił życiem, chociaż było już bardzo późno. W półmroku knajpy obrała kurs na bar. Leniwy beat, śmiechy, pobrzękiwanie szkła zabrzmiały obco.

Siedział przy barze, schylony nad szklanką. Wyglądał jak zagubiony *graphic designer*, *sales manager* albo *account executive* o dwa drinki za daleko od swojego kubika i *open space* 'u. Uśmiechnęła się do siebie. Nada się. Żeby tylko nie był zbyt pijany, by stanąć na wysokości zadania.

Podeszła i usiadła na krześle obok niego. Zamówiła drinka i zapłaciła zmiętymi, wilgotnymi banknotami, które zamokły jej podczas ulewy w Karpatach. Barman z koczkiem na czubku głowy wziął je z obrzydzeniem w dwa palce i wydał jej resztę. Chwyciła szklankę i wypiła duszkiem.

– Mogę? – zapytała, sięgając do miseczki z orzeszkami, która stała naprzeciwko faceta.

– Jasne – mruknął i obrzucił ją nieobecny spojrzeniem, zawieszając wzrok na jej sterczących pod bluzką sutkach.

Łapczywie zjadła garść orzeszków, potem jeszcze jedną. Sięgnęła po następną, widząc kątem oka, jak barman kiwa głową na ochroniarza. Musi działać szybko, zanim ją wyrzucą.

– Chcesz się pieprzyć? – Uśmiechnęła się do faceta. Miała nadzieję, że zachęcą ją.

Zapowietrzył się. Odsunął się od niej.

– Pozwalacie tu wchodzić cygańskim dziwkom? – rzucił do barmana. – Myślałem, że to porządna knajpa.

Ochroniarz otworzył drzwi, puścił jej ramię i popchnął ją w stronę ulicy. Świtało.

– Nie mam nic do ciapatych, ale to nie miejsce dla ciebie. – Zabrzmiało to prawie przepaszająco. Ochroniarz, grubo po czterdziestce, wyglądał jak emerytowany krawężnik, miał wystający brzuch i posiwiałe włosy. Chociaż była drobna i często brano ją za nastolatkę, mogłaby złamać mu rękę. – Tu chodzą się bawić porządni ludzie.

Uwieszony latarni chłopak puścił obfitego pawia i zaklął donośnie, wycierając usta dłonią.

– Nie jestem dziwką. – Poprawiła bluzkę i się wyprostowała.

– Jasne, a ja jestem agentem ABW. – Ochroniarz się skrzywił.

Patrzył za odchodzącą dziewczyną i zastanawiał się, co ją tak rozbawiło.



ROZDZIAŁ 3

Nie spała.

Słońce nie wyszło jeszcze nad kopy Beskidu Sądeckiego, nie przebiło się przez las, który nurzał się w ciągnącej znad rzeki mgłę. Wilgotny chłód snuł się przez nieszczelne okno i szpary w dachu, ale z chłodem była oswojona, to nie on ją obudził. Nie zbudziło jej też niemowlę śpiące nadzwyczaj spokojnie w spłowiałej gondolce wózka.

Nasłuchiwała. Za cienką, oblepioną kalendarzami i świętymi obrazkami ścianką trójka dzieci oddychała miarowo. W półmroku kształty dopiero zyskiwały kolory i kontury. Za oknem szemrał Dunajec, spały poranne ptaki, spali ludzie, nawet od drogi nie było słychać aut.

Ta cisza jest dziwna, pomyślała Regina. Może to ta cisza ją zbudziła.

Zegar z widokiem Lourdes wskazywał za kilka minut szóstą. Przetarła czerwone oczy. W nocy niemowlę budziło się z płaczem cztery razy, może to dlatego teraz tak grzecznie śpi, że zmęczone. A wcześniej troje starszych nie dawało jej spokoju. Już zasypiała na ich posłaniu, z niemowlęciem w objęciach, a one domagały się bajki. Tej o córce Króla Mgieł.

Więc opowiadała, jak dawno, dawno temu do Cyganów wraz z lodowatą zimą przysłała piękna dziewczyna o twarzy i rękach jak śnieg i włosach niczym złoto. Zakochał się w niej Cygan imieniem Korkoro, a ona wyszła za niego. I wtedy stało się coś magicznego: jej biała, zziębnięta skóra zaróżowiła się, a włosy stały się złociste jak zboże.

– Rozgniewało to Króla Mgieł – mówiła z powagą Regina, patrząc na trzy główki wystające spod spłowiałej kołdry. – I gdy pewnego razu Korkoro musiał wyjechać kupić konie, Król Mgieł zesłał mgłę tak gęstą, tak nieprzeniknioną, że wydawało się, jakby noc nastąpiła w biały dzień. Biedny Korkoro nigdy nie wrócił do domu, zagubiony na drugim końcu świata. A Jasnowłosa z płaczem odeszła od Cyganów do pałacu swojego ojca. Jej skóra znów stała się biała jak mgła i zimna. Ale – uśmiechnęła się do maluchów Regina – wśród Cyganów zostały jej dzieci. Jasnowłose dzieci, które miała z Korkoro. I stąd – pogładziła je po czuprynach – wzięli się na ziemi jasnowłosi ludzie.

Teraz uśmiechnęła się do tej myśli, do tej bajki. Za rzeką ciężkim pomrukiem budziła się droga wojewódzka 969.

Z zamyślenia wyrwał ją szelest. Zobaczyła kontur drobnej sylwetki czterolatki, ledwie widocznej w mroku złamanym pierwszymi promieniami świtu.

Wiatr za oknem poruszył gałęzie, których cienie zafalowały wokół dziewczynki jak czyjeś ręce wyciągające się po dziecko.

– *Dej?* – Regina usłyszała jej głos. – To Król Mgieł wrócił?

Pomruk narastał. Podniosła się i przetała zaparowaną szybę. Z mgły wynurzał się szpaler czarnych postaci. Z drugiej strony osady, od leśnej drogi, majaczyły kołyszące się na resorach policyjne furgonetki.

Zerwała się. Błyskawicznie wepchnęła dziecko do izdebki za przepierzeniem, jakby chciała dziewczynkę zasłonić, schować przed światłem poranka.

Anka przysiadła na biurowym krześle i poprawiła spódnicę.

– Cieszę się, że wreszcie mam okazję panią poznać, pani doktor. – Sympatycznie wyglądający mężczyzna w mundurze krzątał się przy biurku. – Czytałem państwa książkę. Bardzo pouczające, nawet mówiłem moim ludziom, żeby przeczytali.

Anka się uśmiechnęła. Szkoda, że Bastian tego nie słyszy.

– Proszę, ciasteczka dla pani. – Mężczyzna wysypał na talerzyk delicje i włożył jedną do ust. – Może poranną kawkę?

– Dziękuję. – Anka pokręciła głową. – Wolalabym herbatę.

Drzwi się otworzyły, zrobiło się zamieszanie i sekretarka wniosła dwie kawy.

– Z mlekiem? – zapytał komendant.

– Nie, dziękuję – westchnęła Anka, zła na siebie, że nie upomniała się o herbatę.

– Tak, bardzo miło, że się wreszcie spotykamy. – Komendant dolał jej mleka do filiżanki. – Szkoda, że w takich okolicznościach.

Anka zastygła w skupieniu, obserwując, jak mężczyzna gładzi się po łysinie.

– Pewnie pani słyszała, pani Aniu – Anka się skrzywiła; znali się od piętnastu minut, a komendant już mówił do niej jak Gwizdałowski – o wydarzeniach w Kamieniu.

– Wiem z mediów – powiedziała. – Martwe dziecko znalezione nieopodal romskiej osady.

– Tak. I to było białe dziecko... – Zawiesił głos. – Ten chłopiec został zamordowany.

– A jakie to ma znaczenie, czy chłopiec był biały, czy nie? – rzuciła Anka oskarżycielsko.

– Niestety ma znaczenie. – Komendant rozłożył ręce. – Ma olbrzymie znaczenie, bo to już nie jest wewnętrzna sprawa społeczności romskiej w Kamieniu, ale sprawa między mieszkańcami, jak pani to ujęła, osady a ich sąsiadami. A te stosunki są już wystarczająco napięte. I jeszcze media: pani Rajchert już wylała na nas wiadro pomyj, a teraz dopiero się rozkręci. Do tego

pewnie dołączą zaraz Human Rights Watch, Fundacja Helsińska, Rzecznik Praw Obywatelskich i wszystkie fundacje równościowe, jakie ta ziemia nosi. A z drugiej strony już słyhać pogroźki ze środowisk skrajnej prawicy. Zaraz będziemy tu mieli kryzys.

Anka popatrzyła na niego uważnie.

– Tam wydarzyło się coś więcej? – zapytała.

– Uwaga, tu policja! – charczał megafon. – Wzywa się do zachowania spokoju i umożliwienia przeprowadzenia czynności! Wydaje się polecenie pozostania na miejscach i zachowania spokoju!

Spokój. Tego ranka w Kamieniu żadne słowo nie mogło wydawać się bardziej nieodpowiednie.

Na środku osady, w równych odstępach, ustawili się policjanci. Kamizelki taktyczne, ręce na biodrach, dłonie oparte o pałki tonfy, daszki czapek nasunięte nisko na oczy. Posiłki ściągnięte z całego powiatu.

Wzdłuż ścian domostw stanęli Romowie. W pospiesznie narzucanych ubraniach, pstrych dresach, wyciągniętych piżamach, niektórzy w bieliźnie. Chudzi, drobni, opuchnięci od snu. Dzieci płakały i chowały się w spódnice albo nocne koszule matek. Na twarzach mężczyzn malowała się zapiekła złość.

Podkomisarz Janusz Głód i umundurowany dowódca oddziału prewencji szli, czując, jak napięcie między tymi biegunami podnosi im włoski na przedramionach. Za nimi, patrząc w ziemię, podążali ubrani po cywilnemu policjanci z wydziału kryminalnego sądeckiej komendy miejskiej i technicy kryminalistyki taszcący swoje walizy.

Głód się zatrzymał. Pozostali również.

Z naprzeciwka, środkiem szpaleru, kroczył ku niemu wysoki, postawny mężczyzna. Policjanci prewencji odprowadzali go zaskoczonymi spojrzeniami. Głód poznał go po długich siwiejących włosach i twarzy jakby wyrzeźbionej grubym dłutem w dębinie. To był wójt. Zatrzymał się przed podkomisarzem, gdy najbliższy z policjantów już chciał zastąpić Romowi drogę.

Mieszkańcy Kamienia umilkli.

– Na podstawie postanowienia prokuratury w Nowym Sączu... – przemówił podkomisarz donośnym głosem. Podobała mu się cisza, która zapadła. – ...dokonamy przeszukania w każdej z waszych – zawiesił głos, szukając słowa – chałup. Utrudnianie postępowania będzie traktowane...

Ktoś się odezwał. Gdzieś z boku. W tym ich języku. Odpowiedziało mu kilka innych głosów. Głód zacisnął zęby. Tylko na twarzy wójta nie drgnął żaden mięsień.

– Poproszę o postanowienie prokuratury na piśmie – oświadczył głośno Rom.

– Prześlemy – wycedził Głód.

Znowu ktoś coś powiedział. Znowu ktoś się zaśmiał. Ten cholerny język jest podobny absolutnie do niczego, pomyślał podkomisarz.

– Janusz... – dobiegł go zza pleców cichy głos.

– Cisza! – warknął Głód w nieokreślonym kierunku. – Nie utrudniać postępowania – dodał spokojniej, zwracając się do wójta.

– Poproszę o postanowienie prokuratury na piśmie – powtórzył Rom. Znowu jakieś śmiechy. Zbyt blisko.

Podkomisarz poczuł, jak gdzieś w jego trzewiach coś się niebezpiecznie rozgrzewa. Gdy patrzył na postacie pod ścianami, na stojącego naprzeciw niego wójta, w tyle głowy błądziło mu niebezpieczne słowo: „karykatury”.

– Powiedziałem, że prześlemy – syknął. – Pismo. Literki na papierze. Poradzicie sobie państwo, prawda? Z czytaniem.

Wszystko wokół niego nagle zgęstniało. Twarz wójta znalazła się bliżej. Pośród Romów przeszedł syk, który brzmiał jak nóż wysuwający się z rękawa. Syk słów, których nie rozumiał, ale ich sens był jasny. Głód poczuł dreszcz.

Policjanci prewencji też to poczuli. Widać to było po napiętych mięśniach ich twarzy.

– Poza tym – dodał mężczyzna – właściciel domu ma prawo być obecny przy przeszukaniu i każdy z nas skorzysta z tego prawa.

– Jasne, Cygan – rzucił Głód, czując, jak puszcza mu hamulce. – Takiś uświadomiony obywatel? Weteran przeszukań, co? Ile razy policja wchodziła do ciebie po fanty?

Zaśmiał się. Wójt patrzył mu z bliska prosto w oczy.

– Właściciel domu ma prawo być obecny przy przeszukaniu – powtórzył głośno, żeby wszyscy go słyszeli. – I każdy z nas skorzysta z tego prawa.

– Właściciel? – krzyknął podkomisarz. Założył ręce na plecach. – A wy tu jesteście na tym koczowisku, na tej samowolce budowlanej, kurwa, właściciele?

Wójt nawet się nie skrzywił.

– Właściciel domu ma prawo być obecny przy przeszukaniu – powiedział jeszcze głośniej.

– Pod ścianę! – wrzasnął mu prosto w twarz Głód. Wójt dalej stał tuż przed nim. Wzdłuż grupy Romów przeszedł szmer.

Znajdujący się za Głodem młody policjant w dżinsowej kurtce powiedział coś półgłosem. Podkomisarz odwarknął mu przez ramię.

– Ale żeby się do nas potem żadni obrońcy praw wszelakich nie przypierdalali, zrobimy tak – zdecydował. – Ty, Cygan, jesteś tu, zdaje się, jakaś szychy? To będziesz reprezentował przy przeszukianiach tych – podniósł wzrok na zgromadzonych pod ścianami – właścicieli.

Wójt wygłosił kilka niezrozumiałych słów. Zgodny pomruk odpowiedział mu spod ścian.

– I proszę o sporządzenie protokołów przeszukań – dodał Rom.

Głód zacisnął szczęki. Za plecami usłyszał kilka chrząknięć. Poczzerwieniał. Odwrócił się sztywno.

– Jak na odprawie – polecił półgłosem policjantom z kryminalnego i technikom. – Sprawdzajcie wszystko, co się wiąże z dziećmi. Zabieramy do analizy kocyki, miśki, ubranka mniej więcej na pięciolatka. Jakby któryś znalazł na czymś blond włos, to wołać od razu. Pytania?

Milczeli. Nikt nie patrzył mu w oczy.

– To jazda. I wszy mi nie złapać.

– Proszę pozwolić mi skończyć. – Komendant sięgnął po ciasteczko. – Dochodzenie w takich warunkach to wędrówka przez pole minowe. Miejscowa policja świetnie zna teren, ale ma ze społecznością w Kamieniu na pieńku. Musimy uspokoić sytuację, żeby tam w ogóle dało się pracować.

Anka powoli pokiwała głową.

– Jaka jest moja rola?

– Trzeba pokazać, że mamy kogoś, kto ogarnia całe to multi-kulti.

– Czyli mam być waszym listkiem figowym? – Zmrużyła oczy.

– Źle się wyraziłem – zaproponował komendant. – Potrzebujemy konsultanta, kogoś, kto pokieruje miejscowymi, wskaże, jak mają rozmawiać z Romami, albo kto sam z nimi porozmawia. Pomoże do nich dotrzeć.

Anka po części wrywała się, żeby się zmierzyć z tym wyzwaniem. Spotkać prawdziwych Romów, a nie tylko czytać opracowania o nich. Spróbować pomóc. Trochę się bała, a nie było przy niej Bastiana, za którym nagle zatęskniła. W ich duecie to on docierał, ujawniał i demaskował z pierwszej linii frontu. Ona trzymała się z boku. Łączyła fakty, odkrywała drugie dno, interpretowała. Jak ma sobie poradzić bez niego?

– A oni w ogóle nie współpracują – ciągnął komendant. – Nie dociera do nich, że jeśli nie znajdziemy winnego śmierci tego chłopca, to dla sąsiadów winni będą oni wszyscy. Nie pozwalają sobie pomóc, są uparci, zupełnie jak dzieci.

– Orientalizuje pan – zauważyła Anka.

– Proszę? – zdziwił się komendant.

– Nieważne – mruknęła.

Zapadła cisza.

– To jak, pani Aniu, zgadza się pani? – Komendant zatarł ręce.

– Tak, chyba tak, to znaczy... – zaczęła.

– Świetnie! – Mężczyzna się ucieszył i uniosł ręce, jakby wyobrażał sobie nagłówek komunikatu prasowego komendy wojewódzkiej. – Pani doktor Anna Serafin z Uniwersytetu Jagiellońskiego, nasz ekspert kulturoznawca!

Anka nie lubiła słowa „kulturoznawstwo”, kojarzyło jej się z rankingami najmniej życiowych kierunków studiów, po których jedyna dostępna kariera to *call*

center albo emigracja.

– Teraz zapoznam panią z materiałem. – Komendant sięgnął po ciastko, otworzył teczkę i się zawahał. – Tylko uprzedzam, że tam są różne drastyczne zdjęcia i opisy...

– Nie szkodzi – powiedziała Anka, chociaż zbladła.

Zamieniła się w słuch, sącząc kawę, o której zapomniała, że jej nie smakuje. Obrazy z jakiejś innej rzeczywistości wirowały jej przed oczami. Zmuszała się, żeby na nie patrzeć, żeby słuchać monotonnego głosu komendanta, z którego wyparowała nagle cała jowialność i został jedynie suchy konkret. Brakowało tylko prezentacji w Power Poincie.

– Przysiółek Kamień zamieszkuje około stu pięćdziesięciu Romów. Z grupy – zajrzał do notatek – Bergitka Roma. Co to znaczy, pani pewnie wie lepiej ode mnie. Zasiedlili teren na prawym brzegu Dunajca, na granicy powiatów nowosądeckiego i nowotarskiego. Dostęp do przysiółka prowadzi przez kładkę. Na jego terenie postawiono trzydzieści pięć budynków stanowiących samowolę budowlaną. Mieszkańcy w większości nie wywiązują się z obowiązku meldunkowego, obowiązku rejestracji narodzin dzieci ani obowiązku szkolnego, chyba że są zmuszeni w celu pozyskania zasiłku. Są bezrobotni. Lokalny samorząd wielokrotnie zapewniał im pomoc w postaci kursów doskonalenia zawodowego i organizowania funduszy na remonty z rządowego programu integracji Romów w Polsce...

Odetchnął i spojrzał w papiery.

– Nasze siły są regularnie wzywane do interwencji przez lokalną społeczność, zatroskaną zwłaszcza paleniem śmieci. Mieszkańcy Kamienia trudnią się specyficzną utylizacją urządzeń elektronicznych poprzez wypalanie plastikowych elementów w celu odzyskania miedzi. Interwenujemy, ale nic się nie zmienia.

Odłożył zadrukowane urzędniczą nowomową kartki i spojrzał Ance w oczy.

– Tam toczy się, proszę pani, konflikt kulturowy.

Anka kiwnęła głową, przetrawiając ów eufemizm.

– I nagle – komendant zmienił styl – pojawia się martwe dziecko. Pięciolatek. Pierwsze podejrzenia wskazywały na zgon wskutek choroby układu pokarmowego. Chłopiec – wrócił do raportu – był odwodniony, zanieczyszczony fekaliami, miał pusty trakt pok... Był wygłodzony, jednym słowem. Chłopiec był biały, więc...

– ...więc nagle wszyscy się zainteresowali. – Uniosła się z krzesła. – A gdy się okazało, że dziecko zostało zamordowane, rzucacie wszystkie, jak pan to ujął, wasze siły na zwyczajowych podejrzanych. Bo przecież, jak wiadomo, Cyganie, przepraszam, Romowie to przestępczość i patologia, tak?

Komendant popatrzył na nią bacznie.

– Zwyczajowi podejrzani są tylko w filmach z Humphreym Bogartem – stwierdził. – A to wszystko nie wygląda tak prosto.

– A według mnie jestem potrzebna po to, żeby w razie czego policja wypadła lepiej przed mediami, Rzecznikiem Praw Obywatelskich i tymi fundacjami, których tak się pan obawia.

– Pani Aniu... – Komendant powstrzymał się od sięgnięcia po kolejną delicję i złożył ręce w piramidkę. – Nie ma pani być w tej sprawie ani adwokatem policji, ani Romów. Chcę, żeby była pani raczej adwokatem diabła. Kimś, kto jest w stanie patrzeć z innej perspektywy i zadać pytanie, czy racji nie ma druga strona. Nieważne, o którą stronę będzie chodziło.

Oboje zamilkli.

– Tam naprawdę dzieje się aż tak źle? – zapytała ciszej. – Konflikt kulturowy? – prychnęła. – Martwe dziecko, potworna sprawa, ale od razu Human Rights Watch? Fundacja Helsińska? Przecież chyba im tam nie będziecie urządać pacyfikacji?

Komendant wstał zza biurka. Spojrzał przelotnie na ekran smartfona i złożył ręce na plecach, wyglądając przez okno na urbanistyczny bałagan okolic ulicy Mogilskiej.

– Pani doktor, źle to się dopiero będzie działo.

*

– Uwaga! Wzywa się do zachowania spokoju i nieutrudniania czynności policji – powtarzał megafon. – Uprzedza się, że policja nie ponosi odpowiedzialności za skutki użycia przewidzianych środków przymusu bezpośredniego!

Głód obserwował spazmującą trzylatkę, która wrywała się rodzicom, gdy policjant wynosił z jej domu pluszową żyrafę zapakowaną w worek na dowody. Naprzeciwko kolejny z jego ludzi opędzał się przed trzema kobietami, na oko babką, matką i córką, próbując nie pozwolić sobie odebrać pakunku z dziecięcym sweterkiem.

Podkomisarz zaciągał się e-papierosem tak głęboko, jakby chciał wciągnąć parę w dwunastnicę, i starał się nie myśleć o tym, że patrzy na tragifarsę. Zawiesił wzrok na drobnej młodej kobiecie o czarnych, opadających na czoło włosach. Wyróżniała się w całym tym zamieszaniu. Tkwiła przy drzwiach leżącego nieco na uboczu domostwa, nieruchomo jak figura z kościelnego ołtarza. Tylko raz poruszyła głowę, uniosła podbródek, otworzyła ogromne, głęboko osadzone oczy i wbiła spojrzenie w niebo. Niemowlę na jej rękach kwiliło, dwoje kilkulatków tuliło się do jej nóg. Trwała tak bez ruchu, a podkomisarzowi zdało się, że kobieta jest osią, wokół której wiruje cały ten cyrk.

Skinął na Izę z kryminalnego.

– Wejdźcie teraz tam – powiedział półgłosem i wskazał kobietę wzrokiem.

Nie drgnęła nawet, gdy policjanci wchodzili przez antywłamaniowe drzwi, które do krzywej ściany z pustaków pasowały jak krawat do dresu. Szeroko otwarte oczy wciąż kierowała w niebo.

Może ona się modli? A czy oni w ogóle się modlą? W co oni wierzą? – przyszło do głowy Głodowi.

– Janusz – zagadnął go policjant w dżinsowej kurtce. – Powoli kończymy. Dwadzieścia dziewięć lokali zrobionych.

– I jak?

– Niespecjalnie. – Chłopak poprawił druciane okulary. – Materiałów do analizy mamy tyle, że komendant nie wypłaci się kryminalistyce za nadgodziny, ale nic konkretnego. Za to wystawiliśmy dziewięć mandatów za nielegalne przyłącza prądu, jeden za niebezpiecznie podłączoną butlę gazową. I ujawniliśmy kozę.

– Słucham? – wymamrotał Głód.

– Kozę. W chlewiku. Ma klips w uchu, a właściciel...

– Sławuś. – Podkomisarz popatrzył na niego czujnie. – Co ty mi pierdolisz o kozie w klipsach?

– Klips, taki weterynaryjny. – Powaga nie zniknęła z twarzy policjanta. – A właściciel chlewika nie miał na nią dokumentów, więc podjęliśmy czynności zmierzające do ustalenia, czy koza nie pochodzi z kradzieży.

Głód mocno ścisnął ramię policjanta.

– Ojczyzna wam tego nie zapomni, młodszy aspirant Sławomir Gaca na tropie kozy. Kozę żeśmy tu przyjechali łapać?! – ryknął. – A sprawdziliście, czy abonament RTV opłacają?

– O właśnie – dodał niezrażony aspirant. – Tefaueny przyjechały. Stoją za mostkiem i pytają, czy wpuścimy kamerę do osady.

Podkomisarz zaciągnął się, wypuścił parę nosem i powiedział to wreszcie na głos:

– Tragifarsa.

Wtedy dobiegł go skowyt. Nie, nie krzyk, skowyt. Gdzieś, z głębi jakiegoś wnętrza, krzyczało dziecko.

Odwrócił się. Krzyk dobiegał z domu, przed którym stała nieruchomo drobna Romka.

Która właśnie teraz zacisnęła powieki.

Otworzyły się drzwi. Pierwszy wyszedł mundurowy. Za nim Iza. Głód otworzył usta. Wszyscy, i policjanci, i Romowie, w tej chwili zamarli. W ciszy wibrował tylko płacz.

Płacz trzy-, może czteroletniej dziewczynki, którą policjantka z kryminalnego niosła na rękach. Drobnej, ubranej w czerwone rajtki i białą kurteczkę, dziewczynki o jasnych jak słoma loczkach cherubina.

– Święty Jezu. – Głód opuścił e-papierosa.

– O kurde – przytaknął mu aspirant.

Głód widział znad ramienia Izki, która z szarpiącym się dzieckiem na rękach szła właśnie ku niemu z pytaniem, co robić, jak drobna Romka wyrywa się ze stuporu. Jak oddaje niemowlę starszemu z dzieci. Jak rusza na nich.

– *Miro ciaworo!* – Jej krzyk wibrował w powietrzu. – *Miro ciaworooo!*

– Mamooo! – darła się dziewczynka, wyciągając rączki do Romki. – *Deej!*

Umundurowany towarzysz Izki skoczył ku młodej kobiecie. Ta była szybsza, stracił równowagę, próbując ją złapać. Wtedy między nią a Izką znalazł się Sławek. Romka wpadła na niego z impetem. Paznokcie dziewczyny rozcięły mu policzek. Okulary spadły w błoto.

– *Miro ciaworo!* – krzyczała. – *Odde mangie ciawores!*

Złapał ją za ramię, wykręcił jej rękę na plecy. Kobieta zgięła się wpół. Mundurowy szybkim chwytem założył blok. Trzymali ją z trudem.

– Regina! – Zza pleców policjantów rozległ się kobiecy krzyk.

Głód zobaczył, jak funkcjonariusze szarpią się z następną Romką. Za nią biegł dobrze zbudowany mężczyzna o długich włosach związanych w kucyk. Skoczył ku policjantom, wyrwał im dziewczynę i mocno pochylony do przodu, przebił się przez tyralierę. Biegł teraz prosto na nich.

Głód sięgnął pod połą kurtki. Do kabury. Jeśli będzie strzelanie, przemknęło mu przez myśl, wszystko się totalnie popieprzy.

Ale go dopadli. Barczysty funkcjonariusz prewencji rzutem przez plecy obalił mężczyznę na ziemię. Dwóch stanęło nad nim. Dwie pałki zakreśliły w powietrzu szerokie łuki i spadły na jego lędźwia. Długowłose ukrył głowę w ramionach. Trzeci policjant wymierzył mu kopniaka pod żebra, potem złapał go za przedramię, wykręcił i skuł.

– Zabieramy dziewczynkę – zakomenderował Głód. – Kobietę zatrzymujemy za napaść na policjanta. Będzie miała zarzuty o uprowadzenie dziecka. Ten... – skinął na podnoszonego z błota długowłosego, który posłał mu wściekłe spojrzenie – ...Winnetou też jedzie z nami.

Teraz krzyczeli już wszyscy.

– *Tu kareja!*

– *Te dol tut bule tro dad!*

– *Buledimen helade!*

Podkomisarz w najśmielszych snach nie spodziewał się takiego wyniku przeszukania w Kamieniu. Ruszył w stronę mostku na Dunajcu, prosto w oko kamery, do której wypowie się jako oficer kierujący dochodzeniem.

Za sprawą której gmina Łącko, powiat Nowy Sącz i cała Polska zobaczą korowód policjantów z Romem o dzikim wzroku, szarpiącą się Romką oraz płaczącą dziewczynką o blond loczkach.

*

Bastian wpadł do redakcji kilka minut przed jedenastą, ale przy biurkach było pusto. Wszyscy stali przed ekranem, na którym TVN24 relacjonował na żywo wydarzenia w Kamieniu. Było już po akcji. Dziennikarz skończył rozmawiać z oficerem prowadzącym dochodzenie. Podchodził teraz do grupki mieszkańców Zabrzeży, by zapytać, co czują.

– Niewyobrażalne! W demokratycznym kraju! – Bastian słyszał drżący głos Jadzi. – W Unii Europejskiej! Zniszczyli ludziom dobytek! Upokorzyli! Zastraszili!

– Ale to chyba chłopiec nie żyje, no nie? – zauważył.

Koledzy popatrzyli na niego jak na nielubianego kuzyna, który komentuje film akcji. Jadzia otworzyła usta, po czym je zamknęła. Spiorunowała Bastiana wzrokiem i wróciła do komputera.

– Jeszcze nie widziałam w tym kraju takiego spektaklu rasowej nienawiści. Kulturowy konflikt – parsknęła. – To przecież pacyfikacja! W imię najgorszych stereotypów, bez zrozumienia różnic...

– Gadasz zupełnie jak Anka Serafin – przerwał jej Bastian.

– O, słuchaj, a może ta twoja Anka by mi to skomentowała? – Jadzia nagle zmieniła ton na przymilny.

– Mogę zadzwonić do niej wieczorem i zapytać – odpowiedział z wahaniem.

Od wernisażu nie miał od Anki znaku życia. Pewnie znowu się obraziła. Była przewrażliwiona na punkcie swojego związku i dlatego jej dokuczał. Wśród ludzi w towarzystwie swojego faceta była spięta, jakby czuła, że każdy, kto na nich patrzy, ich ocenia. Co taki przystojny, młody człowiek robi z jakąś starą nauczycielką? Co taka inteligentna, wykształcona kobieta robi z jakimś główniarzem na motorze? Sam zastanawiał się czasem, co oni razem robią oprócz pieprzenia się jak króliki. Ciekawiło go, co młody człowiek potrafi takiego w tej sferze, że udało mu się wyswobodzić panią doktor z gorsetu. I co takiego umie uwolniona z gorsetu pani doktor, że temu amatorowi zabaw na łańcuchach jeszcze się nie znudziło.

– Wieczorem? – Jadzia zrobiła niezadowoloną minę. – A nie możesz mi dać numeru do niej? Sama od razu zadzwonię.

– Nie odbierze. Ma wykłady. – Bastian starał się wymyślić wymówkę.

– Przeszkadza ci, że z nią porozmawiam?

Ogarnęła go złość. Szukajcie sobie własnych ekspertów naukowych, skoro jesteście tacy czytani, obyci i bywali. Obrzucił wzrokiem redakcję, w której jego koledzy wykuwali nową jakość dziennikarstwa. Tak wrażliwi na krzywdę, że pewnie w przejściach podziemnych karmią szczury, bo biegają głodne. Tak odważni, że jedzą gluten. Towarzyska śmietanka bez laktozy, bezkompromisowi, etyczni, fantastyczni. *Wszystkich ludzi prezydenta* można kręcić. I on, który

każdego dnia stara się im udowodnić, że nie jest hochsztaplerem i że zasługuje na ich protekcyjne uśmiechy. Niedoczekanie, pomyślał. Anka jest jego zasobem, nie pozwoli go sobie odebrać.

– Ale z ciebie pies ogrodnika – mruknęła Jadzia, jakby czytając mu w myślach.

– Załatw mi kogoś, kto mówi po arabsku, to pogadamy. – Uśmiechnął się krzywo.

– A żebyś wiedział, że ci załatwię. – Jadzia zmrużyła oczy.

– No to zobaczmy ten monitoring. – Aspirant w drucianych okularach, Sławek Gaca, wbił pendrive w komputer. Głód się wyprostował.

– Co oni tam, na kasety VHS nagrywają, że tyle to trwało? – warknął.

– E, nie. – Sławek kliknął plik i czekał, aż uruchomi się odtwarzacz multimedialny. – Dzielnicowy mi się tłumaczył, że musiał załatwić nagranie od wójta.

– To nie są nasze kamery? – zdziwił się Głód.

– Na to wychodzi – odparł Sławek. – To wójt kazał zainstalować, przez firmę ochroniarską. W razie incydentu ochroniarze zawiadamiają dzielnicowego.

Plik wystartował, pokazując dwa bliźniacze, zsynchronizowane obrazy z datą i licznikiem czasu. Jakość była dobra. Nowoczesne kamery rejestrowały w wysokiej rozdzielczości i przyzwoitym kontraście.

Gorzej było z ujęciami.

Już we wsi Głód zauważył, że kamery są wycelowane w przeciwną stronę niż ta, gdzie znaleźli chłopca. Miał nadzieję, że może sprawca przechodził pod nimi. Ale kamery nie obejmowały drogi przez środek osady. Oba obrazy przedstawiały fasady domostw po przeciwnych stronach drogi i niebo ponad nimi. Widać było poruszające się w oknach postacie. Przed jedną z chat wyszedł chłopiec i wysikał się pod ścianą. W innym oknie dało się dojrzeć kobiecą sylwetkę o obfitych piersiach.

Sławek wybrał numer do dzielnicowego, ale podkomisarz wyrwał mu telefon.

– Synek! – huknął do słuchawki. – Coś ty nam dał? Wy tam sobie cygańskiego *Big Brothera* urządzacie?

Słuchał, jak tamten się tłumaczy.

– Uważajcie tam, bo z tego to mogę wójtowi zrobić paragraf za stalking – warknął.

Rozłączył się bez słowa. Oddał Sławkowi telefon i oparł się o biurko.

– Powiedział, że te kamery służą do obserwacji, czy Cygany nie palą kabli albo czy się nie tłuką – sapnął. – A nie czy nie duszą dzieci w lesie za osadą. I że wójt jest w prawie, bo koczowisko to samowola, a teren jest gminny, więc może tam sobie oglądać, co chce. Weź kogoś, żeby to przejrział. – Machnął ręką. –

Może ktoś będzie chciał pooglądać telenowelę *Cygańskie życie*. Bo nam się to nagranie przyda jak kurwie welon.

Klamka ustąpiła od razu. W środku czuć było śmieciami i nieświeżą pościelą. W półmroku szumiał włączony telewizor. Sylwia, stawiając ciche kroki, weszła do pokoju i założyła ręce na piersi.

– ...Iwia – westchnął leżący na kanapie mężczyzna i zaczął gramolić się do pionu. – Co ty tu robisz?

– Nie odbierałeś telefonu, więc przyjechałam – powiedziała i wyłączyła telewizor. Zrobiło się cicho. – Za godzinę mamy być na mieście.

Spod sterty gazet wygrzebał smartfona. Puszki po piwie potoczyły się po dywanie.

– Marek... – Wzięła do ręki puszkę, która poturlała się jej pod nogi. – Znowu piłeś.

– A tam, piłem – prychnął. – Piwko do filmu wczoraj wieczorem. Nie liczy się.

– Owszem, liczy. – Zaczęła zbierać puszki. – Jedno, dwa, trzy, cztery, pięć...

– Dobra – przerwał jej. – Piłem. Ale wszystko w porządku. Wezmę prysznic i możemy iść. – Zaczął się podnosić, ale zatoczył się i oparł na jej ramieniu.

Podtrzymała go i posadziła na kanapie. A było już tak dobrze, pomyślała. Ostatnio w górach cieszyła się, że Marek zaczął wychodzić na prostą. Nie tknął alkoholu, był skoncentrowany, czujny, myślał logicznie i okazywał poczucie humoru.

Patrzyła na faceta, który trzy razy uratował jej życie. Który był jej kiedyś bardzo bliski. Patrzyła na strzęp człowieka. Odkąd go poznała, postarzał się bardziej niż o te pięć lat, które spędzili razem jako partnerzy. Dalej był wysoki, ale wiedziała, że pod poplamionym podkoszulkiem więcej było tłuszczu niż mięśni. Szpakowaciejące ciemne włosy się przerzedziły, a między brwiami zamieszkała poprzeczna, głęboka zmarszczka.

– Nigdzie nie pójdziesz – powiedziała. – Jesteś pijany.

– Gówno prawda. – Szarpnął się.

– To wstawaj i idziemy. – Musisz mi pomóc. – Wyciągnął do niej rękę.

Zrobiła krok w tył.

– Jeśli nie jesteś pijany, to dasz sobie radę sam.

Zbierał się w sobie, po czym opadł bezwładnie na poduszki.

– Masz rację. Jestem pijany – westchnął. – To co robimy?

– Nic. Ty idziesz spać, a ja idę się spotkać z tymi ludźmi.

– Nie ma mowy. To niebezpieczne. Poza tym to wbrew regulaminowi.

– Chłanie na służbie też – odparowała. – Jeśli się tam nie pojawię, to miesiąc roboty pójdzie się paść.

– Bez sensu. – Przetarł twarz. – Dałem ciała, ale to się więcej nie powtórzy.

Jakiś wczoraj klimat złapałem dziwny, nie planowałem tego. Nawet nie wiem, skąd miałem piwo, pewnie ktoś zostawił...

Usiadła na kanapie i zaczęła metodycznie zgniatać puszki.

– Wiesz, co będzie, jak Łukasz się dowie? – zapytała beznamiętnie.

– On nie może się dowiedzieć. – Wyprostował się nagle. – Już mi dał ultimatum, że jak jeszcze raz się najebię i coś zawalę, to mnie wypierdoli. Sylwia – złapał ją za rękę – nie wydasz mnie? Obiecuję, że więcej cię nie wystawię. Wymyślimy coś. Że nie przyszli, że nas olali.

– Jasne. – Zarzuciła sobie jego rękę na ramię i pomogła mu wstać. – Na razie idziesz spać, będziemy martwić się później.

– Dzięki – wymamrotał, kiedy kładła go do łóżka i przykrywała nieświeżą kołdrą. – Może zostaniesz? – Przytrzymał jej rękę.

– Nie. – Wyswobodziła dłoń i podeszła do okna, żeby zaciągnąć zasłonę.

– Obiecuj mi, że tam nie pójdziesz – powiedział, zamykając oczy. – Obiecuj, proszę...

– Obiecuję.

Zamknęła za sobą drzwi sypialni i pozbierała puszki. Z lodówki wyjęła napoczęty sześciopak i wszystko wyrzuciła do śmieci. Sprawdziła, czy w zamrażalniku nie ma butelki wódki, zlustrowała zawartość kuchennych szafek. Dorzuciła do kubła spleśniały chleb i zgniłego pomidora, zawiązała worek, sięgnęła do szuflady po nowy, dziwiąc się, że ciągle pamięta, gdzie w tym mieszkaniu są worki na śmieci. Sprawdziła godzinę.

Powinna się spieszyć, jeśli chce zdążyć na spotkanie.

Dwie kobiety po przeciwnych stronach stolika trwały w bezruchu. W takich samych pozach, pochylone w przód, z dłońmi złożonymi na blacie, spuszczać głowy, wyglądały jak postaci po dwóch stronach krzywego zwierciadła. Ta z lewej krótko ostrzyżona, krępa, w policyjnej bluzie mundurowej. Ta z prawej drobna, kruczowłosa, śniada, w wyciągniętym swetrze. Dłonie jednej gładkie, napięte i energiczne. Dłonie drugiej szorstkie, zaczerwienione, z siatką żyłek, jakby starsze niż ona sama.

Kobieta z lewej mówiła spokojnie, ale stanowczo. Kobieta z prawej patrzyła ogromnymi czarnymi oczami w podłogę, jakby pod jej stopami otwierała się czeluść.

– Co ta Iza się z nią tak pieprzy? – rzucił Głód, obserwując tę scenę zza weneckiego lustra. – Ile razy trzeba jej powtarzać, że złożenie zeznań będzie najlepszym, co kobita może zrobić, zwłaszcza że to i tak gówno prawda? – Zarechotał. – Izka niby psycholog, a już ja bym się z tą czarną szybciej dogadał.

Aspirant Gaca na końcu języka miał, że skoro szef zdecydował, że sprawę blond dziewczynki będzie się prowadzić jako odrębną, choć dla Sławka powiązanie ze śmiercią chłopca przy koczowisku było ewidentne, to niech teraz da Izie

prowadzić przesłuchanie w swoim postępowaniu tak, jak ona uważa.

– Jak dziewczynka ma na imię? – Spokojny głos Izy płynął z głośnika pod szybą.

Odpowiedzi nie było.

– Kim są jej rodzice? Skąd się wzięła u ciebie?

Dłonie Romki splotły się mocniej.

– Regina, dziewczynka pozostanie w pogotowiu opiekuńczym i nie zobaczysz jej do wyjaśnienia sprawy. Im szybciej będziemy mieć to za sobą, tym lepiej, prawda? Czyje to dziecko?

Kobieta wbiła w policjantkę spojrzenie oczu, które Izie wydały się całkiem czarne. Nagle wplotła palce między cienkie kosmyki włosów. Zacisnęła pięści, zerwała się z krzesła, targając włosy, przypadła do ściany, zsunęła się na kolana.

– Moja! Moja! Moja! – wyła. – Nie zabierzecie mi jej!



ROZDZIAŁ 4

Cieszyła się, że to nie Zakopianka.

Starala się czytać, ale kiedy krajobraz za oknem zaczął się fałdować, zorientowała się, że patrzy w horyzont jak zahipnotyzowana, odprowadzając wzrokiem podnoszącą się znad pagórków mgłę, spokojną taflę Jeziora Czchowskiego. Od kiedy znalazła w lesie zwłoki, góry budziły w niej niepokój. Ale przynajmniej już jej się nie śniły. Uśmiechnęła się do swojego odbicia w szybie. Tamto lato w Murzasichlu wydało jej się wspomnieniem z innego życia. A teraz wraca w góry, chociaż trochę inne, i to po to, żeby znowu grzebać w jakiejś strasznej historii.

Tym razem sami do niej przyszli. Sami poprosili ją o pomoc. A ona nie popełni drugi raz tamtych błędów.

Poprawiła wąską spódnicę i wygładziła żakiet. Zamiast torby na ramię zabrała aktówkę, żeby wyglądać poważniej. Wsiadła na dworcu autobusowym w Nowym Sączu i odetchnęła głęboko. Nie poczuła górskiego powietrza, tylko smog, spaliny silników Diesla i swąd spalonego sera z zapiekaneek.

Czekał na nią radiowóz. Gdy wsiadała na tylne siedzenie policyjnego auta, czuła, że wszyscy na nią patrzą. Próbowwała zagadywać milczącego funkcjonariusza, ale zbywał jej pytania półsłówkami, więc postanowiła się do niego nie wdzięczyc.

W holu nowoczesnego budynku komendy wyszedł jej na spotkanie mężczyzna w wytartej marynarce i źle wyprasowanej koszuli opinającej wydatny brzuch. Wyglądał na trochę ponad czterdzieści lat, miał podkrążone oczy palacza i pożółkłe od nikotyny palce.

– Janusz Głód – przedstawił się. – Pani Anna Serafin?

– Doktor Anna Serafin. – Uśmiechnęła się z rezerwą.

– Doktor, to świetnie! – Błysnął zębami i wygiął plecy. – Bo ostatnio coś mnie strzyka w krzyżu...

– Doktor antropologii – poprawiła go.

Nie spodziewała się powitania chlebem i solą, ale jawnej wrogości również nie.

– Więc życzy sobie pani doktor rzucić okiem na zwłoki? – zapytał z przesadną uprzejmością.

– Zwłoki?! – Chyba głos jej nie zdradził, że wpadła w panikę? Nigdy więcej nie chce patrzeć na zwłoki. – A po co?

– Może pani doktor antropologii zechce sobie pomierzyć czaszkę?

– Antropologii kultury – mruknęła.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Ścisnęła ucho aktówki i podążyła za nim, a stukot jej obcasów poniósł się echem po korytarzu. Kątem oka widziała, jak ściąga spojrzenia. Wyprostowała plecy i poprawiła włosy. Miała wrażenie, że bierze udział w grze, w której ktoś stara się ją speszyć.

W salce konferencyjnej postawiła aktówkę na stoliku.

– Cappuccino ani ciasteczek dla pięknych pań niestety nie mamy, mogę zaproponować kawę z fusami albo liptona – rzucił Głód.

Lodowatym tonem poprosiła o herbatę i została sama. Przez uchylone drzwi dyskretnie wyjrzała na korytarz, gdzie trwała codzienna krzątania. Dzwoniły telefony. Ktoś niósł jakieś papiery. Ktoś się śmiał. Brzęknął dzwonek elektrycznego czajnika.

– Janusz, dla kogo ta herbatka w najładniejszym kubeczku? – usłyszała głos gdzieś za drzwiami. Zastygła.

– Dla naszego gościa specjalnej troski – odparł Głód. – Napar na rozluźnienie pośladków.

Anka poczuła, jak jej twarz oblewa rumieniec. Nie wiedziała, czy udawać, że nic nie słyszała, czy wyjść zza drzwi i trzasnąć Głoda w twarz. Ale wtedy wyszłoby na jaw, że podsłuchiwała.

– Widziałem. – Głos się zaśmiał. – Nie wiem, czy ci zazdrościć, czy współczuć. Co to za pani nauczycielka?

– Doktorka od antropologii kultury. Przyjechała na korki z poprawności politycznej, zakładać nam kaganiec oświaty – parsknął Głód.

– To zachowuj się kulturalnie. I nie dawaj jej linijki, bo będzie cię bić po łapach.

– Chyba pierwszy raz w tym roku włożyłem marynarkę – mruknął podkomisarz. – Myślisz, że zdam?

– Może i zdasz, ale nie zaliczysz. – Ktoś po drugiej stronie drzwi świetnie się bawił. – Co najwyżej pałę ci postawi. – Roześmiali się obaj, a Anka znów poczuła na twarzy uderzenie gorąca. – Już ja znam takie niedotykalskie damulki, co to się najpierw wystroją w spódniczki i szpileczki, a potem mają pretensje, że ktoś im się gapi na nogi.

Anka pomyślała, że kaganiec to wcale nie takie złe rozwiązanie. Przynajmniej dla tego typu. Zdażyła uciec pod okno, gdy chrupnęła klamka i do salki wszedł Głód, jeszcze z cieniem uśmiechu na twarzy. Przymrużyła oczy. Postanowiła, że nie da się sprowokować. Powód, dla którego tu przyjechała, jest ważniejszy niż jej urażona duma.

Postawił herbatę na stoliku i z rewerencją odsunął jej krzesło.

Założyła nogę na nogę i obciągnęła spódnicę, zauważając, że facet

rzeczywiście gapi się na jej łydki. Usiadł naprzeciwko niej z rozstawionymi szeroko kolanami i milczał, mierząc ją wzrokiem. Wytrzymała jego spojrzenie. Co to ma być? – pomyślała. Prowincjonalny *Nagi instynkt*?

– Słucham – odezwał się po chwili.

– Proszę? – Zirytowała się. – To ja słucham. Jak mogę wam pomóc?

Facet patrzył na nią długo.

– A czy ja powiedziałem, że potrzebujemy pani pomocy? – Z jego twarzy zniknęła atrapa uprzejmego uśmiechu. Policjant wydał jej się zmęczony, zgorzkniały i zniechęcony.

– Nie przyjechałam tu, bo mam taką fantazję... – zaczęła.

– Chętnie bym posłuchał o pani fantazjach, ale nie mam czasu – przerwał jej.

– Co pani ma nam do zaoferowania?

– Wiedzę – odpowiedziała bez wahania. – Wrażliwość na różnice międzykulturowe...

– Unijne bzdury – znowu wszedł jej w słowo. – Konkrety poproszę. Bo my tu gadu-gadu, a sprawa sama się nie rozwiąże.

– A jak ma pan zamiar prowadzić sprawę, skoro nikt tam nie chce z panem rozmawiać? – odparowała. – Jeśli będziecie zadawać niewłaściwe pytania, to niczego się nie dowiecie. – Zauważyła, że na krótką chwilę zaczął jej słuchać. – Nie spodziewajcie się, że ktoś wam wskaże palcem: winny jest ten albo ten. Rom nie będzie donosił. Szczególnie na innego Roma.

– Nic nowego – prychnął – Proszę mi powiedzieć coś, czego jeszcze nie wiem.

Myślała gorączkowo. Wieczorem przeglądała Ficowskiego, opracowania Mirgi i Mroza, stare numery „Dialogu” i eseje Karla-Markusa Gaußa. Mogłaby opowiedzieć o *mageripen* – skalaniach, o opozycjach binarnych, modelu rodziny, przysięgach, rytuałach i demonologii, ale czy to przydałoby się w dochodzeniu? Pomyślała, że on może mieć rację. Z jej wiedzą z podręczników, opracowań i reportaży niewiele tu zdziała. Poczula się jak przed egzaminem, do którego nie umie nic.

– Szefie, mogę? – Do pokoju wsadził głowę chłopak w okularach. Anka dostała kilka minut więcej na myślenie. – Sprawdziliśmy zaginięcia z ostatnich pięciu lat z rejonu Łącka i nic. Żadnych dzieci. Co dalej? Nowy Sącz? Piwniczna? Krynica?

– Zaczynjcie od Sącza. Najciemniej pod latarnią – rzucił Głód.

Chłopak zamknął za sobą drzwi.

– Nie wierzę – powiedziała zimno. – Nie mieści mi się to w głowie. Poprowadzicie dochodzenie po linii najbardziej skompromitowanych stereotypów? Że Cyganie, przepraszam, Romowie porywają dzieci?

– Nie mam zamiaru z niczego się pani tłumaczyć – odburknął Głód. – Mamy

tu dwoje dzieci, w tym jedno martwe. Oboje NN. Kosmici ich tam nie zrzucili na spadochronie. Musimy sprawdzić wszystkie ewentualności.

– A jakie jeszcze ewentualności pan sprawdza? – Nie powstrzymywała się. Wiedziała, że w jej głosie czai się złość, a kąciki ust ma wykrzywione w pogardliwym grymasie.

Nie odpowiedział. Też się nie powstrzymywał. Oparł łokcie na kolanach, marynarka napięła mu się na plecach. Patrzył na jej nogi, obracając językiem w ustach. Wyprostował się i rzucił jej pobłażliwe spojrzenie.

– Ma pani ze sobą jakieś inne buty? – zapytał.

Anka potrząsnęła głową. To wszystko zaczynało wyglądać jak absurdalny skecz.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Co mają do rzeczy moje buty?

– Jedziemy do Kamienia. – Wstał. – Pokaże mi pani, jak się rozmawia z Cyganami, bo nikt mnie nie nauczył na uniwersytecie. Tylko potem szpileczki będą do wyrzucenia.

– Ale jak to? – Nagle złapała się krzesła. – Do Kamienia?

Dzisiaj miała tylko rozmawiać z policją. Rozeznac sprawę. Do wizyty w osadzie powinna się jeszcze przygotować.

– Pani myślała, że przyjechała tu pani na herbatkę?

Wybiła trzynasta i Bastian z Jadzią Rajchert wyszli z biura w plamę słońca. Przeszli trzy przecznice i dziennikarka obrała kurs na lokal po drugiej stronie ulicy.

Bastian przystanął na chodniku. Znał to miejsce, czasem kupował tam coś do jedzenia, kiedy zasiedziało się w redakcji, a nie chciało mu się gotować. Na początku stołował się na mieście, ale okazało się, że na humus, ramen i pastrami wydaje fortunę. Wynalazł więc kilka blogów dla gotujących facetów i wkrótce doszedł do wniosku, że wydaje taką samą fortunę na wołowinę hereford, wodorosty i pastę miso. Wtedy stwierdził, że od zupki chińskiej od czasu do czasu nikt nie umarł. Albo od kebabu.

– Spodziewałem się profesora od języków orientalnych, palestyńskiego poety na wygnaniu albo egipskiej dysydyntki. – Pokręcił głową. – A ty mnie prowadzisz do budki z kebabem.

– Zamówienie było proste. Miał być ktoś, kto mówi po arabsku. – Jadzia wzruszyła ramionami.

Pachniało pieczonym mięsem i orientalnymi przyprawami. W zawieszonym pod sufitem telewizorze leciał kiczowaty teledysk. Dwaj informatycy odebrali zamówione dania od chłopaka o arabskich rysach, poprosili o ostry sos, po czym po pierwszym kęsie zaczęli kaszleć.

– Cześć – przywitała się Jadzia. – Przyprowdziłam tego faceta, o którym rozmawialiśmy. Nie umie czytać ani pisać i potrzebuje pomocy.

– To on mówi po polsku? – wyrwało się Bastianowi, zanim uśmiechnął się

przepraszająco do chłopaka.

– Mówię po polsku, bo urodziłem się w Polsce – odpowiedział tamten, a Bastian poczuł się nieswojo. Obraził faceta, który stoi przed nim z półmetrowym nożem do kebabu w ręce.

– *Sorry* – bąknął Bastian. – Ale po arabsku też mówisz?

– W dialekcie egipskim. – Chłopak wreszcie odłożył nóż.

– A to się bardzo różni od takiego zwykłego arabskiego? Od takiego, jakim mówią w Syrii?

– Myślisz, że pół miliarda ludzi od Maroka po Emiraty mówi jednym językiem? Język pisany jest jeden, ale ludzie rozmawiają ze sobą w dialektach. Więc w Syrii mówią w dialekcie syryjskim – wyjaśnił chłopak. – A czego potrzebujesz?

Bastian wyjął z torby komputer. Otworzył Facebooka i profil, który ostatnio zaczynał mu się śnić. Znużona Jadzia studiowała menu, demonstracyjnie spoglądając na zegarek. Bastian znalazł post i toczącą się pod nim dyskusję. Chłopak przechylił się przez bar i czytał. Bastian obserwował jego twarz.

– Dlaczego cię to interesuje? – zapytał poważnie sprzedawca, podnosząc głowę znad komputera.

– Jestem dziennikarzem. – Bastian wypiął pierś. Rajchert przewróciła oczami. – Chcę o tym napisać. Co tam wyczytałeś?

– To jest dyskusja o nowych drogach do Europy. O, ten – chłopak dotknął palcem monitora – pisze, że jechał przez Rosję i Arktykę do Norwegii. Chciał ściągnąć rodzinę, ale zmieniło się prawo. Pyta, co ma robić. A ten trafił przez Słowenię i Austrię do Niemiec. Udało mu się, bo był z żoną i małymi dziećmi. Tamten o mały nie utonął na Morzu Śródziemnym.

– A jest coś o Polsce? – Bastian przebiegał nogami.

– Czekał, jeszcze czytam. Tu jeden facet z Nigru pisze po francusku, że może polecić godnego zaufania przemytnika przez Saharę.

– Francuski też znasz? – zdziwił się Bastian.

– Mam lektorat na studiach. – Chłopak scrollował dalej. – O, tu jest coś o Polsce. – Zatrzymał dyskusję na jednym komentarzu i zbliżył twarz do monitora. – Koleś pisze, że mieszkał w ośrodku przejściowym w Szwecji z ludźmi, którzy jechali przez Polskę.

Bastian aż podskoczył.

– Wiedziałem! – Złapał Jadzię za ramiona i potrząsnął. Wyrwała mu się. – Miałem rację! Jest tam coś więcej?

– Nie ma tego dużo. On pisze, że przez Polskę udało im się przedostać do Niemiec, potem do Danii, a potem do Szwecji, ale ludzie byli źli. Pewnie przemytnicy ich oszukali, ale nie do końca rozumiem.

Dziennikarz się zamyślił. Potwierdził, że nie ugania się za dżinem, że to

naprawdę się dzieje. Tylko co dalej?

– Możesz do niego napisać? – zapytał. – Jako ja. Że szukam kontaktu do ludzi, którzy szli przez Polskę.

Chłopak otworzył okienko czatu, przełączył język i zaczął przebierać palcami po klawiaturze. Bastian patrzył jak zahipnotyzowany. Przez myśl przeszło mu, jak się z tego wytłumaczy funkcjonariuszowi ABW, który czyta jego maile i zbiera na niego teczkę.

Tamten wcisnął Enter i wiadomość popłynęła do Göteborga.

– A jak ci odpisze? – zapytał.

– To do ciebie wrócę. – Bastian się uśmiechnął.

– Tak nie będzie łatwiej? – Chłopak odwzajemnił uśmiech i wyświetlił na komputerze swój profil. Kliknął „Dodaj do znajomych”.

Do lokalu weszła grupa speców od marketingu. Czapki z daszkiem, tenisówki, deskorolki i podkoszulki z postaciami z bajek. Wyglądali, jakby przebrali się za własny target – dzieciaki z reklam czipsów i sieciowych fast foodów, pomyślał Bastian. Sprzedawca wyprostował się i wziął do ręki nóż. Zmierzył dziennikarza poważnym spojrzeniem.

– Tylko napisz potem prawdę – powiedział. – Z ostrym sosem? – Odwrócił głowę do klientów i rozkroił pitę.

Anka na zmianę gotowała się ze złości albo umierała ze strachu. Na zakrętach śniadanie podchodziło jej do gardła. Była przekonana, że facet robi to specjalnie – hamuje gwałtownie i z ułańską fantazją bierze zakręty, aby wytrącić ją z równowagi. Janusz Głód prowadził starego focusa, paląc e-papierosa przy zamkniętym oknie.

Za oknem widziała sady, kolorowe domiszcza i stada krów, ale nie miała głowy do podziwiania widoków i sycenia oczu zielenią. Próbowwała się przygotować, ale nie mogła się skupić, bo radio atakowało ją reklamami leków na biegunkę, grzybicę, nietrzymanie moczu i wszelkie inne możliwe intymne przypadłości. Nie pomagało, że Głód przy tych najbardziej żenujących wybuchał śmiechem i uderzał dłonią o kierownicę.

– Reklamy w radiu! – rechotał. – Czyli program „co chlupie w dupie i szczypie w...” – Przerwał, wyczuwszy z jej strony ziąb lodowca.

Skreśli w boczną drogę, która z asfaltowej zmieniła się w gruntową. Podskoki na wykrotach wystawiły jej żołądek na ostateczną próbę.

– Zajedziemy tędy – wyjaśnił podkomisarz. – Bo od strony drogi wojewódzkiej trzeba by jeszcze przejść przez kładkę na Dunajcu, więc nie ma pewności, że Cygany by szanowną panią doktor przepuściły. A tak wjedziemy prosto do koczowiska.

Las się przerzedził, wyjechali na łąkę. Wokół wałały się śmieci. Głód opuścił szybę. Z początku poczuła ulgę, ale mdlący zapach pary z e-papierosa zastąpiła

duszająca woń palonych śmieci. Wyjechali spomiędzy zarośli i Anka szerzej otworzyła oczy.

Po drodze przechadzali się ludzie, grupki kobiet i mężczyzn. Po bokach drogi stały domostwa – choć zasługiwały raczej na miano bud i ruder – sklecone z nieotynkowanych pustaków, wiórowych płyt i blachy falistej. Mocno zalatywało odorem szamba. W oddali droga kończyła się ginącym we mgle mostkiem.

Wybiegł im na spotkanie wyliniały pies, goniony przez zgraję dzieciaków. Głód zatrzymał auto na środku drogi i wyłączył silnik. Anka miała wrażenie, że wszyscy patrzą na nich.

– Idziemy – rzucił policjant.

Wysiadając w czółenkach na wysokim obcasie, w kostiumie i z aktówką w dłoni, stąpnęła prosto w kałużę. Szpilka zapadła się i Anka poczuła na pięcie lodowatą wodę. Syknęła i wyszarpnęła nogę, tracąc równowagę. Zachwiała się i wsparła o lusterko. Dzieciaki buchnęły piskliwym śmiechem, pokazując ją sobie palcami. Zacisnęła zęby i podeszła do podkomisarza, który opierał się o maskę, pociągając parę ze szklanej tubki.

– Co teraz? – zapytała niepewnie.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Proszę robić swoje.

– Czyli?

– Dogadywać się.

Zauważyła, jak na ich widok wysoki Rom o posiwiałych skroniach splunął na ziemię i odszedł. Za nim podążyła grupka mężczyzn. Z wrogimi pomrukami rozeszli się po zabudowaniach.

Co powinna zrobić? Nie ma co zagadywać mężczyzn, i tak nie będą z nią rozmawiać. Kobiety przyglądały się jej z zaciekawieniem.

Nabrała w płuca powietrza i ruszyła ku nim.

– Dzień dobry. – Miała nadzieję, że jej głos zabrzmiał pewnie. – Jestem doktor Anna Serafin i przyjechałam wam pomóc.

Obejrzała się na Głoda, który obserwował ją spode łba. Kobiety roześmiały się i otoczyły ją. Podchodziły do niej. Blisko. Widziała dokładnie ich oczy, farbowane włosy, zmarszczki w kącikach ust, czuła dym z ich papierosów. Dwie były w ciąży. Zrobiła dyskretny krok w tył.

– Jaka elegancka – odezwała się jedna z nich. Wyciągnęła dłoń z papierosem i zaczęła gładzić klapę jej żakietu. – Jaka ładna.

Anka nie lubiła, kiedy dotykali jej obcy ludzie, a te kobiety stały zdecydowanie za blisko. Coś otarło się o jej nogi. Popatrzyła w dół. Pies. Oddychała płytko, starając się uspokoić.

– Z policją przyjechała. – Kobieta wykrzywiła wargi w uśmiechu. – Czego chce?

– Porozmawiać... – Anka zdawała sobie sprawę, że brakuje jej słów. –

Przyjechałam z policją, ale nie jestem z policji, tylko z uniwersytetu. Mówiłam, że chcę pomóc.

Kobieta się zaśmiała.

– Przyjeżdżają! Z uniwersytetu i z gazety, i z telewizji przyjeżdżają! – mówiła głośno i szybko. – Kamerują, rozmawiają, kiwiają głowami i nic się nie dzieje! My mamy w dupie takie rozmawianie!

Znowu zrobiła krok naprzód. Anka spróbowała się cofnąć. Nie mogła. Za nią stały dwie inne.

– Ja z nikim nie rozmawiam, jak moja siostra siedzi w więzieniu! – krzyczała kobieta jednostajnym wysokim tonem, wymachując ręką z papierosem. Odpowiedziały jej pomruki. – Ani z uniwersytetem, ani z samym prezydentem. Poszła won!

Otwartą dłonią pchnęła Ankę w ramię.

– Jak to? – Anka wyciągnęła dłonie przed siebie. Pamiętała z telefonicznej rozmowy z komendantem, że Regina, matka znalezionej tu jasnowłosej dziewczynki, została zatrzymana na czterdzieści osiem godzin. Zapewnił, że zasugeruje miejscowej policji, żeby odstąpiła od stawiania jej zarzutu napaści na policjanta, że komenda wojewódzka chciałaby uspokoić nastroje. Czyli Regina powinna już wrócić.

Chwyciła się tego.

– Jeszcze siedzi? – zapytała głośno. – Przecież to bezprawie.

– Na Cyganów widocznie jest inne prawo! – Tamta odłoniła zęby.

Anka odwróciła się i rzuciła Głodowi wściekle spojrzenie.

– Postaram się to załatwić. Pójdę do komendanta – improwizowała. – Albo, nie wiem, do prasy.

Może wreszcie przyda się to, że Bastian pracuje teraz w poważnej gazecie.

– Nie zostawię tak tego, możecie na mnie liczyć. Na pewno wszystko szybko się wyjaśni. Tylko musicie ze mną porozmawiać.

– Nic nie musimy! – krzyknęła kobieta Ance w twarz. – To wy musicie! Musicie ją wypuścić! I oddać jej dziecko!

Miała przenikliwe czarne oczy i usta zaciśnięte w wąską kreskę. Ubrana była w długą spódnicę i bluzkę w niebieskie paski. Na szyi nosiła złoty łańcuszek, na nogach klapki.

– Spokojnie. – Anka cały czas trzymała dłonie uniesione. – Wszystko będzie dobrze. A teraz chciałabym, żebyśmy porozmawiały o chłopcu.

– O chłopcu! – parsknęła kobieta i zaciągnęła się papierosem. – Tu nikt nie zabił żadnego chłopca! Ile można powtarzać?! Głusi jesteście na Cyganów, nie słuchacie Cyganów! Już wy wiecie, że to musiały zrobić Cygany!

– Ja wam wierzę – zapewniła szybko Anka. – Ale musimy się dowiedzieć, co się stało, również dla waszego dobra.

– Pani uczona, to wszystko wie – rzuciła tamta. – Przyjechała, popatrzyła i od razu wie, co dla nas dobre.

– Nie pytam, czy wiecie, kto go zabił. – Anka nie dawała się zbić z tropu. – Ale może coś pamiętacie? Coś dziwnego, co wydarzyło się wtedy, kiedy zginął chłopiec...

– Pani, tu się dzieją takie rzeczy, że mnie to już nic nie dziwi. – Kobieta zaczęła się śmiać. Za nią wybuchnęły śmiechem inne.

Anka widziała, jak do ich kręgu podchodzą dzieci. Na początku trzymały się na dystans, szepcząc między sobą. Potem te odważniejsze zaczęły się zbliżać, łapiąc się maminych spódnic. Odwróciła się gwałtownie, czując na kolanie dotyk drobnej rączki.

– Pani przecież też na pewno jest matką. – Postanowiła zmienić strategię. I na początek opanować drżenie głosu. – Jakaś matka czeka na tego chłopca. Żadne dziecko nie zasługuje na taki los. Panią to nie obchodzi?

Nie spodziewała się takiej reakcji. Kobieta skoczyła ku niej i pchnęła ją mocno. Anka poleciała w tył, potracając dziecko, które uciekło z krzykiem. Nie upadła, bo tamta złapała ją za kłapy żakietu. Anka zobaczyła z bliska jej twarz, poczuła jej gorący oddech. Chwyciła w objęcia aktówkę i zasłoniła się nią.

– *Dilini mindz!* – wrzasnęła kobieta. – Wystrojona lala z uniwersytetu będzie mnie uczyć, jak być matką! Będzie mi mówić, na jaki los zasługują moje dzieci! Na taki los?! – Puściła ją i uniosła ręce, obejmując gestem drogę, budy, słup czarnego dymu podnoszący się spod lasu, wyliniałego psa machającego kikutem ogona. – Masz swoje dzieci, to do nich wracaj, a nas zostaw w spokoju! Wynoś się!

Ance pociemniało w oczach. Kobiety jedna przez drugą zaczęły krzyczeć w niezrozumiałym języku, ktoś popchnął ją w kierunku auta. Odwróciła się i z aktówką w ramionach ruszyła przed siebie, stawiając ostrożne kroki. Policjant, oparty o maskę, uśmiechał się mściwie.

Spuściła głowę i przysłoniła twarz włosami, żeby nie było widać, jak drży jej broda. Pomyślała, że tak właśnie zrobi. Wyniesie się i nie wróci. Co jej się wydawało? Że dotknięciem czarodziejskiej różdżki jej dyskursu rozwiąże tym ludziom języki? Nie oczekiwała pogawędki przy ognisku. Ale nie spodziewała się też tego.

Z naprzeciwka nadbiegła gromadka starszych dzieci. Minęły ją w pełnym pędzie, rozchlapując wodę z kałuży. Poczowała na nogach zimne smagnięcia, jakby czyjeś palce łapiące ją za kostki. Zobaczyła, jak na jej jasnej spódnicy lądują bure rozbryzgi. Oskoczyła z krzykiem, usłyszała za sobą śmiech kobiet, dzieci, gwizdy mężczyzn i ujadanie psa. Wypuściła z rąk teczkę, rozrzuciła szeroko ramiona, próbując złapać równowagę. Poczowała, jak jej stopy tracą oparcie, a niebo zmienia perspektywę.

Zacisnęła powieki, oczekując twardego lądowania na ziemi. Idealne

podsumowanie tej wizyty, przemknęło jej przez głowę.

– Jaka ładna, jaka elegancka! – usłyszała za sobą wołanie.

Ktoś złapał ją za rękę i podtrzymał. Kurczowo zacisnęła palce na czymś przedramieniu. Uniosła wzrok. Zobaczyła łagodną twarz z kurzymi łapkami w kącikach oczu, zakola, szary sweter w serek. I kołnierzyk z koloratką.

– Ja tylko chciałam pomóc – wyszeptała. Krew dalej dudniła jej w uszach, rozszerzone adrenaliną źrenice patrzyły na nieznanego.

– Jeśli naprawdę chce pani pomóc, to proszę przyjechać bez policji – poradził cicho ksiądz. – Zwłaszcza bez niego – dodał, rzucając czujne spojrzenie na podkomisarza, który podniósł się z maski samochodu, schował e-papierosa do kieszeni i ruszył w ich stronę.

Anka wyprostowała się i podniosła aktówkę.

– Dziękuję – powiedziała.

Ksiądz uśmiechnął się do niej smutno, a potem przybrał oficjalny wyraz twarzy, kiedy podszedł do nich Głód.

– Wszystko w porządku? – zapytał policjant, ujmując Ankę za ramię.

Wyrwała mu się.

– Proszę mnie nie dotykać – warknęła. – Wracamy do Sącza.

– Jak sobie pani doktor życzy. – Głód skinął księdzu głową i podszedł do auta. – Dowiedziała się pani doktor czegoś interesującego?

– Moimi obserwacjami podzielę się z komendantem wojewódzkim – wycedziła.

Podkomisarz mruknął coś, spoważniał. Otworzył jej drzwi samochodu i zatrzasnął je głośno, gdy wsiadła.

Założyła okulary przeciwsłoneczne i odwróciła głowę do szyby, żeby nie musieć patrzeć na policjanta. Jeżeli Głód powie do niej choć słowo, to ona wydrapie mu oczy.

Kobieta, która z nią rozmawiała, zrobiła kilka kroków w ich stronę. Anka miała wrażenie, że tamta coś mówi, ale nie słyszała jej przez szybę. Powiało z lasu. Wiatr przywłókł czarny, duszący obłok, który rozsnuł się nad osadą. Kontury rozmyły się, kolory straciły na wyrazistości. Ludzie na drodze wydali jej się nagle zjawami wyłaniającymi się z drugiej strony niewidzialnej granicy, nieprzeniknionej, choć ulotnej jak dym.

Głód zaczął zawracać, klnąc pod nosem.

Krajobraz widziany przez dym zamigotał jej ostatni raz na siatkówce, kiedy zacisnęła skryte za szklami okularów przeciwsłonecznych powieki, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Dla mnie mango z marakują, tiramisu i czekoladowe. – Smagła dziewczyna z czarnym warkoczem wpatrywała się w ladę z lodami jak zahipnotyzowana.

– Dla mnie sorbet cytrynowy, raz – powiedział wysoki mężczyzna ubrany w koszulkę polo.

Kobieta w kawiarni rzuciła na niego kose spojrzenie. Czoło już łyse, a prowadzi się po Galerii Krakowskiej z galeriankami, pomyślała. Mężczyzna zapłacił, dziewczyna w spranych dżinsach i bluzie z dziurą na łokciu wgrzyła się w lody, jakby nigdy nie słyszała o nadwrażliwości zębów, i odeszli powolnym krokiem.

– Jadłaś coś dzisiaj? – zapytał.

– O cholera, zapomniałam – odparła dziewczyna.

– Dziecino. – Mężczyzna pokręcił głową. – Nie dbasz o siebie. Może chcesz wejść do sklepu z ciuchami, skoro już tu jesteśmy? – Ujął ją za łokieć, niby przypadkiem trafiając na dziurę.

– Daj spokój, Łukasz, jestem po cywilnemu – fuknęła, a on zabrał rękę.

Obserwował, jak dziewczyna łapczywie pochłania lody. Pamiętał dokładnie, jak trzydzieści lat temu, kiedy zaczynał pracę jako dzielnicowy, weszli do mieszkania, w którym rodzina zatrąła się czadem. Dwoje ludzi, w których sypialni palił się piecyk, już nie żyło. W pokoju obok, modląc się o cud, nachylił się nad dziecięcym łóżeczkiem. Wtedy dziecko się poruszyło. Dziewczynka, której nie chciała rodzina ani jej matki Romki, ani jej ojca Polaka, trafiła do domu dziecka. Odwiedzał ją tam, a potem poszła w jego ślady, przeskakując stopnie kariery, na które on wspinał się mozolnie przez całe życie. Był pewien, że jeśli nie rozbije się o szklany sufit albo nie narobi sobie wrogów, to już wkrótce go przerośnie. Chyba że komus będzie przeszkadzać Romka na wysokim stanowisku. Nie maskotka do pokazywania, że nawet w służbach obowiązuje modne na Zachodzie *diversity*, ale ekspert, dowódca, szef.

– Wracacie na pogranicze – powiedział, gdy stanęli przed drzwiami windy.

– Jasne – rzuciła. Wydawała się całkowicie zaabsorbowana tym, żeby ze szczątków wafla nie uronić resztek lodów. – Tylko nie każ mi pisać od nowa planu pracy, okej? Z polskiego miałam trójję.

Weszli do windy. Byli w niej sami.

– Może będzie trzeba – odparł.

Uniosła brwi.

– Masz coś nowego?

– Raport od Straży Granicznej – powiedział półgłosem. – Rutynowy, o podmiotach regularnie przekraczających granicę. Ale jak posiedzieli nad nim analitycy, znaleźli powiązanie z naszymi sprawami.

Winda zatrzymała się na parkingu. Ruszyli przez duszną od wyziewów klimatyzacji halę. Czarny passat zagadał i błysnął kierunkowskazami.

W wytłumionym wnętrzu auta mężczyzna odezwał się pierwszy:

– Pogranicznicy potwierdzili, że nasz obiekt systematycznie kursuje przez

przejście w Niedzicy.

– Zgadza się – potwierdziła. – Do Preszowa przez Lubowlę, niewiele ponad sto kilometrów. Wożą tamtędy drewno. Do lasu.

– Potrzebuję cię tam na miejscu. Was – poprawił się. – Zgłoś się do pograniczników, chciałbym, żebyście współpracowali.

– Z leśnymi dziadkami? – Skrzywiła się. – To już lepiej z miejscowymi smerfami.

– Wiesz, jak to wygląda. Trzeba by napisać podanie do komendanta głównego policji, oprawić w ramkę, powiesić mu na ścianie, a jakby je kiedyś zauważył, powołałby specgrupę, przeciął wstęgę do wydzielonego na potrzeby grupy gabinetu i patrzył, jak specgrupa umiera tam z powodu braku tlenu. Poza tym przez to, co się dzieje dookoła sprawy tego chłopca z osady, lokalna policja zrobiła się nerwowa.

– Myślisz, że ta zbrodnia może mieć związek z naszą sprawą? – Spojrzała na niego czujnie.

– Trudno powiedzieć – rzekł ostrożnie. – Ale miej w tyle głowy, że na tym terenie ktoś zabił, i nie wiadomo kto ani dlaczego.

Patrzył na nią z troską. Jakby chciał coś dodać. Ale tylko sięgnął ponad jej kolanami do schowka. Wydobył z niego pendrive.

– Tu jest cały raport Straży Granicznej. I wszystko, co o naszym obiekcie siedzi w państwowych bazach. Dane z KRS-u, fiskus, urząd pracy. Rozrysuj sobie, napisz plan pracy i jedź się rozejrzeć.

– Fajnie. – Uśmiechnęła się krzywo. – Na dzikie pogranicze, ganiać przemytników. Jak na westernach.

Spojrzał na nią z powagą.

– Nie „ganiać przemytników” – poprawił formalnym tonem. – Tylko rozpoznać zagrożenie godzące w bezpieczeństwo wewnętrzne państwa.

– Tak jest – odparowała, wyjęła mu pendrive z dłoni, cmoknęła w policzek i wysiadła, trzaskając drzwiami limuzyny.

Pachniało świeżą trawą. Na jabłoniach i śliwach pyszniły się soczyste liście i puchły pąki, gdzieniegdzie sypały się już białe i różowe kwiaty. Popołudniowe słońce kładło długie cienie na kopach Beskidu Sądeckiego. Zabrzesci cementarz leżał na wypłaszczeniu, dalej zbocze schodziło ku szosie i Dunajcowi.

Przed przycupniętą na stoku kaplicą rozstawiali swoje trójnogi kamerzyści kilku stacji telewizyjnych, reporterzy czekali w gotowości. W środku za ołtarzem stał ksiądz Karol Drzewicki w białym ornacie.

Na katafalku spoczywała niewielka biała trumna ufundowana przez gminę. Wokół wieńce. Od wójta i rady gminy. Od Ruchu Światło-Życie. Od policji.

– Stajemy tu dziś – mówił kapłan drżącym głosem – wstrząśnięci, zasmuceni tragedią i cierpieniem, które dotknęły to dziecko. Zwykle sprawując Najświętszą

Ofiarę na pogrzebach, modlimy się o odpuszczenie grzechów zmarłego. Ale dziś modlimy się za duszę dziecka, które w swoim krótkim życiu nie mogło popełnić grzechu zamykającego mu drogę do Ojca.

Głos mu się załamał. W kaplicy rozległo się kilka szlochów.

– Kolor kapłańskich szat – podjął – zwykle na pogrzebach jest fioletowy. Ale na tę Najświętszą Ofiarę kapłan przyodział szaty białe. Białe jak kwiaty jabłoni, które niebawem obsypią nasze łąckie sady. Bo biały – powiódł wzrokiem po zebranych – to przecież symbol niewinności.

Pozwolił temu słowu wybrzmieć w ciszy.

– Chrystus wezwał nas w Kazaniu na Górze, żebyśmy się modlili za swoich nieprzyjaciół i prześladowców. – Ksiądz podniósł głos. – Dlatego módlmy się też, aby dobry Bóg wybaczył sprawcy. Wstrząsa nami ta zbrodnia. Nie rozumiemy jej. Jezus pytał w tym samym Kazaniu na Górze: gdy któregoś z was dziecko prosi o chleb, czy jest taki, co poda mu kamień? Wstrząsa nami ta zbrodnia, która przeciwstawia się podstawowym ludzkim odruchom.

Przytknął czubki złożonych dłoni do ust.

– Módlmy się też wreszcie za naszych braci i siostry, mieszkańców Kamienia, gdzie ta zbrodnia się wydarzyła.

Nastrój się zmienił, chociaż nikt nawet nie drgnął. Tylko wśród dziennikarzy na zewnątrz zapanowało poruszenie.

Chryste, który przyjdiesz sądzić żywych i umarłych, zmiłuj się nad nami, zaintonował organista. Spiew wypełniał cmentarną kaplicę, nie wpuszczając pomruków, które zaszumiały wśród zgromadzonych na zewnątrz. Operatorzy poderwali kamery ze statywów i zarzucili na ramiona.

Na drodze, poza granicą cmentarza, stał ze złożonymi rękami postawny Rom o posiwiałych skroniach, ubrany w wytartą czarną marynarkę. Za nim stanęło jeszcze pięciu romskich mężczyzn i dwie kobiety z bukietami leśnych kwiatów.

Narastały posykiwania, parsknięcia, strzelały spojrzenia.

– Nie.

Złapała go za nadgarstek i przesunęła jego dłoń ze swojego pośladka na brzuch. Wywinęła się, płacząc się w opadających do kostek rajstopach. Pozbyła się ich i usiadła mu na udach. Ściągnęła mu T-shirt, pchnęła na oparcie sofy i przywarła do jego piersi. Podporządkował się i wpił w jej kark. Mocując się z zapięciem stanika, czuł się, jakby usiłował zdjąć jej gorset.

Wreszcie rozkołysali się, ona nad nim, on w jej rytmie. Wygłodniali i zachłanni. Jak gdyby mieli dla siebie tylko kilka minut, jakby korzystali z krótkiej przerwy w zajęciach, chwilowego zwolnienia z obowiązków.

Dłonie Gerarda wędrowały od piersi Anki do jej bioder. Próbował uchwycić wzrok kobiety, ale jej oczy ginęły wśród rudych loków. Wtuliła się twarzą w jego obojczyk, objęła go pod ramionami, przylgnęła, znieruchomiała. Nagle cały świat

skupił się w drzeniu, tętnie, pulsie i czymś, co zabrzmiało jak płacz.

A potem było już tylko bardzo cicho i bardzo blisko.

Podciągnęła kolana pod brodę, kuląc się, naga, w rogu sofy. Patrzyła na las anten telewizyjnych wyrastających nad dachami Podgórze.

Przysunął się do niej, przywarł do jej pleców.

– Nie umiem rozmawiać z ludźmi – powiedziała nagle.

Gdy tylko udało jej się uspokoić oddech, wróciło wspomnienie pogardliwego grymasu policjanta, śmiechu tych ludzi, chłodnego smagnięcia błotem po łydkach i palących policzki łez, na które pozwoliła sobie dopiero w autobusie. Wróciło nagle, drążąc w jej żołądku, jak kara za rozkosz sprzed chwili.

Głód chyba zorientował się, że przeholował. Najpierw czekał na nią dwadzieścia minut pod drzwiami damskiej toalety w komendzie miejskiej w Nowym Sączu, gdzie próbowała doczyścić z błota spódnicę i buty, a potem odwiózł ją bez słowa na autobus. Ruszyło go sumienie albo wystraszył się, że Anka się poskarży w komendzie wojewódzkiej.

– Co ty! – Gerard położył rękę na jej karku. – Rozpracowałaś takiego pojeba jak ja. A teraz ten pojeb słucha się jak tresowany niedźwiedź.

– Nie mów tak o sobie. – Skuliła się jeszcze bardziej, ułożyła głowę na jego nagim umięśnionym udzie i pozwoliła drapać się po plecach.

– Dlaczego?

– Bo to nieprawda.

– Serio, nikt nie umie tak rozmawiać – podjął po chwili.

– A twoja terapeutka? – rzuciła zaczepnie.

– To co innego. Jej płacę.

Zdawała sobie sprawę, jak to działa, sama była kiedyś na terapii. Wiedziała, że nie powinna być zazdrosna o to, że jakaś kobieta – młodsza i ładniejsza od niej, sprawdziła to w internecie – wie o nim więcej niż ona. Że tej kobiecie on mówi wszystko, czego nie mówi jej. A podejrzewała, że nie mówi jej wszystkiego. Czuła to, gdy przyjeżdżał chmurny i nieobecny, a potem w nocy nie mógł zasnąć. Wiedziała, że nie ma prawa być zazdrosna.

Ale była.

– Nie spodziewałam się, że tam jest aż tak – zmieniła temat. – Boże, Gert, jak można żyć w takich warunkach?! W dwudziestym pierwszym wieku, w Europie? Przecież to nieludzkie. Biedni, biedni ludzie. – Pokręciła głową. – Biedne te ich dzieci.

Skubała jego kolano w zamyśleniu. Sięgnął po pled. Przykrył ich oboje.

– A ja nie wiem, co zrobiłam źle – westchnęła. – Powtarzałam, że chcę pomóc. Że jestem po ich stronie. Naprawdę chciałam pomóc. Dlaczego oni tak mnie potraktowali?

– Pamiętasz, jak mnie pocięli... – zaczął, a Anka zamarła, widząc, jak Gerard

zbiera się, żeby coś powiedzieć. – Wiesz, kto z całego szpitala najbardziej mnie wkurwiał?

– Kto? – zapytała. Nie była pewna, do czego zmierza.

– Pielęgniarka, Kinga. Mówiła o mnie: „ten biedny chłopiec”. Nie patrzyła mi w oczy. Poprawiała mi poduszkę, zmieniała bandaż na brzuchu, ale nigdy nie patrzyła na mój pochlastany ryj. Ciągłe mówiła. Dużo, głośno, jak do dziecka. Wiesz: „wszystko będzie dobrze, do wesela się zagoi”. Mówiła, ale nie słuchała.

Podniósł dłoń do policzka i przesunął palcami wzdłuż blizny.

– Budziłem się wtedy po nocach z krzykiem. Miałem koszmary. Wstydzilem się tego. Więc jak ktoś do mnie przychodził, to mówiłem, że mnie zabolalo.

Widziała, jak paznokcie zostawiają na jego policzku czerwone ślady. Znowu złapała Gerarda za nadgarstek, zabrała mu dłoń z twarzy i unieruchomiła jego palce.

– Kiedy dyżur miała Kinga, dostawałem zastrzyk. Mówiłem, że nie chcę. Że już nie boli. A ona głaskała mnie po ręce, paplała, jaki jestem biedny, i pakowała mi w żyłę jakieś gówno, po którym leżałem naćpany w ciemności.

Anka pomyślała o tym chłopcu z tramwaju. Chciała mu pomóc. Wiedziała, że trzeba interweniować. Była z siebie taka zadowolona. Przerwała żebracki proceder, wykorzystywanie dziecka, narażanie go na niebezpieczeństwo.

I śmiertelnie to dziecko wystraszyła.

Ten chłopiec się bał, tak bardzo się bał. Może dostał w skórę od tego kogoś po drugiej stronie telefonu. Pewnie płakał. Stracił wszystko, co wyzebrał.

– Co innego Sierżant, pamiętasz? – Gerard nagle się uśmiechnął.

Anka też. Pewnie, że pamiętała wielką jak piec pielęgniarkę. Jedyłą, która była w stanie dać sobie z nim radę pod prysznicem.

– Sierżant wycierała mi czoło, dawała wody i mówiła, że wytrzymam. Wychodząc, zostawiała uchylone drzwi na korytarz, a tam paliło się światło.

Anka nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy Gerard ostatnio wypowiedział tyle słów naraz. I to jeszcze o sobie. O szpitalu nie mówił prawie wcale. Nie przerywała mu.

– Do dziś mi głupio, że bywałem dla Kingi chamski. Ale ona mówiła do mnie jak do biednego chłopca bez twarzy i imienia, któremu można tylko współczuć i dać prochy, żeby się nie męczył... Wolałem być dla niej agresywnym dupkiem niż biedactwem za słabym, żeby iść samodzielnie do kibla. – Uwolnił rękę z jej dłoni i znów podniósł do policzka.

– Zostaw. – Złapała go za nadgarstek i ścisnęła mocniej.

– Nie wiem, po co ci to wszystko mówię. – Potrząsnął głową. – Chyba chodziło mi o to, że wtedy, w szpitalu, to nie ból najbardziej mnie wykańczał, wiesz? Nie te wszystkie rurki, cewniki, wenflony, które we mnie wtykali. Nie kaczka ani basen. Nie pielgrzymki, co przychodziły mi oglądać, macać, badać.

Nawet nie uczucie, że jestem totalnie zależny, że o wszystko muszę prosić. Wiesz, co było najbardziej upokarzające?

Wreszcie oderwał wzrok od anten za oknem i popatrzył na nią. Jego szare oczy miały teraz odcień burzowego nieba. Były w nich wstyd, złość i niezgoda.

– Co? – zapytała.

– Litość.



ROZDZIAŁ 5

Podkomisarz Głód z przyjemnością nie włożył dzisiaj marynarki, ale flanelową koszulę, w której ginął jego wielki brzuch.

– I jak było wczoraj? – zapytał aspirant Gaca.

– Przyjechała, zadzierała nosa, nic nie pomogła, zrobiła scenę i pojechała. – Podkomisarz wzruszył ramionami. – Pytanie, czy zdążyła naskarżyć.

– A co wtedy?

– Może zabiorą mi tę sprawę i będę miał święty spokój. – Głód łyknął kawy i rozsiadł się w fotelu. – Pojadę na ryby, na grzyby albo poczytam gazetę. Było coś na filmie z monitoringu? – zmienił temat.

– Nic. – Aspirant pokręcił głową. – Pogasili światła i poszli spać. Za to faktycznie trochę się dymiło. Na podstawie tego filmu możemy im najwyżej przyklepać palenie kabli i sikanie w miejscu do tego nieprzeznaczonym. Nawet porządnej obrazy moralności nie było.

– Do dupy ta cała kamera – prychnął podkomisarz.

– Poza tym – Sławek spojrział w notatki – sprawdziłem Nowy Sącz i Piwniczną, nie znalazłem żadnych zaginięć dzieci, które pasowałyby do chłopca NN. Co dalej? Limanowa? Tylmanowa, Krościenko i Szczawnica?

– Muszyna i Krynica. – Głód popatrzył na niego z wyrozumiałością starego kocura.

– To zupełnie nie w tę stronę. – Chłopak, zaskoczony, poprawił okulary.

– Ale to nasz rejon. Nie będziemy się Nowemu Targowi wpieprzać na teren, póki nie musimy. Napisz do nich pismo, niech sprawdzą u siebie.

– Myślisz, że Króla olch obchodzą granice powiatów?

– Króla czego? – Głód wytrzeszczył oczy.

– Króla olch. – Sławek się zarumienił. – Był taki wiersz Goethego: „*Wer reitet so spät durch Nacht und Wind?/Es ist der Vater mit seinem Kind...*”. I na koniec to dziecko jest martwe, bo Król olch...

Głód zakrztusił się kawą.

– Sławuś, wiem, że ty miałeś piątkę z matury, ale zlituj się i nie mów do mnie w tym paskudnym języku, z którego rozumiem tylko Borussia Dortmund, *Ausweis, bitte* i *Volkswagen – das Auto*.

Chłopak podniósł głowę.

– Tak mi się skojarzyło i tak go sobie nazwałem... – mruknął. – A niemiecki wcale nie jest paskudny. To język miłości.

– A dlaczego król, a nie królowa? – Głód zaczął w zamyśleniu skubać konającą z pragnienia paprotkę. – Małego ktoś udusił. Nie skrzył mu karku, nie rozwalił głowy, nie poderżnął gardła, tylko udusił. Jak mama małą Madzię. I dzieciak się nie bronił...

– Ale jeżeli to rodzinna historia, to skąd tu Romowie z Kamienia? – Sławek rozłożył ręce. – Romki nie rodzą białych dzieci.

– To się jeszcze okaże. – Głód przesypał przez palce zielony susz i otrzepał rękę. – Jak zrobimy badania DNA.

Zapadła cisza. Głód siorbał kawę, a Sławek podszedł do zawieszonyj na ścianie mapy powiatu.

– Skoro zakładamy, że Romowie z Kamienia są zamieszani, to może zwrócić się do prokuratora, żeby połączyć sprawy chłopca i tej blond dziewczynki? Obie wiążą się z Romami, w obu są dzieci i w obu może chodzić o porwanie...

– Mało ci roboty? – warknął Głód. – Po pierwsze, sprawę dziewczynki prowadzi Iza. A po drugie, szkoda, żeśmy od początku nie zepchnęli tego na Nowy Targ. W końcu ta zawszona cygańska dziura jest położona na granicy, nie wiadomo, czy to jeszcze jest nasz powiat, czy już ich. Zgadza się?

– Tak – burknął Gaca. – Chociaż z mapy wynika...

– Ale i tak wziąłem się do tej roboty – przerwał mu Głód. – A ty mi mówisz, żebym prowadził dwie sprawy z Cyganami?

Młody policjant wodził palcem po mapie wzdłuż Dunajca.

– To co dalej? – zapytał w końcu.

– Sprawdzamy zaginięcia. I trzeba ruszyć wątek pedofilski – westchnął Głód. – Jestem w stanie wyobrazić sobie scenariusz, że do małego ktoś zaczął się dobierać, ale coś poszło nie tak i nasz Król... czego?

– Olch – mruknął chłopak.

– ...i nasz Król olch spanikował. Może porwał małego i dzieciak się rozchorował? Gość nie wiedział, co zrobić, więc go zabił? Trzeba sprawdzić zgłoszenia i sprawy z ostatnich lat. W zakresie wieku chłopca. Chcę znać każdego typa z okolicy, na którego chociaż raz padł cień oskarżenia o pedofilię.

– Robimy z tego nowe wersje śledcze?

– Nie – zaprzeczył podkomisarz. – Trzeba by pisać prokuratorowi nowy plan dochodzenia. Trzymamy się porwania i zabójstwa. Tak tylko głośno myślę... Najbardziej dziwi mnie, że małego nikt nie szuka. Media o tym trąbią, rodzice już powinni się znaleźć. Łatwiej uwierzę, że dziecko może zaginać bez śladu, niż że tak wypływa spod ziemi.

Anka kolejny raz wybrała numer i wysłuchiwała kilku długich sygnałów, by wreszcie znudzony kobiecy głos poinformował ją, że pan komendant nie ma czasu.

– Dzwonię czwarty raz – przerwała. – Rozumiem, że pan komendant jest

zajęty, ale ja też jestem zajęta. Za piętnaście minut mam wykład. A ta sprawa nie może dłużej czekać.

Anka mogłaby przysiąc, że słyszy, jak kobieta przewraca oczami. Rozległa się elektroniczna melodyjka, którą znała już na pamięć i która zaczynała działać jej na nerwy.

– Dzień dobry, pani Aniu, mam tylko minutkę – odezwał się komendant.

Anka wyprostowała się i ścisnęła telefon w dłoni.

– Dziękuję. To, co mam do powiedzenia, zajmie pół minuty. Czytał pan mojego maila?

Tej nocy nie mogła spać. Leżała w łóżku, wpatrując się w sufit, aż wreszcie wstała i zebrała swoje przemyślenia w długim mailu do komendanta. Opisała skandaliczne podejście podkomisarza Głoda, wyraziła oburzenie bezzasadnym przetrzymywaniem kobiety w areszcie, napisała, co myśli o urągających wszelkiej przyzwoitości warunkach, w jakich zmuszeni są żyć mieszkańcy Kamienia. Płonęła świętym oburzeniem, stanowczo domagała się interwencji i apelowała do podstawowych ludzkich odruchów. Ale kiedy rano przeczytała całość na spokojnie, miała wrażenie, że czyta słowotok historycznej starej panny.

– Tak, tak, czytałem. – Komendant się zakłopotał. – Cóż mogę powiedzieć... Szkoda, że nie wyszło, ale doskonale rozumiem. Dziękuję, że pani próbowała, i przykro mi, że spotkały panią nieprzyjemności.

– Co pan ma na myśli?

– Że chce się pani wycofać.

W tym momencie przez jej głowę przegalopowały sprzeczne myśli. Chyba to dobra okazja, żeby odejść z honorem? Ale z drugiej strony nie może tak tego zostawić. Dać się zahukać małomiasteczkowemu chamowi i protekcyjnalnemu dobremu wujkowi od kawusi i ciasteczek.

– Nie. – Anka sama się zdziwiła, jak szybko i instynktownie zaprotestowała. – W żadnym razie.

– Ale to nie żadna porażka. Nie ostrzegłem pani, że to takie trudne...

– Proszę mnie posłuchać – zirytowała się. – Nie mam zamiaru się wycofywać. I dzwonię w zupełnie innej sprawie. Chodzi o tę kobietę, Reginę. Czy mogę liczyć, że sprawa zostanie wyjaśniona?

– A, tak, tak – rzucił komendant. – Wszystko wyjaśnimy. Muszę już lecieć, pani Aniu!

– Panie komendancie! – Wyobrazila sobie, że słysząc jej głos, komendant stanął w miejscu. – Albo przedstawicie jej zarzuty, albo zwalnicie ją z aresztu. Bo inaczej idę z tym do mojego kolegi Strzygonia z „Horyzontu”.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Nie jestem prawniczką – kontynuowała – ale chyba ciężko postawić zarzut uprowadzenia dziecka, gdy nie wiadomo, od kogo miałyby zostać porwane,

prawda?

– Prokurator i prowadzący sprawę policjant obawiają się matactwa – odpowiedział komendant.

– Jeśli teraz postawicie jej zarzut porwania, niczego się nie dowiemy – oznajmiła. – A jeżeli wróci do domu, oni obiecali ze mną porozmawiać. Sam mnie pan do tego zadania zaprosił, więc... – Nabrała tchu. – Więc proszę dać mi szansę.

– Dobrze – usłyszała wreszcie poważny głos. – Pociągnę za kilka sznurków.

Rozłączyła się i popatrzyła na ekran smartfona. Złapała swoje materiały i wybiegła z gabinetu. Na korytarzu dogoniła profesora Gwizdałowskiego, który zaczynał zajęcia o tej samej porze w sali obok. Szedł niespiesznym krokiem, skrzypiąc podszewkami o podłogę.

– Spóźniła się pani na wykład, pani Aniu – powiedział, spoglądając na zegarek.

– Pan też. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Starszym panom wolno. – Odwzajemnił uśmiech bez sympatii. – Coś ważnego?

– Rozmawiałam z komendantem wojewódzkim policji... – zaczęła.

Profesor zrobił niezadowoloną minę.

– Znowu angażuje się pani nie w to, co trzeba.

Siedziała w rozciągniętym T-shircie i majtkach na niezaścielonym łóżku. Na kolanach trzymała laptopa z pendrive'em od Łukasza. Obok leżał notatnik. Raport Straży Granicznej był szczegółowy, rzetelny i nudny. Nazwiska i nazwy firm. Busiarze kursujący z turystami do Czerwonego Klasztoru, kilku przewodników górskich i parę lokalnych przedsiębiorstw prowadzących interesy ze Słowakami. Hodowcy drobiu, producenci przetworów, drobni handlarze. Dane – z rutynowych kontroli drogowych, ze sporadycznych interwencji, rzadko z rozpoznania. Codziennosc sennego regionu turystycznego w strefie Schengen.

I na pewno nikogo by to nie interesowało, gdyby Kościół nie zrobił państwu niespodzianki i nie zaprosił do Krakowa połowy świata. Tej rozmodlonej. Zwracając przy okazji na Polskę uwagę drugiej połowy świata. Tej wojującej. Światowe Dni Młodzieży oznaczały dla państwa najpierw miesiące przetrwania gorących kartofli i umywania rąk. Ale gdy wreszcie w mediach ktoś odważył się zepsuć atmosferę i zadał pytanie, czy nad bezpieczeństwem imprezy czuwa ktokolwiek poza Duchem Świętym, i gdy to pytanie zaczęło się odbijać echem i czkawką po tytułach, programach i portalach, ci sami przełożeni, którzy do niedawna udawali greckiego patriarchę, teraz zaczęli być bardziej papiescy niż papież Franciszek.

Firma z trybu „siedz cicho i nie wychylaj się, to żaden polityk się nie zainteresuje, czym się zajmujesz” przeszła w tryb „wyglądaj na zajętego, żeby jakiś polityk nie zainteresował się, czym się zajmujesz”. Szef szumiał do kierowników

departamentów i biur, ci szli szumieć dalej i tak powiew Ducha docierał aż na sam dół. A w krakowskiej delegaturze powiew i szum przybierały skalę cyklonu.

W komórce Łukasza, Sylwii i Marka gorączka zaczęła się od rutynowego zapytania do służb państw sąsiedzkich o potencjalne grupy ekstremistyczne działające na ich terytorium w sąsiedztwie Rzeczypospolitej. Słowacka Służba Informacyjna SIS odpowiedziała tajną wiadomością o rozpoznaniu prowadzonym wokół przedsiębiorcy z Preszowa. Wyszedł Słowakom na drutach, czyli wdzwonił się w podsłuch: SIS przyglądała się akurat bałkańskiej grupie przestępczej, która zaczęła się kręcić na ich terenie. Słowakom udało się założyć technikę operacyjną w hotelu, w którym reprezentujący grupę Serb zatrzymywał się już dwukrotnie. Podczas trzeciej wizyty z Serbem skontaktował się przedsiębiorca z Preszowa, Zdeněk Molnár.

Tą informacją SIS podzieliła się z Polakami. Ponieważ bałkańscy mafiosi figurowali w bazach Europolu jako fachowcy od nielegalnego obrotu bronią i materiałami wybuchowymi.

Sylwia nie mogła nie docenić kunsztu analityków. Kiedy ona tarzała się w karpackim błocie, oni, nie ruszając tyłków zza biurka, przepuścili dane od Słowaków krzyżowo przez jawne bazy polskie. KRS-u, skarbówki, urzędu celnego. Nazwa słowackiej firmy pokazała się w pozornie niewinnych kwitach dotyczących VAT-u za drewno budowlane i kominkowe. Firma Veselý bobor Zdenka Molnára prowadziła interesy z przedsiębiorstwem handlowo-usługowym Przem-Drzew z Łącka, którego właścicielem był Przemysław Majer – jak zaznaczył analityk, w 1992 roku prawomocnie skazany za przemyt spirytusu ze Słowacji. A więc były polski przemytnik powiązany ze Słowakiem mającym konszachty z potencjalnym źródłem zagrożeń terrorystycznych. Temu trzeba było się przyjrzeć.

Sylwia pochyliła się nad tabelką w kształcie trójkąta prostokątnego, pociętego liniami siatki. Na przeciwprostokątnej wypisane były nazwiska, nazwy, miejsca i obiekty. Jeśli były ze sobą powiązane, na przecięciu linii figurowała czarna kropka – gdy powiązanie było potwierdzone. Kółko – gdy trzeba je było dopiero potwierdzić. Narzędzie było dziecinnie proste i w przejrzysty sposób wizualizowało wiedzę operacyjną, pozwalało kontrolować liczbę powiązań i wyciągać wnioski. Na przykład im więcej powiązań, tym bardziej kluczowa rola. Chociaż – skarciła się w myślach – Łukasz zawsze tłukł jej do głowy, żeby nie robić przedzałożeń. „To wniosek wyłania się z przesłanek – truń – a nie odwrotnie”.

W jej tabelce czarne kropki widniały na przecięciu nazwisk Molnár i Majer ze sobą nawzajem i z nazwami firm ich właścicieli.

Na monitorze wyświetliła wyciąg z danych o firmie Przem-Drzew. Nie zalegali z podatkami, zatrudniali głównie dorywczo, ale nic nie wskazywało, żeby na czarno. Mieli na stanie ciężarówkę MAN z otwartą skrzynią do przewozu

drewna, furgonetkę Ford Transit i ładowarkę widłową. Wpisała do tabelki dwa pierwsze pojazdy z numerami rejestracyjnymi. Żadnych wpadek ze Strażą Graniczną czy celnikami, ot, ciężko pracujący na wzrost polskiego PKB drobny przedsiębiorca.

Zatrzymała się na tabeli z danymi zatrudnionych. Coś zwróciło jej uwagę. To nie było nazwisko. To była miejscowość. Pracownicy pana Majera pochodzili głównie z Łacka, dwóch było z Zabrzeży, jeden dojeżdżał z Krościenka. A jeden mieszkał w Kamieniu.

Paweł Wichura, wykwalifikowany stolarz i mieszkaniec romskiej osady.

Na WhatsAppie wybrała kontakt. Łukasz odebrał od razu.

– To dlatego tak się wczoraj czaileś, co? – parsknęła.

Gdy milczał, ona, przyciskając mocno długopis do kartki, dopisała do swojej tabelki „Paweł Wichura” i nazwę miejscowości „Kamień”. Na przecięciu rubryk z Wichurą i Majerem namazała grubą kropkę, prawie przebijając kartkę. Drugą postawiła na przecięciu Wichury z Kamieniem.

– Dopiero co przyszło – zaczął. – Wołałem, żebyś sama zobaczyła.

– To, że Majer zatrudnia Romów, to coś wstydliviego? – Była zła. Ale nie wściekła. Zażenowana. – Jakbyś mnie nie znał, Łukasz.

Wiedziała, że to go ukłuje.

– Właśnie, dziecino. Dlatego że cię znam.

Ukłuło. Ale ją. Bo miał rację.

– Chodziło mi o... – zaczął.

– ...o morderstwo? – Zastanowiła się. Na końcu listy przy przeciwprostokątnej dopisała w tabelce „Chłopiec NN”. Postawiła kropkę tylko przy przecięciu z nazwą „Kamień”.

– Nie, Sylwia – powiedział. – Nic nie wskazuje na powiązanie tej sprawy z naszą. Chodziło mi o to, że...

– Wiem, mam to mieć z tyłu głowy.

– Chodzi mi po prostu o to, że Kamień to Romowie – wyrzucił z siebie. – Nie wiadomo, jak na ciebie zareagują. Może dobrze, a może wręcz przeciwnie. A ty...

– O mnie się nie martw. – Dziewczyna się zaśmiała. – Ja nie mam problemu z tym, że to Romowie. A jeśli oni mają problem, że jestem Cyganką, to tym gorzej dla nich.

Telefon zawibrował. *Czekam*. Ani „co słyhać”, ani „dzięki”, ani zwykłego „hej”. Bastian pomyślał, że od Jadzi nie można oczekiwać nawet grzeczności wymuszonej przez społeczne konwenanse.

Popatrzył w monitor. Facebook milczał. Ani pół wiadomości, nie licząc spamu od znajomych, nieśmiesznych memów i wątpliwej jakości publicystyki. Może przestrzelił i tym razem się nie opłaciło. Zapędził się z tym tematem w ślepią

uliczkę. Sam zaczął tworzyć w redakcji atmosferę sensacji, aż Seweryn z działu zagranicznego, który jeździł do Libanu, na Lampedusę i przeszedł na własnych nogach szlak bałkański, poczuł się zagrożony. Ale jak tak dalej pójdzie, to niedługo Bastian będzie musiał przyznać, że jego tajemniczy materiał o uchodźcach w Polsce okazał się niewypałem.

Podszedł do okna i wyjrzał zza firanki. Może to już paranoja, ale miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Coraz częściej docierało do niego, że dziennikarstwo nie polega na wtykaniu nosa w sprawy innych ludzi, wyciąganiu na światło dzienne tego, co ukryte, i patrzeniu innym na ręce. A od czasu ustawy inwigilacyjnej zaczynał się zastanawiać, czy to on nie znalazł się na czyimś celowniku. Podzielił się tą myślą z Jadzią. „Każdy czasami potrzebuje poczuć się ważny”, wyśmiała go.

Przypomniawszy sobie o SMS-ie i zaklął. Nie dość, że nic nie osiągnął, to jeszcze wisi Jadzi przysługę. Wziął telefon i zorientował się, że znowu, zamiast zadzwonić, długo scrollował Facebooka w poszukiwaniu objawienia czy inspiracji. I znowu nic. Memy. Suchary. Kotki. Wybrał numer.

– Cześć, Anka, co tam słyhać? – Starął się, by jego głos brzmiał wesoło.

– Cześć, Bastian, czego chcesz?

Skrzywił się. Kolejna żoźła, która łałuje mu nawet niezobowiązującej uprzejmości. Ktorej nie stać na: „Dziękis, spoko, a jak tam u ciebie?”.

– Chciałem wiedzieć, jak tam uniwersum, studenci, kariera, profesor z demencją, habilitacja.

– Fantastycznie, dziękuję, że pytasz – wyrecytowała. – A jak tam twoja kariera? Dawno nie widziałam w „Horyzoncie” żadnego twojego tekstu.

– Pracuję nad czymś dużym – odparł. – Muszę się skupić.

– Jak mogę ci pomóc?

– Nie możesz – warknął. Od razu zakłada, że on czegoś od niej chce. Albo że sam sobie bez niej nie poradzi. – W zasadzie to dzwonię w imieniu koleżanki z redakcji.

Zawiesił głos. Po drugiej stronie zapadła cisza.

– No więc Jadzia potrzebuje... – podjął.

– Jaka Jadzia? – przerwała mu, podekscytowana. – Jadwiga Rajchert? Ta kobieta to legenda! Czytałam wszystkie jej artykuły o strajku pielęgniarek... Co mogę dla niej zrobić?

Bastian wykrzywił się do telefonu. Że też na jego propozycje Anka nigdy nie reagowała z takim entuzjazmem.

– Jadzia potrzebuje krótkiego komentarza na temat hejtu, jaki wylał się na Romów po tym, jak na koczowisku znaleziono zwłoki białego dziecka – wyjaśnił. – Znasz w ogóle tę sprawę czy coś ci podesłać?

– Tak, znam... Aż za dobrze. I, cholera, chyba nie mogę wypowiadać się

na jej temat do mediów.

– Dlaczego? – Bastian w duchu bardzo się ucieszył.

– Bo jestem tam konsultantką. – Znał ten ton pełen powagi i kiepsko skrywanej dumy. – Inna sprawa, że tym, co wyrabia tamtejsza policja, powinna się zainteresować prasa.

– A co wyrabia? – Bastian nadstawił ucha.

– Długa historia i nie na telefon – westchnęła. – Jak wpadniesz do Krakowa, to ci opowiem. Żeby w demokratycznym państwie prawa tak traktowano niewinnych ludzi...

– Niewinnych? – zainteresował się Bastian. – Ty coś wiesz?

– Póki się człowiekowi nic nie udowodni, to pozostaje niewinny. I nie, nic konkretnego nie wiem, ale zakładam, że są niewinni.

– Ale właściwie dlaczego?

– Bo... – Usłyszał, jak Anka zawiesza głos. Mógł sobie wyobrazić, jak przykładła palec wskazujący do ust. – Bo to po prostu zbyt grubymi nićmi szyte. Cyganie, przepraszam, Romowie porywający dzieci?! A dlaczego nie Baba-Jaga albo czarna wołga? Jakieś dziewiętnastowieczne bajki, zbrodnie odróżnorodniające, uprzedzenia wynikające z niewiedzy...

– Czekaj, jakie zbrodnie? – zdziwił się Bastian.

– To z teorii kozłów ofiarnych René Girarda. W sytuacji kryzysu grupa szuka winnego, czyli właśnie kozła ofiarnego. Oskarża się go wtedy o zbrodnie, które godzą w fundamentalne wartości grupy. To tak jak z legendą krwi, kiedy Żydów oskarżano o mordowanie chrześcijańskich dzieci na macę. Albo z czarownicami, które miały zabijać noworodki, żeby z ich ciał produkować masę umożliwiającą latanie na miotle, i które na sabatach spółkowały z diabłem. Oskarżenia o te mityczne zbrodnie – właśnie zbrodnie odróżnorodniające – to punkt wyjścia dla przemocy i prześladowań. Oczywiście to nie są uświadomione mechanizmy – ciągnęła wykładowym tonem. – Pewnie zwróciłeś uwagę, że w przykładach, które podałam, pojawiają się dzieci. Bo zbrodnie na dzieciach budzą odruchowy, gwałtowny sprzeciw i nie dają się niczym uzasadnić. Do tego dochodzą akty profanacji i obrzydliwe praktyki seksualne. Przypomnij sobie, o co oskarżano templariuszy.

– A co wykazało postępowanie? – przerwał jej, słysząc, że Anka dopiero się rozkręca.

– Jeszcze nic – mruknęła niechętnie.

– A ty tam byłaś w ogóle? Rozmawiałaś z kimś? – dopytywał się Bastian.

– Żebyś wiedział, że byłam – rzuciła. – I powiedzmy, że rozmawiałam.

– I co?

– I nic, byłam tam dopiero raz, nie chcieli mówić przy policji... – zająknęła się. – Muszę spróbować inaczej. Sama.

– Anka, nie bądź naiwna. – Sam się zdziwił, że tak się o nią zaniepokoił. – Ja wiem, że dzikie kotki są takie słodkie, a biedne dzieci mają takie duże oczy i super wychodzą na zdjęciach, ale kto wie, co się tam dzieje. Ty na to patrzysz swoim okiem antropologa, widzisz uprzedzenia i stereotypy, a ja – nabrał powietrza – jestem dziennikarzem śledczym i z tego, co słyszę, to tam jest coś bardzo nie halo. Na romskim koczowisku znaleziono martwe dziecko. I ktoś, kto je zabił, jest na wolności, a ty zamierzasz iść tam sama go szukać. Serio, to po prostu głupie i nieodpowiedzialne.

– Nie wiedziałam, że tak się o mnie troszczysz. – Próbowała się zaśmiać, jednak ton jej głosu mówił mu, że zabił jej klina. – Ale nie mam zamiaru wycofywać się tylko dlatego, że nagle nikomu to nie pasuje.

– To niech przynajmniej ten twój mały świntuszek o gabarytach młodego niedźwiedzia raz się do czegoś przyda i jedzie tam z tobą.

– A wracając do tego komentarza – ucięła temat – to może jeszcze dopytam, ale raczej nie powinnam się wypowiadać... Chociaż to Jadwiga Rajchert... Ale z drugiej strony komendant mówił...

– Nie, nie, spoko – przerwał jej Bastian. – Jadzia zrozumie, zresztą na pewno już znalazła jakiegoś dyżurnego naukowego celebrytę.

– Aha – mruknęła Anka.

– Dzięki za dobre chęci – westchnął demonstracyjnie. – I uważaj na siebie, pamiętaj, że dzikie kotki potrafią bardzo boleśnie podrapać. Trzymaj się!

Rozłączył się i pogwizdując, odpisał Jadzi na SMS-a. Po czym uśmiech zgasł mu na wargach. Popatrzył na zdjęcie Anki – wysoki kontrast czarno-białej fotografii sprawił, że kobieta wydała mu się nienaturalnie blada, a cień, który na twarz rzucało pasmo jej włosów, wyglądał niczym siniak na skroni. Nagle przestały mu się podobać te zamknięte oczy i prześwietlone, bezkrwiste usta.



ROZDZIAŁ 6

Zeskoczyła z motoru. Zdjęła kask, poprawiła włosy i uniosła dłoń, pozdrawiając księdza Drzewickiego. Obok niego stała Romka. Poznała ją od razu. To była siostra Reginy, która wyrzuciła ją stąd ostatnio na zbity pysk.

Anka z wahaniem ruszyła ku nim. Zauważyła dzieci, trzymających się na dystans mężczyzn oraz psa.

Pół godziny dumiała rano przed otwartą szafą i zastanawiała się, jak się ubrać. Długa spódnica? Przecież nie będzie udawać Romki, przebierać się za kogoś, kim nie jest. Natychmiast wyczuliby sztuczność, fałsz, może nawet podstęp. A ona dzisiaj nie chciała niczego udawać. Ostatnio swoim wyglądem zakomunikowała im: „Jestem pani doktor Anna Serafin, naukowiec z uniwersytetu, jestem od was lepsza”. Tym razem chciała powiedzieć: „Jestem Anka. Pogadajmy”. Ubrała się więc skromnie, ale po swojemu – w podwinięte powyżej kostek dzinsy, skórzaną kurtkę, a pod nią luźną szarą bluzkę.

Na co dzień na uczelni traktowała kostium jak zbroję służącą jej do trzymania ludzi na dystans. Dziś chciała dystans przełamać. I wcale nie czuła się z tym komfortowo.

– To jest Dominika... – zaczął ksiądz. Ale kobieta mu przerwała.

– Dotrzymałaś słowa – odezwała się szorstko. Drobne zmarszczki w kącikach jej oczu ułożyły się w konfigurację, w której nie było wrogości. Najwyżej rezerwa. I odrobina ciekawości.

Anka uśmiechnęła się niepewnie.

– Chodźmy do niej – powiedział ksiądz.

Ruszyli w górę wioski, odprowadzani spojrzeniami. Pies pobiegł za nimi. Ostry zapach dymu z komina mieszał się ze słodkawą wonią gnojówki. Anka czuła na sobie wzrok tych ludzi. Dotarło do niej, że gdyby nie towarzystwo księdza i Dominiki, nie miałyby prawa tu wejść. Gerard szedł tuż za nią, niemal słyszała, jak napina mięśnie. Dobiegały ich pojedyncze gardłowe głosy. Potrafiła z nich wyłowić tylko powtarzające się słowo. *Gadzie. Gadzie. Gadzie.*

Pośrodku osady, gdzie droga się rozszerzała, stał wysoki aluminiowy słup z kamerami na szczycie. Wyglądał jak totem.

– Władze założyły im monitoring – wyjaśnił ksiądz, widząc pytające spojrzenie Anki. – Sąsiedzi skarżyli się na palenie kabli, a oni...

– Kamerują nas, podglądają – przerwała mu Dominika. – W okna babom patrzą. Bo Cygan to dla nich jak małpa. Zobacz, jak żyjemy, zobacz.

Wskazała palcem na ziemię. Podążyli za nim wzrokiem. W dół osady, żłobiąc koryto w błotnistej drodze, płynęła strużka. Słodkawy cuch się wzmagał.

– Idziesz po gnoju. – Dominika uśmiechnęła się krzywo. – Zrobili za małe szambo i nie wypompowują, ile trzeba. Aby tylko było nam gorzej.

Anka pomyślała, że gdyby nie widziała tego na własne oczy, tylko usłyszała od kogoś, uznałaby, że ten ktoś przesadza.

Dom Reginy stał na skraju lasu, gdzie droga przechodziła w ścieżkę. Był w zasadzie altaną krytą starym eternitem, prowizorycznie połataną pianką izolacyjną. Sprawiał wrażenie, jakby kilka podmuchów halnego mogło go zmieść z powierzchni ziemi.

Ksiądz zapukał w drzwi antywłamaniowe, z których nikt nie odkleił folii zabezpieczającej. Przepuścił kobiety przodem. Na końcu wszedł za nimi Gerard.

Wyskoczył na nich ruchliwy siedmiolatek, za nim podbiegła chuda pięciolatka. Stojąca przy stole kobieta się odwróciła. Czarne włosy opadały jej na czoło, na duże, głęboko osadzone oczy, które w jej szczupłej twarzy wydawały się jeszcze większe. Była drobna, ale ręce miała żyłaste, jak wyćwiczone na siłowni.

– Szczęść Boże – przywitał się ksiądz. – To jest Anna, która pomogła wydostać cię z aresztu. Chciałaby z tobą porozmawiać.

Regina patrzyła na nią długo, aż Anka opuściła wzrok. Na rękach kobiety zakwiliło niemowlę.

– Tylko ją nakarmię – powiedziała. Miała spierzchnięte usta.

– Masz dla nas coś słodkiego? – Pięciolatka przyskoczyła do księdza. – Batona? Cukierki?

Ksiądz wydobyl z kieszeni dwie miętówki.

Dziewczynka wygięła usta w podkówkę i odeszła rozczarowana.

– Regina – odezwała się głośno Dominika. – Papier miałas księdzu pokazać.

Kobieta drgnęła. Spojrzała półprzytomnie na niemowlę. Najbliżej niej stała Anka, więc Regina raptem wcisnęła jej w ramiona dziecko.

Anka zeszywniała. Bała się poruszyć, odetchnąć, jakby w rękach trzymała granat. Maluch w jej objęciach zaczął się wiercić, zamachał rączkami. Oddech Anki przyspieszył, jej policzki, dekolt i szyja zakwitły na czerwono.

– Spokojnie, to tylko dziecko – zaśmiała się Dominika.

Regina wyjęła z szuflady pismo i rozłożyła je. Spojrzała prosząco na księdza, wyciągając ku niemu rękę z listem.

– Żeby nam ksiądz przeczytał – powiedziała za nią siostra. – Bo to taki bełkot, że normalny człowiek nie rozumie. – Patrzyła intensywnie na Ankę, jakby chciała się wytłumaczyć.

Ksiądz, zafrasowany, przyglądał się dokumentowi. Regina zastygła w bezruchu przy oknie.

– To w sprawie Gwiazdy – oznajmił.

Anka uniosła brwi. Gwiazda? Dziewczynka ma tak na imię?

– Decyzja sądu rodzinnego. Do wyjaśnienia mała będzie przebywać w pogotowiu opiekuńczym.

– Czyli? – zapytała Dominika.

– U jakiejś rodziny.

Regina się poruszyła.

– Nie dam – odezwała się słabo. – Nie dam im mojego dziecka.

Wyjęła z paczki papierosa i bez zapalania odłożyła go na parapet, po czym usiadła na krześle i zaczęła podwijać bluzkę.

– Nie dam – powtarzała. – Choćbym miała znowu iść do więzienia.

Ksiądz Drzewicki odchrząknął i popatrzył na Gerarda. Mężczyźni wyszli, za nimi wybiegł siedmiolatek. Regina wydobyła pierś z miseczki stanika i wyciągnęła dłonie do Anki. Ta, najostrożniej jak potrafiła, oddała jej dziecko. I natychmiast wyjrzała za okno. Nie widziała ani Gerarda, ani księdza. Została tu sama. Włożyła ręce w kieszenie kurtki i wymacała telefon komórkowy.

Rozglądała się po pomieszczeniu. Wcześniej całą uwagę skupiała na tym, żeby nie upuścić niemowlęcia, a umysł podsuwał jej przed oczy najgorsze scenariusze.

Dookoła gondolki od wózka walały się zniszczone zabawki, lalki, samochody i klocki. Wersalka zaścielona była kocem, na nim piętrzyła się sterta dziecięcych ubranek. Na ścianie wisiało zdjęcie jakiejś rodziny, zegar z pejzażem Lourdes na tarczy. Pachniało zasypką dla niemowląt, proszkiem do prania, ciepłym mlekiem i papierosami.

Anka z Dominiką usiadły na wersalce. Zapadła uroczysta cisza. Anka, chociaż lajkowała wpisy na Facebooku wyrażające oburzenie wobec oburzenia widokiem matek karmiących w przestrzeni publicznej, odwróciła wzrok. Na jej kolana wdrapała się pięciolatka.

– Jaki ładny. – Dziewczynka złapała za jej wisiołek.

Anka delikatnie wyjęła go z ręki małej, czując, jak napina się łańcuszek.

– To nie do zabawy. – Pokręciła głową.

– A dlaczego? – zapytała dziewczynka.

– Bo... – zaczęła Anka i zamilkła.

– Daria, już. – Dominika bezceremonialnie ściągnęła dziewczynkę z kolan Anki. – Daj pani spokój.

Mała wybiegła z izby. Kobiety zostały same. Regina położyła niemowlę w gondolce, otworzyła okno i zapaliła. Anka zastanawiała się, o co powinna teraz zapytać. Do głowy przychodziły jej tylko głupie pytania. Jak było w areszcie? Czy twoja córka naprawdę jest twoją córką? Czy jest wam ciężko? Kto zabił tego chłopca?

– Masz dzieci? – Dominika zapytała pierwsza.
– Nie. – Anka gwałtownie potrząsnęła głową. – Nie, nie.
– Dlaczego?
– Jakoś tak... wyszło. Nigdy nie było okazji, warunków... I nigdy się nie zdecydowałam. – Anka zacisnęła pięści w kieszeniach.

Przypomniały jej się rozmowy przy wigilijnym stole, podchody na ślubach i pogrzebach. Żenujące próby swatania z nierozgarniętymi synami kolegów jej ojca z uczelni. Wszystko po to, żeby jej rodzice wreszcie doczekali się wnuka.

– A co tu decydować? – westchnęła Regina. – Dzieci po prostu się ma.
– Najpierw trzeba mieć rodzinę – odparła Anka.
– Przecież masz chłopca. – Dominika nie dawała za wygraną.
– No tak, ale on jest... – zająknęła się Anka.

Co chciała powiedzieć: że jest tylko na chwilę? Że ona ani się obejrzy, gdy on odstawi leki, zakończy terapię, obroni dyplom i zniknie robić karierę, jeździć po świecie, realizować swoje pasje, marzenia i plany? A jak już się wyszumi i wyszaleje, to pozna dziewczynę w swoim wieku, zbuduje z nią dom, posadzi drzewo i będzie miał syna, któremu da do zabawy starego nikon. Tymczasem dla Anki będzie to ostatni wyskok starszej pani, po którym zostanie jej skórzana kurtka i wygniezione miejsce na kanapie.

– ...bardzo młody – dokończyła.
– Eee. – Dominika machnęła ręką. – Jakby on był Cygan, toby już miał przynajmniej trójkę.

Anka się zirytowała. To ona przyjechała zadawać pytania. A tłumaczy się jak u cioci na imieninach z tego, że czas ucieka, a ona nawet bez pierścionka.

– Skoro już jesteśmy przy dzieciach, to jest coś... ktoś – poprawiła się – o kim powinniśmy porozmawiać.

Naczelnym z zagadkowym uśmiechem przyglądał się Bastianowi.

– Co tam słyhać, Strzygón? – zapytał.
– A świetnie, dziękuję. – Bastian potrząsnął czupryną, ciekaw, skąd u szefa taka jowialność.

– Jak tam twój tajemniczy materiał? – ciągnął naczelnym. – Twoja petarda?

Kąciaki w dół. Trzymać gardę. Udało się tyle razy, to uda się i teraz.

– Pracuję intensywnie.

– A kiedy zobaczymy efekty tej intensywnej pracy?

Bastian przełknął ślinę.

– Trudno powiedzieć. – Patrzył naczelnemu prosto w oczy. – To delikatna, śledcza sprawa. Muszę być ostrożny, żeby tego nie spalić.

Szef wziął do ręki leżący przed nim na biurku egzemplarz „Horyzontu”. Zaczął go przeglądać.

Bastian przestąpił z nogi na nogę. Ma już iść? Audiencja skończona?

– Przypomnij mi, Strzygoń – podjął lekkim tonem naczelny – czy w tym numerze jest coś, do czego przyłożyłeś paluszek? Jakiś reportaż? Notka do *Horyzontu tygodnia*? Spis treści?

– No... – zawahał się Bastian. – Nie ma.

– Nie ma – powtórzył naczelny. – Podobnie jak tydzień temu. A przypomnisz mi, za co ci płacimy co miesiąc?

W środku cały się wił. Miał ochotę oprzeć się kłykciami o biurko, wykrzyczeć szefowi w twarz, że nie ma ochoty wysłuchiwać takich zagrywek, że nie przyjechał tu na praktykę, tylko uprawiać prawdziwe dziennikarstwo, które wymaga czasu. I zatrzaskać za sobą drzwi. Ale bał się, że zatrzaskałyby je raz na zawsze.

– Za pisanie – odburknął posłusznie.

– Dobrze, że się zgadzamy. – Szef się uśmiechnął. – Wiesz, co to oznacza? Czas ci ucieka. Nie będziemy czekać na twoje fajerwerki w nieskończoność. Chyba że masz jakiś plan B. Zdziwiłbym się, gdybyś nie miał.

– Oczywiście, że mam – zachnął się teatralnie Bastian.

Naczelny wygodniej rozsiadł się w fotelu.

– Słucham.

– No więc... – zaczął Bastian, intensywnie myśląc. Naczelny zrobił minę, jakby chciał go pouczyć, że nie zaczyna się zdania od „no więc”.

Dziennikarz się zdecydował.

– Znasz sprawę tego dziecka z... – złapał się na tym, że nie pamięta nazwy miejscowości, w której to się działo – ...romskiego koczowiska?

Naczelny uniósł brwi.

– Mam dostęp do kogoś, kto ma dostęp do śledztwa. I ona, ta osoba – poprawił się Bastian – twierdzi, że policja jedzie po bandzie.

– Na przykład?

– Nie chcę rzucać oskarżeń, dopóki wszystkiego nie posprawdzam. – Bastian wypiął pierś i odetchnął z ulgą, widząc aprobujące skinienie głową. – Ale to może być mocne.

– Tylko że to temat Jadzi... – Naczelny się zamyślił. Z jego twarzy zniknął ironiczny grymas.

– Jadzia pisze publicystykę – podchwycił natychmiast Bastian. – Ona tam nie pojedzie patrzeć policji na ręce, nie pójdzie do slumsów rozmawiać z ludźmi. Ona z za biurka napisze, co o tym wszystkim sądzi, gdy już wszystko się wyjaśni.

Naczelny zmrużył oczy.

– I na pewno zrobi to świetnie – dodał szybko dziennikarz. – Ale tymczasem ja mogę podziałać. Do takich historii mnie zatrudniliście, prawda? Nie po to, żebym pisał notki do *Horyzontu tygodnia*. Albo spis treści.

Naczelnny gładził okładkę „Horyzontu”.

– Porozmawiam z Jadzią – powiedział powoli – i dam ci znać.

Otworzył pokrywę laptopa. To był znak, że Bastian może odejść.

Dziennikarz zamknął za sobą drzwi i wytarł dłonie w spodnie. Wrócił do biurka i usiadł naprzeciwko Jadzi, która nie raczyła zaszczycić go spojrzeniem, obrażona, że nie dał jej namiarów do Anki.

Niech się jeszcze poboczy, pozłości, pouśmiewa sarkastycznie. Bo niedługo nie będzie jej do śmiechu. Ale się zdziwi, pomyślał Bastian. Naczelnny jest nadętym snobem, ale jest też starym dziennikarskim wygą. Umie rozpoznać temat i wie, że dla niego warto zaryzykować kwas w redakcji.

Tylko co on, Bastian Strzygoń, z tym tematem zrobi?

Przez twarz Reginy przebiegł cień. Dominika poruszyła się niespokojnie. Zapadła cisza.

– Ja dotrzymałam słowa – przypomniała Anka. – Wasza kolej.

Regina zaciągnęła się głęboko. Głos zabrała Dominika:

– Musisz nam zaufać. Nikt od nas nie zamordował tego dzieciątka.

– Skąd wiecie?

Regina zgasiła papierosa w pękniętej popielniczce.

– Tu każdy o każdym wszystko wie – powiedziała.

Anka zastanowiła się, czy Dominika nie popatrzyła znacząco na siostrę.

– Policji to nie wystarczy. Nawet jeśli ja wam zaufam – dodała, wcale nie taka pewna, czy jest na to gotowa – to wam nie pomoże. Wiem – sięgnęła na swoim mentalnym regale do półki z fachową literaturą o Romach – że *gadziom* nie wolno wyjawiać tajemnic. Ale to się obróci przeciwko wam. Musicie mi powiedzieć wszystko, co wiecie. Dla dobra całego Kamienia.

Dominika uśmiechnęła się drwiąco.

– O, jak ty nas znasz – wycodziła. – Tylko że my nic nie wiemy.

– Tak? A Regina twierdzi, że tu wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą.

– Inne rzeczy. – Dominika uciekła wzrokiem.

– Jakie? – drążyła Anka.

– Kto pije. Kto bije. Kto kradnie. Kto zarobił i kogo stać. Kto pożyczył. Kto nie oddał – wyliczała Dominika. – Kto ma kłopoty. Kto jest chory. Kto wyjechał. Kto wrócił. Kto nie wrócił. Komu ktoś umarł.

Znowu ukradkowa wymiana spojrzeń? Regina objęła się ramionami, patrząc gdzieś w przestrzeń.

– Co tu się dzieje? – zapytała Anka.

– Jak to co? Wszystko! – Dominika poderwała się na nogi. – Ludzie nas nienawidzą. Ostatnio chłopaczyska z drugiej strony rzeki kazały moim dzieciom wypierdalać do Syrii! Mówią, że będą nas wysiedlać. W sklepie już nam nie sprzedają na zeszyt, pracy nie ma, nawet do jabłek! Z opieki społecznej coraz mniej

pieniędzy, a wszystko coraz droższe. A my możemy tylko pożyczać kasę i łątać wybite okna szmatami i kartonem. Naprawdę chcesz wiedzieć, co się tu dzieje?

– Chcę – powiedziała Anka. – Jeżeli mamy odkryć prawdę...

– A kto tu chce prawdy? – prychnęła Dominika. – Wiesz, jak się mówi: kowal zawinił, a Cygana powiesili. Żeby tak się o nasze dzieci starali, żeby tak poszukiwali prawdy, kiedy...

Urwała. Anka śledziła wyraz twarzy to nieruchomej Reginy, to Dominiki, która teraz chodziła po pomieszczeniu z rękami założonymi na piersiach. Coś się między nimi działo, to pewne. Ale nie mogła się zorientować co.

– Zaraz... – Spróbowała złapać uciekającą myśl. – Tu się coś wydarzyło?

Dominika zacisnęła wargi.

– Żeby tak się o wasze dzieci starali? Tu u was zginęło dziecko?

Kobiety milczały. W ciszy pobrzmiwały zza okna ujadanie psa i pokrzykiwania dzieci.

– Miałyście ze mną rozmawiać! – krzyknęła Anka, podnosząc się z miejsca. Niemowlę zakwiliło. Obie kobiety spojrzały na nią karcąco. – Powtarzacie, że muszę wam zaufać – syknęła stłumionym, ostrym głosem. – Wy też musicie zaufać mnie, do cholery!

– Jak ci mamy zaufać, skoro zaraz polecisz na policję i wszystko psom powtórzysz? – Dominika wzięła się pod boki. – Sama mówiłaś: my nie donosimy *gadziom*.

– Wiedziałaś, że pomagam policji. – Anka wzruszyła ramionami. – Ale skorzystałaś z mojej pomocy.

Kobiety wymieniły spojrzenia. Anka dużo by dała, żeby je odczytać.

Wreszcie Regina się poruszyła. Odwróciła się od nich i oparła czoło o szybę.

– Bóg daje dzieci i czasem dzieci zabiera – wyszeptwała.

– Byli tu tacy – dodała niechętnie Dominika – co im się dziecko zgubiło.

Zaginęło. Chłopiec mały.

– Jak to się stało? – przerwała jej Anka.

Znowu zapadła cisza.

– Wiem, że wiecie – naciskała. – Przecież tu wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, tak?

– Nie pamiętam – odparła Dominika. – Było dziecko i nagle nie ma dziecka.

– To było zgłoszone na policję? – pytała dalej Anka. – Były jakieś poszukiwania? Dochodzenie?

– Pewnie było zgłoszone, bo przyjechały *gadzie* z Sącza, zrobiły awanturę, jak się okazało, że dziecko nie ma papierów. Bo jak może zginąć dziecko, którego nie ma? A potem przestały się interesować.

– A rodzice tego dziecka? Mogę z nimi porozmawiać?

– Oni to dziecko bardzo kochali – wtrąciła Regina. – Nawet pożyczili

pieniądze, żeby je leczyć.

– Nie mieszkają tu – pospieszyła z odpowiedzią Dominika. – Wyjechali na Zachód.

– Leczyć? Dziecko było chore? – podchwyciła Anka. – Na co?

– To dawno było, może rok, może dwa lata, a może dawniej, kto to pamięta... – Regina się zamyśliła.

– Proszę, przypomnij sobie. – Anka nachyliła się do niej. – Kiedy to było?

– Nie wiem, *oda sas tajsa* – szepnęła Regina.

– Myślisz, że to ważne? – Dominika oparła się o futrynę.

– Wszystko może mieć znaczenie – powiedziała ostrożnie Anka. – To musi zostać sprawdzone przez policję.

– Miałam rację, że zaraz poleci do psów!

Kobiety zaczęły mówić jedna przez drugą w języku, którego Anka nie rozumiała. Regina po cichu, Dominika emocjonalnie. Co i raz któraś wskazywała na Ankę ręką albo kręciła głową.

– *Helade? Helade lile tukie ciawores, a mires Pawłos pomarde! Mek żadno dzadio amengie na pomogindzia!*

– *A raszaj?*

– *A raszaj to so innego, raszaj nane cia gadzio. Gadzie kamen kaj te wylidzias pes kadarik!*

Anka była zupełnie zdezorientowana.

– Ej!

Zamilkły i popatrzyły na nią.

– Ja tu jestem!

– Chcemy, żebyś nam pomogła – oświadczyła w końcu Dominika. – Ale im mniej wygadasz na policji, tym lepiej. Powiedz im tylko to co konieczne.

– Ale jak mam nic nie mówić policji? Przecież to oni prowadzą śledztwo!

– A ty nie możesz? – Regina wzruszyła ramionami.

– Ja? Jak to ja? – Anka zaczęła szybciej oddychać. – Ja jestem antropologiem kulturowym.

– Przecież policja cię wzięła do tej roboty – stwierdziła Dominika. – To znaczy, że się znasz.

– Ja? – Anka czuła wzbierający lęk. To się znowu działo. – Ja umiem tylko... rozumieć... a nie rozumiem nic...

Dominika nagle znalazła się bardzo blisko niej. Mocno złapała ją za przedramię. Ścisnęła.

– Anna – powiedziała poważnie. – My przywykli, żeby nie oczekiwać cudów. To i tak dużo, że w ogóle przyjechałaś. Nie możesz się teraz bać. Bo widzisz... – Dominika zawiesiła głos. – My też się boimy.

– Czego się boicie? – zapytała Anka. – Że zrobią z was czarownice

do spalenia?

– Nie, nie rozumiesz – przerwała jej Dominika. Popatrzyła na siostrę. Regina wbiła w Ankę spojrzenie swoich głębokich czarnych oczu.

– O nasze dzieci się boimy – wyjaśniła.

*

Drzwi gabinetu naczelnego trzasnęły tak mocno, że Bastian poczuł, jak na jego biurku zadrżał kubek. Jadzia toczyła się przez *open space* jak kula ognia. Dopadła biurka, oparła się pięściami o blat, a potem wycelowała w Bastiana palec.

– Pierdol się, Strzygoń – syknęła.

– Spokojnie. – Bastian pierwszy raz słyszał, żeby Jadzia przeklinała. Zdjął słuchawki i wyciągnął przed siebie ręce. – Cokolwiek się stało, nie ma potrzeby, żeby się tak denerwować.

– Brzydzi mnie nawet to, że muszę z tobą rozmawiać. – Jadzia podnosiła głos, nachylając się do niego przez blat. – Siedzę tu z tobą, dzielę się przemyśleniami, pomagam ci – wyliczała, jakby dzień w dzień pijali tu sobie z dzióbków – a ty mi taki numer wycinasz. Więc to są te twoje słynne metody śledcze? Kradniesz tematy innym dziennikarzom?

Bastian wysunął podbródek do przodu. Uśmiechał się pojednawczo, chociaż dużo go to kosztowało.

– Jadzia, nie używaj takich słów i nie rób scen przy ludziach. – Rozejrzył się po redakcji, szukając oparcia. Nadaremno. Karcący wzrok, zaciśnięte usta, ściągnięte brwi. Nikt nie wysłał sygnału, że Bastian może liczyć na sprzymierzeńca.

Poczuł suchość w ustach i mrowienie w palcach.

– Scen?! Niech inni usłyszą, co z ciebie za menda, Strzygoń! Niedługo nikt nie będzie chciał z tobą pracować! – krzyczała dalej Jadzia. – Z taką fałszywą, bezwzględną, wyrachowaną gnidą jak ty! Może ci się wydawać, że jesteś niezły, ale intelektualnie to ty jesteś zerem, i nawet ta twoja ruda pinda ci nie pomoże. Bastian Strzygoń, człowiek bez poglądów i bez właściwości!

Usłyszał kilka pomruków aprobaty i pogardliwych prychnięć.

– Moje poglądy to moja sprawa. – Bastian przestał się uśmiechać. – Nie muszę ich wciskać wszystkim do gardła.

– Jak dla mnie to możesz je sobie wsadzić głęboko w dupę. – Jadzia zaczęła zbierać z biurka swoje rzeczy: notes, szklankę i laptopa. – Nie mam ochoty nawet na ciebie patrzeć.

Odeszła, szurając rozwiązanymi adidasami, i trzasnęła drzwiami salki konferencyjnej.

– Mistrzostwo świata w strzelaniu focha do celu – rzucił Bastian, ale nikt nie odpowiedział mu nawet krzywym półuśmiechem.

Wstał od biurka i tanecznym krokiem oddryfował do kuchni. Gdy był już

pewien, że nikt go nie widzi, zaklął pod nosem i cisnął kubek do zlewu. Nastawił kawę, ekspres spieniał mleko, a Bastian pierwszy raz, odkąd tu pracował, pomyślał, że wcale nie ma ochoty wracać do biurka.

Do kuchni wszedł naczelny i ceremonialnie zaczął upychać swój lunchbox do zmywarki, rzuciwszy niezadowolone spojrzenie na kubek w zlewie. Zgodnie z zasadami *savoir-vivre*'u, okazując szacunek człowiekowi pracy, Bastian powinien ułatwić sprzątacze życie i w sposób zoptymalizowany umieścić brudne naczynie w maszynie zmywającej, sprawdziwszy uprzednio, czy proces mycia już się nie rozpoczął.

– Już wiesz, że możesz się zająć tym tematem – oznajmił naczelny, biorąc sobie z lodówki selerowe smoothie. – Dziewczyny z HR-u podbiją ci delegację. Bierz faktury na firmę, byle nie na alkohol.

– Dzięki – mruknął Bastian, starając się przywołać na twarz nonszalancki uśmiech.

– I oczekuję efektów. – Szef upił napoju i się skrzywił. – A Jadzią się nie przejmuj. Jak napiszesz coś naprawdę dobrego, to ci wybaczy. Albo cię znienawidzi. W sumie to nie wiem. Będziesz musiał się przekonać.

Anka wyszła na drogę. Zmrużyła oczy od niskiego, popołudniowego słońca, które lizało linię drzew. Zakręciło jej się w głowie. Ruszyły razem z Dominiką przed siebie, milcząc. Wcześniej powiedziane zostało niewiele, ale i tak wystarczająco dużo. Pies pobiegł za nimi.

Zauważyła motor, który obsiadły dzieci. Prym wśród nich wiódł siedmioletni synek Reginy. Robiło się późno, a Gerard musiał wracać do Gliwic, bo rano miał zajęcia na uczelni. Poszła w górę wioski, w stronę rozciągającej się powyżej domów łąki.

Gerard opierał się o barierkę pastwiska i na wyciągniętej dłoni podawał koniowi cukierka. Koń najpierw niuchnął donośnie, a potem zmiotł cukierka wargami. Chłopak pogładził zwierzę po chrapach i podrapał po szyi. Koń nadstawił się i szturchnął go nosem w ucho.

– Co za komitywa – zaśmiała się Anka.

– Stęskniony był – Gerard uśmiechnął się kącikiem ust – chociaż zdziczyły. Długo się czał, zanim pozwolił się dotknąć, a teraz się domaga. Zupełnie jak ty.

Trzepnęła go w rękaw kurtki.

– Ty też masz nowego przyjaciela – powiedział.

Odwróciła się i zobaczyła, że pies przyszedł za nią aż tutaj. Gwizdnęła. Szczeknął, pomachał ogonem i odbiegł na bezpieczną odległość, skąd dalej merdał ogonem.

– Biega za mną, zaczepia, łasi się, ale jak chcę podejść bliżej i go pogłaskać, to warczy i ucieka. Zupełnie jak ty.

Sprzedął jej prztyczka w nos. Palce pachniały mu koniem. Anka patrzyła, jak

popołudniowe słońce wydobywa rude refleksy w jego zaroście. Przemknęło jej przez głowę pytanie, czy gdyby mieli dziecko, byłoby rude. Mały, ryży rozrabiaka z poobijanymi kolanami, narwany po tacie i uparty po mamie. Albo piegowata kujonica z rudymi warkoczykami, przemądrzała po mamie i skryta po tacie.

Natychmiast wypchnęła tę myśl z głowy i zaryglowała za nią drzwi.

Ktoś szedł ku nim przez łąkę. Poznała z daleka tę okazałą sylwetkę. Mężczyzna miał okrągłą smagłą twarz i posiwiałe skronie. Ukłonił się im i zaczął głaskać konia po grzbiecie, przemawiając do niego w romani. Koń nie mógł się zdecydować. To obracał głowę w stronę mężczyzny, to patrzył na Gerarda, sprawdzając, czy chłopak nie ma w ręce jeszcze jednego cukierka.

– Piękne zwierzę – pochwalił Gerard.

– Tak – przyznał wójt. – Zwykle nie pozwala obcym się dotykać.

– Więc czujemy się wyróżnieni. – Anka uśmiechnęła się niezręcznie.

– Ty byłaś u Reginy – powiedział mężczyzna, nie patrząc na nią. Dalej gładził szyję zwierzęcia, wplatał palce w jego grzywę i ją rozczesywał. – Regina mówi, że jej pomożesz.

– Tak. – Anka otworzyła szerzej oczy. Tu rzeczywiście wszyscy natychmiast wszystko wiedzą.

– A pomożesz? – zapytał od niechcienia.

Zrozumiała, o co pyta. Gdy pierwszy raz wsiadała w Krakowie do autobusu, była pewna, że pomoże tu wszystkim. Teraz nie знаła odpowiedzi.

– Chcę jej pomóc – odrzekła powoli. Mężczyzna odwrócił się do Anki i spojrzał na nią głęboko osadzonymi oczami.

– Chodźmy – powiedział.

Przesadził ogrodzenie i niespiesznie ruszył w stronę zabudowań. Poszli za nim. Kątem oka Anka obserwowała, jak ludzie na nich patrzą. Dzieciaki, które obsiadły motor, rozpięchły się, gdy synek Reginy gwizdnął przeciągle i zeskoczył z siedziska.

– Nikt niczego nie ruszał. – Wziął się pod boki i wyszczerzył mleczone zęby. – Jedziemy?! Obiecałeś!

– Załóż to. – Gerard podał mu kask.

– Eee, muszę? – Chłopiec zmarszczył nos.

– Nie ma kasku, nie ma jazdy.

Chłopiec posłusznie wykonał polecenie. Anka poczuła się nieswojo, patrząc, jak to dziecko zakłada jej kask, i natychmiast skarciła się za tę myśl.

Gerard wsiadł na motor, za nim wgramolił się chłopiec i objął go w pasie wątlymi rączkami. Silnik zawył i Gerard ruszył z wizgiem opon, ale dużo wolniej niż zwykle. Minał grupkę dzieci i specjalnie wjechał w kałużę, rozbryzgując fontannę wody. Dzieci pognały za nimi z piskiem, dorośli wybuchnęli śmiechem. Anka zauważyła, że podchodzą do nich teraz nawet trzymający się zwykle

na dystans mężczyźni.

– Markus. – Wójt podał Ance rękę.

– Anna. – Uścisnęła jego szorstką dłoń. Uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech.

– Co mu się stało w twarz? – zapytał.

– Bandy ci go pocięli – odpowiedziała.

– Dlaczego?

– Powiedział prawdę policji.

Mężczyzna powoli skinął głową. Gromadzący się wokół nich ludzie zaczęli coś mówić, nie rozumiała ich, ale rozumiała, co wyrażają ich twarze. Rozluźnione, rozpogodzone, niektóre nawet wesołe. Jakby jeszcze niedawno widoczne w ich oczach iskrzenie na chwilę się rozładowało. Skądś pojawił się ksiądz Drzewicki. Mignęła jej twarz Dominiki, która mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– *Inkie gadzien kadej janas?! –* dobiegł ich donośny męski głos. Ludzie się odwrócili. Na uboczu stał wysoki mężczyzna z długimi włosami związanymi w kitkę. Ubrany był w wyciągnięty podkoszulek i dzinsy. W garści dzierżył siekiere.

– *Już mangie te ciandoł pes kamel kalendar gadziendar! –* krzyczał. – *Na kamaw buter te dikoł gadzien, a tu Markus, nane tut prawos te janel len kadej! Mek tu Dominika? Tu tisz?*

– *Sas man łacha umowa! –* odkrzyknęła kobieta wysokim, szorstkim głosem.

– *I joj o ław na dolikierdzia, na kierowała peskie mujestar smietnikos! A sar koja gadzi ori na pomaginta amengie, korkori la wygoninawa! –* Wskazała zamasyście na Ankę i zasłoniła ją sobą. Ta stała pośrodku, zupełnie zagubiona. Wiedziała, że nie jest dobrze. Zauważyła, że kilka osób spochmurniało. Gest Dominiki wzięła za dobrą monetę. Zdumiało ją, że ta drobna kobieta potrafi tak głośno krzyczeć.

– *Użar Dominika! –* warknął mężczyzna, czując najwyraźniej, że sympatia większości nie jest po jego stronie. – *Khere peskie mek powakieracha!*

– *Kaj miri ciang tiraha bulacha peskie te na powakiero!* – odkrzyknęła. Kilka kobiet się roześmiało. Mężczyzna splunął na ziemię, odwrócił się i odszedł.

– Nie przejmuj się tym wariatem. – Dominika puściła do niej oko.

– Kto to?

– Mój mąż.

Znowu rozległy się śmiechy. Ktoś poczęstował ją papierosem, wzięła go jak we śnie, ktoś podał jej ogień. Zapaliła. Nikotyna pomagała się uspokoić, a Anka czuła, że właśnie dzieje się coś bardzo ważnego.

Wrócili. Chłopiec zeskoczył z motoru, zdarł z głowy kask, rzucił go na ziemię i pobiegł podekscytowany do innych dzieci.

– *Kada ej najfeder motoris po swetos! –* krzyczał. – Ale było super! – Odwrócił się i pomachał do nich, podskakując w miejscu. – Przyjedziecie jeszcze?!

Gerard popatrzył pytająco na Ankę. Anka na Markusa. Ten uśmiechnął się samymi oczami. Skinął głową.

– Przyjedziemy. Na pewno – obiecała Anka, czując, że każde jej słowo waży jak kamień.

W mieszkaniu Bastian nie mógł znaleźć sobie miejsca. Ugotował supkę miso, przekartkował najnowszy numer „Horyzontu”. Sięgnął do barku, ale przypomniało mu się, że znajomi z Krakowa wypili całą wódkę, wiśniówkę i nawet likier miętowy. W lodówce znalazł butelkę wina, którą ktoś przyniósł na parapetówkę i tak została od tamtej pory.

Wino było wytrawne, na kontretykcie kusiło aromatem dojrzałych czerwonych owoców i skórzanego paska, ale jemu wydało się cierpkie. Pomyślał o „Horyzoncie”, o tym, że gazeta jest dla niego jak to wino, które ktoś kupił w sklepie Marka Kondrata za kilkadziesiąt złotych, a on nie potrafi go docenić. Cóż poradzi, że lubi szoty i kolorowe drinki, a winiarski snobizm nudzi go jak rozmowy, które jego koledzy toczyli o globalnym ociepleniu, nowej ekonomii i hybrydowej wojnie. Może to nie jest miejsce dla niego, może nigdy nie było i nigdy nie będzie. Czasami wydawało mu się, że we „Fleszu” pracowało mu się lepiej.

Teraz będzie mógł zająć się taką robotą, jaką lubi. Co z tego, że kompletnie nie znał tematu? Oprócz tego, co usłyszał od Jadzi i od Anki, nic nie wiedział o Romach i tym całym Kamieniu. Czyżby wpakował się z deszczu pod rynnę i tylko odroczył egzekucję?

Ale jest tam przecież Anka. Chociaż wolałby uniknąć proszenia jej o pomoc kolejny raz.

Zerknął na telefon. Kusiło.

W szafce pod telewizorem Anka znalazła tylko samotne rafaello. Ani butelki czerwonego wina, ani żadnego likieru, ani nawet czekoladek z alkoholem. Otworzyła lodówkę. Na górnej półce leżała butelka wódki Absolut. To była sonda, która służyła jej do sprawdzania, czy u Gerarda dzieje się coś, o czym nie chce jej mówić. Jak ostatnio, kiedy za projekt, nad którym siedział cały weekend, dostał najlepszą ocenę na roku, a była to jedyna praca robiona w pojedynkę, nie w grupie. Cóż z tego, skoro wykładowca przy całej sali pozwolił sobie na komentarz, że projekt jest świetny, tylko nie wie, któremu Kelerowi pogratulować. Anka spędziła ten weekend w Gliwicach i wiedziała, że Gerard nie dał ojcu nawet popatrzeć sobie przez ramię. Niewiele się odzywał, ale z dnia na dzień ubyło pół butelki.

Nalała sobie wódki i uzupełniła sokiem pomarańczowym. Wypiła jak lekarstwo i położyła się na kanapie. Ustąpiło napięcie w ramionach, które towarzyszyło jej, odkąd pierwszy raz znalazła się w Kamieniu. Jakby na jej barkach spoczęła odpowiedzialność, z którą nie wiedziała, co zrobić. Sama

przecież nie jest w stanie przeprowadzić żadnego śledztwa, nawet amatorskiego, chociaż to właśnie obiecała tym ludziom.

Sama – nie. Ale...

Wzięła do ręki telefon. Długo gładziła dotykowy ekran. Dołała sobie wódki i soku, wypła duszkiem, odstawiła szklankę do zlewu. I znowu sięgnęła po telefon.

W tę stronę jeszcze się to nie odbywało.

Odnalazła numer. Głuchy sygnał zadzwonił jej w uszach.

– Cześć, Bastian. – Głos Anki zabrzmiał jakoś inaczej. Bez podejrzliwości, bez ironii, bez wyrzutu. – Co słytać?

– W sumie średnio – odpowiedział, zanim zdążył wyrecytować swoją formułkę, że cudnie, fajnie i gites. – Wkurzyli mnie w robocie, więc siedzę w domu i piję alkohol, którego nie lubię.

– Ha, to zupełnie jak ja. – Wydawało mu się, że uśmiechnęła się smutno. Spodziewał się, że powie raczej coś w stylu: „To istnieje alkohol, którego nie lubisz?”.

– A u ciebie? U was? – poprawił się. – Wszystko w porządku?

Zdziwiła się. Spodziewała się raczej kąśliwego komentarza o jej młodocianym świntuchu.

– W porządku. Dzięki, że pytasz. Kto cię tak wkurzył w robocie?

Nie wyczuł w jej pytaniu złośliwości. Dziwne.

– Jadzia – wypalił, chociaż najchętniej zbyłby ją jakimś „nieważne”.

– Mam nadzieję, że to nie przeze mnie – zatroskała się. Raczej szczerze.

– Poniekąd – mruknął.

– To przepraszam. Nie chciałam narobić ci kłopotów. – Pomyślała, że właśnie zamierza wpakować go w tarapaty.

– Zapomnij, foch Jadzi Rajchert to mój najmniejszy problem. – Łyknął wina i się skrzywił.

– Coś się dzieje? Chcesz pogadać? Możemy przeskoczyć na Skype’a.

– Nie, spoko, dzięki. – Czuł się nieswojo. Dawno tak z Anką nie rozmawiał. Dawno nie rozmawiał tak z nikim. – Temat mi nie wypalił i muszę wymyślić coś nowego. Może coś o tych waszych Romach... – Zawiesił głos.

– O, widzisz, ja dzwonię właśnie w tej sprawie. – Anka poczuła ulgę, że sam wywołał ten temat. – Bo tak sobie myślę, że to jest idealna sprawa dla ciebie. Dla nas. Ja tej policji nie wierzę, a sama nie dam sobie rady. I pomyślałam, że może spróbowałibyśmy tak jak kiedyś, wiesz, razem...

Bastian słuchał i czuł, jak jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– Tym ludziom trzeba pomóc – ciągnęła. – Kto stanie w ich obronie, jeśli nie czwarta władza, skoro trzy pozostałe dają ciała?

– A jak się okaże, że oni nie są tacy niewinni? – zapytał. Wolął ustalić reguły na początku. – Ja może jestem fałszywą, bezwzględną, wyrachowaną mendą –

parsknął – ale nie mam w zwyczaju ukrywać prawdy. I może jestem człowiekiem bez poglądów i właściwości, ale pod tezę nie będę pisał, chociażby nie wiadomo jak była słuszna.

– Jasne. – Usiadła prosto na kanapie. – Dokładnie o takie podejście mi chodziło. Full profeska. Zero ściemy. To co, Bastian, zrobisz to ze mną?

Nie zdążyła ugryźć się w język i zamarła, spodziewając się niesmacznego komentarza, po którym będzie zmuszona znowu się na niego obrazić.

– *Deal* – odpowiedział, zastanawiając się, czy nie powinien jeszcze się poopierać, jak panią z dobrego domu w objęciach nauczyciela rysunków. Ale wolał kuć żelazo, póki gorące.

– Super. – Nie sądziła, że tak łatwo pójdzie. Było to nawet dość podejrzane. – To co teraz?

– Czekaj na mnie, przyjadę lada dzień. – Wstał z kanapy. Musiał to przyznać sam przed sobą: nie mógł się doczekać. – I nie jeźdź tam sama, nic nie rób, najwyżej przygotuj mi wszystko, co wiesz.

Rozłączył się. Znowu uśmiechnął się od ucha do ucha.

Wylał resztę wina do zlewu i włożył buty do biegania. Pierwszy raz, odkąd je kupił, miał ochotę ich użyć. Pogwizdując, zbiegł po schodach i ruszył truchtem przez osiedle.

Anka odłożyła telefon, zastanawiając się, kto podmienił Bastiana. I czy to dobry znak, czy wręcz przeciwnie.

Sylwia układała ciuchy w walizce. Sprane džinsy, bluza z dziurą, kostium, szpilki, bojówki i dres. Dorzuciła ręcznik i piżamę. Z biurka wyciągnęła paszport. Już zamykała szufladę, gdy zadrżała jej ręka. Usiadła przy biurku i wyjęła szarą kopertę, już kruszącą się ze starości na rogach. Nie zaglądała do niej od lat. Ostrożnie wyjęła ze środka kilka zdjęć.

Pierwsza komunia. Na skwerku przed kościołem fotograf robił zdjęcia wszystkim dzieciom. Te z bidula dostały swoje za darmo, bo z fotografa był dobry człowiek. Dziewczynka miała włosy splecione w warkoczyk, ręce pobożnie złożone. Pamiętała, że bała się dotykać białej alby, żeby jej nie pobrudzić. Za jej plecami, z dłonią na jej ramieniu, stał mężczyzna w śliwkowym garniturze. Nie miał jeszcze łysiny, nisko pochylał głowę, patrząc spode łba. Wyglądał bardziej na zakapiora niż na przyszłego agenta służb. Inne dzieci dostały tego dnia od rodziców rowery, gry Nintendo, złote łańcuszki. Ona dostała od Łukasza kupiony na bazarze zegarek elektroniczny. Nie pamiętała, co się z nim stało. Pewnie go wyrzuciła, kiedy się zepsuł.

Dwie dziewczynki w ławce, za nimi mapa Polski, paprotka, przed nimi piórniki i tabliczka „Klasa I e”. „E” – czyli specjalna. Szkoła była piękna, wyremontowana i integracyjna, ale nie lubiła jej. Nie lubiła nauczycieli, którzy mówili do niej głośno i powoli, jakby nie rozumiała. Nie lubiła dzieci, które śmiały

się, że w klasach specjalnych śmierdzi. Lubiała za to dziewczynkę, co siedziała koło niej. Nie śmiała się z niej, nie dokuczała. Niewiele mówiła. Miała zespół Downa.

Wzięła w ręce kolejne zdjęcie. Urząd stanu cywilnego, poważna urzędniczka i orzeł na ścianie. Ci ludzie to jej rodzice. Przejęci, jakby smutni. Jej ojciec w garniturze i z muchą. Nie potrafiła doszukać się u siebie rysów jego twarzy. Jej matka, zawstydzona, kuli się. Biała bluzka z poduszkami na drobnych ramionach, długa czarna spódnica. Świadkowie, o pół kroku za nimi. To jedyne zdjęcie, jakie jej zostało po rodzicach. Nie wiedziała, czy nie było więcej, czy ktoś je zabrał. Nie wiedziała o nich nic.

Ostatnie zdjęcie przedstawiało rodzinę jej matki. To musiało być wesele albo jakaś większa impreza. Przy stołach rozstawionych w sadzie siedzieli ludzie. Rozmawiali, śmiali się, jedli. Duże kołnierze, wąsy, łańcuszki, korale, wzorzyste chusty i spódnice. Mężczyźni osobno, kobiety osobno. Próbowwała odszukać w tym tłumie swoją matkę, ale nie miała pewności, która to. Wszystkie te kobiety wyglądały tak samo. Nigdy nie szukała kontaktu z tą rodziną. Bo i po co? To przecież obcy ludzie. Nie miała z nimi nic wspólnego. Nic oprócz koloru skóry, genów, które naznaczyły ją na resztę życia.

Schowała kopertę do szuflady i poszła do łazienki spakować kosmetyczkę. Zawsze uważała, że świetnie się nadaje do tej roboty. Dziewczyna bez rodziny, bez przeszłości, bez planów na przyszłość, bez zobowiązań i bez demonów. Nagle zawahała się, podniosła głowę i popatrzyła w lustro. Przez jeden krótki moment zobaczyła w swojej twarzy rysy matki, a w nich rysy twarzy wszystkich kobiet ze zdjęcia.

„Cyganczka”, przypomniało jej się, jak wołały na nią panie w szkole.

Nagle zapragnęła jednym silnym ciosem krav magi rozwalić lustro w drobny mak. Zawsze wierzyła, że może być, kim chce. Że ten brak, ta pustka, którą czuje, to wolność. Ale być może jednak ma swojego demona.

Może wreszcie będzie musiała się z nim zmierzyć.

– *Dlaczego, synku, odwracasz wzrok?*

– *Nie widzisz, tato? Popatrz tam, w bok.*

Król olch mnie wabi, korona mu lśni.

– *To tylko mgła. Coś ci się śni.*

(...)

– *Nie zwlekaj, chłopcze! Mam córek moc!*

I z nimi się będziesz bawił co noc.

Śpiewając, tańcząc, powiodą cię hen

I tam ukolysz, aż zmorzy cię sen...

(Johann Wolfgang von Goethe, ballada *Król olch*,
przeł. Antoni Libera)



ROZDZIAŁ 7

– Sebciu, to my wychodzimy. – Elegancko ubrana kobieta z bukietem kwiatów w ręce wsunęła głowę przez szparę w drzwiach. – W kuchni jest ciasto, poczęstuj koleżankę.

– Dobrze, mamó – mruknął Bastian. Przez tyle lat się nie nauczyła, że między pukaniem a otwarciem drzwi należy odczekać jakieś trzy sekundy.

Szczęknął klucz i Bastian wstał od biurka.

– Nalać ci coś? – zapytał. – Mogę ci zrobić drina. Chyba że mama ma gdzieś koniak.

– Nie, spoko, Sebciu. – Anka się rozejrzała. – Słuchałeś U2?

Z plakatu nad łóżkiem patrzył na nią Bono w niemodnych okularach.

Rodzice Bastiana od lat nie mogli zdecydować się na remont, więc jego pokój zachował wystrój z lat szczenięcych. Odkąd wyprowadził się z domu, nie mógł się nadziwić, że tak długo mu to nie przeszkadzało.

W Krakowie zrobił rytualny obchód po knajpach, odespał kaca i objadł się domową kuchnią: tak podobną, a tak inną od tego, co jadał teraz na co dzień. Nie *ramen*, tylko rosół, nie burger, tylko mielony i nie *kimchi*, tylko kiszona kapusta. Twarz bolała go od ciągłego uśmiechania się i powtarzania, jak mu w tej Warszawie dobrze.

Anka proponowała, żeby spotkali się u niej, jeśli towarzystwo Gerarda mu nie przeszkadza. Przeszkadzało. Więc zaprosił ją do siebie. Nie pomyślał tylko, że będzie musiał jej pokazać to muzeum późnych lat dziewięćdziesiątych.

– Podsumujmy. – Przejrzał notatki. – Chłopiec w wieku około pięciu lat zostaje znaleziony na obrzeżach rzymskiej osady. Sekcja wykazała, że dzieciak został uduszony. Wcześniej chorował, najprawdopodobniej był to jakiś żołądkowo-jelitowy wirus. Czy inne dzieci w osadzie też chorowały?

– Nie wiem. – Anka była zaskoczona. Nie pomyślała, a powinna o to zapytać.

– To bardzo zaraźliwe. Znajomi, co mają dzieci w przedszkolach, mówią, że wystarczy, że jedno zachoruje, i cała grupa ćwiczy rzyganie synchroniczne. Więc jeśli inne dzieci nie chorowały, to znaczy, że nie miały kontaktu z chłopcem. Co mogłoby świadczyć na korzyść Cyganów.

– Romów – poprawiła go Anka.

– A jeśli też chorowały... – kontynuował.

– ...to również nic nie znaczy – dokończyła. – Przy tym szambie mogły

chorować niezależnie.

Bastian dopisał coś do swoich notatek.

– Będziemy musieli o to dopytać. Dalej. Skąd ten dzieciak w ogóle się wziął?

– Nie wiadomo. – Anka pokręciła głową. – Policja sprawdza zaginięcia w rejonie Nowego Sącza, nawet do kilku lat wstecz.

– Bardzo mądrze. – Bastian włożył do ust końcówkę pióra. Anka się zjeżyła. To była ostatnia rzecz, jaką chciałyby powiedzieć o postępowaniu tamtejszej policji. – I co?

– I chyba nic. Pojadę w poniedziałek do Sącza, to się dowiem.

– To też znaczące. – Bastian się zamyślił. – Jak komuś ginie dziecko, to pierwsze, co robi, to rozwałka na pół kraju. Trąbi w mediach, oferuje nagrody, angażuje prywatnych detektywów. Małej Madzi szukała w pewnym momencie cała Polska. A tu cisza. Co to może znaczyć?

Przyłożyła palec do ust.

– Że rodzice mają coś do ukrycia? – zapytała.

– To mi przypomina sprawę tego dziecka ze stawu w Cieszynie. Tam dopiero opieka społeczna się zainteresowała, że dziecko zniknęło. Nie tak łatwo zgubić dziecko, gdy w grę wchodzi obowiązek szkolny, karta szczepień i tak dalej. Chyba że...

– ...dziecko nie ma papierów. Jak córeczka Reginy – dokończyła Anka.

– I jesteśmy z powrotem przy Cyganach. – Bastian rzucił pióro na biurko.

– Romach – poprawiła.

Odwrócił się do komputera i w zamyśleniu stukał w obudowę laptopa.

– Chyba że... – powtórzył, patrząc w ekran. – Anka, powiedz, co widzisz.

Podeszła i założyła ręce na piersiach, spoglądając w monitor.

– Google Maps? – mruknęła.

– Tu jest Kamień, popatrz dokładnie. – Zaczął intensywnie bębnić palcami o blat. – Mówisz, że sprawdzają zaginięcia z rejonu Nowego Sącza. A gdzie jest bliżej z Kamienia: do Sącza czy... – przesunął mapę niżej – ...na Słowację?

– O cholera, Bastian, chyba nikt o tym nie pomyślał. – Nachyliła się nad monitorem. – Dzisiaj łatwiej przekroczyć granicę, niż kupić kartę SIM. To równie dobrze mógł być mały Słowak!

– Bingo. – Bastian kreślił zamasyście w swoim notatniku. – Trzeba sprawdzić, czy na Słowacji nie zaginęło jakieś dziecko. Tu, po drugiej stronie granicy, są same góry, ale niedaleko jest na przykład Poprad. Czy policja jest w kontakcie ze Słowakami?

– Nie wiem – westchnęła Anka. – Oni jadą po linii najmniejszego oporu, a ich metody są wyjątkowo prymitywne. To, co zrobili w Kamieniu, to nie była nawet rewizja, to był kipsz. I co to w ogóle za odpowiedzialność zbiorowa? Jakby

w tym bloku znaleziono zwłoki, to czy przeszukiwano by mieszkanie po mieszkaniu? I jeszcze się dziwią, że mieszkańcy nie chcą z nimi rozmawiać. Cyganie, przepraszam, Romowie porywający dzieci...

– Czeka, czeka. – Bastian zamachał rękami. – Powiedziałaś coś ważnego. Jeśli założymy, że rodzice nie są winni, to ktoś musiał małego porwać. Po co się porywa dziecko?

– Dla okupu – powiedziała. – To pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

– Z czego ci ludzie tam żyją? – zapytał Bastian, notując.

– Z opieki społecznej. Dorabiają przy pracach sezonowych. Sprzedają złom, odzyskują metale z elektroniki. I pożyczają.

– Od kogo? – pytał dalej. – Bo chyba nie w banku.

– Pewnie biorą chwilówki. – W zamyśleniu drapała się po przedziałku. Ciągle miała wrażenie, że swędzi ją głowa.

– A przestępczość? Tam musi być jakieś podziemie. I wcale nie dyskryminuję. Gdzie bieda, tam patola, wiadomo.

– Mogę spróbować się dowiedzieć – powiedziała powoli.

– Dobra. Więc pierwszy scenariusz to porwanie dla pieniędzy. Ale kto jeszcze porywa dzieci? – zapytał Bastian i sam sobie odpowiedział: – Pedofile. Mówiłaś, że ten cały ksiądz pracuje z dziećmi... – myślał głośno.

– I co z tego? – Anka się zaperzyła. – Ksiądz Drzewicki to przesympatyczny człowiek, chodząca cierpliwość i chrześcijańskie miłosierdzie. A że ksiądz to od razu pedofil? Ale ty stereotypami jedziesz...

– Rzucam tylko pomysłami. – Bastian posłał jej zły uśmiech. – Przychodzi mi do głowy jeszcze handel organami albo nieszczęśliwy wypadek, ale to mało prawdopodobne. Tak jak tajemne rytuały albo cygańska magia, czego też nie wykluczam.

Wyrwał kartkę z notesu i zaczął na niej coś kreślić.

– Co to za bohomyzy? – zapytała Anka.

– Próbuję sobie to rozrysować. – Przesunął kartkę w jej stronę. – Wiemy tylko tyle, że ofiara to białe dziecko NN. I że ciało znaleziono w romskiej osadzie, gdzie żyje sobie jeszcze jedno białe dziecko NN. Oba fakty są dosyć niezwykle, bo z tego, co mówisz, to społeczności białych i Romów raczej się nie mieszają. Pytanie brzmi: czy to, że zwłoki znaleziono właśnie tam, jest znaczące? Sprawca mógł porzucić w tym miejscu ciało, bo to tam doszło do zbrodni, działał w pośpiechu, w emocjach, nie zastanawiał się. To może wskazywać na kogoś z osady. Ale też mógł wybrać to miejsce z konkretnego powodu. Na przykład...

– ...żeby rzucić podejrzenie na Romów – uzupełniła Anka.

– Więc mamy dwa zbiory. Białe dzieci. – Narysował jeden okrąg. – I Cyganie, przepraszam, Romowie. – Dorysował drugi, nachodzący nieznacznie na ten pierwszy. – Kogo znajdziemy w części wspólnej? – Bastian zawiesił głos.

Anka zmarszczyła czoło.

Dziennikarz w części wspólnej okręgów postawił zamasytą kropkę.

– Księżda! – wykrzyknął triumfalnie. – Sama mówiłaś, że on pracuje z dziećmi, pomaga Romom i dobrze zna Kamień, uchodzi tam za swojego. Należy do obu światów. I to on znalazł zwłoki chłopca, nie? – mówił coraz szybciej. – Książkowy podejrzany!

Przerwał i zastanawiał się przez chwilę.

– I jest jeszcze Regina – dodał. – Cyganka, co ma białe dziecko. Do tego dochodzi hipotetyczna postać rodem z tych, jak to ty mówisz, dziewiętnastowiecznych bajek odróżnorodniających.

Anka przewróciła oczami.

– Złowieszcy Cygan porywający dzieci – skrzywił się Bastian – albo ktoś, kto chce, żeby to tak wyglądało.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko szum wentylatora w laptopie.

Dziennikarz zebrał notatki.

– Pora w teren – obwieścił. – Będę cię tam potrzebował. Po pierwsze, żeby wiedzieć, co robi policja. – Anka spięła się, ale się nie odezwała. – A po drugie... Oni w końcu z tobą gadają czy nie?

– Lody zostały przełamane. – Uśmiechnęła się.

Bastian zamknął za Anką drzwi i wrócił do komputera. Dorobił sobie drinka, sięgnął po telefon i długo przewijał kciukiem książkę adresową.

Ten facet to była jednoosobowa instytucja, kopalnia wiedzy, chodzący rentgen, który prześwietli każdego. Bastian nigdy nie spotkał go osobiście. Skontaktował się z nim przez sieć, gdy pracował nad materiałem o szkole muzycznej. Facet prowadził na Facebooku profil poświęcony sprawcom molestowania dzieci. Jak się później okazało – prowadził też działalność dużo bardziej wnikliwą.

Tropił, docierał, ujawniał. Ze słowotoku dzieciaków na forach potrafił wyluskać alarmującą sugestię. Na czatach udawał nieletniego, prowokował. Nurkował w czarną sieć, w TOR-a. A potem kojarzył informacje, demaskował pedofila i wystawiał go policji i mediom. Miał na koncie kilka głośnych spraw. Wziętego adwokata, prefekta z seminarium, lokalnego polityka, kierownika placówki opiekuńczej. I dyrektora szkoły muzycznej, którego pomógł dopaść Bastianowi.

Dziennikarz był przekonany, że skubaniec ma też informatorów w różnych kręgach, w tym w Kościele. Sprawiał wrażenie szczególnie ciętego na księży. Bastian podejrzewał też, wnioskując z przemycanych między wierszami półsłówek, że facet sam miał traumę z dzieciństwa. A dzisiaj się mścił.

– No cześć – przywitał się Bastian. – Jak tam walka z Babilonem?

– Strzygoń – głos po drugiej stronie był wyprany z emocji – to nie jest

śmieszne.

– Wiem, ludzkie dramaty. – Chętnie miałby już z głowy ten cały *small talk*.

– A co u ciebie, pracujesz jeszcze w „Horyzoncie”? Bo dawno cię tam nie widziałem.

– Oczywiście, że pracuję. I właśnie w tej sprawie dzwonię...

Przycisnął ramieniem do ucha komórkę i uwolnił ręce. Szybko wyszukał w Google, przeklikał i odpalił zakładkę „Nasi wikariusze”. Przeczytał biogram księdza Drzewickiego. Zasłużony w pracy z młodzieżą, katecheta, dyplomowany przewodnik turystyczny. Interesuje się historią regionu i śpiewem.

Ze zdjęcia patrzył na niego około czterdziestoletni mężczyzna z zakolami, łagodnym uśmiechem i gitarą przewieszoną przez plecy. Do niego garnęły się dzieci. Dziewczynki z kilkoma kilogramami nadwagi i ledwie zarysowanymi pod luźnymi podkoszulkami biustami ukrytymi w przygarbionych ramionach. Pulchni, niewysocy chłopcy, o których mógłby się założyć, że nie zaczęli jeszcze mutacji. Dzieci stały boso na plaży i trzymały transparent „Oaza Ruchu Światło-Życie, Ustka 2014”.

– Potrzebuję sprawdzić jednego celibatariusza – nawijał Bastian. – Ksiądz Karol Drzewicki z parafii w Zabrzeży. Diecezja tarnowska.

– Co z tego będę miał? – Głos po drugiej stronie był rzeczowy.

– Jak coś znajdziesz, to pomożesz wyciągnąć za łeb z szafy kolejnego zboczeńca. Jak nie znajdziesz, to uratujesz bogobojnego człowieka przed pomówieniem. A, i jeszcze może przyczynisz się do złapania mordercy – dodał jakby mimochodem Bastian. – Zabił jednego chłopca.

– Mordercy? – Głos się ożywił.

– Medialna sprawa, pewnie słyszałeś. Chodzi o to dziecko z romskiej osady. Pomożesz mi?

– Dobra. Tylko daj mi trochę czasu.

Mężczyzna się rozłączył. Bastian łyknął drinka. Patrzył na zdjęcie, na uśmiechnięte dzieci i równie uśmiechniętego księdza. Na zaróżowione od słońca blade policzki, łydki i ramiona. Ani jedno dziecko z tej grupy nie było smagłe, choć wszystkie pochodziły z parafii w Zabrzeży. Zamknął stronę i wrócił do wyszukiwarki.

Uruchomił Google Translate i przełączył język na słowacki.

*

Anka weszła do sypialni, Gerard odłożył książkę i podniósł się na łokciu.

– Co tam u Bastiana? – zapytał.

– Pozdrawia cię – skłamała. – Nie nudziłeś się beze mnie?

– Kiedy tylko poszłaś, zapukała jedna z twoich zasuszonych sąsiadek, że w łazience jej się leje – westchnął. – I spędziłem wieczór, bawiąc się w hydraulika. Na koniec dostałem kieliszek koniaku i dwa cukierki. Zostawiłem ci

jednego, chcesz?

Zauważyła talerzyk na nocnej szafce. Znowu jadł w łóżku, w pościeli będzie pełno okruszków. Obok leżała książka założona obgryzionym ołówkiem. Udało jej się go oduczyć łamania okładek, teraz musi się zająć tym obślinionym ołówkiem, który trochę ją brzydził. Potem jej wzrok powędrował pod okno. Poczowała irracjonalny stres.

– Gert, czy ty zrobiłeś pranie? – zapytała.

– Jak wyszedłem od tej kobiety, to byłem cały mokry, śmierdziałem syfonem, potem i naftaliną, więc dorzuciłem jeszcze twoje ciuchy i wstawiłem pralkę. Jak mi spodnie nie wyschną do jutra, to mam problem.

– Grzebałeś w moich brudnych majtkach – wycedziła. – Ty naprawdę jesteś zboczony.

Zacisnął szczęki. To nie brzmiało jak przekomarzanie się.

– Anka, znowu masz jakiś problem?

Kiedy przyjeżdżał, wkładała najlepszą bieliznę, którą kupowała na wyprzedażach albo dostawała od niego. W tygodniu nosiła sprane majtki i wygodne, chociaż mało efektowne staniki. Takie jak ten, który wisiał koło jego podkoszulka, wielokrotnie pocerowany w miejscu, gdzie robiła się dziura od wystającego fiszbinu. Zastanawiała się, czy któraś z jej brudnych rzeczy była w stanie, którego on nie powinien oglądać. Zdziwiła się, jak bardzo nie spodobała się jej myśl, że on dotykał jej nieświeżych bluzek, przepoconej piżamy, używanych majtek. Przewlókł i rozprostował jej skarpetki, które zawsze wrzucała do kosza na brudy zwinięte w kulkę.

– A właśnie że mam problem! – wypaliła. – Ktoś ci pozwolił? Nie życzę sobie, żebyś grzebał w moich rzeczach, szczególnie w brudnej bieliźnie. Pamiętaj, że jesteś tu gościem.

– Jestem chyba pierwszym facetem w historii zjebanym za zrobienie prania.

– Wstał z łóżka. Minał ją w drzwiach.

– Dokąd idziesz? – rzuciła.

– Goście śpią na kanapie.

– Wracaj tu. – Poszła za nim.

– Nie. – Zwalił się na kanapę, aż jęknęły sprężyny. Przeszło jej przez myśl, że on kiedyś rozwalił jej ten mebel.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Uparty jak dziecko. Jasne, obraź się, zrób scenę, jeszcze trzaśnij drzwiami!

– I kto tu robi sceny? Właśnie odwinęłaś mi za to, że śmiałem ci uprać ciuchy. Wygłaszasz tyrady o tym, jak to facet powinien się angażować w prace domowe, a potem mnie opieprzasz za coś takiego. Nie kumam, *sorry*, za głupi jestem.

– Nie chodzi mi o to, że zrobiłeś pranie. – Wsunęła palce we włosy. – Tylko... że zrobiłeś to bez pytania.

Czym się tak zdenerwowałam? – pomyślała, gdy usłyszała sama siebie. Chyba tym, że traci kontrolę nad własnym mieszkaniem. Odkąd się tu pojawił, już nie mogła być pewna, gdzie w lodówce stoją masło, ser czy wędlina, bo zawsze łądowały gdzie indziej. W przedpokoju wygospodarowała półkę na kaski i jego plecak, który i tak zawsze leżał gdzieś na podłodze. Parę razy o mało się o niego nie zabiła. W przeróżnych miejscach znajdowała jego rzeczy, kserówki z hiszpańskiego w łazience, jego laptopa pod poduszką – wracał się wtedy po niego spod bramek w Mysłowicach – kolekcję kubków z zasuszonymi torebkami po jego stronie łóżka. System składowania naczyń w kuchni też się posypał, widelce wymieszały się z łyżkami, szklanki z kubkami. Podokręcał jej gniazdka, opadające drzwiczki, naprawił cieknący prysznic, ale też – o zgrozo – przestawiał jej książki. Chyba nie zdarzyło się, żeby odstawił książkę na miejsce, tylko wtykał ją na regale byle gdzie, a potem ona musiała układać je od nowa. W nocy, w łóżku, świecił jej po oczach smartfonem. Używał jej kosmetyków. Nie wykręcał gąbki do naczyń, tylko zostawiał ją mokrą na dnie zlewu. Zagnieździł się w jej życiu i narobił bałaganu.

– Chciałem zapytać, czy mogę iść spać – odparował – czy będziesz mnie jeszcze za coś opieprzać.

– Idź spać, jasne – zachnęła się.

– *Sorry*, zmęczony jestem. Uratowałem babcię od powodzi, a na koniec ogarnąłem tego grata w twojej łazience – powiedział, przykrywając się kocem. – Przez chwilę nawet czułem się bohaterem w swoim domu.

– W moim domu – poprawiła go machinalnie.

– Przepraszam – mruknął spod koca. – W twoim domu. Dobranoc.

Sylwia zaparkowała golfa na podwórku i wysiadła. Dom miał trzy kondygnacje, spadzisty dach z blachodachówki i tablicę z napisem „Kwatery u Góralki. Tanio i dobrze”. Gdakały kury. Sylwia zamknęła oczy. Słoneczne ciepło musnęło jej powieki, eksplodując w rój czerwonych mroczków.

– Prawie jak urlop. – Marek zarzucił sobie torbę na ramię. – Podoba mi się.

Podeszli do wejścia, Sylwia wcisnęła dzwonek i po drugiej stronie rozległy się nierówne kroki. W przesłoniętej od wewnątrz zasłonką szybce w drzwiach mignęła im twarz kobiety.

– Kto tam? – Drzwi nie uchyliły się ani na milimetr.

– My na kwaterę – powiedziała Sylwia. – Mamy tutaj pokój od dzisiaj.

– Nie ma miejsc.

– Ale przecież rezerwowaliśmy przez internet. – Sylwia podniosła głos. – Mamy potwierdzenie.

Drzwi powoli się otworzyły. Niska, starsza kobieta wytarła ręce w fartuch,

wzięła od Sylwii wydruk maila i przysunęła go sobie pod nos. Sylwia spojrzała na Marka, który drapał się po niedogolonym czerwonym policzku, potem na swoją bluzę z dziurą na łokciu. Nie ma się co dziwić. Cyganka i pijak, wymarzeni lokatorzy.

– Płacimy z góry. – Sięgnęła do portfela i zaczęła przeglądać banknoty. Zauważyła błysk w oku kobiety. – Możemy zaokrąglić do całych stówek.

Kobieta starannie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła dookoła domu. Z kieszeni fartucha wyjęła pęk kluczy i otworzyła drzwi do sutereny. Nada się, stwierdziła Sylwia. Zależało jej na kwaterze z osobnym wejściem, a tutaj będą mieli spokój. Kobieta zapaliła światło, weszli i Marek rzucił torbę na podłogę. Niska ława i wersalka, obrazek na szkle i wyszywany krzyżykami portret Jana Pawła II. Dwupalnikowa kuchenka elektryczna i zarośnięty kamieniem zlew. W sypialni dywanik z owczej skóry i nocna lampka z soli himalajskiej. W łazience marmurkowe płytki i wyczuwalny zapaszek źle zamontowanego syfonu. Kobieta szybkim ruchem przejęła od Sylwii pieniądze, dała jej klucz i ulotniła się, mruczając, że zostawiła zupę na kuchni.

Zostali sami. Marek otworzył lodówkę. W środku były dwie tatry.

– Chcesz jedno? – zapytał.

– Zostaw to – syknęła.

– Spokojnie. – Zamknął lodówkę i rozsiadł się na kanapie, wyciągając ramiona na oparciu. – Odpocznę trochę i może się przejdę.

Przyniosła z auta swoją walizkę i pojechała do Biedry po zakupy. W okolicach lady z wędliną zorientowała się, że ochroniarz chodzi za nią krok w krok. Uchwyciła jego spojrzenie, nie odwrócił wzroku. Aby go zdenerwować, przechadzała się niespiesznie po sklepie, brała do ręki produkty, czytała etykiety, odkładała je z powrotem na półkę. Zdawała sobie sprawę, że ludzie zwracają na nią uwagę. Ale tu było inaczej. Bardziej. Przy kasie ku zaskoczeniu kasjerki zapłaciła smartfonem, puściła oko do swojego anioła stróża i wyszła.

Długo jeździła bez celu. Dotarła aż do Szczawnicy, gdzie zauważyła budynek socjalny obwieszony unijnymi gwiazdkami. Wychodziła z niego drobna Romka z dzieckiem na ręku. Na podwórku bawiła się jeszcze czwórka maluchów. Pewnie mają ją tu za kogoś takiego jak ta kobieta.

Uchylone drzwi do kwatery zaniepokoiły ją już na podwórku. Pchnęła je i ostrożnie weszła do pomieszczenia, bezszelestnie odstawiając reklamówkę z zakupami na podłogę. Dwie puste butelki po piwie stały na ławie, w łazience szumiała woda. Zakręciła kran i na palcach ruszyła do sypialni.

Marek leżał na łóżku na wznak z szeroko rozrzuconymi ramionami. Sylwia schyliła się i podniosła z podłogi butelkę z kiczowatą etykietą i szyjką obwiązaną złotym sznurkiem. Szturchnęła Marka w nogę. Wymamrotał coś i zachrapał, wionąc nieprzetrawionym bimbrem.

Co ja narobiłam? – pomyślała. Miała ochotę rozwalić mu tę butelkę na głowie. Ale tylko zamknęła za sobą drzwi i wylała resztę płynu do zlewu. Potem cisnęła flaszkę do śmieci.

Może zapomnieć, że Marek do czegokolwiek jej się przyda. Powinna napisać notatkę służbową, bo on naraża nie tylko siebie, ale i ją. Naraża całą służbę. Ale przecież to Marek. Nie zostawił jej, kiedy to ona miała kłopoty, krył jej niesubordynację, trzymał ją za włosy, kiedy rzygała, odchorowując swojego pierwszego trupa. Nie może wbić mu noża w plecy.

Ale to ostatni raz. Jak to wszystko się skończy, namówi go na odwyk, a jeśli nie będzie chciał, zagrozi, że wszystko powie Łukaszowi.

Na razie to ona popełniła fatalny błąd. Zabrała alkoholika do Łącka.

– No to poskarżyła się pani na nas w Krakowie, co? – rzucił Głód.

Anka wytrzymała jego spojrzenie. Młodszy policjant wydał jej się sympatyczny. W drucianych okularach i koszuli w kratę wyglądał jak student informatyki. Głód, dzisiaj w pomarańczowym polarze, na twarzy miał złośliwy grymas.

– Ja nie jestem od ułatwiania panu życia – powiedziała spokojnie. – Jestem od tego, żeby się z nimi komunikować. A nie dogadałabym się z nikim w Kamieniu, gdyby ta dziewczyna siedziała u was pod kluczem.

Podkomisarz założył ręce na piersi i przechylił głowę.

– Wam się wydaje – zaczął, powstrzymując złość – że my tutaj tylko dręczymy słabszych, a jak nam się znudzi, to dla relaksu idziemy w krzaki z fotoradarem. A my tymczasem ustaliśmy, czy ktoś na przykład nie porwał dziecka. I kto zabił inne dziecko. Wie pani, co to jest mataczenie? Sąd nie wydał na czas decyzji o tymczasowym aresztowaniu. Obawialiśmy się, że kiedy ta dziewczyna wróci do swoich, podogaduje sobie świadków. Dlatego ją przeterminowaliśmy, ryzykując własne dupy. A teraz to wszystko i tak poszło się chesać. Kraków kazał puścić ptaszynę do gniazdka, bo pani doktor się gniewa. Więc liczę na to, że ma pani jakiś pomysł, jak dotrzeć do naszych przyjaciół w Kamieniu.

Anka się nie odezwała, bo musiałaby się z nim zgodzić, a wcale nie miała na to ochoty. Wyciągnęła przed siebie otwarte dłonie.

– Panowie, jesteśmy po tej samej stronie. Zaczniemy jeszcze raz?

Głód wskazał jej krzesło i sam usiadł za biurkiem.

– Wróciłam do Kamienia. Na własną rękę – oznajmiła.

Policjantom nie udało się ukryć zaskoczenia.

– I chyba mam coś ciekawego... – Zawiesiła głos i z satysfakcją obserwowała, jak młody policjant szeroko otwiera oczy, a podkomisarz czerwienieje.

– No i? – warknął Głód.

– A panowie znaleźli jakieś zaginione dziecko, którym mógłby być nasz chłopiec? – zapytała, nie odpowiadając.

– Być może. – Młodszy policjant chrząknął, a Anka nadstawiła ucha. – Mamy sprawę z Tylmanowej, sprzed trzech lat. Będziemy sprawdzać, czy to nie nasz mały NN.

– Co to za sprawa?

– Pani doktor! – przerwał Głód, chociaż ten drugi już otwierał usta do odpowiedzi. – Czego się pani dowiedziała w Kamieniu?

– Tam też zaginęło dziecko – odparła, odczekawszy chwilę. Przekonywała samą siebie, że nie zrobiła tego dla efektu. – Jakies trzy lata temu. Romskie dziecko, chłopczyk. Nie wiedzieliście?

– Jest pani pewna? – Sławek poprawił okulary. – Ja sam sprawdzałem zaginięcia i z Kamienia nie było w rejestrach nic.

– Dziecko nie miało papierów – wyjaśniła. – Zapewne nie może formalnie zaginać ktoś, kto nie istnieje.

– Cholerni Cyganie – prychnął Głód. – Do urzędu to ruszą dupę tylko wtedy, kiedy są pieniądze do wzięcia. A co to ma w ogóle wspólnego z naszą sprawą? Zakładając nawet, że mówili prawdę, to nie może być chłopiec NN. Ten był biały.

– Jak to co ma wspólnego?! – Anka aż się podniosła na krzesło, a młodszy policjant zerknął ze zdziwieniem na podkomisarza. – Tutaj giną dzieci. Chłopiec z osady – zaczęła wyliczać, rozprostowując kolejne palce. – To dziecko z Tylmanowej, o którym mówiliście. Mały Rom. Według pana to się nie wiąże?

Głód wzruszył ramionami.

– Ja prowadzę konkretną sprawę trupa pięciolatka z cygańskiego koczowiska. Nie będę teraz zbawiał świata. Ja wiem, że dla kobiet wszystkie dzieci nasze są, ale ja muszę się skupić na robocie. Kręgi w kapuście też mam zbadać?

– Mogę spróbować to sprawdzić – zaproponował aspirant. – Tylko pani doktor musiałaby mi powiedzieć coś więcej.

– Oni mówili, że zgłaszali sprawę. Ktoś przyjechał, zrobił awanturę, że dziecko nie ma papierów, i pojechał. Więc jeśli policja tutaj nie jest skupiona wyłącznie na siedzeniu w kapuście – rzuciła Głodowi wściekłe spojrzenie – to powinna po tym zostać przynajmniej notatka służbowa.

– Dobra, Sławek, sprawdź to – mruknął Głód. – W wolnej chwili. Wie pani, my tu mamy urwanie głowy. O sprawie trąbią w mediach i dzwonią ludzie, często jacyś parapsychiczni, opowiadają niestworzone historie, a my to potem musimy sprawdzać.

Chłopak kiwnął głową. Anka stanęła przed wiszącą na ścianie mapą i przyłożyła palec wskazujący do ust.

– A ze Słowakami jesteście panowie w kontakcie? – zapytała.

– Ze Słowakami? – zdziwił się Głód, chociaż przelotnie popatrzył na mapę. –

Mamy wystarczająco dużo problemów z Nowym Targiem, jeszcze nam Słowaków potrzeba do szczęścia.

Sławek podszedł do ściany i przesunął palcem po mapie. Od Kamienia w dół.

– Wiesz, Janusz, naszego Króla olch mogą nie obchodzić granice powiatów...

– Króla olch? – powtórzyła Anka.

– No... – Chłopak się zmieszał. – Jest taki wiersz Goethego: „*Wer reitet so spät durch Nacht und Wind?*”...

– Tak, znam *Króla olch* – przerwała mu. Głód przewrócił oczami.

– ...a że granice państw to teraz też tylko linie na mapie... – Sławek się zadumał. – Przynajmniej w naszym kawałku świata...

W tym momencie bez pukania wszedł dyżurny z grubą kartonową kopertą.

– Janusz, kurier właśnie ci to przywiózł z komendy wojewódzkiej. Wyniki z labu.

Głód poderwał się zza biurka, ale Sławek był szybszy. Anka nadstawiła ucha.

– To wyniki badań mikrośladów z ubrania chłopca. – Aspirant wyglądał, jakby rozpakowywał pod choinką xboxa. Przebiegał wzrokiem przez dokumenty. – Na ubraniu były włókna!

Głód ścisnął palcami nasadę nosa.

– Sławek, proszę cię. Kryminolog ze mnie średni, ale wiem, że ubrania robi się z włókien, nie?

– Włókna syntetyczne, nie pochodzące z ubrania dziecka – referował niezrażony aspirant. – Piszą, że z takich włókien często wykonane są wykładziny samochodowe! Jeśli ma się podejrzanego z samochodem, to da się porównać włókna z próbkami z jego auta i z ogromnym prawdopodobieństwem ustalić, czy z niego pochodzą!

Przewrócił kolejną kartkę. Zamilkł. Anka i Głód przyglądali mu się bacznie.

– I myśmy tego nie zauważyli? – Chłopak rzucił papiery na biurko, między Głoda a Ankę. Nachylili się.

Patrzyli na zdjęcia rozłożonego na blacie ze stali nierdzewnej ubrania: zbliżenie na bluzę, detal rozprutej podszewki z paskiem papieru oklejonym z obu stron taśmą klejącą. A na nim niebieskim długopisem wypisane okrągłym pismem wyraźne cyfry.

963999810119

– Co to jest? – wychrypiał Głód.

– Czekaj, numer telefonu? – Przez chwilę Sławek poruszał bezgłośnie wargami. – Nie, jest dwanaście cyfr, a numery komórkowe mają dziewięć,

z kierunkowym państwa jedenaście.

– A jakiś słowacki numer? – Głód klepał w klawiaturę. – Nie, u Janosików zaczynają się na czterysta dwadzieścia jeden.

Anka przestała słuchać, jak liczą, że PESEL też ma jedenaście cyfr, i zastanawiają się, jak sprawdzić, czy to może być numer polisy u któregoś ubezpieczyciela albo konto bankowe. Jak rozważają, czy to szyfr i czy mógł go zostawić sprawca. Wiedziała, że tutaj, teraz, nie odkryje jego znaczenia.

Skupiła się więc, żeby te cyfry dobrze zapamiętać.

Bastian wybrał pensjonat, który mieścił się w widełkach, a widełki ustalał ktoś, kto rzadko ruszał się poza Warszawę. Dietę też dostał taką, jakby miał jadać steki z angusa i pić trzy razy dziennie kawę w Starbuniu. W realiach Polski B czyniło go to krezusem.

W Łącku zameldował się w pensjonacie, wypił kieliszek śliwowicy, który dostał na powitanie, przetestował łącze internetowe i ruszył na rekonesans.

Wszystko tu było sympatyczne i wesołe, ale pozbawione góralskiej bombastyczności z Zakopanego. Kolorowe, schludne domy, równiutkie chodniki z polbruku, unijny dobrobyt spod znaku dwunastu gwiazdek, do tego roześmiani turyści w ciuchach z Decathlonu i pulchni poszukiwacze lokalnych smaków pozujący na Tomasza Jakubiaka. Nic nie wskazywało na to, by tlił się tu jakiś konflikt.

Zagadywał ludzi. Pytał, jak się żyje. Byli mili, odpowiadali komunałami albo narzekaniem na nasze czasy. Bastian zastanawiał się, czy ma wypisane na czole, że jest dziennikarzem, czy może w ramach szkoleń z Europejskiego Funduszu Społecznego mieszkańcy przeszli kurs *media relations* dla początkujących. Starał się nie wyróżniać. Żadnych bananowych spodni, drogiego sprzętu ani skomplikowanego słownictwa. Zdążył się nauczyć, że ludzie najbardziej się otwierają, gdy mówią do lustra.

Kelnerka w gospodzie Pod Jabłkiem podała mu kartę zrobioną tak, jakby knajpa dopiero co przeszła kuchenną rewolucję. Wybrał kaczkę z łąckim biojabłkiem, na przystawkę żur, a do picia cydr od Maurera przekornie nazwany „Jabcokiem”.

– Ale tu u was fantastycznie – zagadał, kiedy kelnerka przyszła zabrać talerz po zupie. – Pyszne jedzenie, górskie powietrze, piękne kobiety... – Kelnerka się splonila. – Ludziom się powodzi. Żyć nie umierać, prawdziwy raj.

– Eee, co pan mówi – powiedziała kobieta. – Wszędzie są jakieś problemy. U nas też.

– Na przykład? – podchwycił. – Trudno mi to sobie wyobrazić.

– Na przykład te jabłka. Kuzyn ma sad i jak opowiada o tych przepisach, zielonych listkach, gwiazdkach, to, proszę pana, ja nie wiem, kto jest w stanie tak produkować. A ludzie to się teraz o wszystko pytają, czy lokalne, czy eko, bo jak

nie, to kręcą nosem. – Kelnerka z impetem postawiła na stole butelkę cydru i się zreflektowała. – Przepraszam. Pan też wziął ten z ekologicznych jabłek. Ja tam wolę ten zwykły, jest słodszy.

– Ale to chyba dobrze, że zrobiła się moda na te jabłka, prawda? Ludzie więcej zarobią.

– Tak, ale dwa razy więcej trzeba się napracować dla jakichś wymysłów urzędniczych. Zwłaszcza że...

Bastian wyczuł wahanie w jej głosie. Ugryzła się w język, chociaż miała na jego końcu coś ważnego.

– Zwłaszcza że...?

Popatrzył na nią spod bujnej czupryny, skierował kąciki ust w dół, uwydatniając dołeczki w policzkach. Kelnerka zmiękła, założyła kosmyk włosów za ucho, oblizwała wargi.

– Zwłaszcza że nie wszystkim chce się pracować – powiedziała. – Nie pracują, a mają. Uczciwy człowiek ręce sobie urabia po łokcie, to mu jeszcze ukradną.

– O kim pani mówi? – zapytał Bastian. Starał się utrzymać z nią kontakt wzrokowy.

– A, nieważne. – Zniżyła głos. – Teraz to nic nie można powiedzieć, bo od razu że dyskryminacja.

– Pani mówi o Romach? – Bastian uniósł brew. – Proszę się nie krępować.

– Żeby to nam państwo tak dawało na piękne oczy – syknęła cicho. – Pan nie wie, ile pieniędzy tu na nich idzie.

– A to nie jest tak, że oni są bardzo biedni? – zapytał Bastian. Postanowił udawać idiotę z Warszawy.

– Proszę pana. – Kobieta pokręciła głową. – Chodziła kiedyś taka jedna z dzieckiem po domach, teściowa jej powiedziała, że nie da pieniędzy, ale chciała dać kanapki. A ta Cyganka zaczęła na matkę wyklinać, wyrzuciła te kanapki i sobie poszła. Albo kuzyn, żeby było taniej, chciał do jabłek zatrudnić Cyganów. I wie pan co? Umówili się z nim i z dziesięciu osób przyszły dwie. Tacy oni biedni.

Kelnerka zorientowała się, że dwa stoliki dalej goście próbują pochwycić jej spojrzenie. Zakręciła się na pięcie i odeszła. Bastian sięgnął po cydr – rzeczywiście był kwaskowy i wytrawny – i wyjął z kieszeni smartfona. *Tymczasem w Łącku – wystukał. Nie pracują, a mają. Uczciwy człowiek ręce sobie urabia po łokcie, to mu jeszcze ukradną. Koniec cytatu. Kurtyna #KamienObrazy.*

Popijał cydr, obserwując, jak pod jego tweetem zaczyna się burza. Retweetowało go kilku dziennikarzy, w tym naczelny. Ktoś wywołał do odpowiedzi Rzecznika Praw Obywatelskich. Bastian poczuł, jak na myśl o kacze z ekojabłkiem cieknie mu ślinka.

Sylwia wyjęła z torebki etui z logo Calvina Kleina, założyła okulary na nos

i zaczęła przeglądać kartę. Nie miała wady wzroku, okulary służyły jej do wywoływania odpowiedniego wrażenia. Długo rozglądała się za kelnerką, którą emablował jakiś przystojniaczek, ewidentnie z Warszawy, i już miała wyjść głodna, gdy kobieta zjawiała się przy jej stoliku, taksując ją spojrzeniem.

– Kaczka z jabłkami... – Sylwia postukała okularami w kartę. – Te jabłka są eko?

– Tak, eko, bio, wszystko. – Kelnerka się skrzywiła. – Lokalne. *Fair trade*. Od sąsiada.

– To eko czy bio? – Sylwia się uśmiechnęła. – Nieważne – dodała uspokajająco, widząc popłoch w oczach kelnerki. – Wezmę tę kaczkę. I kieliszek wina.

Rozglądała się po knajpie. Trochę turystów. Parę lepiej sytuowanych miejscowych rodzin z dziećmi. Jeden samotny facet, szczerzący zęby do telefonu.

Jej telefon też nagle ożył.

Mogę zadzwonić? – pisał Łukasz na WhatsAppie. Sylwia oddzwoniła do niego z aplikacji.

– Jak tam u was? – zapytał. – Jak Marek?

– Spoko – skłamała gładko. – Nawet nieźle.

– Dobrze – powiedział z roztargnieniem. – Chyba mam coś dla ciebie. Jesteś na słuchawkach? Wysłałbym ci coś.

Sylwia wcisnęła sobie w uszy zestaw słuchawkowy, żeby móc obserwować ekran. Kliknęła link, który pojawił się na czacie. *Tymczasem w Łącku* – przeczytała tweeta wysłanego kilka minut temu. *Nie pracują, a mają. Uczciwy człowiek ręce sobie urabia po łokcie, to mu jeszcze ukradną. Koniec cytatu. Kurtyna #KamienObrazy.*

– No i co? – zapytała.

– Wiesz, kto to napisał? – rzucił Łukasz. – Sebastian Strzygoń, reporter śledczy „Horyzontu”. Od dłuższego czasu grzebie przy naszych sprawach, sam się nawet z nim spotkałem. Nagle zjawia się w Łącku. Przypadek? Nie sądzę.

– Czekał – przerwała mu Sylwia. – Ty się spotykasz z dziennikarzami?

– Zdarza się – odpowiedział z ociąganiem Łukasz. – Bywają użyteczni. Ten facet to mój zasób. Wkurzający, ale niegłupi. Dlatego ciekawi mnie, co tam robi i co znalazł. Miej na niego oko, dobrze?

Rozłączył się bez słowa. Odłożyła smartfona i wciągnęła w nozdrza zapach kaczki z jabłkami, która właśnie wjechała na stół. Zdjęła zaparowane okulary z logo Calvina Kleina i zupełnie niedystyngowanie rzuciła się na jedzenie.

– Szarpnę się na tę kaczkę – stwierdził Głód, gładząc się po brzuchu.

– To ja chcę frytki. – Pulchna nastolatka oderwała nos od smartfona.

– Nie – rzucił Głód.

– Dlaczego? – nadąsała się dziewczyna.

– Bo będziesz gruba. Już jesteś.
– A tobie to wolno.
– Basia, nie pyskuj ojcu! – skarciła ją kobieta.
– Weźmiesz coś normalnego albo wcale. Koniec dyskusji. Ja biorę kaczkę.
I gdzie ta dziewczyna się podziała? – Zaczął demonstracyjnie rozglądać się po sali.
Kelnerka od dłuższego czasu rozmawiała z jakimś szpanerem cuchnącym
Warszawą na kilometr. – Do roboty, a nie męża w pracy szukać.

Kelnerka wreszcie zareagowała na jego pantomimę i przyjęła zamówienie.
Kobieta wzięła sałatkę, dziewczyna koktajl malinowy, a Głód specjalność zakładu.
Czyli kaczkę.

– Odłóż tę komórkę, jak z nami rozmawiasz. – Głód wyjął dziewczynie z rąk
telefon i schował do kieszeni. – Poprawiłaś już pałę z polskiego? I z wuefu?

– Z polskiego poprawiłam. A z wuefu nie.

– Pała z wuefu, wstyd. – Głód pokręcił głową. – Dzisiaj gówniarzom nawet
spocić się nie chce.

– A ty? Złapałeś już tego mordercę? – Córka hardo wysunęła podbródek. –
Czy ci się spocić nie chce?

– Basia! – Z twarzy kobiety odpłynęła cała krew. Za to twarz podkomisarza
zrobiła się czerwona.

– No co?! – wypaliła dziewczyna, zanim Głód zdążył się odezwać. – Tobie
to wolno siedzieć godzinami przed telewizorem, a ja mam chodzić na jakieś durne
aikido. Ty sobie idziesz na grzyby, a mnie nie wolno wyjść z dziewczynami,
bo mam się uczyć, jakbym przez cały czas nie zajmowała się niczym innym.
A potem wszyscy mnie pytają w szkole, co takiego robi policja, zamiast szukać
tego zboka, i mam im powiedzieć, że co, że poszła na ryby? Albo kiedy wreszcie
policja złapie tego mordercę i kiedy zrobi porządek z...

– Dość – warknął Głód. – Ale te baby się ostatnio bezczelne zrobiły –
syknął, kątem oka dostrzegając przy stoliku w kącie burzę rudych włosów. –
Jeszcze raz się tak do mnie odezwiesz, to porozmawiamy inaczej. A na razie
zapomnij, że twój szlaban kończy się w piątek.

– Ale tato! – zaprotestowała dziewczyna.

– Już – syknął Głód i zapchał sobie usta kaczką.

*

Anka wcisnęła się w kąt, gdzie stał ostatni wolny stolik. Zapach pieczonych
jabłek przywodził na myśl coś świątecznego.

– Przepraszam, że nie mogłem podjechać do pani do Sącza – usprawiedliwił
się ksiądz Drzewicki. – I teraz też nie mam za dużo czasu. Ale pomyślałem,
że możemy się spotkać w połowie drogi. Ja wezmę tylko herbatę, ale jeśli pani ma
ochotę na coś do jedzenia, to proszę się nie krępować.

– Desery wyglądają smakowicie. – Anka oblizała wargi. – Ta szarlotka to

z lokalnych jabłek? – zapytała, gdy przy stoliku zmaterializowała się kelnerka.

– Oczywiście. – Dziewczyna nerwowym gestem poprawiła włosy. – Lokalne, bio, eko, wszystko.

Herbata z imbirem rozgrzewała. Anka poczuła senność, najchętniej zwinęłaby się tu w kłębek. Tymczasem czekał ją jeszcze powrót autobusem do Krakowa.

– Chciałabym księdzu podziękować – powiedziała. – Za pomoc w dotarciu do Romów. Bez księdza by się nie udało.

Ksiądz powoli pokręcił głową.

– Proszę się nie cieszyć zbyt wcześnie. To, że zaczęli z panią rozmawiać, nie oznacza, że udało się pani do nich dotrzeć. Po tych wszystkich latach w Kamieniu cały czas mam wątpliwości, czy mnie się to udało.

Anka zmieszała się i wbiła widelczyk w szarlotkę.

– Kiedy spotykam się z kolegami z seminarium, to mi współczują albo żartują, że muszę mieć coś strasznego na sumieniu, bo Bóg mnie tu wysłał na pokutę – mówił ksiądz cichym, łagodnym głosem. – Czasem zazdroszczą, że zamiast chrzczyć dzieci ateistów z miejskich osiedli i odprawiać msze w pustym kościele, mam szansę uprawiać prawdziwą ewangelizację i naprawdę komuś pomóc. Ale jak człowiek na co dzień żyje wśród Romów, to zaczyna myśleć, że to zupełnie nie tak.

– A jak? – zapytała Anka, splatając palce na kubku.

– Bóg nie wysłał mnie tu, żeby dać mi szansę na pokutę, żeby wystawić mnie na próbę albo pozwolić mi realizować się w kapłaństwie. To nie o mnie tu chodzi. To nie oni są tu dla mnie, ale ja dla nich. Sam nie naprostuję niczyich ścieżek tak, żeby były bardziej podobne do naszych. Nikogo nie zbawię ani nie uratuję. Ale mogę im towarzyszyć. Jako ich *romano raszaj*. Cygański ksiądz.

Anka spuściła wzrok. Grzebała widelczykiem w szarlotce.

– Pani chciała o coś zapytać – podsunął ksiądz.

– Tak. Mam kilka bardzo konkretnych pytań. Na przykład czy w czasie, kiedy zginął ten chłopiec, w Kamieniu chorowały też inne dzieci?

– Tam ciągle ktoś choruje. – Ksiądz wzruszył ramionami. – Dzieci też. Może pani zapytać Romów, ale pewnie nikt nie będzie pamiętał.

– Dlaczego?

– Romowie trochę inaczej myślą o czasie. – Ksiądz się uśmiechnął. – Nie przywiązują do niego takiej wagi jak my. W języku też to widać, mają jedno słowo na „wczoraj” i „jutro”: *tajsa*. Czas dzieje się zawsze w jakimś miejscu, a człowiek nie przywiązuje się za bardzo do miejsc, gdy nigdzie go nie chcą, prawda? To tylko dla nas jest ważne, skąd pochodzimy, czyi przodkowie byli gdzieś pierwsi, kto ma odwieczne prawa do czegoś tam. I wojujemy o to, a przybyszom każemy się wynosić.

– A dla nich? – Anka pomyślała, że ksiądz byłby dobrym antropologiem. – Co jest ważne dla nich?

– To, co zastaną tam, gdzie osiądą – powiedział cicho. – Relacje z innymi. To wszystko, co jest *ada dziwes*. Tu i teraz tego dnia, który trwa.

Milczeli. Jeden zero, pomyślała Anka.

– A jest ksiądz w stanie powiedzieć coś więcej, jeśli chodzi o przestępczość w Kamieniu? – zadała drugie pytanie.

– Mało kto ma tam czystą kartotekę. Ja mam taką teorię, że policja w ten sposób poprawia sobie statystyki. Do Romów zawsze jest o co się przyczepić. Co nie zmienia faktu, że awantury, pobicia, zakłócanie spokoju są w Kamieniu na porządku dziennym.

– Pytam o poważniejsze rzeczy. – Anka nachyliła się do niego przez stolik. – Poważniejsze przestępstwa.

Ksiądz się zamyślił.

– Nigdy nie złapałem nikogo za rękę – powiedział powoli. – Ale czasami coś człowiekowi wpadnie w oko, w ucho, bo ludzie gadają. Że są tacy, którym nie wystarcza stanie w kolejce po pomoc społeczną. Pożyczają pieniądze od bandytów i albo staczają się w spiralę długów i lądują na dnie, albo sami zostają bandytami.

– Co to za bandyci? – zapytała Anka.

– Nie wiem, mówiłem, ja nikogo za rękę nie złapałem. – Ksiądz potarł czoło. – Pewnie jak to na pograniczu: przemyt, wymuszenia, jakaś kradzież. Ja takim ludziom wolę nie wchodzić w drogę. Pracuję z dziećmi. Chcę mieć spokój.

– A słyszał ksiądz o jakichś pedofilach stąd? – Łyknęła herbaty.

– Nie – odpowiedział natychmiast. – Tu nic takiego się nie dzieje. Może mi pani wierzyć.

Anka rozgniotła na talerzyku ostatnie okruszki szarlotki.

– A Regina? – zapytała na koniec. – Gwiazdka to naprawdę jej dziecko?

– Obawiam się, że na temat Reginy nie mogę pani nic powiedzieć – westchnął.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział, tylko dopił herbatę.

– Tajemnica spowiedzi? – drążyła Anka.

Przy stoliku zapadła cisza. Ksiądz zerknął na zegarek.

– Muszę lecieć. Mamy w kościele próbę scholi. A potem muszę wpaść do Kamienia. Znowu ktoś puścił plotkę, że będą ich wysiedlać, i bardzo się zdenerwowali. Teraz, po tym wszystkim, ich sąsiedzi mają mocne argumenty. Boję się, żeby nie doszło do eskalacji.

– To się w głowie nie mieści – zdenerwowała się Anka. – Jak można być tak nieczułym i zamkniętym...

– Wie pani co? – przerwał jej ksiądz. – A ja im się nie dziwię. Naprawdę

chciałaby pani mieć takich sąsiadów? Nie przeszkadzałby pani swąd palonych śmieci? Proszę ich tak łatwo nie oceniać. Ludzie z Zabrzeży czy Zarzecza nie robią nic innego niż wy na tych waszych strzeżonych osiedlach, w enklawach dobrobytu, gdzie bezdomni ze swoim smrodem nie sforsują bramek na kod, gdzie nie słychać zza ściany Radia Maryja, gdzie blockersi nie okupują ławeczek i nie piszą po ścianach. Też próbują otoczyć się ludźmi takimi samymi jak oni.

– I myśli ksiądz, że to jest fair?

– Ja myślę, że to jest trudne. I nie mam odpowiedzi na pytanie, kto co powinien, co kto musi i kto czego nie może. To trochę tak jak w akademiku. Albo w seminarium. Albo pewnie jak w rodzinie. Gdy się z kimś dzieli przestrzeń, to trzeba się pożegnać z myślą, że wszystko zawsze będzie po naszymu. Wrzucić na luz, oddać trochę kontroli i zgodzić się na odrobinę chaosu – powiedział, a Anka niżej opuściła głowę, aż włosy opadły jej na twarz. – Ale to powinno działać w obie strony.

Bastian nie mógł oderwać wzroku od wielkich niebieskich oczu pięciolatka z portretu rekonstruującego wygląd chłopca za życia, opublikowanego z krótką notką pod tytułem *Czy poznajesz to dziecko?* na stronie sądeckiej komendy, gdzie zajrzał, żeby poszukać komunikatów o sprawie z Kamienia.

Policyjny grafik się postarał. Oczyszczona cyfrowo ze znamion śmierci i podrasowana cielistą teksturą skóra wyglądała prawie naturalnie. Podciągnięcie kącików półotwartych ust nadawało twarzy pogodny wyraz, a całości dopełniały zwichrzona blond czupryna, czerwona bluza i te niesamowite oczy, otwarte, wyraziste, przesadnie niebieskie, jak na glamourowych zdjęciach z modnie podkreślonym nasyceniem.

I może właśnie dlatego portret wydał się Bastianowi tak odrealniony. I makabryczny.

Wrzucił zdjęcie na Twittera. *Spójrz mi w oczy. Znasz mnie? #KamienObrazy* – napisał.

Dopił cydr i rozejrzał się za kelnerką. Chciał się pożegnać, żeby zapamiętała, że był dla niej miły i zostawił suty napiwek, na wypadek gdyby jeszcze jej potrzebował. Ale była zajęta tłumaczeniem grubemu facetowi dwa stoliki dalej pozycji na paragonie. Kątem oka dostrzegł w głębi sali samotną smagłą kobietę w drogich okularach i ze smartfonem. Pomyślał, że widocznie nie wszyscy Romowie żyją tutaj na granicy nędzy. Wstał z krzesła.

I wpadł na Ankę.

– Było mówić, że tu przyjeżdżasz, tobyśmy zjedli razem. – Ucieszył się na jej widok. I zdezorientowany zobaczył, jak zaskoczenie na jej twarzy nagle zmienia się w popłoch.

– Dobry wieczór, panie Januszu – powiedziała Anka, napinając ramiona. Dziennikarz odwrócił się i zobaczył, że mówi do grubego faceta, któremu

towarzyszą chuda jak szczapa kobieta i pulchna nastolatka.

– Kogo ja widzę, ksiądz Drzewicki. – Głód wsunął ręce w kieszenie.

– Cześć, Basiu. – Ksiądz uśmiechnął się do dziewczyny, która nagle się rozpromieniła, żeby znowu się naburmuszyć pod spojrzeniem ojca.

– Janusz, przedstawisz mi panią? – syknęła chuda kobieta, pociągawszy męża za mankiet.

– Sebastian Strzygoń. – Bastian wyciągnął rękę do księdza, w lot łapiąc, kto przed nim stoi.

– Kolega z Warszawy – przerwała mu Anka, żeby uniknąć jego sakramentalnego „jestem dziennikarzem”. Woląta, żeby Głód nie wiedział, że ściągnęła tu prasę.

Smagła kobieta w głębi sali podniosła wzrok znad telefonu.

Sylwia szukała właśnie w Google, jak wygląda ten Strzygoń, o którym mówił Łukasz. Zdjęła okulary, przyglądając się zbiegowisku, które nagle zrobiło się pośrodku knajpy. Popatrzyła w telefon. Potem na niewysokiego faceta w samym środku grupki – pełne policzki ze słodkimi jak u aniołka dołeczkami, bujna czupryna, luzacki styl i ten błysk w oku – potem znowu w telefon.

Nie, tego pięknisia nie można z nikim pomylić. Pilnie nadstawiła ucha.

– Doktor Anna Serafin – mruknął Głód. – Od antropologii kultury – wyrecytował. – Przysłali nam panią z komendy wojewódzkiej na konsultacje do Cyganów.

– Romów – poprawiła go Anka.

Sylwia zrobiła zdjęcie rudowłosej kobiecie w pomarańczowej skórzanej kurtce i eleganckich, choć znoszonych szpilkach. Zapisała nazwisko. Obserwowała pantomimę niezręcznych uśmiechów, urwanych gestów i znaczących spojrzeń, aż grupka zniknęła za drzwiami restauracji, odprowadzana spojrzeniem zdeorientowanej kelnerki.

Zamówiła szarlotkę na deser i sprzątając okruszki z talerzyka, pomyślała, że ta knajpa to był dzisiaj naprawdę dobry wybór.



ROZDZIAŁ 8

Anka posykiwała nad rozdziałem pracy licencjackiej, gryząc końcówkę ołówka, gdy rozległo się ciche pukanie i drzwi się uchyliły, wpuszczając do gabinetu gwar z korytarza.

– Pani doktor Anna Serafin? – Niewysoka, smągła kobieta wślizgnęła się do środka. Ubrana była w oliwkowy kostium, na nosie miała okulary od Calvina Kleina. – Sylwia Nowak z Fundacji Pro Roma.

Podeszła do biurka i wyciągnęła rękę. Anka wyjęła z ust ołówek i zawstydzona wyrzuciła go do kosza. Wytarłszy dłoń w dżinsy, podała ją kobiecie.

– Miło mi panią poznać, pani doktor. – Kobieta usiadła i założyła nogę na nogę. – Bardzo doceniamy to, co pani dla nas robi. Dzisiaj, kiedy Romowie znowu stają się ofiarami prześladowania, każdy sprzymierzeniec jest na wagę złota. A pani jest dla nas sprzymierzeńcem najwyższej klasy.

Anka skromnie poprawiła włosy.

– Cieszę się, że mogę pomóc – powiedziała. – To oburzające, co się dzieje. Ta cała nienawiść, która nagle wypełzła z ludzi, i to, co robi policja...

– No więc właśnie – weszła jej w słowo kobieta. – Działania policji budzą nasze głębokie zaniepokojenie. O ile mi wiadomo, przy tym śledztwie nie pracuje ani jedna osoba o pochodzeniu romskim.

Bo i któż to mógłby być, dodała Sylwia w myślach. Ale miała rolę do odegrania, choć przecież nie chodziło jej o etniczny parytet, tylko o pozyskanie źródła mającego dostęp do tego, co o Kamieniu wie lokalna policja. Czy nie wpadli przy okazji na coś, co dałoby się powiązać z jej sprawą.

W normalnym świecie poszłaby do chłopaków z wydziału kryminalnego w Sączu, wypiła z nimi kawę, powiedziała, ile można, i poprosiła, żeby sypnęli nieoficjalnie i bez biurokratycznych ceregieli, co mają. Ale wyobrażała sobie, że akurat teraz i akurat tam jako Romka narobiłaby sensacji na pół województwa. Wolą załatwić to dyskretnie.

Miała przecucie, że doktor Serafin się jej przyda. I że właśnie tak może ją rozegrać. Dlatego bawiła się w przebieranki.

– Pani jest tam jedyną osobą życzliwą Romom – ciągnęła. – A przecież nic o nas bez nas. O tej sprawie głośno jest w całej Polsce. I cała Polska, w zależności od wyniku śledztwa i tego, w jakim świetle jest ono przedstawiane, będzie wierzyć, że Romowie to dzieciobójcy. To niezwykle ważne, żebyśmy mogli się przed tym bronić.

Anka słuchała i uśmiechała się zachęcająco.

– I wiem, że pani już zrobiła dla nas wystarczająco dużo – kontynuowała kobieta – ale ośmielę się poprosić panią o pomoc raz jeszcze. Zrozumiem, jeśli pani odmówi. Bo żeby bronić Romów przed medialnym linczem i falą nienawiści, my musimy wiedzieć.

Anka pytająco uniosła brwi.

– Musimy wiedzieć, co robi policja – dodała Sylwia cicho, obserwując reakcję rozmówczyni. Ta przełknęła ślinę. – Zatrzymamy tę wiedzę dla siebie, chyba że będzie dochodziło do rażących nieprawidłowości; w takim wypadku obowiązkiem obywatelskim jest piętnowanie działań państwa łamiących konstytucyjne prawa jednostki, prawda?

– Tak – bąknęła Anka.

– Nie naciskam, proszę się zastanowić – powiedziała łagodnie kobieta. – O, a tymczasem podpisze mi pani książkę?

Wyjęła z torby *Pionka*, prosto z księgarni, w lśniącej twardej oprawie, z dziewiczo czystymi kartkami. Anka się zaczerwieniła, przesunęła palcami po wypukłych literach i sięgnęła po pióro.

– To fascynująca historia – oświadczyła Sylwia i pomyślała, że może to kiedyś przeczyta.

– Ja uważam, że kultura romska jest fascynująca – powiedziała Anka. Kobieta nieznacznie się skrzywiła. Albo może Ance się zdawało.

– Przecież ja mam coś dla pani! – Sylwia wyjęła z torby *Pieśni Papuszy*, pierwsze wydanie z 1956 roku, które ściągała na gwałt z Allegro. – Należała do mojej rodziny.

Anka ostrożnie wzięła książkę do ręki i nabożnie przewróciła kilka kartek pożółkłego papieru, naznaczonych gdzieniegdzie na marginesach dziecięcymi literami nasmarowanymi kredką.

Sylwia syknęła. Książka miała być w dobrym stanie. Nie będzie polecać tego allegrowicza.

– Uczyłam się na niej pisać – rzuciła szybko.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyjąkała Anka. – Jak się pani odwdzięczyć za taki prezent...

– Proszę to przyjąć jako dobrą wróżbę – zaśmiała się kobieta – i jeśli to nie kłopot, prosiłabym o szklankę wody, zanim zaczniemy.

Anka sięgnęła do szafki po dwie szklanki i butelkę wody mineralnej. Z początku ociągając się, w niejasnym poczuciu, że coś jest nie tak, a potem coraz pewniej i z przekonaniem, zaczęła opowiadać o wydarzeniach w Kamieniu.

Kobieta notowała na tablecie, kiwając głową, chociaż Anka miała wrażenie, że tamta w ogóle nie słucha i ożywia się tylko w niektórych momentach. Zadała kilka pytań. O to, kto jest kim w Kamieniu i czy Anka słyszała, żeby dochodziło

tam do jakichś przestępstw.

O samą zbrodnię nie pytała.

Przecież nie mówię nic, czego nie wolno by mi było powiedzieć, usprawiedliwiała się sama przed sobą Anka. Choć Głód pewnie nie byłby zachwycony, że opowiada działaczce romskiej o przetrzymywaniu Reginy i o brutalności policji przy zatrzymaniu Pawła Wichury.

– A czemu oni go wtedy zatrzymali? – zapytała kobieta.

– Rzucił się Reginie na pomoc, gdy zabierali dziewczynkę.

– To jej mąż, partner?

– Nie, szwagier.

Kobieta coś zanotowała.

– A czy oprócz dziewczynki policja podczas tego haniebnego najazdu nie znalazła jeszcze czegoś nietypowego? – zagadnęła od niechcienia.

– O niczym szczególnym nie wiem. Zabawna była historia z kozą – zachichotała Anka.

– Czyli nie było niczego sugerującego działalność przestępczą, na przykład broni? – podjęła Sylwia, wysłuchawszy opowieści o kozie. – Albo czegoś niebezpiecznego? Pytam, żebyśmy mogli jednoznacznie komunikować, kto tu jest ofiarą. Gdybyśmy poszli do mediów ze skargą na policję, a oni by na to wyjęli dowody, że tam kwitnie przestępczość, bylibyśmy na straconej pozycji. W PR nie można sobie pozwolić na zaskoczenie, prawda?

– Nie, o niczym takim nie słyszałam. – Anka pokręciła głową.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę. Na koniec uściśniły sobie dłonie.

– Niech na razie nasza znajomość pozostanie między nami, dobrze? – Sylwia Nowak przytrzymała jej rękę. – Pomaganie ludziom to jedna z najważniejszych spraw w życiu, ale niech nie wie twoja lewica, co czyni prawica. Dochowa pani tajemnicy?

– Jasne. – Anka się zaróżowiła.

Kobieta wyszła, mijając na opustoszałym korytarzu profesora Gwizdałowskiego, i Anka została sama. Czy ja się znowu w coś nie pakuje? – pomyślała. Ale to przecież w słusznej sprawie... Zmroziło ją pytanie o broń. Może w Kamieniu rzeczywiście jest niebezpiecznie?

– Dzień dobry, pani Aniu. – Profesor wszedł do gabinetu i zaczął wypakowywać z teczki swoje papiery. – Kto to był?

– A, jedna znajoma – rzuciła, siłąc się na lekki ton.

– Nie podoba mi się, jak to zostało załatwione. Te pani konsultacje na temat Romów. – Profesor trzepnął wydrukami o blat. – Policja powinna zgłosić się do nas, do instytutu, i to my, czyli ja, powinniśmy wyznaczyć konsultanta.

Anka wsparła się rękami o biurko i wstała, gotowa do obrony swojego bastionu.

– I kogo by pan profesor wyznaczył? Kto nadaje się do tego lepiej niż ja?
– Może magister Marzec? – Profesor wymienił nazwisko swojego doktoranta.

– Przecież on zajmuje się Łemkami!
– No tak... Ale to przecież te rejony, coś by sobie doczytał w bibliotece i na pewno by sobie poradził. I dorobiłby sobie chłopak do stypendium.

– Nie dostaję za to ani grosza! – Miała wrażenie, że traci kontrolę nad głosem.

– Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego pani się tym zajmuje. – Profesor zastępnął z ręką na klawiszach. – Proszę się zastanowić, co jest dla pani naprawdę ważne. Chyba że ma pani aż takie parcie na szkło.

Wiejski Dom Kultury. Kościół. Ochotnicza Straż Pożarna. Bastian wyskoczył z busa i poczuł, że za tym tęsknił. Zawsze myślał, że miejska dżungla to jego naturalny teren, ale wypad na prowincję był mu potrzebny, żeby o tym nie zapomnieć.

Zajrzał w Google Maps. Wieś ciągnęła się w obie strony wzdłuż Dunajca, zabezpieczona przed nim betonowymi fortyfikacjami. Bastian wyszukał sklep spożywczy. Zdażył się już nauczyć, że miejscowy spożywcza to węzeł lokalnych stosunków społecznych. Pogwizdując, ruszył przed siebie.

Wieczorem napisał na Messengerze do Jadzi: *Cześć, co tam w redakcji?* Nie chciał drzeć z nią kotów, więc próbował zachowywać się jakby nigdy nic. Poza tym przecież będą musieli dalej razem pracować. Niech to ona wyjdzie na pamiętliwą jędzę. Nie odpisała, chociaż świeciła się na zielono.

Wiadomość od Anki przyszła, gdy już kładł się spać. *W Tylmanowej zaginął chłopiec w 2013. A nasz miał przy sobie taki numer: 963999810119. To nie telefon ani PESEL, więc co?*

Sprawdził wszystko, co mu przyszło do głowy. Nie były to koordynaty GPS. Wpisany w Google, numer nie zwracał żadnych wyników. W końcu Bastian się poddał.

Zszedł do suterenu, do sklepu spożywczo-przemysłowego. Drzwi trąciły dzwonek i sprzedawczyni z klientką nagle przerwały rozmowę, żeby zlustrować go od stóp do głów. Pokręcił się przy półkach, wybrał sobie butelkę wody mineralnej i baton, próbując słuchać, o czym kobiety rozmawiają. Narzekały niezobowiązująco na mężów, dzieci, liberalne media i wysokie ceny.

Podszedł do lady. Sprzedawczyni zapakowała jego zakupy do torby i przyjęła pieniądze. Jej rozmówczyni czekała, przekładając reklamówkę z ręki do ręki.

– Chciałem jeszcze poprosić panie o chwilę rozmowy... – Bastian uzbroidł twarz w swój filmowy uśmiech.

– Tak...? – mruknęła podejrzliwie sprzedawczyni.

– Jak tu się żyje? – zapytał. – Bo okolica piękna, czysto i schludnie... A ludzie? Bezpiecznie jest? Można liczyć na pomoc sąsiadką?

– No, u nas jak wszędzie. – Klientka wzruszyła ramionami. – Ludzie jak ludzie. Ale czymają się razem, jak czeba.

– Co godosz – przerwała jej sprzedawczyni. – Do Kamiynia by se pon pojechał, toby se pon popoczył, jak tam cysto i bezpiecznie.

– No więc właśnie – podchwycił Bastian. – Ja słyszałem, co się dzieje w Kamieniu, i dlatego pytam, czy bezpiecznie. Czy ja tu z dziećmi mogę przyjechać.

– Do Kamiynia to za bardzo nie radzo. Ale do nos... – Sprzedawczyni wyjęła spod lady wizytówkę. – O, córka z zięciym kwotyry prowadzo.

– Słyszałem, że w Tylmanowej też zaginęło kiedyś dziecko. Kiedy to było? Ze trzy lata temu... – Zawiesił głos, obserwując twarze kobiet.

Sprzedawczyni zacisnęła pięści. Klientka przestąpiła z nogi na nogę.

– No, tag było, co nie?... – zaczęła klientka, ale kobieta zza lady rzuciła jej czujne spojrzenie.

– A wiedzą panie, kim są rodzice tego dziecka? Chciałbym z nimi porozmawiać. – Patrzył już tylko na klientkę, wyczuł, że od niej więcej się dowie.

– A po co? – wtrąciła sprzedawczyni. – Bidoki, telo już prześli, jesce ich bydo obce ludzie myncyć. A po co tu pon w ogóle przyjechoł? Kto pon jest? Moze jesce z mediów? – Zjeżyła się.

– Planuję tu kupić dom. – Bastian wyprężył pierś. – Nie sprowadzę rodziny w miejsce, gdzie giną dzieci w niewiadomych okolicznościach. A przynajmniej będę chciał dowiedzieć się jak najwięcej.

– To od nos sie pon nic nie dowie – ucięła sprzedawczyni. – I idźze pon jus.

Bastian zabrał zakupy i wyszedł. Jeden zero dla Tylmy, pomyślał. Spodziewał się, że dostarczy raczej okazji do odgrzania starych plotek i odświeżenia dawno przebrzmiałej grozy. Przecież ludzie to uwielbiają.

Sprawdziwszy, gdzie jest następny sklep, ruszył dalej. Szumiał Dunajec, wyla spalinowa kosa. Na podwórku domu, który Bastian właśnie mijał, starszy mężczyzna strzygł trawnik. Dziennikarza coś tknęło. Podeszedł do ogrodzenia.

– Dzień dobry! – Pomachał do mężczyzny. Ten wyłączył kosę i odmachał. – Nie ma pan przypadkiem ładowarki do iPhone'a? – zapytał, wyciągając z kieszeni telefon.

– Nie, ni mom. – Mężczyzna pokręcił głową.

– A może powerbank?

– Co? – zdziwił się tamten.

– Takie przenośne urządzenie do ładowania telefonu – wyjaśnił Bastian. – Padł mi w najgorszym momencie.

– Ponie, jo ni mom takich rzeczy! Ale mom w domu telefon stacjonarny. Jak

trza pilnie zadzwonić, to mogó udostępnić.

– Nie, nie o to chodzi. Zapisalem sobie w telefonie namiary na ludzi, z którymi miałem się tutaj spotkać. I jechałem tu z Warszawy, ale komórka mi padła i nawet nie wiem, gdzie iść.

– O, co za pech. – Mężczyzna zarzucił kosę na ramię, szykując się, by odejść do swoich obowiązków.

– Chyba że... – Bastian nagle przyłożył palec do ust. – Może pan będzie wiedział? Ci ludzie, co im dziecko zaginęło. Takie śmieszne nazwisko, chociaż historia wcale nie jest śmieszna...

Strzelił. Na dobrą sprawę każde nazwisko można by uznać za śmieszne. Ale jakoś z tego wybrnie.

– Baran – odparł mężczyzna.

– Proszę? – zdziwił się Bastian. Facet go obraża?

– Tak majo na nazwisko. – Tamten oparł się o ogrodzenie. – Co pon od nich chce?

– Nie, ja nic nie chcę. Ja mam coś dla nich. – Bastian zrobił krok w jego stronę i zniżył głos. – Informację. Umówiliśmy się, że przyjadę i osobiście im przekażę. No i nie wiem, gdzie iść.

– Cosik się stało? – zainteresował się mężczyzna. – Kurcysyna, cosik wiadomo?! Mówili ludzie, że wczoraj była u nich policja. Znaleźli małego? Mówże pon!

– Przykro mi. Informację mogę przekazać tylko rodzinie.

– Kto pon jest? – Tamten wychylił się przez płot, przyglądając się dziennikarzowi.

– Nie wiem, czy powinienem... – mruknął Bastian, intensywnie myśląc, kim mógłby być.

– Przecie nie powiem byle komu, co nie wiadomo, co chce, jak iść do Baranów.

– Dobrze. Ale tylko między nami – poddał się dziennikarz. – Jestem łowcą nagród – wypalił. – Pewnie sobie pan o mnie pomyśli, że jestem hieną cmentarną. Ale ja pomagam ludziom. A żyć z czegoś trzeba...

– Nie wiedziołem, że oni dali nagroda. – Mężczyzna podrapał się po karku. – Oni niebogaci ludzie.

– No tak, nagroda taka, że, proszę pana, to raczej dla mnie praca społeczna, *pro publico bono* – zmyślał dalej. – Ale piechotą nie chodzi.

– Dziwne, jagby jakosik nagroda była, przecie cała wieś by wiedziola... – zastanawiał się dalej mężczyzna.

Bastian zaczynał się niecierpliwić.

– Są takie strony w internecie, gdzie ludzie dają ogłoszenia i... – zaczął, zgrzytnąwszy zębami.

– A, to pewno dlatego nie wiedziołem. Ja tam nic nie wiem z tych wszystkich internetów, ja jestem staryj daty. – Bastian ze zrozumieniem pokiwał głową i przestąpił z nogi na nogę, ale mężczyzna dla odmiany zrobił się rozmowny. – Szkoda ludzi, że akurat ich takie nieszczęście spotkało. Uczciwi, pracowici, bogobojni. Młodzi, ale do kościoła w każdy niedziela chodzą, duchowieństwo szanują, z księżmi w zgodzie żyją. W oazie się poznali. Że też ich Bóg postanowił tak doświadczyć...

Bastian ostentacyjnie popatrzył na zegarek.

– Cholerka, miałem być u nich w południe, a tu za piętnaście dwunasta – jęknął.

– Ale to jest niedaleko. – Mężczyzna machnął ręką. – Pójdiesz pon od drogi w Potok, a potem w Miazgi i numeru ponu nie powiem, bo nie pamiętam, ale to jest taka duża różowa chałpa. Tam taki piys strasznie zły lata, kupili go, jak mały zniknął, no ale niestety za późno. Pantofle regionalne robio, jest tablica z nazwiskiem, znajdzie pon.

Bastian pożegnał się i ruszył w kierunku wskazanym mu przez mężczyznę. Gdy już był pewien, że ten go nie widzi, wyjął z kieszeni telefon, zapisał w notatce wszystko, czego się dowiedział, i uruchomił mapę.

*

Zwolniła w połowie drogi między Łąckiem a Zabrzeżą. Nawigacja polecała jej skręcić w gruntową drogę rozjeżdżoną oponami ciężarówek. Oblażąca z farby tablica głosiła: „FHU Przem-Drzew 500 m”. Sylwia ruszyła golfem w las, zaciskając zęby przy każdym zgrzycie w zawieszeniu.

Wspinała się pod górę, a las gęstniał, zamykając się nad nią tunelem. Droga kończyła się rozchwianą bramą w ogrodzeniu z zardzewiałej siatki, otaczającym pograżoną w półmroku polanę, gdzie stały duży barak i mniejsza szopa. Część polany zajmowała przyzma sosnowych bali z czerwonymi numerami wypisanymi na płaszczyźnie cięcia. Przy bramie zrzucano rosochate pniaki. Nieopodal stała ładowarka widłowa, dalej zalegał stos świeżej tarcicy sezonującej się na powietrzu. Bajeczna woń żywicy uderzyła Sylwię w nozdrza, gdy ruszyła w stronę baraku, balansując na obcasach na pokrytej wiórami ziemi.

– Przepraszam? – Jej głos poniósł się echem po tartacznej hali. Duży trak stał beczynnie pośrodku, przy łuparce leżały kloce drewna, pod blatem cyrkularki zalegały namokłe i skluszczone w zwartą bryłę trociny. Przez uchylone drzwi wygrozonego w rogu hali kantorka płynęła drum'n'bassowa łupanka. Muzyka dopasowana do otoczenia, pomyślała Sylwia i ruszyła w stronę kanciapy, przyciskając do piersi aktówkę.

– Przepraszam? – powtórzyła.

Stopa w ubłoconym adidasie pchnęła drzwi kantorka od wewnątrz. Na drzwiach naklejony był zniszczony plakat z nagą rozkraczoną blondynką

o fryzurze z lat dziewięćdziesiątych, zarówno na głowie, jak i między nogami, i o takiej ilości silikonu w biuście, że dziś modelka cierpi pewnie na zwyrodnienie kręgosłupa. Zza futryny wychylił się właściciel stopy – łysy, barczysty mężczyzna po czterdziestce, w czarnej bluzie od dresu opiętej na wydatnym brzuchu. Spojrzał na Sylwię pytająco, nie przestając żuć. Na stoliku leżała kanapka, zapach wiejskiej kiełbasy przebijał się przez żywiczną woń. Była też puszka tnatry i gruby zeszyt z wyrysowaną długopisem tabelką, od której właśnie oderwał się mężczyzna.

– Pan Przemysław Majer? – Sylwia posłała mu promienny uśmiech i dygnęła. Brwi mężczyzny podjechały jeszcze wyżej. Spojrzał na jej uwalane błotem szpilki, po czym niespiesznie podążył wzrokiem w stronę twarzy. – Sylwia Nowak z Fundacji Pro Roma, przyjechałam na zlecenie urzędu marszałkowskiego. Czy możemy chwilę porozmawiać?

– Zajęty jestem – odparł z pełnymi ustami, wskazując na zeszyt. – O co chodzi? Z fundacji pro co?

– Pro Roma, działamy na rzecz mniejszości romskiej.

– Cyganka, co nie? Ja mam tu Cygana jednego, ale – wskazał na pustą halę – chłopaki mają dziś wolne. Inwentaryzacja.

– Ja właśnie w tej sprawie – zaszczebiotała Sylwia. – Prowadzimy we współpracy z urzędem marszałkowskim program monitoringu aktywizacji zawodowej Romów i w jego ramach promujemy medialnie przedsiębiorstwa, które ich zatrudniają. Chciałam pana zapytać o warunki pracy pańskiego romskiego pracownika, pana, eee...

– Wichury – odpowiedział, wgrzyzając się w kanapkę. – Promujecie, znaczy że jak?

– Prezentujemy takie firmy w materiałach prasowych i w mediach społecznościowych. Nadajemy też tytuł „Przyjaciela równości”, którym można się posługiwać w ramach swojej komunikacji marketingowej. – Zamilkła, obserwując jego minę. – Po prostu media się interesują i robią darmową promocję.

– No, Paweł robi u nas przy traku. – Machnął ręką ku środkowi hali. – Ale też przy załadunku i często jeździ z towarem do kontrahentów.

– Wspaniale. – Sylwia promieniała. – Czyli powierza mu pan odpowiedzialne zadania, wartościowy towar.

Majer, próbując wypiąć pierś, wypiął brzuch.

– Ja do Cyganów generalnie nic nie mam – oświadczył. – To znaczy, jak pałą plastik albo kradną, to co innego, bo tu to czasem nie można na podwórku kosiarki na chwilę zostawić, sąsiadowi tak zajumali, pani wybaczy, ale takie są fakty. Zna to pani, jak drogówka łapie Cygana w nowym mercedesie?

Popatrzyła na niego bez zrozumienia.

– I się go pytają: „Co, auto kradzione?”, a on na to: „Nie, kurwa, służbowe”.

Zarechotał, wypatrując reakcji na jej twarzy. Dla dobra sprawy

powstrzymała się od komentarza, zastanawiając się, czy facet naprawdę nie widzi problemu w tym, że mówi to właśnie do niej.

– Ogólnie uważam, że Cygan też człowiek. – Majer spoważniał. – No to powierzam, bo to mój pracownik sprawdzony jest, dobry chłopak.

Sylwia entuzjastycznie odznaczała rubryczki w ułożonym na aktówce formularzu.

– Pokaże mi pan miejsca pracy pana Wichury? – zapytała, z nadzieją spoglądając za siebie. Powietrza w kantorku było za mało na ich dwoje, a większość przestrzeni i tak zajmował Majer.

Mężczyzna wstał i wykonał gest, którym miał zaprosić Sylwię, żeby szła przodem, a wyszło, jakby chciał ją zdzielić w twarz. Przyjrzała się posturze Majera. Miał piwny brzuch, nie był jednak otyły, lecz solidnie przypakowany. Ramiona miał jak szynki parmeńskie, a mięśnia kapturowego pozazdrościłby mu niejeden dresiarz. Sparing z nim nie należałby do najłatwiejszych, pomyślała Sylwia. Może wytrzymałby z nią nawet dwie minuty.

Oprowadził ją najpierw po hali, potem po obejściu, tłumacząc, gdzie się przygotowuje pnie do tarcia, gdzie składowe tarcice, gdzie łupie klocki na drewno kominkowe. Za halą tartaczną stał stary man, którym Wichura często jeździł z drewnem budowlanym, stanowiącym, jak się wyraził Majer, drugą gałąź ich działalności. Nomen omen, pomyślała Sylwia.

Żegnając się, podała mu rękę. Przyjął ją bez oporu, naturalnie. To był jej stały test, a Majer go zdał. Pomyślała o nim cieplej. Gdy tu jechała, wyobrażała sobie, że facet zatrudnia Wichurę jak niewolnika, ubiera w liberię i każe mu podawać sobie rum. Okazało się, że traktował Romów jak ludzi.

Wyjeżdżała bogatsza o wiedzę na temat specyfiki produkcji oraz transportu desek szalunkowych, więźby dachowej i krawędziaków, a także o topografii tego miejsca. W aucie odłożyła aktówkę, wyłączając ukryty w niej rejestrator. Zdjęcia posłużą do szkicu sytuacyjnego, żeby wprowadzić Marka w temat i zaplanować ponowne odwiedziny tutaj, już bez towarzysztwa skądinąd sympatycznego pana Przemka.

Gerard trzasnął drzwiami dziekanatu.

– Dziekan zaraz pana przyjmie. – Sekretarka uśmiechnęła się do niego z rezerwą. – Proszę się rozebrać.

Zdjął kurtkę i powiesił z impetem na wieszaku.

– Podkoszulek też mam ściągnąć? – zapytał.

– Proszę? – Sekretarka aż wychyliła się zza biurka.

– Przecież przyszedłem tu dać się wychłostać.

Kobieta nic nie powiedziała, tylko zarumieniła się i zaczęła stukać w klawiaturę. Ciekawe, co sobie pomyślała. Przechadzał się nerwowo, bawiąc się kolczykiem w brwi. Bolała go głowa. Było już całkiem dobrze. A teraz przez

jednego idiotę znowu będzie miał kłopoty.

Tego dnia na uczelni ludzie jak zwykle gapili się na niego ostentacyjnie albo równie ostentacyjnie starali się na niego nie patrzeć, ale spojrzeniom towarzyszyły tym razem złośliwe uśmiešky. Przekonał się dlaczego, gdy na parkingu zobaczył swój motor. Białym flamastrem ktoś napisał na czarnym lakierze „Sex Machine”. A z siedzenia spływało coś, co okazało się mydłem w płynie, chociaż z daleka wyglądało jak coś zupełnie innego. Zaciskając szczęki, wycierał motocykl chusteczką i słuchał, jak jakiś wesołek głośno komentuje i świetnie się bawi. Nie wytrzymał. Rozsmarował mu to na twarzy.

Do mężczyzny, który otworzył mu drzwi, Gerard kiedyś mówił „wujku”, ale dziś dziekan skutecznie unikał jego wzroku.

– Wie pan, dlaczego pan się tu znalazł? – Mężczyzna chrząknął, moszcząc się w fotelu.

– Wiem – odpowiedział Gerard i usiadł na krześle naprzeciwko niego.

– Zgodzi się pan, że na kampusie nie możemy tolerować przemocy, tak?

– Tak.

– Ma pan coś na swoje usprawiedliwienie?

– Nie.

– Ten chłopak, Bartek, złożył skargę. Co miałby mu pan do powiedzenia?

– Nic.

– I co ja mam z panem zrobić? – Dziekan rozłożył ręce.

– Nie wiem – odparł Gerard beznamiętnie.

Mężczyzna wyprostował się i rzucił długopis na blat.

– Gerard, przecież ja cię znam od takiego bajtla. Rozmawiaj ze mną jak człowiek, a nie jak automapa. Dlaczego to zrobiłeś?

– Sprowokował mnie.

– Byłeś brutalny.

– Bez przesady – odpalił Gerard. – Od mydła na twarzy jeszcze nikt nie umarł.

– A upokorzenie? – zapytał dziekan.

Gerard nic nie powiedział, tylko powoli przesunął palcem wzdłuż blizny na policzku. Dziekan znowu sięgnął po długopis i zaczął go uważnie oglądać.

– Nie możesz tak reagować. Musisz to przełknąć, chociaż to obrzydliwe. Być ponad to. Na pewno kiedyś im się znudzi dokuczanie.

– Dokuczanie? – Gerard uniósł brwi. – Plują na mnie, a ja mam udawać, że deszcz pada? Rzucają we mnie gównem, a ja mam udawać, że to czekolada?

– Przecież to twoi koledzy – powiedział z troską dziekan. – Nie możesz się jakoś z nimi dogadać?

Gerard nie miał zamiaru wkupywać się w łaski ludzi, którzy darli sobie z niego łacha, jeździli po nim jak po łysej kobyle albo – w najlepszym razie –

obchodzili go szerokim łukiem. I pomyśleć, że jeszcze niedawno był wśród nich gwiazdą.

– Czy to nie jest tak, że to ty jesteś zbyt dumny, żeby pierwszy wyciągnąć rękę, poprosić o pomoc, o wsparcie? – zapytał dziekan, a Gerard spuścił głowę i dalej gładził bliznę.

Zapadła cisza. Chłopak milczał, a dziekan zamyślił się, bawiąc się długopisem.

– I co ja mam z tobą zrobić? – powtórzył. – Mogę dać ci naganę, tym razem nic poważniejszego, ale musisz mi obiecać, że to się nie powtórzy.

– Dzięki – westchnął Gerard. – Przyjmuję naganę. Będę grzeczny. Może. Mam nadzieję. Postaram się. Chyba.

Wstali i dziekan odprowadził go do drzwi.

– Pamiętaj, że masz wokół siebie również życzliwych ludzi, wyjdź czasem do nich. Spróbuj się dogadać z kolegami, bo nawet jeśli wydaje ci się, że to nieprawda, to ich potrzebujesz.

– To oni potrzebują mnie – odparł Gerard, obserwując zaskoczenie na twarzy mężczyzny. – Kogoś, z kim mogą się porównać, stwierdzić, że są normalni, i odetchnąć z ulgą, że tak nisko jeszcze nie upadli. Nawet nie domyślają się, że być może budzę w nich taką odrazę, bo robiłem rzeczy...

Na usta Gerarda wypełził uśmiech, który bardzo się dziekanowi nie spodobał. Przypomniało mu się, że dawno temu, kiedy Kelerowie przychodzili do nich na grilla, ten chłopak zostawał sam w pokoju z jego trzema córkami. Miał nadzieję, że rzeczywiście grali wtedy w scrabble, a nie bawili się w doktora.

– ...o których oni skrycie marzą, waląc konia pod kołdrą w długie zimowe wieczory.

Łatwo poszło. Tak łatwo, że nie zdążył przemyśleć, co ma im powiedzieć. Jak ma rozmawiać z rodzicami, którym zaginęło dziecko i jeśli miałyby się teraz odnaleźć – to martwe? Jak wyciągnąć z nich najbardziej bolesne wspomnienia i nie czuć się przy tym jak – sam to powiedział – hiena cmentarna?

Z daleka dostrzegł wysoki dwuspadzisty dach, różowe ściany i tablicę z napisem „Pantofle regionalne, Andrzej Baran”. Spisał z tablicy numer telefonu, adres i ruszył do bramki. Już miał nacisnąć klamkę, gdy z głębi podwórka wyskoczył na niego pies.

Bastian cofnął się odruchowo, słysząc w uszach własny puls. Puścił klamkę i wytarł dłonie w spodnie. Owczarek niemiecki wielkości cielaka szczyrzył do niego zęby przez siatkę, warcząc donośnie. Po tym, jak w zeszłym roku poszczuto go psami, dziennikarz źle reagował na „nasze czworonogi”, jak pisali dawni koledzy z „Flesza”.

Z domu wyszła kobieta, złapała psa za obrozę i odciągnęła pod stodołę, gdzie przypięła go do łańcucha. Pies rzucił się z ujadaniem, drzwi stodoły

zatrzeszczały, z wydeptanego łapami klepiska podniósł się pył.

– Przepraszam, pan wejdzie – powiedziała do Bastiana i otworzyła furtkę. – Pan po pantofle, tak?

– Nie, właściwie to nie. – Dziennikarz wszedł na posesję. Teraz będzie jej trudniej go wyrzucić.

Kobieta pytająco uniosła brwi. Bastian popatrzył w jej przedwcześnie postarzałą twarz. Głębokie cienie pod oczami i zaczerwienione powieki sugerowały, że mogła niedawno płakać. Zapadnięte policzki i zmarszczki wokół ust wskazywały, że w nie najlepszej kondycji jest już od dawna. Cienkie, przetłuszczone blond włosy miała zebrane w kucyk, zniszczone dłonie schowała w kieszeniach bluzy. Pod workowatym dressem była chuda, blada na twarzy, chociaż w jej rysach dziennikarz doszukał się śladów niegdysiejszej urody.

– Pani Baran. – Z powagą popatrzył jej w oczy. – Nazywam się Sebastian Strzygoń i jestem dziennikarzem z gazety „Horyzont”. – Miał nadzieję, że prestiż pisma zrobi na niej wrażenie, chociaż przyszło mu do głowy, że kobieta nie jest w targacie. – I jeśli to nie jest dla pani zbyt bolesne...

Kobieta się domyśliła. Zachwiała się, jej oczy zmętniały. Wydała z siebie krótki jęk.

– Wiem, że rozmawiała z państwem policja – kontynuował łagodnie Bastian. – Po wydarzeniach w Kamieniu wracają do sprawy. Czy zgodziłaby się pani ze mną porozmawiać o pani synku?

Zaczynały mu się kończyć pomysły. Cokolwiek by powiedział, zabrzmiał nieludzko i banalnie. „Proszę ze mną porozmawiać, bo ludzie się tym interesują”? „Proszę pozwolić mi zrobić z pani tragedii historię z morałem dla wyrobionego czytelnika”? „Proszę podzielić się ze mną swoją traumą, bo naczelny wymaga ode mnie społecznego zaangażowania”?

Kobieta objęła się ramionami, pochyliła głowę i zaczęła mówić monotonnym, cichym głosem, który brzmiał, jakby wydobywał się gdzieś spod ziemi.

– ...bawił się na podwórku – mamrotała skupiona, jakby recytowała z pamięci wiersz. – Nas nie było, ja do domu po coś poszłam, mąż robił w warsztacie. I jak wróciłam, to już go nie było. Zabrali. Porwali. Wynieśli. I nie ma Kacperka, nie ma, nie ma. Zabrali.

– Kto zabrał? – przerwał jej delikatnie Bastian.

– Nie wiem. Ludzie. Obcy. Wzięli, zabrali. – Jej oddech przyspieszał, niebezpiecznie wibrował.

– Widziała ich pani?

– Nie, ja w domu byłam, jak wróciłam, to już go nie było, tylko furtka otwarta została. Zabrali. Wzięli. Porwali. I nie ma Kacperka, nie ma...! – Jej głos przeszedł w pisk, w szloch, w krzyk.

Kobieta przycisnęła pięści do głowy i zaczęła gwałtownie łapać powietrze. Pies rzucił się na łańcuchu, do płaczu kobiety dołączyło wściekłe ujadanie.

Trzasnęły drzwi, ze schodów zbiegł mężczyzna. Młody, silny. I z siekierą w ręku. Zobaczył płaczącą kobietę, Bastiana i rzucił się w ich stronę.

Dziennikarz zrobił krok w tył i podniósł rękę.

– Co tu się dzieje?! – zawołał mężczyzna. – Ewa, czego on chce, dlaczego płaczesz?!

– Zabrali Kacperka, zabrali... – kwiliła kobieta. – Nas nie było, ja do domu po coś poszłam...

– Kim pan jest? – warknął mężczyzna.

– Jestem dziennikarzem z pisma... – zaczął Bastian, śledząc ruch ostrza siekiery, którą tamten trzymał w ręku.

– Wynoś się! – Usta mężczyzny wykrzywił wściekły grymas. – Jak śmiecie nas nachodzić?! Znowu się zaczyna! Niczego nie uszanują!

– Proszę ze mną porozmawiać – spróbował po raz ostatni Bastian. – To bardzo ważne, żeby...

– Nie mów mi, hieno, co jest ważne! – Tamten machnął siekierą. – Wynoś się, bo spuszczę psa. Won!

Bastian wycofał się tyłem za bramkę. Z daleka obserwował, jak facet odkłada siekierę, obejmuje kobietę, uspokaja ją i gładzi po włosach, a potem prowadzi po schodach do domu. Zanim zamknął za sobą drzwi, obejrzał się i pogroził Bastianowi pięścią.

Dziennikarz odszedł, wbiwszy wzrok w asfalt. Ujadanie psa dźwięczało mu w uszach.

– Ale sie tyn Jędrus nerwowo zrobił. – Kobięcy głos go otrzeźwił. Starsza pani stała oparta o płot i patrzyła z troską w stronę różowego domu.

– Nie ten człowiek – zgodził się Bastian, przystając.

– Znał go pon wcześniej? – zapytała kobieta.

– Z dawnych czasów – skłamał gładko.

– Ano, po tyj tragedii sie tak zmienili oboje. Po nim widoć, że trocho chło. A ona? Szczymp człoeka, niezadbano tako, pono broła jakiesi proszki. Po nocak się u nik świyci, pewno spać niy mogo. W gospodarce dziadostwo, majo telo, co na tyk kapciak zarobio. A młožno by ludzi broć na kwotyry, bo chałpe majo dużo, a żyjo w niyj sami. Ale niy, psa se kupili, boco sie na ludzi. No ale jo sie im nie dziwio. Dziecka im ukradli... – Zawiesiła głos.

– Kto ukradł? – zapytał ostrożnie Bastian.

– Niy wiom. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Pewno Cygany. Albo inne zboczeńce.

– Pani doktor – rozległo się w słuchawce. – Tu Głód. Mówi pani coś nazwisko Dominika Wichura?

– Tak, to jedna z osób, która rozmawiała ze mną w Kamieniu – powiedziała Anka. – A co?

– Proszę na nią uważać, to wariatka. Kolega tam dzisiaj był i podbiła mu oko.

– Co się stało?

– Sprawdziliśmy pani informację o zaginionym dziecku z osady. Kolega znalazł notatkę służbową sprzed trzech lat, tak jak pani mówiła – mruknął niechętnie podkomisarz. – Pojechał tam rozpytać i... Sławek! – Głód podniósł głos, odsuwając słuchawkę od ucha. – Jak to było?

Usłyszała po drugiej stronie hałas, szuranie i głos w telefonie się zmienił.

– Dzień dobry, pani doktor. – Sławek chrząknął. – Nic się nie stało, pozwoliłem sobie na niestosowną uwagę i ta pani się zdenerwowała. Stwierdziłem, że lepiej nie robić z tego afery, bo wtedy niczego się nie dowiem.

Anka pomyślała, że ten chłopak ma więcej oleju w głowie niż wielki podkomisarz Głód z całym jego doświadczeniem.

– Ale nie dowiedziałem się wiele – ciągnął aspirant. – We wsi nikt nic nie wie albo nie chce gadać. Rodzice dziecka, nazwisko Golec, od trzech lat pozostają w miejscu nieustalonym. Podobno wyjechali do Francji. On pracował dorywczo przy wyrębie lasu, ona bezrobotna. Skąd mieli pieniądze na wyjazd całą rodziną? Przecież to kosztowne.

– Nie mam pojęcia – powiedziała Anka. – To byli biedni ludzie. Romowie mówili, że musieli się zapożyczyć, żeby leczyć małego.

– O, on się gdzieś leczył? – zainteresował się Sławek. – To może coś gdzieś zostało w kartotekach w miejscowej przychodni albo w szpitalu... Jak dotąd ta notatka służbowa to jedyny dowód, że to dziecko w ogóle istniało.

Anka usłyszała jakiś głos z oddali, mówił coś niezrozumiale.

– Szef tu słusznie zauważył, że bez PESEL-u nigdzie by go nie przyjęli – westchnął chłopak. – Ale jak się zapożyczyli, to może prywatnie... No nic, poszukamy. Dziękuję, to może być ważne. A w ogóle – powiedział nagle zupełnie innym tonem – to dzieci, jak usłyszały, że panią znam, bardzo się ucieszyły.

– Naprawdę? – zdziwiła się Anka. Poczowała, jak unoszą się jej kąciki ust.

– Szkraby fajne, Cyganiątka, łobuziaki – zaśmiał się Sławek. – Chłopiec, może z siedem lat, i dziewczynka, trochę młodsza. Pytały, kiedy ruda pani znowu przyjedzie. Ale tak poważnie – dodał, znowu oficjalnym tonem, jakby przywołany do porządku przez kogoś, kogo nie było słyhać – to wolelibyśmy, żeby pani nie jeździła tam sama.

Wzięła oddech, ale uprzedził jej pytanie.

– Nie – dorzucił szybko – nie chodzi o to, żeby panią kontrolować, tylko o pani bezpieczeństwo.

Bastian wrócił do pensjonatu i spisał wszystko, czego się dowiedział.

Sprawdził, czy Jadzia mu nie odpisała i – nie robiąc sobie nadziei – czy nie odpisali mu uchodźcy. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Najśmieszniejsze, że jeszcze niedawno cała ta zabawa by mu nie przeszkadzała. Więcej, kręciłaby go. Łowca nagród, kupiec na dom, Bastian Strzygoń na tropie.

Wyobraził sobie, że jego rozmowy z tamtymi ludźmi obserwuje Jadzia. Wyobraził sobie, jak je komentuje. Poczul się żałośnie.

Nie wytrzymał. Zszedł na dół, zamówił herbatę i usiadł z komórką przy stoliku. Z głośnika płynęła piosenka disco polo.

*Znałem Cyganeczkę Zosię,
kazali mi ją poślubić, hej!
Lecz me serce nie pozwala
mojej Cyganeczki lubić...*

Dziennikarz popijał herbatę z prądem, czując, że przyjemne ciepło rozchodzi się wzdłuż jego kręgosłupa, dociera do opuszek palców, rozluźnia mięśnie na karku.

*A jak mi się znudzi wreszcie,
kupię sobie konia w mieście, hej!
Kupię konia i aksamit
i pojedę z Cyganami.*

Scrollował Facebooka, gdy jego smartfon zawibrował.

Cześć, w redakcji spokój, wszyscy się cieszą, że cię nie ma – pisała Jadzia.

Pokazał język do telefonu, ale się uśmiechnął.

Super, cieszę się, że mogłem się przydać – śmignął palcami po dotykowej klawiaturze.

Jak tam w terenie? Czytałam twoje tweety – przyszła kolejna wiadomość.

Bastian przeczytał ją, zaskoczony.

Tutaj przyjaźń polsko-cygańska kwitnie tylko w piosenkach disco polo – odpisał. *Coś czuję, że materiału mi nie zabraknie.*

To dawaj znać, jak ci idzie, ciekawa jestem. Przetarł oczy z niedowierzaniem. *I powodzenia.*

Odłożył telefon i podrapał się za uchem. Co to, dzień dobroci dla hien? A może dotarło do niej, że zachowała się jak kujonica, która przegrała o pół punktu olimpiadę z polskiego? To dobrze, pomyślał. Jedyne, czego mu w redakcji „Horyzontu” brakowało, to zaprzysięgłego wroga.

Podniesiony na duchu zaczął nucić przebój o Cyganeczce Zosi, nieświadomy, że z ostatniego stolika pod ścianą obserwuje go dziewczyna niczym z piosenki.

Już się zbierał z planem, by odłożyć smartfona na resztę wieczoru, już się podnosił z krzesła. Ale się nie powstrzymał. Puknął jeszcze w ikonkę Twittera.

Czterdzieści cztery powiadomienia. Wyglądało na to, że hashtag

#KamienObrazy trenduje.

Przeczytał pierwsze z brzegu.

Jedni w jego poprzednim tweecie nie wyczuli sarkazmu. Lubili i podawali dalej.

Wreszcie media mówią jak jest @strzygon pisze prawdę jak czarnuchy żerują na Uczciwych Polakach.

@strzygon dajesz na pochybel cyganstwu.

Inni wyczuli.

@strzygon kurtyna ci na łeb zdrajco, jeb sie ze swoimi cyganami szmaciarzu.

Anka wytarła usta serwetką. Gerard rozgrzebał risotto i w zamyśleniu drapał się po policzku. Przyjechał spięty, drażliwy i milczący, krążył niespokojnie po mieszkaniu, a gdy szli na kolację na miasto, musiała za nim podbiegać. Ona za to była w refleksyjnym nastroju, łapała się na tym, że jej myśli błądzą w rejonach, gdzie zwykle bała się zapuszczać.

– Gert, co jest dla ciebie ważne w życiu? – zapytała.

Podniósł na nią wzrok znad talerza.

– No co ty. – Przełknął.

– Pomyśl. – Zaczęła bawić się solniczką. – Kariera? Zostaniesz architektem i co? Będziesz uprawiał sztukę, a może ścigał się z ojcem? Co jest dla ciebie ważniejsze: sukces czy pieniądze? A może chcesz zrobić coś dobrego, pomóc komuś? Albo może dla ciebie ważni są ludzie: przyjaciele, rodzina, dzieci... – Zawiesiła głos.

– Nie wiem. Chyba... żeby wszyscy mi dali święty spokój – warknął i zaatakował widelcem risotto.

Anka skrzywiła się i rozsypała sól. Czego ona wymaga od faceta, który ma dwadzieścia trzy lata, mieszka z rodzicami, a do niedawna jego ulubionymi rozrywkami były ostry seks i wyścigi motorem po autostradzie? Żeby wiedział, czego chce od życia?

– Czemu nic nie mówisz? – zapytał, gdy milczenie zaczęło ciążyć nad stołem jak gradowa chmura. Zwykle to ona nie mogła się nagadać.

– Dałam ci święty spokój.

– Anka, nie o ciebie mi chodziło. – Przetarł dłonią czoło. – Nie łap mnie za słówka, proszę, nie dzisiaj.

– Co ci znowu jest? – zapytała. Nie odpowiedział, tylko zaczął widelcem kreślić ósemki w talerzu. – Mam się domyślić? A podobno to kobiety używają chwytów poniżej pasa w stylu „wiem, ale nie powiem”.

– Wszystko musisz sprowadzać do wojny płci? – westchnął. – Nic mi nie jest. Głowa mnie boli.

Zaczęła zbierać ziarenka soli i przesypywać je na serwetkę.

– O czym myślisz? – rzucił pojednawczo.

– O Reginie – powiedziała. – Dlaczego dała córce na imię Gwiazda. Wiesz, dla Romów imię to wróżba na całe życie.

– Ciekawe – mruknął.

– Ja na przykład mam imię z kalendarza. – Skrzywiła się. – Imię, które nic nie znaczy. Miałam być chłopcem, ale jak się urodziłam, to rodzice musieli na szybko coś wymyślić. Twoje imię jest przynajmniej oryginalne. – Wyjęła z torebki telefon. – Święty Gerard... – Wyszukała w Wikipedii. – Patron, uwaga: dzieci, kobiet w ciąży, porodu, macierzyństwa. – Kątem oka zauważyła, jak przez jego twarz przebiegł cień przerażenia. – Opiekun niesłusznie oskarżonych, wspomaga przy dobrej spowiedzi. Widzisz? Wszystko się zgadza.

– Ja znam inną wersję. Z tego, co mi mówili, mój stary był wielkim fanem Nirvany i chciał mi dać na imię Kurt, ale rodzina stanęła okoniem. Gert to najlepsze przybliżenie, jakie udało mu się wynegocjować. I tym sposobem mam imię po kolesiu, który strzelił sobie w usta. Zajebista wróżba, nie?

Wysypała sól z serwetki na talerz.

– Ale Gwiazda? – zmieniła temat. – Gwiazda. Gwiazdka. Gwiazdka z nieba. Co robi gwiazdka z nieba?

Uśmiechnął się smutno.

– Spada.

– A kiedy już spadnie? – zastanawiała się dalej.

– To po prostu meteoryt. Zwykły kamień.



ROZDZIAŁ 9

Obok łóżka rosła sterta zabazgranych kartek, miejscowych gazet, pokreślonych wydruków z portali. Bastian sięgnął po rysunek, który nasmarował po powrocie z Tylmanowej, i wpatrywał się w niego, jakby gdzieś pod powiekami utknęło mu coś ważnego. Pociągnął z gwinta łyk piwa.

Zawibrował telefon. Dziennikarz zobaczył, kto dzwoni, i poderwał się na równe nogi.

– Strzygoń – beznamiętny głos w słuchawce nie bawił się w uprzejmości – wysłałem ci maila.

– Już patrzę. – Bastian przyskoczył do laptopa.

Otworzył załącznik wiadomości i z rozdziawionymi ustami przewiął kilka dokumentów.

– O Jezu – jęknął. – Skąd ty bierzesz takie rzeczy?

– Mam źródła – mruknął tamten. – Księża też czasem mieli przyklepanych wujków. Albo proboszczów.

– W Watykanie też masz wtyki? – Milczenie po drugiej stronie brzmiało jak potwierdzenie.

– I do twojej wiadomości – odezwał się informator. – Identycznego maila dostała dzisiaj policja w Nowym Sączu.

Bastian złapał się za głowę.

– Zwariowałeś?

– Nie przypominam sobie, żebyśmy mieli umowę na wyłączność – burknął jego rozmówca. – Tam toczy się postępowanie w sprawie mordu na dziecku. Ma czekać, aż napiszesz łzawy artykuł i zgarniesz brązową nagrodę? A jak zginie kolejne dziecko, to będziesz umiał stanąć przed lustrem i spojrzeć sobie w twarz?

Facet się rozłączył, a Bastian został z otwartymi ustami. Usiadł po turecku na podłodze, z komputerem na kolanach, i przebiegał oczami przez wymieniane pomiędzy urzędnikami tarnowskiej kurii maile, które nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego.

Kiedy skończył, zaplótł ręce na karku i rozejrzał się po pokoju. Chrystus Frasobliwy patrzył na niego z obrazka zbolalym wzrokiem, podpierając dłońią wychudzony policzek, jakby też właśnie przeczytał te materiały. Bastian znów sięgnął po komórkę.

– Anka? – Śmignął palcami po klawiaturze. – Wysłałem ci maila.

– Już patrzę. – Słysząc było, jak idzie gdzieś i stuka w klawisze. – O Jezu.

– Dokładnie – rzucił Bastian, patrząc na obrazek. – O Jezu z facepalmem. Widzisz i nie grzmisz. I co, dalej twierdzisz, że twój ksiądz Drzewicki to wzór cnót wszelakich i chrześcijańskiego miłosierdzia?

– To poważne oskarżenia... – Anka intensywnie scrollowała myszką. – Ale z tego, co tu widzę, nie przeprowadzono żadnego dochodzenia...

– ...tylko sprzątnięto gościa z Tarnowa i zesłano do cygańskich slumsów! – zirytował się Bastian. – Po cichu i bez informowania jakichkolwiek organów! I on tam pracuje z dziećmi! Anka, ty go bronisz?!

– Nikogo nie bronię. I bardzo źle się stało, że nie było żadnego śledztwa. Ale ja tu czytam, że – cytuję – „istnieje podejrzenie...”, „mówi się...”. Żadnych dowodów, tylko pomówienia. Oboje dobrze wiemy, że zanim się kogoś ukrzyżuje, trzeba naprawdę być pewnym. Poza tym ja go znam. Zupełnie mi to do niego nie pasuje.

– Anka, a wierzysz w krasnoludki albo w emeryturę z ZUS-u? Nie bądź naiwna. Myślisz, że pedofil ma wypisane na twarzy, że jest pedofilem? Że zboczeniec nie może sprawiać wrażenia normalnego, sympatycznego człowieka? Przecież najlepszy przykład masz we własnym łóżku!

Zamilkł, gryząc się w język odrobinę za późno. Cisza, która zapadła po drugiej stronie, jakoś go uwierała.

– *Sorry*. – I na co mu to było? Teraz ona znowu się obrazi, a naprawdę jej potrzebował. A poza tym źle się poczuł z tym, co powiedział. – Przepraszam. A wracając do księdza – dodał szybko – to pewnie się ucieszysz, że te informacje trafiły też do policji w Sączu.

Rozłączył się, a Anka dalej patrzyła na przesuwające się przed jej oczami zdania, bezduszny język kościelnej biurokracji i jedno niepasujące do urzędniczego bełkotu słowo „chłopiec”, jak podkreślone czerwonym długopisem. Przypomniał jej się zmęczony uśmiech księdza Drzewickiego, jego słowa, które ją zawstydziły. Wiedziała, że potrafi być naiwna, pomyślała i sięgnęła do szyi, na której poczuła przez ułamek sekundy muśnięcie niewidzialnych dłoni zaciskających się na jej krtani. Ale z drugiej strony – rzuciła spojrzenie na drzwi do łazienki, za którymi szumiał prysznic – czasami instynkt jej nie zawodził. Może powinna zaufać intuicji? W końcu to w słusznej sprawie...

Popatrzyła na telefon. Kabluje policji, co mówią jej Romowie, chociaż obiecała, że powie tylko tyle, ile będzie konieczne. Romom i kobiecie z fundacji donosi, co robi policja. Bastianowi opowiada wszystko: co mówią Romowie i co robi policja. Teraz ma jeszcze powiedzieć księdzu, co odkrył Bastian? Co ja jestem, Snowden? – pomyślała.

Jeżeli Drzewicki jest niewinny, co to zmieni, że go uprzedzi? Ksiądz nie ucieknie przecież do Argentyny. A jeżeli nie jest... Mógłby zacząć zacierać ślady. A tego wołała nie mieć na sumieniu.

Odłożyła komórkę na biurko i wróciła do łóżka.

– Ksiądz Karol Drzewicki? – zapytał oficjalnie Głód, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna z zakolami. – Musimy porozmawiać.

Podkomisarz rozejrzał się po skromnym mieszkaniu na poddaszu plebanii. Boazeria, puste witryny na szkło, na półce książki o tematyce religijnej, na stoliku przy kanapie „Tygodnik Powszechny”. Nad biurkiem tablica korkowa, na niej laurka „Dla naszego dusz pasterza” ozdobiona koślawymi serduszkami. Zdjęcia z oazowych wyjazdów, roześmiane dziewczynki i chłopcy szczerzą do obiektywu mlecze zęby, wśród nich szeroko uśmiechnięty ksiądz Drzewicki w czapce z daszkiem założonej tyłem do przodu, w ciemnych okularach i w hip-hopowej pozie. Plaża w Ustce, Giewont, jakieś jaskinie.

Baśka też od lat bywała na tych wyjazdach, pomyślał Głód. Razem z żoną cieszyli się wtedy, że mają chwilę wolnego od córki, wychodząc z założenia, że gdzie jak gdzie, ale na oazie nic złego jej nie spotka. Ciekawe, czy księżulo też się tak do ich córki szczerzył, czy ją też tak obejmował. Czy jej dotykał.

Głód poczerwieniał.

– Panowie w sprawie kozy? – zapytał ksiądz, przynosząc policjantom dwie herbaty w kubkach z logo ŚDM w Rio 2013. – Zaraz znajdę wszystkie papiery.

– Kozę? – Podkomisarz uniósł brwi.

– Romowie mówili, że znaleźli państwo kozę i były wątpliwości...

– Tak, koza. – Sławek się ożywił. – Pamiętasz, Janusz, ta, którą ujawniliśmy na koczowisku i zastanawialiśmy się, czy nie pochodzi z kradzieży!

– Więc jakby panowie potrzebowali do wglądu fakturę, zaświadczenie od weterynarza, to ja mogę udostępnić. To była moja inicjatywa, żeby im dać tę kozę i...

– Nie, my nie w sprawie kozy – powiedział Głód. Stał przy biurku księdza, gładząc palcem pokrywę laptopa. – My w sprawie tego.

Wyjął z kieszeni kurtki plik wydruków i podał księdzu. Ten tylko na nie spojrział i gwałtownie wciągnął powietrze. Drżącymi rękami przekładał kartki, przebiegając je wzrokiem. Zamrugął.

– Skąd panowie to mają? – wymamrotał.

– Nieważne. A więc wie ksiądz, o co pytamy, tak?

– To są pomówienia. – Z twarzy księdza odpłynęła cała krew. – Proszę mi wierzyć, nie mam z tym nic wspólnego. Nigdy bym nie skrzywdził...

– Gdzie ksiądz przebywał w nocy, kiedy zginął chłopiec NN? – znowu przerwał mu Głód.

Ksiądz włożył palec za koloratkę, próbując ją poluzować.

– Tutaj – wyszeptał.

– Ktoś może to potwierdzić? Ktoś tu z księdzem był? – włączył się Sławek.

– Nie – odpowiedział jeszcze ciszej Drzewicki.

Głód pokiwał głową, uśmiechając się brzydko, i postukał palcem w komputer.

– Zabieramy to – powiedział.

Ksiądz stał na środku pokoju i patrzył na swoje dłonie.

– Proszę potwierdzić, ksiądz ruszał zwłoki chłopca, tak? – ciągnął Głód. Osobę, która znalazła ciało, należało brać pod uwagę jako potencjalnego sprawcę, uczyli tego na policyjnych kursach. Teraz podkomisarzowi zaczynało się to zgadzać.

– Tak.

– Czyli możemy się spodziewać, że na ciele dziecka znajdziemy ślady biologiczne księdza?

– Co? – Drzewicki zbladł.

– Jeśli miał ksiądz na przykład spocone ze zdenerwowania palce i dotykał nimi skóry chłopca, to w badaniach DNA wyjdzie, że miał z nim ksiądz kontakt. Jak ksiądz sprawdzał, czy chłopiec żyje?

– Normalnie... – Głos wiązał duchownemu w gardle. – Na tętnicy szyjnej.

– A więc możemy się spodziewać, że zostawił ksiądz ślad biologiczny na szyi uduszonego dziecka – powtórzył Głód i popatrzył wymownie na siedzącego na kanapie Sławka. – Jak długo jest ksiądz na tej parafii? – zmienił nagle temat.

– Cztery lata.

– Czy te sprawy – Głód wskazał na papiery – były powodem przeniesienia z Tarnowa?

– Tak – szepnął ksiądz. – Ale to...

– Pomówienia, słyszeliśmy. Mówi coś księdzu nazwisko Baran? – pytał dalej podkomisarz. Sławek zapisywał, podnosząc od czasu do czasu głowę znad notesu.

– Nie – odpowiedział bez zastanowienia ksiądz.

– Ma ksiądz samochód?

– Tak, renault kangoo, stoi na dole, przed kościołem.

– Poproszę kluczyki. – Głód wyciągnął rękę.

– A po co panom mój... – Ksiądz podszedł do wieszaka i sięgnął do kieszeni kurtki.

– Obejrzymy go sobie dokładnie – rzucił podkomisarz.

Drzewicki nerwowo pocierał palcem kącik oka i starał się powstrzymać drżenie warg. Głód przechadzał się wzdłuż regału z książkami, przekrzywiając głowę, żeby przeczytać tytuły.

– Proszę się nie ruszać z Zabrzeży – powiedział. – Jeśli wyjedzie ksiądz ze wsi na kilometr, zatrzymam księdza bez dalszych pytań. Jasne?

Odwrócił się energicznie, ale zatrzymał się z ręką na klamce.

– Jeszcze jedno – warknął. – Ksiądz zna się z moją córką.

– Z oazy – wyjąkał duchowny. – Jeździła na obozy do Ustki, brała udział

w wycieczkach...

– I już więcej nie będzie – oświadczył podkomisarz. – Dziewczyna musi się skupić na nauce.

Znalazł się tuż przed duchownym. Zaalarmowany Sławek wstał z kanapy. Głód wyglądał, jakby miał wybuchnąć. Otworzył usta.

– Proszę pamiętać: obowiązuje księdza zakaz przemieszczania – powiedział głośno aspirant Gaca, nie dając szefowi rzucić podejrzanemu w twarz gróźb karalnych. – Komputer zabieramy. Ma ksiądz prawo być obecny przy przeszukaniu. Jeśli ksiądz ma jakieś pendrive’y i dyski przenośne, proszę je oddać od razu – polecił. – Postanowienie prokuratora w przedmiocie zatwierdzenia przeszukania zostanie księdzu dostarczone w terminie siedmiu dni.

Głód rozluźnił ramiona. Odwrócił się i wypuścił powietrze. Otworzył drzwi. W progu czekało czterech policjantów po cywilnemu.

– Panowie, jedziemy – zakomenderował podkomisarz.

Ksiądz patrzył, jak mężczyźni metodycznie otwierają szafkę po szafce. Jak przetrząsają kieszenie jego kurtek, polarów, marynarek, sutanny. Jak zagląдают do puszek z herbatą, do barku, w którym stała samotna butelka koniaku. Jak pakują do foliowego worka jego telefon. Jak przekopują szufladę z bielizną, jak zdejmują książki z regału, wertują jego kryminały i brewiarz.

Gdy wyszli, oparł się czołem o szybę. Pięścią wybijał na parapecie równy rytm. Patrzył przez okno, jak ten młodszy przegląda swoje notatki, a ten starszy, gruby, odchodzi z jego laptopem pod pachą.

Usiadł ciężko na kanapie i ukrył twarz w dłoniach.

Potem podniósł się, podszedł do biurka i odszukał karteczkę z numerem telefonu. Odgrzebał spod papierów nieużywany od wieków telefon stacjonarny.

– Pani doktor? – zapytał, a w jego głosie nagle zagrały wszystkie emocje, od których powstrzymywał się podczas tej wizyty. – Musimy porozmawiać.

Bastian zrobił komórką zdjęcie kościoła. Zapytał kiedyś Huberta Kelera, dlaczego wszystkie nowe świątynie są takie brzydkie. Znany architekt odparł, że nie wie i nie chce się wypowiadać, bo nigdy nie zaprojektował żadnego kościoła, podobnie jak jego znajomi architekci. Więc Bastian pomyślał, że to pewnie dlatego.

Budynek, który wyrastał przed nim pośrodku pomalowanego na budyniowe kolory osiedla, przypominał skrzyżowanie statku kosmicznego Imperium ze skocznią narciarską. Deszcz dopełniał ponurego obrazu.

Bastian mocniej ścisnął rączkę parasola i ruszył w kierunku plebanii. Nacisnął klawisz staroświeckiego dzwonka z przyklejoną taśmą klejącą wizytówką „Ks. proboszcz Emil Wątroba”.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich łysiejący ksiądz w okularach.

– Dzień dobry, Sebastian Strzygoń, jestem dziennikarzem. – Bastian

wyciągnął do niego rękę. Nalało mu się z parasola za kołnierz. – Mogę wejść? Trochę pada...

Zdezorientowany ksiądz wpuścił Bastiana do środka i czekał, obracając okulary w dłoni, podczas gdy dziennikarz zdejmował kurtkę. Z pomieszczenia na końcu korytarza wyjrzała zakonnica w fartuchu narzuconym na habit. Czuć było charakterystyczną, wżartą w boazerię woń zupy ogórkowej z rozgotowanym ryżem, tak jak na wszystkich plebaniach, jak Polska długa i szeroka.

Proboszcz wskazał Bastianowi drzwi do kancelarii i podreptał za nim, szurając kapturami. Dziennikarz rozsiadł się na krześle, patrząc, jak jego rozmówca mości się na skórzanym fotelu i wystudiowanym gestem składa ręce.

– Pracuję nad reportażem o kapłanie, który był kiedyś księdza wikariuszem – zagaił Bastian. – O księdzu Karolu Drzewickim.

Zawiesił głos, obserwując reakcję proboszcza. Ten ściągnął brwi i zaczął wiercić się na fotelu.

– To była jego poprzednia parafia, prawda?

– Istotnie – powiedział powoli Wątroba.

– Ksiądz Drzewicki to bardzo ciekawa postać – rzucił luźno Bastian. – Jego sukcesy w pracy z Romami są imponujące. Gratuluję takiego wychowanka, bo domyślam się, że to księdza zasługa...

– Słyszałem, że nieźle sobie radzi. – Proboszcz rozluźnił się odrobinę. – Ale sam niewiele mogę o tym powiedzieć.

– To księża nie utrzymują kontaktu? – zdziwił się dziennikarz. – Spodziewałbym się, że ksiądz Drzewicki będzie odwiedzać swojego mentora.

– My, kapłani, nie pielęgnujemy głębokich relacji. Służba Bogu jest najważniejsza, każdy z nas skupia się na obowiązkach. I jesteśmy bardzo zajęci. – Proboszcz Wątroba spojrział wymownie na zegarek.

– Ale co to był za człowiek? – Bastian udał, że tego nie zauważył. – Jak go ksiądz zapamiętał?

– Cóż mogę powiedzieć... – zaczął proboszcz. – Pełen poświęcenia, bezkompromisowy, żeby nie powiedzieć uparty... Przepraszam, dla jakiej gazety pan to pisze?

– Dla „Horyzontu”. – Bastian dostrzegł, że proboszcz znowu zaczął wiercić się w fotelu. – Był lubiany? Podobno pracował z dziećmi...

– Tak, był lubiany, miał sukcesy w pracy duszpasterskiej... A pan już z nim rozmawiał? – Wątroba nachylił się ku dziennikarzowi. – Co on panu powiedział?

– I skąd taka nagła decyzja o przeniesieniu? – Bastian również nachylił się nad zielonym sukniem pokrywającym biurko. Proboszcz obracał w palcach okulary. – A te sukcesy to w pracy z młodzieżą?

– Wikariuszy regularnie się przenosi. Zresztą nie rozumiem, do czego pan zmierza. – Nagle zebrał się na odwagę.

Bastian podał mu plik zadrukowanych kartek. Tamten założył na nos okulary. Zbladł. Potem poczerwieniał. Zaczął oddychać szybciej.

– Jak ksiądz skomentuje te dokumenty? – naciskał Bastian. – Tu nie ma nic o poświęceniu ani o sukcesach w pracy duszpasterskiej. Są za to poważne oskarżenia.

– Skąd pan to ma? – rzucił proboszcz.

– Tajemnica dziennikarska. – Bastian się uśmiechnął. – To takie coś jak tajemnica spowiedzi. Proszę mi powiedzieć, to prawda?

– A skąd mam wiedzieć? Ja nikogo za rękę nie złapałem. Ja w ogóle nic nie wiem!

– Proszę kartkować dalej, znajdzie ksiądz własne listy do kurii. Obciążył go ksiądz. Przynajmniej na tyle, na ile rozumiem język waszej kościelnej dyplomacji – ciągnął dziennikarz. – Dlaczego tej sprawy nie zbadała policja?

– Nic pan nie rozumie! – Proboszcz Emil Wątroba podniósł głos. – Czytał to pan? Mówiłem, nie złapałem nikogo za rękę. Nie mieliśmy dowodów, tylko – skrzywił się – uzasadnione podejrzenia. Zdecydowaliśmy, że tak będzie lepiej.

– Lepiej dla kogo? – zainteresował się Bastian. – Dla tego dziecka? A nie lepiej było sprawę wyjaśnić? Mnie zależy na rozwianiu wątpliwości. Dlatego proszę, żeby podzielił się ze mną ksiądz tym, co wie. – Postanowił nieco zmienić taktykę. – Dla Kościoła lepiej jest – dodał, kładąc splecione jak do modlitwy dłonie na zielonym suknie – nie pozostawiać miejsca na domysły. Oczyścić dobre imię księdza Drzewickiego albo dać Kościołowi szansę, żeby obszedł się z nim tak, jak na to zasługuje.

– Takie sprawy Kościół załatwia za zamkniętymi drzwiami, bez potrzeby gorszenia wiernych. – Proboszcz wycelował w Bastiana palec. – Bez medialnego linczu, który położyłby się cieniem na dobrym imieniu Kościoła. Proszę mi wierzyć, ksiądz Drzewicki otrzymał swoją lekcję, nie ma potrzeby teraz do tego wracać.

– Pedofila nie wyleczy się daniem mu po łapach! – Bastian uniósł się na krześle. – On tam w Zabrzeży pracuje z dziećmi! Nie zastanawiał się ksiądz, czy nie wysłaliście go na sądecką Dominikanę?

– Proszę stąd wyjść. – Proboszcz wstał od biurka.

– Porozmawiam z rodzicami tego chłopca – rzucił Bastian, odsuwając krzesło.

Strzelił, bo w papierach od informatora nie było ich nazwiska.

– Chciałem dać wam szansę. Ale skoro ksiądz tak stawia sprawę...

Z twarzy proboszcza odpłynęła resztką krwi. Dziennikarz demonstracyjnie długo wkładał kurtkę i grzebał się z parasolem.

– Spokojnych snów, księżo proboszczu – powiedział na odchodnym, wręczając Wątrobie swoją wizytówkę. – Do widzenia, siostró.

Uklonił się kobiecie, która stała na końcu korytarza i wycierała dłonie w kuchenną ścierkę. I wyszedł.

Ciasny pokój w sądeckiej komendzie miejskiej wypełniały teczki, wydruki, kubki po kawie i butelki po mountain dew. Aspirant Izabela Hulak przeglądała bazę danych osób zaginionych.

Ciągle miała w uszach płacz dziecka, dźwięk, który zaliczała do najbardziej drażniących, zaraz po wiertle udarowym i skrobaniu kredą po tablicy.

W pogotowiu opiekuńczym biegły lekarz pediatra poddał dziewczynkę z koczowiska oględzinom, stwierdzając, że jest w dobrym stanie, odżywiona i czysta. Pomierzył jej kości, przeliczył i zawyrokował, że dziewczynka ma co najmniej cztery lata, a najwyżej cztery lata i pięć – sześć miesięcy. Na koniec pobrał jej krew na testy pod kątem WZW i grupy krwi oraz wymaz do badań pokrewieństwa zleconych przez prokuratora.

Gwiazdka stała na środku pokoju, rozebrana do majtek, i płakała przez cały czas. Płakała tak, jakby to był jej jedyny sposób porozumiewania się ze światem. Przestała tylko na chwilę, gdy lekarz wkłuł się igłą w jej chude ramię. Zaciśnęła wtedy ząbki i z intensywnością hipnotyzerki popatrzyła spod ściągniętych brwi dokładnie w Izę.

– *Palis roweja* – powiedziała do niej poważnie. – *Palis roweja*. Potem ty będziesz płakać.

I poryczała się znowu. Izę rozboleła głowa.

Znała wiek dziewczynki, więc mogła zawęzić zakres poszukiwań do okresu od czterech i pół roku temu do dziś. Chciała najpierw sprawdzić region, potem bazę ogólnopolską, a jeśli to nic nie da, trzeba będzie uderzyć do Europolu, bo dziecko mogło pochodzić Bóg wie skąd. Nie znosiła takiej roboty, a głowa ćmiła, aż robiło jej się niedobrze.

Ale było warto.

Cztery lata temu, Szczawnica. Matylda i Bartosz Wołoszynowie zgłaszają zaginięcie dwumiesięcznej córeczki Leny. Po roku bezskutecznych poszukiwań policja umarza postępowanie.

Iza wyszukała tych dwoje w bazie PESEL i wyświetliła na monitorze ich zdjęcia.

Patrzyła długo, ale nie była w stanie wiele powiedzieć. Niby nie... Ale... Jego kości policzkowe... Jej zadarty nos...

To ty, Gwiazdko? Stąd spadłaś?

Głód palił e-papierosa na parkingu przed plebanią. Przyglądał się pracy techników, którzy metodycznie przetrząsali samochód księdza Drzewickiego. On sam krążył wokół auta, nerwowo wycierając ręce.

– W kurii nabrali wody w usta. – Sławek podszedł do podkomisarza, poprawiając okulary. – Przesłałem im wszystko, powiedzieli, że się zapoznają

i udziela odpowiedzi w stosownym czasie. Na razie proszą o powstrzymanie się z podawaniem jakichkolwiek informacji do mediów.

– Kurwa kurwie łba nie urwie – prychnął Głód. – Zapamiętaj moje słowa, chłopcze.

– Ty wierzysz w Boga, Janusz? – zapytał Sławek.

– W Boga tak. W ludzi nie. Ani w papieża Franciszka, ani w Episkopat Polski, w Szlachetną Paczkę, w Radio Maryja, ani nawet w Świętą Mateczkę ze Starego Sącza. Z kim ty tam w ogóle rozmawiałeś w tym Tarnowie? – zmienił temat.

– Z sekretarzem biskupa. Skontaktowałem się też z komendą miejską. Kolegę tam mam – wyjaśnił aspirant. – Sprawdził, że nigdy nie było ani jednej skargi na księdza Drzewickiego. Żadnego zgłoszenia, a tym bardziej wszczęcia postępowania o pedofilię, gdzie pojawiłoby się jego nazwisko. Rozmawiałem też z dyrektorką szkoły, w której uczył religii. Cudowny człowiek, dzieci go kochały – powiedział Sławek i naraz zamilkł. – Tak mówiła. I że bardzo zmartwiło ich to nagłe przeniesienie.

– On jest w Zabrzeży cztery lata – Głód mówił sam do siebie. – Kacper Baran ginie trzy lata temu. Romskie dziecko, jeśli istniało, podobnie. Zgadzałoby się.

– Te dzieci zaginęły, nie zginęły – przerwał mu delikatnie Sławek. – Nie wiadomo, co się stało.

– Wiesz, jak jest z zaginięciami. – Głód wzruszył ramionami. – Jak zaginiony nie znajdzie się w ciągu dwudziestu czterech godzin, to prawdopodobieństwo, że nie żyje, rośnie jak nie powiem co na weselu. A co dopiero dziecko.

– A Romowie? – zapytał Sławek. – Myślisz, że byli z nim w zмовie?

– Na tę chwilę założyłbym, że... nie – powiedział Głód w zamyśleniu. – To zaczęło się w Tarnowie. Z dała od Kamienia, do którego trafił przypadkiem. Ale jest jeszcze ta cała Gwiazdka... To dziewczynka, więc odbiega od schematu. I do tego ta kobieta, ta Regina... Może to tylko zbieg okoliczności?

– No właśnie, Izka ci mówiła? Znalazła jeszcze jedno zaginięcie, ze Szczawnicy. – Sławek się ożywił. – Dziewczynka, Lena, zaginęła jako niemowlę w dwa tysiące dwunastym roku.

– Dziewczynka... – Głód zaczął głośno myśleć. – Niemowlę... Też nie pasuje. Na razie skupmy się na księdzu.

Zaciągnął się parą i wypuścił ją przez nos, patrząc w niebo, na którym zaczynały kłębić się czarne chmury.

Z plebanii wyszedł proboszcz i pomachał do księdza Drzewickiego. Ten podbiegł do niego i zaczął tłumaczyć mu coś na ucho.

– Chłopaki, a jak u was? – zawołał Głód i podszedł do samochodu.

– Będziemy tu siedzieć do wieczora – westchnął technik. – Wygląda na to, że woził tym autem pół miejscowej podstawówki. I kozę chyba też. Mamy pierdyliard, przepraszam za wyrażenie, włosów. Każdy inny. Nie ma żadnych śladów po wymiocinach czy bieguncie. Ale – uniósł palec wskazujący – na przednim siedzeniu ujawniliśmy krew. Pięknie wyszła w ultrafiolecie.

– Krew? – zdziwił się Głód. Pochylił się nad fotelem pasażera, gdzie z przodu, na środku, widniała niewielka brunatna plama.

Podkomisarz włożył lateksowe rękawiczki i otworzył schowek. Wypadły z niego płyty, połamany długopis, latarka i karty lojalnościowe różnych stacji benzynowych. Podniósł pierwszą płytę z brzegu.

– *Chrześcijanin tańczy* – przeczytał na głos.

Ostrożnie zaczął grzebać w schowku. Wyjął z niego jeszcze zmasakrowany atlas samochodowy Polski, wyklejankę punktów z McDonalda i zwiniętą w kulkę szmatkę do wycierania szyb. Rozprostował ją delikatnie. Powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych, prezentując im ją triumfalnie. Wyraźnie widniały na niej buroczerwone plamy.

– Coraz lepiej. – Zaśmiał się, chowając zakrwawioną szmatkę do foliowej torebki. – Ciekawe, co znajdziemy w jego komputerze.

Duchowni ruszyli w stronę samochodu, proboszcz szedł przodem, wojowniczo. Za nim, ociągając się, ksiądz Drzewicki.

– Panowie, czy jest jakiś problem? – zapytał oficjalnym tonem proboszcz.

– To się okaże – mruknął Głód.

Policjant kątem oka dostrzegł, jak przy ogrodzeniu zaczynają się gromadzić ludzie. Jak wskazują sobie ich palcami, jak się rozchodzą.

A wraz z nimi rozchodziły się wieści.

Ksiądz zamknął drzwi, które specjalnie zostawiła uchylone, i Anka poczuła się nieswojo. Umówili się w Kamieniu, u Dominiki, na neutralnym gruncie. Za oknem szumiał deszcz, kapąło z parapetu do stojącego pod oknem wiadra.

– Chciałem, żeby dowiedziała się pani ode mnie – powiedział duchowny, zacierając zziębnięte ręce. – Policja... chyba mnie podejrzewa. Zabrali mojego laptopa, przeszukali mój samochód i kazali nie ruszać się z Zabrzeży. Weszli w posiadanie pewnych dokumentów... które mogą budzić podejrzenie, że ja... – Zamilkł.

– To te dokumenty? – Podsunęła mu ekran smartfona, na którym otwarty był jeden z maili od Bastiana.

Zamarł.

– Skąd pani to ma? – wyszeptał po chwili.

– Nieważne – odparła.

– To znaczy, że to już krąży po ludziach. – Usiadł na tapczanie i ukrył twarz w dłoniach. – Jestem skończony.

– Proszę księdza, czy to prawda? – zapytała. – Te dokumenty są autentyczne?

– To zależy, o co pani pyta... – Zawahał się. – Tak, te dokumenty są autentyczne. Tak, przeniesiono mnie tu z Tarnowa z tego powodu. Czy jestem pedofilem? Na Boga, nie!

– Proszę mi opowiedzieć.

– Pracuję z dziećmi, odkąd wyszedłem z seminarium – zaczął ksiądz Drzewicki. – Uczyłem w szkołach religii, działałem w oazie i w różnych organizacjach na rzecz dzieci. Był taki chłopiec... miał na imię Krzyś, był niepełnosprawny... Spędzałem z nim dużo czasu, woziłem go na zajęcia, pracowałem z nim w domu. I po jakimś czasie ten chłopiec zaczął się dziwnie zachowywać. Rodzice wzięli go do psychologa i ten psycholog powiedział, że Krzyś najprawdopodobniej jest molestowany. Wtedy wszyscy zaczęli się przyglądać naszej relacji. I tak, to prawda, pomagałem mu się przebierać, kiedy zabierałem go na basen, przytulałem go, jak płakał, ale nigdy, przenigdy... nigdy go nie dotknąłem w ten sposób! Nie skrzywdziłbym go, może być pani pewna!

Ksiądz dalej wycierał ręce, wodząc po ścianie rozbieganym spojrzeniem.

– Rodzice chłopca poszli do mojego proboszcza. A my nigdy nie żyliśmy ze sobą w przyjaźni. Najpierw zabronił mi kontaktować się z tą rodziną, a potem dostałem propozycję nie do odrzucenia. No i jestem tutaj.

– Dlaczego nie chciał ksiądz, żeby policja wyjaśniła tę sprawę?

– Takie oskarżenie ciągnie się za człowiekiem przez całe życie. W kurii powiedzieli, że mi wierzą, ale jeśli sprawa wyjdzie na jaw, to i tak nie będę mógł potem pracować z dziećmi. A dla mnie nie było nic ważniejszego, więc zdecydowałem, że tak będzie lepiej. Przyjąłem propozycję, wolałem zgodzić się na przeniesienie i dalej próbować robić coś dla dzieci. Zakładałem, że nikt nigdy się nie dowie. Ale widocznie się myliłem.

– A nie pomyślał ksiądz, że ten chłopiec... że Krzyś – poprawiła się – dalej może być molestowany? Jeżeli oprócz usunięcia księdza z Tarnowa nikt nic nie zrobił w tej sprawie, to prawdziwy pedofil pozostał na wolności.

Ksiądz popatrzył na nią tak, że aż cofnęła się o krok.

– O mój Boże – powiedział i znowu ukrył twarz w dłoniach.

– Ile on miał lat? – zapytała Anka ostrożnie.

– Trzydzieści – rzucił głucho ksiądz.

– Proszę podać jego nazwisko. Musimy się skontaktować z jego rodzicami.

– Nie.

– Dlaczego? – Anka szerzej otworzyła oczy.

– To była część umowy. Że nigdy nie będę próbował skontaktować się z tymi ludźmi. Nie wyjawię ich nazwiska.

Anka zaczęła przechadzać się po pokoiku.

– Ale skoro mleko już się wylało, to chyba umowa przestała obowiązywać?
– Rozłożyła ręce.

– Nie. – Ksiądz pokręcił głową. – Nie mogę. Przepraszam. Proszę powiedzieć – nagle zmienił temat – pani mi wierzy, prawda?

Anka się zawahała. Gdyby ktoś opowiedział jej tę historię, to nie miałyby wątpliwości. Wszystko komplikował fakt, że siedział przed nią człowiek, którego zdążyła polubić, któremu tak bardzo chciała wierzyć, chociaż dzwonki alarmowe w jej głowie urządziły wściekły koncert.

– Nie wiem – odpowiedziała wreszcie zgodnie z prawdą.

– Pani doktor. – Patrzył na nią błagalnie. – Oni nikogo nie mają oprócz mnie.
– Podniósł ręce, obejmując tym gestem izdebkę, w której spały razem wszystkie dzieci Dominiki. Nieszczelne okno, liche zabawki, pościel nie od kompletu. – Jeśli mnie zabraknie, to nie wiem, co się z nimi stanie. Pani też na nich zależy, prawda?

Ostrożnie kiwnęła głową, nie wiedząc, co ksiądz Drzewicki ma na myśli.

– Proszę o jedno. – Intensywnie wpatrywał jej się w oczy. – Pani jest blisko policji... Da mi pani znać, jeśli... zrobi się poważnie? Żebym zdążył uporządkować sprawy Romów, zanim ktoś lekką ręką przekreśli to, co udało mi się tu zbudować, i skrzywdzi tych, którzy, jak zwykle Bogu ducha winni, obrywają przy każdym trzęsieniu ziemi.

Nie powiedziała nic.

Kartki z planem sytuacyjnym podarła i wyrzuciła do kosza. Wyposażenie rozłożone równo na dużym małżeńskim łóżku zapakowała do czarnego taktycznego plecaka. Sprawdziła służbowego glocka 17 i rezerwowe magazynki. Za oknem szeleściła mżawka. To dobra pogoda. Przez chmury jest ciemniej, a deszcz zagłusza.

Sylwia stanęła bez ruchu pośrodku pokoju. Była w czarnych bojówkach, butach z wysokimi cholewkami i w sportowym staniku. Długo wiązała włosy, najpierw w kitkę, a potem w ciasny kok nad karkiem. Przeciągnęła się mocno.

Wyznaczała już dwie noce na ten wypad. Postawiła ultimatum dwa razy. I dwa razy nic z tego nie wyszło. Za pierwszym razem Marek wlał w siebie dzień wcześniej tyle góralskiego samogonu, że zwyczajnie nie zdążył wytrzeźwieć. Za drugim wyszła do sklepu, bo skończyła się jej cola. Gdy wróciła, Marek leżał na łóżku, rozkrzyżowany pośród naszykowanego na akcję sprzętu, a na planie sytuacyjnym stała butelka po wiśniówce, z resztką cukierkowej zawartości na dnie.

Gdy skończą tę robotę, pomyślała, Marek musi iść na odwyk. Choćby miała go tam zawlec.

Nasłuchiwała. Szumiała woda pod prysznicem. Kiedy on tam poszedł? Mówił, że zajmie mu to dwie minuty.

Drzwi łazienki były zaryglowane. Wydobyła z kieszeni bojówek multitool,

rozłożyła końcówkę śrubokrętu i bez trudu przekręciła blokadę w drzwiach. Wpadła do środka.

Siedział na kiblu, nagi, z głową odchyloną do tyłu, oparty o ścianę. Strużka śliny ciekła mu z ust. Drzwiczki inspekcyjne do wnęki z wodomierzem były otwarte. W środku stały wciśnięte płaskie, dwustumililitrowe piersiówki wódki Żytniej. Cztery, odkręcone i puste, leżały przed nim na podłodze. Zmarszczyła nos od kwaśnego smrodu wymiocin.

Jednym ruchem wygarnęła zachomikowane butelki z wnęki, a gdy tłukły się o kafelki, ona już miała w ręce rozkręcony prysznic. Skierowała strumień wody na twarz Marka. Kopnęła z całej siły jedną z pustych flaszek. Szkło rozprysnęło się na ścianie.

Marek pod strumieniem wody otrząsnął się, zaczął się wić, zabelkotał nieskładnie.

Zakręciła wodę. Zrobiło się bardzo cicho.

Złapała go za włosy, nie chcąc dotknąć zaślinionej i uwalanej wymiocinami twarzy. Nachyliła się nad nim, krzywiąc się z obrzydzenia.

– Pierdol się, Marek – powiedziała spokojnie, patrząc, jak on usiłuje rozewrzeć powieki. – Ty pieprzona, słaba świnió.

Puściła go i nie patrząc, jak głowa opada mu na pierś, jak przechyla się w przód, odwróciła się energicznie. Gdy plasnął całym ciężarem o mokrą podłogę, była już w przedpokoju. Nie słuchała jego bełkotu, gdy zbierała resztę sprzętu z łóżka.

– Ss...lwia...!

Naciągnęła na siebie czarny elastyczny golf, przeładowała glocka i wcisnęła go do kabury, którą upchnęła w plecaku.

– Bo... asiębaem...!

Z plecakiem na ramieniu przeszła przed otwartymi drzwiami łazienki, nawet na niego nie spoglądając, jak próbuje się podnieść z podłogi, ślizga się na niej i wije, wyciągając do Sylwii rękę.

Dość miała czekania na niego. Trzasnęły drzwi wejściowe. Potem bagażnik golfa. A potem zagrał silnik i milkł, w miarę jak auto się oddalało.

– Bo... ja... się bałem...! Ss...lwiaaa!

Anka stanęła w drzwiach i oparła się o futrynę. Książd przyłożył palec do ust. W pomieszczeniu było cicho, deszcz na chwilę przestał szumieć, a spod kołdry na łóżku pod ścianą dobiegało stłumione chrapanie.

– Klocki nam się skończyły – powiedziała dziewczynka i usiadła na piętach.

– Kładziemy dach? – zapytał siedmiolatek, przed którym na wyliniąłym dywanie urosła sterta czerwonych dachówek.

– Chwila, te ściany są za niskie. Coś musimy rozebrać. – Gerard zmarszczył czoło. Siedział po turecku na podłodze, przyglądając się budowli.

– Może to? – Druga dziewczynka pokazała palcem na środek konstrukcji.
– Nie. To jest komin. Bez niego nie będzie wentylacji w kuchni i łazience.
– Będziemy mieli łazienkę? – zdziwił się drugi chłopiec, młodszy. – Ale super!

Dziewczynka zaklaskała i zaczęła biegać dookoła budowli.

– Spokój, już. – Gerard zatrzymał ją i posadził na podłodze. – Siedzimy grzecznie.

– A mogę u ciebie na barana? – zapytała i zaczęła wdrapywać się mu na plecy.

– Nie – zaprotestował i spróbował ją strząsnąć, ale mocno trzymała go za szyję. – Złaź. Już.

– A co ty tam masz? – zapytała. – Jakiś rysunek?

– Masz tatuaż! – zaśmiali się chłopcy i rzucili się na niego, podwijając mu T-shirt pod pachy. – Jesteś gangsta?! Jak Popek?

– Co to? – zapytał ten młodszy, patrząc w puste oczodoły kościstej panny młodej z wagą w jednej i kosą w drugiej ręce. Gerard próbował się obrócić, ale dzieci obsiadły go tak, że nie mógł się ruszyć.

– *Mulo* – orzekł ten starszy i opuścił podkoszulek. – Nie patrzcie.

Dzieci wróciły na swoje miejsce, a Gerard przeczesał palcami potargane włosy.

– Dobra, wracamy do budowania – powiedział, drapiąc się po policzku. – Tu, po lewej, są trzy pokoje, a może wystarczą dwa? Rozebralibyśmy tę ściankę działową i skrócilibyśmy cały korpus. Tylko wtedy musielibyście mieszkać razem w jednym pokoju. Moglibyście mieć tam na przykład łóżka piętrowe.

– Tak, ja chcę! Ja chcę na górze! – ucieszyła się dziewczynka i zaczęła radośnie rozwalać ścianę budowli.

– Nie...! – jęknął Gerard i złapał się za głowę.

Zwabione śmiechem Anki, w domu zmaterializowały się Regina z Dominiką, pachnące deszczem i papierosami. Dzieci przypadły do nich i klocki natychmiast poszły w odstawkę, kiedy w obiegu pojawiły się przywiezione przez księdza delicje.

– Zmywamy się – rzucił Gerard do Anki, zawiązując buty. – Jutro mam na rano.

Nie zdążyła się pożegnać i wybiegła za nim, w biegu zakładając kurtkę. Po deszczu pachniało mokrą ziemią, ich buty zostawiały w błocie głębokie ślady. Wieś była wyludniona, tylko przemoczony pies biegał, podkulając ogon.

– Nie rób mi tego więcej – rzucił Gerard, tłumiąc złość. – Nie zostawiaj mnie samego z tymi małymi potworami. Laski sobie poszły, potem przyszedł ten koleś, nic nie powiedział, walnął się do wyra i zasnął, a ja kompletnie nie wiedziałem, co mam robić.

– Potworami? – zdziwiła się Anka. – Wyglądało, że nieźle ci idzie. I że dobrze się bawisz.

– Daj spokój, dzieci są fajne przez pierwsze cztery minuty. Potem robią się wkurwiające.

Skrzywiła się i wcisnęła dłonie w kieszenie kurtki.

– A ja uważam, że przebywanie z dziećmi mogłoby mieć na ciebie świetny wpływ. Może to jest sposób, żebyś się...

– Chcesz resocjalizować zboczeńca, zostawiając go samego z dziećmi? – Wyszarpnął z kieszeni paczkę papierosów i wsunął sobie jednego w usta. – Ciekawa strategia. A jak mi w ogóle idzie, pani kurator? Już można mnie pokazać ludziom czy jeszcze obciach? Jak mogę zasłużyć, żebyś poluzowała mi łańcuch z sypialni do przedpokoju? Upiec ciasteczka? Wydziergać ci szydełkiem rękawiczki z wiewiórką?

– Nic nie zrozumiałam z twoich pretensji. – Anka pokręciła głową. – Tylko tyle, że znowu fantazjujesz o łańcuchach.

– To będzie bez metafor, bo mi nie wychodzą. – Zapalił i zaciągnął się głęboko. – Ty chcesz zrobić ze mnie jakiegoś misia przytulankę. Jest mi z tobą cudownie w łóżku, twoja kanapa jest bardzo wygodna, a seriale HBO ciekawe, ale uważaj, bo zagłaskasz kotka na amen. Weź pod uwagę, że ja jestem...

– Tak, wiem, odrażający, brudny, zły – prychnęła. – Młody, gniewny i groźny. Nie pochlebiaj sobie.

Zamknął na chwilę oczy i przyspieszył kroku.

– Chodziło mi o to, że jestem facetem – zaczął powoli. – I że może moglibyśmy czasem ruszyć się z kanapy i zrobić razem coś hardcorowego.

– Na przykład? Chcesz skoczyć ze spadochronem? Pojechać na weekend do Naddniestrza? A może pójść na imprezę dla swingersów? Nudzi ci się ze mną? – Nie dała sobie przerwać, czując, że się zapędziła. – Brakuje ci adrenaliny? Życie to nie jedna wielka techniawa na speedzie, jakby wcześniej nikt ci tego nie powiedział. A tu, tutaj ci się nie podoba? – Podniosła ręce szeroko, zmieniając temat. – W rankingu najbardziej pojechanych miejsc w Polsce Kamień powinien znaleźć się wysoko. A, przepraszam, w Ameryce Południowej pewnie są bardziej hardcorowe slumsy.

– Żebyś wiedziała. Tam takie dzieci jak te biegają z maczetami. – Patrzył spode łba, jak Anka przewraca oczami. – Fajnie, że mogę porobić za kierowcę, ochroniarza i niańkę, ale też bym chciał się do czegoś przydać, a nie tylko przywieźć, zawieźć, nie podsłuchuj, nie podglądaj. Tak jak dzisiaj, zamknęłaś się z naszym tęczowym przyjacielem...

– Tęczowym przyjacielem?! – przerwała mu Anka.

– Nie to, że mam coś przeciwko, tylko stwierdzam fakt. Koleś jest gejem, mogę się założyć, to widać na pierwszy rzut oka.

– A skąd ty jesteś taki mądry? Z facetami też się rznąłeś w tej piwnicy? – rzuciła i natychmiast zamknęła usta, zawstydzona swoimi słowami.

Zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Anka, wystarczy – powiedział poważnie. – Chyba że chcesz wracać do Krakowa na piechotę.

– Odpowiedz na pytanie. – Miała do wyboru przeprosić albo iść w zaparte.

– Nie – warknął. – Co za ulga, prawda? Nie musisz być zazdrosna o drugą połowę populacji.

Już miała na końcu języka ciętą ripostę, ale założył jej kask na głowę i wsiadł na motocykl. Wdrapała się na siedzenie za nim i zamiast objąć go w pasie, złapała się podpórek, chociaż tak zawsze czuła się niepewnie. Szczególnie na gruntowej drodze po deszczu.

– Co się tak czerwienisz, Sławuś? – rzucił Głód. Policjanci otaczali kręgiem starego laptopa Toshiba. – Pierwszy raz widzisz pedalskie porno?

– Żebyś wiedział, że pierwszy. – Chłopak poprawił okulary. – Ty, rozumiem, oglądasz namiętnie?

– Co wolno wojewodzie... – Podkomisarz natychmiast spoważniał, słysząc, jak pozostali wybuchają śmiechem. – Nic więcej nie znaleźliście?

– W multimediamiach czysto, zdjęcia i filmy z wycieczek, pielgrzymek, prób scholi, jasełek i tak dalej. Musieliśmy to wszystko obejrzeć, miałem ochotę pawia puścić od tej słodyczy – westchnął informatyk. – W poczcie „Szczęść Boże” na zmianę z „Bóg zapłać”. W wyczyszczonych klastrach dysku też nic podejrzanego. I tylko głęboko zagrzebane w historii przeglądania takie чудо.

– Rzygać się chce – mruknął Głód, podbródkiem wskazując komputer. – Chociaż jasełek też bym nie zniósł.

– Wiesz... – zaczął Sławek, patrząc w monitor – to jeszcze żaden hardcore. Ci panowie się po prostu...

– Pierdołą. – Podkomisarz wydał wargi. – Sławek, weź jutro Izę i idźcie pogadać z dziećmiakami z oazy. Chcę wiedzieć o tym facecie wszystko. I weźcie to już wyłączcie, chyba że Sławek chce jeszcze pooglądać, bo go chyba zainteresowało.

Deszcz szumiał w koronach drzew. Gdzieś blisko rzuciło się większe zwierzę, rytm racie zabrzmiał w ciemności. Zrobiło się cicho.

Kolejną godzinę tkwiła skulona w golfie zaparkowanym w wysypanej żwirzem zatoczce, gdzie w lecie ktoś pewnie sprzedawał grzyby, miód czy serki identyczne z góralskimi. Był stąd znakomity widok na wylot gruntowej drogi z lasu. Przez cały wieczór było spokojnie. Nikt nie chodził, nikt nie jeździł. Mogła działać.

O wpół do drugiej Sylwia ukryła ciasno związane włosy pod czarną bejsbolówką, zarzuciła taktyczny plecak i trzymając się linii zarośli, ruszyła

w stronę duktu.

Szła skrajem drogi, po leśnym poszyciu, żeby zostawiać jak najmniej śladów w rozmokłej ziemi. Kontury drzew na tle granatowego nieba odgrywały upiorny teatrzyk cieni. Co za trupi krajobraz, roześmiała się do swoich myśli. Ania z Zielonego Wzgórza może by się i przestraszyła. Z wilgotnego poszycia wstawała mgła. Coś poruszyło się w krzakach, coś zarechotało, zaświszczało. Jeśli to tylko nie zielone ludziki, to mogą być nawet zombie. Upiory, strzygi, wampiry czy w co tam jeszcze ludzie wierzą. Coraz trudniej było jej widzieć. Pomagała sobie latarką, ale poruszała się bardziej na słuch, szybko i bezszelestnie, nisko skulona. Odwróciła się gwałtownie, łapiąc kątem oka jakiś ruch. Kiedy normalni ludzie się boją, widzą w ciemności wyszczerzone kły, szponiaste palce i czerwone oczy. Ona widzi maskujący uniform.

Z ciemności wyłonił się zarys bramy tartaku, Sylwia skryła się w gęstwinie. Wypatrywała światła i poruszeń, nasłuchiwała. Nic. Jeśli siedziby firmy Przem-Drzew pilnował stróż, to spał smacznie i nie chrapał.

Gdy była pewna, że nikt jej nie zobaczy, sięgnęła do plecaka po kaburę udową z glockiem 17 i zapasowym magazynkiem. Zapięła ją na prawej nodze.

Trzymając się ogrodzenia, przeszła na tyły tartacznej polany. Na wysokości przyzmy tarcicy wydobyła z kieszeni ultradźwiękowy gwizdek na psy. Dmuchnęła weń bezgłośnie.

Nie czekała długo. Od strony baraku usłyszała odgłos łap w mokrej trawie. Coraz bliżej. Błyskawicznie. Odsunęła się, gdy siatka zagrzechotała pod impetem czarnego cielska, a w ciemności rozbłysły zęby. Gardłowe warczenie podniosło jej włoski na karku. Lubiła psy. A ten mądrała nie szczekał, nie ostrzegał przed sobą, tylko od razu ruszał do ataku. To dlatego nie zwróciła na niego uwagi podczas rekonesansu. W dzień muszą go gdzieś trzymać, a on nie ujada. Co mówił pan Przemek? Że tu nie można nawet kosiarki na podwórku na chwilę zostawić? Wszystko jasne, to pies na Cyganów.

Uśmiechnęła się do rottweilera i przerzuciła nad ogrodzeniem przysmak Pedigree, który trochę poprawiła. Zobaczymy, czy pies faktycznie jest mądry i od obcego nie weźmie.

Wziął.

Odczekała chwilę. Ciche skomlenie, coś jak westchnienie i cisza. Zaświeciła latarką. Wielkie czarne cielsko, zwinięte w kłębek, chrapało w trawie. Nie skrzywdziłaby psa. Człowiek to co innego. Psiak się tylko prześpi, najwyżej rano będzie go bolała głowa.

Przeszła na tyły baraku i nasłuchiwała. Deszcz ściekał po impregnowanej tkaninie bandany, golfu i bojówek.

Skoczyła miękko na siatkę i przesadziła ogrodzenie. Zapaliła latarkę. W wąskim snopie światła pełgały krople dżdżu.

Pochylona, przedostała się do hali tartacznej. Wrota z tyłu były otwarte. Wsunęła się do środka. Przetarła twarz, słuchając, jak krople bębnią o eternit. Przemknęła w stronę kantorka. Drzwi były zamknięte na klucz. Takiemu zamkowi dałaby radę wytrychem w sekundę, problem polegał na tym, że wytrychem można drzwi otworzyć, ale trudniej je za sobą zamknąć. A nie chciała zostawiać śladów. Przyjrzała się drzwiom. Takie same były w większości PRL-owskich łazienek. Delikatnie wyjęła je z zawiasów i przywitała się z gołą babą po drugiej stronie.

W kantorku nie znalazła niczego poza folderem producenta pił tarczowych, zakurzoną polską flagą dodawaną przed laty do piwa Tyskie i stertą pisemek porno. Osadzając drzwi z powrotem w zawiasach, pomyślała, że to bez sensu, że w epoce internetu ktoś je jeszcze wydaje.

Wyszła z powrotem na deszcz i zajęła się ciężarówką. Nie przykuło jej uwagi nic, co wyglądałoby na przemytniczy trik: nie było śladów świeżych spawów, sugestii podwójnych ścianek czy den przy baku ani pod podwoziem. Drzwi szoferki od strony pasażera były otwarte. Wpakowała się do środka, ciesząc się chwilowym schronieniem przed deszczem.

Z plecaka wyjęła czarno-żółte urządzenie przypominające miniaturowy ręczny odkurzacz. Włączyła i czekała niecierpliwie, aż nagrzej się przenośny spektrometr, który potrafił wywachać nawet śladowe ilości materiałów wybuchowych, toksyn, chemii bojowej czy narkotyków. Od THC i metamfetaminy po trotyl i semtex. Omiotła końcówką detektora fotele, podłogę, podsufitkę, skrzynki narzędziowe. Nic. Żadnych powodów, żeby podejrzewać, że tą ciężarówką ktoś przerzucał broń albo materiały wybuchowe. Dragi też nie. A wżartego w siedzenia odoru potu i gazów jelitowych detektor najwyraźniej nie uznał za zagrożenie.

Szopa na tyłach miała wrota zabezpieczone kłódką i okienko, którego zamknięcie wyglądało zachęcająco. Z kieszeni bojówek Sylwia wyjęła multitool, rozłożyła ostrze. Wsunęła je pod futrynę, nacisnęła na rękojeść, przesunęła. Zamknięcie okna odskoczyło. Podciągnęła się na parapecie i kocim ruchem wślizgnęła się do środka.

Wybiła się, poczuwszy, że ląduje na czymś niestabilnym, co z groźnym brzękiem ustąpiło pod jej ciężarem. Złapała równowagę. Poświeciła. Stos kartonów ułożonych równo przy ścianie. Zajrzała do pierwszego z brzegu.

Tego się nie spodziewała. W pudłach były butelki bez etykiet. Otworzyła jedną. Nie trzeba było detektora, żeby rozpoznać spirytus. Pewnie powstaje na nim fałszowana śliwowica, od której wiją się potem w kacowych mękach turyści z Warszawki. Albo Marek. Możliwe więc, że pan Majer faktycznie to i owo przemycił. Ale nic, co interesowałoby Sylwię.

W snopie światła latarki tańczył kurz. Z dachu ciekła strużka wody, bębniąc o plandekę okrywającą pokaźny kształt. Sylwia uniosła ją. Znalazł się brakujący

ford transit. Numer rejestracyjny się zgadzał. Auto w lepszych czasach było białe, miało zabudowę typu furgon do przewozu towarów, bez okien na burtach i w tylnych drzwiach.

Schowany, więc podejrzany, ucieszyła się. Wzięła latarkę w zęby i w kilka sekund poradziła sobie wytrychem z zamkiem drzwi od ładowni. Otworzyła je. I szybko zasłoniła usta i nos przedramieniem. W środku śmierdziało tak, że zatęskniła za zatęchłą kabiną ciężarówki. Ostra woń chloru przyprawiła ją o mdłości.

Poświeciła. Wnętrze było zupełnie puste, ładownia oddzielona od szoferki ścianką bez okna. Sylwia wskoczyła do środka i skulona w kucki, marszcząc nos, cierpliwie omiatała detektorem podłogę, przednią ściankę, burty. Znów zero wskazań.

Dla pewności wyjęła z plecaka jeszcze jedno narzędzie o nieocenionej przydatności: srebrną wytrzymałą taśmę samoprzylepną. Odcięła nożem kawałek, przykleiła do wykładziny na podłodze, zerwała, złożyła na pół, sklepiła i schowała. Wyśle się do laboratorium, niech sprawdzą przyklejone do taśmy drobiny, a nuż jej podręczny wykrywacz z czymś sobie nie radził.

Zatrzasnęła drzwi transita. Była oszołomiona chemicznym smrodem, ale przynajmniej wiedziała, że dowodu na działalność zagrażającą bezpieczeństwu narodowemu w aucie raczej nie było.

W myślach odznaczyła wszystkie elementy z listy. Rekonesans udał się książkowo. To dlaczego czuła się taka rozczarowana?



ROZDZIAŁ 10

– Nie znoszę dzieci! – Aspirant Iza Hulak cisnęła niedopałek do kałuży.
– Właśnie miałem mówić, że jestem pod wrażeniem, jak ty z nimi rozmawiasz – zdziwił się Sławek.

Cały dzień spędzili w pokojach pełnych pluszaków, oblepionych plakatami Justina Biebera albo Cristiana Ronaldo, obserwowani przez czujne mamusie. Sławek oddał Izie pole, sam notował i patrzył z rosnącym uznaniem, jak od *Gwiezdných wojen*, *Minecrafta* i *Grumpy Cata* potrafiła płynnie przejść do księdza Drzewickiego. Ale przez cały dzień nie udało im się dowiedzieć niczego poza tym, że oaza jest fajna, Pan Jezus jest fajny, ksiądz Drzewicki jest fajny, fajnie gra na gitarze i robi fajne wycieczki w różne fajne miejsca.

– Wszyscy zakładają, że skoro jestem kobietą i do tego psycholożką, to Kocham pracę z dziećmi – burknęła policjantka.

Poszła studiować psychologię pełna ideałów, chociaż wszyscy pukali się w czoło. Ideały szlag trafił, gdy się okazało, że pracy dla świeżo upieczonego psychologa nigdzie nie ma i trzeba wracać do Sącza, na garnuszek rodziców. Poszła więc do policji. Bo robota stabilna i wczesna emerytura. Tak sobie wmawiała, bo niespełnione marzenia szybko dały o sobie znać. Poświęcając weekendy, wieczory, życie towarzyskie, o erotycznym nie mówiąc, zrobiła uprawnienia biegłego. To zagwarantowało jej stabilną posadę w wydziale kryminalnym. Ale spadły na nią wszystkie fuchy związane z małoletnimi podejrzanymi, świadkami czy ofiarami – bo przepisy wymagały wtedy przy przesłuchaniu obecności, oprócz prawnego opiekuna, również biegłego psychologa. Roboty miała tyle, że nie było czasu postarać się o awans. A Głód, szef wydziału kryminalnego, nie chciał jej puścić na kurs oficerski. Bo kto ją zastąpi? Więc na pagonach – gdy wkładała mundur – nosiła cztery gwiazdki nabite na szaszłyk. Aspirant sztabowa po wsze czasy.

Prowadzone od rana rozmowy z dziećmi nie stanowiły nawet formalnych przesłuchań, tylko rozpytania. Ale Głód z automatu posłał tam ją.

Wcisnęła dzwonek przy drzwiach do dużego domu z nieotynkowanej cegły na Boczowie.

– A może ja bym chciała na przykład skopać komuś dupę, a nie przeprowadzać przedszkolaki przez jezdnię? – dodała.

Sławek nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi się otworzyły i stanęła w nich pulchna brunetka.

– Czy mojemu dziecku grozi niebezpieczeństwo? – zatroskała się, gdy usłyszała, że są z policji. – Dzwoniła już do mnie koleżanka, że u niej byliście, wypytywaliście o oazę i tego księdza... I ja pozwoliłam Brajanowi tam chodzić! Muszę natychmiast zadzwonić do Marysi i...

Pół godziny później rozmawiali o Messim, a Sławek zastanawiał się, czy umrze na cukrzycę od czwartego już kawałka ciasta tego dnia, czy na zawał od piątej kawy. Chłopiec kręcił się na krześle, a Iza niezobowiązująco wypytywała go o wyniki Barcy w tym sezonie i formę reprezentacji Polski przed Euro.

– A ksiądz na oazie gra czasem z wami w piłkę? – zagaiła Iza. Sławek podniósł wzrok na okrągłutkiego chłopca, który właśnie zmiatał z talerzyka drugi kawałek ciasta.

– E, nie. – Dzieciak pokręcił głową. – Ksiądz mówił, że nie umie grać w nogę.

– A co z wami robił? – pytała dalej Iza. – Co lubił robić?

Chłopiec się zastanowił.

– Śpiewać. I tańczyć.

– Co śpiewaliście?

– Takie tam różne piosenki. O Panu Bogu i Panu Jezusie. Nie pamiętam.

– A jak tańczyliście? – Iza nachyliła się do niego.

– Takie układy, jak YMCA, albo łapaliśmy się za ręce i tańczyliśmy w kółku. – Chłopiec się skrzywił.

– Tańczyliście za rączki sami czy ksiądz z wami tańczył? – dążyła.

– No, z nami. Chyba to lubił.

Chłopiec machał nogami w powietrzu, grzebiąc widelczykiem w talerzu.

– A ty to lubiłeś?

– Co?

– Tańczyć z księdzem za rączki.

– Nieee.

– Dlaczego? – spytała Iza.

– Bo jak się dwóch facetów trzyma za ręce – rzucił chłopiec – to jest pedałstwo.

Sławek otworzył usta i spojrzał na Izę, która zastygła na tapczanie.

– Brajan! – krzyknęła z przedpokoju matka. – Jak ty mówisz?!

– Normalnie, jak tata! – zawołał dzieciak i z impetem zakręcił się na krześle.

– Mój tata nienawidzi pedałów – wyjaśnił policjantom. – Cyganów, ruskich i arabusów też.

Iza wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby. Sławek pierwszy raz zwrócił uwagę, że policjantka wcale nie jest pulchna, tylko przypakowana. Że pod tą luźną bluzą z kapturem ukrywa nie kilka kilo nadwagi, ale mięśnie prosto z siłowni. I że nigdy nie widział jej z facetem.

– A czy ksiądz Drzewicki robił coś więcej, coś, czego nie lubiłeś? – zapytała po chwili, a głos minimalnie jej się zmienił.

– Nie lubiłem tych jego wycieczek – powiedział chłopiec, zbierając palcami okruszki z talerzyka.

– Dlaczego?

Sławek popatrzył na jego niezdrowo rumianą twarz i trzy podbródki. Wiedział dlaczego.

– Bo trzeba było dużo chodzić po lesie. Pod górę.

– A czego nie lubiłeś najbardziej? – nie dawała za wygraną Iza.

Chłopiec oblizał palce i się zamyślił.

– Raz poszliśmy do takiego miejsca, to była jakaś jaskinia. Tam trzeba było strasznie daleko iść, w krzaki i błoto... Spodnie tam sobie podarłem. A na końcu była taka dziura za kratą. I ksiądz chciał, żebyśmy tam zaglądali, ale nie tylko ja nie chciałem, bo tam śmierdziało, tak strasznie śmierdziało... Jak wtedy, kiedy mama pojechała do cici i tata nie wyrzucił śmieci, a tam były resztki z kotletów. – Chłopiec wykrzywił usta. – Albo jak kiedyś u babci do piwnicy wlaź szczur i zdechł i babcia w to weszła, i jej się do buta przykleiło...

– Brajan, wystarczy! – wrzasnęła znowu z przedpokoju matka.

– No, śmierdziało – podsumował chłopiec. – Strasznie.

Niebieskokkie oblicze cierniem ukoronowanego z obrazu wyrażało cierpienie za wszystkie dzieła współczesnej sztuki sakralnej. Z twarzy mężczyzny po drugiej stronie biurka nic nie można było wyczytać. Gładko ogolone pulchne policzki, uprzejmy uśmiech, nienaganna marynarka i idealnie wyprasowana czarna koszula z koloratką. Wypielęgnowane dłonie złożył na stole, po obu stronach podstawy krucyfiksu. Wyglądał, jakby miał wygłosić mowę na pogrzebie ledwie znanego sąsiada.

– Ubolewam – powiedział poważnie – ale komentarza nie będzie. To oficjalne stanowisko kurii.

– To przykre. – Bastian zafrasował się teatralnie. Nie miał zamiaru dać się zbyć. – Taka bulwersująca sprawa. Ludzie na pewno będą pytać. Jeżeli nie zabierze głos, będzie słycać tylko drugą stronę.

Sekretarz tarnowskiego biskupa popatrzył w ekran laptopa stojącego na lśniącej politurze biurka. Wystudiowanym gestem przetarł czoło.

– Codziennie przygotowuję prasówkę dla księdza biskupa, przeglądam, co się dzieje w mediach, szukam informacji o naszej diecezji – zaczął z namysłem. – I żadna gazeta, żadna stacja radiowa ani telewizyjna nie wspomniała do tej pory o sprawie księdza Drzewickiego. Więc chciałbym zapytać: skąd pan ma te rzekome rewelacje?

– To ja pierwszy napiszę o tej sprawie. – Bastian nie odpowiedział na jego pytanie. – To ode mnie będzie zależało, z jak wysoka ruszy lawina. Gdzie trafi ta

bomba i kogo najbardziej ochlapie błotem.

Nachylił się i popatrzył sekretarzowi intensywnie w oczy.

– Na pewno chce mnie ksiądz spławić?

– A co musiałyby się stać, żeby wstrzymał się pan na razie z informowaniem o tych rzekomych enuncjacjach? Kościelne młyny mielą powoli, ale dokładnie. A podgrzewanie atmosfery to ostatnie, czego tutaj potrzeba.

– Proszę ze mną porozmawiać. – Bastian wzruszył ramionami. – Niezobowiązująco.

Sekretarz biskupa poluzował koloratkę i wstał od biurka. Podszedł do okna i założył ręce na plecach.

– Ja naprawdę niewiele wiem, panie Sebastianie – powiedział. – Te dokumenty widzę pierwszy raz na oczy.

– A co jest ksiądz w stanie powiedzieć o samym księdzu Drzewickim? Proboszcz Wątroba chyba nie jest jego fanem, jeśli mogę się tak wyrazić.

– O ile pamiętam, ksiądz Drzewicki był znany ze swojego zaangażowania w sprawy dzieci, młodzieży, a ostatnio Romów. Nie wszystkim się podobało to, jak głęboko się angażował.

– Co to znaczy? – zapytał Bastian.

Sekretarz biskupa wykonał ręką nieokreślony gest.

– Wysoko stawiał innym poprzeczkę – odparł duchowny. – I nie zawsze trzymał się zasad.

– Co ksiądz ma na myśli?

Sekretarz milczał, a jego wzrok ślizgał się po ścianach, od błękitnych oczu cierniem ukoronowanego po fantazyjne zdobienia szafy gdańskiej.

– Pan jest dziennikarzem – powiedział wreszcie. – Pana zadanie to kwestionować *status quo*. Ale my musimy być posłuszni instytucji, przez którą przemawiają Duch Święty i wielowiekowa mądrość. Nie możemy polegać wyłącznie na własnym osądzie, bo w naszych rękach są ludzkie dusze. Nawet mając jak najlepsze intencje, kiedy się słucha tylko siebie, łatwo można zbłądzić. I chcąc głosić Ewangelię... tak naprawdę zaczyna się szkodzić, narażać ludzi na niebezpieczeństwo.

Wziął oddech. Bastian słuchał.

– Szatan tylko czyha na takie momenty. Podsuwa pokusy pychy, nieczystości, zwodzi na manowce. To tak jak Święta Mateczka ze Starego Sącza. – Sekretarz wykrzywił wargi. – Nie wiemy, na ile ona rzeczywiście przybliży ludzi do Boga, a na ile szerzy zabobon i herezję. Nie mamy nad nią żadnej kontroli. Ksiądz Drzewicki też wielokrotnie przekraczał swoje kompetencje. Kto wie – westchnął ciężko duchowny – dokąd go to zaprowadziło.

Bastian pogładził poręcz krzesła, którą wieńczyła wyrzeźbiona w czarnym drewnie paszcza lwa.

– Kontrola najwyższą formą zaufania – zauważył.
– Nie, nie rozumie pan – odpowiedział ksiądz z powagą. – Kontrola jedynym gwarantem ortodoksji.

Przez zaciągnięte zasłony wpadała minimalna ilość światła, w koszu piętrzyła się sterta butelek, przez uchylone drzwi sypialni słychać było chrapanie. Sylwia przekartkowała notatnik od początku, gdzie wypisała skrót planu pracy operacyjnej. Rzuciła okiem na kilka pierwszych punktów. Załatwione. Czują, jak jej wzrok przyciąga napisane drukowanymi literami słowo „KAMIENŃ”.

Sięgnęła po telefon.

Hashtag *#KamienObrazy* rozgrzewał się w mediach społecznościowych coraz mocniej. Prześledziła kilka ostatnich tweetów Sebastiana Strzygonia, pod którymi trwała ostra wymiana komentarzy.

Kto cię tak przecwelił @strzygon w tym Horyzoncie?

@strzygon uważaj żebyś syfa nie złapał.

Zaraz @strzygon jeszcze będzie kozojebców bronił.

Ciekawe, jak on sobie z tym radzi, przemknęło jej przez myśl.

Czyżby w Kamieniu znalazł się wilk w owczej skórze? Już niedługo nowe fakty! Śledźcie #KamienObrazy – przeczytała ostatni wpis. O, nasz mały Sherlock coś odkrył? Przeskoczyła na Facebooka. Strzygoń ostatnio meldował się w Tarnowie. Zmarszczyła czoło. Żaden z tropów nie prowadził do Tarnowa.

Włożyła w uszy słuchawki i wybrała numer.

– Pani doktor? Tutaj Sylwia Nowak z Fundacji Pro Roma. – Starła się mówić lekkim tonem. – Co tam słychać w Kamieniu? Policja poczyniła jakieś postępy?

– W osadzie nerwowo, jak zwykle. – Usłyszała, jak kobieta po drugiej stronie zamyka drzwi. – Policja sprawdza wątek pedofilski, mają podejrzanego. Nie jest Romem. Tyle mogę pani chyba powiedzieć. – Zawahała się.

A więc to jest „wilk w owczej skórze”, pomyślała Sylwia. I natychmiast straciła zainteresowanie. Nie ciekawili jej pedofile. Tak jak nie ciekawiły jej flaszki lewego spirytusu.

– Zastanawiam się – kontynuowała Anka, ale Sylwia już jej nie słuchała – czy pani fundacja nie mogłaby się zaangażować w Kamieniu. Tam jest trudna sytuacja, ci ludzie potrzebują pomocy: materialnej, prawnej... Dobrze byłoby, żeby ktoś ich reprezentował. Poza tym oni mogą teraz stracić osobę, która była dla nich oparciem...

– Tak, tak – przerwała jej Sylwia. – Pomyślimy o tym. Ale teraz muszę już kończyć.

Rozłączyła się i opadła na oparcie kanapy. Czyli sprawa chłopca z osady nie będzie miała nic wspólnego z jej poszukiwaniami. Paskudna sprawa, ale ma się nijak do bezpieczeństwa narodowego.

Wykreśliła ze schematu analizy dziecko NN. Z całego Kamienia interesował ją tylko Wichura, jako pracownik pana Przemka, który interesował ją zasadniczo. A do Kamienia dostęp ma Anna Serafin, tyle że ona właśnie zajmowała się nieważnym wątkiem.

Ale jeszcze jedna osoba krąży wokół osady. Ktoś, kto – jak to ujął Łukasz – od dawna kręci się wokół naszych spraw. Bezpieczeństwa narodowego w kontekście ŚDM. I kto stara się sprawiać wrażenie, że dużo o tym miejscu wie. Strzygoń.

Znowu weszła na Twittera i zastężyła na kanapie. Pojawił się nowy wpis.

I chcąc głosić Ewangelię... tak naprawdę zaczyna się szkodzić, narażać ludzi na niebezpieczeństwo. Koniec cytatu. #KamienObrazy.

Upiła łyk herbaty. Skrzyżowanie rubryk „Kamień” i „Strzygoń” zakreśliła czerwonym długopisem.

Wysłuszony trak rzeził, przerysując się przez pień. Przemysław Majer zamknął drzwi kantorka, żeby ulżyć uszom. Otarł łzy, które popłynęły mu ze śmiechu, gdy zobaczył na Facebooku wrzucony przez kuzyna demotywator. Musi go koniecznie komuś opowiedzieć, najlepiej zaraz.

Ale nie było mu do śmiechu, gdy czytał komentarze pod udostępnianymi obficie wiadomościami na temat Kamienia. Po wizycie tamtej kobiety z fundacji najpierw się ucieszył z szansy na dodatkową promocję, ale potem zaczął się zastanawiać. Pójdzie w świat, że zatrudnia faceta z osady, na której wszyscy teraz psy wieszają.

I wokół jego firmy zrobi się zamieszanie, a przecież wolał się nie wychylać.

Z drugiej strony nie może sobie pozwolić na zatarg z Wichurą. Ze względu na wspólnotę interesów z jego, bądź co bądź, rodziną.

Przerwał przewijanie Facebooka i wybrał numer.

– *Dobry dzień*, Jura. Posłuchaj, jest taki kłopot...

Opowiadał, odchylając się na krzesło, potem na chwilę zamilkł.

– Tak zrobię, no, *dobrze, dobrze*. – Zaśmiał się do słuchawki. – A znasz to? Dlaczego twojej starej spaliła się pralka?

Przerwał, słysząc głuchy sygnał zakończonego połączenia.

Nie wstając z krzesła, kopnął drzwi kanciapy. Wypatrzył rosnącego mężczyznę z włosami związanymi w kitkę, który właśnie wsiadał za kierownicę ładowarki. Majer stęknął i machając ręką, ruszył w jego stronę.

Paweł Wichura wyłączył silnik. Zeskoczył na rozmiękłe trociny.

– Słuchaj, Pawełku... – Właściciel tartaku przybrał konfidencjonalny ton. – Rozmawiałem z twoim szwagrem.

Cień przebiegł przez twarz Roma.

– Będzie robota? – zainteresował się.

– Nie do końca. – Majer uśmiechnął się przeprasząco. – Widzisz, Pawełku,

gorąco się robi wokół Kamienia, ludzie gadają, wiesz. I tak sobie pomyślałem, może weź ty trochę wolnego. Zajmij się żoną, dziećmi, a jak przycichnie, to wrócisz, co?

Rom milczał.

– A znasz to? Dlaczego twojej starej spaliła się pralka? Bo se nastawiła na jedwabne! Zaliczkę dam ci jakąś, żebyś miał na życie.

Sięgnął do kieszeni po wypchany stówkami portfel. Wichura nie czekał. Odwrócił się sprężyście i odszedł bez pożegnania.

Głód zamknął za sobą drzwi i zdjął buty. W domu pachniało krupnikiem i gotowanymi ziemniakami. Normalnie poszedłby najpierw do kuchni i spróbował zupy prosto z garnka, ale dzisiaj ruszył od razu na schody. Szarpnął za klamkę drzwi do pokoju córki.

– Jezu, tata, pukajże, jak wchodzisz. – Dziewczyna poderwała się z łóżka i wyłączyła tablet.

– Nie nauczyli was na tej oazie, że nie wymawia się imienia Pana Boga twego nadaremno? – Usiadł przy biurku, zły, że brzuch przeszkadza mu usiąść wygodnie.

– Jezu, oaza to dawne dzieje. – Przewróciła oczami. – Oaza jest dla dzieci.

– Niby dawne dzieje, ale Jezu to, Jezu tamto – mruknął Głód. Pomyślał, że nawet nie zauważył, że przestała tam chodzić. – Baśka, a ty nie miałaś się uczyć? – Podniósł tablet z pościeli. – A tu pewnie jakieś głupoty, Pudelki albo inne gówno. Łóżko niepościelone, syf jak na melinie. Kogo ja wychowałem...

– I jeszcze ma pałę z wufu – prychnęła Baśka.

– I pyskuje gorzej niż Sławek.

– Dobra, tata, jak masz mi do powiedzenia coś ważnego, chcesz mi udzielić jakiejś życiowej lekcji albo mnie opieprzyć, żeby się wyżyć, bo miałaś ciężki dzień w komendzie, to ja słucham i miejmy to już za sobą, bo rzeczywiście muszę się uczyć.

Głód nie wiedział, czy przełożyć gówniarę przez kolano, czy roześmiać się do rozpuku. Po kimś jednak te geny ma.

– Muszę ci zadać kilka pytań – powiedział wreszcie.

– Co to, przesłuchanie? – zdziwiła się dziewczyna i poczerwieniała. Pewnie zastanawia się, co przeskrobała, pomyślał. – Jeśli tak, to żądam obecności rodzica. Maaaamooo!

– Cicho bądź – syknął. – Nie przesłuchanie, tylko rozpytanie. I nie chodzi o ciebie, cały świat nie kręci się wokół tego, czy mała Basia Głodzianka była niegrzeczna. Chodzi o waszego księdza od oazy.

Basia opadła na poduszki i usiadła po turecku na łóżku. Głód zastanawiał się, czy wyraz jej twarzy wyraża raczej ulgę, czy rozczarowanie.

– A co z nim? – zapytała.

– Powiedz mi, ale szczerze, czy on był, no, zboczony? – Podkomisarz pochylił się na krześle i wpatrywał się w twarz córki.

– W sensie, czy się do nas podwalał? – Baśka patrzyła gdzieś w ścianę. – Czy łapał dziewczyny za cycki i takie tam?

– Jak ty mówisz, Baśka! – Głód zmarszczył czoło.

– A od kiedy cycki to brzydkie słowo? – Dziewczyna wzruszyła ramionami.
– Nie, chyba nie, przynajmniej do mnie nic nie miał ani do innych dziewczyn. Nic więcej niż jakieś łapanie się za rączki w kółeczku czy w zabawie... – Znowu się zamyśliła.

– A jakby... – Twarz podkomisarza znowu poczerwieniała. – Tobys nam powiedziała?

– Jezu, tata, no chyba tak... – Dziewczyna zaczerwieniła się i zaczęła skubać poduszkę. – No raczej, chociaż nie wiem, no chyba...

Popatrzył po ścianach pokoju, z których poznikały wypacykowane w Photoshopie buzie popgwiazdek, z których nie potrafił wymenić ani jednej, a w ich miejsce pojawił się czerwono-czarno-biały plakat „Powstanie Warszawskie – pamiętamy” ze znakiem Polski Walczącej. Zastanawiał się, kiedy to się stało. I czy jeszcze cokolwiek wie o swojej córce. Przesunął palcem po jej tablecie, na ekranie blokady trzeba było wpisać PIN. Ciekawe, co tam takiego chowa, przemknęło mu przez myśl.

– A ktoś może wspominał o takich sytuacjach? – Starannie dobierał słowa. – Inne dziewczyny? Albo chłopcy?

– Czasami miałam wrażenie, że on więcej z chłopakami gadał, więcej się interesował, co u nich słyhać. Nawet niektóre laski były zazdrosne. – Zachichotała i natychmiast spoważniała. – On dużo śpiewał i czasem się podśmiewali z niego, że śpiewa jak pedzio, ale ja to nie spotkałam jeszcze księdza, co śpiewa jak mężczyzna, więc w sumie to nic dziwnego...

– A te jego wycieczki...

– A tak, to fajne było. – Baśka popatrzyła ojcu przelotnie w oczy. – Chodziliśmy czasem po takich miejscach, że szlaku nie było, dzieciaki to lubiły, bo to taki *challenge*, jak w telewizji. Nie wiem, skąd on te miejsca brał, zawsze tam była jakaś opowiadka z morałem albo coś z miejscowej historii. Dzieciaki najbardziej lubiły te o zbójcach i skarbach, a chłopaki o Żołnierzach Wyklętych.

– A pamiętasz taką jaskinię, w której śmierdziało? – zapytał ostrożnie.

– No, Jezu, rzeczywiście! – Baśka zmarszczyła nos. – Capito, jakby małpę rozerwało!

– Czyli jak? – Głód zacisnął dłoń na tablecie.

– Przepraszam za mój rynsztokowy język. – Zrobiła niewinną minę. – Już nie będę.

– Nie, poważnie. – Głód wpatrywał się w nią intensywnie. – Jakby małpę

rozerwało, czyli jak?

Dziewczyna zaczęła mocniej skubać jasek. Pewnie się zastanawia, o co mi chodzi, pomyślał Głód. Czy to jakaś kolejna słowna gierka, w które graliśmy od lat. Już pewnie zapomniała, jak to jest rozmawiać ze mną normalnie.

– No więc... – zaczęła. – Ja tam dokładnie nie wiem, ale tak chyba padlina śmierdzi. Ty pewnie wiesz lepiej, bo chodzisz na te ryby, polowania i inne miejsca zbrodni...

Głód gwałtownie poderwał głowę, a Baśka uciekła wzrokiem.

– Pewnie tam coś wlaźło i zdechło – podjęła. – Ale gówniarzeria miała niezłe miny, jeden taki mały grubas w podartych gaciach to chyba własne rzygi łykał.

– A pamiętasz, gdzie to było? I kiedy?

– Jakies trzy lata temu, pamiętam, bo to była moja ostatnia wycieczka z oazą, potem dałam sobie spokój, bo przecież nie jestem już dzieckiem i nie będę z facetem w sukience tańczyć w kółeczku – prychnęła. – A gdzie? – Zamyśliła się.

– Pamiętam, że ksiądz tłumaczył, że to jakaś opuszczona kopalnia. To było niedaleko, gdzieś za Szczawnicą. Tam było boisko i to się jakoś nazywało... Jak to obrzydliwe warzywo, co mi mama robi z niego koktajle, że niby od tego schudnę...

– Jarmuż – mruknął Głód i wydał wargi z obrzydzeniem. – Straszny syf.

– No, Jezus, tato. – Dziewczyna się zaśmiała. – Hipsterski syf!

Zaczęli się śmiać, nieskrępowanym, radosnym śmiechem, po czym oboje gwałtownie urwali. On odchrząknął, ona znowu zabrała się do skubania jaśka. Zapadła cisza.

– Jarmuta! – zawołała nagle, zadowolona z siebie. – Jarmuta, tak to się nazywało.

– Dzięki. – Głód wstał z fotela, czując, że czoło i plecy ma mokre od potu, ale kąciki ust podnoszą mu się bezwiednie. Ciężkim krokiem podszedł do drzwi.

– A tablet? – zapytała.

– Dostaniesz z powrotem, jak poprawisz tę pałę z wuefu. – Surowo ściągnął brwi, po czym się uśmiechnął. – Chociaż nie. – Rzucił tablet na poduszkę. – Masz. I chodź na zupę.

Sylwia zaparkowała golfa na poboczu. Przejrzała się w lusterku. Nie zrobiła makijażu, włosy miała lekko przetłuszczone. W bluzie z dziurą i workowatych spodniach od dresu wyglądała jak przestraszona nastolatka. Sprawdziła, jak broń leży pod bluzą. Wysiadła i przeszła przez szosę.

Zmierzchało. W koleinach gruntowej drogi prowadzącej ku mostkowi na Dunajcu były kałuże. Przechodząc przez nie, Sylwia ubłocila sobie buty. Nie szkodzi, nawet będzie lepiej, pomyślała.

Przystanąła. Mostek wyglądał rachitycznie, przerzucony nad rwącym nurtem szerokiej w tym miejscu rzeki. Ale nie to zwróciło jej uwagę. Przyglądała się

skruszałym betonowym murkom, na których wspierała się konstrukcja. Pokrywały je wymalowane czerwonym sprayem litery. Farba była jeszcze świeża.

„Won z Polski, szmaty” – przeczytała z jednej strony. „Szykujcie się na zagładę” – napisano z drugiej. Była jeszcze szubienica z literami „ISIS”. I koślawy bazgroł, który miał być pewnie falangą.

Zrobiła zdjęcie smartfonem. Wydało jej się to zbyt absurdalne, żeby było prawdziwe. Ale widziała to na własne oczy.

Szła przez kładkę skulona, korzystając z półmroku, ale i tak czuła się jak na zwodzonym moście obłożonej twierdzy, gdzie w każdej chwili może się na nią wylać gorąca smoła, zwłaszcza że w połowie drogi poczuła swąd palonego plastiku. Do tego odór szamba. Widziała powoli zapalające się światła w zabudowaniach. Tu i ówdzie ognisko. Słyszała z oddali czyjeś przekrzykujące się głosy.

Dzisiaj chciała się tylko rozejrzeć. Nazwisko, które ją interesowało, nie miało adresu, jak zresztą nikt w tej wiosce. Przyszła na rekonesans, ale chyba przeceniła swoją wyobraźnię. Zdawało jej się, że przemknie i się stąd zwinie, jak z każdej innej wsi.

Ale nie. Kamień był gęstszy niż jakakolwiek znana jej wieś. Może przynajmniej wygląd zapewni jej legendę.

Ciekawe, gdzie znaleźli ciało tego dziecka, przemknęło jej przez myśl, gdy schodziła z kładki na rozmiękłą bitą drogę biegnącą środkiem osady.

Nie spodziewała się tylu ludzi o tej porze w takim miejscu. Trzy kobiety, które minęła, posłały jej zdziwione spojrzenia i już miały zagadać, ale spuściła głowę i poszła pewnie przed siebie. Czyli nici z nierzucania się w oczy. Nagle poczuła się jak wystawiona w bieliźnie na środek ulicy. Śniło jej się to czasem. Że miała iść na jakąś ważną robotę albo zdążyć na samolot, ale stoi w samych majtkach na środku ulicy, zastanawiając się, czy ludzie też to widzą.

Dwóch mężczyzn wyrosło przed nią nie wiadomo skąd. Skarciła się w duchu za brak koncentracji. Ten pierwszy zastąpił jej drogę i podszedł bardzo blisko, aż poczuła na twarzy jego oddech.

– *Ko tu sał? So kadej rodes?*

– Co? – zapytała. Nic nie zrozumiała.

– Po ludzku nie umiesz? – warknął tamten.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Miała ochotę kopnąć się w tyłek. No tak, może wygląda jak jedna z nich. Może inni by się nabrali. Ale ich nie nabierze.

– *Kaszuki sał, czy so?!*

– Nie rozumiem – powiedziała cicho, delikatnie wsuwając dłoń pod bluzę.

– Pytałem, skąd jesteś i czego chcesz. – Czuła, że ten drugi też podchodzi coraz bliżej, od tyłu.

Założyła rękę, żeby się nie zorientowali, że dłoń pod bluzą trzyma

na rękojeści glocka. Jeśli strzeli, jest spalona. Puściła rękojeść. Musi wystarczyć krav maga. Facet wyglądał na skacowanego, trudno było określić jego wiek, był silny, ale nie wysportowany. Na pewno nie tak jak ona. Da radę, jakby co.

– No, skąd? Z Limanowej? Z Sącza? Ze Słowacji?

– Może dlatego nie rozumie?

Podszedł jeszcze trzeci, wsunął ręce w kieszenie spodni i patrzył bez słowa. Wróciły kobiety, które minęła po drodze, i też zaczęły się jej przyglądać, rozmawiając między sobą w tym cholernym języku, z którego nic nie rozumiała. Znała angielski, niemiecki, rosyjski i nawet podstawy arabskiego. Hiszpański, włoski i francuski rozumiała, potrafiłaby nawet kupić sobie bułkę, pizzę albo croissant. Ale z ich języka nie potrafiła wyłapać nic. Równie dobrze mogliby rozmawiać po chińsku.

– Puśćcie mnie – powiedziała wreszcie. – Chciałam tylko przejść.

– Dziecko, a kto tu na spacerzy chodzi? – zaśmiała się jedna z kobiet. – W dodatku obcy.

– Ona obca czy nasza? Wygląda jak nasza, a po ludzku nie mówi.

– A może ona z tych, co mają kłopoty? – Druga podniosła brew.

– Chcesz, dziecko, załatwić problem? – zapytała trzecia, lustrując jej luźne spodnie i bluzę. – Taki problem, z którym nawet Święta Mateczka ze Starego Sącza wyrzuciłaby cię na zbity pysk?

– Tak – powiedziała szeptem Sylwia, próbując się wczuć w sytuację. Wbiła wzrok w czubki swoich brudnych butów. Dziś nie będzie krav magi. Dziś będzie wystraszona nastolatka.

– A wiesz, gdzie iść?

– Nie – szepnęła.

Jaki problem, do cholery?! Myślała intensywnie.

– Nie powiedzieli ci, gdzie iść? – Kobieta pokręciła głową. – Chodź, zaprowadzę cię.

Ujęła ją pod ramię i pociągnęła za sobą. Sylwia wepchnęła broń głębiej pod pachę, żeby kobieta jej nie wyczuła, i dała się poprowadzić, byle dalej od tego zbiegowiska.

Całe życie chciała chociaż na chwilę poczuć się taka jak wszyscy. Strzepnąć z siebie spojrzenia przyklejające się do jej oliwkowej skóry, do kształtu jej nosa i kości policzkowych, do kroju oczu i faktury włosów. Nie widzieć, jak na jej widok ludzie kontrolnie dotykają kieszeni i torebek. Poczuć się trochę mniej Cyganką.

Co za ironia, że kiedy pierwszy raz było jej to potrzebne, okazała się Cyganką za mało.

– Nie bój się – powiedziała kobieta, czując, jak Sylwia drży. Nie ze strachu, ze złości. – Ona ci pomoże. Chociaż to straszne zło.

– Cześć, mała. – Gerard odłożył kask na półkę i rzucił plecak na podłogę.
– Cześć, młody. – Anka popatrzyła na niego uważnie. – Makijaż ci się rozmazał.

Zaklął pod nosem, wyminął ją i poszedł do łazienki. Stała w drzwiach, gdy on przeglądał się w lustrze.

– Cholera, rzeczywiście. – Brzmiało to, jakby autentycznie się przejął. – Mam nadzieję, że zrobiłem to sobie teraz, kaskiem, a nie wcześniej.

Nauczyła go makijażu, bo ją prosił. Nie znosił tego, więc próbował nakładać fluid tylko na bliznę, ale zamiast czerwonej kreski miał wtedy na twarzy żółtą. Do tego czuł, że się lepi, że ma tłuste ręce, bo nie mógł się powstrzymać, żeby nie dotykać ciągle czoła albo policzków. I ścierał sobie połowę kaskiem, więc cały efekt szedł na marne. W końcu poddał się i używał podkładu tylko wówczas, kiedy naprawdę mu zależało.

– To dla kogo starałeś się być dzisiaj taki śliczny, skoro nie dla mnie? – Założyła ręce na piersi i oparła się o futrynę.

– Nie chciałem narobić staremu wstydu. – Otworzył szafkę nad zlewem i zaczął grzebać w kosmetykach. Znowu coś poprzestawia, pomyślała. – Zabrał mnie na spotkanie biznesowe.

Znalazł mleczko do demakijażu i ścisnął butelkę, aż popłynęło mu po palcach.

– Naprawdę to było aż takie ważne? – zapytała.

– Wiesz, dlaczego zrobiłem sobie tatuaż dawcy na boku, a nie na ręce, jak wszyscy? – zapytał. Potrząsnęła głową, zdziwiona jego pytaniem. – Stary powiedział mi, że mogę się tatuować, jak chcę i gdzie chcę, byle nie na widoku. Bo nie wyobraża sobie, jak miałby mnie zabrać do klienta, jeśli będę wyglądał jak kryminalista.

Wacik poszarpał mu się o zarost, zostawiając na jego brodzie białe kłaczkę. Gerard włożył głowę pod zimną wodę, Anka wzdrygnęła się na sam widok.

– No więc nie chciałem wyglądać jak kryminalista, ale i tak nie wyszło. – Wytarł twarz ręcznikiem i odstawił mleczko na półkę, oczywiście nie tam, gdzie stało wcześniej. – Może dlatego facet się tak na mnie gapił przez całe spotkanie.

– Przesadzasz – powiedziała łagodnie. – Pewnie ci się wydawało.

– Skąd możesz wiedzieć. Gapił się. Jak wszyscy.

– No to niech się gapią. Nie zwracaj na nich uwagi. – Słyszała, jak banalnie brzmią jej rady, była zła, że nie potrafi wymyślić nic mądrzejszego.

– Ania, wyobraź sobie, że jesteś w tłumie, jak w centrum handlowym albo na ulicy. – Usiadł na skraju wanny, przeczesując palcami mokre włosy. – Płyniesz jak kropelka wody w rzece ludzi, a oni na ciebie patrzą, ale cię nie widzą, bo każdy jest zajęty sobą. A teraz wyobraź sobie, że w tym tłumie nagle ktoś postawił na tobie wielki czerwony krzyżyk. Już nie jesteś niewidoczna, nie ukryjesz się

przed ich spojrzeniem, bo nawet jakby chcieli, to nie mogą nic poradzić na to, że cię widzą. I jeśli są życzliwi, to mogą ci ofiarować co najwyżej swoje niezainteresowanie, odwrócić wzrok, kiedy będą cię mijać. A jeśli nie, to będą się gapić, myśląc sobie nie wiadomo co, pewnie każdy co innego, a może wszyscy to samo. Ciekawe, co sobie na przykład myśli chłopak na stacji benzynowej, gdzie tankuję czasem w nocy, jak od ciebie wracam, że robi się taki nerwowo, kiedy podchodzę do kasy. Dlaczego twoja sąsiadka nie chciała, żebym wniósł jej zakupy na drugie piętro, tylko uciekła rąco po schodach, jakby jej ubyło ze trzydzieści lat.

Powstrzymała się, żeby znów nie zacząć go głupio pocieszać, bo sama pamiętała wiele takich sytuacji. Kiedyś niechcący usłyszeli na schodach, że „znowu przyjechał do niej ten bandyta”. Opieprzyła wtedy swoje sąsiadki i od tamtej pory obie demonstracyjnie mówiły im na klatce „dzień dobry”. Innym razem nie wpuścili ich do knajpy na jakiś koncert. Chłopaczyna na bramce jękał się ze strachu, zadzierając głowę na wielkiego, ubranego w skórę faceta z blizną na twarzy, i mówił, że „sorry, ale nie chcemy tutaj kłopotów”. Anka była gotowa zrobić mu wykład o nieocenianiu ludzi po wyglądzie, ale Gert po prostu odwrócił się i poszedł.

Usiadła koło niego i milczała, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła, jak spod szafki pod umywalką wypęła rybik. Zawsze starała się, żeby mieszkanie było wysprzątane, kiedy przyjeżdżał ze swojego sanktuarium dizajnu i nowoczesności, w którym sprzątają dwie Ukrainki. A tu okazuje się, że w domu są robale.

– Zobacz, złoty rybik – powiedział, patrząc w to samo miejsce. – Spełni moje życzenie, jeśli go nie rozdepczę? No to chcę być znowu jak wszyscy. Zwyczajny.

– Jesteś niezwykłym chłopcem, Harry. – Zmierzyła mu włosy i szturchnęła go ramieniem. Może przynajmniej uda jej się go rozbawić. – Wielkie rzeczy przed tobą.

– Chłopiec z blizną już wystarczająco narozrabiał swoją magiczną różdżką i chce wracać do schowka pod schodami. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Da się załatwić, pani profesor? Bo to naprawdę strasznie męczące.

– A nie myślałeś o operacji plastycznej? – zapytała ostrożnie. – Przecież byłoby was stać, a twój ojciec...

– Pójdiesz ze mną? – przerwał jej. – Może też sobie naciągniesz zmarszczki, na przykład te... – Dotknął kącika jej oka. Ściągnęła brwi, niepewna, jak zareagować. – Przecież wiesz, że to nie o to chodzi. Nie da się zoperować blizny na życiorysie.

Stały przed drzwiami, z których nikt nie odkleił folii zabezpieczającej. Wokół wyrastały girlandy pianki montażowej, pęk kabli zwisał z zaklajstrowanej szpachlą dziury w ścianie z gołych pustaków. W oknie zapaliło się światło i drzwi się uchylily. Stała w nich drobna dziewczyna. Była młoda, ale twarz miała

zmęczoną, cienie pod oczami. Za to jej ręce były silne, jak u mężczyzny, umięśnione i żyłaste. Zamieniła z kobietą, która przyprowadziła Sylwię, kilka słów w romani. Potem poszła do izby, gdzie w splewiałej gondolce od wózka spało niemowlę. Uklękła przy szufladzie i wyjęła z niej puszkę po ciastkach. Z puszki wydobyła dwa małe pudełeczka i usiadła przy stole.

– Razem będą dwie stowy. – Zapaliła papierosa. Sylwia poczęstowała się z jej paczki. Kobieta podała jej ogień.

Sylwia usiadła naprzeciwko niej i sięgnęła po pudełka. Mifepristone i Misoprostol. I wszystko jasne.

– Skąd to masz? – zapytała.

– Nieważne. Może ze Słowacji, zresztą ja nie pytam – powiedziała kobieta. – Ty też nie pytaj.

Pałyły w milczeniu. Zakwiliło dziecko w gondolce. Sylwia zgasiała w popielniczce wypalonego do połowy papierosa.

– Nie szkoda ci? – zapytała kobieta.

– Czego? – O co ona pyta? O papierosa?

– Małego aniołka. – Kobieta przeniosła nieobecne spojrzenie za okno, gdzie na tle granatowego nieba kołysały się drzewa.

Sylwia nie odpowiedziała, tylko spuściła wzrok. Myślała, czy w jej sprawie nie otwiera się właśnie nowy trop. Tabletki wczesnoporonne, może ze Słowacji. Ale to też nie jej działka.

– Ja cię nie oceniam – kontynuowała tamta. – W tych lasach płonie wystarczająco dużo błędnych ogni z mojego powodu. Czasami, jak tamtędy przechodzę, to mam wrażenie, że jakieś rączki wyciągają się do mnie z bagna. Powtarzam sobie wtedy, że to tylko mgła. Że mi się śni.

Głos kobiety ślizgał się niebezpiecznie na granicy hysterii.

– Dlaczego to robisz? – zapytała Sylwia.

– Co się tak interesujesz? – Tamta nagle zacięła usta i uniosła hardo podbródek. Jej spojrzenie mówiło zupełnie co innego niż jej poza.

Sylwia spojrzała jej w oczy.

Romka zmiękła. Opuściła głowę.

– Muszę dzieci wykarmić. A samotna kobieta, która nie chce być kurwą, nie pyta.

Dłonie dziewczyny drżały.

– Przywożą mi to, potem przychodzą kobiety – opowiadała. – Niedużo. Zwykle z tamtej strony Dunajca. Kokosów na tym nie zarabiam, bo i tak oni zabierają większość.

– Jacy oni? – Sylwia nachyliła się do niej przez stół.

– Nie chcesz wiedzieć, mówiłam, nie pytaj. Żli ludzie, gorsi ode mnie. – Zaczęła intensywnie drapać się po ręce, zostawiając na przedramieniu czerwone

ślady. Sylwia chwyciła jej dłoń i delikatnie unieruchomiła jej palce. – Idź już, zostaw mnie – powiedziała cicho tamta. – Idź, zrób swoje, tylko twój aniołek zostanie ze mną w tym lesie.

– To nie twoja wina. – Sama nie wiedziała, po co to robi. Dlaczego nagle ta kobieta zaczęła ją obchodzić? Przecież jest tylko kolejnym źródłem informacji. – I tak znalazłabym sposób.

Kobieta podziękowała spojrzeniem, próbując walczyć z wykrzywającym jej wargi płaczem.

– Sama mam już w niebie aniołka – szepnęła.

– Pewnie się za ciebie modli. – Sylwia łagodnie pogłaskała ją po rękę, zauważając na ścianie zegar z widokiem Lourdes.

– Nie, przeklina mnie. – Kobieta wyswobodziła palce i zgasiła papierosa w popielniczce.

Sylwia wyjęła z portfela dwieście złotych i schowała tabletki do kieszeni. Dobrze, że miała tyle przy sobie. Kobieta odprowadziła ją do drzwi. Objęła ją ramionami, dygocząc na całym ciele.

– Jak cię znajdzie? – zapytała Sylwia, wychodząc w ciemność. – Jak masz na imię?

– Regina – odparła tamta. – Nie szukaj mnie.

– Pierdol się – mruknął Bastian, przewijając Twittera. – Ty też. I ty.

I kto udostępnia takie rzeczy? Bastian kliknął link zamieszczony pod jego ostatnim tweetem przez kolegę ze studiów. Niby skończył dziennikarstwo, a nie umie odróżnić fake’owego newsa od prawdziwego.

Nieletni cygański diler zgwałcił Polkę! – Nagłówek zilustrowany był nieostrym zdjęciem chudego dresiarza z czarnym paskiem na połowie twarzy i linkował do portalu waznenewsy24.net.

Bastian wszedł na Facebooka i odnalazł profil znajomka. Palili razem gandzię na studiach i oglądali kiepskie horrory, ale chyba czas się pożegnać. Usunął go ze znajomych.

Zapiął suwak bluzy pod szyję. Od Dunajca ciągnął chłód. Już ponad godzinę kręcił się po parkingu przed kościołem w Zabrzeży. Najpierw próbował dzwonić pod numer, który z ociąganiem podała mu Anka, ale telefon milczał. Potem dobijał się na plebanię. Siostra zakonna oświadczyła mu przez domofon, że dzisiaj kancelaria nieczynna.

Zależało mu, żeby osobiście porozmawiać z księdzem. Jak dotąd wszystkie informacje miał z drugiej, jeśli nie z trzeciej ręki. W kościelnych papierach mało było konkretów, proboszcz z Tarnowa i sekretarz biskupa też mu nie pomogli. Anka wyciągnęła z księdza jego wersję, ale sam pewnie wyciągnąłby z niego więcej.

Zastanawiał się, czy Ance można wcisnąć dowolny kit. Niby antropolożka,

ale nie zna się na ludziach. Idealnie byłoby dotrzeć do rodziców molestowanego dziecka, ale akurat ta informacja była zakopana najgłębiej.

Świerzyły go palce, żeby napisać więcej na Twitterze, ale przecież on też umie uczyć się na błędach.

Na smartfonie przeglądał kanały RSS z lokalnymi wiadomościami.

Koniec romskiej samowoli w Kamieniu? Gmina zyskała wsparcie posła – przeczytał nagłówek na sądeckim portalu.

Do idei rozwiązania kwestii romskiej w naszym powiecie wrócił dziś na zebraniu Rady Gminy zespół samorządowców z Łącka. Podniesiono kwestię warunków bytowych, w jakich rezyduje romska społeczność w Kamieniu, w tym szczególnie dzieci, jak również problem uciążliwej dla polskiej większości w gminie działalności Romów związanej z paleniem śmieci.

Bastian pomyślał, że jak kiedyś pozazdrości Ance doktoratu, napisze pracę na temat języka prasy lokalnej. A potem przyszło mu do głowy, że Romowie z Kamienia też są obywatelami Polski. To jak nazywać nie-Romów? Musi zapytać Ankę.

Na zebraniu Rady Gminy Łącko gościł poseł naszych ziem Wojciech Maczek. – To jest problem ze stosowaniem się Romów do obowiązującego w Polsce prawa – powiedział naszej redakcji. – Instytucje państwa od dawna są bezradne i obawiają się podejmowania stanowczych kroków wobec tego koczowiska. Stawiam pytanie, jak poprzednie władze chciały przyjmować tysiące uchodźców z Syrii, mając jeszcze w perspektywie bezpieczeństwo ŚDM, skoro nie potrafiły sobie poradzić z własnymi Romami? Gdy pozwala się mniejszości na nieprzestrzeganie prawa, większość może czuć się zagrożona – stwierdził. – Ale teraz, kiedy doszło do zbrodni, należy zadać pytanie, czy żądania radykalnych rozwiązań ze strony polskich mieszkańców nie mają uzasadnienia. Jako poseł muszę słuchać głosu mieszkańców. Nie można się godzić na istnienie getta, w którym kwitnie bezprawie. Kamień należy rozproszyć – zakończył.

Jak się dowiedzieliśmy, podjęte zostaną rozmowy z gminą Limanowa, gdzie przesiedlona społeczność romska mogłaby znaleźć godziwe warunki bytowe. Jak na zebraniu podkreślił wójt Łącka Wiesław Niemiec, są środki z rządowego programu na rzecz społeczności romskiej w Polsce na zakup i remont nieruchomości dla przynajmniej 20–30 pierwszych przesiedleńców.

Nasi rozmówcy nie ukrywają, że do wznowienia tematu przyczyniła się niewyjaśniona sprawa mordu na polskim dziecku, którego zwłoki znaleziono nieopodal koczowiska. Dziecko zostało uduszone, ale w toku śledztwa ujawniono, że było w złym stanie zdrowotnym. Trudno to nazwać przypadkiem. Tymczasem drugie polskie dziecko, dziewczynka znaleziona w osadzie, przebywa w pogotowiu opiekuńczym. Wbrew opinii publicznej policja nie zdecydowała się aresztować kobiety, u której ją znaleziono, objęto ją zaledwie dozorem policyjnym. Powstaje

zasadne pytanie: czy bezprawna działalność Romów z Kamienia ogranicza się tylko do palenia śmieci i samowoli budowlanej?

Dziennikarz udostępnił artykuł na Twitterze. *Kwestia romska w naszym powiecie: Rozproszyc. Wyszedlic. Rozwiazac. #KamienObrazy* – skomentował. Wyjął z kieszeni papierosa, zorientował się, że nie ma zapalniczki. Rozejrzał się po parking. Przed sklepem stał samotny SUV. W środku ktoś siedział. Kobieta. Poprawił włosy i ruszył.

Wyszczерzył zęby, gdy szyba się opuściła.

– Ma pani może ogień? – zapytał.

Elegancka blondynka w kolorowym swetrze podała mu zapalniczkę.

– Długo pan tu tkwi – zauważyła. – Też pan czeka na księdza?

– Tak. – Włączył czujność. – Nie odbiera, nie otwiera...

– Zabarykadowali się tam, siedzą i knują, proszę popatrzeć, światło się pali u proboszcza – prychnęła kobieta. – A ja nie po to jechałam tutaj z Łącka, żeby pocałować klamkę.

Oparł się o drzwi samochodu tak, żeby nie mogła zasunąć szyby z powrotem.

– U pana też byli? – zapytała.

– Kto?

– Policja. – Ściszyła głos. – U mnie jeszcze nie, ale do koleżanki przyszli.

A nasze dzieci razem chodziły na tę cholerną oazę. I pomyśleć, że sama go tu wozłam, bo ten Drzewicki to miał być najfajniejszy ksiądz w okolicy. A teraz? Rodzice do siebie dzwonią, wszyscy powtarzają straszne rzeczy o nim, straszne, proszę pana!

– Wie pani, ja to różne rzeczy słyszałem – zaczął Bastian – ale nic konkretnego...

Kobieta zmierzyła go pobłażliwym spojrzeniem.

– No, że pedofil! – zawołała rozedrganym głosem. – Policja chodzi po domach i wypytuje dzieci. Ludzie się zastanawiają, czy ich dotykał i takie tam.

– Zmieszała się.

– Wypytują i co? – zainteresował się Bastian. – Dotykał?

– A bo ja wiem? Mojego nie. Chyba. Ale ludzie mówili, że wypytują. – Zacisnęła palce na kierownicy.

Bastian dopalił i zdeptał niedopałek na ziemi.

– My tak tego nie zostawimy – powiedziała zdenerwowana kobieta. – Będziemy bronić naszych dzieci. Najpierw Cygany zabiły tego chłopca i porwały dziewczynkę, a teraz to.

Włączyła silnik. Bastian zdążył cofnąć łokieć z okna samochodu.

– My tak tego nie zostawimy – powtórzyła, zasuwając szybę. – Jak przyjdzie co do czego, to będziemy wiedzieli, co zrobić.



ROZDZIAŁ 11

Głód rozerwał kopertę z wynikami testów DNA, która przyszła rano z laboratorium. Przebiegł wzrokiem dokument. I rzucił go na biurko.

– Pudło – burknął. – Dobrze, że się nie zakładałem.

Laboratorium określiło wynik jako kategoryczny brak zgodności. Materiał do badań był, jakkolwiek źle to brzmiało, świeży i niezdegenerowany, jakość próbek wysoka. Było pewne, że między rodzicami zaginionego przed laty Kacpra Barana z Tylmanowej a chłopcem NN nie ma pokrewieństwa. Badania DNA jądrowego i mitochondrialnego, dziedziczonego tylko po matce, mówiły jednoznacznie: to nie on.

– Jeśli to nie Baran, to kto? – Sławek rozłożył ręce. – I co się stało z małym Kacperkiem?

Głód się zamyślił. Drzwi do pokoju się uchyliły, przez szparę wsunęła głowę Iza.

– Chłopaki, słyszałam, że dostaliście wyniki z labu – rzuciła. – A nie ma tam też przesyłki do mnie? Z wynikami pokrewieństwa Reginy z Gwiazdką?

Aspirant Gaca zajrzał do koperty.

– Nie, *sorry*.

– Przecież widać, że to nie jej dziecko – mruknął Głód.

– Regina zeznała inaczej – syknęła Iza. – Na oko się pokrewieństwa nie sprawdza, co nie?

– Nasze wyniki były ważniejsze – napuszył się podkomisarz. – Dzwonili z labu i pytali, więc powiedziałem, że Cyganka może poczekać.

Iza spojrzała nań lodowato i trzasnęła drzwiami. W pokoju zapadła cisza.

– Ta cała Jarmuta nie daje mi spokoju – powiedział Głód. – Chciałbym to sprawdzić.

– Na jakiej podstawie? – Sławek się zdziwił. – Bo dzieci mówiły, że trzy lata temu tam śmierdziało? A co to ma wspólnego z chłopcem z koczowiska?

Przyglądał się przełożonemu, zaniepokojony.

– To najpierw ryby, grzyby i seriale, „nie łączmy spraw, co się będziemy męczyć”, a teraz chcesz się uganiać za smrodkiem z dziecięcych opowieści? Janusz, nie poznaję cię!

– Nie pozwalaj sobie, chłopcze – warknął Głód.

Zaciągnął się głęboko e-papierosem.

– Skurwiel w sukience dotykał mojej córki – wycedził. – I śmierdzi mi

na odległość bardziej niż dzieciakom ta kopalnia. Jeśli nic tam nie znajdę, to trudno, będziemy czekać na wyniki analizy tej krwi z samochodu. A jak Tarnów?

– Dalej milczy. – Sławek rzucił okiem w notatki i wstał od biurka. – Lecę, mam jeszcze do przepytania kilkoro dzieci.

– Jak się okaże, że to on, to go zabiję gołymi rękami. – Głód odwrócił się do szyby.

Sławek porwał kurtkę z krzesła i wyszedł. Podkomisarz popatrzył na kartki, które aspirant zostawił na blacie. Przypominały mu sudoku. Chłopak dalej męczył się nad ciągiem cyfr znalezionym przy dziecku. Ale podkomisarza cyfry teraz średnio obchodziły. Myślał o księdzu.

Tak, zabije go gołymi rękami albo przynajmniej zapuszkuje, a funfle spod celi urządzi mu piekło na ziemi, aż sam się powiesi na gumce od majtek. Głód zabierze wtedy rodzinę na wakacje, pozwoli Baśce jeść, co jej się podoba, frytki, pizzę i batony, a ona będzie się śmiać z jego dowcipów i może wreszcie coś mu o sobie opowie.

Przetarł oczy – nie wyspał się, w środku nocy obudziły go duszności i niepokój w okolicy mostka. Łapał oddech jak wyciągnięta z wody ryba, próbując przypomnieć sobie, co mu się śniło.

Pamiętał powiewającą na wietrze policyjną taśmę, szpaler ludzi, karykaturalnych postaci o powykrzywianych twarzach, krzaki, paprocie tak wielkie, że przedzierał się przez nie jak przez las. Drobnie ciało w czapeczce z daszkiem.

A kiedy czapeczka spadła, zobaczył twarz swojej córki, bladą, zimną i martwą.

Za kładką na Dunajcu Bastian dostrzegł zarys zabudowań. A więc to jest Kamień, pomyślał. Czarna dziura na mapie Polski – dziura, o której wszyscy najchętniej by zapomnieli: krzyżyk i kupa kamieni. Tu, po lewej stronie Dunajca, wszystko wyglądało jak z gazetki marketu budowlanego. Duże domy, pościągane z Niemiec samochody, grille, huštawki ogrodowe, narzędzia i maszyny rolnicze. Chodniki z polbruku i wiaty przystankowe z reklamami blachodachówki, gdzie czekali na busa pyzaci sadownicy, zażywne gospodynie i zadowoleni turyści. Atmosfera jak z reklamy unijnego programu rozwoju regionalnego.

Co znajdę po drugiej stronie? – myślał, obserwując, jak czarny motor zbliża się od strony Łącka.

– Hej! Gotowy? – rzuciła Anka, oddając kask Gerardowi. Ten bez słowa skinął Bastianowi głową.

– Nie mogę się doczekać. – Dziennikarz wyjął z kieszeni komórkę, dyktafon i notes. Przemknęło mu przez myśl, że brakuje tylko kamery GoPro na czole.

– No to pójde z tobą przez kładkę. – Anka rozpięła kurtkę. – A ty, Gert, jedź, zajmij się czymś i bądź grzeczny. Możesz pobawić się z dziećmi albo z koniem.

– Jak z koniem, to nie przy dzieciach – mruknął Bastian i spojrzał przelotnie na faceta. Czy ten drobny ruch kącika ust to miał być uśmiech? Przecięli mu na twarzy jakieś ważne nerwy? – pomyślał z przekąsem.

– Okej – powiedział Gerard beznamiętnie.

– Jak skończymy, to po ciebie zadzwonię – dorzuciła Anka. – Dobrze?

– Okej – powtórzył, założył kask i odjechał.

Zostali sami. Bastian wyjął z paczki papierosa. Nagle przestało mu się spieszyć.

– Popracuj nad jego interfejsem albo wgraj mu jakiś bardziej rozbudowany słownik, bo ten koleś jest na najlepszej drodze, żeby oblać test Turinga. – Zaciągnął się. – On umie mówić? Rozmawiacie czasami czy tylko... – Zawiesił znacząco głos.

– Gert ma bogaty zasób słów, tylko używa ich oszczędnie. – Anka wzruszyła ramionami. – A jego język potrafi być bardzo precyzyjny.

– W to akurat nie wątpię – zaśmiał się Bastian.

Anka miała minę, jakby zastanawiała się, czy to już jest ten moment, kiedy powinna się obrazić.

– To, że go nie rozumiesz, to jeszcze nie znaczy, że on nie ma nic do powiedzenia. – Zmarszczyła brwi. – My oboje pracujemy słowem, a jego środki wyrazu to obraz i forma. Już jest świetnym fotografem, będzie architektem...

– Tak, a jakby co, to kariera aktora porno też stoi przed nim otworem – przerwał jej. – Nawet nie jednym. – Bastian dopalił i wytarł dłonie w spodnie.

– Obrzydliwy jesteś. – Wcisnęła ręce w kieszenie i szybkim krokiem weszła na kładkę.

Popatrzył na rozklekotany, przerdzewiały mostek, próchniejące deski, kotłującą się na kamieniach w dole wodę. Deska pod nim zaskrzypiała niebezpiecznie. Zeszli z kładki na zaśmieconą ścieżkę i Bastian coraz szerzej otwierał oczy. Odkąd przyjechał do Łącka, przygotowywał się na tę wizytę. Przeczytał Karla-Markusa Gaußa, obejrzał *Gadjo dilo* Gatlifa i *Czarnego kota*, *białego kota* Kusturicy. Ale tutaj jakoś nikt nie grał na akordeonie, a tym bardziej na cymbałach ani na sfatygowanych trąbkach. Bastian słyszał jedynie tandetny łoskot z RMF MAXXX.

Nie obiegła go chmara ciekawskich dzieciaków, a miał nawet w kieszeni pęk jednorazowych długopisów BIC – przed wycieczką do Maroka wyczytał, żeby nie dawać żebrzącym dzieciom pieniędzy, tylko długopisy.

Żaden mężczyzna w koszulce na ramiączkach, z kapelusikiem nasuniętym na okulary przeciwsłoneczne nie wylegiwał się na leżaku i nie pobłyskiwał złotym zębem. Nie widział u kobiet barwnych chustek, czerwonych swetrów ani wzorzystych bluzek, pasiastych spódnic czy pęków koralu.

I nawet nie w tym rzecz, że obrazek nie był etnograficzny. Nie rzucały mu

się też w oczy przejmujące obrazy, jakie znał z prozy Gaußa, reportaży i filmów dokumentalnych o koszyckim osiedlu Lunik IX albo o ludziach z wysypiska w rumuńskiej Oradei. Wypatrywał umorusanych dzieci o wielkich oczach, które mogłyby zatrzymać w kadrze na tle impresjonistycznych pryzm śmieci. Półotwartego, ciemnego wnętrza jak z nagradzanego na festiwalach filmu dokumentalnego, w którym kobieta otoczona niesfornymi maluchami, w towarzystwie dorastającej córki trzymającej na rękach niemowlę, mogłaby opowiedzieć o problemach ze zdobyciem pracy. I tej jednej najpiękniejszej, wypatrzonej mimo fioletowego dresu, odwracającej powłóczyście spojrzenie, wsuwającej w karminowe usta końcówkę czarnego warkocza.

Tutaj, pomiędzy ruderami i na zawsze niedokończonymi domostwami, między zbitymi z wyszczerbionej pilśni szopami a wrakiem remontowanego uparcie opla, w duszącym cuchu płynącej środkiem gnojówki z szamba, nędza nie była epicka, romantyczna i szlachetna. Była zbyt zwyczajna na fotoreportaż poruszający spokojne sumienia gości wernisażu, na książkę budzącą odruch buntu podczas lektury w pendolino. Backpackersi z przewodnikiem Lonely Planet nie przyjadą tu robić zdjęć. Hipsterlewica nie dostrzeże, bo to za daleko, bo znika za horyzontem wielu bliższych planów wymagających wzburzenia.

Przez głowę Bastiana przebiegła nieznośna dla dziennikarza myśl – tutaj oprócz zwykłego syfu nie było nic.

Wyobraził sobie tu Jadzię i pociągnął nosem. Jadzia wychodziła demonstracyjnie z kuchni, kiedy ktoś odgrzewał w mikrofalówce rybę. Przerastało ją umycie po kimś widelca. Widział, że chodzi do toalety ze swoimi chusteczkami. Przecież pani obrończyni mniejszości puściłaby tu pawia na dzień dobry, pomyślał.

Pierwszy napotkany Rom rzucił im krzywe spojrzenie. Rozpoznał Ankę, która posłała mu nieśmiały uśmiech. Ona też nie czuła się tu pewnie. Minęła ich gromadka dzieci. Siedmioletni chłopczyk pomachał do Anki i pobiegł w kierunku, z którego dobiegał pomruk motocyklowego silnika. Bastian wyjął komórkę i zrobił dzieciakom zdjęcie. Szerokie uśmiechy z niepełnym uzębieniem trudniej hejtować.

– Wow, ale hardcore! – zawołał, kiedy zatrzymali się na środku wioski. Wreszcie coś, co nadałoby się do zilustrowania paru tweetów. Przymierzył się do zdjęcia, próbując zmieścić w kadrze budynek z niedokończonym dachem, na którego szczycie zamocowana była antena satelitarna. – Anka, ty to widzisz?

– Bastian, ciszej, to czyjś dom – syknęła.

Zobaczył kątem oka, że ludzie przystają i patrzą na nich. Anka bawiła się zamkiem kurtki, kiedy on fotografował stertę śmieci i psa.

– Co jest, kurwa, do zoo przyjechałeś? – Szarpnięcie za ramię pozbawiło go równowagi. Omal nie poślizgnął się na gnojówce. Odwrócił się. Patrzył w oczy młodemu Romowi z włosami związanymi w kitkę. Twarz tamtego wykrzywił wściekły grymas.

– Spokojnie, Paweł. – Podeszła do nich kobieta. Wymieniły z Anką zakłopotane uśmiechy. – Co to za *pobuledimen gadzio*?

– Sebastian Strzygoń, mój kolega... – zaczęła Anka.

– Jestem dziennikarzem – dodał Bastian.

Otoczający ich tłumek zafalował.

Zapominała, że jest w pracy. Wiosenne słońce sączyło się przez świeżą zielen, łąki nad Dunajcem i leśne runo usiane były kwiatami. Buczały trzmiele i uwodziły się skowronki, gdy jechała rowerem wzdłuż szlaku ze Szczawnicy do słowackiej Leśnicy.

Rower wypożyczyła nieopodal dolnej stacji kolejki na Palenicę, gdzie zostawiła golfa. Miał być tylko szybkim sposobem na dotarcie do miejsca, gdzie samochodem dojechać się nie dało. Ale jazda pozwalała też na chwilę przestać myśleć o sprawie i o tym, że lada dzień Łukasz zażąda raportu. I o Marku.

Miejsce, do którego zmierzała, leżało na granicy. W razie czego obojgu trudno będzie zarzucić, że prowadzą działania operacyjne na terytorium obcego państwa bez wyraźnej zgody jego władz. Olbrzymi budynek koloru twarzy Donalda Trumpa wyglądał, jakby ktoś przeniósł tu prowincjonalny dom katechetyczny i ustawił parasolki Coca-Coli. Przed Chatą Pieniny zapach lasu ustępował woni frytek. Przełknęła ślinę.

Sylwia opróżniła duszkiem pół kufła. Funkcjonariusz SIS Milan Otčenáš łyknął dystygowanie staroprámeňa i podwinął rękawy czerwonego polaru Rossignola, odsłaniając zegarek Tissot z limitowanej serii T-Race MotoGP. Zastanawiała się, czy dobierał polar pod zegarek, czy odwrotnie. Pachniał Hugo Bossem, jakby przynieśli go tu z Leśnicy w lektyce. Gładko ogolony, pięknie szpakowaciał na skroniach i Sylwia, nie zważając na plamy pod pachami na swoim podkoszulku, pomyślała, że w tym odcinku mogłaby zagrać dziewczynę Bonda. Słowak powąchał nieufnie plasterek *kuraciego rezne na šampiňónoch*, przyglądając się, jak Sylwia pochłania *vyprážený syr s tatárskou omáčkou*.

– Ciekawi cię dalej pan Zdeněk Molnár? – zagaił. Mówił znakomitą polszczyzną, na tyle głośno, żeby ona słyszała go ponad muzyką, a inni nie. Sylwia skinęła głową, nie mogąc odpowiedzieć z pełnymi ustami.

– Przyjrzelśmy się mu. – Przełknął z nieszczęśliwą miną i popił piwem. – Obejrzelśmy billingi z jego komórki. – Kreślił palcem na ceracie. – Wyszło, że na jego nazwisko zarejestrowany jest jeszcze jeden numer. I przychodzi na niego dużo połączeń. – Otčenáš puknął palcem w stół i poprowadził do tego punktu kilka linii z różnych kierunków. – A z niego samego połączeń wychodzi niewiele. Mówi ci to coś, *zlatičko*?

– Jasne, kochany – odparła Sylwia, ścierając z podbródka nitkę sera. – Pod tym numerem mamy bossa.

– I, co ważne, dzwoni tam też sam pan Molnár, z telefonu, z którym chodzi

na co dzień. A sam do siebie przecież nie dzwoni.

– Czyli jest ktoś inny – dodała, nabijając na widelec trzy ostatnie frytki. – Ktoś ważny, kto używa numeru formalnie należącego do Molnára.

Słowacki funkcjonariusz uśmiechnął się i natychmiast spochmurniał, spoglądając w swój talerz. Nabrał na widelec pieczarek. Przełknął. Westchnął.

– Przyjrzelśmy się też biznesowi pana Zdenka – powiedział. – Na moje oko Molnár powinien już ze dwadzieścia razy ogłosić upadłość. Pan Zdeněk nadaje się do biznesu tak, jak rusałka Amelka do *bordelu*. Skończony alkoholik, w głowie ma najwyżej *chrobáka*, a przystojny jak *Rákosníček*... Jak to po waszemu? Aha, jak wodnik Szuwarek. Jakbyś go zobaczyła, tobyś wiedziała, że ostatnia rzecz, którą chcesz z nim robić, to interesy. No, może przedostatnią. – Odchrząknął. – Na koncie bankowym dziwne ruchy. Faktury na zamówienia kilkakrotnie przekraczające ich wartość. Nie dość, że wozi *drevo do lesa*, to jeszcze płaci za nie jak za zboże.

– Klasyczny słup – podsumowała.

– Dokładnie, *zlatičko*. Tylko że u nas się mówi *bílý kuň*.

– Czyli pan Zdeněk Szuwarek jest nieważny. – Sylwia w głowie dopisała do swojego diagramu rubrykę „boss”. – Będziesz jadł swoje *hranolky*?

Wykonał wytworny, zapraszający gest nad talerzem.

– Namierzylście ten drugi numer? – zapytała, zgarniając palcami frytki z jego talerza.

– Namierzamy. – Wyprostował się. – Zwykle jest wyłączony, aktywny tylko od czasu do czasu. W nieregularnych odstępach. Wtedy wszyscy dzwonią, pewnie mają jakiś system.

– Milanku, kochany mój, dasz mi ten numer, prawda? – Popatrzyła mu w oczy. Spuścił wzrok.

– *Zlatičko*... – zaczął. – Tyle możemy dla ciebie nieoficjalnie zrobić, znasz reguły gry. Jeśli chcesz więcej, niech twoja służba pisze pismo do naszej, inaczej...

– Przecież już pisaliśmy jedno... – Zmarszczyła nos.

– ...z pytaniem o potencjalne zagrożenia, na które odpowiedzieliśmy. – Sięgnął po piwo. – Ale gdybym miał teraz przekazywać informacje uzyskane w toku pracy operacyjnej, i to służbom innego państwa... Muszę mieć papier, rozumiesz.

– A jak go namierzycie, pójdiesz jeszcze raz na piwo? – Wskazała na swój kufel z resztką staropraneña. – Może ci też coś wtedy opowiem?

Przez chwilę w milczeniu dręczył kotlet sztucjami. Wreszcie zrezygnował i odłożył nóż, jakby kapitulował.

– Piwo zawsze można wypić – odparł.

– *Pat a Mat, a je to!* – Nachyliła się nad stołem i klepnęła Słowaka w ramię.

– Wtedy ci postawię. Dziś płacisz ty. W końcu zarabiasz w euro.

– Jedziesz ze mną do Szczawnicy? – spytała Iza, bawiąc się kluczykami do auta.

– Skoro już tu jestem... – rzucił Sławek i wsiedli do samochodu w centrum Łącka.

Kolejne rozpytania dzieci nie wniosły nic nowego, a nawet zaczęły zaciemniać obraz. Sławek miał wrażenie, że narastająca wśród rodziców histeria im nie pomaga. Dzieci czuły tę niezdrową atmosferę i chcąc znaleźć się w centrum zainteresowania, zaczynały konfabulować.

– Co to w ogóle za ludzie, ta rodzina? – zapytał.

– Bartosz, radca prawny, i Matylda Wołoszynowie. – Iza pewnie prowadziła cywilną kię. – Cztery lata temu zgłosili zaginięcie dwumiesięcznej Leny. W protokole zero konkretów, bo kobieta była w histerii i mówiła bez ładu i składu. Poszukiwania nic nie przyniosły, potem facet wynajął jasnowidza, ale ten też nic nie znalazł. Od tamtej pory cisza.

– A ta dziewczynka, Gwiazdka... Dowiedzieliście się czegoś od niej?

– Nic. – Iza patrzyła na drogę. – Trudno się z nią porozumieć, bo nie chce rozmawiać po polsku. Ludzie z pogotowia opiekuńczego mówili, że ciągle woła mamę.

– Masz na myśli tę Cyganekę?

– Tak. A poza tym dziecko jak dziecko. Normalnie rozwinięta, zdrowa, bawi się, nie grymasi, jest grzeczna. Jest smutna i płacze, bo tęskni za domem.

– A co to za dom, ta rudera w Kamieniu? – zdziwił się Sławek.

– Jej dom – mruknęła policjantka.

Wjechali do Szczawnicy, w świeżo odkurzony szyk małego uzdrowiska, pomiędzy drewniane domy z dekoracjami snycerskimi i stragany z tandetnymi pamiątkami. Poczuli zapach gofrów. Przejechali w żółtym tempie przez centrum i wyjechali w kierunku na Homole, wzdłuż gładkiego unijnego chodnika z łososiowej kostki.

– To gdzieś tutaj – stwierdził Sławek. – Ta cała Jarmuta. Ciekawe, czy znajdą coś więcej niż tylko zdechłego lisa.

Zjechali w wąską boczną uliczkę i wspinali się pod górę. Zabudowa rzedła, niedaleko kończył się asfalt. Powyżej, na zboczu wzgórza, stał drewniany, nowoczesny dom w stylu przywodzącym na myśl skandynawski design.

Gdy zadzwonili domofonem, wyszedł do nich mężczyzna w ogrodniczkach, z uwalanymi ziemią rękami. Obrzucił ich podejrzliwym spojrzeniem i zaciął usta.

– Policja. My w sprawie Leny – rzuciła Iza.

Mężczyzna zachwiał się i złapał ogrodzenia.

– Tylko nam dziennikarzy brakowało. – Romka wzniosła oczy ku niebu. – Mamy odstawić teatrzyk jak dla tefauenów? Z kamerą wśród dzikich? Powróżyć panu, mister? Mister przystojny... – Złapała go za rękę. – Widzę daleką podróż

i dużo pieniędzy... – Naraz warknęła do Anki: – Po cholere go tu przyprowadziłaś?
– Pomyślałam, że spotkała was krzywda i dobrze by było, żeby ludzie o tym usłyszeli...

– Mamy się obnosić przed ludźmi z naszą krzywda? – prychnęła kobieta. – Jak cię ktoś skopie, to powód do dumy czy wstydu? Będiesz pokazywać wszystkim siniaki, żeby wiedzieli, jaka jesteś słaba, czy schowasz się lizać rany i zbierać siły do walki?

Anka zaniemówiła. Bastian wykorzystał ten moment i podniósł palec.

– Czy mógłbym zadać kilka pytań? – Uśmiechnął się pojednawczo.

Kobieta przeniosła na niego gniewne spojrzenie. Otaczający ich ludzie przyglądali się z zainteresowaniem. Facet z kitką pokrzyczał coś niezrozumiale i odszedł, przekraczając błotniste koleiny.

– Czego? – warknęła kobieta.

– Chciałbym porozmawiać o księdzu Drzewickim. – Bastian wyjął notes i długopis. To powinno sprawić, że poczuje się ważna. – Interesuje się nim policja, krążą plotki, że jest pedo...

– Odpierdol się od księdza! – Skoczyła do niego. Cofnął się. – To święty człowiek! Nawet bardziej niż Święta Mateczka ze Starego Sącza, bo nie bierze pieniędzy.

Bastian skrupulatnie notował jej słowa, żeby nie musieć patrzeć jej w oczy i żeby dać sobie chwilę na przygotowanie strategii.

– Ale czy on... – zaczął.

– Starczy – syknęła tamta. Poparło ją kilka pomruków.

– Okej, a to dziecko, które tu zaginęło? – ciągnął dziennikarz, niezrażony. – Są wątpliwości, czy w ogóle istniało. Koleżanka wspominała, że chłopiec się leczył: mogę zapytać gdzie? To może być istotne, żeby potwierdzić waszą wersję. W kartotekach i rejestrach zostają po człowieku ślady, chociaż trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś przyjął dziecko bez PESEL-u. Chyba że pogotowie, ale potem...

– Nie każdy pyta o PESEL – rzuciła kobieta i odwróciła się do Anki. – To też mu wygadałaś, *dilini*?

Otaczający ich krąg ludzi nagle się rozstał.

– Co tu się dzieje? – zapytał wysoki mężczyzna o posiwiałych skroniach. Ludzie odpowiedzieli mu po romsku podniesionymi głosami. Rzucił kilka niezrozumiałych słów i tłumek się rozplątał.

Zostali sami.

– Markus, dobrze, że jesteś... – Anka odetchnęła z ulgą. – Mój kolega, Sebastian Strzygoń – mówiła szybko, żeby nie zdążył jej przerwać – jest dziennikarzem... I chcielibyśmy zapytać...

– To, co dzieje się w Kamieniu, zostaje w Kamieniu – przeciął mężczyzna. –

Mówiłaś, że chcesz pomóc Reginie. Więc jeśli chcesz pomóc, to pozbądź się go i idź do niej. Czeka na ciebie.

Na Bastiana nawet nie spojrział. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Odprowadzę cię na kładkę – westchnęła Anka i ruszyła przed siebie.

Dziennikarz rozejrzał się po opustoszałych dekoracjach. Samotny pies merdał kikutem ogona, patrząc na Ankę stęsknionym wzrokiem. Spektakl skończony, pomyślał Bastian i podążył za nią.

– Mówili, że Cyganie to tacy radośni, wyluzowani ludzie – mruknął. – A tu nikt nawet piosenki nie zaintonował. Hołubca nie wyciął.

– Zamknij się, proszę, wszystko popsujesz. – Wpatrywała się we własne buty. – Już nic nie mów.

– Ja tylko chciałem zadać parę pytań. Ty też nie najlepiej wykorzystałaś swoje legendarne kompetencje międzykulturowe. Ale oni drażliwi!

Czego się spodziewał? Że wyjdzie mu na powitanie barwny orszak z orkiestrą grającą na siedem ósmym, wezmą go pod rękę, zaprowadzą do stołu, gdzie będą siedzieć ludzie świętujący Bóg wie co, wesele albo jeszcze lepiej pogrzeb, naleją mu wódki, porwą do tańca i zaczną opowiadać historie swojego życia?

– Muszę iść do Reginy – rzuciła, kiedy dotarli do kładki. – Obiecałam jej pomóc napisać pismo w sprawie Gwiazdki. Jak chcesz, mogę poprosić Gerta, żeby cię odwiózł do Łącka.

– Dzięki, nie trzeba. – Ostatnie, na co miał teraz ochotę, to przytulać się do tego typu. – Dam sobie radę, doktor Livingstone. Idź do swoich dzikich, skoro tak świetnie się rozumiecie.

Drogę zastąpiło mu dwóch kilkunastoletnich chłopaków. Rozciągnięte dresy, szerokie, szczerbate uśmiechy na pociągłych twarzach.

– Dziennikarz, my ci się wypowiemy, ile płacisz?

Spojrzał na nich bykiem.

– Za wypowiedzi się nie płaci.

– No co ty? Telewizja dawała po stowie! – przekrzykiwali się. – No, daj!

Ominął ich i wstąpił na kładkę. Szedł, dudniąc butami o spróchniałe deski. Szum Dunajca tłumiał inne odgłosy, powietrze zrobiło się rześkie i przyjemne. Kiedy dotarł na drugą stronę, poczuł, jakby wrócił z innego świata.

Wytarł dłonie i wyjął komórkę. Wybrał najlepsze zdjęcie. Rudera, antena satelitarna, sterta śmieci, pies i tych dwoje: pyskata kobieta i facet z kitką.

To, co dzieje się w Kamieniu, zostaje w Kamieniu. Koniec cytatu.
#KamienObrazy – zatweetował i poszedł, nie oglądając się więcej.

Dom urządzono ze smakiem, ale po podłodze wały się koty z kurzu. Proste meble zrobiono z prawdziwego drewna, nie z oklejonej fornirem sklejki. Nie było tu żadnych pamiątek, bibelotów, zdjęć ani obrazków na ścianach. Usiedli przy

stole, a Bartosz Wołoszyn krzątał się po kuchni.

– Kawę mam z cykorii, jest zdrowsza. – Podał kubki policjantom. – Więc mówicie, że dziecko znalezione u Cyganów to może być nasza Lenka? – zapytał, patrząc gdzieś w przestrzeń. – Kiedy będę mógł ją zobaczyć?

– Najpierw musimy ustalić tożsamość dziewczynki. – Iza wyciągnęła przed siebie dłonie. – Chcielibyśmy pobrać od państwa próbki materiału genetycznego.

– Jestem do dyspozycji. – Wołoszyn się wyprostował. – Jak to się robi? Bo jeśli to jakaś skomplikowana medyczna procedura, to ja nie wiem, ja unikam...

– To bardzo proste. – Policjantka uśmiechnęła się uspokajająco. – Wymaz z wnętrza policzka.

– Zróbmy to od razu – rzucił niecierpliwie.

Iza odeszła z nim na stronę, a Sławek skorzystał z okazji i wylał kawę do zlewu. Była obrzydliwa.

– Proszę nam opowiedzieć, co się wtedy wydarzyło – odezwał się, gdy wrócili.

Mężczyzna oparł się o lodówkę. Na czole wystąpiła mu żyłka, ścisnął kubek, aż białeły mu kłykcie.

– Żona była sama z Leną, ja byłem w kancelarii – zaczął. – Kiedy wróciłem, nie wiedziałem, co się dzieje. Matylda w panice, Lena zniknęła. Żona dostała zioła, udało się ją uspokoić i powiedziała, że zostawiła Lenę na chwilę samą w wózku na tarasie i poszła do domu po chusteczki. Kiedy wróciła, dziecka nie było, ktoś je zabrał, jacyś ludzie. Policja – rzucił im spojrzenie pełne wyrzutu – nic nie zrobiła. Ja byłem gotowy poruszyć niebo i ziemię, ale odradzili nam robić aferę w mediach, bo mogłoby to przynieść efekt odwrotny do zamierzonego. Wtedy działa się ta okropna historia z małą Madzią – wyjaśnił. – Ja potem jeszcze próbowałem, chodziłem na konsultacje aury, sprowadziłem jasnowidza, ale nikt nie był w stanie mi pomóc.

Sławek i Iza wymienili spojrzenia.

– Ma pan może jakieś zdjęcie Leny? – zapytała policjantka.

Mężczyzna zniknął na chwilę, słychać było jego kroki na schodach, szuranie szuflad.

– Słyszałeś? – szepnęła Iza. – Taki sam schemat jak u Baranów w Tylmanowej. Dziecko zostawione na chwilę na polu, matka idzie po coś do domu, dziecko znika bez śladu.

– Myślisz, że to ten sam sprawca? – Sławek się zadumał.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Wołoszyn wrócił z pudełkiem po butach oklejonym różowym papierem. Otworzył je i pobladł. W środku było kilka zdjęć, skarpetki, śpioszki z misiem, smoczek i pęczek zasuszonych gałązek przewiązany czerwoną nitką.

– Podobna była bardziej do pana czy do żony? – zapytała delikatnie

policjantka.

– Trudno powiedzieć. – Mężczyzna otarł oczy. – To było jeszcze niemowlę...

Iza skinęła głową. Dla niej wszystkie niemowlęta podobne były najbardziej do Ryszarda Kalisza. Brała do ręki zdjęcia – na jednym z becika wystawała czerwona twarzyczka z zaciśniętymi powiekami. Na innym Wołoszyn, młodszy o parę lat, nachyla się nad łóżeczkiem. Na następnym delikatna blondynka przytula drobniutką dziewczynkę, patrząc w obiektyw wielkimi, wilgotnymi oczami.

Wołoszyn westchnął, zaglądając Izie przez ramię. Sławek wbił wzrok w dno swojego kubka, żeby nie patrzeć, jak po policzku mężczyzny płynie łza.

– Jednego dnia masz rodzinę, żonę, córkę, dom, plan na życie – powiedział cicho Wołoszyn. – Drugiego dnia nie masz nic. Zostają ci tylko ściany.

Odwrócił się i schował kubek do zmywarki, ukradkiem wycierając twarz.

– Możemy z nią porozmawiać? – zapytała Iza.

– Z kim? – zdziwił się mężczyzna.

– Z pańską żoną.

– Nie, to niemożliwe – odpowiedział.

– Dlaczego? – Sławek rozłożył ręce.

– Od tamtej pory Matylda przebywa w szpitalu psychiatrycznym.

Anka schowała gęsto zapisaną kartę do foliowej koszulki i wsunęła w egzemplarz *Widoku cudzego cierpienia* Susan Sontag, który akurat miała w torebce.

– Dziękuję – powiedziała Regina i sięgnęła do paczki po delicyję. Potem po jeszcze jedną. W końcu odsunęła ciastka. – Zostawmy coś Darce. Ona tak lubi słodczy. Nie daję jej, bo nie mam.

Anka powstrzymała się przed sięgnięciem po ciasteczko. Nie będzie przecież objadać z łakoci małej dziewczynki.

– Przywieźć ci coś? – zapytała. – Jakies ubrania?

Była od Reginy wyższa i nie tak szczupła, ale może jakieś jej swetry albo kurtki by się nadały.

– Nie, ubrania to ja mam. – Regina potrząsnęła głową. – Tak naprawdę to chciałabym... żeby mi oddali wreszcie moją Gwiazdkę...

Jej usta się wykrzywiły, oczy zaszkliły.

– Wszystko mi ją tutaj przypomina – szepnęła. – O tam – wskazała głową na kącik, gdzie leżały porozrzucone zabawki – lubiła się bawić. Jakby tu była, to po delicyjach by już nie było śladu.

Wstała i wyjęła z szafki zniszczonego misia. Przytuliła do niego twarz i zamknęła oczy.

– Schowałam go, bo nie mogłam na niego patrzeć. Ja to się Golcom nie dziwię, że uciekli, jak Oskar zniknął.

– Uciekli? – zdziwiła się Anka.

– Wyjechali z dnia na dzień – wymruczała sennie Regina. – Zostawili rodzinie, co mieli, i pojechali, nikt nie wie gdzie. Jakbym mogła, to też bym tak uciekła, daleko, gdzie nikt mnie nie zna. Musi być gdzieś na ziemi miejsce, gdzie jest lepiej. Może w Ameryce? Tam biali i kolorowi żyją w zgodzie.

Anka ostrożnie wzięła pluszaka w ręce i zebrała się na odwagę.

– Regina... – zaczęła – powiedz mi prawdę. Mnie możesz powiedzieć. Skąd się wzięła Gwiazdka? To naprawdę twoja córka?

– Gwiazdka to dar od Boga. Wykarmiłam ją własną piersią. Ty nie zrozumiesz, bo nie masz dzieci.

Anka patrzyła we własne paznokcie.

– Nie wiesz, jaki to cud. Jaka radość. Nie wiesz, że ktoś może cię tak kochać. Mężczyźni...? Oni przychodzą i odchodzą. Mężczyzna nigdy nie będzie naprawdę twój – ciągnęła Regina, gdy Anka schylała głowę coraz niżej. – A matka zawsze pozostanie matką. Dziecko jest twoje na zawsze i nic tego nie zmieni. Dlatego to boli, jakby ci ktoś serce wyrwał, jak ci dziecko zabierają.

Regina urwała.

– Zawsze wierzyłam, że Bóg mnie kocha, jak tego ptaka, co nie orze ani nie sieje. Dał mi Gwiazdkę. Czuwał nade mną – szeptała. – Ale ja nie zasłużyłam. Może On się zorientował. Myślisz, że mi jeszcze raz wybaczy?

Anka z niepokojem śledziła jej nieobecne, skierowane do wewnątrz spojrzenie. Regina dobrze znanym gestem zaczęła drapać się po ręce, a jej paznokcie zostawiały na skórze czerwone ślady. Anka podeszła do dziewczyny. Objęła ją z wahaniem. Regina przyłgnęła do niej, ukryła twarz w zagłębieniu jej szyi i szlochała jak dziecko.

Anka oplotła ją ciasno ramionami, starając się stłumić dygot, który wstrząsał ciałem Reginy. Zacisnęła palce na misiu, czując, jak udziela jej się ten szloch. Sama nie wiedziała dlaczego.

Sylwia usiadła przy stole w jadalni pensjonatu Trzy Jabłka i zamówiła herbatę. Stukała okularami o blat stolika, starając się ukryć ekscytację.

Numer przesłał jej Łukasz, zadzwoniła natychmiast. Wydawał się zaskoczony, ale zgodził się od razu. A ona nie mogła przestać patrzeć na to zdjęcie.

Nie ma takich zbiegów okoliczności, myślała, czując, jakby tweet był przeznaczony specjalnie dla niej. Znała tę twarz ze zdjęć z monitoringu Straży Granicznej.

Nie, nie twarz – fryzurę. Związane w kitkę włosy. Do tego ten cytat: „To, co dzieje się w Kamieniu, zostaje w Kamieniu”. Co z tą miejscowością jest nie tak, że wyskakuje jej wszędzie, gdzie tylko spojrzy? Jakby ktoś namalował jej słowo „Kamień” czerwonym sprayem pod powiekami.

Zbiegł po schodach i się rozejrzył. Wstała i pomachała do niego. Zobaczył ją, przystanął, po czym zaczesał palcami włosy w górę. Jakby chciał wydać się

wyższy, pomyślała. Podszedł do niej z filmowym uśmiechem.

– Sebastian Strzygoń. – Wyciągnął rękę. – Jestem dziennikarzem. „Horyzontu” – dodał.

Głos miał niższy, niż się spodziewała. Chyba że starał się tak mówić.

– Sylwia Nowak z Fundacji Pro Roma. – Przytrzymała dłoń, aż poczuła ciepło jego skóry. Drgnęły mu nozdrza, kiedy poczuł jej perfumy.

Usiedli naprzeciw siebie. Wystudowanym gestem wygładziła spódnicę. Musnęła usta końcówką zausznika okularów.

– Cieszę się, że zgodził się pan ze mną spotkać – powiedziała. – Bardzo doceniamy to, co pan dla nas robi.

– A co robię? – zapytał.

– To, co pan pisze w mediach społecznościowych... Broni nas pan, kiedy wszyscy nas opuścili.

– Ja nikogo nie bronię. – Bastian zmarszczył brwi. – Tylko staram się rzetelnie informować.

– I za to cenię pana dziennikarstwo. – Bez mrugnięcia okiem skrzyła o dziewięćdziesiąt stopni. – Ostatni sprawiedliwy, który nie dał się wciągnąć pod żadne sztandary, tylko pozostał niezależny. To niezwykła postawa w naszych czasach.

Facet uśmiechnął się niepewnie, jakby pierwszy raz słyszał komplement na temat swojej etyki zawodowej. Sylwia miała wrażenie, że zna go jak starego kumpla z liceum. Na jego profilu na Facebooku większość wpisów była publiczna, więc zaczęła go obserwować. Wiedziała, gdzie był na wakacjach, co ostatnio czytał i co wczoraj jadł na obiad. Znała jego gusta muzyczne, a jego poczucie humoru było bliskie jej własnemu.

– Panie redaktorze... Bastian... – zaczęła i pochyliła się do niego przez stół. – Mogę tak mówić, prawda? – Widziała na Facebooku, że właśnie tym zdrobnieniem zwracają się do niego znajomi. Oblizął wargi, jakby zauważył, że pod żakietem i bluzką Sylwia nie ma stanika. – Wiemy, że policja bada wątek pedofilski.

Tego dowiedziała się od Anny Serafin. Przytaknął z uznaniem.

– Ale chciałabym dowiedzieć się od ciebie, co o tym sądzi doświadczony dziennikarz śledczy.

– Zwykle to ja zadaję pytania. – Uśmiechnął się, a w jego policzkach pojawiły się dołeczki. – Może to ty, Sylwio – przeciągnął sylaby w jej imieniu – udzielisz mi wywiadu? Opowiesz mi o sytuacji Romów w Polsce?

Zaskoczył ją. Miała nadzieję, że tego nie zauważył. Nie miała zielonego pojęcia o faktycznej sytuacji Romów w kraju. Upiła łyk herbaty, żeby zyskać na czasie.

– Kto wie, może kiedyś... – Poprawiła włosy. – Ale teraz odpowiedz, proszę. Zależy mi, żeby usłyszeć to od ciebie.

Patrzył na nią, jakby nie mógł jej rozgryźć. Jakby wyczuł, że coś jest nie tak, ale te perfumy, ta rozpięta o jeden guzik za daleko bluzka, ten błysk w czarnych oczach sprawiały, że nie mógł się skupić.

– Wątek pedofilski wydaje się obiecujący, chociaż z moich informacji wynika, że nie ma bezpośrednich dowodów – powiedział wreszcie. – Ale to jedyna hipoteza na ten moment. Sprawa jest rozwojowa. Nie wykluczam też innych wątków. – Tajemniczo zmrużył oczy i znowu wyeksponował dołeczki.

Jakie to słodkie, pomyślała Sylwia.

– Jak dobrze znasz Kamień? – zapytała. – Jego strukturę społeczną, problemy, również te natury kryminalnej... – Zawiesiła głos.

Rozejrzał się i przełknął ślinę. Pomyślała, że facet jest wytrawnym graczem i za darmo nic od niego nie wyciągnie. Musi zaoferować mu coś w zamian.

– Boisz się, że ściany mają uszy? – Ściszyła głos.

Dookoła było pusto, przy stoliku pod oknem siedzieli turyści, kobieta w fartuchu właśnie przynosiła im pierogi.

– Ja też. – Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo, widząc w jego oczach błysk zrozumienia. – Może lepiej byłoby porozmawiać na osobności? Zatrzymałeś się tutaj, prawda?

Potwierdził skinieniem głowy.

– To chodźmy do ciebie.

Zauważyła, jak przez jego twarz przewinęły się sprzeczne emocje. Czujność, niepokój, ekscytacja. Ale się zawahał.

Takiś cnotliwy? – prychnęła w duchu.

– Bo widzisz... – Dotknęła dłoni dziennikarza. Jego źrenice się rozszerzyły. To nie było konieczne, ale zaczęła ją bawić ta gra. – Mogę ci pomóc. Tylko nie tutaj.

Gerard wsunął dłonie pod jej bluzkę. Anka zamknęła kuchenną szafkę, z której właśnie wyjmowała kubki, i krzyknęła cicho, czując na brzuchu dotyk metalu.

– A może pobawimy się dzisiaj tak? – zamruczał. Wyjął rękę spod jej bluzki i zakręcił na palcu bransoletką kajdanek.

– Zwariowałeś? – Wyrwała mu się. – Już ci się znudziło po bożemu? Już cię ciągnie z powrotem do piwnicy?

– Anka, litości! Nie proponuję ci BDSM, tylko niewinne ćwiczenie na zaufanie. Jak chcesz, to możemy zacząć ode mnie.

– Nie, dziękuję – wyrzuciła z siebie. – Ja nie mam ochoty cię upokarzać.

– Upokarzać? – zdziwił się. – Więc myślisz, że o to mi chodzi? Że cię sponiewieram, będę brutalny, zmuszę cię do czegoś, czego nie chcesz? Za kogo ty mnie masz?

– Nie udawaj niewiniątka – zachnęła się. – Przecież to wszystko robiłeś.

Robiłeś z dziewczynami, co chciałeś, ale nie ze mną te numery. W życiu nie dam ci się skuć.

Podszedł do niej i ujął ją za ramiona, delikatnie, ale stanowczo.

– A ty wiesz, mała, że ja wcale nie potrzebuję tego – z brękiem upuścił kajdanki na kafelki – żeby zrobić z tobą wszystko, co przysłoby mi do głowy? A przychodzą mi do głowy przeróżne rzeczy.

Oparł ją plecami o lodówkę. Podniosła na niego wzrok, zobaczyła nad sobą sto dziewięćdziesiąt dwa centymetry wysportowanych mięśni. Nie miałyby z nim żadnych szans.

– Więc skoro tak – wsunął kolano między jej nogi, poczuła gwałtowny strzał adrenaliny, krew załomotała jej o tętnice udowe – to musisz zdać sobie sprawę, że ryzykujesz za każdym razem, kiedy zostajesz ze mną sam na sam.

Co się ze mną dzieje, do cholery? – myślała gorączkowo. Dała się nabrać na śliską, gładziutką dobroć księdza-pedofila. Pozwoliła się wciągnąć w grzaski, histeryczny świat kobiety, której cudze dziecko spadło z nieba, cokolwiek kryje się za tym eufemizmem. I jeszcze wpuściła do łóżka faceta, który przecież...

Nie dokończyła myśli, bo jej ciało wysyłało sprzeczne sygnały.

Gerard uśmiechnął się kącikiem ust i rozluźnił uchwyt, chociaż trzymał ją dalej.

– Spokojnie, nic ci nie zrobię. Nie to nie, nie będę cię zmuszał ani się prosił. Tylko powiedz, czego się tak boisz? Też masz mnie za zbrodźcę i sadystę?

Mówił ostrym szeptem. Jego twarz bardzo blisko jej twarzy.

– A może boisz się siebie? – syknął. – Że ci się spodoba i okażesz się nie taka święta, jak myślisz?

Puścił ją i sięgnął po pilota, żeby ściszyć telewizor. Stała, wciąż oparta o drzwi lodówki, i próbowała uspokoić oddech. Zmrużył oczy. Podszedł do ściany, włączył kinkiet, gasząc górne światło, i w pokoju nagle zapanował półmrok.

Schyliła się i podniosła z podłogi kajdanki. Ręce i kolana jeszcze odrobinę jej drżały. Podeszła do niego, gdy opuszczał roletę. Położyła mu dłonie na piersi, obracając w palcach bransoletki.

– Chodźmy się kochać – powiedziała. – Możesz ze mną zrobić wszystko, co chcesz.

Przytrzymał stopami jej stopy. Powoli otoczył ją ramionami tak mocno, że chrupnęły jej żebra, i znowu na chwilę zeszywniała, czując, jak tętno jej przyspiesza. A potem puścił ją i się odsunął.

– Chcesz herbaty? – zapytał.

– Nie rozumiem. – Potrząsnęła głową, chwytając go za podkoszulek. – Mówiłam, że możesz zrobić ze mną, co zechcesz.

– Zrobiłem. – Ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją w czubek głowy. Miał chłodne usta i lodowate ręce. Wiedziała, co to oznacza: migrenę. – Chciałem cię

przytulić.

Gdy wiadomo, gdzie szukać, myślał Głód, wiele informacji okazuje się leżeć na wierzchu. Siedział na sofie, w podkoszulku, bokserkach i wydeptanych kapciach, zgarbiony nad laptopem, którego poświata rozjaśniała mrok. I błogosławił programistów firmy Google. Wpisał w wyszukiwarkę słowa, które usłyszał od Baški: „Jarmuta” i „kopalnia”. Okazało się, że wszystko jest w Wikipedii.

We wschodnim zboczu wzniesienia położonego na południowy wschód od Szczawnicy, na wysokości Szlachtowej, złota miał szukać już w dwunastym wieku rycerz imieniem Wydźga. Wydobyciem kruszcu na poważnie zajął się w osiemnastym wieku książę Paweł Karol Sanguszko. Ściągnął niemieckiego fachowca od kopalń oraz saskich i węgierskich górników i hutników, miejscowych dopuszczając tylko do grzebania w ziemi. Ale przestrzelił. Srebra było tyle co kot napłakał. Po przedsięwzięciu została ponura czeluść – niedostępna, położona poza szlakami turystycznymi sztolnia.

Dogodna kryjówka dla pienińskich zbójców, pomyślał Głód, przeglądając na turystyczno-krajoznawczej stronie wzmianki o bani, czyli po staropolsku kopalni, w Jarmucie. Poszedł do kuchni po piwo.

I olśniło go, do kogo zadzwonić.

– No pewnie, że byłem – odparł rubaszny głos po drugiej stronie, gdy skończyli wymieniać uprzejmości. Maciej Mochnacz, przewodnik pieniński, a wcześniej szczawnicki policjant, którego Głód poznał, gdy ich komisariaty łączyło ówczesne województwo nowosądeckie. Gdy Mochnacz odszedł ze służby, jeździli czasem na grzyby na Obidzę, ale kontakt się im rozluźnił. Przewodnik zaczął mieć problemy ze stawami i złapał bardziej stacjonarną pracę – w Muzeum Pienińskim w Szlachtowej. U stóp Jarmuty.

– Czytałem, że wejście jest zakratowane, zgadza się? – zapytał podkomisarz.

– Tak, jest krata gruba jak na wybiegu dla słoni, żeby ludzie nie włązili i nie płoszyli nietoperzy. I żeby karków nie połamali, bo tam jest studnia pionowo w dół.

– Jak jest krata, to jest też kłódka, tak?

– Zamek – poprawił go przewodnik. – Janusz, a po co ci to?

– A kto ma klucz do tego zamka? – ciągnął Głód, nie tracąc czasu na odpowiedź.

– Jak to kto? – obruszył się Mochnacz. – My.

– Czyli gdyby ktoś chciał tam wejść, musi go od was pobrać, zgadza się? – Podkomisarz poczerwieniał z emocji.

– Zgadza się – odpowiedział przewodnik. – Biorą go czasem speleolodzy, ci od liczenia nietoperzy, sporadycznie nadleśnictwo.

– A można sprawdzić – zastanawiał się policjant – czy ten klucz wypożyczał

kiedyś jeden ksiądz? Nazywa się Karol Drzewicki.

– Ksiądz? – roześmiał się Mochnacz. – Janusz, ty trzeźwy jesteś? Tak, można to sprawdzić. Mamy książkę wypożyczeń tego klucza.

Głód podtrzymał telefon przy uchu ramieniem, próbując równocześnie wciągnąć spodnie. Popatrzył tęsknie na puszkę tyskiego, która została na kuchennym stole.

– Spotkajmy się u ciebie w muzeum. Teraz.

Zastanawiał się, czy jego pokój nadaje się, żeby wpuścić tam kobietę. Czy na rozgrzebanym łóżku nie leżą jego wczorajsze gacie i czy w łazience nie ma kłaków. Otworzył drzwi i śmignął zaścielić łóżko kocem. Zebrał z krzesła gazety. Sylwia zdjęła zakiet i powiesiła go na oparciu. Bastian ukradkiem śledził dekolt jej bluzki. Usiadła, zakładając nogę na nogę, i zrzuciła ze stopy but na szpilce.

Bastian nigdy nie widział takiej Romki. Nie widział w życiu zbyt wielu Romek, ale te, które zapamiętał, nie budziły w nim takich uczuć jak ta kobieta. Przy niej Anka, nie mówiąc o Jadzi Rajchert, wyglądała jak zmokła kura.

– Wreszcie możemy poczuć się swobodniej. – Rozpuściła włosy, które jak krucze pióra opadły jej na ramiona.

Nie odpowiedział, tylko usiadł na łóżku i oparł łokcie na kolanach.

– Wracając do Kamienia... – podjęła. – Jak dobrze znasz to miejsce? Bywasz tam? Znasz tych ludzi?

Co miał odpowiedzieć? Przyznać, że próbował, ale nie wyszło? Na wspomnienie porannej wizyty w koczowisku poczuł niesmak w ustach. Jak zwykle Anka przeceniła swoje możliwości, nadeła się, że potrafi zdziałać tą swoją antropologią nie wiadomo co. I znowu jest skazany na siebie. A ta kobieta mogłaby być dla niego przepustką do świata, do którego Anka nie jest w stanie go wprowadzić.

Pomyślał, że bardzo nie chce jej zawieść.

– Poniekąd – odparł wreszcie. – Byłem tam, nawet dziś rano. – Uchwycił uznanie w jej spojrzeniu. – Ale więcej dowiaduję się, że tak powiem, z białego wywiadu niż z obserwacji.

– A co wiesz?

A do czego ci to potrzebne? – Mimo wszystkich wrażeń, które atakowały jego zmysły, wciąż nie przestał zadawać sobie tego pytania.

– Czy to przesłuchanie? – Uśmiechnął się.

– Wybacz, że jestem taka bezpośrednia. – Znowu się do niego nachyliła. – Moja fundacja planuje zaangażować się w Kamieniu. Chcielibyśmy pomóc tym ludziom, ale musimy wiedzieć, że sytuacja tam jest czysta.

Zniżyła głos.

– To miejsce jest dzisiaj na ustach wszystkich. I nie chcielibyśmy, żeby w momencie, kiedy wszyscy na nas patrzą, okazało się, że pomagamy na przykład

kryminalistom. To byłaby wizerunkowa katastrofa. Nie wspominając już o tym, że pomoc trafiłaby nie tam, gdzie jest potrzebna.

– Nie możecie się zgłosić z zapytaniem do policji? – Ściągnął brwi.

Jakże cudownie się roześmiała.

– Po kilku tygodniach oczekiwania dostalibyśmy pismo, że nic nam nie powiedzą. – Westchnęła. – Przecież wiesz, jak to działa.

Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju, boso, przeczesując palcami włosy. Jej piersi poruszały się swobodnie pod bluzką, kiedy unosiła ramiona.

– Zróbmy tak. – Zatrzymała się i stanęła przed nim, blisko. Znowu poczuł te perfumy. Było w nich coś orientalnego, czego do końca nie umiał rozpoznać. – Wymiana. Uczciwa. Ty mi powiesz, co wiesz, a ja ci pomogę dotrzeć do tych ludzi. Popatrz na mnie. Co widzisz?

Rozłożyła ręce. Bastian nie był pewien, o co jej chodzi. Widział rozchyłony kołnierzyk, głębokie czarne oczy, biały jedwab bluzki zestawiony z oliwkową skórą, niewielki pieprzyk na szyi, tuż nad obojczykiem.

– Jestem Cyganką, prawda? – Znowu się roześmiała. – Romowie nie będą rozmawiać z nikim innym. To przecież oczywiste.

Celowo mówił długo, ze szczegółami, żeby móc przeciągnąć tę chwilę, czuć ciepło uda Sylwii, gdy siedzieli obok siebie na łóżku. Miał wrażenie, że ta kobieta trochę się nudzi, że ożywia się tylko czasami. Na koniec dokładnie omówił kościelne dokumenty, wyświetlając je na ekranie laptopa.

– A znasz nazwisko Paweł Wichura? – zapytała nagle.

– Wichura? – zdziwił się. – Coś mi to mówi...

Anka kiedyś wymieniła to nazwisko, ale nie mógł przypomnieć sobie kontekstu. Gadała o jakichś kobietach, dzieciach, klockach, nie słuchał jej dokładnie. Na pewno nie słyszał nazwiska Wichura w połączeniu z tym imieniem. W dodatku wydało mu się ono zbyt zwyczajne jak na Roma. Wasyl albo choćby Roman, w porządku. Ale Paweł?

– Przypomnij sobie. – Położyła mu dłoń na udzie.

– Nie, *sorry*... – Był zły na siebie, że nie pamięta. Sylwia zabrała rękę, miał wrażenie, że w jej oczach pojawił się błysk irytacji.

Zamknął plik z kościelnymi papierami i na ekranie pojawił się Twitter.

– Kto to? – zapytała, wskazując na postacie stojące przed chałupą z anteną satelitarną. Znowu się do niego przysunęła, poczuł, jak muska go ramieniem.

– A nie wiem, jacyś ludzie – mruknął i przełączył okno przeglądarki na Facebooka. Tam dodał całą galerię zdjęć. Skrzywił się, rzuciwszy okiem na komentarze.

Sylwia miała już wstać, pożegnać się, wyjść i zadzwonić do Łukasza, że Strzygoń to strzał kulą w płot, że nie na darmo uczono ich, by dziennikarzy traktować jako najmniej wiarygodne źródło informacji. Ale coś na ekranie przykuło

jej uwagę.

– O, a to co? – Sięgnęła do touchpada i przesunęła po nim palcem. Ich dłonie na chwilę spotkały się na klawiaturze.

Rozwinęła zminimalizowane okienko czatu. Pochyliła się nad laptopem, zawisając nad kolanami Bastiana.

– Jakie fajne robaczki. – Zaśmiała się. – Rozumiesz coś z tego?

– Nie, właściwie nie – przyznał.

– To skąd to u ciebie?

Zauważył, że pod pachami jej białej bluzki pojawiły się nagle plamy potu. Zamknął oczy i wciągnął powietrze. Do orientalnych przypraw dołączyła zwierzęca nuta, od której zakręciło mu się w głowie. Jego dłoń wylądowała na jej plecach. Zdawała się tego nie zauważać, przewijając wiadomość i wpatrując się w nią intensywnie.

Sylwia знаła tylko podstawy arabskiego, ale kilka słów zdołała rozpoznać. Bo przecież wystarczająco wiele razy je już widziała. Skupiła się, żeby zapamiętać jak najwięcej, czując, jak dłoń Bastiana błądzi po jej plecach, jak jego oddech muska jej kark, unosi jej włosy, jak jego palce odnajdują pod bluzką jej małą, jędrną pierś, zaczynają krążyć wokół sutka najpierw powoli, potem niecierpliwie. Czowała, jak gorące ma dłonie.

– Taki tam poboczny projekt – odparł i poprawił się, bo nagle na skraju łóżka zrobiło mu się bardzo niewygodnie. – Niewypał. A przetłumaczył mi to chłopak od kebabu.

– Panie redaktorze. – Wciąż wpatrywała się w monitor. – A etyka zawodowa?

– Pieprzyć etykę zawodową. – Ujął ją za podbródek, odwracając jej twarz ku sobie.

Zamknął usta Sylwii pocałunkiem, smakując jej język z nutą miętowej herbaty, po czym świat nagle zawirował. Bastian usłyszał trzask lecącego na podłogę laptopa, a sam wylądował z nosem wciśniętym w koc i z bólem w przedramieniu. Nie mógł się ruszyć. Czuł kolano wbijające mu się w kręgosłup.

– Panie redaktorze – wymruczała mu do ucha – czy wie pan, że słowa „etyka zawodowa” i „pieprzyć” nie powinny występować w bezpośrednim sąsiedztwie? Mogłoby to być źle odebrane.

– Przepraszam – jęknął, próbując się wyswobodzić.

Puściła go. Z trudem odwrócił się na plecy, patrząc, jak ona poprawia bluzkę, zapina ją pod szyję i wkłada żakiet. Upięła na powrót włosy w koński ogon.

– Dziękuję, bardzo mi pomogłeś – powiedziała, wsuwając stopy w buty.

– Zobaczymy się jeszcze? – Tyle zdążył z siebie wydusić. Miał ochotę błagać ją, by została.

– Nie wątpię – rzuciła Sylwia z uśmiechem i zamknęła za sobą drzwi.

Leżał wpatrzony w sufit, próbując wyrównać oddech, i zastanawiał się, co to, do cholery, było.

W pachnącym żywicą wnętrzu dwóch mężczyzn nachylało się nad zeszytem w kratkę, w którym muzealnicy odnotowywali, kto i po co pobierał klucz do kraty zamykającej otwór bani w Jarmucie.

Rubryka odkreślona niebieskim długopisem. Rok 2013. Trzy pobrania.

W styczniu Towarzystwo Przyjaciół Przyrody razem z klubem grotolazów krakowskiej AGH, w celu liczenia zimujących nietoperzy.

W marcu leśnicy, którzy porządkowali teren po zimie. W stosownym miejscu podpis i pieczęć.

Ostatnie pobranie było w lipcu. Ruch Światło-Życie. Adnotacja, że osoba, która pobrała klucz, ma uprawnienia przewodnika.

Głód wstrzymał oddech.

– Muszę zabrać ten zeszyt, Maciek – powiedział. – To jest dowód w sprawie.

Podpis brzmiał „Drzewicki”.



ROZDZIAŁ 12

Przez bród na Grajcarcu, rozbryzgując fontanny wody, przedzierał się konwój. Przodem dwa quady, za nimi dwa mitsubishi pajero w policyjnych barwach. Nie zwolniły, zjeżdżając ze stromego brzegu od strony szosy wiodącej ze Szczawnicy ku wąwozowi Homole. Za nimi w nurt wjechał czerwony nissan pickup grupy poszukiwawczo-ratowniczej straży pożarnej.

Niedawno świtało i nad Szlachtową, pachnącą świeżym chlebem, mokrą trawą i ciepłymi pierzynami, niosły się wycie syren i ryk silników. Dwóch mężczyzn, którzy zsiadli z rowerów, żeby wymienić pozdrowienia, gestykulowało, wskazując na auta. Wędkarz podniósł się z krzeselka i odprowadzał kawalkadę wzrokiem. A pojazdy, pokonawszy płyciznę, wspięły się na drugi brzeg, gdzie zaczynała się błotnista, rozjeżdżona droga.

U stóp Jarmuty.

– Jedzie twoja kawaleria. – Przewodnik Maciej Mochnacz wstał z pieńka i nasłuchiwał. Podkomisarz Głód się przeciągnął. Przyszli tu pieszo, o świcie. Droga wiodła przez stary kamieniołom, tyłami boiska i toru motocrossowego, by wkrótce zwęzić się i odbić podstępnie w gęstwinę, zmieniając się w niezauważalną dla niewprawnego oka ścieżkę. Brnąc przez mokre od rosy chaszczce i dysząc ciężko, Głód myślał o tym, że sam by tu nie trafił. I że trzeba coś zrobić z tym brzuchem. Mochnacz prowadził, idąc w poprzek zbocza i co jakiś czas przystając. Jego nozdrza drgały wtedy, jakby kierował się węchem. Policjant uśmiechnął się do tej myśli – to właśnie za sprawą nadwrażliwego węchu paru dzieciaków wpadł na ten trop.

Gdy Głodowi już się wydawało, że się zgubili, a buty miał doszczętnie oblepione gliną, znaleźli się na wiatrołomie. Mochnacz zanurkował w trawy, między powalone kłody, i ruszył w górę zbocza. Policjant podążył za nim. Wyżej spomiędzy drzew wyłoniła się biała, omszała skała, jakby wyzierająca spod ziemi. Porastały ją trawy i pnącza, przed nią rozpościerała się łąka zbutwiałych liści. Nisko, tuż nad ziemią, kryła się grota zamknięta kratą z grubych, pomalowanych na zielono rur.

Dziewczęce imiona wycięte w korze buków, kurczowo wpijających się korzeniami w glebę, wskazywały, że było to miejsce odwiedzane przez spragnioną dreszczyku emocji młodzież. Ale samej kraty – Głód był tego pewien – od dawna nikt nie otwierał. Od dołu wydawała się wrastać w ziemię i listowie.

Popracowali saperkami, aż poruszenie kraty stało się możliwe. Mochnacz

obrócił klucz w zamku i pociągnął. Wejście do dawnej bani w Jarmucie, gdzie ludzie księcia Sanguszki próbowali ongiś wydobywać srebro, stało się otworem.

Mochnacz poświecił w głąb.

– Tu jest trzydzieści metrów z hakiem korytarza – powiedział. – Potem idzie studnia, prawie pionowa, ze trzynaście metrów.

– A dalej? – Głód się nachmurzył. Wyobrażał sobie, że pierwszy wejdzie do kopalni. Otwór sztolni był jednak tak mały, że podkomisarz nie mógł się pozbyć wizji siebie zaklinowanego gdzieś pośrodku i wystawionego na pośmiewisko.

– A dalej korytarze, też będzie ze trzydzieści metrów. Częściowo pozalewane wodą. To nie jest obiekt atrakcyjny turystycznie. – Przewodnik się uśmiechnął.

Auta zatrzymały się u dołu zbocza, quady podjechały jeszcze kawałek, wioząc część sprzętu. Resztę funkcjonariusze wnieśli na plecach. Wiatrołom od strony grząskiej drogi został otoczony niebieską taśmą policyjną. Kręciło się za nią dwóch wyrostków, którzy przybiegli ze Szlachtowej. Dołączył do nich trzeci, który to rozmawiał przez komórkę, to robił nią zdjęcia.

Z pierwszej terenówki wyskoczył podeksycytowany Sławek Gaca.

– Potwierdziłem, ksiądz ma uprawnienia przewodnika! – wyrzucił z siebie na powitanie. – Odnowił je zaraz po przeniesieniu na parafię w Zabrzeży.

Głód mruknął z zadowoleniem i przywitał się z dowódcą strażaków. Dwóch chłopaków w czerwonych strojach z napisem „Ratownik” na plecach dopinało już uprząże i poprawiało latarki czołówki na kaskach. Trzeci sprawdzał, czy krata nadaje się do zakotwiczenia linki alpinistycznej. Dowódca uruchamiał tablet, na który podawały obraz w podczerwieni kamery zamontowane na kaskach ratowników. Policjanci i technicy kryminalistyki otoczyli wejście do sztolni. Głód popatrzył w oczy młodemu ratownikowi strażackiemu. Skinął mu głową.

Zaczęło się.

Ratownik szedł na czworakach, omiatając ściany korytarza światłem czołówki. Dźwięki z zewnątrz zmieniały się stopniowo w bezładne echo, aż wreszcie ustąpiły miejsca głuchoj ciszy. Strażakowi przeszło przez myśl, że kiedyś w tej klaustrofobicznej jamie pracowali górnicy. Straceńcy.

Drugi strażak podążał za nim. Pod dłońmi i kolanami przestały szeleścić nawiane do wnętrza liście. Dno korytarza było wilgotne i śliskie.

– Dwudziesty metr korytarza, czysto. Nic podejrzanego – meldowali przez radio. Na górze podkomisarz Głód, aspirant Gaca i dowódca strażaków wpatrywali się w ekran. Przez ramię zaglądał im Maciej Mochnacz.

Korytarz urywał się studnią bez ostrzeżenia. Ratownik, zanim zdążył poświecić, trafił dłonią w próżnię. Zaklął, ale głos miał opanowany. Asekurowany przez drugiego strażaka, opuścił się w trzewia Jarmuty.

Dźwięki grzęzły w mokrym studziennym echu. Ściany o załomach

obrobionych przez trzy wieki erozji pokrywała śluzowata wilgoć. W dole był tylko mrok.

– Mam grunt – zgłosił strażak, gdy poczuł oparcie pod stopami. Zmarszczył nos. – Trochę tu wali.

– Jak? – usłyszał przez radio.

– Jak syry starego dzioda – parsknął. Na górze zawtórował mu śmiech. Nerwowy.

Rozejrzał się. Był w ciasnej kawernie, od której odchodził tonący w ciemności, jeszcze ciaśniejszy korytarz. Zrobił krok w tamtą stronę.

Cofnął się gwałtownie, syknął i chwycił się liny asekuracyjnej. Woda. Jego noga zanurzyła się do pół łydki. Wilgoć wdarła mu się do buta.

– Dno korytarza jest zatopione – zgłosił.

Na górze ekipa wpatrywała się w ledwie widoczne, rozbielone kontury.

– Gówno widać – mruknął podkomisarz.

– Jak korytarz jest zalany, to robi się problem – stwierdził dowódca strażaków.

– Czekajcie – powiedział nagle Maciej Mochnacz. – Czy on mógłby pokazać jeszcze raz tam bardziej na lewo?

– Daj na dziewiątą – polecił dowódca przez radio.

Na dole ratownik zwrócił głowę w lewo, ponad miejsce, gdzie wcześniej trafił nogą w wodę.

– Rumowisko. – Przewodnik wpatrywał się w obraz. – Świeże, zobaczcie. Kontury kamieni nie są takie gładkie jak obok.

– Jest luka. – Spokojny głos strażaka z dołu zupełnie nie pasował do atmosfery na górze.

Ratownik rozłożył składaną sondę i zaczął nią badać szczelinę. Od dołu niktęła w czerni wody. W głąb, we wnękę po części zawaloną głazami, na które zwrócił uwagę przewodnik, sięgała może metr.

Strażak przesunął teraz sondą po dnie. Zatrzymał się.

– Kurde – zabrzmiał w radiu metaliczny głos.

To, co czuł pod prętem, nie było skałą. Szturchnął mocniej.

Głód patrzył w ekran tabletu, próbując w zaszumionym, przejaśnionym obrazie dostrzec jakikolwiek sens.

– Jezus Maria! – rozległ się głos z radia, obraz nagle zadrżał, rozmył się, zawirował. – Jezu!

Siedział na łóżku, w piżamie z Diabłem Tasmańskim, i nawet jeszcze nie umył zębów. Obudził się nad ranem i leżał, aż doszedł do wniosku, że już wypada zadzwonić.

Zdziwił się, gdy odebrała. On o takiej porze wyrzuciłby komórkę przez okno.

– Chciałem cię przeprosić za wczoraj – wydukał do telefonu. – Posunąłem się za daleko.

– Okej – odpowiedziała z wahaniem, żeby dać mu do zrozumienia, że jeszcze się boczy.

Ona też dużo za długo przeciągnęła tę grę. Sama nie wiedziała dlaczego – zapewne dlatego, że to nie było nieprzyjemne.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytała oficjalnie.

– Mówiłaś, że możesz mnie wprowadzić do Kamienia.

Zastanawiał się, czy nie jest bezczelny. Prosi o przysługę kobietę, której przy pierwszym spotkaniu wsadził ręce pod bluzkę. I dostał za to kolanem w krzyż, więc chyba jej się nie podobało.

– Ja powiedziałem ci, co wiem. Zakładam, że mówiłaś poważnie – dodał, rzucając wszystko na jedną kartę. – To co, może dzisiaj?

Roześmiała się w duchu. Nachalny, przemądrzały typ. Zaczynała go lubić.

Sięgnęła po kubek z kawą.

– Chętnie, ale nie dzisiaj. Jestem zajęta. – Rzuciła okiem na swoje notatki. Za drzwiami łazienki szumiała woda. Na podwórku wyżywał się kogut.

– To może chociaż wywiad? – Nie dawał za wygraną. – O sytuacji Romów w Polsce.

Zanim zadzwonił, przekopał internet w poszukiwaniu Fundacji Pro Roma. Nie znalazł nic. Była tylko strona internetowa – pod zdjęciem przedstawiającym roześmiane romskie dzieci widniał komunikat, że strona jest w budowie. Fotografię, co łatwo sprawdził w wyszukiwarce grafiki Google, skopiowano z nagłówka jakiegoś rumuńskiego stowarzyszenia Romów. Sprawdził KRS. Fundacja Pro Roma miała numery KRS, NIP i REGON. Jako reprezentacja figurowali tam prezes Marek Kowalik i członek zarządu Sylwia Nowak. Siedziba fundacji na Google Street View okazała się kamienicą przy Traugutta w Krakowie, gdzie nie widniał żaden szyld. Żadnych raportów rocznych, żadnych wpisów w „Monitorze Sądowym”. Kiepsko jak na fundację, która – jeśli wierzyć podanej w KRS-ie dacie – została założona pięć lat temu.

A sama Sylwia Nowak? Normalny człowiek zostawia w sieci okruszki, których nie da się posprzątać. Profile na portalach społecznościowych, zdjęcia ze zjazdów absolwentów, z imprez, konferencji, na których – nawet jeśli ktoś jest dyskretny – jakiś życzliwy znajomy zawsze go oznaczy. W przypadku działaczy czy naukowców zostają artykuły w fachowej prasie, cytowania, wypowiedzi.

A tu – nic. Jakby Sylwia Nowak w ogóle nie istniała.

Przemknęło mu przez myśl, że jeśli teraz zakończy rozmowę, to Sylwia Nowak rozplynie się i zniknie, a on nigdy się nie dowie, czego od niego chciała. I nigdy więcej jej nie zobaczy.

– Wywiad też chętnie, ale naprawdę muszę już kończyć. – Drzwi skrzypnęły,

z łazienki wyszedł Marek w spodniach od dresu i wyciągniętym podkoszulku.

– To ja jeszcze zadzwonię, dobrze? – Bastian starał się, by nie zabrzmiało to błagalnie.

– Okej – zaśmiała się i odłożyła telefon.

– Kto to był? – zapytał Marek, otworzył lodówkę i natychmiast ją zamknął.

– Nikt. Osobowe Źródło Informacji. W dodatku mało wiarygodne. W skali oceny wiarygodności – D.

Marek usiadł na kanapie. Czujnie popatrzyła w jego podkrążone oczy. Skrzywiła się, poczuwszy z jego ust woń przetrawionego alkoholu. Nie był pijany. Ale miał kaca jak stąd do Warszawy.

– To jaki plan na dzisiaj? – Silił się na beztroski ton. Wziął jej notatnik, starając się ukryć drżenie rąk. – Zaczniemy od Straży Granicznej? Potem trzeba przeprowadzić rozpoznanie u naszego delikwenta. I niech Łukasz nam podeśle...

– Marek – delikatnie weszła mu w słowo. – Ja już to wszystko zrobiłam.

Przez chwilę nic nie mówił. Zacierał dłonie, nie patrząc jej w oczy.

– Potrzebujesz mnie do czegoś? – zapytał, wstając z kanapy. Ruszył do wyjścia.

– Marek... – zaczęła.

– Bo jak nie, to idę po zakupy – przerwał jej.

Trzasnął drzwiami. Wiedziała, po co poszedł.

– Młody, melduj się – warknął do radia dowódca strażaków.

– Jestem, szefie. Widzicie to? – zabrzmiał metaliczny głos.

Sławek Gaca zagryzł piść. Maciej Mochnacz cofnął się i oparł o drzewo. Głód wstrzymał oddech. Myślał tylko o jednym. O Basi.

Widzieli to. Bardzo wyraźnie. Obraz na ekranie się ustabilizował. Pokazywał tafłę wody na dnie kawerny, czarną jak tło flamandzkiego obrazu. Na samym środku, w szczelinie przy rumowisku, widniała przeraźliwie wyraźna, kontrastowo jasna, do połowy wynurzona z wody drobna twarz. Czy raczej zaskorupała, białoszara, upiorna karykatura twarzy trzyletniego może dziecka.

Jak zmora.

– Cześć, Anka – rzucił Bastian. – Mówi ci coś nazwisko Paweł Wichura?

– To mąż Dominiki – mruknęła. Słyszał, że idzie gdzieś, stukając obcasami.

– Mówiłam ci, siostry Reginy.

Teraz mu się przypomniało. Ucieszył się, że nie umknęło mu nic ważnego. Tłumaczyła mu rodzinne koligacje w Kamieniu, jakby to był brazylijski serial, rozwodząc się szczególnie nad dziećmi. Że Daria uwielbia słodycze, Piotruś jest alergikiem, a Ricky zvariował na punkcie motoru Gerarda.

– Możesz załatwić, żeby ze mną porozmawiał? – zapytał.

– Po twoim wczorajszym występie to może być trudne... – Zawahała się. – To ten facet z kitką, który o mało nie dał ci w zęby.

Bastian zaklął. Wczorajszy dzień był bez sensu. Od początku do końca.

– Spróbujesz się czegoś o nim dowiedzieć?

– A co?

– Nic. – Uśmiechnął się. – Ktoś się nim interesuje i jestem ciekawy dlaczego.

Podkomisarz Głód stał z boku i palił. Nie chińskie kadzidełko na USB, tylko pospolitego szluga, którym poczęstował go dowódca strażaków. Zaciągał się tak intensywnie, jakby papieros był jedną z tych mitycznych masek tlenowych w samolocie, które mają wszystkim wypaść znad głów, gdy w kabinie nastąpi spadek ciśnienia. Wsysał dym, bo ten dym otępniał.

Znad tabletu wyparli go technicy kryminalistyki, rozmawiający przez radio ze strażakami w kawernie. Drugi strażak też zszedł na dół, dla asekuracji dołączył trzeci. Z góry płynęły wskazówki i polecenia.

Drugi krąg wokół zejścia do pienińskich piekieł utworzyli policjanci. Ci, którzy nie mieli żadnego konkretnego zadania, palili albo robili zdjęcia komórkami, byle tylko zająć czymś ręce. Rozmawiali półgłosem albo milczeli, wiedząc swoje.

Trzeci krąg zaczynał się za niebieską policyjną taśmą, wzdłuż błotnistej drogi – podekscytowane akcją nastolatki i zaniepokojeni o przyszłość swojej oazy spokoju seniorzy. Wezwani pocztą pantoflową, informacją na serwisie społecznościowym bądź wieścią gminną, wyciągali szyje, starając się nie uronić ani jednej sceny w górskim amfiteatrze na zboczu Jarmuty.

Zastygli, widząc poruszenie u wylotu sztolni. Ci z dołu nic nie dostrzegli przez gęstwinę młodych iglaków i traw. Ci wyżej zobaczyli najpierw płaski pomarańczowy kształt wysuwający się z czeluści Jarmuty niczym język – ratownicze nosze, które podjęli strażacy czekający u wylotu.

Gdy szli z nimi po stromym zboczu na wiatrołom, tam gdzie czekał parawan i sprzęt techników kryminalistyki, wszystko było widać również z dołu.

Nikt nic nie powiedział. Nie było trzeba.

Przypasana do noszy drobna figurka wielkości trzyletniego dziecka. Napuchnięta, obrzękła i zdeformowana, skurczona w embrionalnej pozie, miejscami jakby oblepiona zbrylonym gipsem, to znów niczym zanurzona w żywicy albo pokryta laką.

Ratownik strażacki, technik kryminalistyki, sierżant z obstawy i dziewczyna zza policyjnej taśmy robiąca zdjęcia smartfonem zapamiętali ten widok na długo. Widok martwego, udreżonego śmiercią trzylatka o woskowobiałej skórze, wyrwanego z trzewi Jarmuty.

Wieczorem Bastian wygrzebał się z łóżka, bo skończyły mu się red bulle. Powłókł się do sklepu i snuł się między półkami, napęniając koszyk słodyczami, a w jego mózgu cały czas zachodził równoległy proces.

Dzisiaj postanowił się skupić, wyłączył Facebooka, newsy i radio, bazgrał w notatniku i przeszukiwał internet. Na temat Pawła Wichury nie znalazł nic. Nie dziwiło go to, nie spodziewał się, że Rom z Kamienia będzie miał konto na LinkedInie. Próbował szukać Krzysia – chłopca z Tarnowa, który podobno miał być ofiarą księdza Drzewickiego. Sprawdzał fundacje i stowarzyszenia pomagające dzieciom z porażeniem mózgowym w Tarnowie. Ale dysponował tylko imieniem, więc również poniósł porażkę.

Przy kasie zaczął wypakowywać produkty na taśmę. Kasjerka nie zwracała na niego uwagi, zasłuchana w radio.

– I jeszcze l&m-y lighty – mruknął.

– Cicho – syknęła kobieta i machnęła na niego ręką.

Aż otworzył usta. Co to za ostatni bastion *homo sovieticus*? – pomyślał.

– Zna pani taki termin jak *customer service*? – zapytał na cały głos. – To po angielsku, ale może pani menadżer albo po polsku kierownik zna?

– Nie słyszy pan, co mówią w radiu? – Kasjerka popatrzyła na niego nieprzytomnie.

...Policja odmawia jakichkolwiek komentarzy na temat ewentualnych powiązań dzisiejszego znaleziska z głośną sprawą zamordowanego dziecka z osady romskiej, niemniej pytanie to na Sądecczyźnie nie milknie.

„Co pani o tym sądzi?” – pytamy panią Jadwigę ze Szczawnicy, mieszkającą nieopodal miejsca, gdzie dzisiaj odkryto zwłoki kolejnego dziecka.

„To straszne, jestem w szoku! Uważam, że należy natychmiast coś zrobić z...”

„Dziękujemy. O rozwoju sprawy będziemy informować państwa na bieżąco...”

Bastian wybiegł ze sklepu, nie czekając, aż kasjerka wyda mu resztę. Wyszarpnął z kieszeni telefon i wyłączył tryb samolotowy. Zasypały go powiadomienia. Ktoś wrzucił na Twittera zdjęcie zbocza porośniętego niewysokimi choinkami, po którym uwijali się policjanci. Na środku tej sceny kilka osób niosło coś pomarańczowego, na czym leżało coś białego.

Kolejne MARTWE dziecko u nas dziś znaleźli!!! @strzygon #KamienObrazy – pisał jakiś użytkownik.

Bastian klął. Akurat dzisiaj, kiedy postanowił wyciszyć cyfrowy szum, przegapił najważniejsze.

– Znowu będzie na Cyganów. Jeszcze nam księdza zabiorą i tu kamień na kamieniu nie zostanie. – Dominika zaciągnęła się głęboko.

Anka poprawiła kurtkę na ramionach i objęła palcami poobijany kubek. U Wichurów panował ziąb, mrugała źle osadzona żarówka.

Kiedy tylko Anka dowiedziała się, co się wydarzyło, wsiadła w pierwszy autobus do Sącza. W komendzie nie zastała nikogo znajomego, Głód nie odbierał

telefonu, ksiądz Drzewicki też nie, więc pojechała do Kamienia.

Kiedy wysiadła przy kładce na Dunajcu, kierowca ruszył ostro, żeby umknąć przed spieszącą w stronę busa Romką z dwojgiem dzieci, choć kobieta machała energicznie.

– *Tu buledimen kareja!* – wygrażała za nim, a wtórował jej śmiech dzieci.

Anka ruszyła przez kładkę. Po drugiej stronie dopadli ją Daria i Ricky. Poniżej mostku, nad wodą, siedziała Regina, obok stała miska z praniem. Dziewczyna wpatrywała się w nurt. Nie odpowiedziała na pozdrowienie, więc Anka zeszła do niej nad brzeg.

Tam usłyszała, że Regina śpiewa. Cichy, nostalgiczny głos był ledwie słyszalny przez szum rzeki.

Bar barestar pani ćulał

Mre jilestar o rat ćulał

Kana ćulał ta me ćulał

Mre dadeskie hiros – Te dżał.

– O czym śpiewałaś? – zapytała cicho, gdy dziewczyna skończyła.

Regina odwróciła się do niej i zmarszczyła brwi, jakby dopiero teraz zorientowała się, że Anka tam jest.

– O wodzie, co płynie z kamienia na kamień. I o krwi, co spływa z serca. I o ojcu, co nie żałuje dziewczyny, która musi odejść.

Ance stanęły w oczach studenckie wyobrażenia o tym, jak to kiedyś będzie zbierała zapisy etnograficzne. Żałowała, że nie ma notesu.

– Często śpiewacie? – zapytała.

Regina machnęła ręką.

– Eee, co ty. – Uśmiechnęła się blado. – Kto ma dziś głowę do śpiewania. *Oda sas tajsa.* W innych czasach Cyganie pamiętali pieśni i opowieści, i baśnie o Królu Słońca, Królu Chmur i Królu Mgieł, co sprawiali, że wszystko się dzieje. Teraz – znów zawiesiła wzrok na toni – jest tylko Król Pieniędzy. I ten jest najgorszy.

Potem, jakby obudzona, spojrzała na miskę z praniem i na Ankę.

– Idź, idź do Dominiki – powiedziała. – Jest w domu. Ja przyjdę, jak skończę.

W drzwiach Anka minęła się z Pawłem. Rzucił jej czujne spojrzenie. Wychodził w towarzystwie ubranego w błyszczącą, odprasowaną koszulę Roma z dwoma medalikami na łańcuszkach oraz ze starannie ufryzowanymi włosami.

– *S ojoj kadej kierol?* – zwrócił się do Pawła.

– *Niko, niko* – odparł mąż Dominiki. – *Kada ej nauczycielka. Na dzianoł, ko tu sał.*

Rom bez słowa otaksował ją wzrokiem, a Anka przyłapała się na tym, że zaskoczył ją w jego uśmiechu brak złotych zębów. Nigdy nie widziała tego

mężczyzny w Kamieniu. W Kamieniu nie było takich ludzi.

– Dominika, co się tu dzieje? – zapytała wreszcie Anka.

– A skąd mam wiedzieć? – Romka wzruszyła ramionami. – Wiem tyle, co ty. Może mam to w gwiazdach wyczytać, jak Święta Mateczka ze Starego Sącza?

Przy stole zapadła cisza. Tykał zegar, za nieszczelnym oknem szumiał wiatr.

– Słuchaj, a twój mąż... właściwie dlaczego on mnie nie lubi? – zaczęła powoli Anka.

Gdy przyjeżdżali, Paweł ostentacyjnie wychodził albo robił swoje, nie odzywając się ani do niej, ani do Gerarda.

– On nie ma nic do ciebie. On nie lubi *gadziów* – stwierdziła Dominika. – A ten *gadzio*, co ostatnio z tobą był, wyjątkowo go wkurwił.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Dominika sięgnęła po kolejnego papierosa. – Ty nie mówisz za wszystkich *gadziów*. Tak jak ja za wszystkich Cyganów.

– Opowiedz mi o nim. – Na kolana Anki zaczęła się wdrapywać Daria. – Co robi, jakim jest człowiekiem. Jesteście szczęśliwi?

– Ja i Paweł? – Dominika się zamyśliła. – On jest porządny człowiek. Nie pije, chyba że na weselach. Nie bije. Pracuje. U *gadziów*, pewnie dlatego ich nie lubi.

Daria zastygła, żując ciasteczko. Dziewczynka była ciepła, miękka i ładnie pachniała. Anka otoczyła ją ramieniem i przytrzymała za brzusek, żeby mała nie zsunęła się z jej kolan.

– Nie powinien się raczej z tego cieszyć?

– *Gadzie* łaskę mu robią, że z głodu nie umrze, tak? – Dominika podniosła głos. – Paweł ciężko pracuje – mówiła szybko, z zaciśniętym gardłem, niemal na jednym tonie – a właśnie szef dał mu wolne, żeby się u niego Cygan nie rzucił w oczy, bo ludzie źle gadają o Kamieniu. Dlatego Paweł taki zły.

– Co to za praca? – zapytała ostrożnie Anka.

– A, w tartaku jeździ wózkiem, nosi drewno, czasem wozi autem. Jego siostra to żona jednego ważnego Cygana i mu załatwiła. A Paweł ma kurs obsługi wózka widłowego, z pogramu z Unii. Szkoda, że mi też nie załatwiła, bo ja tyle umiem. – Dominika uśmiechnęła się, dumna z siebie. – Byłam na wszystkich pogramach z Unii, jakie u nas robili. Na krawcową, na kucharkę, z szukania pracy. Umiem napisać piękne CV. Tylko żaden *gadzio* nie chce go przeczytać. Nie wierzysz? Pokażę ci.

Daria zjadła ciasteczko i wytrzepała okruszki na spódnicę Anki. Odwróciła się do niej i zaczęła wstawać, chwytając się za jej ramiona. Anka nie czuła dyskomfortu, chociaż drobne stópki wbijały jej się w uda, a rączki szarpały za włosy. Przytrzymała dziewczynkę, żeby się nie wywróciła.

– Nie trzeba – powiedziała, widząc, że Dominika już wstaje od stołu.

– No właśnie. Nikt nie chce oglądać tych moich dyplomów. Jak jest ogłoszenie, że jest praca, to dzwonię i mówią: „tak, proszę przyjść”, a jak przychodzę, to od progu mówią, że już nieaktualne, papierów nie chcą widzieć.

Daria znowu zainteresowała się wisiorkiem Anki, złapała go i zaczęła ciągnąć.

– Muszelka. – Uśmiechnęła się, obracając go w paluszkach.

– Tak, taka bardzo specjalna muszelka. – Anka pozwoliła jej się bawić wisiorkiem, niewielką muszlą z czerwonym i białym paciorkiem zawieszonymi na srebrnym łańcuszku.

– A czemu specjalna? – zainteresowała się dziewczynka.

– Gerard znalazł to na plaży na Kubie – odparła Anka. – To kawałek naszyjnika noszonego przez wyznawców kultu Santería.

– A co to takiego? – zapytała Dominika.

– Synkretyczna religia. – Anka powstrzymała się, żeby nie wpaść w wykładowy ton. – Połączenie katolicyzmu i afrykańskiej religii plemienia Joruba. Powstała na Karaibach, w czasach handlu niewolnikami. Biali uważali, że Afrykanie nie mają żadnej kultury, historii, żadnego dziedzictwa, że są jak dzieci i należy ich ochrzcić i wszystkiego nauczyć, żeby byli tacy jak my. A potem okazało się, że czarni gorliwie oddają cześć katolickim świętym, ale czczą pod ich postaciami swoich dawnych bogów... Chociaż to niewłaściwy termin, żeby oddać *orisha*. – Znowu musiała ugryźć się w język, ale z przyjemnością obserwowała, jak Romka słucha jej uważnie. – Dla czarnych nie było w tym żadnej sprzeczności. Mówili, że biali mają swoją drogę, *camino del blancos*, czyli katolicyzm, z obrazami, procesjami i dymem kadzidła. A oni mają Santería, *camino del negros*, drogę czarnych, z amuletami, tańcem i transowym pulsem bębnów. A tak naprawdę chodzi o wiarę w te same *orisha*, które inaczej się objawiają i którym oddajemy cześć po swojemu.

– A ty w co wierzysz? – rzuciła Dominika. – Że wszyscy jesteśmy tacy sami, tylko różni nas droga do jednego celu?

– Nie wiem – westchnęła Anka. – Jedyne, co mogę powiedzieć, to że wszyscy potrzebujemy jakiejś drogi i jakiegoś celu, żeby nie błąkać się po pustkowiu.

Dominika się zamyśliła, a Daria znowu straciła zainteresowanie naszyjnikiem, rzucając się po ciasteczko.

– A czemu ta muszelka jest taka ważna? – zapytała nagle Romka.

– Te muszle służą do wróżenia – wyjaśniła Anka. – Przez nie przemawiają *orisha*.

– Jak to działa?

Dominika wpatrywała się w nią błyszczącymi oczami, tak zafascynowana, jak nigdy nie byli studenci.

– Zadajesz pytanie i rzucasz muszelkami. Z ich układu można wyczytać odpowiedź. A jak działa słynne cygańskie wróżenie? – wypaliła Anka i zaczęła się zastanawiać, czy nie przeholowała. Pojechała stereotypem, aż jej samej zrobiło się głupio.

Dominika się roześmiała.

– To ściema. Nikt tego nie robił na poważnie. Ciotka mi opowiadała, że wystarczyło się przypatrzeć człowiekowi i się widziało, co on chce usłyszeć.

– Na przykład?

Dominika rozsiadła się na krześle i odchyliła głowę do tyłu. Zaciągnęła się głęboko papierosem i wypuściła nosem dym. Po czym wyprostowała się i wbiła spojrzenie w Ankę.

– Podaj mi rękę – powiedziała zmienionym głosem.

Anka z wahaniem podała jej dłoń, poprawiając sobie Darię na kolanach. Dominika ściągnęła brwi.

– Masz wroga. Uważaj na niego, on knuje przeciwko tobie. Twój ojciec jest wielkim uczonym. Zobaczysz, kiedyś mu dorównasz. Twoja matka jest od niego młodsza. Twój mężczyzna... On nie da ci tego, czego teraz pragniesz. Ale jeśli mu pozwolisz, da ci to, czego pragniesz najbardziej. Teraz... teraz jesteś w niebezpieczeństwie. Uważaj.

Anka nie chciała się do tego przyznać sama przed sobą, ale się zestresowała.

– A dzieci? – Zaśmiała się, żeby rozładować atmosferę. – Ile będę miała dzieci?

– Nie, tego nie widzę. – Dominika pokręciła głową. – Nie widzę żadnych dzieci.

W ciszy, która zapadła, Anka cofnęła rękę. Pogłaskała bezwiednie Darię po czarnych włosach.

Dominika wybuchnęła śmiechem.

– Ale masz minę! – Klepnęła się w uda. – Teraz pożyjemy i zobaczymy, czy się sprawdzi. Wróżyłam pierwszy raz w życiu.



ROZDZIAŁ 13

Podkomisarz Janusz Głód pożyczył tablet od córki. Przyrzekł, że nie będzie grzebał w jej kontaktach, profilach ani czatach. Na ekranie wyświetlił fotografię twarzy dziecka ze sztolni i położył urządzenie na środku stołu. Wokół porozkładał zdjęcia, które dostał od Baranów z Tylmanowej: kilkanaście fotografii trzylatka o blond włosach ściętych na jeża i pociągłej, poważnej twarzy.

Wiedział, jak śmierć potrafi zmienić ludzkie ciało, uczynić rysy twarzy nierozpoznawalnymi – zwłaszcza w warunkach, w jakich przeleżały odnalezione szczątki.

Proces ten nazywał się przemianą tłuszczowo-woskową i dochodziło do niego wówczas, gdy zwłoki znajdowały się w wilgotnym miejscu ze słabym dostępem powietrza. Wtedy, jak zapamiętał Głód słowa technika kryminalistyki, tłuszcz zmienia się w mieszaninę wosków i mydeł. Zwłoki nie rozkładają się całkowicie, tylko pokrywają woskową skorupą. I potwornie śmierdzą. Czasem zachowują się za to całkiem nieźle ślady obrażeń i narządy wewnętrzne.

Na dnie szybu z wilgotnym, częściowo podtopionym podłożem i słabą wentylacją, pogorszoną jeszcze przez osunięcie się skał, taki proces miał prawo zajść.

Technik nazwał to również zmianą utrwalającą. Podkomisarz nie mógł zrozumieć, jak to, na co patrzył, można nazywać utrwaleniem.

Przyglądał się opuchniętym, nabrzmiałym rysom twarzy, ziejącym w niej jamom, pokrywającej ją zbrylonej, ziarnistej substancji. Szukał śladów podobieństwa do chuderlawego chłopczyka o blond czuprynie, który z powagą wpatrywał się w niego ze zdjęć.

Kacper Baran zaginał trzy lata temu. Dość dawno, żeby ciało znalazło się w takim stanie. Ale, jak mówił przez telefon krakowski medyk sądowy, bywa z tym różnie. Czasem proces zajmuje około roku, czasem wystarczy kilka tygodni. Malec był chudy jak szczapa. A do takiej przemiany potrzeba choć trochę tkanki tłuszczowej. Tu także nie było jednak reguł. Kacper miał pociągłą twarz, a ta z pośmiertnego zdjęcia była okrąglejsza – tak mogły zadziałać procesy gnilne. Chłopiec ze sztolni wydawał się też zbyt drobny. Ale ciało mogło się skurczyć... Jak śmierć potrafi wszystko skomplikować, pomyślał Głód.

Przecież to musi być ten dzieciak. Wszystko się zgadzało. Dziecko zniknęło, dziecko się znalazło, i to w miejscu, które powiązał z podejrzanym. Kto by to mógł być, jeśli nie Kacper Baran?

To musi być ten dzieciak, wciąż myślał rano, gdy relacjonował w komendzie plan działań prokuratorowi i zespołowi. Przed budynkiem stał już wóz transmisyjny TVN-u, kręcili się ludzie z mikrofonami stacji radiowych.

– Trzeba wziąć od Baranów wymazówki do badań DNA i wysłać do Krakowa. Ty, Iza – zwrócił się do aspirantki – do nich pojedziesz, okej? Przyda się tam psycholog. Dopilnujesz, żeby...

Podniosła na niego wzrok.

– ...żeby się za bardzo nie nakręcili, że to ich dzieciak – dokończył cicho.

– Myślisz, że to nie on?

– Nie wiem. Niby kto, jak nie on? Trzeba sprawdzić DNA i tyle – uciał.

Prokurator ziewnął. Miał podkrążone oczy i był nieogolony.

– Może zrobić okazanie? – zapytał.

Spojrzeli na niego wszyscy troje.

– Pan chce im to pokazać? – Iza dziabnęła palcem leżącą na stole fotografię.

– Żeby się załamali?

Głód odchrząknął.

– Dobra, zlecam pobranie wymazów – mruknął prokurator.

– A jeśli to jest ten mały Cygan? Ten Golec? – wyrwał się aspirant Gaca. I skulił się, czując ciężar wzroku podkomisarza.

– Kacper Baran ma nad nim zasadniczą przewagę – wycedził Głód. – Wiemy, że istniał. I teraz najważniejsza sprawa na dziś, panie prokuratorze – zwrócił się do zapuchniętego urzędnika. – Mamy zwłoki dziecka za kratą, mamy dowód, kto miał klucz do kraty, i papiery na to, że ten ktoś lubi dzieci. Ja bym go realizował.

– Zatrzymajcie w celu przesłuchania jako podejrzanego. – Prokurator kiwnął głową. – A ja piszę do sądu o tymczasowe aresztowanie.

– Strzygoń! – Facet z przetłuszczonymi włosami, niedbałym zarostem i w brudnej dżinsowej kurtce podszedł do Bastiana i wyciągnął dłoń. Wyglądał tak źle, jak tylko dziennikarze radiowi potrafią wyglądać. – Ciebie tu przysłali, a nie tę wojującą lesbę? Ona by tak pogoniła te tutejsze miśki, że pogubiłyby kredki z tornistrów na sam jej widok.

– Jadzia nie rusza się na odległość pięciu kilometrów od placu Zbawiciela, bo tylko tam parzą dla niej specjalną jadowitą latte, bez której traci swoje supermoce. – Bastian uśmiechnął się krzywo.

Facet poczęstował go papierosem. Zapalili, obserwując gmach komendy miejskiej w Nowym Sączu i ruchliwy tłumek dziennikarzy.

– Mogliby coś powiedzieć – mruknął tamten. – Spiesz mi się. Od tej prowincji dostają wysypki. Wiesz, o co tu chodzi? Bo niby o Cyganów, ale ludzie gadają, że jest jeszcze ksiądz-pedofil.

– Kto gada? – zainteresował się Bastian.

– Mirek z TVN-u rozmawiał z jakąś babką, że policja obstawia wątek pedofilski. Daniel z „Rzepy” twierdzi, że w Łącku huczy od plotek, jakoby księżulo, co kręci z Cyganami, miał coś na sumieniu. Daniel dotarł do miejscowych, którzy się zarzekają, że widzieli, jak gliny robiły księdzu kipsz w aucie. Żadnych konkretów, tylko wiejskie pieprzenie, ale to kwestia czasu, jak ktoś się do czegoś dogrzebie. Ja tam nie będę się ścigał na newsy, mam tylko nagrać setkę, jak coś powiedzą, i spadam na chatę.

Bastian odszedł na bok. Dopalając papierosa, zauważył, jak dwa cywilne samochody wyjeżdżają na pełnym gazie zza szlabanu za komendą. Poczł, jak kurczy mu się żołądek, gdy zobaczył, że ekipa Polsat News dyskretnie wsiada do wozu i rusza w ślad za nimi, tak aby pozostali dziennikarze się nie zorientowali. Zaczyna się. A więc to jest ostatnia chwila, w której on, Bastian Strzygoń, mógłby być pierwszy.

Miał w rękawie asa. Kościelne papiery. Mógł odpalić tę petardę, bo za kilkanaście minut będą ją mieli wszyscy. Tylko że wciąż nie udało mu się potwierdzić niczego w jakimś innym źródle ani uzyskać komentarza od kogoś bezpośrednio powiązanego ze sprawą, z samym księdzem Drzewickim na czele.

Dawniej pewnie by się nie wahał: wytweetowałby w kosmos każdy akapit mięcha, które miał na mailu, obserwując, jak koledzy zbierają szczęki z kostki brukowej. Pewnie nawet sam podkręcałby atmosferę.

Przekalkulował ryzyko. Oceniał swoje szanse. Popatrzył na kolorowe logotypy na mikrofonowych kostkach, na stojących na baczność reporterów telewizji, rozgrzewających żuchwy przed wejściem na żywo, na podgolonych stażystów pieszczących smartfony, na roześmiane grupki zbite przy papierosie.

Zdeptał niedopałek na ziemi, wyjął telefon, rzucił okiem, czy nie pojawił się oficjalny komunikat policji. Sprawdził pocztę. Messengera. SMS-y. Długo gładził ikonkę Twittera.

Schował smartfona do kieszeni. Czekał.

Ksiądz Karol podniósł się z klęcznika.

W seminarium prefekt surowo odradzał im tę metodę czytania Biblii, bo trąci wróżbiarstwem. Ale jego matka, gdy miała jakieś strapienie, brała Pismo Święte i otwierała je na losowej stronie, wierząc, że na pierwsze słowa, na które padał jej wzrok, naprowadził ją Duch Święty. Dlatego Drzewicki ciągle czasem to robił.

Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą, temu byłoby lepiej uwiązać kamień młyński u szyi i wrzucić go w morze – przeczytał w dziewiątym rozdziale Ewangelii św. Marka. Splótł palce, aż poczuł, jak wrzyna się w nie obrączka różaniec. Złożone dłonie przycisnął do ust. Modlił się. Mocno.

Wstał, poprawił koszulę, w łazience przemył twarz zimną wodą. Podeszedł do okna. Przed plebanią parkowały dwa granatowe auta. Wysiadło z nich ośmiu

mężczyzn. Wśród nich Głód i ten drugi policjant. Chwilę później zaparkował za nimi wóz transmisyjny.

Ksiądz cofnął się do przedpokoju. Obejrzał się. Zatrzymał wzrok na solidnym haku w suficie przy karniszu. To była ostatnia chwila.

Na parterze trzasnęły drzwi, usłyszał podenerwowany głos proboszcza, szuranie jego kapci na schodach.

Kapłan podszedł do klęcznika i wziął w dłonie Pismo Święte. Szybko otworzył je jeszcze raz.

Ewangelia św. Łukasza, rozdział szósty: *Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone. Dawajcie, a będzie wam dane; miarę dobrą, natłoczoną, utrzesioną i opływającą wsypią w zanadza wasze. Odmierzą wam bowiem taką miarą, jaką wy mierzycie.*

Usłyszał gwałtowne pukanie do drzwi, poczuł silny skurcz w piersi. Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Otworzył. Z boku stał blady jak ściana proboszcz. Na wprost – podkomisarz Janusz Głód.

– Jest ksiądz zatrzymany w związku z podejrzeniem o zabójstwo.

Akurat dziś, gdy mogła się wyspać, obudził ją telefon. Anka wygrzebała się z pościeli i wymacała smartfona na szafce nocnej.

– Zwinęli księżula! – Bastian od razu przystąpił do rzeczy. – Właśnie go przywieźli! – Słyszała w tle jakieś podniesione głosy, szum wiatru.

– Jesteś tam? – zdziwiła się.

– Tak, w Sączu, pod komendą, na medialnym koczowisku.

– Ale co, aresztowali go? Na jakiej podstawie? Są nowe dowody?

– Czekamy na rzecznika. Nie wiem, czy aresztowali, czy tylko zatrzymali na przesłuchanie, ale z przytupem. Wyślę ci linki. Spróbujesz coś wywęszyć? – zapytał podekscytowany.

– Spróbuję – westchnęła.

Anka kliknęła pierwszy link. Filmik z Polsat News, parking przed plebanią w Zabrzeży, ksiądz Karol prowadzony przez policjantów po cywilnemu, w kajdankach założonych z przodu, z kurtką zarzuconą na głowę. Głód osobiście pakuje go na tylne siedzenie auta. W tle załamany proboszcz i gapie przy ulicy.

Drugi filmik był nagrany przez Bastiana. Tłum dziennikarzy oblega podjeżdżający samochód. Mundurowi torują drogę. Głód wyprowadza księdza. Znikają za drzwiami.

Trzeci link kierował do Bastianowego tweeta. Filmik z TVN24, wnętrze kaplicy, mała trumienka, ksiądz Drzewicki w białym ornacie. „Biały to przecież symbol niewinności” – słysząc jego słowa.

Ksiądz Karol D. odziany w szaty niewinności #KamienObrazy.

Przy stole siedział Sławek Gaca z notatnikiem. Naprzeciwko niego, wciąż

skuty, kulił się na krześle ksiądz Drzewicki. Zaciskał powieki i na tyle, na ile pozwalały mu kajdanki, obracał w palcach obrączkę różaniec. Głód krążył dookoła nich.

Ksiądz otworzył oczy, gdy podkomisarz cisnął na stół zeszyt. Popatrzył najpierw w twarz nachylonego nad nim policjanta, potem opuścił głowę i utkwiał wzrok w wyrysowanych w zeszytce rubrykach.

O Jezusie.

Też oglądał wiadomości i wiedział, tak jak cała Polska, o dziecku ze sztolni w Jarmucie.

– Czy to jest księdza podpis? – wycedził Głód, oparty zaciśniętymi pięściami o blat.

– Ale panowie... – zaczął Drzewicki. – To jest jakieś tragiczne nieporozumienie!

– Czyli nie zaprzecza ksiądz – mówił dalej Głód – że to podpis księdza?

– To miała być tylko wycieczka, ja chciałem...

– Zaprotokołuj, Sławek – mruknął podkomisarz. – Ksiądz przyznał, że pobrał klucz i potwierdził własnym podpisem.

– Ja tylko chciałem wziąć dzieci na wycieczkę! – wrzasnął ksiądz, unosząc się z krzesła. Oczy mu błyszczały, broda drżała.

Głód podszedł do niego i mocno naciskając na jego bark, zmusił, żeby usiadł z powrotem.

– Ja tylko chciałem wziąć dzieci na wycieczkę – powtórzył Drzewicki łamiącym się głosem.

– Dwa tysiące dwunasty. Na parafii w Zabrzeży pojawia się ksiądz, o którego przeszłości nikt nic nie wie. Tymczasem w tajnych kościelnych papierach znajdują się podejrzenia o molestowanie przez niego dziecka. Wkrótce w okolicy znika chłopiec. Teraz znajdujemy ciało dziecka w zakratowanej sztolni, do której ten sam podejrzany ksiądz pobrał wtedy klucze – ciskał podkomisarz duchownemu prosto w twarz. – Przypadek?

– Proszę nam powiedzieć – dodał łagodnie Sławek – co się wydarzyło podczas tej wycieczki.

– Nic! – wydusił ksiądz. – Nic się nie wydarzyło!

– Jak to nic? Wziął ksiądz klucz do sztolni... – przerwał mu podkomisarz.

– Tak! Ale ja tylko...

– ...w której – dokończył – znaleźliśmy zwłoki dziecka. Te zwłoki!

Podsunał mu zdjęcie pod nos. Ksiądz się cofnął. Poszarzał. Zakrył usta skutymi dłońmi.

– Chciałem, żeby dzieci z oazy przeżyły fajną przygodę, dowiedziały się czegoś o regionie. Jestem przewodnikiem i przypomniałem sobie o kopalni Sanguszków w Jarmucie – szeptał. – Wymyśliłem, że pozwolę im wejść do sztolni,

załatwiłem ten klucz, ale potem doczytałem, że tam jest głęboki szyb, że jest niebezpiecznie, i nawet dzieciom nie mówiłem, że mam ten klucz. Ja go nigdy nie użyłem, oddałem od razu, tego samego dnia, o, tu jest data zwrotu! – Podniósł piskliwie głos, wskazując na rubrykę w zeszycie. – A tam na miejscu się okazało, że ze środka coś okropnie śmierdzi, jak taki najgorszy ser, a dzieci były zmęczone i chciały wracać, nic się nie udało, porażka, a miała być fajna przygoda...!

Głos mu się załamał. Ksiądz załkał. Jego plecy drgały miarowo.

Sławek spojrzał pytająco na Głoda. Ten nawet nie mrugnął.

– Co ksiądz robił w nocy poprzedzającej znalezienie martwego chłopca w Kamieniu? – zapytał.

Drzewicki odetchnął głęboko. Opuścił dłonie w kajdankach na blat. Popatrzył zaczerwienionymi oczami na policjantów. Długo milczał.

– Już mówiłem. Byłem u siebie na plebanii.

– Mówił też ksiądz, że nikt nie może tego potwierdzić – warknął podkomisarz. – To niedobrze, wie ksiądz o tym?

– Wiem – odpowiedział duchowny, dziwnie opanowany.

– Kim jest dziecko znalezione w Kamieniu? Kim jest dziecko znalezione w sztolni? Co ksiądz o nich wie?

– Nic o nich nie wiem. Modlę się za nie – odparł spokojnie.

Głód wyszedł i wrócił z laptopem księdza. Ustawił go przed nim na stole. Włączył film. Pokój przesłuchań wypełniły puszczane na cały regulator męskie jęki.

– A to, co to jest?

Ksiądz zacisnął zęby i wytrzymał spojrzenie policjanta.

– A to – odpowiedział powoli – jest legalne. Więc to nie pański interes, panie komisarzu.

Głód rąbnął pięścią w stół tuż przy księdzu. Sławek poruszył się niespokojnie.

– Jeśli któreś dziecko zezna, że mu to pokazywałeś... – wydyszał Głód. – Jeśli znajdziemy twoje DNA na skórze dziecka z osady, jeśli...

– Jeśli, panie komisarzu? – Tym razem to duchowny przerwał jemu. – Zatrzymaliście mnie przed kamerami, zrobiliście ze mnie zbrojnego i mordercę dzieci na podstawie „jeśli”? Żadne dziecko nic nie zezna i nie znajdziecie żadnych śladów, bo ja żadnemu dziecku nigdy krzywdy nie zrobiłem. To wszystko – powiedział głośniej, widząc, jak Głód nabiera powietrza – co mam w tej sprawie do powiedzenia. Tak się mówi?

Aspirant Gaca zaprotokołował.

Anka wpadła do budynku sądeckiej komendy, machnęła przy wejściu przepustką i ruszyła do biur wydziału kryminalnego. Przez całą drogę myślała o tym, co się stało. Ksiądz Karol i podejrzenia o pedofilię. Chłopiec z osady.

Chłopiec ze sztolni. Gwiazdka. Przecież to się nigdzie nie łączy. Ale w rozmowach, jakie dziś słyszała w autobusie, łączyło się to w przedziwnie oczywisty sposób. Chłopiec z Jarmuty. Chłopiec z Kamienia. Kamień to romska osada, a ksiądz zadawał się z Romami. Ksiądz-pedofil. To, nad czym łamali sobie głowę śledczy, dla ludu było proste.

– Pani doktor, a pani co tutaj robi?

Wpadła na Głoda na korytarzu. Był czerwony na twarzy i wściekły. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokci, pod pachami plamy potu. Z ust czuć mu było coś kwaśnym, jakby od rana nic nie jadł, tylko pił jedną kawę za drugą.

– Usłyszałam, co się wydarzyło, i przyjechałam, bo może mogłabym pomóc... – zaczęła.

– Z tego, co mi wiadomo, ksiądz nie jest Cyganem – parsknął policjant. – Ani Papuasem, ani Indianinem, więc nie trzeba nam dzisiaj antropologa, żeby pośredniczył w międzykulturowym porozumieniu. Dzisiaj pani tylko przeszkadza. Do widzenia.

Odwrócił się na pięcie. Zakłęła pod nosem.

– Odprowadzić panią do wyjścia? – zagaił aspirant Gaca, poprawiając okulary. Zrozumiała i ruszyła pierwsza. Podążył za nią, z plikiem dokumentów pod pachą.

– Proszę się nie gniewać, pani doktor, szef ma dzisiaj ciężki dzień – tłumaczył.

– Panie Sławku. – Zatrzymała się. – Czy ksiądz Drzewicki naprawdę...?

– Próbujemy to ustalić. – Podrapał się po karku.

– A co pan myśli? On to zrobił?

Sławek nie odpowiedział. Ale z niewyraźną miną ostrożnie pokręcił głową.

– To niech mi pan coś powie przynajmniej o Gwiazdce – jęknęła.

– Tę sprawę prowadzi aspirant Hulak...

– Ja tam u nich bywam. Muszę wiedzieć, na czym stoimy, żeby nie poruszać się po omacku. – Urwała i zorientowała się, że ściska zaskoczono Sławka za łokieć.

Westchnął i opowiedział o zaginionej przed laty dziewczynce ze Szczawnicy.

– A mama Leny zwariowała – rzucił gdzieś w przestrzeń. – Do dziś siedzi w psychiatryku.

Anka zacisnęła dłonie na torebce i pomyślała o Reginie. Od samego początku w starciu z machiną biurokratyczną była po stronie Romki. Ale jeśli po drugiej stronie są nie bezduszni urzędnicy, stereotypy i uprzedzenia, tylko kobieta, która straciła dziecko, co odebrało jej zmysły i zniszczyło życie? Zamknęła oczy.

– Ech, nawet Salomon by tego nie rozsądził – mruknął Sławek.

– W tej historii z Biblii – odezwała się głucho – gdzie dwie kobiety spierają się o dziecko... Pamięta pan, jak brzmiał Salomonowy wyrok, prawda?

Wyszła z budynku. Bastiana nigdzie nie było, więc zadzwoniła do niego. Zajęte. Powiodła wzrokiem po rozemocjonowanym tłumku dziennikarzy. Po drugiej stronie ulicy stała grupka gapiów. Przystawali, patrzyli, odchodzili powoli.

Zadzwoniła jeszcze raz. Znowu nic. Sprawdziła powrotne połączenia do Krakowa. Te eskapady zrobiły się już męczące. Nie miała serca za każdym razem prosić Gerta, a do Sącza i tak wołała jeździć sama. Musiałaby przedstawić go policjantom i nudziłby się tu jak mops. Co innego do Kamienia – miała wrażenie, że on lubi tam jeździć.

Przyłapała się na tym, że te jego przyjazdy w tygodniu i wożenie jej do Kamienia na zawołanie zaczęły jej przeszkadzać. Do tej pory wiedziała, że przyjeżdża w weekendy, a nagle ten system się rozchwiał. Raptem nie była w stanie powiedzieć, czy Gert przyjedzie też w środę, czy, dajmy na to, w czwartek, a ona będzie miała syf w łazience, gary w zlewie i nieogolone nogi.

A może zaczęło jej to przeszkadzać, bo oznaczało jego obecność na co dzień? Wypijaną w milczeniu poranną kawę, leniwy seks na dobranoc i dwie szczoteczki do zębów przy umywalce.

Bastian przysłał SMS-a: *Oddzwonię.*

Rozejrzała się. Dziennikarze dalej świetnie się bawili, gapie zmieniali się na chodniku co kilka minut.

Zmieniali się, ale miała wrażenie, że jedna postać stoi tam od dłuższego czasu. I że na nią patrzy.

Ruszyła przez ulicę, starając się nie stracić kontaktu wzrokowego z chłopcem, który nagle zaczął sprawiać wrażenie niespokojnego. Przyspieszyła kroku.

Stała naprzeciw niego. I nie wiedziała, co powiedzieć.

– Pani jest z uniwersytetu? – Chłopiec odezwał się pierwszy. Miał może trzynaście lat, bujne brązowe włosy opadające na oczy. Ubrany był w bluzę od dresu, na jego ramieniu wisiał plecak. Pod okiem chłopca dało się dojrzeć blaknącego siniaka.

– Tak. Skąd wiesz? – zdziwiła się Anka.

– On mi o pani opowiadał – mruknął dzieciak.

– On?

– Ksiądz. Że pani przyjeżdża i pomaga tym jego Cyganom. – Chłopak drażył butem szparę w chodniku, rzucając Ance czujne spojrzenia. – Co z nim? – Starał się mówić obojętnie.

– Z księdzem? Przesłuchują go. Chcą mieć pewność, że nikogo nie... – zająknęła się – nie skrzywdził.

– No pewnie, że nie skrzywdził – parsknął chłopak.

Skąd on się tu wziął? – zastanawiała się Anka. Jeśli zna księdza Drzewickiego z oazy albo tamten uczył go religii, to znaczy, że jest na wagarach. Przyjechał specjalnie z Zabrzeży albo z Łącka. Dużo zaryzykował, czyli mu zależy. Więc czuje się z księdzem związany. Albo winny.

– Skąd wiesz? – zapytała ostrożnie.

– Bo wiem.

Bastian zapisał adres w notatce. Śmignął palcami po klawiaturze dotykowej i wysłał do Anki SMS-a: *Oddzwonię*. Nie miał czasu z nią gadać. Spojrzał za okno i zaklął. Czas ucieka.

Wcześniej, gdy rzecznik wreszcie do nich wyszedł i krótko zreferował sytuację, Bastian wiedział, że przegrał pierwsze starcie z czasem. Wśród powtarzanych potem jak echo słów kluczy, łomów i wytrychów, takich jak „ksiądz”, „pedofilia”, „ofiara”, „chłopiec z osady”, „chłopiec z Jarmuty” i „sprawa z Tarnowa”, jego cienki głosik z Twittera niczym się nie wyróżniał. Ot, podał dalej to, co wiedzą już wszyscy.

Wtedy zadzwonił telefon. Bastian odebrał bez przekonania.

– Pan Sebastian Strzygoń, dziennikarz? – Usłyszał przyspieszony oddech.

– Słucham – mruknął.

– Bo to wszystko nie tak. – Kobieta ściszyła głos.

Już miał się rozłączyć. Nie miał czasu na zagadki. Nie teraz. Nie dzisiaj.

A potem zmienił zdanie.

Ściskając telefon, odszedł na bok, jak najdalej od tłumku kolegów z innych mediów.

– Dziękuję siostrze – pożegnał się, chociaż osoba, z którą rozmawiał, się nie przedstawiła.

I pobiegł na dworzec. Znowu był o krok do przodu.

Co miała z nim zrobić? Iść na lody? Na pizzę? Na colę?

– Jak masz na imię? – zapytała.

– Rafał.

– Jesteś na wagarach?

– No.

– Chodź, pójdziemy na dworzec – rzuciła i ruszyła wzdłuż zaparkowanych ciasno samochodów. Podążył za nią. – Muszę wracać do Krakowa. A ty do domu.

– Nie, nie – zaprotestował chłopiec. – Tylko nie do domu.

– Dlaczego?

– Nieważne. – Wcisnął ręce w kieszenie.

– Rodzice pewnie się o ciebie martwią. – Przyglądała mu się uważnie. Jak na wagarowicza cieszącego się wolnością zaprotestował zbyt gwałtownie.

Rafał skutecznie unikał jej wzroku, gapiąc się w kostkę brukową. Poruszał

się czujnie, jak zwierzę gotowe do ucieczki.

– Akurat – burknął.

– To o co chodzi z księdzem? Powiesz mi?

– Ksiądz jest w porządku – odparł od razu. – To wszystko nieprawda, co o nim mówią.

Kopnął kamyk, który potoczył się po chodniku, żeby zginąć w studziencie kanalizacyjnej.

– Myśli pani, że go zamkną?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Muszą mieć mocne dowody jego winy. Albo dowód, że jest niewinny.

– Na przykład? – Wreszcie na nią popatrzył. Błagalnie.

– Na przykład musieliby znaleźć jakieś jego ślady tam, w Kamieniu albo w Jarmucie. Albo odwrotnie. Ktoś musiałby potwierdzić, że tamtej nocy ksiądz był gdzie indziej. Czyli dać mu alibi. To by znaczyło, że nie mógł popełnić tamtej zbrodni.

Obserwowała twarz chłopca. Jego dziecięce rysy znowu się pogłębiły.

– Rafał... – Anka postanowiła rozmawiać z nim jak z dorosłym. – Ty coś wiesz. Inaczej by cię tu nie było, prawda?

Złapała się na tym, że wstrzymuje oddech.

– No... – wydusił z siebie Rafał. – Wiem, że wtedy, kiedy to wszystko się działo, ksiądz był u siebie, na plebanii.

– Skąd to wiesz? – zapytała, czując, jak krew pulsuje jej w uszach.

Spojrzał na nią, jakby chciał się usprawiedliwić.

– Bo też tam byłem – odpowiedział. – Przez całą noc.

W drzwiach stanęła niewysoka blondynka po czterdziestce. Z głębi mieszkania rozległ się śmiech. Radosny, głośny, nieskrępowany, śmiech o dziecięcej energii, ale męskim tembrze.

– Sebastian Strzygón – przedstawił się Bastian. – Jestem dziennikarzem.

Przekroczył próg, nie czekając na zaproszenie.

Kobieta uśmiechała się pytająco. Dołączył do niej mężczyzna w pulowerze. Położył jej dłoń na ramieniu i czekali, aż Bastian zdejmie buty.

Z autobusu do Tarnowa zadzwonił pod numer, który dostał od zakonnicy. Poprosił o jak najszybsze spotkanie. Wzięta z zaskoczenia kobieta, do której się dodzwonił, podała mu adres.

Obserwował ich. Na końcu języka mieli pytanie, o co, do diabła, chodzi. Ale nikt się nie odezwał. Potęga konwenansów, z której Bastian skwapliwie korzystał. Bez butów trudniej będzie wyrzucić go za drzwi.

Został zaproszony do salonu, przysiadł skrepowany na brzegu kanapy. Na ławie czekało ciasto drożdżowe. W stercie gazet wypatrzył ostatni numer „Horyzontu” – to tłumaczyło kredyt zaufania. W głębi pokoju, przed telewizorem,

stał wózek inwalidzki. Siedział w nim mniej więcej siedemnastoletni chłopiec. Kobieta podeszła do niego i pogłaskała go po włosach. A on znowu się roześmiał od ucha do ucha, śliniąc się nieznacznie, i popatrzył na nią zza grubych okularów.

– W czym możemy panu pomóc? – zapytał wreszcie pan domu, znajdując odpowiednio grzeczną formułę.

Bastian poruszył palcami u nóg w skarpetkach.

– Wiedzą państwo, co się dzieje w Nowym Sączu – zaczął.

– Tak, słyszeliśmy – odparł mężczyzna. – Straszna sprawa, martwe dzieci, jakiś ksiądz-pedofil. Ale co to ma wspólnego z nami?

– Ksiądz, o którego chodzi, to ksiądz Karol Drzewicki.

Popatrzyli po sobie. Ona otworzyła usta i zakryła je dłonią.

– A przecież to był taki fantastyczny człowiek! – jęknęła.

Bastian był zdumiony. Spodziewał się raczej, że na dźwięk tego nazwiska kobieta wybuchnie płaczem albo każe mu się wynosić.

Zakonnica z tarnowskiej parafii księdza Karola wyraziła się enigmatycznie: „To zupełnie nie tak. Niech pan z nimi porozmawia, to pan się przekona, jaki on jest. Jacy są oni wszyscy”.

– Skąd pan to wie? – Mężczyzna objął żonę i rzucił spojrzenie na syna.

– Jestem dziennikarzem – powtórzył Bastian, jakby to wszystko wyjaśniało, i bez pytania nałożył sobie ciasta. Od rana nic nie jadł i burczało mu w brzuchu, a wieczorem pod komendą zrobili z kolegami flaszkę śliwownicy. Miał nadzieję, że nie było od niego czuć alkoholu. – Badam tę sprawę od samego początku. I wiem, że podejrzenie na księdza Drzewickiego padło, ponieważ pojawiły się pewne dokumenty, z których wynikałoby, że ksiądz – zająknął się – molestował państwa syna.

W ciszy, która zapadła, słyszał tylko podzwanianie własnego widelczyka o talerzyk. Przełknął z wysiłkiem.

Mężczyzna pobladł.

– Jakie dokumenty? – zapytał bardzo powoli.

– Kościelne papiery towarzyszące przeniesieniu księdza do Zabrzeży. – Bastian cieszył się, że jeszcze nie został wyproszony. Że jeszcze nie dostał w twarz. W końcu to czytelnicy „Horyzontu”, pomyślał. Kultura zobowiązuje.

Kobieta zaśmiała się nerwowo.

– To jakieś nieporozumienie.

A więc pójdą w zaparte. Wstyd, nieufność czy niezdrowe przywiązanie do kleru? Jak ich podejść? Jak skłonić ludzi, żeby opowiedzieli mu o tym, że molestowano ich niepełnosprawnego syna? Bastian znowu poczuł się jak hiena.

– Przecież my już wszystko wyjaśniliśmy. – Matka chłopaka rozłożyła ręce. – Daliśmy znać proboszczowi, on miał przekazać do kurii. Nawet nie wiedzieliśmy, gdzie przeniesiono księdza Drzewickiego. Kiedy to wszystko się

działo, skasowałam numer do niego, więc potem nie byłam w stanie się z nim skontaktować. Ale ksiądz proboszcz przecież mówił, że wszystko załatwi.

Bastian był zdezorientowany. Bezwiednie jadł ciasto, które albo było tak obłędnie dobre, albo to on był taki głodny. Chłopiec przed telewizorem zaśmiewał się, oglądając kreskówkę.

– Przepraszam, ale co proboszcz miał przekazać? – wymamrotał dziennikarz. Miał wrażenie, że każde z nich ma przed sobą niepasującą do siebie część scenariusza.

– Że to nie ksiądz Drzewicki... – Kobieta urwała i popatrzyła na syna. – ...to robił. Tylko kto inny.

Bastian odstawił talerzyk na ławę. Nagle przestał być głodny. W żołądku rosła mu gula.

– Kto?

– Proszę pana – zachnął się mężczyzna. – To delikatne, rodzinne sprawy...

– W każdym razie ksiądz Drzewicki nie jest żadnym pedofilem – wtrąciła się kobieta. – Nic nie zrobił naszemu Krzysiu. Wszystko się okazało inaczej. Jeśli pan ma nasz numer z parafii, to przecież musiał pan rozmawiać z proboszczem! Nie powiedział panu, że to nieporozumienie?

Bastian zacisnął szczęki.

– No więc właśnie nie powiedział.

– Jak to? – Oboje znów popatrzyli po sobie spojrzeniem ludzi, którym właśnie rozsypała się poukładana wizja świata.

A dziennikarz gorączkowo przeorganizowywał sobie w głowie puzzle, które nagle zaczynały pasować do siebie od zupełnie innej strony. Do tej chwili sądził, że to on sam uruchomił tę lawinę. A jeżeli to wszystko jest oparte na nieporozumieniu? Albo na złej woli jednego proboszcza?

„Pan się przekona, jaki on jest” – powiedziała mu przez telefon zakonnica. Kogo innego, jeśli nie swojego proboszcza, miała na myśli?

Bastian zrozumiał. Nie uruchomił lawiny. Ale podłożył kamyk, który pchnął ją w niewłaściwym kierunku. Pchnął w niewłaściwym kierunku całe dochodzenie.

– Jeżeli chciałbym o tym napisać do gazety, do „Horyzontu” – poprawił się – czy państwo to potwierdzą?

Wymienili niepewne spojrzenia.

– Nie zrobiliście niczego złego – powiedział, ściskając w dłoni widelczyk jak broń, sam nie wiedział w kogo wymierzoną. – Zmanipulowano was. Księdza. Mnie. Jesteśmy mu winni prawdę. Nie możemy milczeć. Ja – wskazał widelczykiem na siebie – mogę to nagłośnić. Odkręcić. Pomożecie mi?

Oboje równocześnie popatrzyli na swojego syna. Potem na siebie. W końcu na dziennikarza.

– Niech pan zrozumie – powiedział pan domu. – Chodzi o kościelne sprawy,

a to jest Tarnów. Więc... prosimy tylko o anonimowość.

Strzygoń uśmiechnął się, prezentując dołączki. Zaczęli mówić. Notował energicznie.

Przystanęła. Ulica była pusta. Za ogrodzeniami domów jednorodzinnych nie było żywej duszy.

– Ja nocowałem czasem na plebanii. – Rafał dalej nie patrzył jej w oczy.

– Po co? – wydusiła z siebie. – Dlaczego?

Poprawił plecak i długo nie odpowiadał. Nie naciskała. Znowu niespiesznie ruszył wzdłuż chodnika.

– Mój stary... – Ociągał się z odpowiedzią. – Czasem dostaje szału. Jak pije. I się mnie czepia.

Anka słuchała.

– Najlepiej zejść mu wtedy z oczu. Kiedyś ksiądz na oazie powiedział, że jak ktoś z nas będzie potrzebował pomocy, to może przyjść do niego. I nie żartował. To była tajemnica, bo proboszcz w życiu by nie pozwolił, żeby ktoś u księdza spał.

– I kiedy zginął chłopiec z osady... – zaczęła Anka, chcąc jak najszybciej przejść do rzeczy.

– ...ja akurat byłem na plebanii. Stary wrócił z pracy nawalony i zaczął do mnie startować. Poszturchał mnie trochę, ale jak dostałem w ryj, to się wystraszyłem, bo mi krew z nosa buchła. I uciekłem, co nie? Zadzwoiłem do księdza, przyjechał, przemycił mnie do siebie. Zrobił mi okład i zostałem na noc.

– I... co robiliście? – zapytała najdelikatniej, jak potrafiła.

– Ksiądz kupił colę, czipsy i oglądaliśmy *Hobbita*. A potem poszedłem spać. Nigdy tam nie mogłem zasnąć, do tego bolał mnie ten nos i jeszcze ksiądz chrapał w drugim pokoju. Pamiętam, że w nocy słyszałem syreny. Jeździły karetki, policja. A potem rano znowu.

Anka przystanęła. Chłopiec też. Popatrzyli na siebie.

– Mówiłeś o tym komuś?

– Nie. – Rafał szybko zaprzeczył ruchem głowy. – Ksiądz zawsze prosił, żeby nikomu nie mówić. A jeszcze teraz, jak poszły te wszystkie plotki... Wie pani, co by ludzie mówili, jakby się dowiedzieli, że u niego spałem?!

– Że na pewno jest pedofilem... – powiedziała cicho.

– Że byłem dupą księdza! Że mnie ruchał! – syknął chłopiec. – Nie miałbym życia!

Anka przyglądała się Rafałowi. Jego twarz wyrażała sprzeczne emocje. Bał się. Czuł się winny. Żałował. Cieszył się.

– Musimy powiedzieć o tym policji. – Złapała go za ramię.

– Nie! – pisnął. – Nie ma mowy!

– Ksiądz ryzykował, żeby ci pomóc – powiedziała poważnie. – Łamał

zasady, wychodził przed szereg. A teraz to on ma kłopoty. Nie pomożesz mu, tak jak on pomógł tobie?

Chłopiec krzyknął niezrozumiale i się wyrwał. Popatrzył jej z wyrzutem w oczy. I rzucił się pędem, byle dalej od niej.

– Poczekaj!

Déjà vu, pomyślała.

Pobiegła za nim. Ale zdążył jej zniknąć z oczu.

Oddychała głęboko, próbując uspokoić zadyszkę. A więc to Bastian się mylił, a jej instynkt nie zawiódł. Więc jednak zna się na ludziach. Tylko co z tego, skoro tak bardzo nie zna się na dzieciach, że od niej uciekają?

Zadzwoiła do Bastiana. Wreszcie odebrał.

– Ksiądz jest niewinny!

– Wiem – odpowiedział. I natychmiast się rozłączył.

Pierwszy raz napisał artykuł na smartfonie, w trzęsącym się na koleinach autobusie, dziękując wszystkim świętym od urządzeń mobilnych za autokorektę i podpowiadanie. Miał szansę ubiec wszystkich, którzy właśnie rzucili się na księdza Drzewickiego jak muchy plujki na rozjechanego kota.

Czekając na odpowiedź z redakcji, przeglądał portale i serwisy, które powtarzały po sobie bezmyślnie, czyli w branżowym języku agregowały newsa. Użytkownicy portali społecznościowych udostępniali go bez czytania, bo to musi być prawda, skoro wrzucił znajomy. I tak medialna spirala rozkręcała się coraz bardziej.

Wczytywał się w komentarze. Były głosem ulicy. A ulica zaczynała buczeć i gwizdać. W mediach ogólnopolskich gwizdy dzieliły się na „księża na Księżyc” i „łapy precz od Kościoła”. Ale najciekawsze były głosy z prasy regionalnej. Bo pochodziły od ludzi, dla których cała sprawa nie była ilustracją do ideologicznej wojny światła i ciemności, ale historią, która mogła się przytrafić ich najbliższym. Tutaj rodzice pisali, że zabierają dzieci z oazy, nakręcali się nawzajem, powtarzali plotki, które z godziny na godzinę przybierały na zasięgu i makabryczności.

Telefon zadzwonił. Anka. Nie miał czasu teraz z nią gadać. Zrzucił ją.

Telefon zadzwonił raz jeszcze.

– Strzygoń, właśnie poszło w świat w serwisie. – Z głosu można było wnioskować, że naczelny jest zadowolony. – Dobra robota. Możesz puszczać dalej, do policji.

Bastian uśmiechnął się do swojego odbicia w szybie.

– Jestem pod wrażeniem – kontynuował szef, rozluźniony. W tak przyjaznym tonie konwersowali ostatnio na rozmowie kwalifikacyjnej. – Prześcignąłeś ich wszystkich. Powiedz mi, jak ty to robisz?

– Klasyczna dziennikarska robota. – Bastian pokraśniał. Wreszcie miał okazję, żeby pochwalić się warsztatem. – Najpierw informator podrzucił mi

papiery, potem nawiązałem kontakty i po paciorkach, od proboszcza do zakonnicy, od zakonnicy do rodziców Krzysia...

– Czekaj – przerwał mu szef. – Jakie papiery?

– Kościelne papiery o przeniesieniu księdza Drzewickiego. Poszedłem z nimi do proboszcza po komentarz, ale mnie wyrzucił. Rozmowę słyszała pracująca na plebanii siostra. Jak gruchnęło, że zwinęli księdza, to zadzwoniła do mnie, bo zostawiłem tam wizytówkę, i podała mi namiary na...

– Czekaj – powtórzył naczelny. Już nie brzmiał jak dobry wujek. – Chcesz mi powiedzieć, że ty też miałeś te papiery, które zdobyła policja?

– No tak. To ja je wyciągnąłem od informatora. Wiesz, tego, który mi wystawił pana od muzyki.

Poczuł nieprzyjemny skurcz w krtani. Dłoń, w której ścisnął komórkę, zrobiła się wilgotna.

– Miałeś je od początku i siedziałeś cicho? – W głosie szefa zawibrowała złość. – I nic mi nie powiedziałaś?

Bastian zaczął się wiercić w fotelu.

– Chciałem wszystko sprawdzić, a nie udało mi się od nikogo uzyskać komentarza, potwierdzić ani zaprzeczyć...

– Bastian... – Naczelny zamilkł. Dziennikarz wyobraził sobie, jak szef ugniata nasadę nosa i zaciska powieki. – Mam cię uczyć, co to jest news? Trzymałeś tę bombę pod poduszką, aż zrobił się z niej niewypał?

– Przecież jestem pierwszy – zaprotestował Bastian. – Mogę potwierdzić, że ksiądz jest niewinny. Że sprawa z Tarnowa to nieporozumienie...

– Skup się na chwilę i mi odpowiedz. Co jest newsem: ksiądz-pedofil czy ksiądz-dobry misio? *To szok! Polityk nie kłamał. Rekordowo dobry stan powietrza w Krakowie. Lekarz nie wziął łapówki. Dziś nic się nie wydarzyło.* Kliknąłbyś któryś z takich newsów?

– Ale to nieprawda! – zdenerwował się Bastian. – Oszkalowalibyśmy niewinnego człowieka! Nie było jak tego sprawdzić, miałem tylko te papiery, zero komentarza...

– Wystarczyłoby – przerwał mu naczelny. – Nie jesteś Panem Bogiem i nie musisz być wszechwiedzący. Papiery nie były opinią, tylko faktem, Bastian, faktem i mówiły, co mówiły. Ty zrobiłeś wszystko, żeby je zweryfikować, i nie udało ci się podważyć ich wiarygodności. A czytelnicy mieli prawo wiedzieć. Tak czy nie? Czytelnicy mają prawo wiedzieć!

– A co byłoby potem? – syknął dziennikarz.

– Docieralibyśmy do nowych faktów. Wykonywalibyśmy naszą dziennikarską misję.

Nie chciało mu się wierzyć w to, co słyszy.

– Mam nadzieję, że przynajmniej twoje rewelacje z parafialnej gazetki odbiją

się szerokim echem – rzucił szef lodowato. – Chociaż moherowe babcie to nie nasz target.

Rozłączył się. Bastian zaklął i uderzył pięścią o szybę. Poczł się, jakby dostał pałę z referatu dla chętnych.

Ksiądz nie był pedofilem, lecz ofiarą. Czytajcie w „Horyzoncie” – podlinkował. *#KamienObrazy* – zatweetował bez przekonania. Żadnych wykrzykników, dopisków: *sensacja, szok, nowe, nieznanne fakty.*

Wyobraził sobie miny kolegów z redakcji, Jadzi i naczelnego, komentarze na temat tabloidowego stylu. I newsa, który nie jest newsem.

A potem wysłał swoje rewelacje policji w Nowym Sączu.

– ...i uciekł – zakończyła Anka i łyknęła wina.

– Nie dziwię mu się – powiedział Gerard. – Zrobiłem to samo.

Objął ją. Podciągnęła kolana pod brodę.

– Nie, nie. To zupełnie inna sytuacja. Ten chłopiec nie zrobił nic złego. On był ofiarą, a nie...

Poczłła, jak Gerard sztywnieje.

– No, kim? – zapytał.

Pogłaskała go po udzie, czując pod palcami napięte mięśnie.

– On nie zrobił nic złego – powtórzyła. – Nie wiem, czego miałby się wstydzic.

Wzruszył ramionami.

– Że ojciec go leje, a on ucieka spać do księdza. Że ktoś go upokarza, bije, a może nawet gwałci. Chciałabys, żeby wszyscy tak o tobie myśleli? Że jesteś ofiarą?

Mocniej splotła palce na kubku.

– Ofiara to przedmiot, z którym można zrobić wszystko. Nie ma nad niczym kontroli. A jak jesteś ofiarą, to zrobisz wszystko, żeby nikt się nie dowiedział, co cię spotkało. Bo to jest piętno na całe życie.

– A ksiądz? – zapytała. – Przecież on jest niewinny! Też jest ofiarą. Muszę coś zrobić, znaleźć tego chłopca, przekonać, zmusić...

– Nie – powiedział Gerard. – Musisz dać mu zdecydować.

Pierwszy telefon zatrzymał go, gdy wychodził do domu.

– Sławek, co się, kurwa, dzieje?! – pieklił się rzecznik komendy miejskiej. – Do Głoda nie mogę się dodzwonić, dziennikarze na mnie wiszą, „Horyzont” właśnie wypierdolił wam sprawę w kosmos, a wy nic nie mówicie?!

Aspirant Gaca wrócił do komputera. Czekal, aż maszyna uruchomi przedpotopową wersję Windowsa. Na komórce próbował równocześnie podczytywać „Horyzont” i dodzwonić się do podkomisarza. Gdy komputer odpalił, a on znał już z grubsza nowe fakty dotyczące przeszłości księdza D., odkrył w skrzynce odbiorczej maila od Sebastiana Strzygonia.

I poczuł, jak lodowata strużka potu płynie mu wzdłuż wyprostowanego kręgosłupa między spięte pośladki.

Telefon zadzwonił po raz drugi.

– Pan Gaca? Nie mogę się dodzwonić do prokuratora ani do podkomisarza Głoda – usłyszał sympatyczny głos pani docent z pracowni hemogenetyki krakowskiego Zakładu Medycyny Sądowej. – Mamy dla was wieści. Jutro przyjdą kurierem, ale pomyślałam, że zadzwonię od razu.

Aspirant słuchał.

– Po pierwsze, kwestia wymazów pobranych ze skóry dziecka NN znalezionej *et cetera, et cetera*, w Kamieniu. Ani w miejscu występowania podbiegnięć krwawych na szyi, ani pod paznokciami nie stwierdzono obecności obcego naskórka czy innych materiałów biologicznych. Przykro mi, jesteście zdani na mikroślady.

– Tak. – Chrząknął. – Rozumiem. Cholera. A po drugie?

– Po drugie – odpowiedziała – krew z tapicerki samochodowej nie należy do dziecka NN z Kamienia. Już grupa krwi się nie zgadza, przyślę wam szczegóły.

Sławek kiwnął głową, nie od razu zdając sobie sprawę, że przez telefon tego nie widać.

– Halo? Jest pan tam?

– Jestem – odparł, przełamując suchość w gardle. – Czy mamy jeszcze jakieś po trzecie?

– Mamy. – Głos pani docent brzmiał rzeczowo. – Po trzecie, z całą pewnością stwierdzamy, że chłopiec NN znaleziony w sztolni nie jest dzieckiem państwa Baranów z Tylmanowej. To dobrze czy źle?

– Trudniej – odpowiedział Sławek, pocierając nasadę nosa.

– No to, panie Sławku, jest jeszcze po czwarte – ciągnęła współczującym tonem. – Koledzy zrobili sumienną sekcję tego biednego dziecka ze sztolni. Nie stwierdzili urazowej przyczyny zgonu. To dziecko nie zostało zabite.

– Słucham? – sapnął policjant.

– Znaleźliśmy jednoznaczne zmiany w prawej kości udowej. Mamy potwierdzenie z badań histologicznych. *Osteosarcoma*. Kostniakomięsak. Chłopiec, którego znaleźliście, zmarł na paskudny nowotwór kości. To dobrze czy źle?

Gdy się rozłączyli, aspirantowi dzwoniło w uszach. Wybrał numer.

O dziwo, szef odebrał.

– Co jest? – burknął podkomisarz Głód.

– Janusz, siedzisz? – zapytał Sławek. – To usiądź.



ROZDZIAŁ 14

– Pospieszyliśmy się, Janusz? – Sławek trzymał się uchwyty, żeby nie zaryć nosem w przednią szybę.

Głód wciskał na zmianę gaz z hamulcem, jakby po pedałach łąził mu karaluch. Autem rzucało, aż ciasto – obłądnie dobre – podchodziło Sławkowi do gardła.

– Jeśli ksiądz nie jest pedofilem, to tracimy motyw – kontynuował aspirant. – Dowody szlag trafił. Nie znaleziono jego śladów na skórze ofiary, krew z samochodu księdza też nie należała do chłopca. Nie mamy nic.

– Jak nie, kurwa, Sławuś? Jak nie? – uniósł się podkomisarz, kładąc się na kierownicy. – Ksiądz nie ma alibi na tamtą noc! Mamy czyjaś krew w jego samochodzie! I porno w komputerze!

– Kto nigdy nie oglądał porno, niech pierwszy rzuci kamień – odpowiedział Sławek i uśmiechnął się krzywo.

– Pedalskie! – warknął Głód, wciskając hamulec.

Wracali z Tarnowa. Rodzice Krzysia potwierdzili wszystko, co policjantom napisał w mailu Strzygoń. Mili, kulturalni ludzie uśmiechali się do nich przez cały czas, nawet gdy Głodowi zaczęły puszczać nerwy. Sławek nie wiedział, gdzie podziąć oczy, gdy szefowi wyrwało się coś o „niedorozwiniętych” dzieciach.

– Co mówią katabasy z kurii? – Głód zmienił temat i napał na drażek zmiany biegów, jakby miał do niego o coś pretensje.

– Jak zwykle nic. – Sławek się skrzywił. – Udają Greka i kręcą coś o wyjaśnianiu nieporozumienia z proboszczem Wątrobą.

Zamilkli, próbując poprzestawiać elementy w swoich głowach. Nadal nie wiedzieli, kim był chłopiec znaleziony w osadzie. Ani ten z Jarmuty. I skąd, do cholery, wzięty się w sztolni zwłoki dziecka zmarłego na nowotwór?! Chyba że podrzucił je tam ksiądz – dysponował kluczem, ale bardzo krótko, i o ile go nie dorobił, nie miałyby możliwości. Ale to było kompletnie pozbawione sensu. Trzeba sprawdzić, kto jeszcze miał dostęp do tego klucza, pomyślał Sławek. I opadły mu ręce. Znowu ustalanie wszystkiego od zera.

– Nic się kupy nie trzyma – jęknął podkomisarz, jakby czytał aspirantowi w myślach. – Wszystko się rozlało. Sprawa chłopca z Jarmuty przestaje nam się wiązać. Bo to nie było zabójstwo.

– Jak to przestaje? – zaprotestował Sławek. – To drugie martwe dziecko NN z okolicy. I jest jeszcze trzecie, ta dziewczynka, Gwiazdka, znaleziona u Romów.

Nie ma bata, żeby to wszystko jakoś się nie wiązało.

Podkomisarz milczał.

– A jeśli to nie ksiądz... – zastanowił się Sławek – to mamy jeszcze jakąś hipotezę?

– Tak – warknął Głód. – Cyganie.

Próbował się cieszyć małą burzą w szklance wody. No właśnie, małą. Miał wrażenie, że jego target nie przejął się losem księdza Drzewickiego. Owszem, byli tacy, którzy pałali oburzeniem, ale niemrawo. Retweetowali z opóźnieniem. Nawet mało kto go hejtował.

Bastian zajrzał do lokalnych wiadomości. *Wójt Limanowej ostro do wójta Łącka: ja też mam Romów* – brzmiał nagłówek.

Na ujawnioną na naszych łamach propozycję łąckiego samorządu, aby kwestię Kamienia rozwiązać poprzez zakupienie dla Romów z rządowego programu na rzecz społeczności romskiej w Polsce nieruchomości w gminie Limanowa, gwałtownie zareagował tamtejszy wójt Leszek Boruta. „Też mam tu problemy z Romami” – powiedział w rozmowie z naszym portalem, nie kryjąc wzburzenia. „I mam te same możliwości co wójt Wiesław Niemiec, więc niech mnie nie zmusza, żebym u niego w Łącku poszukał lokum dla naszych Romów”.

Telefon zaczął wibrować i na ekranie wyświetliło się nazwisko, przerywając Bastianowi lekturę. Niemożliwe, pomyślał. Góra przyszła do Mahometa.

– Cześć, Bastian, co tam? – zatrąkotała radośnie Jadzia. – Niezła akcja z tym księdzem. W redakcji jesteśmy pod wrażeniem. Dostałeś nawet nową ksywkę: „Bastian Strzygoń, przedmówdze chrześcijaństwa”.

– Bardzo śmieszne – mruknął. – Masz problem, że bronię faceta w sukience? Przecież to gender pełną gębą!

– Bastian, wyluzuj. Tyle lat w branży i nie wiesz, że złośliwość jest wyrazem sympatii? Może przestają cię w redakcji uważać za fałszywego dupka? Ja bym się ucieszyła.

– Dobra, Jadzia – przerwał jej. – O co ci chodzi?

Czyżby się stęskniła? – pomyślał. Nie ma na kim ostrzyć jadowego języka?

– Chciałam pogadać.

– O czym?

– Nie wiem, *small talk* jakiś, nie będziemy przecież rozmawiać o życiu. Może być o pogodzie. Możesz mi opowiedzieć, co jadłeś na obiad. Albo coś o Romach z Kamienia.

Tu cię mam, pomyślał.

– Tak myślałem, że bezinteresownie to ty do mnie nie dzwonisz.

– Przestałbyś, wiesz? – ofuknęła go. – Naprawdę jestem ciekawa. To wszystko źle wyszło. Myślę, że słusznie to ty się tą sprawą zajmujesz. Jesteś reporterem śledczym, pracujesz w terenie. Właściwy człowiek na właściwym

miejscu.

Najpierw popatrzył jeszcze raz na wyświetlacz, czy na pewno rozmawia z Jadzią Rajchert. Potem rozluźnił ramiona. Może niepotrzebnie się najeżył.

Westchnął i zaczął opowiadać.

– Dobrze, że pani jest, pani doktor – mruknął Głód, wychodząc jej na spotkanie na korytarzu komendy miejskiej w Nowym Sączu.

Anka aż przystanęła z wrażenia.

– Pojedzie pani ze Sławkiem do Cyganów.

Podkomisarz długo próbował pogodzić się z faktem, że chłopcem ze sztolni nie był Kacper Baran. A jeśli nie, może to chłopiec, o którym doktor Annie Serafin mówili w Kamieniu – o ile w ogóle istniał. Cholerni Cyganie nie potrafili nawet powiedzieć, kiedy to się stało, myślał. Rodziców rzekomego zaginionego nie ma w Polsce od trzech lat, a wyjechali po zaginięciu synka.

Gdyby to było romskie dziecko, nawet by to Głodowi pasowało. Z Romami zadawał się ksiądz, który mniej więcej wtedy brał klucz do sztolni. Może był z nimi w zмовie i przyciśnięty wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi. Wtedy między jednym a drugim dzieckiem NN byłoby jasne powiązanie: romskie.

Żeby wyjść ze ślepego zaułka, podkomisarz musiał założyć, że Romowie mówią prawdę. I musiał poprosić o pomoc panią doktor.

Streścił Ance, co ustalili krakowscy biegli.

– To nie było morderstwo? – wyszeptwała. – Nowotwór? Więc skąd dziecko się wzięło...

– To musimy ustalić – przerwał jej. – I na początek sprawdzić, czy to jest dzieciak tych Golców.

Otworzył teczkę. Przez chwilę umysł Anki nie pojmował jeszcze, że patrzy na opuchniętą, białą, jakby oblepioną gipsem, upiorną twarzyczkę chłopca. Odwróciła wzrok.

– Ale... – wydusiła z siebie – myślicie, że to może być dziecko romskie? Przecież... kolor skóry...

– A, że jest białe? – Głód pojął, o co Anka pyta. – Po trzech latach w takiej wilgotności i bez powietrza to nawet Murzynek Bambo by wyglądał jak Odarpi, syn Egigwy.

Anka i Sławek wymienili zażenowane spojrzenia.

– Nie mogę im tego pokazać – oświadczyła.

– Niby czemu? – zaperzył się podkomisarz.

– Bo to... nieludzkie. To drastyczne zdjęcie, a te kobiety są matkami... – tłumaczyła. Nie wyobrażała sobie, że miałyby pokazać tę fotografię Reginie.

– Janusz, a może zrobić rekonstrukcję wyglądu, tak jak wtedy... – wtrącił Sławek.

– Nie ma czasu – uciął podkomisarz. – Na tamtą czekałem tydzień, a i tak to

było ekspresem. Korona im z głowy nie spadnie, obrzydliwe, ale ludzka rzecz. Coś pani wymyśli, pani doktor. – Uśmiechnął się. – Po to panią ojczyzna wykształciła za nasze podatki.

Dystans – jednaście kilometrów. Średnia prędkość – trzynaście i pół kilometra na godzinę – wydukał jej do ucha głos z aplikacji. Przyspieszyła: wdech i wydech co trzy kroki, nie co cztery. Krew przyjemnie buzowała w żyłach – jak Dunajec, wzdłuż którego biegła. Organizm na dodatkową dawkę tlenu zareagował jak silnik na wzbogaconą mieszankę. Pot, oddech i rytm. Sylwia Nowak nie myślała o niczym innym.

Sygnał nadchodzącej wiadomości z WhatsAppa wybił ją ze skupienia. *Złatičko* – zobaczyła na wyświetlaczu smartwatcha.

Zatrzymała się, oddychając głęboko, schylona, z dłońmi na udach. Poprawiła sportowy stanik i wydobyła smartfona z pokrowca na ramieniu. Otworzyła wiadomość i uniosła brew.

To był numer telefonu.

Nieoficjalnie, ale mam zielone światło, żeby ci go wystawić, Złatičko – pisał funkcjonariusz SIS Milan Otčenáš. – *Do naszego bossa są połączenia z Polski. Loguje się przy granicy, potem przechodzi w roaming, czyli bywa u was. Więc może sprawdzicie go po waszej stronie i znowu pójdziemy na staropraneña? Ty stawiasz.*

Sylwia uśmiechnęła się i podskoczyła, ściągając spojrzenia wędkarzy nad brzegu. W WhatsAppie wybrała połączenie głosowe do Łukasza.

– Szefie – rzuciła, zdyszana. – Uruchom analityków. Mam dla nich świeże mięsko.

– Ta *budelimen mindz* policję przyprowadziła – uniósł się Paweł. – Pogońże ją wreszcie! – Machnął szeroko ręką. – Teraz to *gadzie* pchają mi się nawet do domu!

– Oni są inni ludzie, dzieci ich lubią. – Dominika hardo założyła ręce. Anka zbliżała się do nich przez błotnistą drogę. – Pomagają Reginie. A ona jest czasem nie jak siostra, ale jak jeszcze jedno dziecko.

– Nie gadam z nimi. – Paweł wcisnął dłonie w kieszenie spodni. – Idę stąd.

Splunął na ziemię i odszedł w stronę zabudowań.

Dominika odsłoniła zęby, uśmiechając się do Sławka, który spuścił wzrok, wspominając fangę, jaką dostał od tej kobiety.

– Dominika, chcę cię prosić o pomoc. – Anka obserwowała jej twarz.

Słowa Głoda zabrzmiały jak wyzwanie. Przez całą drogę zastanawiała się, jak skłonić Romów do pomocy w identyfikacji. I jak nie zaczynać od pokazywania im fotografii. Wreszcie przyszło jej coś do głowy. Podzieliła się tym ze Sławkiem, który aż palnął się w czoło z rozmachem i musiał poprawić okulary. W aucie gorączkowo czytała na smartfonie wszystko, co znalazła pod hasłem *osteosarcoma*.

– Policjanci zajmują się teraz dzieckiem ze sztolni w Jarmucie – mówiła, starannie dobierając słowa.

– A co nam do tego? – Dominika ciasniej założyła ręce.

– Muszą ustalić, kim było. Żeby złapać mordercę. I – Anka zawiesiła głos, po czym dokończyła dobitnie: – żeby zadośćuczynić rodzinie tego chłopca.

Wyraz twarzy Romki złagodniał.

– Pytam ciebie, bo to ty mi kiedyś opowiedziałaś o małym Oskarze Golcu. Oni ci wierzą. – Anka spojrzała na Sławka. Dominika nie zdołała ukryć zaskoczenia. – Policja wierzy, że u was też zaginęło dziecko. A teraz muszą sprawdzić, czy to on.

– Ale co ja mam do tego? – powtórzyła kobieta zupełnie innym tonem.

– Mówiłaś, że Golcowie pożyczali pieniądze na leczenie Oskara. Pamiętasz, na co chorował?

Romka posmutniała. Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Powiedziałałabym ci, ale nie wiem, naprawdę. Ja słabo pamiętam to dziecko. Było, potem go nie było.

Sławek zrobił ostrożny krok w jej stronę i zapytał:

– A jest u was w Kamieniu ktoś, kto może pamiętać lepiej? Rodzina tego chłopca?

Dominika zastanawiała się, błędząc wzrokiem po fasadach domostw.

– Są ludzie – powiedziała w końcu. – Jest siostra Golcowej. Ale oni nie będą z wami gadać.

– Musimy spróbować. – Policjant złożył ręce. – Proszę.

Dominika uśmiechnęła się półgębkiem. Rzuciła niedopałek do kałuży i bez słowa ruszyła w górę wioski.

Poszli za nią, trzymając się za jej plecami. Sławek rozglądał się dyskretnie. Z każdym krokiem, którym wchodził w osadę, czuł się mniej pewnie. Przecież oni wiedzieli, kim jest. Jakby miał na sobie odblaskową kamizelkę z napisem „Policja”. Co Głód sobie myślał, wysyłając go tu samego, tylko z panią doktor? Czy on zwariował?! Aspirant zastanawiał się, czy gdyby coś się tu zaczęło dziać, miałby szansę obronić siebie i tym bardziej Annę Serafin. Widział, jak Romowie spoglądają po sobie, jak sztywnieją na jego widok, jak śledzą każdy jego krok. Wyczuwał napięcie i zdał sobie sprawę, że od pozornego spokoju do kompletnego chaosu droga jest tu bardzo krótka.

Potem przypomniał sobie, jak się skończyło, kiedy przyjechali na przeszukanie z kilkoma plutonami prewencji. Wprowadzany przez Romkę, ramię w ramię z panią doktor, poczuł, że to, co robią, nie jest głupie.

Zatrzymali się przed jedną z chałup, stojącą nieco dalej od drogi. Była niewiele większa od ogrodowej altanki. Zbudowano ją z przypadkowych desek, kartonu i kawałków blachy falistej. Ze środka dobiegały krzyki dzieci.

- Poczekajcie tu – powiedziała Dominika.
- Strzygoń? – Głos brzmiał jak ze studni. – *Sorry*.
- Ale za co *sorry*? – zdziwił się Bastian.

Siedział w pensjonacie, popijając kawę, i przeglądał swój notatnik. Na Twittera już nie chciało mu się zaglądać.

– Te dokumenty, które ci podrzuciłem... Widocznie one... – Facet zaczął i urwał.

– Spoko, stary, skąd mogłeś wiedzieć? – Dziennikarz wydał wargi. – W papierach stało czarno na białym.

– Papiery to jedno. Ludzie to drugie. Grałeś kiedyś w papier, nożyce, kamień? – zapytał nagle informator.

– Grałem – mruknął Bastian, zaskoczony. Z tym gościem nigdy nie dało się pogadać. Nie pozwalał sobie nawet na uprzejmości.

– Dzisiaj papier bije wszystko. Z papierem nie wygrasz. Dlatego dzięki, że to napisałeś.

Bastian zdziwił się jeszcze bardziej. Kto by pomyślał, że to właśnie on jeden się przejmie.

– No nic. *Sorry*. Dzięki. Nieważne – rzucił facet. – Trzymaj się.

Wziął oddech.

– I nie dzwoń do mnie więcej.

Dominika zniknęła we wnętrzu. Słysząc było ostre, wysokie, przekrzykujące się głosy. Coś brzęknęło, jakby ktoś czymś rzucał. Do kobiecych głosów dołączył męski. Na podwórku rozszczekał się pies. Wreszcie drzwi otworzyły się z impetem i na zewnątrz wypadła Dominika. A za nią druga kobieta. Otyła i niska, w długiej czarnej spódnicy, z włosami upiętymi w ciasny kok. Brakowało jej dwóch zębów.

Na widok Sławka aż się zatrzęsła.

– *Kada ej helado!* – wrzasnęła. – *Jek kalendar! I tu mangie phenes, kaj te wakieraw leja? Wybulede kadarik i tu i tire gadzie!*

– Cicho, Maria, on nie jest ważny, to ona chce z tobą gadać – przerwała Dominika, przekrzykując ją jakimś cudem. – Anna, ty mów. To jest Maria, ciotka Oskara.

Kobieta ucichła. Przyglądała się Ance jak krytyk kulinarny pasztetowej z supermarketu.

– Płacicie za gadanie? – rzuciła.

Anka puściła to mimo uszu.

– Pani Mario, policjanci znaleźli martwe dziecko. Myślą, że to może być Oskar. Chcą naprawić to, co zrobili źle wtedy, kiedy was nie wysłuchali i nie zaczęli go szukać.

Zmiany na twarzy Romki były drobne. W kącikach ust, w oczach. Ale były.

– Teraz chcą zrozumieć, co się stało z Oskarem. I co się stało z tym

chłopcem, którego znaleźli kilka dni temu w kopalni – ciągnęła Anka podniesionym głosem, sama siebie nie poznając. – Oni chcą znaleźć tego, kto wyrządza zło rodzinom, bo przecież rodzina, dzieci są najważniejsze. Prawda, pani Mario?

Zapadła cisza. Anka słyszała bicie własnego serca i czekała, aż kobiety wybuchną śmiechem.

– Oskarek był bardzo chory, a potem zniknął. – Maria mówiła powoli, starannie sięgając w pamięć. – Jagoda, moja siostra, rozpaczła, potem wyjechała i nic mi nie powiedziała, niech ją diabli wezmą. Ja nic więcej nie wiem.

– Pani Mario, na co Oskarek był chory? Co mu było?

– Tu wszystkie dzieci chore od tego szamba – odpowiedziała ostro kobieta, kopiąc czubkiem adidasa w rozmokłą drogę. – Moje też, zeszytu lekarzowi nie starcza, żeby wpisywać im choroby! Oskarek też był bardzo chory, najpierw kulał, a potem to już prawie nie chodził!

Anka ze Sławkiem wymienili błyskawiczne spojrzenia i nadstawili uszu.

– Gula mu się taka na nodze zrobiła, tu, na prawej. – Romka klepnęła się w udo. – Wył z bólu po nocach, spał tylko po ziołach od Mateczki. A moje to ciągle gorączkę mają, lekarz mówił, że to z zakażenia od tego smrodu z szamba! I nikt nic nie robi, te *gadzie* też pewnie nic nie robią! – Znowu zaczęła podnosić głos. – Pójdą i...

– Pani Mario, my mamy zdjęcie – przerwała jej Anka. Kobieta umilkła. – Zdjęcie... ciała tego dziecka. Ale ono jest straszne. Wygląda jak...

Przypomniała sobie, co powiedział Ricky, gdy zobaczył tatuaż Gerta, tatuaż z Santa Muerte, świętą ze slumsów. Przypomniała sobie o figurze upiora, zmarłego, który nie odszedł do końca. Oskarek dla tej rodziny też musiał być kimś takim: nie było mu dane odejść w spokoju, więc nie dawał spokoju.

– ...jak *mulo* – dokończyła. Kobieta cofnęła się o krok. – Czy pani się zgodzi na nie popatrzeć?

– Chcesz, żebym patrzyła na trupa?! – syknęła Maria ściszonego głosem.

– Nie na trupa – powiedziała Anka, patrząc jej w oczy. – Na dziecko.

Romka zacisnęła usta. Skinęła głową. Sławek otworzył teczkę. Kobieta wzięła zdjęcie, uniosła brwi, wciągnęła powietrze. Jej wargi wykrzywił grymas.

Wybuchnęła głośnym płaczem.

Z chałupy wybiegł ogorzały, nieogolony mężczyzna w podziurawionej bluzie. W dłoni ścisnął trzonek od siekiery. Dominika syknęła ostrzegawczo. Sławek dyskretnie przesunął się tak, żeby znaleźć się między nim a Anką.

– *So kada ejn? So kadej kieren koła gadzie?!*

– *Rakle ciawores kate Jagoda!* – wykrzyknęła Maria. – *Oskar, amaro cioro ciaworo!*

– A mówiliśmy wam, że to nie ksiądz – powiedziała Regina z wysiłkiem

i zakaszłała w rękaw za dużego brązowego swetra.

Anka przesunęła po stole w jej stronę reklamówkę z lekami, po które pojechała wcześniej ze Sławkiem do apteki. Regina odkręciła syrop i wypila solidny łyk. W izdebce było zimno, zimniej niż na zewnątrz. Czuć było pleśnią, z dworu zalatywało szambem. Anka słuchała kaszlu kobiety i miała nadzieję, że przynajmniej niemowlę jest zdrowe.

– Dziękuję – zachrypiała Regina. – A masz jakieś pieniądze? Ja muszę oddać. Oni dzisiaj przyjdą, muszę mieć, bo inaczej...

– Jacy oni? – zapytała Anka.

Regina nie odpowiedziała, tylko znowu zaniosła się kaszlem.

– Byłaś u lekarza? – Anka wysupłała z portfela pięćdziesiąt złotych.

– Ja? U lekarza? – Kobieta machnęła ręką i schowała banknot do kieszeni.

Sięgnęła do pudełeczka po listek tabletek od bólu gardła i drżącymi palcami wydusiła jedną na dłoń.

– Posłuchaj... – zaczęła Anka. – Policja mówi, że była taka dziewczynka... Lena. Zaginęła cztery lata temu. I że to może być twoja Gwiazdka.

Na czoło Romki wystąpiły kropelki potu.

– Muszę wiedzieć, Regina – kontynuowała Anka. – Jeżeli mam ci pomagać, to muszę wiedzieć, co tu się wydarzyło. Skąd się wzięła Gwiazdka. Muszę znać prawdę. Opowiedz mi, proszę.

Regina wytarła czoło, zakładając włosy za uszy. Anka wpatrywała się w nią wyczekująco. W ciszy słyhać było tylko tykanie zegara. Niemowlę w gondolce spało spokojnie.

– Dobrze – wyszeptała Regina.

Anka pochyliła się do niej przez stół.

– Ale nie dzisiaj. Nie mogę już mówić. Idź już, Anna. – Kobieta włożyła sobie do ust tabletkę i otuliła się swetrem. – Powiem ci następnym razem.

Kelnerka obdarzyła Bastiana uśmiechem i spojrzawszy na Ankę lodowato, podała im dwa cydry. Knajpa pękała w szwach. Łącko przeżywało obłęzenie z okazji długiego weekendu. Przyjezdni kombinowali na wszystkie sposoby, mrugając porozumiewawczo, zadając dwuznaczne pytania i wymyślając synonimy, żeby dobrać się do butelki śliwowicy łąckiej. Ta legalna, z banderolą, kosztowała stówę za flaszkę. Nielegalna była o połowę tańsza i gwarantowała większe emocje. Wszyscy tu grali w tę grę – Bastian pomyślał, że legalizacja przydomowej produkcji łąckiego specjału byłaby dla regionu katastrofą.

Dziennikarz bez entuzjazmu sącył mętny, wytrawny płyn z butelki.

– Nie cieszysz się, Bastian? – zapytała Anka. – Błysnąłeś. Wbrew wszystkim stanąłeś w obronie niesłusznie oskarżonego. Możesz być z siebie dumny.

Powinien czuć się jak król. Fantazjował, że tak właśnie będzie się czuł, pracując w „Horyzoncie”, takie rzeczy będzie robił. Bronił prawdy, stawał

po słusznej stronie i w tym wszystkim błyszczał.

Teraz czuł się fatalnie.

– Bastian Strzygoń znowu na tropie. – Uśmiechnęła się, widząc jego nieobecne spojrzenie.

– No więc właśnie – uciął. – Jeśli to nie ksiądz, to trop się urwał. I znowu jesteśmy w czarnej dupie.

Wyjął z plecaka zabazgrany notatnik.

– Wykreślamy wersję z księdzem-pedofilem – mruknął. – Zostaje nam znowu porwanie dla okupu, historia rodzinna. Albo Cyganie.

Milczała.

– Czemu nie protestujesz? – rzucił Bastian. Podniosła na niego wzrok. – Że Cyganie, przepraszam, Romowie porywający dzieci... – Zawiesił głos.

– Może niedługo się dowiem – odparła – skąd się wzięła Gwiazdka. Na razie nie chciałabym, żeby księdzu stała się krzywda. Próbował pomóc. A narobił sobie kłopotów.

Bastianowi przypomniały się słowa sekretarza biskupa. O kontroli, zaufaniu i działaniu poza systemem. Może gładkolicy biurokrata miał trochę racji?

– Nie wiem, co mogłabym zrobić – kontynuowała Anka. – Gert mówi, żeby nie szukać tego chłopca...

– Autorytet się znalazł – prychnął Bastian.

– Co ty właściwie do niego masz? – Anka wycelowała w niego widelczyk.

– Nic. – Upił cydru. – Tylko nie pojmuje: ty tak z nim na poważnie? Rozumiem, że pewnie jest niezły w łóżku, ma w końcu bogate doświadczenie, chociaż nie spodziewałem się, że specyfika tego doświadczenia będzie ci odpowiadać.

Obserwowała go, mrużąc oczy. Znała te przytyki na pamięć. Mógłby zmienić repertuar, bo robił się nudny.

– Ale on jest od ciebie dziesięć lat młodszy – ciągnął dziennikarz – i jest z zupełnie innej planety. I nawet nie to, że on jest z Marsa, a ty z Wenus. On jest, nie wiem, totalnym kosmitą. Z gwiazdozbioru Byka. Spadł.

– Nawet go nie znasz, nigdy nie próbowałaś z nim pogadać – powiedziała. – A to sympatyczny, inteligentny dzieciak, trochę trudny w obsłudze, ale dużo razem przeszliśmy i jesteśmy sobie bliscy.

– A co dalej? – zapytał Bastian, unosząc do ust butelkę.

– Nie wiem. Nie myślę o przyszłości – skłamała.

Przy stoliku zapadła cisza.

– To co teraz? – zmieniła temat.

– Reset – zarządził dziennikarz. – Trzeba wrócić do Tylmanowej. I wiemy, że romskie dziecko, Oskar Golec, naprawdę istniało, zmarło na raka, a jego zwłoki jakimś cudem znalazły się w sztolni pod Jarmutą. Dlaczego tam? – Kartkował swój

notes. – Dziecko NN jest dalej NN. Dalej nikt nic nie wie, czeski film. Może niech nam te twoje Cyganki coś wywróżą. Albo, nie wiem, Święta Mateczka ze Starego Sącza. Wiesz, kto to jest w ogóle?

– Parę razy coś obilo mi się o uszy – powiedziała Anka, sięgając po komórkę. Wpisała hasło w Google i zaczęła przewijać wyniki. – Była zakonnica. Pustelniczka. Tu są jakieś fora o cudach. Piszą, że uzdrawia.

– Ej, to może u niej się leczył mały Golec? – Bastian nagle wyprostował się przy stoliku. Po czym znowu opadły mu ramiona. – Teraz to i tak bez znaczenia. Przecież mamy dowód, że mały Golec istniał. Mamy małego Golca *sensu stricto*.

– To ja się skupię na Romach – powiedziała Anka. – Może wreszcie czegoś się dowiem od Reginy.

– A ja wracam do Tylmy. Rozejrzeć się jeszcze raz za Barankiem, naszą zaginioną owieczką.

Anka gwałtownie podniosła głowę.

– Co? – zapytał.

– Nie, nic. Głupie skojarzenie. – Dopiła cydr. – Wiesz, co jest w piątek?

– Nie.

– *Ederlezi*. Święto wiosny na Bałkanach, obchodzone w dzień świętego Grzegorza. Romowie zabijają wtedy owcę i ucztują całymi rodzinami. Ale w Kamieniu raczej nikt nie świętuje *ederlezi*, to nie ta tradycja. I nie ma tam owiec. Jest tylko koza. Jedna.

*

Bastian zadzwonił domofonem, ale nikt do niego nie wyszedł. Pies rzucił się na łańcuchu, zaszczekał, ale w żadnym oknie nawet nie zafalowała firanka. Dziennikarz pokręcił się wokół różowego domu z szyldem „Pantofle regionalne” i dał sobie spokój. Miał wrażenie, że odkąd tu ostatnio był, świat zatoczył koło. Dalej nic nie wiedział, nawet o co pytać. Zły, powlókł się ulicą z powrotem.

– Niy mo ik w chałpie? – Starsza kobieta stała oparta o ogrodzenie i czujnym wzrokiem patrolowała otoczenie. – Może dziesi pojecholi? Tyko czemu niy puścili psa?

Bastian podszedł do niej. Uśmiechnął się rozbrajająco. Kobieta trzymała w ręku grabki uwalane ziemią. Była mocno po sześćdziesiątce, krótkie siwe włosy opadały jej na poorly zmarszczkami czoło. Ale wzrok miała ciekawski. I sprawiała ogromnie sympatyczne wrażenie. Typ, o którym wie się na pierwszy rzut oka, że piecze wyborną szarlotkę.

– Nie mam do nich szczęścia. – Pokręcił głową. – Już drugi raz przychodzę.

– Ano, pamiontom pona – powiedziała kobieta. – Teros, jak sie na nowo o Kacperku głośno zrobiuo, to óni sie znowu zamkli w chałpie.

– Dlaczego? – Bastian oparł się o ogrodzenie i nachylił do niej.

– Moze nie kcom z siebie i ze swojyi tragedii robić widowiska? – Kobieta się

zamysliła. – Jo jak se pomysło o Kacperku, to niy mogo do siebie dojs.

– Proszę pani, a jak to jest? Bo ludzie mówią, że jego to Cyganie porwali... – zagaił ostrożnie Bastian.

– A jo wiom? – Wzruszyła ramionami. – Moze. Kryncom sie tu casami i jazgot robiom.

Bastiana nagle tknęło.

– A pani nic nie słyszała? – rzucił, niby od niechcenia. – Wtedy, jak Kacperek zniknął...

– Niy, chyba nie słyszoam. Wtedy, co mie policja pytoa i jagbym cosik słyszoa, tobym im poedzioa... Ale mi sie widzi, że jagby Cygany przyszli po dziycko, toby niy robili takiygo jazgotu...

Myślała intensywnie. Bastian przestępował z nogi na nogę.

– A Kacperek by się nie darł wniebogłosy, jakby go obcy ludzie zabierali? – pytał dalej. – Jego pani nie słyszała?

– Toś pon pokozoł... – Kobieta zmarszczyła czoło i przytaknęła ruchem głowy. – Ale to taki cichuśki chłodocek był. Ón prawie niy płakoł ani niy krzycoł, jak to zwykle dziecka. Taki chyrlocek, moły i slobiutki. Łostatniy miysionce to jo go ani razu niy widzioa. Barany mu nie kazywali is na pole, bo chorowoł.

Tym razem to Bastian próbował zatrzymać gonitwę myśli.

– Ale oni mówili, że Kacperek bawił się na podwórku... – zaczął.

– Eno, bo jo wiom – zdenerwowała się kobieta. – No byo dziycko, niy mo dziycka. I niy mo co godać.

Bastian pokiwał głową, ale nie odchodził. Moze kobieta powie mu coś jeszcze. Jej też się nie spieszyło. Wygodniej oparła się o ogrodzenie. Bastian dziękował Bogu, że trafił akurat na nią. W każdej wsi jest Strażnik Teksasu, pomysłał. Ktoś, kto patrzy. Widzi. I lubi sobie pogadać.

– A ksiondz z Zabrzeży to jes niewinny? – zagaiła po chwili. – Tak pisali w internecie. Słyszoes pon?

– Tak, coś słyszałem – mruknął Bastian.

– Ani nie godej, o to zem od razu wydzioa, ze to mydlenie ślypjów! – ucieszyła się. – Lepiyj było od rozu zrobić porzondek z Cyganami. Po co tys to było jakiesi takie, co to niby ksiondz? A jescy przecie drugie dziycko znalyźli. To już nopravde cza coś zrobić. Ino jus! Pogonić i niek idom het!

– A co by pani powiedziała, jakby się okazało, że to pod Jarmutą to było cygańskie dziecko? – rzucił dziennikarz, obserwując jej reakcję.

Kobieta zacisnęła usta w wąską kreskę.

– E! Dzie ta! Ludzie godoli, ze byo biole. Somsiodka, co robi w sklypie, godoła, ze jej klient godoł, ze jego szwagier widzioł na własne oczy. Bielutke jok śniyg. Niy wiom, po co takie rzeczy godać, ze to niby cygańskie. Po co tako poprawnoś polityczno. Przecież ludzie głupi niy som. Ludzie wydzom.

Wyprostowała się i wycelowała w niego grabki.

– I jog niy policja, to sami zrobiom, co cza.

Uwielbiała, gdy słowa same cisnęły się pod palce tańczące po klawiaturze, układały, wyprzedzały myśli. To było jak lekki rausz, euforia, upojenie siłą.

Słowa były w gotowości, gdy Strzygoń skończył swoją opowieść. Co za idiota, myślała Jadwiga Rajchert. Jego legendę reportera śledczego można o kant dupy rozbić. Jak nie dostanie cynku, jest bezradny. Nie widzi tego, co oczywiste.

Skupiona, ignorowała ruch w redakcji. Jej biurko było jak zawieszzone w sterylnej pustce.

Teraz, gdy ksiądz D. został oczyszczony z zarzutów, nietrudno przewidzieć, co się stanie. Ludowy gniew obróci się znowu przeciw Romom, których najłatwiej obwinić. Ale nie trzeba śledztwa, żeby się domyślić, co się przytrafiło dziecku z osady Kamień. Pewnie na koniec winny okaże się wiejski pijaczyna albo furiat uznający, że Pismo Święte pozwala mu bić dzieci, który posunął się za daleko, wyładowując gniew. Izamiast chwycić za kabel od żelazka, zacisnął dłonie na krtani dziecka. Potem podrzucił zwłoki Romom, bo w ich winę wszyscy uwierzą. Pewnie jak zwykle potworem okaże się na końcu sąsiad, którego wszyscy lubili. „To taka spokojna rodzina była” – usłyszymy.

Czytała setki takich historii. To się zawsze tak kończy. A wtedy wyjdzie, kto miał rację, a kto okazał się żalonym blagierem.

Wysłała tekst dyżurnemu redaktorowi portalu. Chwilę później wisiał już w sieci.



ROZDZIAŁ 15

Iza szła przez korytarz komendy miejskiej w Nowym Sączu, ściskając w rękę kartkę papieru. Policzki miała zaróżowione, oddech krótki. Opłacało się czekać. Teraz należało działać. Bo nie ma już wątpliwości.

– Widziałeś gdzieś Głoda? – zapytała napotkanego funkcjonariusza.

– Na dole – rzucił tamten. – Zajęty jest, coś się dzieje. Coś z tym księdzem.

Zbiegła po schodach. Szef zajmuje się księdzem, to nie wróży nic dobrego. Po ostatnich ustaleniach sąd na posiedzeniu aresztowym nakazał natychmiastowe zwolnienie zatrzymanego. Ksiądz Drzewicki rano wyszedł na wolność, a Głoda mało szlag nie trafił.

Wypatrzyła pomarańczowy polar podkomisarza. On też ją zobaczył i dał jej zamaszysty znak ręką.

– Szefie! Mam wyniki z Krakowa – zawołała przez pół holu. Podeszła i rozprostowała mu kartkę przed nosem. – Gwiazdka to Lena Wołoszyn. Dzwonimy do prokuratora, biorę radiowóz i jadę do Kamienia. Po Reginę.

Pracownicy komendy przystawali, żeby posłuchać. Nagle wszyscy zapomnieli, że jest piątek i że należy w spokoju przeczekać do końca dnia roboczego. Zaszemrały głosy.

– Szkoda, że się nie założyłem – rzucił ktoś.

– Zostaw to teraz, Izka, jesteś mi potrzebna – powiedział Głód.

– Jak to zostaw?! – Policjantka podciągnęła rękawy bluzy, prezentując potężne przedramiona. – Dopiero teraz mam wyniki DNA, bo wcisnąłeś mi się w kolejkę...

– Cyganka tyle czekała, to sobie jeszcze poczeka – przerwał jej podkomisarz.

– Ty, pani psycholog, przesłuchasz ze mną jednego dzieciaka. Przyszedł z matką i mówi, że ma jakieś informacje na temat księdza Drzewickiego.

Iza patrzyła na szefa zmrużonymi oczami.

– To polecenie służbowe – warknął.

– Czyli moja sprawa jest mniej ważna?! – krzyknęła przełożonemu w twarz.

– Ty to powiedziałaś. – Głód odwrócił się na pięcie. – Idziesz? Nie będę na ciebie czekał.

Iza zacisnęła pięści i poszła za nim. Chciało jej się wyć. Znowu zamiast robić coś na poważnie i na własny rachunek, będzie niańczyć jakiegoś gówniarza. A potem Głód zamknie sprawę, dostanie premię i nawet piwa nie postawi.

Tłumek na korytarzu komendy powoli się rozpraszał. Ludzie odchodzili,

szepecząc między sobą.

Rozmawiali o jednym. A echo ich rozmów rozchodziło się daleko poza komendę.

Ziarnko do ziarnka. Słowo do słowa. Telefon za telefonem. Od płotu do płotu, od człowieka do człowieka.

Wpisy na Facebooku.

To nie ksiądz-pedał zabił tamtego chłopczyka. Czyli kto? Chyba wiadomo.

Było wiadomo od początku.

Głosy nad grillem, przy piwie i kiełbaskach z okazji długiego weekendu i pomimo piątku.

Słyszeliście? W mediach już piszą, że tu sami pijacy, co biją dzieci. Taka opinia o nas poszła w Polskę i już zostanie.

I przez kogo to? Trza pokazać światu, co tu się dzieje.

Komentarze pod artykułem o sporze wójtów wokół przesiadleń Romów.

Gliny potrafią tylko stać z radarem, a jak trzeba, to nie robią nic.

Samemu się trzeba bronić.

Redaktor dużego portalu poprawił okulary. Zobaczył w statystykach nagły wzrost klikalności artykułu sprzed roku, o bijatyce między mieszkańcami Kamienia a grupą miejscowych nastolatków. To najlepiej czytający się tekst dnia, ucieszył się. To się zdarzało, gdy ktoś wygooglał stary tekst, ale nawiązujący do aktualnych wydarzeń. Mógł go wtedy wrzucić na Facebooka i stary materiał dostawał drugie życie, bo nikt nie patrzy na daty. Zareagował jak na szkoleniu: dokleił do artykułu linki do newsów o sprawie chłopca z osady, o kupowaniu Romom mieszkań za pieniądze podatnika, komentarze lokalnych polityków. Opublikował. Zatarł rękę.

Nagłówek artykułu w serwisie prawdaonline.pl:

To już pewne: dziewczynkę uratowaną od Cyganów porwano 4 lata temu w Szczawnicy.

Komentarze pod udostępnieniami tego artykułu na Facebooku:

Won z Polski.

Policja chuja robi bo obowiązuje polityczna poprawność. Taka jest prawda.

Brońmy naszych dzieci.

Powiadomienie o trendującym hashtagu #KamienObrazy przyjdzie do Sebastiana Strzygonia za późno. Podsumowania zawsze przychodzą z opóźnieniem.

Na Kamień po sprawiedliwość dziś wieczorem. Przekażcie wszystkim #KamienObrazy.

– Podasz mi kubek? – zapytał Gerard. Mówił przez nos.

Popatrzyła na niego tak, że sztywno wstał i sam poszedł do kuchni. Wrócił z herbatą i ostrożnie usiadł z powrotem na kanapie. Przynęła się do niego i objęła

go za szyję. Zamiast odwzajemnić gest, syknął i skulił się, strząsając jej rękę.

– Co ci jest? – Odkoczyła.

– Nic, *sorry*, połamany jestem – mruknął i demonstracyjnie pociągnął nosem.

– A więc to prawda, że chory facet w domu to gorsze niż przemarsz wojsk. Jeśli cię boli, to mogę ci rozmasować kark – powiedziała i złapała go za ramiona.

Krzyknął, odepchnął ją i wstał gwałtownie. Poleciała na oparcie kanapy.

– Przepraszam – rzucił i pomógł jej się podnieść.

Kiedy był zły, zdarzało mu się sprawić jej ból. Ugryźć przy pocałunku, ścisnąć za mocno, w łóżku przygnieść całym ciężarem, aż traciła oddech. To były te dni, kiedy szklanki pękały mu w rękach przy zmywaniu, a drzwi trzaskały za głośno. Czasami szukał zaczepki, aż musiała wyprowadzić go na spacer i wybiegać, trzymając mocno za rękę, żeby nie drapał się po twarzy. Ale dzisiaj to było coś innego.

– Co ci jest? – powtórzyła. – Pokaż te plecy.

Wstała z kanapy. W trzech susach znalazł się przy drzwiach.

– To był zły pomysł, przyjazd na ten weekend. – Zaczął wkładać buty. – Jeszcze cię zarażę.

– Nic nie rozumiem. – Zdezorientowana podniosła rękę. – Co jest, Gert?

– Nic. Chory jestem.

Założyła ręce na piersiach i zastawiła sobą drzwi.

– Nie wypuszczę cię, jeśli mi nie powiesz, o co chodzi.

Stał, w jednym bucie zawiązanym, drugim rozwiązany, i coś ważył w myślach. Anka obserwowała jego twarz, na której malowały się złość, wstyd i zmęczenie.

– Co byś chciała wiedzieć? – zapytał wreszcie.

Podeszła do niego i podciągnęła mu podkoszulek. Nie bronił się.

– O rany – powiedziała cicho, patrząc na ciągi krwawo podbiegniętych sińców, upiornie komponujących się z tatuażem. – Znowu miałaś wypadek na motorze? Ty się kiedyś zabijesz...! – zaczęła podnosić głos.

– Nie. Znowu dostałem wpierdol – przerwał jej, patrząc w podłogę.

– Ale jak to znowu? Na treningu? Przecież mówiłeś, że sporty walki ćwiczysz się bezkontaktowo...

– Nie. – Uniósł dłoń, żeby ją uciszyć. Zamilkła i czekała. – Po sprawie z zeszłego roku na uczelni nikt ze mną nie gada. Prawie. Czasem zaczepiają mnie ćpuny. Zwykle przy pisuarze, aż chyba sobie na gaciach wyhaftują: „Nie, stary, nie wiem, gdzie kupić prochy”. I jeszcze nawiedzone laski.

Anka ściągnęła brwi. Tak podejrzewała.

– Jedna taka się przyczepiła. Za pierwszym razem byłem grzeczny. Potem mniej. Za trzecim razem kazałem jej się odpierdolić. Panna nasłała na mnie

swojego faceta, powiedziała mu, że chce ją wyrwać, że ona się boi, bo „misiu, przecież to sadysta”. No to misio zabrał zioma z osiedla i przyszli wjechać zboczeńcowi. Ale dałem radę. Tylko że wrócili w czterech ziomów. I z psem.

Nie przerywała mu.

– Ktoś wezwał policję. I dobrze, bo było cienko – dokończył.

– A te ślady...? – Przebiegła palcami wzdłuż sińców.

– Kolczatka pitbula – rzucił krótko. Wzdrygnęła się i cofnęła rękę.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – zapytała.

– Bo po co ci taki facet, którego wszyscy nienawidzą? – Popatrzył na nią, zmęczony. – Miałem nadzieję, że kupisz ściemę, że jestem chory. Dostałem w ryj i mam spuchnięty nos, nawet dobrze się złożyło. Mógłbym spać w podkoszulku.

Zabrzmiało to jak kapitulacja. To on wywalczył, żeby spali nago, chociaż ona na początku się broniła.

– Mogłem zostać w domu. Ale byłabyś zawiedziona albo zazdrosna, że nie wiadomo gdzie się szlajam. A ja się chciałem wyrwać. Z tamtego miasta. – W jego głosie zagrała wściekłość. – I z domu. Starzy wodzą za mną zbolałym wzrokiem, matka ugotowała mi wołowinę po burgundzku, a stary pyta, czy nie chcę wymienić kompa na nowy.

Schylił się, żeby zdjąć buty.

– A ja tylko chciałem, żeby było normalnie.

Zadzwęczały dzwonki. Ksiądz Karol Drzewicki wyszedł w ornacie przed ołtarz i ucałował go. Był szary na twarzy, od dwóch dni nie jadł ani nie spał. Gdy wrócił na plebanię, proboszcz zapytał go, czy nie wolałby na jakiś czas wyjechać. Żeby odpocząć, dodał pospiesznie.

– Pan z wami. – Drzewicki rozłożył ręce. Głos poniósł się echem po kościele. – Dziś pierwszy piątek miesiąca – zaczął wprowadzenie do mszy. – Modlimy się dzisiaj w intencji wynagradzającej Sercu Jezusa za grzechy swoje i całego świata. To dobry dzień, żeby przystąpić do spowiedzi, którą w Kościele katolickim nazywamy sakramentem pojednania. Żeby pójść, zadośćuczynić bliźniemu za krzywdy. Żeby wyciągnąć do niego rękę.

Echo powtarzało jego słowa.

– Przepróśmy Boga za wszystkie nasze grzechy... – Opuścił wzrok na mszał. Nie chciał patrzeć przed siebie.

– Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu... – szeptały w pierwszej ławce trzy staruszki. Inaczej niż w inne pierwsze piątki, dziś kościół był pusty. Nawet ministranci nie przyszli. Tylko pod chórem stało trzech młodych mężczyzn.

– Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

Telefon jednego z tej trójki zawibrował. Mężczyzna przeczytał wiadomość, popatrzył na pozostałych. Kiwnęli do siebie porozumiewawczo głowami. Wyszli z kościoła. Ksiądz Karol odprowadził ich wzrokiem.

Wsiedli do starej astry i dołączyli do strumienia lokalnych aut i pieszych nadciągających z Łacka, Zabrzeży i Tylmanowej na zakole Dunajca.

Pół godziny zajęło jej spacyfikowanie mamusi. Kobieta mówiła dużo, bez ładu ani związku z czymkolwiek. Że Rafałek się uparł, a ona nic nie rozumie i nie chce robić kłopotu. Że muszą wracać, bo obiad, bo mąż, że oni to tylko na chwileczkę. Cały czas uśmiechała się i nie dawała sobie przerwać. Typowa ofiara przemocy domowej, pomyślała Iza i była dla niej wyrozumiała, zwłaszcza że Głód na krześle obok prychał, przewracał oczami i bębnił palcami o blat, a kobieta, widząc to, przeproszała coraz częściej.

Chłopiec przycupnął na krześle. Ale w oczach miał taką zaciętość, aż Iza zaczynała wierzyć, że mały rzeczywiście coś wie. Skupiła się więc na nim. Starala się, żeby poczuł się komfortowo. I znowu nie pomagał jej Głód, który demonstracyjnie patrzył na zegarek, a po każdym jego niecierpliwym chrząknięciu chłopiec się zaciął.

– Chciałeś nam o czymś opowiedzieć – przemówiła w końcu łagodnie, cały czas patrząc dziecku w oczy.

Spuścił wzrok i pochylił się nad stolikiem.

– Tak. Chodzi o księdza Karola. – Skulił się.

Głód, dotąd rozwalony na krześle, teraz wyprostował się i położył z impetem rękę na blacie, wbijając w chłopca spojrzenie. Ten gwałtownie poderwał głowę i się zająknął. Iza zacisnęła zęby. Znowu wszystko popsuje, cholerny słoń w składzie porcelany.

– Więc, kiedy zginął ten chłopczyk z osady, pamiętam, bo tam wtedy był wypadek i jeździły karetki, to było w nocy, też policja na sygnale jechała... – zaczął dzieciak. – To ja wtedy nocowałem u księdza i...

– Rafał, co ty opowiadasz – przerwała mu matka i zaśmiała się nerwowo. – Jak to, nocowałeś u księdza? Przecież w domu byłeś normalnie...

Głód nachylił się, jakby chciał złapać chłopca za ramiona. A więc to prawda, pomyślał. Klecha jest pedofilem. A to biedne dziecko to jego ofiara. Poczuł, że się poci. Może jednak nie wszystko stracone.

– Mamo, nie kłam! – krzyknął nagle Rafał. – To było wtedy, co tata mnie stłukł, więc zwałem i poszedłem do księdza, bo on mi pomagał i jak nie miałem gdzie iść, to szedłem do niego, bo nikt...

– Proszę państwa, proszę go nie słuchać. – Kobieta uśmiechała się cały czas. – On opowiada jakieś bajki, u nas nigdy nie...

– Proszę mu nie przerywać – warknął Głód. Kobieta zamilkła, jakby dostała w twarz. – No i co było dalej? – rzucił do chłopca.

Rafał zaczął oddychać szybciej.

– Ja wiem, jak na mnie teraz będą mówić – szlochał – ale ja muszę powiedzieć, jak było.

Głód wstrzymał oddech. Iza przenosiła wzrok z chłopca na kobietę.

– Ksiądz nic złego nie zrobił! Był na plebanii całą noc, wiem, bo tam byłem, oglądaliśmy *Hobbita* i zrobił mi okład na nos, bo mi krew poszła u niego w aucie, aż zbrudziłem fotel. Przez te karetki i przez to wszystko wcale nie spałem, i wiem, że ksiądz tam cały czas był! – wyrzucał z siebie. – Wcześniej się bałem, ale teraz...

Głód nagle poczerwieniał. Wstał powoli, Iza pomyślała, że zaraz złapie dziecko za podkoszulek, ale nagle oklapł. Opuścił ramiona, przetarł spocone czoło.

– Dokończysz i napiszesz protokół – rzucił do Izy lodowatym tonem.

Trzasnął za sobą drzwiami.

O zmroku był już tłum.

Nad linią drzew purpurowiało niebo. Szum Dunajca mieszał się z okrzykami z obu stron.

Na jednym brzegu, od strony szosy, u wylotu kładki, tłoczyli się młodzi i starsi mężczyźni, podgolone karki przy łysiejących głowach, trzydniowe zarosty obok wąsów i przyszczatych lic. Przyjechało też kilka kobiet. Te były najgłośniejsze. Do aut zaparkowanych wzdłuż szosy dołączały nowe.

Wylot kładki z drugiej strony zagradzała grupa Romów. Naprężone ramiona, zaciśnięte pięści, zwarci jeden przy drugim. Młodzi przekrzykiwali rzekę, odgrażając się tamtym. Starsi milczeli, tylko oczy im błyszczały. Za nimi cisnęła się grupa kobiet.

Brudasy. Chamy. Złodzieje. Tchórze. Won, szmaty. Wypierdalać, *gadzie*. Ty chuju. *Tu kareja*. Zajebię cię, skurwysynu. *Te dol tut bule tro dad*.

Ktoś machnął kijem bejsbolowym. Ktoś pobiegł do auta po klucz do kół. Ktoś ścisnął w rękę młotek.

Po dwóch stronach nurtu spiętego tylko wąską kreską kładki dwie ściany ludzi o zaciętych twarzach stały naprzeciw siebie, trzymane w miejscu tylko magnetyczną siłą odpychania.

Poruszenie po romskiej stronie zaburzyło równowagę. Konsternacja. Mur zafalował. Rozległy się krzyki zza osady.

– Od Zarzeczca ich dojechali! Z drugiej strony, od lasu! – wrzeszczał ktoś. – Dawaj ich!

Z obu stron poprzez rzekę poleciały kamienie. Na kładce zadudniły buty.

– W okolicy, znaczy gdzie? Proszę podać lokalizację zdarzenia – powtarzała dyspozytorka numeru alarmowego 112. – Jaką miejscowość pan mijał ostatnio? Rozumiem, że pan nie stąd. Czy widzi pan słupek przydrożny? Jest na nim jakiś numer? Proszę się nie rozłączać.

Sprawdziła mapę na ekranie. Granica powiatów.

– Halo, jest pan tam? Łączę z komisariatem w Krościenku.

Iza rzuciła podpisany protokół przesłuchania małoletniego świadka na biurko szefa i nie odezwawszy się do Sławka ani słowem, wyszła z pokoju. Aspirant

odprowadził ją spojrzeniem znad swoich, jak to nazywał Głód, sudoku. W komendzie zaczęli się już z niego śmiać, że powinien zagrać w totka z użyciem cyfr znalezionych przy zwłokach chłopca z osady. Może wygra milion i będzie mógł odejść z policji.

Umundurowany funkcjonariusz czekał na nią przed radiowozem. Popatrzyła w niebo. Zdażyło się ściemnić. Jest kilka godzin do tyłu. Szarpnęła klamkę wozu.

Pora to zakończyć.

– Rozumiem, że został pan tak połączony – tłumaczył cierpliwie oficer dyżurny. – Dyspozytorka jak zwykle się pomyliła. To jest tam, gdzie ta cygańska wioska, tak? No to oni podlegają pod Nowy Sącz, my tu nic nie poradzimy. Łączę z dyspozytorem.

– Numer alarmowy, proszę czekać. Numer alarmowy, proszę czekać.

– Dasz radę zawieźć mnie jutro do Kamienia? – Anka muskała jego sińce opuszkami palców. Gerard leżał na brzuchu na kanapie, z głową na jej udzie. – Regina obiecała, że opowie mi o Gwiazdce. Ale jak nie możesz, to...

– Spoko – przerwał jej. – Ale bez noszenia potworów na barana.

– Możecie w coś zagrać, w jakąś grę – zaśmiała się.

– Ja z nimi więcej nie gram. Złoiły mi tyłek w chińczyka i straciłem dwie dychy.

– Grałeś z dziećmi w chińczyka na pieniądze?! – Nachyliła się nad nim. – Ile ty masz lat, Gerard?

– To był pomysł Ricky’ego – mruknął.

– Jesteście siebie warci. Wreszcie masz kolegów na swoim poziomie.

Nie odpowiedział. Na drugim kolanie oparła laptopa. Przebiegała palcami po klawiaturze, czując, jak oddech Gerarda się uspokaja, robi się regularny. Starła się nie poruszać, balansując komputerem na podołku, jakby na kolanach zasnął jej zdziczały kot. W ciszy szumiały tylko wiatrak termoobiegu w piekarniku i radio gdzieś spod podłogi.

Profesor znowu dał jej do zrozumienia, że nie podoba mu się jej zaangażowanie w Kamieniu, bo nie ma z niego naukowego pożytku. Postanowiła mu udowodnić, że jest odwrotnie, i napisać artykuł z wykorzystaniem swoich doświadczeń. Zastanawiała się, co napisać. Miała wrażenie, że chociaż czytała o Romach książki i opracowania, zanim zaczęła bywać w Kamieniu, nie wiedziała o nich nic.

Ale czy teraz wie więcej? I czy cokolwiek mogłaby wykorzystać w pracy naukowej? I czy to w porządku wobec Reginy, Dominiki i całej społeczności? Nie po to opowiadały jej o swoim życiu, żeby zrobiła z tego pożywkę dla konferencyjnych malkontentów, bezlitosnych recenzentów i prychnięć kolegów z uczelni.

Postanowiła więc zainteresować się tą Świętą Mateczką ze Starego Sącza,

o której wciąż słyszała.

Obłożyła się Kolbergiem, Stommą i przekopywała teraz przez antyszczepionkowe forum internetowe. Tu czuła się bezpiecznie. Mogła się pobawić w swój ulubiony strukturalizm, porysować grafy i tabelki. I nikogo w ten sposób nie skrzywdzi.

Poczuła, jak Gerard poruszył głową. Wyrwał mu się stłumiony jęk. Szarpnął się znowu.

Anka odstawiła laptopa i nachyliła się nad twarzą chłopaka. Gałki oczne intensywnie poruszały się pod jego powiekami, a między brwiami pojawiła się zmarszczka.

– Gert? – szepnęła mu do ucha. Obudził się i popatrzył na nią nieprzytomnie.
– Coś ci się śniło. Coś złego.

Obrócił się ostrożnie na plecy.

– Opowiedz mi.

– To głupie... – powiedział sennie. Podniósł się na łokciu, przetarł oczy. – I nie wiem, czemu za każdym razem tak na mnie działa. Głupie, naprawdę.

– Gert...

– Dobra. Jestem na pustyni, coś jak w Arizonie. Nie wiem skąd, może spadłem z nieba, jak u Saint-Exupéry’ego, tylko nie ma wraku samolotu. Siedzę w jakiejś dziurze w ziemi. Chcę się wydostać, wspinam się na ściany, ale się nie da. Nagle słyszę głosy. Na górze są ludzie, chodzą, mówią coś. Krzyczę: „Hej, jestem tu!”. Widzę czyjeś buty na skraju, więc krzyczę głośniej, macham. Ten ktoś stoi tam chwilę, a potem odchodzi. Tyle.

Nie mówiła nic. Czuła, że to nie koniec.

– Ale ostatnio się zmieniło – dodał niechętnie. – Te buty, tam na górze. To są twoje szpilki. Wiesz, te kolorowe. Hej, co tak pachnie? – Raptownie zmienił temat. Wiedziała, że niczego więcej się od niego nie dowie.

– Jagnięcina się piecze. – Uśmiechnęła się. – Wiesz, co jest dzisiaj? *Ederlezi*.

– *Ederlezi?* – powtórzył. – Była taka piosenka.

– Bregovicia?

– Nie, Beirutu.

Kolejny dowód na przepaść pokoleniową, pomyślała.

– To takie romskie święto – wyjaśniła. – Romowie na Bałkanach zabijają wtedy owcę i świętują. I tak sobie pomyślałam, że...

Właściwie sama nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Co chciała uczcić w ten sposób.

– Ciekawe, co się teraz dzieje w Kamieniu – powiedział.

– Ciekawe – powtórzyła.

*

Kobięcy krzyk, wibrujący i wysoki, który szarpie nerwy i rozwściecza,

aż chce się go uciszyć. Krzyk kogoś ze swoich, kto oberwał, rozwścieczający jeszcze bardziej. Wtedy łatwiej rozkwasić nos pierwszemu, który się nawinie, nieważne, że ma nie więcej niż piętnaście lat.

Chwila zagubienia, gdy się stoi pośrodku i nie wiadomo, co zrobić. Pierwszy brzęk wybijanej kamieniem szyby pomaga, więc lecą następne. Trzaska łamane drewno. Buty łomoczą o drzwi. I krzyki. Coraz więcej.

– Bierz dzieci i do lasu! – krzyczał od progu popielaty na twarzy Paweł Wichura. – Szybko!

Nie czekając na odpowiedź, złapał siekierę wbitą w stojący przy drzwiach pień.

– Paweł! – Dominika dopadła go, chwyciła za rękaw. – Paweł, Boga się bój! Co bierzesz?! Co będziesz robił?! Ludzi rąbał?!

W jego czarnych oczach widniała wściekłość.

– Zarzuty już masz za policjanta! Zabijesz kogo, zabiorą cię nam, Paweł! – krzyczała, czepiając się jego bluzy.

Wyrwał się jej. Popatrzył na swoje dłonie zaciśnięte na trzonku. Zaklął. Wbił siekierę w pień. Porwał spod ściany pręt zbrojeniowy.

– Do lasu! – zawył. Zniknął w ciżbie.

Chroń go, aniele Boży, pomyślała. Odwróciła się. Czwooro struchlałych dzieci kuliło się w kącie. Z oczami otwartymi tak szeroko, jak szeroko otwiera się oczy, patrząc na niewyobrażalne.

Dominika wyjrzała za drzwi. Na środku drogi, w strudze szamba, krępy Rom zwijał się pod butami czterech chłopaków z wioski obok. Dalej wył na klęczkach siwy Polak z rozciętym łukiem brwiowym, trzymając się za twarz. W jej stronę szła grupka wyrostków. Mieli kije i pałki, tłukli nimi okna. Skandowali obelgi znane Dominice na pamięć. Śpiewali.

*Cała Polska śpiewa z nami,
wypierdalać z Cyganami.*

Po osadzie poniosło się nowe hasło, podchwyczone od razu, gardłowe, wypływane z trzewi, przemieniające się w ryk.

Dzieciobójcy! Dzieciobójcy!

Zatrzasnęła drzwi. Podbiegła do okna naprzeciwko. Było małe. Ale się zmieszczą.

– Szybko! Potem prosto przed siebie – powiedziała spokojnie do dzieci, przesadzając pierwsze z nich przez parapet.

Za chałupą był już las. Chroń nas, lesie, pomyślała, tak jak chroniłś Cyganów kiedyś.

Ale to było w innym czasie. *Oda sas tajsja.*

Odwinął tandetną złotą oplotkę z szyjki butelki i oskubał paznokciem lak. Na zmrożonym szkle kondensowała się wilgoć, spływając grubymi kroplami.

Na rozgrzebanym łóżku leżały rozrzucone notatki. Kartka z napisem „wersje” była cała pokreślona. Im niżej, tym mocniej. U dołu widniały wielkie, koślawe litery „KURWA MAĆ”. W miejscu kreski nad „Ć” długopis przebił kartkę.

Ustawił kieliszek na zamkniętym laptopie i nalał. Wypił. Uzupełnił. Wypił. Zakaszczał. Złapał powietrze. No, no.

Rzucił się na łóżko i sięgnął po telefon. Miał dosyć i Twittera, i Facebooka, ale uległ pokusie rzucenia okiem na wirtualne problemy pierwszego świata.

Usiadł gwałtownie.

Na Kamień po sprawiedliwość dziś wieczorem. Przekażcie wszystkim #KamienObrazy – przeczytał. Dalej pod hashtagiem – jego hashtagiem! – było jeszcze kilka wpisów i zdjęć, ziarnistych i nieostrych, ale poznał kładkę na Dunajcu. Przed nią gromadził się tłum.

Co do jednego się nie pomylił, pomyślał dziennikarz: kurwa mać.

To działo się jakieś pięć kilometrów stąd. Taksówka? Skąd tu wziąć taksówkę? Nawet Anki z jej motocyklowym aniołem piekieł nie było pod ręką. Krążył po pokoju.

Wybrał jedyny numer, jaki przychodził mu do głowy. O dziwo, odebrała.

– Sylwia? Jesteś w Łącku? A masz auto?

Słuchał. Przerwał.

– W Kamieniu się dzieje.

*

Pruli na sygnale, ale dojechali już po zmroku. Iza Hulak w milczeniu śledziła szosę. Funkcjonariusz za kierownicą, wyczuwając jej fatalny humor, milczał.

– Miał tu ktoś od nas być? – odezwał się, gdy wyjechali z zakrętu, zbliżając się do zakola rzeki za Zabrzeżą. Przed kładką do Kamienia stały dwa radiowozy. I kilkanaście samochodów.

Krzyk niósł się po rzece. Iza w biegu wkładała kamizelkę odblaskową z napisem „Policja” na plecach. Dopadła do radiowozu. Posterunkowy za kierownicą rzucił jej zaskoczone spojrzenie.

– Co wy tu robicie? – wydyszała, migając im przed nosami policyjną blachą.

– Co, sami tam mamy wejść? – wydusił ten na fotelu pasażera.

Aspirant Hulak się wyprostowała. Słuchała. Patrzyła. Oceniała.

– Wołaj zero-zero, niech dają posiłki, ile się da. I sprzęt do rozpraszania zamieszek z Sącza. Niech połowa wjeżdża drogą przez Zarzecze. I pogotowie, ale od tej strony. Drogówkę też ściągnij. Na wszystkie te auta – wskazała na samochody porzucone przy zakręcie – blokada na koła. I każdego, co się zgłosi do ściągnięcia, spisać. Jako potencjalnego uczestnika zamieszek. Jasne?

Oddaliła się od radiowozu, gdzie rozskrzeczało się radio. Skupiła się, żeby z kakofonii krzyków i wycia po drugiej stronie Dunajca wyłapać cokolwiek.

Skandowanie. Dzieciobójcy! Dzieciobójcy!

Polowanie na czarownice, pomyślała. Lodowaty dreszcz przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa.

Regina.

Wbiegła na kładkę.

– Tu skręć! Powinna być droga przez las od drugiej strony! – krzyczał dziennikarz, wpatrzony w nawigację. – Będzie łatwiej niż przez mostek.

Pędzili leśną drogą z takim impetem, jakby siedzieli w pancernym hummerze, a nie w starym golfie. Sylwia Nowak z Fundacji Pro Roma nie tylko bez zbędnych pytań zgodziła się podrzucić go w samo serce rozróby, ale jeszcze prowadziła jak kierowca rajdowy. Bastian przyglądał się jej kątem oka. Ubrana była na czarno, w bojówki, kurtkę zarzuconą na obcisły podkoszulek i czapkę z daszkiem, spod której wystawał koński ogon. Taka z niej działaczka społeczna, jak z Lary Croft archeolog, pomyślał, gdy dotarli na miejsce, a ona ujechała jeszcze kawałek, po czym zjechała z drogi i wpakowała auto w krzaki. Myślał, że zwariowała, ale zrozumiał, gdy wysiedli. W ciemnościach golfa nie będzie teraz widać.

Brzęk tłuczonego szkła i krzyki rozbrzmiewały coraz głośniej.

– Zostań tu. – Odpalił aparat w smartfonie, a dyktafon włączył i schował do kieszeni. Napiął barki. – Tu będziesz bezpieczna.

Tylko wydeła wargi i pobiegła pierwsza.

Coś dużego śmignęło tuż koło Izy i uderzyło w chatę. Kamień. Przyspieszyła. W tej części osady było już prawie pusto. Buty grzęzły w błocie.

Drogę zastąpił jej rosły mężczyzna. Na widok jej kamizelki warknął i się zamachnął. Złapała w biegu jego ramię, założyła dźwignię i przerzuciła go sobie przez plecy. Wrzasnął i z plaśnięciem runął w błoto, gdy ona biegła już dalej.

Pośrodku wioski, pod słupem z kamerami, zobaczyła człowieka o posiwiałych skroniach. Poznała go. To on postawił się Głodowi. Siedział na ziemi, oparty o maszt, jedną ręką podtrzymywał drugą, nienaturalnie wygiętą w dwóch miejscach. Ruszyła ku niemu, ale dwóch Romów zastąpiło jej drogę. Rozstąpili się, gdy wójt się do niej odezwał.

– Gdzie jest policja? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

Patrzyli sobie w oczy.

– W drodze. Przysięgam – powiedziała.

– *Buledimen hełade*. – Opuścił wzrok. – Wszyscy jesteście tacy sami.

– Wiem. Przepraszam – wyszeptała. I puściła się pędem tam, skąd dobiegały najgłośniejsze krzyki.

Zatrzymała się i skryła za węglem jednego z domów. Dalej kłębiła się cizba, która dotarła już do końca osady. Ludzie podnieceni adrenaliną, uniesieni zwycięstwem, w szale niszczenia demolowali, co wpadło im w ręce. Na środek

zwężającej się tu drogi poleciały deski, kartony, opona. Ktoś miał zapalniczkę. Stos zapłonął, rozświetlając Kamień łuną.

W rozbłysku ognia Iza rozpoznała chatę na końcu wioski, na uboczu. To stąd wyniosła wtedy płaczącą wniebogłosy Gwiazdkę. Lenę Wołoszyn.

Zobaczyła, jak otwierają się antywłamaniowe, wciąż zafoliowane drzwi. Przed domostwo wyszła drobna, czarnowłosa Romka o dużych oczach i doskonale znanych Izie rysach twarzy, choć teraz dużo głębszych. Na rękach trzymała płaczące niemowlę.

Aspirant Iza Hulak ruszyła przed siebie.

Romka stanęła przed wejściem, zastępując je tłumowi. Przycisnęła dziecko do piersi. Policjantka przyspieszyła. W ekstazie, zamieszaniu i dymie płonącej opony niewielu ją zauważyło. Ci, co zauważyli, sztydzili i się śmiali. Byli nasyceni.

– *Manusza!* – krzyknęła nagle Regina. Jej ochryply głos ledwie się przebijał przez rejwach. Ktoś się odwrócił, ktoś zarechotał. Iza biegła.

– *Manusza! Manuszaaa!*

Policjantka rozpychała się łokciami, ktoś zaklął, ktoś złapał ją za ramię. Za cholerną odblaskową kamizelkę. Wyrwała się. Regina krzyczała wbrew wszystkiemu, desperacko, jakby tak bardzo chciała, żeby ją usłyszeli.

– *Manusza! Na kieren lewo buci ando dziwes!*

Wariatka, śmiał się tubalny męski głos. Dziwka, wtórował mu dyszkant podrostrka. Huczał ogień, ryczały stadionowe przyśpiewki. *Cała Polska śpiewa z nami.* Tłum rozchodził się, syty i zadowolony. Aspirantka przedzierała się pod prąd rzeki ludzi. Była tuż przy Reginie. Zaraz wciągnie ją do chaty, zamknie drzwi, potem coś wymyśli. Zaraz.

– *Na kieren lewo buci...*

Głuchy stuk. Regina zamilkła. Zachwiała się. Osunęła się wraz z niemowlakiem na ziemię jak podcięta. Kamień upadł nieopodal, potoczył się jeszcze kawałek i zniknął w chaszczach.

Rozległ się dziki, wysoki pisk. Krzyczała mała dziewczynka w drzwiach chaty.

Tak głośno, że tłum się zatrzymał.

Bastian patrzył to przed siebie, to na wyświetlacz smartfona, jakby czekał, aż rzeczywistość okaże się inna niż to, co widywał w internecie. Tak bywało przeważnie. Ale nie teraz.

Dziennikarz nagrywał zamieszki, pręc do przodu, jakby nie do końca zdawał sobie sprawę, co się dzieje. Nagle stanął jak zmrożony. Wybiegli na otwartą przestrzeń akurat wtedy, gdy Romka trafiona kamieniem upadła na ziemię.

Sylwia poznała tę dziewczynę, ten dom i syknęła ostrzegawczo. Tu, gdzie stali, byli zbyt widoczni.

Z tłumy wyskoczyła krągła kobieta w odblaskowej kamizelce, zniknęła im

z oczu w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się Romka. Widzieli, jak w drzwiach domu stają chłopczyk i dziewczynka. Dziewczynka piszczała na cały głos, wyrывая się. Powstrzymywał ją chłopiec. Ludzie się odwrócili. Patrzyli. Zbliżali się do chaty, otaczali ją. Coraz ciaśniej.

Jak kometa z ogonem iskier od stosu poleciała świetlistym łukiem płonąca żagiew. Spadła na dach. Druga, z brzękiem szyby, wpadła przez okno.

– Dzieci – powiedzieli równocześnie Sylwia i Bastian. Równocześnie puścili się pędem. Rzucili między ludzi. On w biegu złapał chłopca w pół. Ona porwała na ręce dziewczynkę.

– Bastian, w las! – usłyszał za sobą głos Sylwii. Tętniło mu w skroniach i ciemniało w oczach, widział tylko skrawek drogi przed sobą. Skoczył w gęstwinię. Potykał się i biegł, kurczowo trzymając oburącz dziecko.

Zatrzymali się w lesie, ponad osadą. Sylwia kucnęła przed dziećmi, które tuliły się do siebie. Patrzyła na nie długo. Bastian przyglądał się jej. Coś działo się w jej rysach. Coś ważnego. Zrobiła gest, jakby chciała rozłożyć ręce. Dzieci cofnęły się instynktownie. Uśmiechnęła się do nich.

Blask latarki ich oślepił.

– A, się schowały czarnuchy! – zgrzytnął czyjś głos. Bastian zobaczył przed sobą cztery postacie z kijami. Zmiękły mu kolana.

– Jestem dzień... – Słowa stanęły mu w gardle. Zrobił krok w bok, zagradzając im drogę do Sylwii i dzieci.

Wszyscy czterej ruszyli jednocześnie.

Huk. Bastian przypadł do ziemi z rękami nad głową.

Mężczyźni rzucili kije. Ostrożnie unieśli ręce. Patrzyli z przerażeniem ponad nim.

Bastian powoli się obejrzał. Sylwia Nowak stała wyprostowana, mierząc do facetów z pistoletu. Oświetlała ją ruda luna od wioski. Dzieci Reginy kulili się z tyłu.

– Ostrzegawczy strzał w powietrze mam już za sobą – powiedziała spokojnie Sylwia. – Radziłabym więc panom spierdalać.

...dwadzieścia osiem... dwadzieścia dziewięć... trzydzieści... I dwa oddechy ratownicze. Raz. Dwa. I trzydzieści uciśnieć. Raz... dwa... trzy...

Iza odciągnęła ją i niemowlę jak najdalej od pożaru. Dziecko płakało. Więc żyło. Ułożyła je na ziemi i przypadła do Reginy. Uciskała z całych sił, skupiona na resuscytacji. Tylko nie to. Nie to. Za jej plecami buzował ogień.

...dwadzieścia dziewięć... trzydzieści... Raz. Dwa. Raz... dwa... trzy...

Tłum topniał jak kostka lodu. Nikt nie chciał stać blisko. Ktoś syczał, że policja, że pożar, więc trzeba uciekać. Ktoś przekonywał, że słyszał strzały. Że to musiała być prowokacja. Bo przecież nie o to chodziło, w ogóle. To tylko tak wyszło. Na otrzęwiałych nagle twarzach sadowników, sprzedawców i gospodyń,

uczniów, mechaników, ojców i braci malowała się zgroza. Ludzie znikali w milczeniu, jakby nagle każdy chciał opuścić Kamień niepostrzeżenie, chociaż weszli tu, krzycząc wniebogłosy.

Skądś pojawili się romscy mężczyźni i kilka kobiet. Biegli z kubłami, ktoś miał gaśnicę samochodową. Rzucili się gasić, ratować sąsiedni dom. I cały Kamień. To, co zostało. Wszystko.

...siedemnaście... osiemnaście... dziewiętnaście, proszę, proszę...

Spojrzała na twarz Reginy. Na zalaną krwią skroń, pozlepiane czarne włosy, kosmyk w poprzek bladego policzka.

Z daleka rozbrzmiało wycie syren.

Palis roweja.

Aspirant Iza Hulak skuliła się nad ciałem kobiety, przycisnęła obie dłonie do ust. Jej plecy zadrgały. Zaszlochała. W nagłej pustce pośrodku błotnistego, rozdeptanego placu, w huku ognia, wybuchnęła głośnym, niepohamowanym płaczem.

*Jest stek z różnych Nacji, swoich siedlisk nie mający,
ale po różnych błąka się krajach,
z wrózek, któremi prosty lud ludzq, żyją,
to z kradzieży, z handlu koni,
złe za dobre frymarzcząc, to z zdzierstwa, z czarów,
a czasem Czarnoksięstwa, z żebrania (...).
Ciało sobie czernią, alias gęsim smalcem smarują,
jeszcze w kolebce,
aby tak czarnego nabierali koloru,
a przez to samo Cudzoziemcami się wyznają (...).
Imperium ich nie cierpi, legem przeciw nich mając.
Polskie Konstytucje także (...)
z Polski ich wypędzić każq...
(Xiądz Benedykt Chmielowski,
Nowe Ateny albo Akademia wszelkiewy scyencyi pełna,
pierwsza polska encyklopedia powszechna, 1745–1746)*



ROZDZIAŁ 16

Sylwia się obudziła. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest. Odwróciła się na poduszce. Zobaczyła łokiec i bujną czuprynę.

No tak. Strzygoń.

Zasłony były zaciągnięte, za oknem dokazywały ptaki. Sprawdziła godzinę na telefonie – wpół do dziesiątej. Nie pamiętała, kiedy ostatnio spała tak długo. Pewnie na tym urlopie, na którym nigdy nie była.

Na podłodze obok łóżka leżały zabazgrane papiery, uwalane błotem ubrania, jej czarne majtki i jego bokserki z Grumpy Catem, butelka po śliwownicy, popielniczka z kalafiorom petów i zużyte prezerwatywy. Trzy.

Cicho, żeby go nie obudzić, wyślizgnęła się spod kołdry. W łazience przemyła twarz i palcem wyczyściła zęby. Jeszcze jeden zużyty kondom leżał pod umywalką. O rany.

Przejrzała zawartość kosmetyczki Bastiana. Trochę męskich kosmetyków, zestaw do paznokci, perfumy – powąchała, podobały jej się. Do tego dwie wciąż zafoliowane paczki prezerwatyw. Na każdy służbowy wyjazd zabiera takie zapasy? Ciekawe, czego się spodziewał. Dokazywania na sianie z wiejskimi dziewczuchami?

Weszła pod prysznic i przypominała sobie. Jak wrócili tu w nocy, spoceni, ubłoceni, nabuzowani adrenaliną. Jak stwierdziła, że po czymś takim trzeba się napić. Jak powiedział, że ma napoczętą flaszkę śliwownicy. Jak pili owocowy samogon z gwinta, na zmianę, łapczywie, jak weterani tej samej wojny, jak towarzysze broni. Zapytał, czy nie chce się odświeżyć. Gdy ściągała bluzkę, chyba już wtedy całował jej obojczyk, ramię, szyję, plecy. Ścierali z siebie bitewny kurz, pot, uwalniali się z ubrań, razem wylądowali pod prysznicem, w strugach wrzątku, w gorącej parze. Uniósł jej udo, postawił ją pod ścianą, zaatakował. Czowała chłód kafelków, o które oparła pośladki, na zmianę z siekącym jej ciało ukropem. Odchyliła głowę, zamknęła oczy, woda zwilżała jej spierzchnięte usta, łykała jej krople z każdym krzykiem.

Przestawiła kurek na zimną wodę, by przegonić wspomnienia. Umyła włosy Bastianowym szamponem. Pachniał mentolem. Marek natychmiast wyczuje męski szampon i zacznie zadawać głupie pytania. Chociaż raczej nawet się nie zorientował, że nie wróciła na noc. Pewnie leży zalany, a ona kosztem własnego bezpieczeństwa kryje jego żaloszny brak profesjonalizmu.

Zimna woda chłostała jej plecy, spływała po udach, budząc gęsią skórkę.

Przypominała sobie, jak się potem śmiali, twarzą w twarz, zetknięci czołami.

Wplatała palce w jego włosy, on dotykał jej policzków. Umyli się nawzajem. Zapach waniliowego żelu pod prysznic już zawsze będzie ją trochę kręcił. W pokoju usiedli na podłodze, żeby wyschnąć, żeby napić się jeszcze, żeby wrócić do siebie. I wrócili do siebie, teraz wolniej, dokładniej. Siedziała oparta o łóżko, gdy Bastian sunął ustami przez jej piersi, wzdłuż szlaku między spletem słonecznym a pępkiem i dalej, by zawędrować między jej uda i doprowadzić ją pod sam szczyt. Wtedy skoczyła na niego. Rozłożyła go na łopatki na wykładzinie, dosiadła, rozkrzyżowała mu ramiona, ścisnęła kolanami, wbiła mu je w boki. Przemknęło jej przez myśl, że jutro będzie miał siniaki od tej jazdy. Dzikość, wolność, pot, zmęczenie i długi finisz w krzyku ni to rozkoszy, ni to rozpacz, jakby ich ciała wiedziały coś więcej niż oni sami.

Ona też nie wykazała się wczoraj profesjonalnym dystansem, pomyślała. I to nie tylko dlatego, że pieprzyła się ze źródłem informacji. W dodatku mało wiarygodnym.

Bo po co pojechała z nim do Kamienia? Co to miało wspólnego z jej zadaniem? To tylko lokalna zadyma, niezwiązana z jej misją.

Jednak poszła tam. Wmieszała się. Zdekonspirowała. Po co? Dla tej kobiety? A może po to, żeby na koniec popatrzeć w oczy tamtym dzieciom? Bo przecież nie zrobiła tego dla Strzygonia.

Owszem, zrobiła wczoraj dla Strzygonia kilka naprawdę miłych rzeczy. Z podłogi przenieśli się do łóżka – ich dwoje i flaszka śliwowicy, która rozmiękczała im kolana, spółgłoski i zahamowania. Opowiadał, że według legendy tutejsze sady powstały, gdy ongiś łącki proboszcz jako pokutę za cudzołóstwo nakazywał sadzić śliwy lub jabłonie. Ze śmiertelnie poważną miną Bastian zaproponował założenie wspólnego sadu. „Daje krzepę, krasa lica nasza łącka śliwowica” – przeczytała na etykiecie i stwierdziła, że to brzmi jak reklama afrodyzjaku. „Gdy cię krzepi śliwowica, daje każda krasawica” – odparł Bastian. Śliwkowy bimber krążył w nich, wypłukiwał adrenalinę, rozprowadzał endorfiny po ich ciałach, rozmywał wszystko wokół tak, że byli tylko oni dwoje, szukający w sobie nawzajem schronienia przed chaosem. Jakby za pomocą tego misterium życia starali się odpędzić obraz śmierci, który wciąż mieli pod powiekami.

A potem już nic nie pamiętała.

Sylwia zaklęła i zakręciła wodę. Naciągnęła na siebie pierwszy lepszy podkoszulek leżący na wierzchu. Skoro już musiała się wmieszać, to mogła zainterweniować wcześniej. Może wtedy Regina wciąż by żyła. Odsunęła tę myśl. To nie było jej zadanie, tylko policji. Oni mają gumowe kule. Ona – tylko ostre. Co miała zrobić, powystrzelać ich wszystkich?

Zaklęła jeszcze raz. Popełniła wczoraj kolejny błąd. Rzuciła gdzieś kaburę z bronią.

Wyszła z łazienki i bezszelestnie doskoczyła do sterty ciuchów na podłodze.

Jest! Odetchnęła z glockiem w dłoni.

Usłyszała klik robionego smartfonem zdjęcia.

– Dzień dobry, Sylwio Nowak. – Uśmiechnął się do niej z łóżka. – Kimkolwiek jesteś.

Iza mieszała kawę. Bolała ją głowa – od płaczu i z braku snu. Czuła, jakby pod powieki ktoś nasypał jej szkła.

Patrzyła na jasnowłosą dziewczynkę, która biegła podekscytowana, ściskając w objęciach dwie lalki.

Powiedzieli jej, że będzie miała gości. Że przyjdzie do niej rodzina.

A Iza zastanawiała się, czy dziewczynka wie, że to nie będzie nikt z Kamienia. Że ta mama, którą woła od rana i na której spotkanie tak się cieszy, nie żyje.

Czy ktoś jej powiedział? A może ona powinna to zrobić?

Przetarła zaczerwienione oczy. Dziewczynka wyciągała przed siebie to jedną lalkę, to drugą. „Jedna dla ciebie, jedna dla mnie”, zrozumiała aspirantka. Swojej siostry mała też już pewnie nie zobaczy. Ani brata.

Czyli świat wraca do równowagi, pomyślała. Zaginione dziecko powróci do rodziców. Odzyska imię, nazwisko, przeszłość. I przyszłość. Bo jaką przyszłość miałyby w Kamieniu?

Starła się tak myśleć. Ale wtedy wibrował jej w uszach krzyk Reginy.

Rozległ się dzwonek i w przedpokoju zaszurały buty.

– *Dej?! –* zawołała dziewczynka. Rzuciła się przez pokój. I stanęła jak wryta.

Do salonu powoli, na miękkich nogach, wszedł mężczyzna. Ukląkł na dywanie. Nawet nie zdjął kurtki. Wyciągnął do dziewczynki ręce.

– Lena? – zapytał Bartosz Wołoszyn. – To ty, maleńka?

Zadrzał mu podbródek. Próbował coś powiedzieć, ale głos wiązał mu w gardle.

A dziewczynka cofnęła się o krok. Spłoszona, odnalazła wzrokiem panią Malwinę z pogotowia opiekuńczego, podbiegła do niej i złapała ją za nogę. Kobieta pogłaskała dziewczynkę po blond loczkach i delikatnie pchnęła w stronę mężczyzny.

– Maleństwo moje – wyszeptał – chodź do mnie. To ja, twój tatuś...

Podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. Iza syknęła, gdy pisk dziecka rozdarł ciszę. Lena zaczęła się wyrwać, uderzając na oślep piąstkami.

– Kto to, kto to!?! – wydusiła z siebie.

– To jest twój tata – wyjaśniła łagodnie Malwina.

– *A dej?* – Lena płakała. – *A mama?!*

– Mama też wróci – przemawiał do niej Wołoszyn. – Teraz już na pewno wróci... Jak się tylko dowie, to wróci...

Wyrwał mu się krótki szloch. Po przedczesnych zmarszczkach wokół oczu

popłynęły mu dwie łzy. Iza czuła, że jej też znowu chce się wyć.

Wołoszyn puścił dziewczynkę. Uciekła do kuchni.

– Proszę dać jej czas – powiedziała opiekunka. – Boi się, to normalne. Będzie pan musiał być cierpliwy. Jest pan teraz dla niej obcym człowiekiem.

Mężczyzna pokiwał głową. Otarł oczy.

– Ona będzie tęsknić – ciągnęła Malwina – za tamtą... kobietą, którą nazywała mamą, za rodzeństwem. Proszę być dla niej wyrozumiałym. Gdy jest zdenerwowana, mówi tylko po romsku. Ale jest bystra, szybko się przestawi. Aha, i proszę ją zarejestrować w przychodni w Szczawnicy, żeby założyli jej kartę szczepień. To trzeba będzie uzupełnić.

– To Lena nie była szczepiona? – zainteresował się.

Malwina pokręciła głową.

– Musimy założyć, że nie. Nie ma żadnej dokumentacji medycznej.

– To dobrze – powiedział w zamyśleniu Wołoszyn.

Opiekunka popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Dobrze?!

– Jesteśmy zwolennikami medycyny naturalnej – wyjaśnił mężczyzna. – Szczepienia to wymysł firm farmaceutycznych, uważam, że trzeba przed nimi chronić dzieci.

– Proszę pana... – zachnęła się kobieta.

– Słyszała pani, z czego robi się szczepionki? Od wieków człowiek leczył się darami natury i wszystko było dobrze, dopiero chciwość Big Pharmacy spowodowała takie choroby jak autyzm, alergie, nietolerancje pokarmowe. My zawsze leczylismy się u Świętej Mateczki ze Starego Sącza i od lat nawet kataru nie miałem.

Kobieta założyła ręce na piersiach.

– A pańska żona? – rzuciła.

Mężczyzna spurpurowiał.

– To nie ma nic do rzeczy!

– Cóż. Proszę tylko pamiętać o obowiązkach, które nakłada na pana prawo – powiedziała sucho Malwina. I wyszła z pokoju.

Iza została z Wołoszynem sama.

– Wiecie, jak to się stało? – zapytał. – Jak ta kobieta, ta... – Zatrząśł się ze złości.

– Nie wiemy – przerwała mu. – A ta kobieta już nic więcej nie powie.

– Niby dlaczego?

– Nie słyszał pan, co się wczoraj działo?! Ona nie żyje. Zginęła w zamieszkach w Kamieniu.

Umilkła, bo opiekunka przyprowadziła Lenę do pokoju. Dziewczynka wciąż trzymała w objęciach lalki. Nadal szlochała.

– Chodź, pobawimy się – zaproponował Wołoszyn.

Lena mocniej przytuliła lalki.

– ...dna dla mnie. – Pociągnęła nosem. – ...i dla Darii...

– Kupię ci tyle lalek, ile zechcesz. – Wołoszyn wyjął z reklamówki kucyka Pony, ale dziewczynka dalej patrzyła na ojca podejrzliwie. – Patrz, jaki ładny konik. Nie podoba ci się?

– Proszę się nie dziwić – odezwała się Malwina. – Teraz wszystko jest dla niej nowe. Będzie potrzebować kotwicy, która da jej poczucie bezpieczeństwa. Do tych lalek zdążyła się przywiązać.

Iza przypomniała sobie, co ma w torbie, i wydobyła zniszczonego pluszowego misia. Wczoraj w nocy wyniosła go z domu Reginy.

Uklękła na dywanie przed Leną.

– Gwiazdko – powiedziała. – To twoje.

Dziewczynka rzuciła lalki na podłogę i porwała misia w ramiona. Wtuliła buzię w plusz, jakby przez swąd spalenizny wyczuła zapach domu.

– Zostaw, to brudne. – Wołoszyn skrzywił się i obrzucił policjantkę karcącym spojrzeniem. Ale Lena nie pozwoliła odebrać sobie misia. – Zaczniemy nowe życie. Normalne.

– Standardowe narzędzie pracy w organizacji pozarządowej? – zapytał Bastian, wskazując na glocka.

– To nie tak, jak myślisz. – Wiedziała, jak głupio to brzmi.

– Nie jesteś z żadnej Fundacji Pro Roma – rzucił. – Zwłaszcza że Fundacja Pro Roma nie istnieje. Nie raportuje. Nie publikuje. Nie prowadzi żadnej działalności. A wpis w KRS-ie pachnie lewizną na kilometr.

Zmrużyła oczy. Punkt dla niego. Legendowała się w pośpiechu, nie zdążyła zadbać o bardziej misterny i szczegółowy kamuflaż.

– Więc... – kontynuował – albo jesteś ze służb, albo z jakichś cygańskich Czerwonych Brygad. Trafiłem?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie mogę ci powiedzieć. I muszę już iść.

– Nie dam ci wyjść tak po prostu. – Wyprostował się na łóżku. – Po pierwsze, nie wyjdiesz z gołym tyłkiem. Po drugie, ta koszulka jest moja i nie oddam jej bez walki. Po trzecie, będę cię szukał. Na przykład wrzucę na fejsa tę fotkę.

Pomachał telefonem. Na wyświetlaczu było zdjęcie, które zrobił jej przed chwilą. Półnaga Sylwia z glockiem w dłoni.

– Z pytaniem: czy ktoś zna tę kobietę?

Zacisnęła dłoń na broni. Wyciągnęła ramię przed siebie i wycelowała w sufit.

– Oddaj telefon.

– Weź go sobie. – Oblizwał wargi.

Uklęła w pościeli i na kolanach zaczęła się do niego zbliżać. Jego źrenice się rozszerzyły, cofnął się i oparł o ścianę. Przyłożyła mu do uda zimny bok lufy, sunąc nią w górę. Zareagował natychmiast. Wtedy złapała go za nadgarstek, ścisnęła, wyjęła mu telefon z dłoni, odnalazła zdjęcie i skasowała.

– Mata Hari – powiedział. – Ty jesteś ze służb, tylko jeszcze nie wiem jakich. CBS? Wywiad? Agencja Bez Walizki?

– Jak? – zdziwiła się i usiadła na piętach, wciąż z glockiem w dłoni.

– To po tej akcji we „Wprost”. – Uśmiechnął się. – Po której agencji zapomnieli walizki z redakcji.

Nie zdołała się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

– Trafiłem! ABW! – ucieszył się Bastian.

Zamilkła.

– Możemy sobie pomóc – zaczął ostrożnie. Przypominał sobie jej ciało ukryte teraz pod jego podkoszulkiem. Małe, jędrne piersi, umięśniony brzuch i wystające kości miednicy. Pieprzyk na obojczyku. – Ja coś wiem, ty coś wiesz. Razem wiemy pewnie całkiem sporo.

– Mnie nie interesują Kamień, martwe dzieci i Cyganki porywające noworodki. Zajmuję się bezpieczeństwem państwa przed ŚDM.

– To nawet lepiej. – Położył dłonie na jej nagich udach i zaczął sunąć w górę.

– Dlaczego? – zapytała, odkładając broń na podłogę. Wyprostowała plecy, napięła szyję.

– Bo skoro nie jesteśmy dla siebie nawzajem źródłami... – Podciągał jej teraz podkoszulek. Słuchała go, nie mogąc się zdecydować, co dalej. – ...to możemy w spokoju, bez wyrzutów sumienia i dylematów etycznych...

Uniosła ręce i pozwoliła się rozebrać.

– ...po prostu wrócić do łóżka.

*

Dominika zgasła niedopałek w popielniczce.

– Mój Boże – szepnęła Anka. Chciała powiedzieć tyle rzeczy. Ale żadnej nie potrafiła wyrazić.

Rano zadzwonił Bastian, mówił cicho i krótko. Miała wrażenie, że ktoś u niego jest, ale może po prostu był w szoku. Próbowwała znaleźć w mediach szczegóły tego, co nocą wydarzyło się w Kamieniu. Pojawiły się komentarze, ale informacji było niewiele. Tyle że zginęła kobieta. Romka. Więc wsiedli z Gertem na motor i pognali na złamanie karku.

Kto nie znał Kamienia, nie od razu dostrzegłby różnicę. Najpierw rzucały się w oczy powybijane okna. Prawie wszystkie. Dopiero potem widziało się szczegóły. Złowieszcze, jak wdeptany w błoto dziecięcy bucik. Nie wybiegła im na spotkanie

gromada dzieciaków. Odmienne spojrzenia mijanych ludzi. Już nie nieufne, zirytowane czy wrogie. Teraz oczy mieszkańców Kamienia były nieobecne. Puste.

Dom Reginy ział wypalonymi oknami i okopconymi ścianami, zapadła się połowa dachu. Stos desek i opon wciąż jeszcze trochę dymił.

Mgła i dym. Nad Kamieniem wisiała cisza po burzy.

Paweł, z podrapaną twarzą i podbitym okiem, wyszedł, trzaskając drzwiami, gdy tylko ich zobaczył. Najmłodsze dziecko Reginy spało w gondolce. Starsza dwójka siedziała osowiała na wyliniałym dywanie, nad nieruszoną stertą klocków. Dzieci Dominiki próbowały wciągnąć kuzynów do zabawy, ale szybko się poddały. Daria nie chciała nawet ciastek, po które zatrzymali się specjalnie na stacji benzynowej. Nie zainteresowała się wisiorkiem Anki. Hałaśliwy i bezczelny Ricky dziś jakby zmałał. Siedział zgarbiony przy Gercie i przekładał klocek z dłoni do dłoni. Z oczami otwartymi tak szeroko, jakby wciąż na to wszystko patrzył.

– Co teraz będzie? – zapytała Anka.

– Dzieci mojej siostry zostają z nami – odparła Dominika. – Tak zawsze jest. Tak musi być.

Włosy miała w nieładzie, usta popękane i spierzchnięte. Jej bluzka była ubrudzona sadzą.

– A Gwiazdka?

– Gwiazdka nie wróci. Nie ma już Gwiazdki, jest... – Romka się zająknęła.

– ...Lena – dokończyła szeptem Anka.

Anka myślała w milczeniu. Tyle pytań. Ale jak pytać w takiej chwili? I czy to wszystko ma jeszcze znaczenie?

– Potrzebujecie czegoś? – rzuciła.

– Tak. Ale jeszcze nie wiem czego – odpowiedziała Dominika. – Pewnie wszystkiego. Paweł dalej czeka, aż szef go zawoła do pracy. Nie mamy na życie.

Anka wyjęła z torebki wizytówkę i długopis.

– Tu jest numer do mnie. I do Gerta. – Zapisała ten drugi na odwrocie. – Dzwońcie, gdybym mogła jakoś...

Dominika wzięła wizytówkę. Biały bilecik z herbem uniwersytetu wyglądał tu jak wiadomość z kosmosu.

Wyrzała za okno.

– Ta mgła... Nigdy nie wierzyłam w takie rzeczy. Regina wierzyła. Wiesz, co by powiedziała? Że to zmarły krąży wokół domu. Ale jeśli ten zmarły to ona...

Utkwiła wzrok gdzieś za ginącą w nierzeczywistych oparach linią drzew.

– ...to dobrze.

Głód nie patrzył ani na żonę, ani na córkę, ale śledził tłuste oka pływające między nitkami makaronu. W weekendy zasada była prosta: drugie mogło być dietetyczne. Smakujący jak papier indyk z parowara, smętna kupka brązowego ryżu i sałata z jogurtem 0%. Ale rosół musiał być. I to taki, jak u mamy.

Powinien z nimi porozmawiać. Baśka ciągle była obrażona o tego księdza, a Grażyna narzekała, że ostatnio mąż prawie nie bywa w domu. Ale po tym, co się stało wczoraj, po prostu nie miał siły.

– To co z tą pałą z wuefu? – zapytał wreszcie w talerz.

– Poprawiłam – mruknęła dziewczyna. – Na trzy plus.

– No to bez szału. – Wciągnął nitkę makaronu. – Nie postarałaś się.

– A wy? – Baśka przechyliła głowę. – Też żeście się za bardzo nie postarali.

Ludzie musieli załatwić sprawę z Cyganką za was.

Grażyna zamarła z łyżką w powietrzu. Głód powoli podniósł wzrok na córkę.

– To był samosąd – wycedził. – A w tym kraju tylko organy państwa wyznaczone do tego przez prawo mogą wymierzać sprawiedliwość. Iza Hulak już tam była, już ją prawie miała w radiowozie, gdy... – Urwał. Po ich spojrzeniach zorientował się, że coś jest nie tak. Nie podniósł głosu, nie pieklił się. – Szmaciara zostałaby przesłuchana i poszłaby do pierdła, gdzie jej miejsce – sapnął. – A tak dalej nie wiemy, co się stało. Jest za to kolejny trup, kolejna sprawa, papiery, oględziny, przesłuchania, korowody, do tego media, dziennikarze, afera na cały kraj.

– I znowu nie będziesz mógł iść na ryby – dokończyła Baśka.

– Ktoś chce dokładkę? – Grażyna nerwowym ruchem sięgnęła do wazy.

– Nie o to chodzi. – Głód sam się dziwił swojemu spokojowi. – Przestępcy będą zawsze. Bandyci, oszuści, złodzieje. Ale gdy ludowe poczucie sprawiedliwości zaczyna być ważniejsze niż prawo, gdy zwykli ludzie łapią za siekiery i pochodnie... Wiesz, co to dla mnie znaczy?

Baśka patrzyła pytająco.

– Chaos – powiedział i odsunął od siebie talerz. – To znaczy, że nie interesuje mnie już margines społeczny, tylko wszyscy. I że już nikt nie może się czuć bezpiecznie.

Zapachniało benzyną i snop iskier buchnął w wieczorne niebo. Anka cofnęła się o krok i oparła plecami o pierś Gerarda, a on splótł dłonie na jej brzuchu. Rozpięła kurtkę, schwytna między jego ciepło a żar ogniska, które buzowało na tyłach zniszczonego domu Reginy. Powiodła wzrokiem po twarzach zebranych, na których pełgały odblaski i rzucane przez ogień cienie.

Dzień spędzili na porządkowaniu rzeczy Reginy. Dziecięce ubranka i zabawki zanieśli do domu Dominiki, do małego pomieszczenia, gdzie spała czwórka dzieci. Teraz będzie tam spać sześcioro. Z izby, gdzie ogień wyrządził największe szkody, mężczyźni wynieśli nadpalone meble. Ubrania Reginy Dominika przeznaczyła na spalenie. Zabrała tylko zegar z widokiem Lourdes, który jakimś cudem nie ucierpiał. Co chwilę przychodzili ludzie. Czasem pomagali, czasem tylko siedzieli przez chwilę, rozmawiali. Czasem płakali. Czasem nie mówili nic.

– To jak czuwanie przy zwłokach – powiedziała Ance Dominika. – Ludzie przychodzą powspominać. Pożegnać się. Tylko zwłok nie ma. Jest tylko mgła.

Ciało Reginy zabrano. Mówili, że musi być sekcja. Dominika skarżyła się, że nikt im nie wyjaśnił, co będzie dalej. Zresztą kiedy policja wreszcie dotarła do Kamienia, ona wciąż siedziała z dziećmi w lesie.

Dominika wrzuciła ubrania do ogniska. Płomienie przygasły i zakopciły czarnym dymem. Anka przetarła piekące oczy. Na początku, po rozmowie z komendantem, ale zanim pierwszy raz przyjechała do Kamienia, fantazjowała o tym, jak usiądzie kiedyś z Romami przy ognisku. Wyobrażała sobie, że ktoś starszy zacznie snuć opowieści o dawnych czasach. Że, jak kiedyś Jerzy Ficowski, tak teraz ona uchyli drzwi do innego świata, dowie się prawdy o cygańskim losie.

Nie sądziła, że ognisko, przy którym stanie z Romami, to będzie pogrzebowy stos. Płonący nad brzegiem Dunajca, jak ogień w Waranasi nad Gangesem.

Czy Anka dowiedziała się czegokolwiek o cygańskim losie? W głowie miała tylko czarny dym, mgłę, przez którą widziała zarysy sylwetek po drugiej stronie ogniska. Podmuch wiatru na chwilę rozgonił dym. Zobaczyła Dominikę z niemowlęciem Reginy w ramionach, dzieci uczone spódnicy matki. Zaciętą twarz Pawła. Markusa, którego skronie wydały jej się teraz jeszcze bielsze, a zmarszczki jeszcze głębsze.

Anka drgnęła, gdy małe rączka wsunęła się w jej dłoń. Spojrzała w dół. To była Daria. Anka wzięła dziewczynkę na ręce. Mała natychmiast ją objęła i ukryła twarz w zagłębieniu jej szyi. Z wysiłku Ance drżały ramiona, ale trzymała dziewczynkę kurczowo, delikatnie kołysząc ją i nucąc jej do ucha.

Poczuła, że Gerard zabiera rękę z jej brzucha. Patrzyła, jak kładzie ją na ramieniu Ricky’ego, który stanął u jego boku i bardzo starał się nie rozplakać.

Czy to ciepło było od ogniska, sypiącego w niebo iskrami, które wracały jak spadające gwiazdy? A może to ta konfiguracja, ta masa krytyczna, która z niej powstała, wywołała jakąś reakcję łańcuchową? Kobieta, mężczyzna, dziewczynka i chłopiec. Nie najmłodsza już kobieta bez relacji społecznych. Pożyczony na chwilę mężczyzna, który dopiero co przestał być chłopcem, a już zdążył zostać wyrzutkiem. Dwójka cygańskich sierot, które właśnie straciły matkę.

Rodzina.

Po twarzy Anki popłynęły łzy. Wyrwał jej się pojedynczy szloch. Były w nim żal, poczucie winy i smutek. Żal za utraconym czasem. Poczucie winy, bo w tej strasznej chwili zamknęła się w bańce ciepła ciała ich czworga i nagle poczuła się w niej taka szczęśliwa.

I kto tu jest złodziejką dzieci? – pomyślała. Odsądzona od czci i wiary Regina czy raczej ona, grzejąca się przy jej pogrzebowym stosie z jej córką w ramionach?

A smutek brał się ze świadomości, że to jeden jedyny moment w życiu,

kiedy ma szansę poczuć to ciepło. Że takiego momentu już więcej nie będzie.

Chyba że...

Przytuliła mocniej dziewczynkę i pocałowała ją w policzek, nie pozwalając sobie dokończyć tej myśli.

Kiedy Sylwia wyszła, Bastian pozbiierał z podłogi prezerwatywy i razem z butelką po śliwownicy wyrzucił do kosza. Znalazł bezszwowe czarne majtki. Żadnych koronek, kokardek, tasiemek. Czysta praktyczność. A więc wyszła stąd bez bielizny, pomyślał i znowu zrobiło mu się gorąco.

Potem usiadł do komputera i młócił w klawiaturę bez przerwy, bez odpoczynku i bez wahania. Odreagowywał. Za pomocą słów, nad którymi miał kontrolę, próbował wyrzucić z głowy obrazy, które wciąż widział, gdy zamykał oczy, dźwięki, które wyłapywał z szumu tła. Wykrzywione twarze. Płomienie. Krzyk. I strzał.

Słowami egzorcyzmował. Oswajał grozę. Przekuwał ją w gniew.

Zapisał plik i złapał za komórkę.

– Szefie. – Po drugiej stronie usłyszał zirytowane „halo”. – Przepraszam, że tak w sobotę wieczorem, ale wiesz, co się dzieje. Napisałem tekst o wydarzeniach w Kamieniu. Mam też wideo. Z samego środka. Chcesz na to popatrzeć czy wysyłać od razu do Igora, żeby wrzucił do internetu, póki temat jest gorący?

– Nie trzeba. Na stronie cały dzień wisi komentarz Jadzi. Klika się jak szalony – odparł naczelny.

Bastian otworzył serwis „Horyzontu”. *Serca z Kamienia*, przeczytał. Wielkie słowa. Kwantyfikatory ogólne. Zero konkretności.

– A na jakiej podstawie ona to napisała? – zapytał. – Komunikatu policji? Przecież tam nie ma żadnych faktów!

– To komentarz, nie reportaż. To jest jej zdanie. Ma do niego prawo. A naszych czytelników bardzo interesuje, jakie jest zdanie Jadzi Rajchert.

– Ale ja tam byłem! – eksplodował Bastian. – Widziałem to wszystko na własne oczy! I zgadzam się, że stała się rzecz straszna, że doszło do wybuchu nienawiści, którego nie da się niczym uzasadnić, ale na przykład Jadzia w ogóle nie wspomina, że to dziecko znalezione w Kamieniu to była córeczka jakichś ludzi ze Szczawnicy, która zniknęła dawno temu.

– Twierdzisz, że oni mieli powód, żeby urządzić w Kamieniu pogrom? – warknął naczelny. – Że mieli prawo zabić tę kobietę?

– Nie – odparował Bastian. – Sugeruję, że bez tej informacji to tylko część prawdy. Tępiemy *fake newsy* u konkurencji, trąbimy na prawo i lewo o postprawdzie, a sami co robimy? To, co się stało, jest już dostatecznie wstrząsające. Nie musimy tego jeszcze podkreślać, żeby było bardziej po naszymu...

– Wziął oddech i dokończył: – ...albo żeby pasowało Jadzi do tezy.

– Sugerujesz, że tekst Jadzi jest nierzetelny? – Głos szefa był lodowaty.

– Nie! – Bastian złapał się za głowę. – Mówię tylko, że jej tam nie było. A ja byłem. To co ja tu niby robię w takim razie? Na wakacjach jestem?!

– Wysłałem cię, bo miałeś jakieś tajemnicze informacje, że policja, cytuję, jedzie tam po bandzie – przerwał mu naczelny. – Ale jak dotąd z twojego śledztwa wynikło tylko tyle, że miejscowy ksiądz nikogo nie molestował. Spodziewałem się piętnującego nadużycia władzy artykułu śledczego, który rozwali system. I ciągle na niego czekam – wycedził. – Więc do roboty.

– A co z moim tekstem? – zapytał Bastian przez zęby.

– Nie wiem. Zrób z nim, co chcesz – odparł szef. I się rozłączył.

Dziennikarz rzucił telefon na blat. Może gdyby usiadł do komputera zaraz po powrocie z Kamienia, a nie zabawiał się w łóżku z wystrzałową funkcjonariuszką ABW, toby ubiegł Jadzię i w świat zamiast przemysleń wszytkowiedzącej pani redaktor poszłoby, co tak naprawdę się wydarzyło.

Ale nie oddałby tej nocy za żaden dziennikarski sukces.

Wszedł na swojego starego bloga, gdzie ostatnio pisał tylko recenzje drogich zegarków, męskich gadżetów i akcesoriów do smartfonów, które dostawał jeszcze czasem od PR-owców. Wkleił artykuł. Opublikował. I napisał na Twitterze:

Kamień na kamieniu. Relacja z pierwszej ręki. Czytajcie #RaportStrzygonia.

Zawahał się, czy nie dorzucić filmiku. Obejrzał go jeszcze raz. Cholera, klikałby się, choć jakoś była słaba. Drobną Romką z niemowlęciem na ręku pada na ziemię, trafiona kamieniem w głowę. Tłum wyje, ogień błyska. Bastian pomyślał o szerach i komentach, które filmik by zgromadził.

I poczuł mdłości.

Leżała w łóżku, z poduszką w objęciach, i odpływała w sen. Cały czas czuła dym z ogniska, swąd benzyny przemieszany z zapachem kokosowego olejku. Gerard wślizgnął się pod kołdrę i odgarnął jej wilgotne włosy z karku, całując ją poniżej ucha.

– Wiesz, która jest godzina? – westchnęła Anka. – Nie mam siły...

– Nie musisz nic robić – wymruczał, sunąc ustami w dół jej kręgosłupa, krąg po kręgu. – Tylko połóż się wygodnie, a ja się wszystkim zajmę. I będę bardzo delikatny. Obiecuję.

Nic nie powiedziała, tylko umościła się wygodniej, a on musnął jej boki opuszkami zimnych palców i mocniej przywarł ustami do jej kręgosłupa. Zadrzała, czując na plecach kropelki lodowatej wody w jego zaroście. Odkąd Gerard wrócił z Kuby, przysnic brał zimny.

Mulo, znowu sobie przypomniła. *Mulo*, czyli zimny. Zimny, czyli duch, upiór, postać z innego świata. *Mulo*, czyli trup. Jeśli kobieta raz zada się z *mulo*, to już nigdy nie wyjdzie z niej nic żywego. Stąd biorą się bezpłodne kobiety, tak wierzyli Romowie, czytała w jakimś opracowaniu. Wzdrygnęła się, jakby ją też

przeszło zimno.

Przyjęła na siebie jego ciężar, czując, jak on chwyta jej dłoń i wspólnie zaciskają palce na prześcieradle, jak łączą się ich oddechy, jak jego skóra rozgrzewa się od jej skóry i jak się w jej skórę wtapia, a ich ścięgna, mięśnie i żyły splatają się ze sobą, tak że już nie wiedziała, czy to jego serce na jej łopatce, czy to jej puls, czy ich wspólny łomocze jej w skroniach. Mogłaby przysiąc, że z każdym pchnięciem lepiej słyszy jego myśli, jak wybuchają jej pod czaszką feerią kolorów, kształtów i brył.

Musiał zakryć jej usta dłonią, żeby krzykiem nie pobudziła sąsiadów, a sam skończył z cichym jękiem i przewrócił się na plecy. Przyłgnęła do jego boku, zastanawiając się, czy w dzisiejszych emocjach pamiętała o pigułce antykoncepcyjnej. Mogłaby wstać, wydostać się z magnetycznego pola jego ciepła, pójść do łazienki i sprawdzić.

Niech się dzieje, co chce, pomyślała.

I zasnęła.

W łóżku, które nagle wydało mu się wielkie i puste, Bastian po raz kolejny przekartkował notatnik. Spróbował przywołać wspomnienie wczorajszej nocy, ale zamiast ciała Sylwii widział pod powiekami tylko płomienie.

Popatrzył na swój pierwszy schemat. Dwa zbiory. Romowie i dzieci. A w ich wspólnej części ksiądz i Regina. Czy to założenie było poprawne? Może należy o nim zapomnieć i zacząć od nowa, szukając poza częścią wspólną tych zbiorów?

Tylko szukać – czego?

Wypisał nagie fakty. Obok wylistował hipotezy. A potem zgiął kartkę w połowie.

Anka mówiła, że w sprawie chłopca NN policja dysponuje włóknami z wykładziny samochodowej. Mają też tajemniczy numer znaleziony w jego ubraniu. Odnalazł go w notatkach i zapisał jeszcze raz. Wziął w kółko, bo nic z niego nie rozumiał.

W sprawie Oskara Golca, chłopca ze sztolni, jedynym tropem był nowotwór kości. I to miejsce, kopalnia w Jarmucie.

W sprawie Kacpra Barana nie mieli nic. Nawet ciała. Tylko zeznania rodziców.

Była jeszcze Lena – Gwiazdka. I pytanie, skąd się wzięła u Reginy. Tajemnica zabrana do grobu.

Rozłożył kartkę. To, co po prawej, nijak nie pasowało do tego, co po lewej. Choć lista jego domysłów była długa, to nie wymyślił dotąd nic, co łączyłoby wszystkie przypadki.

Rzucił notatnik na pościel. I po co on to robi? Żeby ktoś przeczytał i dał lajka albo nie? Żeby udowodnić Jadzi, naczelnemu i całej redakcji, że nie jest idiotą?

Zamknął oczy. I znowu zobaczył płomienie.

Gerard jadł kanapkę, kreśląc ołówkiem po książce do hiszpańskiego. Zwyczajny poranek. Anka siedziała przy stole i bawiła się sznureczkiem od torebki ekspresowej herbaty. Dręczył ją demon wypuszczony na wolność przez dziurkę, którą w jej pancerzu wypaliły iskry wczorajszego ogniska.

– Gert... – zaczęła. – Słuchaj... Co byś powiedział na to, żebyśmy mieli dziecko?

Podniósł powoli głowę i przełknął ślinę.

– Co?

– No, dziecko... – Uśmiechnęła się nerwowo.

– Zwariowałeś.

– A niby co w tym dziwnego? – Podniosła głos. – Młodsza już nie będę.

– Daj spokój, nie jesteś aż taka stara. – Rzucił ołówek na blat.

– Aż taka stara, dziękuję!

– *Sorry*. – Przetarł twarz dłonią. – Nie chodziło mi o...

– To dlaczego nie? – przerwała mu.

– Anka, ja mam dwadzieścia trzy lata. – Nachylił się do niej. – Studiuję, kasę mam od rodziców. Chodzę na terapię. Łykam psychotropy. Jeszcze niedawno sam uważałem mojego starego za potwora i faszystę. I ja miałbym teraz być ojcem?

– Wiem, że ty jesteś młody. – Przewróciła oczami. – I zamiast mikсовать zupki wolałbyś się bawić, imprezować, robić karierę albo jeździć po świecie...

– Nie o to chodzi. – Teraz to on jej przerwał. – Mam w głowie lej po bombie. Rok temu ktoś wrzucił w moje poukładane życie granat i...

– Poukładane życie! – prychnęła. – Poukładane od kreski do orgietki, na zmianę ćpanie, rżnięcie i pijackie rajdy po autostradzie. Nie rozśmieszaj mnie, proszę.

Z jego twarzy odpłynęła krew. Czerwona kreska blizny odcinała się od jego bladej skóry.

– Spokojnie, nikt od ciebie nie wymaga, żebyś był ojcem – ciągnęła. – Żebyś zmieniał pieluchy, wstawał w nocy i bawił się lalkami. Przecież nie oczekuję, że się ze mną ożenisz, aż tak naiwna nie jestem. Dam sobie radę sama.

– Nie rozumiem. – Oparł się mocno dłońmi o blat. – Czyli nie chcesz, żebyśmy mieli dziecko, tylko po prostu ty chcesz mieć dziecko. Nie potrzebujesz ojca, tylko... – Popatrzył jej głęboko w oczy. – ...dawcy. To proste. Na świecie jest kilka miliardów innych facetów.

Wsunęła palce we włosy. Wszystko poszło nie tak. Ale czego miała się po nim spodziewać? Spróbowała się uspokoić.

– Chodziło mi o to, że niewiele musiałyby się zmienić. Studiowałbyś dalej, przyjeżdżał na weekendy. Tylko byłoby nas troje. Wszystko ogarnę, nie musiałybyś...

– Czyli nie chcesz ode mnie nic więcej oprócz nasienia? – przerwał jej znowu. – Może jeszcze żeby moi starzy płacili alimenty? I żebym cię przeleciał, jak przyjadę na weekend? Powiesz dziecku, kim jestem, czy będzie mówić „proszę wuja”? A rodzinie co naściemniasz? Że bocian przyniósł? A może też będziesz je trzymać w domu tylko dla siebie?

Zerwała się z krzesła.

– Kiedyś będę chciał mieć dziecko – mówił dalej. – Ale nie teraz. Nie w ten sposób. Chcę w tym uczestniczyć... Anka, czy mówię coś nie tak? – zapytał, widząc wyraz jej twarzy.

– Nie, skąd. Twoja terapeutka byłaby dumna. Odpowiedzialny, rozsądny młody człowiek. Prawie się nabrałam. A skąd wiesz, że już nie masz dziecka? Wszystkie koleżanki z piwnicy się zabezpieczyły? Może gdzieś tam jakiś mały sadysta obrywa misiom guziczki?

Teraz on się zerwał, przewracając krzesło. Anka w trzech skokach znalazła się przy drzwiach do łazienki.

– Dlaczego uciekasz? Czego się tak boisz? Sadysty? I ty chcesz mieć dziecko z takim śmieciem?

– Przestań się nad sobą użalać – sarknęła. Ale czujnie obserwowała drgające mięśnie jego żuchwy. – Taki jesteś biedny, skrzywdzony i nieszczęśliwy, a to przecież ty...

– Anka, wystarczy – przeciął. – To nie fair. Znowu używasz argumentu, który unieważnia wszystko, co mam do powiedzenia. Ja już wyszedłem z piwnicy.

– A piwnica wyszła z ciebie?

– To z tym masz taki problem? Dlatego tak się mnie wstydzisz?

– Nie wstydzę się ciebie!

– To dlaczego nikomu mnie nie pokazałaś i trzymasz mnie w sypialni? Tylko do łóżka się nadaję?

Zawsze myślała, że gdy już znajdzie się w jej życiu ktoś na poważnie, będzie chciała ogłosić to światu. Ale potem wyobraziła sobie, jak jej matka od razu zabierze się do wybierania białej sukienki. Zazdrosne koleżanki będą za nim wodzić mściwym wzrokiem. Aż przyjdzie moment, kiedy on zniknie, a ona na niezobowiązujące pytanie: „Co tam u was?”, będzie musiała odpowiedzieć: „A wiesz, w sumie nie wyszło”. Albo ktoś odkryje jego wiek, przeszłość, prochy i BDSM. Albo odbije jej go jakaś gówniara. Odpowiadało jej, że taki z niego samotnik, bo nie musiała się obawiać konkurencji. Ale stresowała się już w momencie, kiedy za długo rozmawiał z barmanką.

– Sam sobie odpowiedziałeś – wycedziła przez zęby. – Masz dwadzieścia trzy lata. Jesteś na utrzymaniu rodziców. Bierzesz psychotropy i chodzisz na terapię. – Wyrzucała z siebie słowa, czując, jak każde śmiga w powietrzu niczym nóż. – Jesteś aspołeczny...

– Co to za problem, skoro i tak z nikim się nie widzujemy?

– ...jesteś zboczony...

– Zrobiłem kiedyś w łóżku coś, co ci się nie podobało?

– ...jesteś nieodpowiedzialny...

– Od roku nawet kaca nie miałem!

– ...jesteś...

– Anka – wszedł jej w słowo. – Jeśli chcesz kogoś, kto nigdy cię nie opuści i będzie cię kochał niezależnie od tego, jak ślepa, głupia i okrutna potrafisz być, to kup sobie pieska albo kotka. Ale oszczędź tego dziecku.

Łzy pociekły jej po twarzy.

– Skoro jestem taka ślepa, głupia i okrutna, to czemu jeszcze ze mną jesteś?!

– krzyknęła. – I czy to takie dziwne, że potrzebuję kogoś, kto nigdy mnie nie opuści?!

Regina, przypomniało się jej. Ona to powiedziała. Że mężczyźni przychodzą i odchodzą. A matka na zawsze pozostanie matką. Ta prosta dziewczyna okazała się z nich wszystkich najmądrzejsza.

– Dziecku też będziesz musiała pozwolić kiedyś odejść – powiedział Gerard.

– Bo co?! – syknęła przez ły.

– Bo inaczej cię znienawidzi.

Patrzył na nią, blady i spięty.

– To idź. – Starła się mówić spokojnie, choć dławili ją łzy.

– Co?

– Jak to co? Pozwalam ci odejść! – krzyknęła. – Wynoś się! Nie słyszałeś?!

Wyprostował się powoli. Odwróciła się, żeby nie widział jej twarzy.

– Nie rób tego – poprosił nieswoim głosem.

Nie odpowiedziała.

Zamknął książkę. Bez sznurowania wsunął na nogi buty, złapał kurtkę, plecak i kask. I wyszedł.

Cisnęła jego obgryziony ołówek do śmieci. Na stole został kubek ze sznureczkiem od herbaty wciąż owiniętym wokół ucha. Wrzuciła go do zlewu. Oparła się plecami o lodówkę i osunęła na podłogę, obejmując kolana ramionami. Łzy kapały na kafelki.

– Musimy porozmawiać. – Sylwia poklepała kanapę obok siebie.

Marek usiadł. Był w niezłym stanie. Skacowany i opuchnięty, ale nie pijany.

– Potrzebuję cię. – Popatrzyła mu w oczy. – Trzeźwego. Dużo się działo.

A ja byłem z tym sama. Kiedy jestem sama, to popełniam błędy. Dlatego pracujemy razem, tak?

Co okaże się największym błędem, jaki tu popełniła? To, że nie zaraportowała sytuacji Łukaszowi? To, że poszła do Kamienia? A może największym błędem był Strzygoń?

– Zawiodłem cię – zachrypiał Marek. – Ale naprawię to, ja już...

– Marek, masz problem. Narażasz nas. Muszę to zgłosić.

Zerwał się na równe nogi.

– Nie, proszę, nie – wyjęczał. – Masz rację. Mam problem. Jestem żaloszny. Narażam cię. – Ukląkł przed nią. – Ale najgorsze już za mną. W piątek... Obudziłem się w nocy, ciebie nie było... To było straszne. Czekałem, nie spałem. I coś się we mnie zmieniło, uwierz mi. Ja już więcej nie chcę pić. Nie chcę tak się bać. Że coś ci się stało, a to moja wina.

Pogłaskała go po głowie. Jego włosy były tłuste i sztywne. Przypomniała jej się czupryna Strzygonia, miękka i bujna. Uśmiechnęła się mimowolnie. Wziął to za dobrą monetę.

– Daj mi jeszcze jedną szansę. Wiem, jak to brzmi, ale ja naprawdę się zmienię. Dokończymy to, a potem wezmę się za siebie. A teraz koniec z pićem...

Zerwał się z podłogi, skoczył do kuchni, złapał butelkę śliwownicy i wylał ją do zlewu.

– Nadrobię wszystko i będę wykonywać twoje polecenia. Tylko nie mów Łukaszowi, dobrze? Jak wrócimy do Krakowa, to pójdę na urlop. Zrobię coś z sobą. Przysięgam.

Wpatrywał się w jej oczy, składając dłonie jak do modlitwy. Usta mu drżały.

– Ostatni raz... – zaczęła powoli.

Rzucił się całować ją po rękach. Wyrwała mu dłonie, zażenowana, i dyskretnie wytarła je w spodnie.

– Wstawaj, ogarnij się i skup – rzuciła szorstko. Oby tego nie żałowała. – Naprawdę dużo się działo. A ty połowy nie wiesz.

Nie przypuszczała, że tak to się odbędzie. Spodziewała się, że to on zacznie przyjeżdżać coraz rzadziej, aż wreszcie powie coś w stylu: „Anka, to nie ma już sensu”. Miała nadzieję, że oszczędzi jej frazesów w rodzaju: „Zasługujesz na kogoś lepszego”, „Muszę zostawić przeszłość za sobą i zacząć od nowa” albo „Zawsze będę o tobie pamiętać, ale...”. Wiedziała, że ten związek jest kuriozalny. Stara baba i młody gówniarz – ciekawe, kto był bardziej zdesperowany. Wiedziała, że się ludzi, że nie ma prawa.

Tylko w takim razie dlaczego to tak strasznie boli?

Dostrzegła te drobiazgi. Wygniecione miejsce na kanapie. Ledwie wyczuwalny zapach jego perfum. Bałagan na regale. Jakby miał zaraz wrócić. Ale nie wróci, a ona już się nie obudzi w środku nocy przygnieciona przez prawie sto kilo żywej wagi. Nie da się wywieźć na jakieś odludzie, nie przegada nocy o fotografii, strukturalizmie albo bajkach Disneya. Nie będzie się miała przed kim wyzalić, z kim zjeść obiadu, dla kogo sprzątać i golić nóg.

Podniosła się z podłogi. Może tak będzie lepiej. Wydarzyło się, więc już nie musi się tego bać. Zamknie się w swojej skorupie, przez którą nikt więcej już jej

nie zrani.

W łazience umyła twarz. W lustrze widziała czerwone, zapuchnięte oczy i nos. Włosy w nieładzie. Stara baba. Zauważyła jego szczoteczkę do zębów. Cisnęła ją do śmieci. Z szafki wyjęła listek tabletek antykoncepcyjnych. Wczoraj wzięła dawkę, odruchowo.

Co on powiedział? Że na świecie jest kilka miliardów innych facetów? Zaczęła wyduszać tabletki jedna po drugiej. Ginęły w odpływie umywalki. Miał rację. Nie potrzebuje ojca, tylko dawcy. A to powinno być stosunkowo proste.

A jak już się uda, to wreszcie będzie ktoś, kto nigdy jej nie opuści.

Gerard wślizgnął się do domu. Było wpół do drugiej w nocy. Pełnym pędem dojechał autostradą aż pod Wrocław. Motocyklowa adrenalina zagłuszała myśli. Potem wrócił na Śląsk. I gdy siedział w zrujnowanej wieży szybu Krystyna, przypomniał sobie o białym proszku, który tak dobrze zasypuje rany. Czuł ssanie w żołądku i mrowienie w koniuszkach palców. I strasznie rozboleła go głowa.

Zapalił światło w kuchni. Kieliszki po winie, winogrona, orzechy i ser. Włożył jedno grono do ust. Zemdlilo go. Sięgnął do lodówki. Ręka zadrżała mu nad butelką wódki. Nalał sobie i ruszył przez pogrążony w ciemności salon. Potknął się o coś i schylił – bluzka matki. A więc tak się bawią jego starzy, gdy go nie ma. Miesiąc miodowy. Ale *sorry*. Znow będą musieli z nim wytrzymywać.

A on już się nie obudzi w środku nocy z jej włosami na twarzy. Nie znajdzie w kieszeni kurtki własnych skarpetek, które zostawił na pralce. Nie zaśnie na jej kolanach, oglądając serial. Nie będzie miał dla kogo trzymać się w pionie, łykać proszków i przeczołgiwać się przez kolejne tygodnie.

Może tak jest lepiej, pomyślał. Będzie mógł stoczyć się tam, gdzie jego miejsce. Do piwnicy. Przestać udawać i przepraszać, że żyje.

Słowo, którego najczęściej używał w ich związku? „Przepraszam”. Ona najczęściej używała słowa „nie”. Nie tak. Nie teraz. Nie tu. Nie znasz się. Nie rozumiesz. Nie wiesz. Nie posprzątałeś. Nie pomyślałeś. Nie odłożyłeś. Nie można. Nie wolno. Nie powinno się. Bo to przecież ona była ta mądra. On był śmieciem z piwnicy.

Czasem śmiała się, że każdemu facetowi siedzi na ramieniu mały, brodaty świntuch, dziadek Freud, i szepcze do ucha bezceństwa, od których faceci zachowują się jak małpy. Okazuje się, że każdej kobiecie siedzi na ramieniu brodaty dziadek Darwin i przelicza szanse na reprodukcyjny sukces. A one głupieją od tego jeszcze bardziej.

W łazience otworzył szafkę, żeby znaleźć ketonal. Zawartość półek wysypała się do umywalki. Nożyczki do paznokci. Waciki. Krople do oczu.

Żyłka.

Wziął ją w palce. Oglądał długo. Uniósł powoli lewą rękę i zacisnął pięść. Pod skórą zagrały napięte żyły.

Nie jestem przecież aż tak jebnięty, przeszło mu przez myśl.

Ale nie potrafił odłożyć żyłki. Ból głowy tępo pulsował pod czaszką. A gdzie głęboko był jeszcze inny ból, zimny, rozplywający się z piersi po czubki palców. Jak wtedy, gdy leżał na asfalcie, patrząc na ich buty, i czuł, jak z każdym uderzeniem serca uchodzi z niego życie.

Jest tylko jeden sposób na ból, pomyślał i przyłożył żyłkę do skóry przedramienia. Inny ból. Przeciągnął.

Świat zastygł i ból na chwilę ustąpił. Krew popłynęła po umywalce i zniknęła w odpływie fantastyczną smugą.

Zrobił to jeszcze raz. I jeszcze.

A potem przyszło otrzeźwienie.

Ty debil. Złapał rolkę papieru toaletowego. Co za dziecinada. Patrzył na krew ciekącą mu po ręce, na trzy głębokie sznyty na przedramieniu, na żyłkę. I jak on to wytłumaczy matce?

Chwycił szklankę wódki i wylał ją na rany. Pociemniało mu w oczach, szkło rozprysło się na kafelkach. Schylił się, a zmieszana z wódką krew zaczęła wsiąkać w fugi. Wycierał ją papierem, ale gęste karminowe krople wciąż kapały mu z ręki.

Zakręciło mu się w głowie. Usiadł na podłodze, próbując ręcznikiem zatamować krwawienie, objął kolana ramionami. Skulił się. Bezgłośnie łapał powietrze szeroko otwartymi ustami.

Nie pomogło.



ROZDZIAŁ 17

Turyści wyjechali i w Łącku zrobiło się spokojniej. W pensjonacie Trzy Jabłka wszystko wróciło na dawne tory. Dwa dodatkowe stoły wyniesiono, zniknęły fikuśne obrusiki, świeże kwiaty i menu z napisem „Promocja”. Bastian usadowił się na swoim miejscu, które przez ostatnich kilka dni zajmował grubas ubrany codziennie w ten sam podkoszulek.

Przeglądał newsy. Kraj budził się po długim weekendzie z wielkim kacem. Na portalach politycy znowu wyparli porady dla grillujących. Wydarzenia w Kamieniu nie zdążyły zabrzmieć, gdy już przebrzmiały. Utonęły w poradach, jak opanować na wyjeździe rozkapryszonego trzylatka i jak przygotować domową cytrynowkę, w niosących się od prawej do lewej echach demonstracji z pierwszego maja i oracji z trzeciego, w klikogaleriach piknikowych selfie gwiazd seriali.

Na Facebooku zalały go zdjęcia znajomych. Paryż, Praga, Wyspy Kanaryjskie. Ktoś nawet polecał do Wietnamu. Kiełbaski, dania kuchni molekularnej, smażona szarańcza. Już miał opuścić portal, gdy czerwony punkt przykuł jego uwagę.

Przy ikonce powiadomień Messengera świeciła się jedyńka w czerwonym prostokacie.

Kliknął. I omal nie zakrztusił się herbatą.

– O, *Allahu akbar* – mruknął, szeroko otwierając oczy.

Patrzył na okienko czatu i kilka linijek napisanych po arabsku. Ktoś wysłał mu tę wiadomość wczoraj po południu. Bezradnie przyglądał się znakom. Wkleił tekst do translatora Google. Wciąż nic nie rozumiał. Jakby tekst posypał się przy kopiowaniu i zamiast od prawej do lewej próbował się ustawiać od lewej do prawej. W rezultacie zamiast logicznych zdań dziennikarz otrzymał zestaw bezsensownych literek. Zaklął bezgłośnie.

Kto by pomyślał, że w momencie, kiedy jego plan B okazał się planem do D, na scenę wróci w ramach planu C plan A.

Odnalazł w kontaktach chłopaka od kebabów i wysłał mu wiadomość. Czekał. Wpatrywał się w arabskie litery, jakby chciał je odczarować. Sprawdził godzinę: wpół do drugiej. Chłopak ma pewnie w swoim lokalu obłęzenie Helmowego Jaru przez hordeę wygłodniałych korpoorków z Mordoru.

Coś przyszło mu do głowy. Wyciągnął telefon. Chrzanić redakcyjne animozje.

– Jadzia? – Starał się mówić opanowanym głosem. – Byłaś już na lanczu?

– A co? – burknęła podejrzliwie dziennikarka.
– Może poszłabyś na kebab?
– Wróciłeś do Warszawy i chcesz mnie zaprosić? Może innym razem.
– Nie, muszę się skontaktować z tym twoim chłopakiem, który mówi po arabsku.

– Napisz do niego – odparła.
– Nie odpowiada. A ja muszę teraz, natychmiast. I pomyślałem...
– Co ty tam masz, Strzygoń? – Zmieniła ton.
– Jeszcze nie wiem. – Stara wyjadaczka, pomyślał. – Dlatego go potrzebuję.
– Co z tego będę miała?
– A co byś chciała? – Zgrzytnął zębami.
– Daj pomyśleć. – Przerwała rozmowę bez pożegnania.

Bastian chuchnął w złożone dłonie. Zamówił następną herbatę. Nie potrafił usiedzieć spokojnie.

Po półgodzinie, kiedy zdążył już przejrzeć samouczek do nauki arabskiego, co wcale nie sprawiło, że poczuł się mądrzejszy, wciąż czekał. Zadzwoił raz jeszcze.

– Jadzia, on do mnie oddzwoni, napisze czy masz go pod ręką?
– *Sorry*, Bastian, ale naczelny wyciągnął nas na sushi – zaśmiała się. – Pa, pa.

Rozłączyła się.

– Pizda nieużywana! – krzyknął.

Starsze małżeństwo siedzące dwa stoliki dalej odwróciło się wymownie.

Może nie ma się czym podniecać, pomyślał. Pewnie uchodźcy odpisali mu, że nie mają pojęcia, o co chodzi, że coś obilo im się tylko o uszy albo że z ludźmi przemycanymi przez Polskę stracili kontakt. Ale on musi wiedzieć. Inaczej ta historia nie da mu spokoju. Czy w Łącku jest budka z kebabem? Musi być, przecież dla mieszczaucha kebab jest jak dla Amerykanina McDonald. Ale w łackim kebabie prędzej pracuje góral niż Arab. Może Anka mogłaby znaleźć mu na uniwersytecie jakiegoś arabistę? Nie, to by potrwało. On musi wiedzieć już. Inaczej eksploduje.

Sylwia! Ciekawe, czy piękna funkcjonariuszka chroniąca Światowe Dni Młodzieży przed hordami islamskich terrorystów zna arabski.

Nie czekał długo, aż odbierze.

– Głupie pytanie. – Uśmiechnął się do telefonu. – Znasz arabski?

– Podstawy – odpowiedziała ostrożnie. – A co?

– Potrzebuję tłumaczenia trzech zdań. Mogłabyś popatrzeć?

Po drugiej stronie Sylwia gwałtownie wstała z kanapy. Po co Strzygoniowi arabski? Przypomniała sobie czat, który widziała, gdy była u niego po raz pierwszy. Uchodźcy. Ludzie przemycani przez polską granicę. Potencjalne źródło

jeśli nie zagrożenia, to informacji.

– Jesteś w pensjonacie? – zapytała. – Będę za dziesięć minut.

Iza Hulak szła korytarzem, trzymając muskularnym ramieniem teczkę z aktami przy piersi jak tarczę. Nie żeby szykowała się do boju. Raczej planowała zginąć śmiercią wojownika.

Weszła bez pukania do pokoju Głoda. W końcu to on ją wezwał.

Podkomisarz nawet się nie poruszył. Siedział w pomarańczowym polarze przy pustym biurku i wpatrywał się w swoje dłonie. Gdyby Iza go nie знаła, pomyślałaby, że Głód rozmyśla.

– Rozmawiałem z prokuratorem – zaczął. – Sprawę o porwanie Leny Wołoszyn morzymy. Z powodu śmierci osoby podejrzanej. Artykuł siedemnasty paragraf pierwszy punkt piąty k.p.k. Zresztą wiesz.

– Przecież to nie koniec! – Rzuciła mu akta na blat. – Nie wiemy, co się wydarzyło, mogą być świadkowie, może da się postawić komuś zarzuty o pomocnictwo. Albo przynajmniej o zatajenie! Przecież ktoś tam musiał...

– Iza. – Podkomisarz wyciągnął przed siebie dłoń. – Kończymy.

Nachyliła się nad biurkiem.

– Poddajemy się, tak? – wyszczała.

Znowu to robi, cały Janusz. Jak tylko się da, umorzyć postępowanie, żeby się nie narobić. I jechać na ryby. W wydziale nazywali to „morzenie Głodem”.

– Nie. – Podniósł na nią przekrwione oczy. – Skupiamy się. Przenoszę cię do sprawy chłopców. Do Sławka.

– Kurwa, Janusz! – Walnęła pięścią w blat. – Najpierw nie zgadzasz się połączyć spraw chłopca i Leny w jedno postępowanie, potem sabotujesz mi ekspertyzy, a teraz uwalasz sprawę? Co ty wyprawiasz?!

– Popełniłem błędy. – Wyprostował się. – Teraz pozbierajmy to do kupy. Razem. A poza tym ile ty już robisz w policji? Nie wiesz, czym się różni umorzenie od uwalenia? Co można zrobić z umorzonym postępowaniem?

Podjąc na nowo, pomyślała, gdy ujawnią się nowe dowody. Oczy jej zabłyśły.

– I jeszcze po trzecie – dodał, gdy już wychodziła – tak będzie łatwiej oddać dziewczynkę rodzinie. Oszczędzimy jej wizyt w dziecięcym pokoiku na komendzie i pytań, która ciocia albo wujcio mają odpowiadać za pomocnictwo. Więc sama sobie odpowiedz, co jest dla niej lepsze. W końcu jesteś psychologiem.

Bastian zdążył zaścielić łóżko i zgarnąć papiery na temat Kamienia w bezkształtną stertę, gdy rozległo się pukanie.

Stała w drzwiach. Dziennikarz wykonał niezgrabny gest, uśmiechnął się i wpuścił ją do środka. Dzisiaj miała na sobie bojówki moro i szarą bluzę z dziurą na łokciu. Ale perfumy, te obłędne perfumy były te same.

– Wspomnień czar – mruknęła, lustrując pokój. – Pokaż, co masz.

Usiadła przy komputerze. Obserwował niecierpliwie, jak czyta, sprawdza w internetowych słownikach poszczególne słowa, zapisuje na kartce.

– Pan Ahmed pisze – odezwała się w końcu – że wyszedł już z ośrodka dla cudzoziemców i nie ma kontaktu z tymi ludźmi, co jechali przez Polskę. Ale w ośrodku wciąż jest jego znajomy, który dopiero się tam znalazł i może wiedzieć o nich więcej. Tu masz numer telefonu do niego.

Dziennikarz jęknął. Ile czasu zajęło mu nawiązanie tego kontaktu? Nawiązywanie kolejnego od nowa potrwa wieki. Spojrzał jej przez ramię.

– To jest numer telefonu? – Dotknął palcem ekranu w miejscu, gdzie znajdowała się seria znaczków podobnych absolutnie do niczego. – Zapiszesz mi normalnymi cyframi? Arabskimi, *nomen omen*?

Sylwia wzięła kartkę i zaczęła zapisywać numer. 963...

Bastian poczuł, jak w jego mózgu coś kliknęło. Nie dalej niż wczoraj widział podobną zbitkę cyfr. Wpatrywał się w nią nieprzytomnie przez pół nocy. Doczekał, wstrzymując oddech, aż Sylwia skończy. Przeliczył cyfry.

I rzucił się do stosu papierów zalegających przy łóżku.

Kartki, wycinki z gazet i wydruki fruwały w powietrzu. Świr, pomyślała. Kompletny świr.

Wreszcie Bastian wygrzebał swój notes. Przekartkował go do końca. Uśmiechnął się triumfalnie. Wyprostował.

– Popatrz na to. – Podsunął jej notes pod nos. Na stronie zapisane były cyfry, które podała mu Anka: 963999810119. – Wiesz, co to jest?

– Numer syryjskiej komórki. – Wzruszyła ramionami.

– To miał przy sobie chłopiec znaleziony w Kamieniu.

Mars na twarzy Pawła Wichury pogłębił się, gdy stanął w drzwiach drugiej izdebki, małej i ciemnej, gdzie czworo ich dzieci, siedząc na podłodze, grało właśnie w chińczyka na wyblakłej, postrzępionej planszy. Maluchy popatrzyły na niego z powagą. Wichura trzymał dłoń na ramieniu Ricky’ego. Za nim stała Dominika z Darią na rękach. Dzieci Wichurów rozsunęły się, zrobiły miejsce. Paweł popchnął zachęcająco chłopca. Dominika postawiła Darię.

Potem usiedli przy stoliku pod oknem, oboje z czołami wspartymi o dłonie. Ich twarze ginęły w półmroku.

– Może opieka społeczna... – zaczęła Dominika.

– *Gadzie!* – warknął Paweł. – Znowu *gadzie!* Po tym wszystkim jeszcze pieniędzy chcesz od *gadziów*?

– A ty niby lepszy? – obruszyła się. – Na kogo czekasz, żeby ci znowu dał pracę? Na Cygana czy na *gadzia*?

– Ja się *gadzia* prosił nie będę.

– Paweł, a wiesz ty, kto uratował dzieci Reginy? *Gadzie*.

Zerwał się z krzesła.

– Nie pieprz głupot! – krzyknął. – A Reginę kto zabił?!

Zacisnął pięść, uderzył nią w futrynę drzwi. Wyszedł.

Wrócił.

– Damy radę – powiedział. Nachylił się do Dominiki i przycisnął czoło do jej czoła. – Zawsze damy radę.

– Wiesz, co to oznacza?! – zawołał dziennikarz, po czym przyłożył palec do ust. – Ale nie. Chłopiec był biały. Blondynek z niebieskimi oczami. To nie mógł być syryjski uchodźca.

– Jak to nie? – Sylwii udzielała się ekscytacja. – A jeśli był Kurdem?

– Co?

– Ależ ty masz klisze w głowie – zachnęła się. – Jak uchodźca, to śniady brunet o semickich rysach, tak? A czy ja noszę długą spódnicę i pytam, czy powróżyć?

Zdecydowanie nie wyobrażał jej sobie w długiej spódnicy.

– Jakby przeciętny Polak zobaczył niejednego Kurda na ulicy, toby nie zwrócił uwagi. Wielu ma niebieskie oczy, blond albo rude włosy, jasną skórę. Wielu wygląda bardziej – zrobiła dwoma palcami obu rąk cudzysłów w powietrzu – europejsko niż niejeden Włoch czy Bułgar. Albo niejeden góral z wołoskimi przodkami.

Bastian podszedł do okna.

– Jezus Maria – jęknął, patrząc gdzieś w przestrzeń.

Więc to wszystko nie tak.

Rzucił okiem na hipotezy wypisane po prawej stronie zagiętej kartki. Nawet na końcu listy, tam, gdzie znajdowały się te najbardziej odjechane, nie było podobnego scenariusza. A mieli to przed nosem od samego początku. Policja, Anka, on. Tylko wyobraźnia sięgała im najdalej na Słowację. Bo przecież jak biały, to nasz. Wszyscy się nabrali.

Tymczasem pytanie, na które szukali odpowiedzi, nie brzmi: czy to ci obcy, Romowie, skrzywdzili nasze, polskie dziecko? To pytanie brzmi: kto na polskiej ziemi, przy romskiej osadzie, skrzywdził to obce dziecko?

Plany A i B nagle zlały się w coś zupełnie nowego.

– To by wiele wyjaśniało. – Bastian przechadzał się po pokoju. – Tego chłopca nikt nie szukał. Nikt nie zgłosił zaginięcia. Mały był wycieńczony, odwodniony, chory. Nic dziwnego, jeśli od dłuższego czasu był w drodze.

Sylwia też wstała. Krążył coraz bliżej, aż wreszcie stanął naprzeciwko niej i położył jej ręce na ramionach.

– To co robimy?

Odetchnął głęboko i wziął jej twarz w dłonie.

– Dzwonimy?

Głód popijał kawę. Sławek siedział bez ruchu i podpierał głowę rękami.

Poniedziałkowy dół w komendzie miejskiej w Nowym Sączu dawno nie był tak głęboki.

– Teraz to dokumentnie wszystko szlag trafił – westchnął aspirant. – W sprawie chłopca NN nie mamy nic. Włókna z jego ubrania do niczego nie pasują. Nie znaleźliśmy śladów na żadnej z rzeczy, które zabraliśmy wtedy z osady. W sprawie Golca, która w ogóle nie jest o zabójstwo, też impas. A jedyni ludzie, którzy mogliby rzucić na to wszystko jakieś światło, czyli Romowie, teraz już na pewno nie będą chcieli z nami gadać.

– Co znaczy, że nie będą chcieli? – warknął Głód, ale bez przekonania. – Możemy ich...

– Zmusić? – Aspirant Gaca aż się podniósł z krzesła. – Tak, Janusz, weźmy jeszcze więcej plutonów z pałami i jedźmy do nich! Najlepiej, kurwa, z wariografem! Wydobędziemy superwiarygodne zeznania, ale się sąd ucieszy!

Zamilkł gwałtownie. Jeszcze nigdy tak się nie zagalopował. Ale podkomisarz milczał.

– I co z twoim Królem olch? – zapytał w końcu Głód. – Jedno dziecko uduszone, jedno zmarło śmiercią naturalną, jedno się znalazło, a jedno wyparowało. Od początku trzeba było zwalić cały ten syf na Nowy Targ – westchnął. – Byłby spokój. A tak siedzimy po uszy w bagnie i nawet nie mamy czego się chwycić, żeby się z tego bagna wyciągnąć.

– Mamy jeszcze to. – Sławek podniósł niczym broń kartki zabazgrane cyframi.

– Grałeś kiedyś w papier, nożyce, kamień? – Głód dopił kawę i stuknął kubkiem o biurko.

Sławek zaskoczony spojrzał na szefa.

– To tylko w grze papier wygrywa z kamieniem. – Podkomisarz potrząsnął głową. – Powodzenia.

Aspirant Gaca odłożył kartkę.

Przypomniał sobie ich niedawną rozmowę. „Jeśli nie ksiądz, to kto?”

Wybiegł.

Bastian wystukał numer na dotykowej klawiaturze. Musnął zieloną słuchawkę. Rozległ się sygnał. Sylwia stała obok dziennikarza, wstrzymując oddech.

Coś kliknęło. Po drugiej stronie uprzejmy głos zaczął mówić do niego po arabsku.

– *Hello?* – Głos wiązał Bastianowi w gardle. – *My name is Sebastian Strzygoń, I'm a journalist...*

Głos obojętnie powtórzył zdanie. Bastian przełączył na głośnik.

– *Alrakam allathi tuhałel alitisał bihi ghair mutalafer halian.*

– Co to ma znaczyć? – jęknął.

– Jeśli dobrze rozumiem, numer jest nieosiągalny.

Głos wyrecytował formułkę jeszcze kilka razy. Dziennikarz zaklął i się rozłączył. Opadł na łóżko. Wyglądał, jakby odpakował gwiazdkowy prezent i pod warstwą błyszczącego papieru odkrył parę skarpet i gryzący sweter z reniferem.

– To dobry znak – powiedziała Sylwia. Usiadła obok niego. – Bo to rzeczywiście jest numer telefonu. Tylko wyłączony. Albo nieaktywny.

– A ty nie możesz go jakoś namierzyć? W końcu jesteś szpiegiem! – westchnął.

– Bastian! – Roześmiała się. – Jakim szpiegiem? Może jeszcze mam wysłać drona? Tak to działa tylko na filmach. Nie wiemy, gdzie ten ktoś jest. W Szwecji, w Norwegii czy w Niemczech. A nawet gdybyśmy wiedzieli, to wyobraź sobie te formalne korowody.

Ani w Niemczech, ani w Szwecji, ani w Norwegii nie miała swojego Milanka, który traktowałby ją jak królową angielską i dzielił się informacjami. Wszystko musiałyby iść oficjalnymi kanałami. Pewnie trwałoby to długie tygodnie. Gorączkowo zastanawiała się, czy powinna dać znać Łukaszowi. Kazałby jej wysłać pismo.

– Musimy się przekonać, czy ten numer jest aktywny – mówiła, bardziej do siebie. – Raczej nie wyślemy zapytania do syryjskiego telekomu. Ale użytkownicy telefonów mają swoje zwyczaje.

Brzmiało to, jakby wiedziała, co mówi, więc Bastian słuchał uważnie.

– W pewnych godzinach pracują, wtedy wyłączają telefon – ciągnęła. – Potem przemieszczają się z pracy do domu i nie mogą odebrać. W innych godzinach obdzwaniają rodzinę i znajomych. Mają czas dla siebie. Następnie idą spać. Będziemy dzwonić co pół godziny. Jeżeli nie dodzwonimy się przez cały dzień, może to oznaczać, że numer jest nieaktywny. Jeśli będziemy widzieć zmiany – że telefon jest włączony, ale nikt nie odbiera, albo że ktoś odrzuca połączenia – to coś jest na rzeczy. Aha, i wyślij tam SMS-a po angielsku.

– Co napisać?

– Że chcesz się skontaktować w ważnej sprawie.

– W sprawie dziecka?

Zastanowiła się.

– Nie. Napisz tylko, że jesteś z Polski.

– A co będziemy robić do czasu, aż coś się wyjaśni? – Cierpliwość nie była mocną stroną Bastiana.

– Zapewnimy sobie jakieś rozrywki.

Jeśli nie ksiądz, to kto? Tak się skupili na wersji z księdzem, że nie zadali sobie wcześniej tego pytania.

Sławek rozłożył zeszyt wypożyczeń klucza do sztolni w Jarmucie. W roku 2013 były trzy pobrania. Jedno podpisane przez księdza Drzewickiego. Potem byli

tam grotolazi z krakowskiej AGH, którzy liczyli nietoperze. I miejscowi leśnicy, co poświadczala pieczętka leśnictwa Szczawnica i zamaszysty, nieczytelny podpis.

Wzorując się na zasadach obowiązujących przy oględzinach miejsca zbrodni, postanowił szukać od środka do zewnątrz. A bliżej niż Kraków była Szczawnica.

Z zeszytem pod pachą wparadował do Muzeum Pienińskiego w Szlachtowej. Macieja Mochnacza znalazł w towarzystwie grupy gimnazjalistów biegłych w okazywaniu nudy na sto sposobów.

– Przyjechał pan oddać zeszyt? – Mochnacz podał Sławkowi rękę. – Czyli macie coś?

Aspirant zaprzeczył ruchem głowy.

– Wie pan, czyj to podpis? – Wskazał w zeszycie zawijas przy pieczętce.

Mochnacz przyjrzał się z bliska.

– Ja nie, ale pani Halinka na pewno będzie wiedziała. Pani Halinko! – krzyknął i ruszył korytarzem.

Sławek podążył za nim, dziękując Bogu za to, że na świecie są panie Halinki.

O siódmej rano zadzwonili kolejny raz. Nadzy, niewyspani i zmęczeni całonocnymi zapasami w pościeli. Bastian wybrał numer i przyłożył telefon do ucha.

Wysłuchał dwóch sygnałów – bo od północy rzeczywiście coś się zmieniło i zamiast arabskiej formułki o tym, że numer jest niedostępny, rozlegały się głuche sygnały. Już miał odłożyć aparat, żeby wtulić twarz między piersi Sylwii, gdy ktoś odebrał.

– *Hello?* – Bastian poderwał się z łóżka. – *My name is Sebastian Strzygoń, I'm a journalist from Poland...*

Sylwia przyłgnęła mu do pleców i przysunęła ucho do telefonu, żeby słyszeć. Ktoś odpowiedział po arabsku.

– *I don't understand* – powtarzał Bastian.

– *I... no English. No English!* – wydukał głos po drugiej stronie.

Sylwia wyrwała mu smartfona.

– *Sprechen Sie Deutsch? Parlez-vous français?*

Głos zawzięcie coś tłumaczył. Ścisnęła palcami nasadę nosa i wydusiła z siebie zdanie po arabsku. Mężczyzna odpowiedział jej długą tyradą.

– Nie dogadamy się – mruknęła do Bastiana.

Nagle zaczęła mówić szybciej. I zamilkła, ciskając komórkę na pościel.

– Rozłączył się.

– I co powiedział?! – Bastian złapał ją za ramiona.

– Nie wiem. Zrozumiałam tylko, że jest w Niemczech. Umiem przetłumaczyć sobie kilka zdań ze słownikiem, ale żeby z kimś gadać przez telefon...

Uderzyła się pięścią w kolano. Parę lat temu zainwestowała w rosyjski, który jak dotąd średnio jej się przydawał. Chociaż Łukasz żartował, że niedługo wszyscy będziemy mówić po rosyjsku.

– Dzwonimy jeszcze raz? – zapytał Bastian.

– I jak będziemy z nim gadać? Czekaj, musimy coś wymyślić.

Bastian otworzył laptopa. Wszedł na Facebooka. Poczł się niezręcznie, siedząc nago przed zdjęciami swoich znajomych. Przy ikonce czatu widniał czerwony prostokąt. Chłopak od kebabów. Rychło w czas.

Otworzył konwersację. Chłopak obiecywał pomoc. I podał numer do siebie. Bastian popatrzył na telefon, potem na komputer. Potem znowu na telefon. Powoli podniósł komórkę do ucha.

– Cześć, Hasan – rzucił. – *Sorry*, że tak wcześnie, ale jest sprawa... Mam numer telefonu, który znaleziono przy zwł... przy dziecku – poprawił się. – Właściciel numeru mówi tylko po arabsku. To uchodźca. Chyba jest w Niemczech. Potrzebuję pomocy w dogadaniu się z nim. Uwierz mi – odetchnął głęboko – to śmiertelnie poważna sprawa.

Chłopak nie zadawał zbędnych pytań. Chwilę później Sylwia z Bastianem wpatrywali się w ekran smartfona, bez ruchu siedząc obok siebie na łóżku.

Telefon zadzwonił. Bastian rzucił się, by odebrać.

– On jest w ośrodku dla uchodźców w Hamburgu – powiedział Hasan. – Jak usłyszał, że mam jego numer od faceta, który znalazł go przy dziecku, to bardzo się zdenerwował. Szuka swojego synka, który został po drodze, gdzieś na Słowacji. Podał mi swój adres, wysłałem ci na Messengerze. Błagał, żebyście się z nim skontaktowali. Co to w ogóle za historia?

– Nie mogę ci teraz powiedzieć – odparł Bastian, widząc, jak Sylwia energicznie kręci głową. – Ale bardzo ci dziękuję.

Rozłączył się. Długo żadne z nich nic nie mówiło. Sylwia otuliła się kołdrą. Bastian ukrył twarz w dłoniach.

– Boże – wyszeptał w końcu. Spojrzał na Sylwię. – To jego ojciec.

Telefon zawibrował. Na wyświetlaczu pojawił się syryjski numer. Bastian odebrał w trybie głośnomówiącym.

Zabrzmiały metaliczne, niezrozumiałe słowa. Szloch mężczyzny, na poły z radości, a na poły z trwogi.

– *My boy! Arman! My boy!* – Tyle zrozumieli.

– *Sauf na'ti* – rzuciła Sylwia. – *We will come.*

Majowe słońce odbijało się w szybach, rozgrzane deski poczerniałej leśniczówki pachniały smoliście jak podkłady kolejowe. Sady były obsypane białymi kwiatami. Sławek czuł się absurdalnie.

Bo właśnie opowiadał o chłopcu z Jarmuty.

Leśniczy ścisnął kubek z kawą, która zdążyła wystygnać. Jego twarz była

biała jak jego wąsy. Aspirant Gaca rozłożył przed mężczyzną zeszyt wypożyczeń klucza.

– Czy to pański podpis? – zapytał.

Leśniczy najpierw pochylił się nad zeszytem, a potem gwałtownie poderwał głowę.

– Pan chyba nie myśli... – zająknął się.

Sławek uśmiechnął się przyjaźnie. Dobry glina.

– Nie, nie. Ale będę musiał zadać panu kilka pytań. Co tam wtedy robiliście? Mężczyzna się zastanowił.

– Trzy lata temu... – zaczął. – Pewnie jak to zwykle, przegląd drzewostanu, poprawianie drogi po zimie, takie rzeczy.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć – zachęcał aspirant Gaca. – Po co był klucz do sztolni?

– Klucz, proszę pana... – Leśniczy zawiesił głos. – A tak, tam bluszcze zaczęły zarastać, a część roślin ukorzeniła się w obrębie sztolni, więc podjęliśmy decyzję...

– Kto tam wtedy pracował? – przerwał mu Sławek, rad, że pamięć mężczyzny zaczęła działać. – Pamięta pan?

– No, my z leśnictwa i jeszcze zatrudnia się zwykle kilku robotników sezonowych... – Podniósł się z krzesła i zniknął za drzwiami. Wrócił z teczką, ucieszony.

– Co ja będę panu opowiadał, jak wszystko mam w papierach.

Leśniczy odnalazł listy płac z marca. Aspirant nie musiał długo szukać.

– Czy ten człowiek – wskazał palcem na nazwisko – mógł mieć dostęp do klucza?

– Oczywiście – potwierdził spokojnie leśnik. – Jak wszyscy.

Robotnik nazywał się Dżejson Golec, zamieszkały w Kamieniu.

– Znowu nie wróciłaś na noc – przywitał ją Marek.

Był trzeźwy. Na stoliku stał otwarty jogurt i leżała nadgryziona bułka. Przed sobą miał schemat analizy powiązań.

– Zmiana planów. – Sylwia nie wdawała się w dyskusje. – Tutaj rzeczywiście idzie przemysł. Nie mam dowodów na broń ani materiały wybuchowe. Ale mam trop, że przez granicę przierzucani są ludzie. Mogę dotrzeć do jednego z nich. Tylko muszę pojechać do Niemiec.

– Co na to Łukasz? – Marek zacisnął dłonie na kolanach.

– Nie wie. Nie mówiłam mu, boby mi nie pozwolił. – Już miał zaprotestować, ale nie dała mu dojść do głosu. – I ty też nic mu nie powiesz.

– Za granicę bez jego wiedzy?

– Robię to jako osoba prywatna, nie jako funkcjonariusz.

– Sylwia...

– Pojadę do jednego ośrodka dla uchodźców i wrócę. Nie ma w tym nic bardziej niebezpiecznego niż chłanie na umór w suterenie. Można na przykład spaść z łóżka i się potłuc. Albo udławić się własnym rzygiem.

– A więc porzucasz służbę bez informowania przełożonego i jako prywatna osoba jedziesz do Niemiec? – zapytał cicho. – Wiesz, jakie możesz mieć kłopoty?

– Dokładnie takie jak ty, kiedy się wyda, że odkąd tu przyjechaliśmy, leżysz zalany w trupa – odparowała. – Więc jeśli nie chcesz, żeby Łukasz się dowiedział, to będziesz się mnie słuchał. Zresztą obiecałeś.

– Chcesz, żebym prowadził? Jestem trzeźwy i wyspany... – zaczął.

Pokręciła głową i zaczęła się pakować. Kilka sztuk bielizny. Kosmetyczka. Sprawdziła potencjalne schowki na alkohol. Były puste.

– Ty zostajesz – powiedziała. – Ktoś musi pilnować naszego obiektu. To teraz bardzo ważne. Nie zawiedziesz mnie?

Wyszła z budynku, zarzucając plecak na ramię. Wpakowała go do bagażnika i wsiadła za kierownicę.

– Załatwione – rzuciła do Bastiana. – Jedziemy.

Palce Anki zamiast do klawiatury laptopa znowu powędrowały ku kieliszkiwina. Jej myśli przyćmiewał lekki rausz. To było dobre. Pomagało przetrwać do wieczora, a potem zasnąć bez snów. Ale na pewno nie pomagało w pracy.

W mieszkaniu na krakowskim Podgórzu dawno nie było tak czysto. Szklanki powędrowały na swoje miejsce, z dala od kubków, widelce pożegnały się z łyżkami. Regał z książkami posegregowanymi dziedzinami, a w ramach dziedzin alfabetycznie, mógłby zawstydzić instytutową bibliotekę. Pozbierała rzeczy Gerarda, porozrzucane po całym domu. Kserówki, gadżety, kosmetyki, ubrania. Wyrwała je z tkanki mieszkania jak stokrotki z angielskiego trawnika i wrzucała do worka na śmieci. Worek schowała do szafy. Może kiedyś da Gerardowi znać, żeby sobie po niego przyjechał.

Dlaczego w takim razie siedziała teraz w jego używanym podkoszulku, który znalazła w łazience i który zachował odrobinę jego zapachu?

Przetała oczy. Rozgrzebała akapit tekstu o Mateczce i nie mogła go skończyć. Myśli błądziły daleko. A więc postanowiła mieć dziecko. W tym celu pozbyła się faceta. Logiczne.

Jej palce leniwie krążyły po klawiaturze. Święta Mateczka ze Starego Sącza odeszła z tamtejszego zgromadzenia siostr klarysek dziesięć lat temu. Anka nie znalazła nic na temat powodów odejścia. Na jednym z forów przeczytała tylko, że Mateczka wspomniała kiedyś, jak usłyszała wezwanie od Boga, a siostra przełożona stanęła jej wtedy na drodze.

Anka nie potrafiła wyobrazić sobie życia w klauzurowym zakonie. Absolutnego posłuszeństwa, zamknięcia, rutyny. Była przekonana, że dla silnego

charakteru to musiało być jak łamanie osobowości, pranie mózgu. Poczują do Mateczki więcej sympatii. Do kobiety, która po latach takiego życia miała dość siły, by zawrócić z drogi.

Pięćdziesięcioletnia siostra odchodzi z zakonu. Nie ma nic. Ale przemawia do niej Bóg, więc niesie Jego słowo. Wkrótce do chaty nad Dunajcem, gdzie znalazła swoją pustelnię – wystarczająco daleko od sadyb ludzkich, by słyszeć głos Boga, ale wystarczająco blisko, by ci, którzy jej szukali, ją znaleźli – zaczynają ściągać pielgrzymi. Desperaci, ludzie bez nadziei, śmiertelnie chorzy. Przynoszą Mateczce swoje zmartwienia, swoje choroby. Zostawiają pieniądze. A ona modli się za nich, służy radą, zaleca kuracje, komponuje zioła. Niesie się wieść – że oto Święta Mateczka uzdrawia.

Anka znowu sięgała po kieliszek, gdy zadzwonił telefon.

Gdy tylko za Sylwią zamknęły się drzwi stacji benzynowej, Bastian wyciągnął komórkę.

– Anka, nie zgadniesz, co odkryłem! – Od razu przystąpił do rzeczy.

– Co odkryłeś? – rzuciła sennie.

– Wszystko w porządku? – Zawahał się. – Piłaś coś?

– Nieważne. Co się dzieje?

– Chodzi o chłopca znalezionego w osadzie – szeptał, jakby się spodziewał, że funkcjonariuszka ABW ma w samochodzie podsłuch. Obiecał, że nikomu nie powie. Ale Anka to nie jest nikt. Ona zasługuje, żeby wiedzieć.

Poza tym rozsadzało go, żeby z kimś się tym podzielić.

– Okazuje się, że to był uchodźca! Czaisz?! Uchodźca!

– No co ty. – Zabolał go jej brak entuzjazmu. Chyba faktycznie za dużo wypła. – A nie kosmita? Skąd tam uchodźca?

– Ten numer, który mi podałaś, to był numer syryjskiej komórki! Nikt na to nie wpadł, bo tam liczba cyfr jest inna niż u nas. A teraz słuchaj. Zadzwoniłem tam i odebrał jego ojciec. I jadę teraz do Niemiec się z nim spotkać!

– Jezu, Bastian! – Wreszcie jakaś reakcja. – To znaczy, że Romowie są naprawdę niewinni! Że to wszystko, co się stało... – urwała.

– Tylko żeby przypadkiem nie przyszło ci do głowy dzielić się tą informacją z kimkolwiek. – Nagle spowaźniał. – Nawet z policją. To ściśle tajne, rozumiesz?

– Ale...

– Daj mi czas – nalegał. – Potem to załatwimy, tak jak z księdzem. Wszystko się wyjaśni i skończy dobrze. Teraz to już ostatnia prosta.

– Okej, nie spalę ci tematu – prychnęła.

Dziennikarz zobaczył, jak Sylwia wychodzi ze stacji i chowa portfel do kieszeni.

– Nie chodzi o temat – powiedział, zanim się rozłączył. – Chodzi o bezpieczeństwo narodowe.

Markus Drozd sprawdził rozkład jazdy. Jedną rękę miał na temblaku, kilkudniowy zarost go postarzał, przez ostatnie dni bujne włosy posiwiały mu jeszcze bardziej. Staął na uboczu. Na kopach Beskidu Sądeckiego kładło się wiosenne słońce, pachniało kwitnącymi śliwami, spalinami TIR-ów, świeżą trawą i paloną izolacją ze stosu elektrośmieci, który dogasał w Kamieniu.

Spod wiaty przystankowej wyszedł Sławek Gaca. Markus rozejrzał się czujnie. Cywilna kia parkowała po drugiej stronie. Za kierownicą siedziała krępa dziewczyna, ta, którą spotkał tamtej nocy.

– Dzień dobry, panie wójcie – odezwał się policjant. Specjalnie użył tego słowa, choć wiedział, że mężczyzna formalnie nie jest wójtem tego przysiółka nielegalnych domów, w którym wszyscy mieszkają pod jednym adresem. Markus odwrócił się do niego i skinął głową. – Jak się pan czuje?

– Do rzeczy – odparł Rom. – Chodzi o palenie śmieci, tak? Miedź pójdzie do skupu. Trzeba za coś wstawić nowe szyby.

– Nie. – Sławek wyciągnął przed siebie dłonie. – Chcę ustalić, co się stało z małym Oskarem Golcem, skąd chłopiec wziął się w sztolni. Potrzebuję do tego pańskiej pomocy.

Markus milczał.

– Jego ojciec, Dżejson Golec, pracował przy porządkowaniu lasu. Miał dostęp do klucza do kopalni. – Aspirant obserwował niewzruszoną twarz Roma. – Podejrzewam, że to on ukrył tam ciało synka. Nie wiem tylko dlaczego. I dlaczego potem oboje z żoną szybko wyjechali. Muszę skontaktować się z Jagodą i Dżejsonem Golcami. Musimy ustalić, co się stało.

Mówił coraz szybciej, widząc, że wójt wyciąga zdrową rękę, żeby zatrzymać nadjeżdżającego busa.

– Pana to nie dręczy?

Bus przyspieszył i minął przystanek na pełnym gazie.

– Musimy się dowiedzieć, dlaczego ukryli zwłoki w kopalni – kontynuował Sławek. – Może dzięki temu wyjaśnimy los innych dzieci. Panie wójcie, jeśli ktokolwiek może pomóc dotrzeć do Golców, to tylko pan. Proszę pana o pomoc.

Oczy Markusa były zimne.

– Pojechałem wczoraj do komisariatu – powiedział. – Pomyślałem, że skoro już nam postawili kamery, to musi być nagranie z tamtej nocy. Będzie widać, co się wydarzyło, kto zaczął, kto atakował, kto się bronił.

Sławek się nie odzywał.

– I wie pan co? Powiedzieli, że akurat wtedy monitoring się zepsuł.

Aspirant Gaca zrozumiał.

– Podrzucić pana gdzieś? – zapytał, wskazując głową na samochód.

– Poczekam.

*

Autogrille, drogowskazy o odmiennej czcionce, pedantycznie utrzymane pobocza. Zdziwiły go znaki zapraszające do kościołów autostradowych.

Sylwia prowadziła w milczeniu. Bastian drzemał. Przebudził go dźwięk telefonu.

– Strzygoń? Gdzie ty, do cholery, jesteś? – rzucił naczelny.

– Działam, szefie – mruknął Bastian.

– I co? I nic! Wiesz, ile twoje utrzymanie tam kosztuje? Napisałeś wreszcie coś, co nadaje się do druku?

Bastian zacisnął zęby.

– To będzie coś naprawdę dużego – powiedział. – Tylko potrzebuję jeszcze trochę czasu.

– Włączyłem odliczanie – odparł szef po chwili wahania.

Rozłączył się. Bastian zaklął i zagryzł wargi. Sylwia się uśmiechnęła i już miała skomentować, gdy zadzwonił jej telefon. *WhatsApp* – Łukasz, zobaczył Bastian na wyświetlaczu. Odebrała przez zestaw słuchawkowy.

– Co u was? – Przełożony Sylwii nie bawił się w uprzejmości. – Nie meldujesz się.

– Działam, szefie.

– Potrzebuję raportu na koniec tygodnia.

Zaklęła bezgłośnie.

– Daj nam jeszcze chwilę – zaszczębiotała słodko. – Mamy coś ciekawego. Tylko musimy to pociągnąć.

– Co macie? – ożywił się Łukasz. – Jak nie możesz teraz rozmawiać, to przynajmniej napisz.

– Tak! – podchwyciła. – Nie bardzo teraz mogę. Cześć!

Musnęła czerwoną słuchawkę i wyświetlacz telefonu zgasł. Zacisnęła palce na kierownicy.

– Upierdliwy szef? – zapytał Bastian.

– Witamy w klubie – westchnęła Sylwia. – Kocham go jak ojca, ale czasem...

Bastian o żadnym ze swoich szefów nie powiedziałby czegoś takiego. O aktualnym w szczególności. Nagle jej pozazdrościł. Lojalność, służba, honor, te sprawy. Bez dylematów, czy to, co robi, jest dobre, czy złe. Ona po prostu działa. I zawsze może powiedzieć, że chodzi o bezpieczeństwo narodowe. A on?

– Sylwia, ty wierzysz w to, co robisz? – zapytał.

– Nie zastanawiam się nad tym. – Wzruszyła ramionami. – Inaczej mogłabym dojść do nieciekawych wniosków. Na przykład po jaką cholere ryzykować życie, żeby czuwać nad bezpieczeństwem ludzi, którzy chcą cię zajebać bejsbolami za to, kim jesteś.



ROZDZIAŁ 18

Romska osada z powybijanymi szybami w oknach była jedynym miejscem, w którym chciała się teraz znaleźć. W mieszkaniu posprzątała wszystko, wyregulowała nawet prysznic, który Gerard przestawił, żeby się pod niego zmieścić. I gdy wychodziła dzisiaj z uczelni, poczuła, że strasznie nie chce tam wracać i spędzać kolejnego wieczoru w towarzystwie butelki wina. Tak jak stała – w żakiecie i szpilkach – poszła na autobus.

Kierowca stukał się w głowę, gdy kazała się wysadzić przy kładce na Dunajcu.

– Pani nie wie, co się tam stało? – perorował przejęty. – Tam jest niebezpiecznie!

Co złego może ją spotkać w Kamieniu? Przypomniało jej się, jak przyjechała tu po raz pierwszy. Szok, strach i łzy. Dzisiaj już się nie bała, chociaż była tu zupełnie sama. Dzisiaj czuła tu tylko smutek.

– Księżdz będą przenosić – powiedziała Dominika, kołysząc w ramionach najmłodsze dziecko Reginy. – Tak mi mówił.

– Nie dziwię się. – Anka wzięła Darię na kolana. Ricky wybiegł za Pawłem, kiedy zobaczył, że nie ma z nią Gerta. – Nie wyobrażam sobie, jak ksiądz Karol miałby dalej pracować na parafii po czymś takim.

– Wiesz, co to dla nas znaczy? – Dominika podniosła na nią wzrok. – Że zostaliśmy sami. No, to u nas, a co u was? Co u ciebie? – zapytała, siląc się na lekki ton.

– Piszę właśnie artykuł. – Anka zrobiła tak oczywisty unik, że Dominika zrozumiała: ma nie pytać. Zapaliła papierosa. – O tej waszej Świętej Mateczce. Opowiesz mi o niej?

Romka się zamyśliła.

– Mateczka? Jedni wierzą, inni nie wierzą. Lekarze od *gadziów* są uczeni ludzie, ale nie zawsze mają czas. Trzeba czekać albo jechać daleko. I nie zawsze pomogą. A Mateczka też jest mądra kobieta, tylko inaczej. Ludzie gadają, że ona wie, jak leczyć, bo Bóg do niej mówi. I nie trzeba płacić od razu. Ale trzeba się modlić.

– A czy to pomaga? – zapytała Anka.

– Różnie. – Kobieta wzruszyła ramionami.

– A ty, Dominika? Wierzysz w Mateczkę?

– Eee, nie wiem. Chyba nie. Regina wierzyła w takie różne rzeczy. Ale ja

nie.

– W jakie rzeczy wierzyła Regina? – zainteresowała się Anka.

– Że świat jest dobry. Że we wszystkim jest dusza. I że Bóg ją kocha, że się o nią troszczy i nie da jej zginąć. Wierzyła tak, od kiedy Gwiazdka...

Dominika urwała.

Anka czujnie nadstawiła ucha. Czyżby Regina nie zabrała swojej tajemnicy do grobu? Siedzi tu jej siostra. Najbliższa osoba. Ona przecież musi coś wiedzieć.

– Opowiedz mi o Gwiazdce – poprosiła.

Dominika ważyła coś w myślach.

– Wiem, że teraz to już nic nie zmieni – dodała Anka. – Ale ludzie zapamiętają Reginę jako Cygankę, co ukradła dziecko i dostała za swoje. Chyba że...

– Regina nie ukradła dziecka! – przerwała jej gwałtownie Romka.

– Więc mi opowiedz. – Anka zorientowała się, że ściska Darię za nogę. – Jeżeli Regina tego nie zrobiła, to jesteśmy jej winni sprawiedliwość.

– Gadziowska sprawiedliwość – parsknęła Dominika.

– To powiedz tylko mnie. – Anka patrzyła jej w oczy. – Żebym ja jej tak nie zapamiętała.

Dominika mocniej chwyciła niemowlę. Długo wpatrywała się w stół. Na zewnątrz, pod okapem dachu, ćwierkały jaskółki. Wiatr odwinął folię, którą zaklejono wybite okno, i widać było, jak niesie białe płatki z pobliskich drzew owocowych. Wirowały chwilę i nikły w błotnistych koleinach. Kilka wpadło do środka, spływając na blat stołu.

– Regina urodziła jesienią – zaczęła Dominika. – Dziewczynkę. Małą, chorowitą. Za wcześnie urodziła, w lesie. Jej mąż był wtedy na Zachodzie. Pojechał na zarobek, bo rodzina miała mu się znowu powiększyć. Doglądałam wtedy Reginy i dziecka, bo ona była nieczysta.

Anka skinęła głową na znak, że rozumie. Poród to jedno z najsilniej kalających doświadczeń, czyni kobietę nieczystą, u Romów ze szczepu Bergitka Roma nawet na dwa miesiące. Nikt w tym czasie nie odwiedza położnicy, a już zwłaszcza mężczyźni.

– To dzieciątko było bardzo słabe, nie chciało jeść albo nie umiało – mówiła coraz ciszej Dominika. – Aż umarło. Regina tak rozpaczała... Bałam się, że ona też umrze, z żalu. Ja jej mówiłam, tłumaczyłam, że trzeba pogrzeb zrobić. Ale ona prosiła. Że jeszcze dzień, dwa chce je mieć przy sobie.

Anka się wzdrygnęła.

– Nawet do kościoła poszła, modlić się do Boga. Wierzyła, że Bóg ją wysłucha i to wszystko jeszcze odmieni. Ksiądz przecież mówił, że Bóg jest wszechmogący. Ja jej gadałam, że tak nie można. Że trzeba malutką pochować. Że prosi o gwiazdkę z nieba.

Romka przycisnęła pięść do ust. Oczy jej zabłyśły.

– Ale to ona miała rację.

Daria drzemała, zasnęło też niemowlę. Szumiała tylko folia w oknie. Dwie kobiety, obie z nie swoimi dziećmi w objęciach, patrzyły na siebie przez stół. Dominika nie musiała już milczeć. Wraz z Reginą odeszła resztką nadziei, że Gwiazdka będzie mogła wrócić tu, gdzie jej miejsce. Już nic nie miało być takie, jak było.

– Jednego dnia, jak Regina przyszła z kościoła, przyniosła zawiniątko. To było niemowlę. Dziewczynka.

Anka znieruchomiała, łowiąc każde słowo.

– Też była malutka i słabiutka, chudziutka, ledwo żywa – ciągnęła opowieść Dominika. – Regina powiedziała, że modliła się w przedsionku, kiedy usłyszała kwilenie. I to była ona. Gwiazdka. Jej Gwiazdka od Boga, co jest w niebie. Maleńka była zawinięta w kocyk, leżała na ławce, a koło niej karteczka, żeby dobrzy ludzie się nią zajęli.

– Co się stało z tą karteczką? – zapytała ostrożnie Anka. – I z kocykiem?

– A nie wiem. – Dominika machnęła ręką. – Poszły z dymem. Albo się zgubiły, *oda sas tajsa*. Dziecko Reginy pochowałyśmy razem w lesie, pod kamieniem, żeby zwierzęta nie rozgrzebały. Oddałyśmy je ziemi. A ludziom powiedziałyśmy, że Gwiazdka to jej córka. Kpiny były i wyklinanie, że się z *gadziem* puściła. Donieśli jej mężowi, że ma białe dziecko, i on już nie wrócił z tej zagranicy. Regina została sama, na uboczu wioski, wielu nie chciało z nią gadać. Ale miała Gwiazdkę...

Anka wtuliła twarz we włosy Darii. Czy to możliwe, że to aż takie proste? Dziecko w kościele. Niby po co Dominika miałaby ją okłamywać?

Z drugiej strony... Oszalała z żalu matka może być zdolna do wszystkiego. I skąd Lena znalazłaby się w kościele w Zabrzeży? Anka nawet nie próbowała wyobrazić sobie emocji, które musiały towarzyszyć Reginie, cokolwiek się wtedy wydarzyło. Sama chyba nie umiałaby ich znieść.

Już miała się odezwać, gdy chrupnęła klamka. Do środka wpadł Paweł. Rzucił jej wściekle spojrzenie i zaczął się kręcić po pomieszczeniu.

– Widzisz, Anna – dokończyła Dominika innym tonem, czujnie zerkając na męża. – Regina niewinna. Nie ukradła żadnego dziecka. Cyganie też niewinni. To nie my zabili tego chłopca.

– Wiem. – Anka zrozumiała, że ma nie pytać dalej. Ma nie pytać teraz. To, co zostało powiedziane, ma pozostać między kobietami.

Jak głębokie zaufanie okazała jej Dominika, myślała Anka. Wyznała jej, gadziowskiej kobiecie, sekret dwóch romskich sióstr. Anka poczuła się, jakby przeszła wtajemniczenie.

– Nie martwcie się, to już niedługo się wyjaśni – powiedziała. Należy jej się

ta prawda. Szczerosc za szczerosc. – To zupełnie inna historia. Okazuje się, że ten chłopiec to był uchodźca.

– Uchodźca? – zdziwiła się Dominika, podnosząc głos. – A skąd tu uchodźca?!

– Też nie mogłam w to uwierzyć. Ale potem zaczęłam się zastanawiać. Ostatnio z powodu blokad na granicach uchodźcy musieli zmienić szlaki. Więc dlaczego by nie tędy? Może ktoś organizuje teraz przemyt ludzi przez Polskę?

– Skąd to wiesz? Z policji? – zainteresowała się kobieta.

– Nie, nie z policji. Wiemy na razie tylko ja i ten mój znajomy dziennikarz, więc ty też nie mów nikomu. – Uśmiechnęła się, spięta.

Paweł szarpnięciem odłączył telefon od ładowarki i wyszedł, trzaskając drzwiami. Anka nagle poczuła ucisk w żołądku. Bastian zaklinał, żeby nikomu nie mówić. Opowiadał o jakimś bezpieczeństwie narodowym, chociaż pewnie chodziło mu o medialny szum, który chciał mieć na wyłączność.

Ale to przecież Romowie. Nawet jeśli się komuś wygadają, to kto będzie słuchać Romów?

Bastian nie znosił, kiedy po nocy przedrzemanej w polowych warunkach ubranie lepilo mu się do skóry, stawy skrzypiały, a język smakował metalem. Wściekał się, bo trasa z Łącka do Hamburga powinna zająć góra dziesięć godzin, a oni byli w drodze już drugi dzień. Wyruszyli jednak późno, mając za sobą zarwaną i zakrapianą alkoholem noc, więc Sylwia w pewnym momencie zarządziła przerwę. Dziennikarz był pewien, że nie zmruży oka. Ale skurczony na fotelu golfa usnął w minutę.

SMS sklecony szczątkowym angielskim obudził ich, gdy było już jasno. Mężczyzna pytał, kiedy będą na miejscu, i podał dokładny adres. Do Hamburga wjechali wczesnym popołudniem.

Nawigacja zaprowadziła ich w okolice portu. Za oknem brązowy klinkier, beton estakad i piętrowych parkingów, przemysłowe hale oraz fasady, które również dobrze mogłyby być urzędem gminy w powiatowym miasteczku nad Wisłą. Z asfaltu stoczyli się na bruk.

Zobaczyli długą na kilkadziesiąt metrów konstrukcję złożoną z modułowych kontenerów mieszkalnych. Dwa piętra standaryzowanych okien, kremowobiała blacha, ażurowe schodki, wokół plac wysypany żwirem.

I ludzie.

Samotnie siedzący w kucki lub stojący w grupkach. Barwne dresy, dzinsy, bluzy, swetry, koszulki polo. Czapki z daszkiem i kaptury. Hidżaby i płaszcze. Śniada skóra, czarne, zmęczone oczy. Jedni nerwowo palili, inni flegmatycznie wodzili kciukami po ekranach smartfonów, kilku chłopców grało w nogę piłką tenisową, grupka kobiet pilnowała dzieci. Wszyscy próbowali poradzić sobie z becznością i czekaniem. Ludzie, którzy dotarli do celu. I tym samym stracili

cel.

Sylwia zatrzymała samochód. Bastian w jednej dłoni ścisnął telefon, drugą chwycił klamkę. I tak zamarł. Pośpiech, ekscytacja i niecierpliwość nagle się ulotniły.

Na ekranie jego smartfona mignęła blond czupryna. Bastian przygotował sobie rekonstrukcję wyglądu chłopczyka znalezionej w Kamieniu. Sylwia pojęła w lot, dlaczego Bastian się zawahał.

– Będziesz musiał mu powiedzieć – szepnęła.

– Wiem – odparł cicho.

Wysiadł.

Zobaczyła, jak oparty o blaszaną fasadę młody mężczyzna ze smartfonem nagle się poruszył. Miał może dwadzieścia kilka lat, płowe włosy i kilkudniowy jasny zarost, pociągłą twarz o twardych rysach i bliznę na czole. Bastian też go dostrzegł. Rozpoznali się, stanęli naprzeciw siebie. Przez twarz mężczyzny przebiegł skurcz. Bo choć jeszcze niczego się nie dowiedział, już zrozumiał.

Dziennikarz ruszył ku niemu wolno, jakby do nóg miał przytroczone ciężary. Do mężczyzny dołączył drugi, starszy, o ciemnej karnacji, z brodą. Gdy Bastian stanął przed młodszym, ten drugi zajął miejsce między nimi, zwracając się to do jednego, to do drugiego. Tłumaczy, domyśliła się Sylwia.

Bastian wyciągnął przed siebie telefon. Mężczyzna pobladł, otworzył szeroko oczy, czułym gestem ujął smartfona w obie dłonie. Chłonał obraz z ekranu, coś powiedział, przeniósł spojrzenie na dziennikarza. Bastian powoli pokręcił głową i uciekł wzrokiem.

Sylwia patrzyła, jak tamten łapie Bastiana za ramiona, jakby chciał wydusić z niego jeszcze trochę nadziei, jak potem kuli się, zrywa gwałtownie, szarpie za włosy, twarz chowa w dłoniach, jak uginają się pod nim nogi, jak zaciska powieki. I krzyczy.

– Macie mnie z powrotem przyjąć do roboty – warknął do telefonu Paweł Wichura.

– Wytrzymaj jeszcze trochę. Skomplikowało się. Chcesz pieniędzy? Możemy ci pożyczyć.

– Jak mnie weźmiecie z powrotem, to wam coś powiem. Coś ważnego.

– Co?

– O tym chłopcu, co tu zginął. Ja wiem, kto to był. I oni też wiedzą.

– Co mnie to obchodzi?! – zdenerwował się głos. – I jacy, kurwa, oni?!

– Powiem, jak mnie przyjmiecie z powrotem.

Po drugiej stronie zapadło milczenie. A więc dobrze się domyślił, że szmuglują też ludzi. Umie dodawać dwa do dwóch. Oni zawsze trzymali go z boku. Brali go tylko do brudnej roboty. Poprowadzić ciężarówkę z trefnym towarem, dłużnikowi obić głowę, ale nie więcej. Pewnie myśleli, że jak wpadnie,

będzie mniejsza szkoda. I kontrabandę będzie można zwalić na Cygana, bo wiadomo, że to pewnie złodziej i kryminalista. Ale nie przyszło im do głowy, że on nie jest głupi, że obserwuje, widzi, słyszy i rozumie.

– Dobra, zobaczymy. To co tam wiesz? No, dawaj, to ciekawe!

Takiego wała, pomyślał. Tanio się nie sprzeda. Szczególnie że teraz ma do wykarmienia nie czworo, lecz siedmioro dzieci.

– Nie. Chcę wrócić do roboty – syknął Paweł. – I to nie na wózek. Na coś lepszego. I macie mnie dopuścić do waszych spraw.

Za wożenie spirytusu dostawał jakieś grosze. Jeśli wziąć pod uwagę potrzeby jego rodziny, była to kropla w morzu. Domyślał się, że oni na lewym bimbrze też kokosów nie zarabiają. Że ich kopalnia złota musi znajdować się gdzie indziej.

– Załatwię to, przyjdź jutro. A teraz mów. Kto wie i co.

– Chłopiec to był uchodźca.

Po drugiej stronie rozległo się stłumione przekleństwo.

– Skąd wiesz?

– Usłyszałem przed chwilą we własnym domu. Od kobiety z uniwersytetu, tej, co przychodzi do mojej żony. Tej, co gada z policją.

– A ona skąd to wie?

– Nie mówiła.

– Czyli policja też wie?

– Nie, policja nie. Mówiła, że wiedzą tylko ona i dziennikarz.

– Jaki dziennikarz? – Głos zadawał pytania coraz szybciej.

– Przyprowdziła raz jednego faceta, co mówił, że jest dziennikarzem. To pewnie on, ale nie wiem, kto to.

Wichura odsunął telefon od ucha, słysząc świst wypuszczanego z płuc papierosowego dymu. Czekał.

– Mówiłeś, że dowiedziałeś się przed chwilą, u ciebie w domu... – zastanawiał się głos. – Ona ciągle tam jest?

– Jak wyszedłem zadzwonić do ciebie, to jeszcze była – powiedział Wichura, słysząc nagle własny puls. – A co?

– Nie, nic – rzucił tamten. – Przyjdź rano, dostaniesz zaliczkę. I pogadamy.

Wichura opuścił rękę z telefonem i zorientował się, że odszedł kawałek od wioski. Niebo ciemniało, drzewa rzucały długie cienie. Odetchnął, starając się uspokoić. Może wreszcie wszystko się poukłada. To dla dzieci, przecież dzieci są najważniejsze. Rozejrzał się i szybkim krokiem wrócił do wioski.

Wpadł do domu, gdy Dominika kładła niemowlę do gondolki.

– Gdzie ona jest? – zapytał. – Anna.

Żona wyprostowała się i popatrzyła mu w oczy. Nigdy o nich nie pytał – ignorował ich albo im złorzeczył. Nie nazywał ich po imieniu, mówił tylko *gadzie*.

– Już poszła – odparła.

– To dobrze – rzucił zamyślony i usiadł na rozgrzebanym łóżku.

– Coś się dzieje?

– Wracam do pracy.

Uśmiechnęła się niepewnie. W jego głosie nie było radości.

Nuda. Najwierniejsza towarzyszka wywiadowców. Myślał o narastającym w łokciach i przedramionach skurczu od trzymania lornetki. O sztywniejącym od siedzenia kręgosłupie. O suchych powiekach, które zdawały się trzeć o gałki oczne jak o papier ścierny. O świerzbiących opuszkach palców, o drzeniu dłoni.

Podporucznik ABW Marek Kowalik nienawidził obserwacji. Zwłaszcza że nie mógł liczyć na zmiennika.

Kulił się w fotelu wypożyczonego w Sączu zielonego daewoo tico, zaparkowanego naprzeciwko domu w Łącku. Mahoniowy płot, zamykana na pilota brama, budynek wyjęty z katalogu tanich projektów. Miejsce zameldowania Przemysław Majera, właściciela firmy Przem-Drzew.

Kiedy do sztywnienia mięśni dawało się już przyzwyczać, pojawiał się stres. Głupi, zdawałoby się, dawno oswojony. Gdy obiekt się odwracał i Marek miał wrażenie, że tamten patrzy dokładnie w jego lornetkę. Gdy docierało do niego, że to przypominające mikrofalówkę auto jako jedyne we wsi jest zaparkowane poza posesją i musi przyciągać uwagę jak prostytutka na placu Świętego Piotra. Gdy przypominał sobie, że czeka go rozliczenie. Z Łukaszem. I z nią.

Nie, to nie byłaby kapitulacja ani pójście na łatwiznę. Byłoby to wręcz odpowiedzialne. Pozwoliłoby pozbyć się stresu, znieczuliłoby ból w kręgosłupie. Mógłby się sprawdzić. Udowodnić sobie, że może.

Mijał po drodze pawilonik Tesco zaraz przy wjeździe do Łącka. To nawet nie będzie zejście z posterunku, to raptem ze trzysta metrów. W zasięgu wzroku, a co dopiero lornetki – w zasadzie nawet by nie spuścił obiektu z oka.

A piwo to nie alkohol.

Gerard patrzył z hałdy w Kostuchnie, jak nad Śląskiem zapalają się światła. Maciek, pediatra, posklejał go stripami, mrużąc: „Mało ci blizn?”. Na koniec przykleił mu duży disnejowski plaster, który Gerard skubał teraz w zamyśleniu. Lekarz pozwolił mu wybrać między księżniczką Elszą a bałwankiem Olafem. „W sam raz na poziomie tego, co zrobiłeś”, podsumował. Aby dodatkowo się pognębić, Gerard wybrał Elsę i nosił ją teraz jako dowód własnego gówniarstwa.

Matka próbowała z nim rozmawiać, ale ją zbył. Wiedział, że i tak wszystko się wyda, jak przestanie jeździć do Krakowa, a Anka nie pojawi się u niego więcej. Ale nie miałby siły znosić jeszcze teraz ich współczucia. Starał się zachowywać normalnie, jednak nie dali się nabrać. Coraz bardziej zirytowany, czuł, jak go obserwują. Słyszał, jak szepczą między sobą.

– Co się z nim znowu dzieje? – rozległ się w kuchni głos ojca. Gerard wkładał buty w przedpokoju. – Jeszcze rok temu wydawało mi się, że mój syn to

przebojowy młody człowiek. Może nawet zbyt przebojowy. A teraz?

– Jeszcze rok temu nie miałeś pojęcia, co to za obcy facet mieszka pod twoim dachem – odpowiedziała matka.

– Ale co z nim jest nie tak?

– Jest, jaki jest. Ale to nasz syn.

Odkąd uciekł z Krakowa, nie miał od niej znaku życia. Może Anka czeka, aż on zadzwoni pierwszy. Odbierze i będzie udawać, że nic się nie stało. Zacznie opowiadać, jaka była zajęta, ile się działo, zagada go, nie da sobie przerwać.

Jeśli nie spróbuje, to zawsze będzie się zastanawiał, co by było gdyby. Wyjął telefon. W uszach mu szumiało, gdy słuchał sygnałów. Czekał długo.

Wreszcie odrzuciła połączenie.

Odczekał chwilę i zadzwonił ponownie. Odrzuciła natychmiast.

Do trzech razy sztuka, pomyślał.

Ale wtedy telefon był już wyłączony.

Cztery pary dłoni jednakowo ścisnęły cztery papierowe kubki. Na środku stołu leżał cyfrowy dyktafon, pachniało frytkami. Siedzieli w pobliskim McDonaldzie. Sylwia i Bastian po jednej stronie, po drugiej, nisko pochylony, Rêwî Koçer, syryjski Kurd. Ojciec Armana, chłopca znalezionej w romskiej osadzie.

Sprzedali, co się dało, tłumaczył na angielski jego poznany w Hamburgu towarzysz, pan Sadiq, Arab z Damaszku. Zostawili to, co było bezwartościowe, i to, co było bezcenne. Ruszyli we troje wiosną, gdy tylko pozwoliła pogoda: Rêwî, jego żona Leyla i ich pięcioletni synek Arman. Obiecali mu, że jeśli będzie bardzo dzielny, dotrą razem do świata bez wojny. Pocieszyli, że to będzie taka wielka podróż pełna przygód, jak w baśniach. Karteczkę z numerem telefonu Rêwiego okleili taśmą, żeby nie rozmokła na morzu, i zaszyli ją chłopcu pod podszewką bluzy, by jej nie zgubił. Pouczyli, że ma ją pokazać komuś dorosłemu, gdyby coś ich rozdzieliło. W Turcji zapłacili fortunę za miejsce na pontonie, który z Bodrum miał ich zabrać na wyspę Kos.

Leyla utonęła kilkaset metrów od greckiego brzegu. Już było widać światła.

Potem czekanie, aż pozwolą się przeprawić na stały ląd. W Pireusie, gdy tylko poczuli pod podszewkami asfalt portowego nabrzeża, Rêwî, zwrócony na wschód, długo się modlił.

Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc, powtarzał słowa Pierwszej Sury, prowadź nas drogą prostą, drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami, nie zaś tych, na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błędzą.

Tydzień szli do granicy macedońskiej, do Idomeni. Tam, otepiałych ze zmęczenia i z głodu, ogłuszonych szczekaniem policyjnych dobermanów, zaczepił pewien Serb.

Rêwî rozważył szanse. Popatrzył na mapę. Przypomniał sobie opisy granicy

węgierskiej i słoweńskiej, macedońskich i bułgarskich obozów, austriackich patroli. Spojrzał Armanowi w oczy. I oddał Serbowi resztę pieniędzy.

Wraz z kilkorgiem innych trafili w ręce obrotnych członków siatki bieglej w przerzucaniu po Bałkanach nie takich towarów. Pędzono ich, transportowano, przechowywano i przeładowywano niezliczoną ilość razy.

Pamiętał te nazwy. Błagojewgrad i Pernik. Calafat, Kluż-Napoka i Syhot Marmaroski. Tiacziw i Użhorod. Humenné. I Preszów, gdzie wsadzili ich wszystkich do białego forda transita na polskich tablicach rejestracyjnych, któregoś już auta z kolei. I ostatniego.

Arman już wtedy gorączkował. W ciasnej puszczy nabitej ludźmi, w zaduchu ciał i smrodzie moczu dygotał, miał biegunkę, wymiotował nawet wodą, majaczył. Budził się i wołał matkę. Rêwî nie wiedział, skąd chłopiec ma jeszcze tyle siły, by krzyczeć.

A gdy krzyczał, inni się bali. Tłukli pięściami w przegrodę wspawaną między ładownię a szoferkę, że potrzeba pomocy.

Zatrzymali się w lesie. Otworzyli tylne drzwi. Było ich dwóch. Jeden łysy i barczysty jak zapaśnik, w koszulce z orłem opiętej na brzuchu. Drugi śniady, z wypięlgnowaną fryzurą, w kolorowej koszuli i biżuterii na szyi. Powiedzieli, że mały ma się zamknąć, jeśli nie chcą wracać tam, skąd przyszli.

Rêwî całym sobą próbował otulić, uciszyć chłopca. Jedną dłonią trzymał go za rozpalone czoło, a drugą zasłaniał mu usta.

Mówili, że jak się dostaną do Polski, będzie nocleg, obiecywali schronienie i odpoczynek. Potem mieli wyruszyć ku autostradzie i do Niemiec.

Taki był plan.

Wyszła od Dominiki i starała się nie wdepnąć w szambo. Niebo granatowało, w oknach zapalały się światła. Ostrożnie postawiła nogę na kładce. Nie szła jeszcze tędy po ciemku. Gdzieś pod nią nurt Dunajca szumiał niczym rój szerszeni.

Serce zabiło jej szybciej, gdy weszła na spróchniałe deski. Obcasy szpilek utykały w szczelinach. Czowała, jak jej kroki wprawiają kładkę w drgania, jak wibruje lekko. Szła powoli, wsłuchując się w echo.

Nagle zorientowała się, że kładka drga w nieco innym rytmie. Bluzka przykleiła się jej do mokrych pleców. Nie była na kładce sama.

Obejrzała się. Ten ktoś był daleko, widziała tylko zarys sylwetki. Przystanął. Ruszyła przed siebie. On powoli ruszył za nią.

To najkrótsza droga na drugą stronę rzeki, co w tym dziwnego, że ktoś tędy idzie? Starła się uspokoić, ale dalej kurczowo zaciskała palce na poręczy.

Kładka nagle wydała jej się strasznie długa.

Zatrzymała się. W świetle latarni po drugiej stronie rzeki zobaczyła biały samochód dostawczy. Obok barczysty facet palił papierosa. To też nic

niezwykłego. Nawet nie jest późno. Idź dalej, spokojnie, mówiła do siebie.

Za piętnaście minut miała autobus. Za dwie godziny znowu będzie w domu. Schwytana pomiędzy dwa brzegi, sięgnęła po telefon. Ma numer do Głoda. Ale co miałyby mu powiedzieć? Proszę mnie ściągnąć z kładki na Dunajcu, bo się boję? Złość dodała jej odwagi. Ruszyła przed siebie.

Zeszła i posłała mężczyźnie na końcu kładki nieśmiały uśmiech. Rzucił niedopałek na ziemię.

A potem świat zawirował.

Poczuła ból w ramieniu. Coś dużego i ciepłego wylądowało jej na twarzy. Szarpnęła się, straciła oparcie, wierzgnęła nogami w powietrzu. Spróbowała wrzasnąć, ale mięsista dłoń zasłaniała jej usta. Zaszleściła folia, zarzucono jej na głowę reklamówkę. Nic nie widziała. Grzmotnęła o twarde podłoże śmierdzące chemikaliami. Trzasnęły drzwi auta. Zawył silnik, wóz się rozkołysał. Ktoś wcisnął jej twarz w podłogę, usiadł na niej okrakiem, zakleił jej usta szeroką taśmą, na powrót zarzucił na głowę foliową torbę i teraz krępował jej ręce na plecach. Szarpnęła się i wydała zduszony skowyt. Porywacz uderzył ją pięścią w nerki. Straciła dech.

Nie mogła się ruszyć, nie widziała nic, czuła tylko kołysanie. Nie mogła otworzyć ust. Oddychała przez nos, w reklamówce i tak było mało powietrza. Pierwotny strach przyspieszał tętno. Pociemniało jej w oczach.

Zakołysało mocniej, van się zatrzymał, ale silnik nadal był włączony. Chrupnęła klamka, do ładowni wdarł się świeży, chłodny powiew i woń taniej wody kolońskiej.

Rzuciła się znów i spróbowała krzyknąć.

– Weź ją tam ucisz! – warknął ktoś. – Spokojnie, *moja drahá*, bądź grzeczna.

Rzuciła się mocniej. Ktoś kopnął ją w biodro. Zwinęła się z bólu, znieruchomiła.

– Tu jest jej torebka.

Szelesty, stuki. Grzebali w jej rzeczach.

– Jest dowód osobisty, Anna Serafin – powiedział głos. – I wizytówki. Doktor Anna Serafin, Uniwersytet Jagielloński. Zgadza się, on mówił, że ona jest z uniwersytetu. Co robimy?

– Jedziemy do lasu – odparł drugi głos.

To się nie dzieje naprawdę. Zamknie oczy, policzy do dziesięciu, otworzy i okaże się, że przysnęła w autobusie. Spróbowała. To pomaga, pomyślała, gdy usłyszała dzwonek własnego telefonu. Zaraz otworzy oczy i zobaczy, że to budzik. Ale ciągle widziała tylko ciemność.

– To jej komórka? – zapytał głos.

– Czekał, zaraz wyłączę. – Zagrzechotały tic taki, dzwonek rozległ się głośniejsze.

– Gert – przeczytał głos. – Co to, kurwa, jest? Imię czy ksywa? *Sorry*, stary, nie tym razem. Jak kocha, to poczeka.

Telefon umilkł. Anka zajęczała cicho. Gert. Powiedziałyby mu tyle rzeczy, których nigdy mu nie mówiła, zaczynając od tych najprostszych. Proszę. Dziękuję. Przepraszam. Za wszystko, za co nigdy go nie przeprosiła. Za to, co ostatnio. Żeby tylko mogła. Żeby nie było za późno.

Dzwonek odezwał się znowu i natychmiast umilkł.

– Uparty chuj – mruknął głos.

Anka załkała.

– Wypierdol w ogóle ten telefon – dodał drugi. – Oni mogą go potem namierzać.

Trzasnęły drzwi. Głosy ucichły. Została sama w ładowni. Zawarczał silnik i autem zaczęło rzucać, jak na gruntowej drodze.

Samochód jechał coraz wolniej. Zaraz się zatrzyma, pomyślała. Strach odbierał jej jasność myślenia.

Fala paniki. Anka czuła, że się dusi. I że jak auto się zatrzyma, to będzie koniec.

Umrę.

Drzwi. Mocne ręce szarpnęły ją na zewnątrz. Reklamówka spadła jej z głowy. Polana, las, stary barakowóz, biały van. Zachłysnęła się powietrzem.

Zemdlała.

Syreny. Za każdym razem, gdy mijało ich auto na sygnale, Rêwî truchlał, a Arman znowu zaczynał krzyczeć. Zdradzisz nas, zdradzisz nas, synku, szeptał mu do ucha. Cicho, bądź cicho, synku, błagam cię, błagam, niech Bóg miłosierny, litościwy ma nas wszystkich w opiece.

Resztki kawy w papierowych kubkach wystygły, gdy słuchali pana Sadiqą. Głos Rêwîego Koçera brzmiał, jakby mężczyzna snuł swoją opowieść z głębi studni. Dyktafon nagrywał, beznamiętnie migając czerwoną diodą.

Syreny wyły. Arman płakał. Głośno. Towarzysze podróży znów podnieśli alarm. Samochód gwałtownie zmienił kierunek, zwolnił. Potem długo nimi bujało.

Aż ford transit się zatrzymał. Zgasł silnik. Cisza była ogłuszająca.

Chrupnęła klamka. Do środka wpadło odurzająco rześkie powietrze. Pachniało żywicą, mokrą ziemią i jakby palonym plastikiem. To był ten łysy. Zabierzemy małego do szpitala, powiedział. Potrzebuje pomocy. Weźmiemy go do przodu, do szoferki. Tam jest wygodnie, jest ogrzewanie, damy mu wody. Chwycił go w umięśnione ręce, uśmiechnął się. Zatrzasnął drzwi.

Kurd przerwał. W tle radio grało pogodny niemiecki przebój. Słysząc było szmer rozmów przy stolikach. Z zaplecza dobiegał alarm stopnia wysmażenia frytek. Jakiś tatuś składał zamówienie, a przedszkolak, którego trzymał na rękach, dopominał się o Happy Meal.

Rêwî Koçer zacisnął dłoń na kubku i zmiażdżył go z chrzęstem.

Ocknęła się, gdy poczuła siarczysty policzek. Otworzyła oczy. Siedziała na krześle. Stał przed nią mężczyzna. Duży, rozrośnięty wszerek. Na twarzy miał kominiarkę. Drugi stał za nią i trzymał ją za ramiona.

– Budzimy się, śpiąca królowo – powiedział ten duży. – Nie ma czasu, żeby się z tobą pierdolić całą noc.

Zarechotali obaj. Anka podwinęła nogi pod krzesło. Jedną stopę miała gołą, gdzieś po drodze straciła but. Puls załomotał jej w uszach. Było ciemno, widziała tylko kontury, do tego włosy opadały jej na twarz.

– Teraz grzecznie odpowiesz na pytania. – Ten duży zerwał jej taśmę z ust. Krzyknęła. – Co wiesz o trupie chłopca z koczowiska?

Spróbowała coś powiedzieć. Głos uwiązał jej w zaciśniętej krtani. Spróbowała jeszcze raz.

– Nic – wyszeptała wreszcie.

Uderzył ją znowu, w drugi policzek.

– Nie kłam.

Bez ostrzeżenia poprawił pięścią. Jej głowa odskoczyła gwałtownie w bok. Ten drugi musiał ją przytrzymać, żeby nie poleciała na podłogę razem z krzesłem.

– Jeszcze raz. Co wiesz o chłopcu z koczowiska?

– To był uchodźca – wydusiła z siebie. Łzy pociekły jej po twarzy. Piekący ból pulsował pod okiem.

– Dobrze. – Założył ręce na piersi. – Skąd o tym wiesz?

Nie odpowiedziała, spazmatycznie łapała oddech. Co się stało? Jak to się stało? Co robić? Co z nią będzie? Myślała gorączkowo.

– Będiesz gadać!? – warknął drugi mężczyzna, który stał za nią. Miał chrapliwy głos i obcy akcent – inaczej zmiękczał, inaczej wymawiał szeleszczące głoski. Poczuła, jak zaciska palce na jej szyi. Zaszłochała gwałtownie. – Będiesz gadać czy mamy cię...

Jedną ręką wciąż trzymał ją za szyję. Drugą wsunął w dekolt jej bluzki. Ścisnął mocno jej pierś. Zabolało.

– Od dziennikarza! – krzyknęła.

Mężczyzna cofnął rękę i poklepał ją po policzku. Pociągnęła nosem. Wielkie łzy płynęły jej z oczu.

– Jakiego dziennikarza? – zapytał ten drugi.

Co ma powiedzieć? Wystawić im Bastiana? Zaczęła się trząść.

– Gadaj!

Znowu śmignęła pięścią. Rozbłysło jej przed oczami, upadła razem z krzesłem na bok, uderzyła biodrem o podłogę, aż jęknęły deski. Kopniak w brzuch wypchnął jej powietrze z przepony. Straciła oddech.

– Sebastian... – łapała oddech – ...Strzygoń...

Duży wyjął z kieszeni komórkę. Ten drugi postawił krzesło, złapał Ankę pod pachy, podciągnął i posadził na miejscu.

– To on? – Mięśniak pokazał jej na telefonie zdjęcie Bastiana ze strony „Horyzontu”.

Kiwnęła głową, niezdolna wydusić z siebie słowa.

– Gdzie on jest?

– Pojechał... do Niemiec – wyjąkała.

– Pierdolisz.

Duży się zamachnął. Skuliła się i pisnęła.

– Przestań – warknął zza jej pleców ten drugi. – Ona i tak zaraz się posika ze strachu. Nie kłamie.

Znowu zarechotali.

– Na długo pojechał?

– Nie.

– On się tu kręcił. Gdzie się zatrzymał?

Znowu zamilkła. Ten stojący z tyłu pochylił się nad nią i odgarnął jej włosy z twarzy. Złapał ją za żuchwę. Czowała jego oddech na swoim czole.

– *Moja drahá* – wychrypiał jej do ucha tym swoim dziwnym akcentem. Jego oddech czuć było papierosami. – Chcesz się z nami bawić? My go możemy sami poszukać. A jak się tak chcesz z nami zabawiać, to ciebie też możemy *šukat’*.

– Pensjonat Trzy Jabłka – powiedziała szybko. Przypomniała sobie, że w niedzielę odstawiła tabletki. Strużka zimnego potu popłynęła jej po kręgosłupie. – To w Łącku. Błagam, ja... – Znowu zaczęła płakać.

Facet puścił ją i się roześmiał.

– Kto jeszcze wie? – zapytał.

– Nikt! Tylko my: on i ja!

– Znowu kłamiesz. – Ten duży stanął nad nią. Zgięła się w pół, oczekując kolejnego ciosu. Zaciśnęła powieki. – Przypomnij sobie, komu jeszcze wychlapałaś.

Zastygła. Powiedziała tylko Dominice. To ona ją zdradziła? Czy tylko puściła informację dalej?

– No, kto jeszcze wie?!

Wyjąkała jedno słowo:

– Kamień.

Na poplamionym piwem stoliku Sylwia rozłożyła notatnik z tabelą w kształcie trójkąta prostokątnego. Bastian przyglądał się jej, jak zawiesza długopis nad skreśloną rubryką. „Dziecko NN” – wpisała ponownie. Skreśliła.

„Arman Koçer” – poprawiła.

W portowym pubie w Hamburgu w środowy wieczór było spokojnie. Ktoś śmiał się przy barze, kilka stolików dalej para w skórzanych kurtkach szeptała

do siebie. W głośnikach niczym soundtrack leciało *Tears in Heaven* Erica Claptona. A oni musieli pomyśleć. I się napić.

Wzięli od pana Sadiq numer telefonu, a Rêwîemu Koçerowi kupili niemiecki zestaw prepaid, żeby nie stracić z nim kontaktu, na wypadek gdyby jego syryjski numer przestał działać. Syryjczyk zaklinał ich, żeby się odezwali. Żeby pomogli mu pojechać do Polski, do miejscowości nad Dunajcem, zagubionej między Gorcami a Beskidem Sądeckim, o której niewielu Syryjczyków w ogóle słyszało. Na grób dziecka.

Przemysłowcy wyrzucili ich w lesie kilkadziesiąt kilometrów za niemiecką granicą. Odjechali, zostawiając ich z niczym. Rêwî był zdezorientowany. Nie wiedział, co z Armanem, do którego szpitala go zabrali. Był przekonany, że chłopca odebrano mu na Słowacji. To tam słał maile do policji, urzędów, szpitali, pisał na Facebooku. Wszystko trafiało w próżnię.

Bastian, usłyszawszy prośbę o pomoc w dotarciu na grób chłopca, podrapał się po karku. Poradził, żeby Rêwî zaczekał z tym, aż dostanie unijne papiery o statusie uchodźcy, zezwolenie na pobyt. Inaczej w Polsce przy pierwszej okazji zamkną go w ośrodku dla cudzoziemców, a potem deportują, w najlepszym wypadku do Grecji.

Rêwî Koçer złapał dziennikarza za ramię i długo przemawiał po arabsku. Błaga pana, żeby pan przysiągł, że pomoże mu pan załatwić ekshumację, przetłumaczył zdumionemu Bastianowi pan Sadiq, że zrobi pan wszystko, żeby mógł zabrać ciało swojego synka z tamtego kraju.

Strzygoń spojrział na Rêwîego. I przysiągł.

– A więc łączył się. – Sylwia wzięła w dłoń oszroniony kufel holstena. – Od samego początku łączył się z naszą sprawą.

Wpisała kółko na skrzyżowaniu rubryk „Arman” i „ford transit”. Białe auto na polskich blachach, o którym mówił Rêwî. Śmierdzący chemią transit, którego znalazła u Majera i w którym nadaremno szukała śladów materiałów wybuchowych. Z grodzią wspawaną między ładownię a szoferkę i z wyłożonym wykładziną wewnątrz, z którego wzięła próbki mikrośladów. Teraz lepiej rozumiała sens przeróbek auta. Odgródzona ładownia zapewniała kontrolę nad żywym towarem. A odór chemikaliów wziął się stąd, że widocznie przemysłowcy próbowali wyczyścić wykładzinę zabrudzoną przez chorego chłopca.

Kolejne kółko wpisała na przecięciu rubryk „Arman” i „Przemysław Majer”.

– Sylwia. – Bastian przytrzymał jej dłoń. Rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie. – Może wreszcie byś mi powiedziała, czym ty się zajmujesz?

Upiła łyk piwa.

– Otrzymaliśmy informację o dziwnych powiązaniach między przedsiębiorcą z Łącka a słowacką firmą, której właściciel kontaktował się z serbskimi zbrojami od broni i wybuchów – zaczęła. – Myśleliśmy, że przez granicę może iść przemysł

niebezpiecznych zabawek, a przed ŚDM wszystkim zaczęło się palić pod tyłkami. Pracowałam nad tym już od jakiegoś czasu, gdy w Kamieniu pojawiło się martwe dziecko. Nijak nie wiązało się ze sprawą, ale na wszelki wypadek postanowiłam nasłuchiwać, co tam się dzieje. To dlatego wyszłam na kontakt z Serafin.

– Z Anką też gadałaś? – Bastian się uśmiechnął. Ale się ruda zdziwi.

Sylwia przytaknęła.

– I nagle w Łącku pojawiaasz się ty. Od szefa wiedziałam, że kręcisz się koło naszych tematów. I też postanowiłam mieć na ciebie nasłuch. – Sylwia puściła do niego oko. Bastian otworzył usta. Być dziennikarzem obserwowanym przez ABW to jednak lans. – A do tego jednym z pracowników naszego przedsiębiorcy był Rom, który mieszka w Kamieniu. Pojawił się na fotce, którą wytweetowałeś. Jak się domyślasz, wzmoгло to moje zainteresowanie tobą.

Uśmiech Bastiana zgasł. Zakłuło.

– To ten, który o mało nie obił mi ryja. Myślisz, że on ma z tym wszystkim coś wspólnego?

– Nie wiem – odparła. – Rêwî zeznał, że na końcu przemytników było dwóch. Ten przypakowany z orłem na koszulce to nasz kolega z Łącka. – Dźgnęła długopisem jego nazwisko w tabelce. – Ten drugi był śniady. I tylko tyle się zgadza, reszta opisu nie pasuje. Starszy, odpicowany, biżuteria – przeczytała z notatek. – Ale zwłoki Armana porzucili w Kamieniu.

– Myślisz, że gdyby to był ktoś z Kamienia, byłby tak głupi, żeby porzucić zwłoki pod własnym progiem? – wtrącił Bastian. Wycelowwała w niego długopis, przytaknęła. Pokraśniał z dumy.

Sylwia przerysowywała teraz powiązania z tabelki na schemat, który przypominał graf, jakim w korporacjach ilustruje się zależności służbowe. Z przyjemnością zauważył, że ABW posługuje się podobnymi metodami, jak on sam. Żadnych bajerów jak z filmów o Jamesie Bondzie, trójwymiarowych symulacji, hologramów czy sztucznej inteligencji. Zamiast tego kartki, kolorowe długopisy i rozgrzewający się do czerwoności mózg. Przypomniał sobie własne schematy na odwrocie rysunków Adriana Engela, synka Karoliny. Jakby od tamtego czasu minęła cała epoka, pomyślał.

Punkty „Majer” i „ford transit” Sylwia połączyła w jeden zbiór podpisany „Przem-Drzew”. Drugi zbiór, zawierający punkty odpowiadające Armanowi i Reginie, podpisała „Kamień”. W części wspólnej obu zbiorów umieściła Pawła Wichurę.

Potem kolejne punkty, linie i zbiory. Zdeněk Molnár i jego firma krzak. Rêwî i długa strzałka wiodąca półokręgiem na drugą stronę schematu, ku Armanowi i Kamieniowi.

Pośrodku rysunku znajdowało się puste miejsce. Gruba linia łączyła je z Molnárem, przerywana – z Przemysławem Majerem.

– A to? – wskazał Bastian.

– Boss – odparła Sylwia. Nie zdradzając, skąd to wie, powiedziała mu o telefonach i o tym, że w całej sprawie jest ktoś jeszcze. Ktoś ze Słowacji, kto wykorzystuje Molnára jako słupa i do kogo dzwoniło również z Polski. Podejrzewała – stąd przerywana linia – że kontaktował się z nim Majer.

– Jutro zatrzymamy się w Krakowie. Muszę złożyć raport.

Popatrzyła w błyszczące oczy dziennikarza.

– I jeszcze jedno – mruknęła ostrzegawczo. – Jeśli puścisz choć parę z gęby, nie zdążysz ponieść odpowiedzialności karnej. Bo wcześniej osobiście cię zastrzele. Jasne?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ale kiedy już będzie można to ujawnić, rozumiem, że mam wyłączność na pragnącą zachować anonimowość funkcjonariuszkę ABW?

Zmarszczyła nos.

– Może. Jak zasłużysz.

Za Kluszkowcami zjechał z asfaltu, zgasił światła i skierował transita w las. Gałęzie grzechotały na dachu. Przemysław Majer się spieszył.

Nie przypuszczali, że ktoś odkryje, co to był za gówniarz. Wtedy rozwiązanie wydawało się proste i genialne: wina miała spaść na Cyganów z Kamienia. Zwłaszcza że akurat byli na miejscu. A oni nie mogli ryzykować jazdy z tym małym w szoferce ani tym bardziej wożenia jego zwłok. Musieli improwizować. Wtedy też się spieszyli.

To miał być pewny, mało ryzykowny biznes, dużo bardziej intratny niż fałszowany bimber. Ale wszystko się skomplikowało. Więc po jednym razie odpuścili, przynajmniej na jakiś czas.

Zatrzymał się. Droga opadała stromo do samego Jeziora Czorsztyńskiego. Wiedział, że dalej jest głęboko. Dobrze znał te tereny, pamiętał stare Maniowy, które po zbudowaniu zapory znalazły się na samym dnie jeziora.

Poklepał vana po ubłoconej burcie. Zwolnił hamulec ręczny. Zeskoczył ze schodka i zatrzasnął drzwi.

Biały ford transit nabrał prędkości i z pluskiem wjechał w wodę. Przemysław Majer zapalił papierosa i patrzył, jak widoczny w świetle księżyca biały dach przez chwilę jeszcze kołysał się na powierzchni, aż zniknął pod czarną taflą.

Uśmiechnął się krzywo. Kamień w wodę.

Nie wiedziała, co ją bardziej boli – twarz, brzuch czy biodro. Ale przynajmniej była teraz sama.

Wczoraj zostawili ją w ciemności i poszli. Przycupnęła w kącie. Zimno wciskało się do wnętrza barakowozu. Chłód i strach sprawiały, że cała się trzęsła.

Najpierw krzyczała. Wzywała pomocy. Coraz głośniejszy, aż krzyk przeszedł w długi, bezsilny płacz. Nikt jej tu nie słyszał. Zaszło jej w gardle. Ucichła.

Bała się zamknąć oczy. Bała się je otworzyć. Słyszała nocne ptaki, od czasu do czasu szelesty. Zwierzęta.

Nie wiedziała, jak przetrwała noc.

Rano przyszedł ten duży, w kominiarce. Wyciągnął nóż. Chwilę bawił się jej przerażeniem, wreszcie rozciął taśmę krępującą Ance ręce z tyłu. Położył przed nią małą butelkę wody mineralnej i baton, po czym na powrót okleił jej nadgarstki taśmą, tym razem z przodu, żeby mogła jeść.

– Puśćcie mnie, błagam – wyjęczała. – Ja nikomu nic nie powiem. Już nigdy więcej tu nie wrócę! Przysięgam!

Tylko się zaśmiał. Wyszedł, a przed wyjściem stał przez chwilę w drzwiach i patrzył na nią. Skuliła się, domyślając się, co mu chodzi po głowie.

Najpierw rzuciła się na wodę, potem zjadła. Nie udało jej się znaleźć drugiego buta, za to odkryła, że za wąskim przepierzeniem stoi kubek z pokrywką, który robił za kibel, oraz szmata służąca jako ręcznik. Krzywiąc się z obrzydzenia, skorzystała i zużyła pół butelki wody, żeby umyć ręce. Żałowała potem, oblizując spierzchnięte wargi. Ręcznika nie odważyła się dotknąć.

Próbowała wyrzeć przez zakratowane okienko, ale z zewnątrz było zarośnięte brudem. Szarpała za klamkę drzwi. Krzyczała.

Teraz znowu siedziała skulona w kącie. Sięgnęła do szyi. Nie znalazła wisiora z muszelką, którym zwykle bawiła się, kiedy była zdenerwowana. Nie wiedziała, jak go straciła. A może wrzuciła go do worka na śmieci z rzeczami Gerta? Więc tylko skubała guziki bluzki, którą zapięła pod samą szyję.

Jak to się stało?

Gdzieś przy ognisku, w Kamieniu, zostawiła serce. Zaufała, zaangażowała się, chciała pomóc. A Kamień odpłacił jej czymś takim. Gert miał rację, jest głupia i ślepa. Zapatrzyła się w czarne oczy małej dziewczynki i nie dostrzegła tego wszystkiego, co się tam dzieje. A przecież nieraz widziała sińce na twarzach kobiet. Nieraz czuła opary wody kupionej za pojawiające się znikąd pieniądze. Zamarzyła jej się rola Ireny Sendlerowej, która ich wszystkich uratuje, czy tego chcą, czy nie.

I wylądowała sama w lesie, więziona przez bandziorów.

Sama. Bo była też tak głupia i ślepa, że tego gówniarza na psychotropach, jedyne go człowieka, który do tej pory nigdy jej nie zawiódł, wyrzuciła za drzwi i kazała mu się wynosić. Do tego była okrutna, precyzyjnie wbijała mu szpile tam, gdzie wiedziała, że zaboli najbardziej, drapała jego blizny i kopała leżącego. I kto tu był sadystą?

Naprawdę wydawało jej się, że to takie proste? Że puści się na konferencji, znowu uwiedzie jakiegoś studenta albo może ubierze się w krótką spódniczkę, pójdzie do pubu na Rynku i da się przelecieć pijanemu Anglikowi? A kto powiedział, że uda się od razu? Za którym razem straci do siebie szacunek?

A jakby było chore? – podpowiadała dalej wyobraźnia. Jak miałyby dać sobie radę sama? Musiałyby zrezygnować z pracy. Z czego miałyby żyć – z opieki społecznej? Może wtedy przygarną ją w Kamieniu.

A gdy dziecko zapyta, kim jest jego tata, to co odpowie? Że jest dawcą? Że nie wie o jego istnieniu? A może, że to jakiś bandyta, który...

Schowała głowę w ramionach i starała się zapomnieć o tej dłoni na swojej piersi, o zrogowaciałym naskórku przy nieobciętych paznokciach. Przecież to się prawie stało. Przecież to dlatego powiedziała im wszystko i teraz nie ma już nic w zamian. Pragnęła zatrzymać projektor w mózgu, który wyświetlał jej detalicznie, co z nią zaraz zrobią, za każdym razem dokładając nowe szczegóły. Tłukło jej się pod czaszką, że odstawiła tabletki. A co będzie – zakładając, że w ogóle uda się jej stąd wydostać – jeśli to się stanie? Czy zniesie to, jeśli zdarzy się w taki sposób?

Przypomniała jej się Regina i pomyślała, że matki mają być twarde. Jak kamień. Że mają być opoką dla swoich dzieci nawet wtedy, kiedy same uginają się pod ciężarami. A ona tak bardzo potrzebowała, żeby ktoś inny ją czasem podtrzymał, utulił, ogrzał, ukołysał do snu.

Żeby ktoś ją kochał.

Zaszlochała, kuląc się jeszcze bardziej. To wszystko miało znaczenie w jakimś innym świecie. W tym świecie, który rozciągał się poza granicami „jeśli”.

Jeśli uda jej się stąd wydostać.



ROZDZIAŁ 19

Nienawidziła, kiedy Łukasz tak na nią patrzył.

Z autostrady A4 Sylwia wbiła się w miasto, prześlizgując się slalomem w popołudniowym szczycie. Zostawiła zzieleniałego od tej jazdy Bastiana w samochodzie na parkingu pod komendą przy Mogilskiej i pobiegła do mieszczącej się pod tym samym adresem krakowskiej delegatury ABW. Zdążyła. Łukasz był jeszcze na miejscu.

Teraz patrzył na nią tak, że znowu czuła się jak wtedy w bidulu, gdy narozrabiała. Słuchał jej w milczeniu, oparty łokciami o biurko.

– Rozum ci odjęło, dziecino – powiedział w końcu.

Wyprostowała się.

– Dotarłam do... – zaczęła.

Wstał. Umilkła.

– Posłuchaj mnie. Pieprzę to, że pojechałaś na samowolkę. Pieprzę, że bez powiadamiania nikogo podjęłaś działania poza granicami kraju. Pieprzę nawet to, że wszędzie wozisz ze sobą pismaka, i to mojego pismaka. To poważne złamanie regulaminu służby, ale pieprzę to. – Stał blisko niej, wyprostowany palec trzymał na wysokości jej twarzy. – Tylko dlaczego, do kurwy nędzy, ukrywałaś to przede mną?!

– Bo ty byś... – Patrzyła w podłogę.

– No, co ja bym?

– Bałam się, że każesz mi puścić to drogą formalną, zwrócić się do Niemców. To by zajęło wieki, Łukasz – odparła cicho. – A ja musiałam. Musiałam.

Kapitan ABW przysiadł na blacie i skrzyżował ramiona.

– Martwe dziecko to nie jest nielegalny arsenał. I z tego, co mówisz, nie zakładałaś, że przemytnicy przerzucali do Polski szwadrony ISIS. To przestała być sprawa agencji. To przestała być twoja sprawa. Trzeba było zdać raport i pozwolić, żeby zajęły się tym odpowiednie służby. Więc co niby musiałaś?

Zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Bo to była twoja sprawa, tak?

Skinęła głową, wciąż wbijając spojrzenie w podłogę.

– Kamień, Romowie, to dziecko... – Urwała.

Tego się obawiał, gdy ją tam wysyłał.

– Zaangażowałaś się.

Kamień i tamta noc, kiedy ludzie, których przysięgała chronić, rzucili się na ludzi, spośród których się wywodziła. I jedni, i drudzy byli dla niej obcy. Arman, zamordowane dziecko. Oczy tych dzieci w lesie. Twarze uchodźców w czyścucu niemieckiego schroniska. Regina, padająca od ciosu kamieniem. Bo przecież w obcych zawsze rzucono kamieniami.

A ona? Przemykająca w szarej strefie między białym a czarnym, obca dla jednych i drugich, kobieta bez rodziny, bez przeszłości, bez planów na przyszłość. Bez swojego miejsca i swojego czasu. Bez demonów i bez zobowiązań. Dlaczego miałoby jej zależeć? Przecież oni wszyscy to byli obcy ludzie.

I właśnie dlatego...

– ...to jest moja sprawa – powiedziała głośno.

– Już nie. Napiszesz raport, prześlemy tę sprawę CBS – odparł kapitan. – I módl się, żeby twoja samowolka nikogo drogo nie kosztowała. Gdzie Marek?

I jeszcze Marek. Wciąż go chroniła, choć powinna powiedzieć prawdę. I do tego wszystkiego Bastian. Na dokładkę.

– Na miejscu, prowadzi obserwację – skłamała. – Łukasz, to jest nasza sprawa! To idzie przez całą Europę, mamy zagrożenie niekontrolowanym napływem ludzi z rejonów o wysokim ryzyku, a ty mówisz, że to nie nasza sprawa? Tyle – rozsunęła kciuk i palec wskazujący na mniej niż centymetr i podsunęła kapitanowi pod oczy – dzieli mnie od dorwania łobuza, który tym rządzi w naszym regionie. Nie zabieraj mi tego teraz!

Zorientowała się, że krzyczy. Zamilkła.

– A poza tym... – Spojrzała na niego, pochylając głowę. Splotła dłonie. Brakowało tylko, żeby zatrzepotała rzęsami. – ...mam gotowe rozpoznanie, jeden z podejrzanych zna mnie pod dobrą legendą. Mogę to szybko dokończyć, a policja będzie się z tym smerfować od początku.

Odwrócił się, by nie zauważyła, że nie zdołał utrzymać kamiennej twarzy, i usiadł za biurkiem.

– Widzimy się tu jutro o dziewiątej – oznajmił. – Do tego czasu zmontuję zespół z CBS i Strażą Graniczną. Będziesz z nimi grzecznie współpracować. Jasne?

Uśmiechnęła się promiennie.

– Zleć chłopakom, żeby ustalili numer komórki Przemysława Majera i wyciągnęli jego billingi. Trzeba sprawdzić, czy dzwonił pod ten numer, który ci wysłałam. I jeszcze jedna rzecz, superważna.

Wyjęła z kieszeni foliowy woreczek. W środku był sklejonny kawałek srebrnej taśmy samoprzylepnej, na którą zebrała próbki z wykładziny białego forda transita ukrytego w tartaku.

– Dajmy to do labu. – Rzuciła mu paczuszkę na biurko.

– Dziecino...

– Tak?

– Wyjdźże stąd wreszcie. Zanim jednak wklepię ci naganę do akt.

Podskoczyła do niego, cmoknęła go w policzek i zniknęła za drzwiami.

Paweł Wichura wyszedł na słońce i zmrużył oczy. W głowie huczało mu od tabletek i od papierów, nad którymi ślęczał z magazynierem. I był bardziej zmęczony niż po całym dniu na wózku widłowym. Ale nowa funkcja oznaczała, że nie jest już tanią siłą roboczą.

Pokleпали go po plecach. Wspomnieli o robocie płatnej ekstra, że kroi się wkrótce. Zaliczkę dostał taką, że sam się zdziwił. Najpierw oddał, co pożyczył, potem pojechał do sklepu, nakupił masę rzeczy dla rodziny i zapłacił żywą gotówką. Piękne nowe stówki prosto z bankomatu. Jeszcze parę dni temu robił zakupy na zeszyt. Sprzedawczyni pewnie myślała, że kogoś okradł. I niech sobie myśli, *dilini mindz*. Całej szóstce maluchów świeciły się oczy, kiedy przywiózł ciastka. I mleko instant dla niemowlęcia, to najdroższe, reklamowane. A Dominika, jak ona na niego patrzyła!

Teraz szedł, pogwizdując, i już nie mógł się doczekać, jak znowu zobaczy ich wszystkich, radosnych.

– Ale się Pawełek sprawił, nie? – dobiegło go nagle zza węgła. Stał jak wryty.

– Kto by pomyślał, że tak fiknie. Ale to znaczy, że głupi nie jest. A niegłupi człowiek od brudnej roboty nam się przyda. – Słuchał dalej. Uśmiechnął się. O taki efekt mu chodziło.

– A co z tą laską? – zabrzmiał głos Majera. – Nie możemy jej trzymać w lesie w nieskończoność. Ktoś ją usłyszy, turysta albo leśniczy. A gliny już jej pewnie szukają. – Wypowiadając ostatnie słowo, zająknął się i roześmiał.

– Wiem. Trzeba się jej pozbyć.

Wichura nagle cofnął się o krok. Dominika mówiła, że nie mogła się do Anny dodzwonić. Chciała, żeby tamta przyjechała, zobaczyła, jak im się teraz wiedzie. Powiedział Dominice, że pewnie Anna ją olała. Jak wszystkie *gadzie*. Że ma o niej zapomnieć, bo ona o nich zapomni od razu.

Za węglem na chwilę zapadła cisza.

– Jak to zrobimy?

– Tak jak z autem. Do jeziora. Załatwisz to dzisiaj w nocy.

– Czemu ja? – zapowietrzył się głos.

– Bo masz doświadczenie.

– A może teraz twoja kolej?

– Nie dyskutuj. Jutro ma być po sprawie.

– Co będę z tego miał?

– Nie pójdziesz do pierdła na resztę życia.

Na trocinach zachręściły kroki. Odeszli.

Wichura oparł się plecami o ścianę. Poczul, jak portfel w tylnej kieszeni

dżinsów nagle uwiera go w tyłek. Jak go parzą te pieniądze.

Przecież to wszystko dla dzieci, pomyślał. Tamci to *gadzie*. A *gadzie* są wszystkiemu winni.

Ruszył przed siebie. Wróci do domu, zajmie się rodziną. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby ta baba zniknęła. Żeby przestała przyjeżdżać i mącić dzieciom w głowach. Gadać, że jak będą się uczyć, to też niby mogą iść na uniwersytet albo jeździć takim sprzętem, jak ten jej facet. Że mogą być lepsi, niż się urodzili. To wszystko kłamstwa. Po co ona w ogóle gadała takie rzeczy.

Niby pomagała przecież Reginie. A ten jej facet bawił się z jego dziećmi.

Tak, mogłaby więcej nie przyjeżdżać. Ale... zabić?! Ścisnął pięściami skronie.

Poszedł na przełaj przez las. Nie, nie miał problemu, żeby dać komuś w mordę. Wozić spirytus przemysłowy przez granicę. Bujać system, łamać prawo, które ktoś wymyślił przecież nie po to, żeby Cyganów chronić, tylko żeby im jeszcze bardziej skomplikować życie.

Ale... zabić?!

Zacisnął pięści. *Gadzie* zabili Reginę. Oko za oko, śmierć za śmierć, kobieta za kobietę. Sprawiedliwie.

Przypomniało mu się, jak krztusił się dymem, jak krwawił z rozciętego łuku brwiowego, kryjąc się w paprociach przed policją, która przyjechała po wszystkim. I nagle przypomniało mu się też, że zobaczył wtedy, jak z lasu wychodzą jakaś obca Cyganka i *gadzio*, prowadząc dwoje dzieci.

To były dzieci Reginy. A ten *gadzio* przyjechał kiedyś z Anną.

Paweł Wichura nie spostrzegł się, że idzie coraz szybciej. Wpadł do domu. Dominika, widząc wyraz jego twarzy, cofnęła się z niemowlęciem w ramionach i obserwowała go w milczeniu.

To musi gdzieś być. Zgarnął ze stołu zabawki i opakowania po ciastkach. Przewrócił szklankę z herbatą, która chlapnęła na podłogę.

Jest. Wizytówka. Uniwersytet Jagielloński. Anna Serafin. Do niej nie ma już sensu dzwonić.

Odwrócił bilecik na drugą stronę.

Gerard miał ochotę cisnąć książkę do śmieci. Żeby zająć czymś myśli, nadrabiał zaległości, których narobił sobie na studiach przez te wszystkie jazdy do Kamienia. I szło mu nieźle, ale potknął się na tym przedmiocie. Nie trafił nigdy na nic nudniejszego niż prawo budowlane.

Już miał iść po dolewkę kawy, gdy zadzwonił telefon. Nieznany numer.

Odebrał bez słowa.

– Twoja kobieta jest w niebezpieczeństwie – usłyszał.

Zerwał się na równe nogi.

– Trzymają ją w lesie. Chcą ją zabić.

– Jezu... – wydusił z siebie Gerard. – Kto? Gdzie? Kim...
– Nie teraz. Nie ma czasu. Musimy działać, ja wiem, gdzie ona jest.
– Policja już jej szuka? – Starał się myśleć logicznie, chociaż pociemniało mu przed oczami. – Ktoś to zgłosił?
– Nie, nie! – zaprotestował głos. – Żadnej policji. Jak powiesz jedno słowo o policji, to się rozłączam.

– Dobra. – Przełknął ślinę. – Spokojnie. Czego chcesz? Co mam robić?

– Jak szybko możesz być w Zabrzeży?

Gerard błyskawicznie przekalkulował, ile zajmowała mu trasa z Gliwic do Krakowa i z Krakowa do Kamienia. Z Anką jeździł zgodnie z przepisami. Teraz nie zamierzał.

– Góra dwie godziny – odparł. – Powiedz coś! Cokolwiek! Jacy oni? Kto? Gdzie? W jakim lesie?! – Wsunął wolną dłoń we włosy. – Dlaczego?!

– Nie ma czasu. Bądź za dwie godziny przy kładce do Kamienia. I nikomu ani słowa. A zwłaszcza policji, bo inaczej nic się nie uda. Spóźnimy się.

– Czekaj! Kim jesteś?!

Odpowiedziała mu cisza. Drżącymi palcami wybrał numer do Anki. Telefon ciągle był wyłączony. Gerard nie miał kontaktu do nikogo z jej rodziny, żeby zapytać, czy dostali od niej w ostatnim czasie jakąś wiadomość. Miał tylko numer do Bastiana. Zadzwoił. Dziennikarz nie odebrał.

Gerard kopnął walającą się po podłodze zmiętą w kulkę kartkę z niedokończonym szkicem. Przycisnął dłoń do ust. Popatrzył na telefon. Zegarek. Czas. Nie ma czasu.

A jeśli ktoś go wkręca? Tylko po co? To musiał być ktoś z Kamienia. Może jednak zadzwonić na policję? Ale co im powie, skoro nie wie nic? I to przecież potrwa wieki!

Poza tym aż za dobrze pamiętał, jak skończyła się dla niego ostatnia współpraca z policją. Powiódł palcem wzdłuż blizny na twarzy. Da sobie radę sam, pomyślał. Jest szybki. Jest silny. Jest zdesperowany. A jeśli się uda, to ona...

Nie ma czasu. W biegu złapał kask, w drzwiach minął matkę, wskoczył na motor. Silnik na wysokich obrotach zawył jak piła tarczowa. Ruszył.

*

W recepcji pensjonatu dotarło do niego, jak bardzo jest zmęczony. W ciągu ostatnich kilku dni działo się więcej niż przez ostatnich kilka miesięcy.

– Idziesz ze mną na górę? – zapytał Bastian. Nie miał pojęcia, skąd weźmie siłę na seks. Ale nie wyobrażał sobie, że nie zaproponuje.

– Nie, pójdę do siebie się wyspać. – Sylwia posłała mu zmęczony uśmiech.

Ulga. Potrzebował побыć chwilę sam. Wyobraził sobie długi prysznic i chłodną pościel. Pożegnali się, gdy z zaplecza wyszła właścicielka pensjonatu, machając do Bastiana dużą brązową kopertą.

– Panie Sebastianie, dobrze, że pan jest – wysapała. – To do pana.

Sylwia się zatrzymała. Bastian wziął kopertę do rąk. W środku znajdował się jakiś przedmiot o nieregularnym kształcie. Opisana była markerem, kanciastym pismem.

– Od kogo to? – zapytał.

– A nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Ktoś zostawił wczoraj na blacie.

Bastian i Sylwia wymienili spojrzenia. Ruszyli na górę.

W pokoju rzucił plecak na podłogę. Rozdarł kopertę.

Wyjął z niej but. Ubłoconą szpilkę o przytartym obcasie.

Nic nie rozumiał. Zajrzał ponownie do środka. Było tam coś jeszcze. Wytrząsnął zawartość nad stolikiem.

Na blat wypadły dowód osobisty i złożona kartka papieru. Dziennikarz chwycił dokument. Zobaczył zdjęcie i nazwisko. Spojrzał z powrotem na but. Podniósł go, nagle zaczęły mu się trząść ręce.

– O Boże... – wyjąkał. – Nie...

Sylwia podniosła kartkę.

– „Wypierdalaj i zapomnij o uchodźcach bo skończysz jak ona” – przeczytała.

– O Boże! – Dziennikarz dyszał ciężko. – O mój Boże.

Obracał w dłoniach but. Dotykał go czule. Teraz już go poznawał.

– Nie – szeptał do siebie. – Błagam, nie.

– O co tu chodzi, Bastian? – zapytała ostrzej Sylwia. – Skąd oni wiedzą o uchodźcach? Co to za ona?

– Anka – jęknął. Usiadł na łóżku. Patrzył gdzieś w przestrzeń.

Sylwia spojrzała na dowód. Anna Serafin. Mogła się domyślić.

– Musimy coś zrobić! – Zerwał się z miejsca. – Przecież to ci przemytnicy! Ściągaj posiłki, nie wiem, dzwoń po wsparcie, antyterrorystów, jedźcie do nich, zróbcie rozpierdol! Albo nie. – Złapał się za głowę. – Nie ma czasu. Policja z Sącza. Ten cały Głód! Albo łap broń i chodźmy po nią...!

– Bastian! – Chwyciła go za ramiona. – Uspokój się. Po kolei. Skąd oni wiedzą, że ty wiesz o uchodźcach? Od niej?

– Tak. – Jego oczy otwierały się coraz szerzej. – O Boże, to moja wina...

Wyszarpnęła z kieszeni komórkę. Marek. Zostawiła go tu, żeby pilnował Majera. Słuchała sygnałów w telefonie i modliła się, żeby nie było tak, jak zaczynała podejrzewać.

Czekała długo. Wreszcie usłyszała szmery. I czknięcie.

– ...lwia...

– Piłeś?! – wrzasnęła.

– ...dno piwko... Nic się nie działo. – Jego głos ślizgał się i potykał

o spółgłoski. – To wziąłem sobie jedno piwko...

– Chryste, Marek!

Nie było odpowiedzi. Za to rozległ się hałas, jakby telefon upadł. Połączenie zostało przerwane.

Przewinęła książkę adresową. Wybrała numer Anny Serafin. Abonent niedostępny. Nagle poczuła ciężar słów, które wczoraj usłyszała od Łukasza. Żeby jej samowolka nikogo drogo nie kosztowała.

W żołądku zakiełkował jej gniew.

– Powiedziałaś jej? – Odwróciła się do Bastiana. Przytaknął skinieniem głowy. – Bastian, czy ja ci wystarczająco jasno nie zabroniłam komukolwiek o tym mówić?! – wybuchnęła. – To nie było tylko takie pieprzenie, żebyś się poczuł jak w filmie! Sprzedałeś jej temat, ona się komuś wygadała i pozamiatane. Spaliłeś mi misję!

– A ona? – Machnął jej butem przed nosem.

– Co jest z wami, ludzie?! – wyrzuciła z siebie. – Nie potraficie się zamknąć? To nie gra miejska w szukanie mordercy ani serial na HBO! Tu naprawdę chodzi o bezpieczeństwo narodowe!

– Ludzie?! – Podniósł głos. – A ty kto jesteś? Cyborg? Superbohaterka?!

Sylwia patrzyła mu w oczy. Było w nich przerażenie. I wściekłość. Wyglądał, jakby miał się na nią rzucić z pięściami.

Zrobiłby to, pomyślała.

– Spokojnie – powtórzyła. Jemu. Sobie. – Musimy się zastanowić.

Wzięła go za rękę i doprowadziła do łóżka. Usiedli. Ciągle trzymała jego dłoń.

– Kiedy kontaktowałeś się z nią ostatni raz?

– W środę – odparł. Jego własny głos wydał mu się obcy. – Jak byliśmy w trasie.

Trzy dni, pomyślała. Niedobrze. Serafin najprawdopodobniej nie żyje. Wiedziała, do czego są zdolni przemytnicy ludzi. A ci mieli już na sumieniu przynajmniej jedno życie.

– Ile ona wie?

To, co wiedziała Serafin, wiedzieli też oni. Sylwia nie miała wątpliwości, że kobieta przed śmiercią wyznała im wszystko.

– Tylko tyle, że chłopiec był uchodźcą. I że jadę do Niemiec spotkać się z jego ojcem.

– Wie o mnie?

– Nie – szepnął.

– To dobrze – powiedziała łagodnie. – Mamy przewagę.

Nie chciała dawać mu fałszywej nadziei. Ale powinien jeszcze się skupić.

– Zastanów się, komu mogła wygadać? – zapytała. – Kto jeszcze wie?

– O mój Boże. – Wyswobodził rękę z jej dłoni. – Kamień.

Czarna yamaha zahamowała na poboczu. Motocyklista zdjął kask. W snopie światła reflektora na kładce zobaczył mężczyznę z włosami związanymi w kitkę. Mężczyzna wyrzucił niedopałek do rzeki i ruszył ku niemu.

Zmierzyli się wzrokiem.

– To ty – powiedział motocyklista.

Paweł Wichura skinął głową.

– To ja, Gerard.

– Co teraz?

– Jedziemy. Pokażę ci gdzie.

Wichura znał to miejsce. Domyślał się. Parę razy kazali mu zabrać tam dłużnika. Obić mordę, zostawić na noc. Kiedy wracał nad ranem, delikwent był mięciutki jak zgniłe jabłko. Jeśli trzymają ją w lesie, jak mówili, to właśnie tam. Tłumaczył to Gerardowi po cichu, oszczędzając słowa.

Chłopak słuchał uważnie i myślał, że nigdy nie słyszał dobrze głosu tego faceta. Do tej pory Wichura tylko przekrzykiwał się z żoną w tym dziwnym języku albo patrzył spode łba. Nigdy nie mówił do nich. Teraz jego głos był nieco ochrypły, niski.

– Skąd to wiesz? – rzucił, gdy Rom skończył.

– Nie pytaj.

– Dlaczego to robisz?

– Bo... – zająknął się Wichura. – Nie pytaj.

Gerard tak bardzo chciał zeskoczyć z motoru, przygwoździć faceta do ziemi, wytluc z niego wszystko do ostatniego słowa. Ale wiedział, że Rom jest jego jedyną szansą. Zacisnął zęby.

– Dlaczego miałbym ci ufać?

– Nie wiem. Nie musisz.

Gerard podał mu drugi kask. Ruszyli ostro, kierując się na południe.

Jechał zgodnie ze wskazówkami Roma. Za Tylmanową odbił z drogi 969 w prawo. Kiedy skończyły się zabudowania, liczył zjazdy w drogi gruntowe. Pierwszy, drugi, trzeci. Skręcił.

Motor podskakiwał na koleinach, wyrzucał za siebie żwir, chlapał wodą na boki, wył silnikiem, brnąc przez błoto. Reflektor podświetlał płaty mgły, która kładła się między drzewami tak, że wyglądały jak duchy, wydobywał z ciemności fantastyczne kształty. Kałuże błyszczały zimnym światłem, zaśniły żółto oczy jakiegoś zwierzęcia. Gerard zwolnił, pochylił się, szukając równowagi. Gałęzie śmigały mu przed twarzą, czepiały się kurtki.

Droga robiła się coraz węższa. Las się zbliżał. Zamykał się nad nim ciemnością wciąż niżej i niżej. Jak powała piwnicy.

Klaustrofobiczny tunel drogi nagle pojaśniał. Przecinka. Może to już tu.

Zaraz się okaże, czy Anka tu jest. Czy żyje. Czy się spóźnili. Albo czego chciał od niego Wichura, że go tu zwabił. Jeśli tylko Rom nie ma broni, to da sobie z nim radę.

Odpędzał te myśli. Skup się na jeździe, powtarzał sobie, chociaż strach pęczniał mu w piersi, pulsował zimnem.

Wjechał w przecinkę. Poczł na ramieniu dłoń Wichury. Zatrzymał się.

– Zgaś silnik – polecił Rom. – Teraz trzeba cicho. Mogą tam być.

Gerard zeskoczył z motoru i zerwał z głowy kask. Wichura miał latarkę, poświecił nisko, prowadził. Biegli skuleni, lawirując między pniakami. W ciszy lasu ogłuszał ich szelest własnych ubrań, chrzęst gałęzi pod butami.

Raptem Gerard zobaczył nad sobą rozgwieżdżone niebo. Przecinka zmieniała się w rozległą polanę. Na jej drugim końcu majaczył w ciemności duży, podłużny kształt. A więc Wichura nie kłamał.

Trzymając się ściany lasu, Gerard w kilku susach znalazł się przy barakowozie. Wspiął się na palce, próbując zajrzeć przez zakratowane okno. Przez brudną szybę nie zobaczył nic. Nasłuchiwał. Wewnątrz nikt się nie poruszał. Chłopak wskoczył na wąskie schodki i rzucił się do drzwi. Były byle jakie. Ktoś wstawił w nie zamek, wisiała też gruba kłódka. To znaczyło, że porywaczy nie ma w środku.

– Anka! – krzyknął.

– Cicho! – warknął Wichura. – A jak oni gdzieś tu łążą?

Gerard szarpnął za klamkę. Załomotał. Przymierzył się. Na wąskim trapie nie mógł się złożyć do kopnięcia w drzwi. Napał na nie ramieniem. Cofnął się, ile mógł, uderzył całym ciężarem ciała. Łomot poniósł się po lesie. Drzwi zdrząły, ale trzymały dalej. Uderzył jeszcze raz. Płyta wiórowa wgniotła się i pękła. Może mimo zamka uda mu się przebić do środka.

Usłyszał za sobą szelest. Odwrócił się, uchylił się odruchowo, zasłonił przedramieniem twarz. Rom stał blisko. Z solidnym młotkiem wyciągniętym spod kurtki.

– Spróbuj tym – powiedział.

Chłopak złapał narzędzie oburącz, wąski koniec wsadził za skobel, między kłódkę a drzwi. Pociągnął za trzonek. Chrupnęło. Okucie zachwiało się na obluzowanych gwoździach. Wcisnął młotek głębiej, zaparł się całym ciałem. Wrzeczadź zatańczył na kłódce i zawisł smętnie.

Szarpnął klamkę. Drzwi blokował jeszcze zamek. Gerard przymierzył się, skupił. Walnął w drzwi barkiem, wkładając w to całą swoją siłę. Jeszcze raz. I jeszcze. Poszły drzazgi, drzwi chrupnęły donośnie i grzmotnęły o ścianę wewnątrz barakowozu.

Mógłby przysiąc, że słyszał wysoki krzyk, ale może to jego własny mózg oszukiwał go nadzieją. Adrenalina rozszerzyła mu źrenice, w uszach dudnił puls.

Już miał wpaść do środka, kiedy Rom złapał go za ramię.

– Czekaj – powiedział Wichura. – Mnie tu nigdy nie było. I żadnej policji.

Popatrzyli sobie w oczy i tamten odszedł. Jego sylwetka zniknęła w ciemności.

– Anka?!

Gerard rzucił się do wnętrza barakowozu. Latarką w smartfonie omiół pomieszczenie. Na początku jej nie zauważył. Dostrzegł samotne krzesło, butelkę po wodzie mineralnej, papierek po batonie.

A potem ukląkł w kącie, odkładając powoli smartfona na podłogę.

– Z kim ona rozmawiała w Kamieniu? – pytała dalej Sylwia.

Bastian ścisnął w dłoni szpilkę Anki, nie zważając, że but jest uwalany błotem. Nie odpowiadał.

– Bastian! – Podniosła głos. Złapała go za nadgarstki. – Mów do mnie.

Skupił się z wysiłkiem.

– Głównie z Reginą, tą, która nie żyje. I z jej siostrą – odpowiedział głucho.

– Z Dominiką.

Otworzył szeroko oczy. Resztki krwi odpłynęły mu z twarzy.

– Jezu Chryste. Dominika jest żoną Pawła Wichury.

Sylwia zerwała się z łóżka. Wyszarpnęła z plecaka swoje schematy. „Kamień”. „Wichura”. „Majer”. „Boss”. Czyli Wichura wiedział jednak o przemyśle ludzi, pomyślała.

– Wiesz coś o nim? – zapytała. – Coś więcej?

Bała się, że Bastian wpadnie w panikę i nie będzie z niego żadnego pożytku. Patrzyła, jak jego twarz tężeje, jak dziennikarz się koncentruje. Odkłada but na podłogę, sięga po swój notatnik, kartkuje go coraz szybciej.

– Anka mówiła... – szeptał. – Zagadnąłem ją, gdy mnie o niego pytałaś. Mówiła, że w tartaku jeździ wózkiem widłowym, bo ma uprawnienia do jego obsługi, i że... Czekaj.

Nie przerywała mu. Nagle przestał kartkować.

– Mówiła, że siostra Wichury jest żoną jakiegoś bogatego Cygana. Że załatwiła mu tę robotę.

Sylwia rzuciła się do jego notatek.

– Że jak?! Załatwiła mu robotę u Polaka przez Cygana? Za protekcją Cygana?!

A więc w otoczeniu Majera jest ktoś, kogo nawet on się słucha. Bogaty, wpływowy. Rom.

Oboje spojrzeli na jej schemat, rozłożony na podłodze. Na grubą linię łączącą Majera z pustym miejscem na „bossa”.

– A ten ważny Cygan... – Sylwia ze wszystkich sił starała się zachować spokój. – Czy on też może mieszkać w Kamieniu?

– Kamień to slumsy. – Bastian wyduł wargi. – Tam nie ma ważnych Cyganów.

– To skąd on jest?

– Nie wiem! – Złapał ją za ramię. Skrzywiła się, gdy zacisnął palce.

Zastanawiała się, czy ktoś taki pasowałby do opisu Rêwiego. Śniady, odpicowany, z biżuterią. Czy to on był z Majerem wówczas, gdy zginął Arman?

Nie z Kamienia. Więc może z Sącza, z Tarnowa, może z kosmosu, może z filmu Kusturicy. A czemu nie ze Słowacji?

Zakreśliła zamasyście. Kamień. Wichura. Majer. Boss.

Może wystarczy tam pojechać, przemknęło jej przez myśl. Wepchnąć skurwielowi Wichurze lufę do pyska i kazać się do niej prowadzić. Tylko co, jeśli Serafin to już tylko zwłoki? Popatrzyła na Bastiana. Nie podobało jej się to nieobecne spojrzenie. Wołałaby, żeby krzyczał. Kłął. Nawet żeby jej przyłożył.

Sięgnęła po telefon. Wystarczająco już narozrabiała. Trzeba zadzwonić do Łukasza. Powiedzieć, że znalazła bossa. Ale że to nie do końca dobra wiadomość. Niech sprawdzi siostrę Pawła Wichury w bazie PESEL, niech znajdzie jej męża.

Czuła, że jest tak blisko. Tylko za jaką cenę?

Wesoła melodyjka dzwonka komórki Bastiana wydała się w tym momencie bardzo nie na miejscu.

– Ja pierdołę. – Dziennikarz popatrzył na wyświetlacz. – To jej facet. Dzwonił do mnie wcześniej, pewnie jej szuka. – Ukrył twarz w dłoniach. – Przecież on mnie zabije gołymi rękami – powiedział spokojnie, jakby komentował pogodę.

Dzwonek dalej dźwięczał. Sylwia usiadła koło Bastiana.

– Odbierz. Może powie coś więcej. Kiedy dokładnie zniknęła. Co robiła.

– Jesteś potworem, Sylwia.

Wziął oddech. Odebrał.

– Cześć, Gerard. Słuchaj, nie wiem, jak ci to...

Gwałtownie wciągnął powietrze, zachłysnął się nim.

*

Markus Drozd wyszedł z lasu, minął wypaloną skorupę domu Reginy i zamiast do osady, skręcił w stronę rozciągającej się powyżej łąki. Stał przy ogrodzeniu. Gwizdnął przez zęby. Słuchał odgłosów z wioski, gdy w mglistej ciemności rozległo się ciche parsknięcie. Twarz owionął mu gorący oddech.

Markus wyciągnął rękę i położył ją na chrapach zwierzęcia. Trzeba będzie pochować Reginę, myślał. Pochować Oskara Golca – chłopca z Jarmuty. Odczynić rytuały żałobne. Rozebrać spalony dom. Zagrabić to pobojowisko i spróbować od nowa.

Regina. Oskar. Co ma zrobić, żeby pozwolić im odejść w pokoju?

– Bastian.

Głos nikał w szumie wiatru. Głos Anki.

– Przyjedź jutro do Krakowa. Musimy porozmawiać.

Upuścił telefon. Osunął się na kolana. Sylwia objęła go i przytrzymała.

– Widzisz, wszystko jest dobrze – mówiła, nie wiedząc, czy bardziej do niego, czy do siebie. – Nic się nie stało, nic jej nie jest. Pojedziemy do Krakowa, przekonasz się. Widzisz?

Zesztywniał.

– Sylwia – odezwał się cicho. – Idź już. Chcę zostać sam.

Zabrała plecak. Wyszła na palcach. Miała wrażenie, że zza drzwi, które zamknęła za sobą, dobiega stłumiony szloch.

Stała na środku parkingu przed pensjonatem. Nagle nie wiedziała, dokąd pójść. Nie chciała iść do Marka. Była na niego wściekła, bała się, że zrobi mu krzywdę. Spojrzała w okno pokoju Bastiana, gdzie poruszyła się firanka. Objęła się ramionami. Wślizgnęła się do samochodu i oparła czoło na kierownicy.

A potem zadzwoniła do Łukasza.

Kurczowo trzymała się go przez całą drogę. Oplatała ramionami jego tułów, tak jak w barakowozie obejmowała nimi własne kolana, kołysząc się miarowo. Znalazł ją w kącie, w który się wciskała, jakby chciała udąć, że jej tam nie ma. Była bez jednego buta, nie widział jej twarzy. Gdy dotknął jej pleców, zadrżała. Ukląkł, wciągnął w nozdrza zapach jej włosów i przytulił usta do przedziałka. Gorąco rozlało mu się po twarzy, krtań zadrzała.

– Mała... – powiedział. – Już po wszystkim.

Przez polanę, do motocykla, zaniósł ją na rękach. Byle szybciej wyjechać z tego lasu. Zatrzymał się tylko raz, popatrzył na jej podbite oko, siniec na skroni, nalegał, że zawiezie ją do szpitala. Pokręciła głową.

– Chcę do domu, Gert – wyszeptała. – Jedźmy do domu.

Pęd powietrza, dziki rajd wąską drogą na Lubień, a potem Zakopianką do Krakowa, otrzeźwiał, oczyszczał. Hałas motoru zagłuszał myśli. Przywarła do Gerarda mocno, z całej siły.

Torebka przepadła. Dobrze, że nie zdążył oddać klucza do jej mieszkania, że ciągle nosił go na dnie plecaka. Tak jak prosiła, zamknął drzwi na łańcuch, klucz zostawił w drzwiach, obiecał, że jutro wymieni zamki. W zamrażalniku znalazł jedzenie od swojej matki. Anka zjadła dwie porcje cannelloni ze szpinakiem. Wypiła kieliszek wina z napoczętej flaszki. Poszła się wykąpać.

Rozejrzał się po mieszkaniu, wysprzątanym tak, że wyglądało jak ekspozycja w Ikei. Efekt psuły tylko sterta naczyń w zlewie, butelki po winie i papierki po czekoladkach wysypujące się ze śmieci. Nalał sobie resztkę wódki, którą znalazł w lodówce, i wypił duszkiem, żeby splukać buzującą w żyłach adrenalinę. Usiadł na swoim miejscu na kanapie, zapadł się lekko. Zamknął oczy.

Wyszła z łazienki, ubrana w szlafrok. Odprowadził ją do łóżka i okrył kołdrą po samą szyję.

– Wolisz, żebym z tobą został, czy mam iść na kanapę?

– Zostań – odpowiedziała bez wahania. – Tylko się ubierz – dodała po chwili.

Z worka na śmieci na dnie szafy wygrzebał nieużywany podkoszulek i bokserki. Umył się szybko i wsunął pod kołdrę. Leżała tyłem do niego, skulona.

– Musimy porozmawiać – westchnęła.

– Teraz musisz odpocząć. Śpij, pogadamy jutro.

– Nie. – Poruszyła się. – Teraz. Chciałam cię przeprosić. Za to wszystko, co powiedziałam w niedzielę. Nie, po prostu za wszystko. Miałaś rację, byłam głupia i okrutna. Nie chcę, żebyś mnie taką zapamiętał. I... tak, usłyszałam wszystko, co miałeś mi do powiedzenia. Że jesteś młody. Że masz swoje problemy... Rozumiem cię. Ja w sumie też... – Zająknęła się. – Nigdy nie zapomnę tego, co dzisiaj zrobiłeś. I zrozumieć, jeśli jutro wsiądziesz na motor i odjedziesz. Tak będzie lepiej.

– Nie – przerwał jej. Uniósł się na łokciu.

– Ale przecież wiesz, że to bez sensu...

Tak długo przekonywała samą siebie, że to prawda, aż niemal w to uwierzyła. Wiedziała, że jeśli nie zrobi tego teraz, to potem nie będzie potrafiła znowu się go pozbyć, zanim on sam odejdzie.

– Nie dam się stąd drugi raz tak łatwo wyrzucić – powiedział, znajdując ustami jej skroń. Jego oddech był ciepły, pachniał mentolem.

– Gert... – Odsunęła się.

– Anka – znów jej przerwał. – Dasz mi choć raz postawić na swoim i pozwolisz się sobą zająć?

Milczała.

– Nie musimy dzisiaj podejmować decyzji. To nie koniec. Przetrwamy to razem, a potem się zobaczy, okej? – Starał się, żeby to nie zabrzmiało jak błaganie.

– Okej – szepnęła w poduszkę.

– Ania... – Ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. – Chcesz się przytulić?

Powoli się odwróciła, wcisnęła twarz w jego pierś. I wybuchnęła długim, oczyszczającym płaczem.



ROZDZIAŁ 20

O siódmej rano zadzwonił z pytaniem, kiedy mogą ruszyć do Krakowa. Zapytała, czy przedtem może się u niego umyć. W samochodzie dużo mówił, śmiał się, starał się ją zagadać. Sam próbował zapomnieć o emocjach poprzedniego wieczoru, wstyd mu też było, że tak się przed nią rozsypał. I że ona spędziła tę noc w samochodzie, na parkingu przed pensjonatem.

Odzywała się rzadko. Bolał ją kręgosłup, piekły oczy. Zastanawiała się nad tym, do czego doprowadziło jej zaangażowanie. Nie reagowała na żarciki Bastiana ani jego wybuchy ekscytacji, które stawały się coraz bardziej gorączkowe, w miarę jak zbliżali się do Krakowa.

Profesjonalizm, myślała Sylwia, idąc w górę klatki schodowej na krakowskim Podgórzu. Tylko zimny profesjonalizm może zapewnić szczęśliwy finał całej tej sprawie.

Chłopak, który otworzył im drzwi, był bardzo wysoki. I bardzo młody. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. A więc pani doktor zabawia się ze studentem, uśmiechnęła się w duchu Sylwia. Zauważyła zegarek za kilka tysięcy i plaster z księżniczką Elszą na przedramieniu, do tego atletyczną klatę i kuchenną ścierkę przewieszoną przez ramię. Pomyślała, że gdyby nie blizna na twarzy, byłby naprawdę ślicznym chłopcem. Blizna czyniła z niego mężczyznę.

Anki nigdzie nie było. Bastian zauważył zamknięte drzwi do sypialni. Usiedli przy stole w aneksie kuchennym. Chłopak odkręcił kran.

– Gerard, jak ona się trzyma? – zapytał cicho Bastian.

– Śpi.

– Możesz ją obudzić? Musimy z nią porozmawiać – powiedziała stanowczym tonem Sylwia.

– Nie.

– Dlaczego?

– Jest zmęczona. Pogadacie, jak sama się obudzi – odparł i dalej spokojnie zmywał.

Sylwia już nabierała powietrza, ale Bastian dał jej znak, żeby milczała.

– Co jej zrobili? – Przełknął ślinę.

– Sama wam powie. – Gerard zaatakował gąbką patelnię. – Jeśli będzie chciała.

– Jak to się stało, że jest wolna? – zapytała Sylwia.

– Ktoś do mnie zadzwonił. Powiedział, gdzie ją trzymają. Pojechałem tam

po nią.

– Kto zadzwonił?

– Nie wiem – odpowiedział, nie odwracając się od zlewu.

– Chciał czegoś w zamian?

– Nie.

Sylwia zmarszczyła brwi. To nie trzymało się kupy.

– Uwierzyłeś nie wiadomo komu na słowo i pognałeś nie wiadomo gdzie, żeby jej szukać?

– Tak.

– Nie zastanawiałeś się, czy to nie pułapka?

– Zastanawiałem się. – Wytarł patelnię i odstawił do szafki.

– Zawiadomiłeś policję?

– Nie.

– Co? Dlaczego?

– Bo nie.

Zawiązał worki na śmieci, złapał portfel i wyszedł z mieszkania. Sylwia i Bastian popatrzyli po sobie.

– Przecież on ściemnia – stwierdziła funkcjonariuszka. – Świetnie wie, kto to był. I, o ironio, jako jedyny umie trzymać język za zębami. Obudzimy ją?

– On ma rację. – Bastian sam nie wierzył, że to powiedział. – Dajmy jej odpocząć.

Skrzypnęły drzwi i z sypialni wyszła Anka w szlafroku. Jej włosy były w nieładzie, mrużyła zaspane oczy, na twarzy miała paskudnego sińca. Utykała na prawą nogę. Zatrzymała się, gdy zobaczyła Sylwię. Spojrzała pytająco na Bastiana. Uśmiechnął się, wstał i zrobił krok w jej stronę. Zawahał się.

– Anka, to jest Sylwia Nowak z...

– ...z Fundacji Pro Roma, wiem – dokończyła, poprawiając włosy.

– Nie. Z ABW.

Przemysław Majer był na rauszu. Łatwo powiedzieć, pozbyć się kogoś. A tu trzeba najpierw wymyślić: jak? Potem jest krzyk, szarpanina, siły dużo potrzeba. I z ciałem musi coś zrobić. Przecież nie podrzucą kolejnych zwłok Cyganom. Szkoda, że nie zadziałali szybciej, toby poszła na dno razem z transitem.

Szedł przez las, czując, jak paruje z niego wczorajsza śliwowica, którą wlał w siebie na uspokojenie nerwów. Pozwalała na chwilę wyłączyć myślenie. Może tak ją powinni reklamować?

Patrzył pod nogi, żeby nie potknąć się o jakiś pniak. Ściółka pachniała odurzająco. Zbliżył się do barakowozu i sięgnął do kieszeni po klucz. Podniósł wzrok.

I natychmiast wytrzeźwiał.

Rozejrzał się, rozkładając szeroko potężne ramiona. Strach szarpnął go

za żołądek. Kłódka wyrwana. Drzwi otwarte. Wpadł do środka.

Nie było jej.

Wydobył telefon. Wybrał numer. Uprzejmy głos poinformował go po słowacku, a następnie po angielsku, że abonent jest niedostępny. Zaklął donośnie, odpowiedziało mu echo. Spojrzał na zegarek, żeby sprawdzić, ile czasu zostało do umówionej pory połączenia. Godzina. Zaklął znowu.

Co się stało? Może ktoś usłyszał, jak krzyczy. Trzeba było zakleić jej usta na stałe.

Pewnie już zawiadomiła policję. Co robić? Uciekać. Wyjechać. Byle szybciej.

Ale chwila. Przecież cały czas miał na głowie kominiarkę. Nie widziała ich. Zna jedynie to miejsce.

Sadził susami przez łąkę, żeby tylko znaleźć się dalej od polany.

Bułki, masło, rzodkiewki. Zapach jajecznicy z pieprzem. Posykiwanie włoskiej kawiarki na kuchence. Ani Sylwia, ani Bastian nie pamiętali, kiedy ostatnio jedli normalne śniadanie. Na myśl o trupio zimnej kanapce ze stacji benzynowej Sylwii zrobiło się niedobrze. Kawa rozgrzewała, ze świeżych bułek na idealnie wysprzątaną podłogę mieszkania Anki Serafin sypały się okruszki.

Najpierw Bastian opowiedział historię Armana. Anka słuchała, z coraz bardziej błyszczącymi oczami, coraz niżej pochylając się nad talerzem.

A potem sama cicho zaczęła mówić o tym, co ją spotkało.

– To już wiem, kim jest ten pierwszy – podsumowała Sylwia i nabrała jajecznicy na widelec. – A ten drugi? Nie widziałas go, ale może zapamiętałaś coś charakterystycznego?

Anka wypiła łyk herbaty, trzymając kubek w obu dłoniach.

– Wyglądało, że to on wydawał polecenia. Dziwnie mówił, twardo i z innym akcentem. Jak Czech albo Słowak.

Sylwia wstrzymała oddech.

– Słowak? Jesteś pewna?

– Tak. – Anka się zastanowiła. – Na pewno. Dobrze mówił po polsku, tylko ten akcent. I wtrącał pojedyncze obce słówka. Śmiał się ze słowa *šukat'*, to zna chyba każdy Polak, Czech i Słowak.

– Boss – powiedziała Sylwia do siebie.

– A wy nie możecie zwinąć Majera albo Wichury? – rzucił Bastian. – I przycisnąć ich, żeby go wydali?

Sylwia dostrzegła, że na dźwięk nazwiska „Wichura” Anka i Gerard wymienili czujne spojrzenia. A więc to jest tajemniczy wybawiciel. Można było się domyślić. Tylko po co to zrobił?

– Czemu akurat Wichura? – zapytała ostrożnie Anka.

– Bo to szwagier bossa – wypalił Bastian. – Boss jest Romem.

Czy on naprawdę nie może się zamknąć? – pomyślała Sylwia.

– Sama mi mówiłaś, że jego siostra jest żoną ważnego Cygana, a my wydedukowaliśmy... – Bastian zamilkł nagle pod spojrzeniem funkcjonariuszki, w której oczach dostrzegł dwa lśniące paragafy.

– W takim razie i tak nic by nie powiedział. – Anka pokręciła głową. – Rom nie doniesie na innego Roma. Prędzej pójdzie za niego do więzienia. Zwłaszcza gdy chodzi o rodzinę.

– Nawet jeśli ten drugi to bandyta? – zapytał Bastian. – Bandyta, który ich wszystkich wystawił? Przecież to jasne, że podrzucili Armana pod osadę, żeby winą obciążyć Romów!

Ance przypomniało się, co słyszała nieraz w Kamieniu. Historie o długach, które rosły do niebotycznych rozmiarów. O wyjazdach „na zarobek”, czyli na żebry gdzieś do Niemiec bądź Francji, żeby oddać niespłacony dług. O połamanych nogach. O „złych ludziach”, o których czasem wspominała Regina.

– Ale to swój bandyta – odparła.

– A Majer? – nie odpuszczał Bastian. Mówił z pełnymi ustami. – Jeśli sam nie puści farby, to może mu zaproponujecie program ochrony świadków?

– Kiedy tylko boss się zorientuje, że go osaczamy, to rozplynie się jak bąk w halnym – rzuciła Sylwia. – Ucieknie gdzieś na Bałkany albo na Wschód. Teraz to mój problem, jak go dopaść z zaskoczenia. Mój i smerfów. I leśnych dziadków – dodała, wzdychając.

Dokończyła jajecznicę i wypiła duszkiem kawę. Obserwowała Ankę i Gerarda. Nie mówili do siebie ani słowa, ale miała wrażenie, że komunikują się intensywnie na jakiejś częstotliwości. Ona otworzyła szafkę, on popatrzył na ustawione równo po jednej stronie szklanki, po drugiej stronie kubki z uszkami skierowanymi w prawo pod kątem 45 stopni. Uśmiechnął się kącikiem ust. Spuściła wzrok i też się uśmiechnęła. On zebrał z suszarki garść noży i widelców, wysunął szufladę. Już miał cisnąć wszystkie do jednej przegródki, gdy dotknęła jego dłoni. Kiwnął głową i zaczął układać je osobno.

– Trzeba was teraz schować. – Sylwia wstała od stołu. – Nie ruszajcie się z domu, póki nie dam wam znać. Już prosiłam szefa, żebyś dostała ochronę. Ty, Bastian, zrób mamie przyjemność i posiedź u niej parę dni.

– Ale dlaczego? – jęknął dziennikarz. Teraz, kiedy wszystko zmierzało do finału, nie mógł zostać zrzucony ze sceny, żeby przyglądać się akcji. Nawet gdyby miał siedzieć w pierwszym rzędzie.

– Bo już wystarczająco narozrabialiśmy.

– Dobra robota, dziecino – rzucił kapitan ABW Łukasz Bożyk i rozłączył się, parkując czarnego passata przed komendą miejską w Nowym Sączu.

Wczoraj wieczorem zmroziło go, gdy dowiedział się o porwaniu tej doktorki. Wściekł się, że od razu nie zawiadomili policji. Ale Sylwia przekonała go,

że wtedy dorwaliby tylko Majera. Smerfy zwinęłyby co najwyżej Wichurę i spaliłyby szansę wyjścia na bossa. A tak sytuację można było wykorzystać. I zwinąć całą siatkę.

Machnął oficerowi dyżurnemu legitymacją i nie czekając na zaproszenie, ruszył przed siebie. Sylwia zaklinała, żeby nie spuszczać Majera z oka. Łukasz wiedział, że przed chwilą przemytnik zrobił sobie poranny spacer do lasu. Teraz zrozumiał po co. A to znaczyło, że szajka odkryła już zniknięcie pani doktor. Zaczną robić nerwowe ruchy. I lada chwila popełnią błąd.

Rzucił okiem na ekran smartfona. Dzwonili z techniki operacyjnej, że Majer właśnie próbował połączyć się kilkakrotnie z podanym przez Słowaków numerem. Znakomicie.

Obiecał Sylwii, że doktor Serafin jako kluczowy świadek dostanie dyskretną ochronę. Jeden krótki telefon i nieoznakowana kia ruszyła pod wskazany adres.

Grubas w pomarańczowym polarze czekał na końcu korytarza. Posiwiąte, nierówno ostrzyżone włosy, znoszone buty i niedogolony zarost.

– Janusz – przedstawił się i wyciągnął dłoń. – Pan z abwery, tak? Niech pan powie, że przejmujecie tę sprawę. Oddam z pocałowaniem ręki.

Kapitan ABW zwlekał z odpowiedzią.

– Niczego pan nie oddaje, panie Januszu. – Łukasz uśmiechnął się wreszcie do Głoda. – Właśnie zaczyna się dla pana prawdziwy zapierdół.

– Uciekła, rozumiesz?! – ryczał do telefonu Majer. – Nie wiem, kurwa, skąd mam wiedzieć! Skobel był wyrwany, czyli ktoś ją uwolnił! Co robimy?! Ona przecież...

– Uspokój się – przerwał mu chropowaty głos po drugiej stronie. – Myśl. Ona nas nie widziała. Co widziała?

– Auto – zajęczał Majer. – Ale auto jak auto, niczym się nie wyróżniało, do tego poszło w wodę.

– Myśl – powtórzył głos. – Co jeszcze?

– No... – Majer się zastanowił. – Barakowóz.

– Są na niego jakieś papiery?

– Nie! – Odetchnął. – Kiedyś go kupiłem za flaszkę od roboli, co budowali drogę, i sam podstawiłem, bez papierów.

– A kto o nim wie?

Majer wstał z krzesła, wyjrzał z kanciapy. W tartaku było pusto.

– Cygan wie. *Sorry*, Rom. Znaczą Wichura. Paweł.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Gdzie ta kobita mogła uciec?

– Pewnie do siebie, do Krakowa. Co, mam jej w Krakowie szukać? Cholera, dowód wysłaliśmy dziennikarzowi, a tam był adres!

– Spokojnie – przerwał chropowaty głos. – Z kim ona się tutaj zadaje?

- Z policją. I z tego, co Paweł mówił, to ona się skumała z Kamieniem.
- Dobra – zaskrzeczał głos. – Kamień biorę na siebie.
- Wróć po południu. – Gerard włożył kurtkę. – Przywiozę coś do jedzenia.

Nie otwierajcie nikomu.

– Jasne – rzucił Maciek, pediatra z dredami. – Będziemy mówić, że nikogo nie ma w domu.

Anka się uśmiechnęła, a Gerard nie zrozumiał.

Spędziła weekend w szlafroku, nie ruszając się z kanapy. Pozwoliła się karmić, przynosić sobie herbatę i poprawiać poduszki. Parę razy Gerardowi udało się nawet ją rozbawić. Próbowwała skupić się na swoim artykule o Mateczce, a on uczył się do kolokwium z prawa budowlanego.

– Nie trzeba było. – Anka podała lekarzowi kubek z herbatą. – Nic by mi się nie stało, gdybym posiedziała parę godzin sama.

– Nie ma sprawy. – Maciek potrząsnął fryzurą. – Z przyjemnością pogadam z kimś dorosłym.

Anka zebrała swoje papiery i usiedli na kanapie.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– W sumie nieźle – westchnęła. – Te siniaki gorzej wyglądają, niż bołą.

– Chcesz L-cztery?

– Przydałoby się. – Anka przypomniała sobie, że przecież od środy nie była w pracy. Gwizdałowski jej tego nie odpuści.

Maciek łyknął herbaty i sięgnął po jeden z leżących na ławie wydruków.

– Nad czym pracujesz? – zapytał, patrząc na zrzuty ekranu z forum internetowego.

– Piszę artykuł o znachorce ze Starego Sącza – odparła Anka. – Może cię to zainteresuje.

Wyciągnęła ze sterty papierów kilka kartek i podała lekarzowi.

– Rany – powiedział, przejrzawszy teksty. – Co za ciemnogród. Kto to pisze?

– Nie uwierzylbyś. *Badania naukowe są sponsorowane przez firmy farmaceutyczne. Im wcale nie zależy, żeby nas leczyć, tylko żeby mieć klientów. Wiem, bo pracuję w marketingu. Słyszałeś, żeby pięćdziesiąt lat temu było tyle nowotworów? W czym to jest interesie?* – przeczytała. – *Ludzie zapomnieli mądrość swoich przodków. Amerykańscy naukowcy tyle lat kombinują, a dalej nie wynaleźli lekarstwa na raka. A wystarczy wsłuchać się w naturę, otworzyć na dobrą energię z wszechświata, pogodzić się z własnym ciałem, zaufać mu...* To jest forum, na którym piszą wykształceni ludzie. – Anka odłożyła wydruk. – Programiści, nauczyciele, prawnicy. I na zmianę mam albo teorie spiskowe, albo newage'owe smęcenie o Matce Naturze. Albo to...

Wzięła do ręki następną kartkę.

– *Chorowała, bo wpuściła szatana do swojego życia. Tylko Bóg uzdrawia,*

tylko modlitwa, święta woda i święte oleje, tylko Bóg daje życie i odbiera, trzeba Go błagać... – odczytała. – A tu są wyniki badań. Aż żałowałam, że sama nie wpadłam na to, żeby podobne przeprowadzić. Byłaby z tego habilitacja. Poproszono ludzi o wymienienie domowych sposobów na pospolite choroby. I nie uwierzyłbyś, ilu respondentów, z zupełnie różnych środowisk, podaje recepty, które można by znaleźć u Oskara Kolberga. Przykładanie obrączki na jęczmień. Mocz na łuszczycę. Okłady z liści kapusty na bolące gardło. Moczzenie w piwie na grzybicę stóp. I lewatywa z kawy na wszystko, od niestrawności po nowotwór. Serio.

Maciek kartkował wydruki, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– W Afryce spotykałem ludzi, którzy wierzyli, że choroby są wywoływane przez czary. I wcale mnie to nie dziwiło, bo tak sobie tłumaczyli złożoność świata – poprzez znane im pojęcia. Ale jak przyjeżdżali wolontariusze z Ameryki, z Zachodu, z Australii i zaczęli pieprzyć o spiskach firm farmaceutycznych, Matce Ziemi i głębokiej mądrości medycyny ludowej, to robiłem się nerwowo. Dwóch nawet wyrzuciłem z naszego ośrodka. I więcej bogatych dzieciaków, co to chciało mieć „wakacje życia” w krajach Trzeciego Świata, nie przyjechało. Cieszyliśmy się, bo nie musieliśmy ich niańczyć.

Anka się zamyśliła, przykładając ołówek do ust.

– Może oni też mierzą się ze złożonością świata, który przestają rozumieć? Nie ogarniają medycyny, która tak się wyspecjalizowała, że jest dla przeciętnego człowieka jak magia. Przekonuje ich to, co są w stanie pojąć: porady z internetu, proste recepty, diety cud, sposoby babuni. I wychodzą z założenia, że skoro są inteligentni i wykształceni, a coś przemawia do ich zdrowego rozsądku, to jest to bardziej prawdziwe niż hermetyczny naukowy bełkot, którego nie rozumieją.

Maciek uśmiechnął się szeroko.

– Problem w tym, że medycyna ludowa jest po prostu nieskuteczna – stwierdził. – I nie mówię o herbacie z cytryną na bolące gardło albo naparze z kopru na wzdęcia. Mówię o przykładaniu łąjna na rany albo zamawianiu choroby o północy na rozstajnych drogach...

Anka aż podskoczyła.

– No właśnie! – Ucieszyła się, że wreszcie ktoś ją rozumie. – Bo medycyną ludową rządzi nie naukowa logika eksperymentu, ale logika mediacji i opozycji binarnych! Logika symboliczna.

– Co? – zdziwił się Maciek.

– Chodzi o to, żeby wybić chorego ze stanu choroby w stan zdrowia. – Anka zaczynała nabierać kolorów. – Pomagają w tym przedmioty, miejsca, pory dnia, które same są marginalne, czyli zawieszane pomiędzy dwoma stanami. To, co marginalne, jest obdarzone mediującą mocą, ale też niebezpieczne, obciążone tabu, jak na przykład ekskrementy, które nie są ani materiążywioną, ani

nieożywioną...

– Czekaj, czekaj. Nic nie rozumiem – przerwał jej lekarz. – Jeśli marginalne, to jak obdarzone mocą...?

– Przepraszam, dla mnie to oczywiste. – Anka się zaróżowiła. – Fazy czasu cyklicznego, takie jak ludzkie życie czy pory roku, ale też stany, jak zdrowie i choroba, są nieciągłe. Nie da się przejść bezpośrednio z życia do śmierci czy z zimy do wiosny. Żeby przekroczyć granicę między nimi, potrzebny jest rytuał, który najpierw wyprowadza ze starego stanu, żeby wprowadzić w nowy. Ale jest w nim też faza marginalna, czyli zawieszenie na granicy między stanami. Tu obowiązuje odwrócenie porządków. To, co w normalnym życiu jest zabronione, tu jest nakazane. To, co obrzydliwe, jest pożądane. Wszystko w strukturze dąży do równowagi i osiągnięcia jakiegoś stanu. Więc to, co marginalne, czyli przynależne do tego świata *à rebours* albo po prostu niedające się jasno sklasyfikować, jest niebezpieczne. Ma moc odmieniania, pośredniczy, czyli mediuje między dwoma stanami. Nie ma nic gorszego, niż utknąć na granicy – to dlatego upiorami stawali się ci, co zmarli gwałtowną śmiercią, nie zostali odpowiednio pogrzebani, ale też dzieci zmarłe przed chrztem czy nowożeńcy w czasie wesela. Nieprzypadkowo upiory grasowały na rozstajach dróg, w miejscu granicznym. O zmierzchu, czyli między dniem a nocą, pokazywały się duchy.

– A co to ma wspólnego z medycyną ludową?

– Jest oparta na tej samej logice. Z choroby do zdrowia droga wiedzie przez rytuał. Do terapii potrzebujemy więc elementów mediujących. A samo leczenie trzeba zorganizować według porządkujących świat opozycji binarnych: prawo – lewo, góra – dół, otwarte – zamknięte, parzyste – nieparzyste, żywe – martwe. Nieprzypadkowo splota się przez lewe ramię albo powtarza czynność magiczną trzy razy. Nieparzysty, niepełna liczba ma wymusić ruch, zmianę. Liczby parzyste służyły do zachowania *status quo*. Do tego magia sympatyczna, czyli przekonanie, że podobne wpływa na podobne. Można wyobrazić sobie nieskończenie wiele kombinacji opozycji binarnych i elementów mediujących, dających takie kuracje na dowolne schorzenia. Z punktu widzenia logiki symbolicznej będą one absolutnie sensowne. Ale w praktyce...

– Mogą zaszkodzić – dokończył za nią Maciek. – A ta znachorka ze Starego Sącza? Jakie ma metody?

– Taki miszmasz. – Anka wzruszyła ramionami. – Stare, wiejskie sposoby polane religijnym sosem. Z jednej strony ziółka babuni, a z drugiej amulety i dewocjonalia. Nowenny i zamawianie...

Nagle zamilkła i sięgnęła do porozkładanych na stoliku książek.

– Mateczka leczyła małego Oskara Golca... – powiedziała do siebie. Maciek przyglądał się jej z pytającą miną. – Romskiego chłopczyka, którego zwłoki znaleziono w sztolni w Jarmucie – wyjaśniła. – A ja właśnie sobie pomyślałam...

Czytałam o takim zwyczaju, że jak dziecko było chore czy umierające, to kładło się je na ziemi albo zanurzało w wodzie i podnosiło do góry. Podniesienie z Matki Ziemi miało symbolizować powtórne narodziny, przeciwstawienie się śmierci. Czy złożenie chłopca w trzewia ziemi mogło być elementem kuracji? – Zastanowiła się. – Nie, to się kupy nie trzyma... Oskara ukryto głęboko w sztolni, krata była zamknięta. Pewnie nie chodziło o powtórne narodziny, tylko o schowanie ciała. Ale przecież on umarł śmiercią naturalną...

– Na co? – zapytał Maciek.

– Czekaj... To się nazywało... kościomięsak? Coś w tym stylu.

– Kostniakomięsak?

– Dokładnie tak.

Teraz to Maciek się zamyślił, skubiąc końcówkę dreda.

– *Osteosarcoma*. Paskudny, cholernie złośliwy nowotwór – odezwał się wreszcie. – Natychmiastowa operacja, może nawet amputacja zajętej kończyny, chemioterapia... a i tak nie wiadomo, czyby przeżył. Żadne zabiegi żadnej Mateczki by mu nie pomogły.

– A mogłyby zaszkodzić? – zapytała ostrożnie Anka.

– Oczywiście, jeśli były stosowane zamiast konwencjonalnej terapii. A poza wszystkim przy kostniakomięsaku rozstrój żołądka po źle dobranych ziółkach ani nawet trzy zdrowaśki w piecu nie robią różnicy...

– Ale Golcowie mogli tego nie wiedzieć. – Anka wyprostowała się na kanapie. – I dlatego uciekli.

Siedziała w szoferce zabytkowego żuka służby drogowej. Miała na sobie pomarańczową kamizelkę i czapkę z daszkiem, pod którą schowała upięte włosy, na wypadek gdyby ktoś się zdziwił nagłym równouprawnieniem w zarządzie dróg. Za kierownicą siedział Marek. Policjant z CBS przebrany w odblaskowy kombinezon sumiennie rozstawiał słupki wokół dziury w asfalcie, aby nikt nie miał wątpliwości, że obecność tego żuka naprzeciw domu Przemysława Majera jest absolutnie normalna. Prowadzenie obserwacji na wsi, pomyślała Sylwia, przypominało instalowanie przykrywkowca wśród telepatów.

Wyjęła Markowi z dłoni lornetkę, którą bawił się nerwowo. Spostrzegła, że się pocił.

Majer nie wyszedł na podwórko nawet na papierosa, ale wiedzieli, że jest na miejscu. Słuchali jego rozmów. A ukryty na pace żuka, gotując się pod plandeką, siedział informatyk z zestawem, za pomocą którego podłączył się pod domowe wi-fi Majera – w razie gdyby przemytnik kontaktował się z tym drugim przez internet. Błogosławieni, którzy nie zmieniają fabrycznego hasła w routerze.

– Sylwia, ja... – bąknął Marek, wystukując rytm na kierownicy. Przerwała mu ruchem ręki. Skulił się na siedzeniu woniejącym pokoleniami ciężko pracujących ludzi.

Znaleźli siostrę Pawła Wichury w bazie PESEL. Miała na imię Renata, urodziła się trzydzieści pięć lat temu w Kamieniu i w zasadzie tyle o niej wiedziało państwo polskie. Brak zameldowania na pobyt stały, brak informacji o zmianie stanu cywilnego. Widocznie ślub z „ważnym Cyganem” odbył się inaczej, niż przewiduje ustawa.

Na poranną odprawę Łukasz przyniósł wyniki z laboratorium kryminalistycznego. Włókna z syntetycznej wykładziny forda, zabezpieczone przez Sylwię na taśmie samoprzylepnej, lab porównał z włóknami znalezionymi na ubrankach Armana Koçera. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością eksperci orzekli: są identyczne.

Pozostało dobrać się do sprawców. Do bossa, oprócz Majera, mógłby ich doprowadzić także Wichura. Ale obserwacja w Kamieniu graniczyłaby z cudem: z jednej strony rzeka, z drugiej las, a w środku hermetyczna społeczność. Sprawdzili kamery gminnego monitoringu, ale były ustawione zupełnie bez sensu. Nie znaleźli Wichury wśród abonentów żadnej sieci, pewnie miał niezarejestrowaną kartę prepaid. Żeby go namierzyć, analitycy porównywali listę urządzeń logujących się do stacji bazowej najbliższej Kamienia z połączeniami przychodzącymi na telefon Majera. Ale to wszystko trwało.

Skoncentrowali się więc na przemytniku.

Jak dotąd obserwacja nie przyniosła rezultatów. Sylwia poprawiła się na niewygodnym siedzeniu. Zaczęła się zastanawiać, czy zamiast tu tkwić, nie mogłaby wykorzystać znajomej „Przyjaciela równości”, Przemysława Majera.

Pani Nowak z Fundacji Pro Roma.

Anka zaparzyła świeżej herbaty.

– Nie mogę przestać myśleć o tych rodzicach. Boże, przecież oni być może wierzą, że są winni śmierci swojego dziecka. Sama nie wiem, co gorsze: przypadek Golców czy Baranów...

– Baranów? – zdziwił się Maciek.

– Małżeństwa z Tylmanowej. Ich dziecko zaginęło bez śladu, przepadło jak kamień w wodę. Ta niepewność, nadzieja, że może się odnajdzie jak Gwiazdka... To też musi być okropne.

– Dzieci tak łatwo nie znikają – zauważył Maciek. – Szczególnie w naszych czasach, kiedy wszyscy mają hopla na punkcie dzieciaków.

– Oni twierdzą, że ich synka ktoś porwał. – Ance się przypomniało, co relacjonował jej Bastian. – Że mały bawił się na podwórku, oni poszli po coś do domu i kiedy ich nie było, małego ktoś uprowadził.

– Kto?

– Nie wiem. Ludzie. Obcy ludzie. Tak powiedzieli.

– Widzieli ich?

– Nie.

Lekarz zamyślił się i pił herbatę, marszcząc brwi.

– Dziwne – stwierdził. – Wiesz, rodzice potrafią biegać do pediatry z każdym wzdęciem swojego malucha, ale jak dzieje się coś naprawdę poważnego, często wypierają to do ostatniej chwili. „Przecież to niemożliwe, że akurat moje dziecko ma raka”. Trudno mi sobie wyobrazić, że rodzice, którym dziecko na chwilę zniknęło z oczu, od razu zakładają, że ktoś je porwał. To najbardziej ostateczna ostateczność. Prędzej będą się przekonywać, że wyszło za furtkę i zaraz się znajdzie, że ktoś się nim zaopiekował, że zaraz przyprowadzi je sąsiadka.

Anka usiadła na piętach, ściskając w dłoni wydruki.

– Racja, nawet Gert do ostatniej chwili nie mógł uwierzyć, że mnie porwali. Do końca zastanawiał się, czy to nie jakaś ściema i ktoś go podpuszcza.

Maciek zaczął bębnić dłońmi w kanapę jak w bęben.

– Czyli co? – Anka machnęła papierami. – Skłamali?

– Wiesz, co by to oznaczało? – zapytał poważnie lekarz.

– Że mały Kacper Baran nie żyje – wyszeptała. – I że rodzice ukryli gdzieś ciało, a wszystkim opowiedzieli historię z porwaniem. Tylko po co? Dlaczego?

Zaczęła grzebać w zadrukowanych kartkach, szukając telefonu. Zapomniała, że przecież go straciła. Otworzyła pokrywę laptopa i napisała maila do Głoda.

Musimy porozmawiać o Golcach. I o Baranach. Zawahała się. Przecież to tylko domysły.

– Z trzeciej strony... – zaczęła ostrożnie. – Jest jeszcze Gwiazdka. Jej sprawa wyglądałaby identycznie...

– Wyglądałaby?

– Gdyby dziewczynka nie odnalazła się u Reginy.

*

Szczęknął klucz i Janusz Głód wszedł do domu. Na parterze było ciemno. Z sypialni na górze dobiegały stłumione śmiechy publiki jakiegoś kabaretonu. Z kuchni pachniało jeszcze schabowym.

Weekend spędził w komendzie w towarzystwie facetów w czerni, jakby chodziło o lądowanie kosmitów i kręgi w kapuście. Przespał się cztery godziny w fotelu. Żywił się batonami i oparami z e-papierosa. Ściągnął kurtkę i schylił się z trudem, żeby rozwiązać sznurowadła. Musiał się przytrzymać ściany, żeby nie stracić równowagi.

– Masz ziemniaki w lodówce, odsmaż sobie – usłyszał.

Baśka siedziała na schodach.

– Matka śpi? – wysapał.

Córka wskazała kciukiem za siebie.

– Ogląda telewizję. Obraziła się, że nie byliśmy na obiedzie u babci. Albo czekaj. – Wstała. – Ja ci odgrzeję.

Głód usiadł przy stole. Dzwonił łyżeczką w szklance herbaty i chłonał

zapach smażonych na maśle ziemniaków.

– Złapaliście ich? – zapytała Baśka, nakładając mu pełen talerz.

– Nue – odparł po chwili z pełnymi ustami. – Jefse nue.

– Ale złapiecie.

Przełknął. Stała nad nim z poważną miną.

– Złapiemy.

Jadł. Patrzyła.

– A jak już złapiecie i będziesz miał czas, i dostanę dobre oceny na koniec roku, bo wiesz, poprawiłam tę tróję z wuefu – powiedziała na jednym oddechu – to pojedziemy na wakacje? Wszyscy razem?

Gorący kartofel oparzył mu podniebienie. Głód przełknął.

– Na Wyspy Kanaryjskie? Przecież nas nie stać.

– Nie musi być na Wyspy Kanaryjskie. – Popatrzyła na niego przelotnie. – Może być gdziekolwiek. Ale razem. Dobra?

– No... dobra.

Popił herbatą. Posłała mu spięty uśmiech i wyszła z kuchni. Jej bose stopy zaklaskały na schodach. Na górze rozległa się salwa telewizyjnego śmiechu. Podkomisarz Głód odłożył widelec. Ukrył twarz w dłoniach.

– Tata?

Wzdrygnął się i wyprostował. Baśka stała w drzwiach kuchni, z tabletem w dłoni.

– Nie wylogowałeś się ze swojej poczty. – Uśmiechnęła się. – Zamówiłam sobie na jutro radiowóz, żeby mnie podrzucił do szkoły.

– Baśka...

– Żartuję. Ale masz maila.

Podąła mu urządzenie.

– Baśka! – zawołał, gdy już zniknęła w drzwiach.

– Aha?

Zatrzymała się. Podniósł kąciki ust.

– Nie wolisz helikoptera?

Bastian zmiatał z talerza zapiekanke makaronową, Gerard jadł w milczeniu, a Anka opowiadała, co jej przyszło do głowy na temat Baranów i Golców.

– Pamiętasz, jak przygotowywaliśmy się do pisania *Pionka*? – odezwał się dziennikarz, gdy skończyła. – Czytaliśmy książkę tego profilerka z FBI...

– Johna Douglasa? – zapytała.

– Tak! Opisywał przypadek matki, która zgłosiła porwanie dziecka. Pamiętasz?

Pamiętała. Kobieta wychodziła na spacer i źle się poczuła. Pobieгла do publicznej toalety, a małego zostawiła w holu apartamentowca. Gdy wróciła, synka nie było.

– A pamiętasz, dlaczego profiler FBI zaczął podejrzewać, że to ona zabiła dziecko i symuluje porwanie?

Anka wstała od stołu i podeszła do pedantycznie uporządkowanego regału. Kieszonkowy egzemplarz *Mindhuntera* stał wśród książek non-fiction autorów na „D”.

– Bo matka, której znika dziecko – powiedziała powoli, kartkując książkę – do ostatniej chwili nie dopuszcza do siebie myśli o porwaniu. To samo mówił Maciek. A ona twierdziła od początku, że jej synka uprowadzono. Zupełnie jak Baranowie. Ale co takiego mogłoby się tam wydarzyć?

Gerard zebrał talerze i z rezygnacją zabrał się do zmywania.

– Może to samo, co u Golców? Oskar Golec umiera, rodzice ukrywają ciało i zgłaszają zaginięcie – podsunął Bastian. – Sąsiadka Baranów mówiła, że mały był słabiutki i chorowity. Wtedy mnie to zastanowiło: co w takim razie robił na podwórku? Zostawiliby takie dziecko, żeby samo bawiło się na polu? A jeśli kłamali, to po co? – ciągnął. – Żeby ukryć, że małemu przytrafiło się coś złego?

Przenieśli się z kuchni na kanapę. Bastian rzucił okiem na rysunki Anki. Grafy, strzałki i matematyczne wzory. Odkąd to antropologia jest nauką ścisłą? Uśmiechnął się na myśl, że te bazgroły wyglądają jak schematy jego albo Sylwii.

Anka dalej przeglądała książkę. Kiedy wreszcie odnaleziono ciało, okazało się, że dziecko zostało pogrzebane w ciepłym ubranku, owinięte w kocyk i w reklamówkę. Douglas przekonywał, że porywacz nie zachowałby się tak troskliwie. Miejsca porzucenia zwłok, pisał profiler, noszą ślady wrogości i agresji. Tam były oznaki miłości i poczucia winy.

– Sztolnia to nie miejsce podniesienia z ziemi, nie element kuracji – mruzczała do siebie. Bastian słuchał jej uważnie. – I nie ukrycie zwłok było najważniejsze. Oni oddali ciało dziecka do łona Matki Ziemi. To gest miłości.

Popatrzyła na dziennikarza.

– Golcowie nie byli dzieciobójcami, to wiemy. Baranowie też nie muszą nimi być. Ale jedni i drudzy ukrywają śmierć dziecka. Mają poczucie winy. Dlaczego?

– Poczucie winy? – zdziwił się Bastian. – Przecież próbowali, leczyli...

Anka wstała gwałtownie.

– Gert, zawieziesz mnie jutro do Sącza? – poprosiła. – Głód mi odpisał, że bym przyjechała. Ciekawe, jak zareaguje.

Gerard spojrzał na nią czujnie.

– Anka, jesteś pewna? – zapytał.

– Pewna? W ogóle nie jestem – odparła. – Boję się tam wracać. Cholernie. Ale muszę.

– Co powiesz Głodowi? – zainteresował się dziennikarz.

– Że jeśli znajdą szczątki Kacpra Barana, to ciało będzie z czułością owinięte

w kocyk.

Szum Dunajca zagłuszał słowa w języku romskim, rzucone pospiesznie do telefonu. Markus stał nad brzegiem, patrząc, jak w ciemnościach światła reflektorów aut przejeżdżających po drugiej stronie migoczą we wzburzonym nurcie.

– Nie musisz mi mówić – syknął Markus – że nie jestem królem i nic ci nie mogę kazać. Ale ja ci dobrze radzę. Bo ja ci wierzę, ale czy ludzie ci uwierzą? Teraz, jak *gadzie* wszystko wiedzą, to ludzie też będą wiedzieć. I wiesz, co będą o was mówić, prawda? Chcesz takiego piętna na zawsze?

Słuchał głosu, który z gniewnego krzyku zmienił się w śpiewne błaganie.

– Nie – uciał. – Nigdy. Nie wydam cię, wiesz przecież. Rom nie wyda Roma. Wcale nie trzeba. Posłuchaj...

– Nawet dobrze się składa – odpowiedział Gerard. – Dzwoniła Dominika, że ma do mnie jakąś sprawę. Pytała, czybyśmy przyjechali.

Bastian popatrzył na niego przelotnie. Tekst miał już prawie gotowy. O Armanie, chłopcu znalezionym w osadzie. O Rêwîm. O księdzu. O Kamieniu i o tamtej nocy. Brakowało mu tylko jednego głosu, bez którego ten tekst będzie niekompletny.

Głosu Romów.

Nie wiedział jeszcze, jak to zrobi. Miał nadzieję, że może go nie pamiętają, że może będzie mógł zacząć tę rozmowę od nowa. Potrzebował kogoś, kto go tam przyprowadzi. Komu oni ufają. Komu on może zaufać.

– To może pojedziemy razem? – zapytał.

– Okej... – odparł chłopak, zaskoczony. – Ania, to ja zostawię cię w Sączu i pojedę z Bastianem do Kamienia.

– Nie! Nie ma mowy! – krzyknęła Anka. – Nigdzie nie pojedziesz!

– Dlaczego? – zdziwił się Gerard.

– Bo to niebezpieczne!

– Spokojnie. – Gerard podniósł rękę. – Dam sobie radę. Przyjedziesz do Sącza, Bastian? – Odwrócił się do dziennikarza. – Czy zabrać cię z Łacka?

Zdezorientowany Bastian nie zdążył odpowiedzieć.

– I co, niegrzeczny chłopiec znowu robi mi na złość?! – wypaliła Anka. – To kompletnie nieodpowiedzialne, ale w końcu czego ja się mogłam po tobie...

– Anka, wystarczy – przerwał jej Gert. – Nie będziemy tak rozmawiać. Nie pytam cię o pozwolenie.

Żachnęła się i wyszła do sypialni, trzaskając drzwiami.

– Stary, jak ty to znosisz...? – Bastian pokręcił głową.

– Nie myśl o niej źle. Ona po prostu bardzo się boi. A kiedy się boi, jest agresywna.

– I co zrobisz?

– Nic. – Gerard wzruszył ramionami. – Pojadę jutro z tobą do Kamienia.

Drzwi otworzyły się z impetem. Anka, jeszcze czerwona ze złości, usiadła na kanapie pomiędzy nimi.

– Będziecie ostrożni? – rzuciła.

– Będziemy. – Gerard uśmiechnął się kącikiem ust.

Zacisnęła szczęki i popatrzyła gdzieś w przestrzeń.

– Dopilnujesz, żeby on nie zrobił niczego głupiego?

– Do kogo to było? – zapytał Bastian.

– Do was obydwu.



ROZDZIAŁ 21

W komendzie miejskiej w Nowym Sączu dało się wyczuć zmianę. Już na parkingu zauważyła kilka samochodów, które odbiegały od tutejszego standardu. Na korytarzu cichły rozmowy, gdy między pokojami przechodzili milczący, krótko ostrzyżeni funkcjonariusze, w nieuchwytny sposób inni od reszty. Coś się działo. Coś dużego.

Gaca i Głód mieli podkrążone oczy, poszarzałe twarze, przetłuszczone włosy. Ona też wyglądała dzisiaj inaczej – ubrała się jak na motor, przed wyjściem zamalowała podkładem siniaki na twarzy. A potem i tak starła sobie połowę kaskiem. W toalecie spędziła kwadrans, poprawiając makijaż. Ostatnie, na co miała ochotę, to wysłuchiwanie, że sama jest sobie winna, bo pojechała bez ochrony do Kamienia. I nie zniosłaby myśli, że oni patrzą i zastanawiają się, co tamci jej zrobili.

Zaczęła od Golców. Przechadzała się, utykając na prawą nogę, od paprotki do mapy na ścianie, streszczając policjantom swoje wczorajsze wnioski. Z początku słuchali jej sceptycznie. Potem Sławek zaczął przytupywać. Na koniec Głód opuścił ramiona, do tej pory założone na piersi, oparł łokcie o uda, a kwaśny grymas zniknął z jego twarzy.

– Oczywiście, że to się zgadza! – przerwał jej Sławek. – Dostęp do klucza do Jarmuty miał Dżejson, ojciec Oskara! Jasne, że to on ukrył tam zwłoki. Zastanawiałem się tylko dlaczego...

Przeszła do swoich wątpliwości na temat Baranów. Głód natychmiast się ożywił.

– Skąd pani to wszystko wie? – zapytał. – To, co powiedzieli policji. I że mały był chorowity.

– Znajomy dziennikarz przeprowadził w Tylmanowej wywiady.

– Dziennikarz? – podchwycił Głód. – Sebastian Strzygoń?

– Tak – bąknęła Anka.

– Cały weekend się zastanawiałem, skąd on miał ten numer – mruknął podkomisarz. – I chyba wreszcie rozumiem. Facet z ABW nie umiał mi tego wytłumaczyć.

– O wilku mowa – dodał Sławek, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki mężczyzna.

Wszyscy zamilkli.

– Pani doktor Anna Serafin? Łukasz Bożyk. – Przybyły wyciągnął do Anki

rękę. Z pytającym uśmiechem odwzajemniła uścisk dłoni. – Jestem przełożonym Sylwii Nowak. Dobrze, że pani tu jest, bo będziemy mieli kilka pytań. Przede wszystkim: czy będzie pani w stanie rozpoznać mężczyzn, którzy panią porwali?

Anka zaczerwieniła się i zacisnęła wargi.

– Jeden – ten, którego widziałam – nosił kominiarkę – zaczęła. – Mogłabym go rozpoznać po głosie. Po posturze. Ale ten drugi... ten, który stał za mną... Miał słowacki akcent. Może rozpoznałabym go po dłoniach. Bo miał takie palce... – Zaczęła oddychać szybciej. – Nieobcięte paznokcie, zrogowaciałe skórki... – Zorientowała się, że pociera siniaka na twarzy.

Podniosła głowę. Trzech mężczyzn wpatrywało się w nią wyczekująco, aż dokończy myśl. Popatrzyła na swoje opuszki, na których zostały żółte ślady podkładu. Gwałtownie wzięła oddech, zasłoniła włosami twarz i wyszła z pokoju.

– Może niech Iza z nią pogada – powiedział Głód. – W końcu jest psychologiem.

Bastian na miękkich nogach zeskoczył z motoru. Był oszołomiony zapachem perfum Anki, przenikającym jej kask, a bliskość Gerarda sprawiała, że nie czuł się do końca komfortowo. Poza tym było fajnie. Nawet bardzo fajnie. Kiedy już oswoił się z motorem i odważył się otworzyć oczy, stwierdził, że to fantastyczne uczucie. Jazda przez kwitnące sady, pęd powietrza, frajda wyprzedzania kolejnych samochodów, przechył na zakrętach, przeciążenie.

Rozejrzał się. Ostatnio był w Kamieniu tamtej nocy. Za wcześniejszą wizytę czuł ogromny wstyd.

Na spotkanie wyszła im Dominika z dzieckiem Reginy na rękach. Na widok Bastiana zacięła usta.

– Po coś go tu przywiózł? – syknęła.

– Chciał z wami porozmawiać – rzucił Gerard.

– Znowu będzie miał swoje mądre pytania?

– Nie, nie. – Bastian uśmiechnął się uspokajająco. – Chciałbym was posłuchać. Jeśli oczywiście zechcecie mi coś opowiedzieć.

– Co? – burknęła Dominika, ale złagodniała.

– To, co jest dla was ważne.

Zawołała. Podeszły do nich dwie kobiety, dołączyli trzej mężczyźni. Otoczyli Bastiana kręgiem. Przełknął ślinę. Nie sięgnął jednak po dyktafon, aparat ani nawet po notes. Podchodzili kolejni ludzie, blisko, jakby chcieli go dotknąć. Patrzyli. Rozmawiali między sobą w romani. Starał się wytrzymać ich spojżenia.

Aż wreszcie ktoś zaczął do niego mówić. Urwane, oskarżycielskie słowa, litania żalu, bezradna wściekłość, wściekła bezradność, złość, smutek i rezygnacja. Ściana płaczu, pomyślał, starając się zapamiętać jak najwięcej.

Słuchał rozgorączkowanych głosów i czuł, jak w gardle rośnie mu gula. Jeszcze niedawno pęczniałby z dumy, w przekonaniu, że oto zaraz nagłośni,

ujawni, zdemaskuje i zainterweniuje, że zostanie ich medialnym zbawcą. Ale teraz wiedział, że nie naprawi ich świata. Nie jest w stanie zająć się wszystkimi sprawami, o których zaczęli mu opowiadać. Ani każdą z osobna.

Że chcą wysiedlić. Że kamery. Że w szkole chcą zrobić dla ich dzieci osobne wejście. Że szamba nie wywożą. Że nikt nie zatrudni Roma, choćby miał dziesięć szkoleń. Że nie słuchają. Że policja zabrała chłopaka i pobili go w komendzie. Że dzieci rzuciły kamieniami. Że gmina nie odpisała na pismo. Że nauczyciel oskarżył syna o kradzież i przeszukał mu tornister przy klasie. Że odmawiają kontenera na śmieci. Że nie pozwalają dostawić przyczepy campingowej. Że nazywają złodziejami. Że chcą się pozbyć, że nie dają im prawa zasiedzenia. Że już nie można patrzeć na kolejnych *gadziów* w garniturach, co przyjadą, pokiwiają głowami i znowu nic nie robią.

Do Strzygonia docierało, że nie rozplącze gordyjskiego węzła urzędniczej znieczulicy, wyuczony bezradności i ludzkiego niezrozumienia. Wiedział też, że za każdą ich skargę padnie skarga na nich, że taka sama ściana płaczu wyrosła po drugiej stronie Dunajca.

Wiedział, że nie oczekują od niego, że ich opisze, zacytuje, nakreśli reporterski portret. Że oczekują, iż zjedna im wójta wójtów albo prezydenta Europy, który zarządzi pogłębienie szamba, zlikwiduje monitoring i zezwoli wypalać elektrośmieci, bo z czegoś muszą żyć. Wiedział, że sprawi im zawód tym, co może dla nich zrobić.

Bo on nie mógł nawet spowodować, że zostaną wysłuchani. Mógł tylko dać im głos.

Sylwia próbowała usadowić się na niewygodnym siedzeniu w znienawidzonym żuku możliwie najmniej obolałym fragmentem pośladka, gdy zatrzeszczało radio. To był informatyk ukryty na pace auta. Ten ma jeszcze gorzej, pomyślała.

– Zła wiadomość – rzucił. – Właśnie sprawdza w sieci połączenia kolejowe. Z Preszowa do Belgradu. I to dzisiejsze.

Wyprostowała się. Nie zdążyła się odezwać, gdy zadzwoniła jej komórka. Łukasz. Odebrała na głośnomówiącym.

– Posłuchaj tego – powiedział. – To rozmowa sprzed ośmiu minut. Dzwoniono do niego ze słowackiego numeru. Nie tego, który dał ci Milan.

– *Przecież oni mnie na bank śledzą!* – Poznała głos Majera. – *Więc niby jak?!*

– *Ty jedź do lesa... Do svojho pílu, tartaku, rozumieš?* – męczył się łamaną polszczyzną drugi głos, niski i chropowaty. – *Jedź jako do roboty. My sme tam tak za patnast' minut, okej? Autem od Zdenka. Bude to, ako by my przyjechali na biznes. Po drwa. A my cię wezmeme na Slovensko, rozumieš? Tak kazał Jura. Skryjemy cię w vozidle jako utečenca... uchodźcę.* – Głos się roześmiał.

– Łukasz, ile czasu potrzebuje grupa realizacyjna? – zapytała.

Kapitan Bożyk się namyślił.

– To jest w lesie... – powiedział. – Trudny teren. Nie mamy planu. Godzinę przynajmniej.

Popatrzyła na zegarek. Za godzinę Majer będzie na Słowacji. Brama posesji przemysłownika powoli się otworzyła. Na ulicę wypadło na pełnym gazie ubłocone mitsubishi pajero.

– Łukasz – powiedziała. – Jeśli go zrealizujemy, nigdy nie doprowadzi nas do bossa.

– Jak spruje za granicę, to zostaniemy z niczym – odparł. – Trudno.

Trudno. Czyli – przetłumaczyła sobie Sylwia – klęska.

– Spróbujcie zdążyć. Nie pakujcie się do lasu. Zatrzymajcie słowackie auto przy wyjeździe drogi z tartaku na asfalt – powiedziała. I rozłączyła się, zanim Łukasz kategorycznie zabroniłby jej interweniować.

Wymienili z Markiem spojrzenia.

– Sylwia, ja... – wyjąkał funkcjonariusz.

– Wiem, jak go spowolnić – przerwała mu. – Jedziemy.

– I co, mam wrócić na terapię? – Anka pochyliła się nad stolikiem.

– Jeśli mogę coś zasugerować – zaczęła Iza – dobrze by pani zrobiło, gdyby zapisała się pani na kurs samoobrony albo na sztuki walki.

– Ja? – zdziwiła się Anka. – Ale ja... nie umiałabym. I nie mam warunków.

– Też tak kiedyś myślałam. Byłam mała, chuda i wystraszona. – Iza rozpięła bluzę z kapturem i podciągnęła rękawy. Anka przyjrzała się jej bicepsom, mocnym ramionom, twardemu brzuchowi. – Będzie pani potrafiła się obronić. I poczuje się pani pewniej.

– Co pani trenuje?

– Tajski boks. – Policjantka się uśmiechnęła.

Anka dotknęła siniaka na twarzy. Zastanowi się.

– Lada chwila wszystko się skończy – westchnęła Iza. – Wiemy, kim było dziecko z osady, kto je zabił. Jeśli się pani nie myli, rozwiążemy też sprawę zaginionych chłopców. I tylko moja sprawa, sprawa Gwiazdki, pozostanie tajemnicą... Wie pani, ja też długo tego nie zapomnę. Regina umarła na moich rękach. A płacz Gwiazdki będzie mi się śnił po nocach.

Wyprostowała się.

– Najważniejsze, że dziecko wróciło do rodziców. – Brzmiało to, jakby bardzo starała się uwierzyć w swoje słowa. – Jej ojciec naprawdę ją kocha. A matka teraz pewnie ustabilizuje się i wróci do domu. Będą się o nią troszczyć. Mam tylko nadzieję, że dopilnują szczepień.

– Szczepień? – Anka podniosła głowę.

– Ojciec Leny jest trochę nawiedzony. – Iza się skrzywiła. – Wierzy,

że szczepionki powodują autyzm. Spisek firm farmaceutycznych, medycyna alternatywna i Święta Mateczka ze Starego Sącza. Takie klimaty.

Anka zerwała się z krzesła. Syknęła, stąpnąwszy nieuważnie prawą stopą. Kolejny element układanki wskoczył na miejsce.

Powierzono jej tajemnicę, myślała gorączkowo. Ale za tą tajemnicą stoi jeszcze większa tajemnica. Za tą tragedią stoi jeszcze większa tragedia. Która wciąż się nie skończyła.

– Ja znam wersję Reginy – przyznała się wreszcie.

Iza zaniemówiła. Przycisnęła złożone dłonie do ust. A Anka zaczęła opowiadać. O utraconym dziecku, o żałobie, o tajemnicy sióstr.

– Regina twierdziła, że znalazła Gwiazdkę w kościele w Zabrzeży – dokończyła. – Że ktoś ją tam zostawił. Że dziewczynka była chudziutka, ledwie żywa, bardzo słaba. Na cokolwiek więc leczyła ją Mateczka, robiła to nieskutecznie.

Anka stanęła na szeroko rozstawionych nogach i wycelowała palec w policjantkę.

– Aż wreszcie ktoś postanowił ją uratować. Zanim byłoby za późno.

To musi wyglądać naturalnie, myślał Przemysław Majer, zatrzymując pajero na pokrytej wiórami polanie. Przyjechał sfinalizować transakcję ze Słowakami. Było po piętnastej, jego ludzie skończyli już dniówkę. Ciężarówka z napisem „Vesely bobor” na plandece czekała przy szopie. Słowak, blondyn w czarnym podkoszulku, stał obok i palił papierosa. Drugi, potężny Rom z wypielęgowaną bródką, siedział na fotelu pasażera i czytał „Nový čas”.

Przemysłownik wysiadł, zarzucając na ramię sportową torbę. Jura obiecał, serbscy przyjaciele pomogą. Trzeba przeczekać, a jak sprawy się uspokoją, wtedy wróci.

Uścisnął żylastą dłoń Słowaka.

– *Nech sa páči* – mruknął blondyn, kciukiem wskazując na pakę ciężarówki. Majer, rad nierad, wrzucił tam swój bagaż. Czekają go kilkadziesiąt kilometrów w wyjątkowo drewnianym towarzystwie. A potem pociąg – i jakoś to będzie.

Odwrócili się, gdy na polanę wypadł wysłużony volkswagen golf. Wysiadła z niego drobna czarnula w obcisłych džinsach i sportowej kurtce.

– O kurwa – syknął Majer.

– *O kurva* – zgodził się Słowak.

– Panie Przemysławie! – radośnie zakrzyknęła Sylwia Nowak z Fundacji Pro Roma. – Jak dobrze, że pana zastałam! Mam dla pana doskonałą wiadomość!

*

– Anny nie ma? – zapytała Dominika, gdy obchodzili dom dookoła. – Już nie chce do nas przyjeżdżać?

– Źle się czuje – rzucił Gerard.

Wydawała się nieprzekonana.

– Dzwoniłam, wysyłałam SMS-y. Nawet na pogrzeb Reginy nie przyjechała. Dużo *gadziów* przyszło. Ale ja czekałam na nią.

Przypomniała sobie prostą trumnę siostry, przystrojoną kwiatami, które Dominika sama zbierała. Przyjechał specjalnie ksiądz Drzewicki. I tak przemówił, że aż parę starych kobiet się popłakało. Nawet Markus miał chyba łzy w oczach. Z daleka od nich, pod murem cmentarza, zaczęli się zbierać *gadzie*. Była ta wysportowana policjantka i ten chłopak w okularach, też z policji. Tego grubego nie było. Przyszli też inni *gadzie*. Z Zabrzeży, z Łącka, z Tylmanowej. Nie podchodzili. Pewno nie chcieli. A może się bali.

A ksiądz mówił o kamieniach rzuconych tamtej nocy. O kamieniach, które będą ciążyć na wielu sercach, i o kamiennych sumieniach, które niech teraz drąży krew Reginy, aż je skruszy. Krew, która jest na rękach wszystkich, co tamtej nocy rzucali kamieniami.

Wtedy wielu *gadziów* odeszło, a Dominika pomyślała, że przecież Romowie też rzucali. Ktoś otarł oczy. Ktoś zostawił wieniec.

Dominika otrząsnęła się, gdy stanęli z Gerardem na tyłach budynku przed wybrzuszoną ścianą z pustaków. Ich buty zapadały się w błotnistej ziemi.

– Ona mówiła, że ty budujesz domy – podjęła. – My teraz potrzebujemy więcej miejsca dla wszystkich dzieci. Chcieliśmy jeszcze jedną izbę. Możemy rozebrać resztę domu Reginy, a Paweł teraz znowu zarabia. Ostatnio dużo pieniędzy przyniósł, będzie nas stać.

Chłopak popatrzył na nią z ukosa.

– Za co dostał dużo pieniędzy?

– A nie wiem. – Dominika wzruszyła ramionami. – Może odpłatę, że go tyle trzymali bez pracy. A może coś sprzedał. Pomożesz nam?

Krzywa ściana, pod nią rozmokła od źle zamontowanej rynny ziemia. Wczoraj pisał kolokwium z prawa budowlanego. Dzisiaj zacznie karierę architekta od samowoli budowlanej.

A więc to będzie jego pierwsza realizacja. Jaki Keler, taki dom w lesie, uśmiechnął się do siebie.

– Trzeba będzie nawieźć ziemi – stwierdził, grzebiąc czubkiem buta w kałuży. – Pewnie nie macie mapy geodezyjnej...

Nie dokończył, bo zobaczył, że w ich stronę idzie Paweł Wichura, rozglądając się czujnie.

– Musicie jechać – powiedział. – Już. Zabieraj dziennikarza i jedźcie stąd. Szybko.

– Ale dopiero zaczęliśmy! – zaprotestowała Dominika.

– Dlaczego mamy jechać? – zapytał Gerard.

– Nie pytaj, po prostu jedźcie – zdenerwował się Wichura.

– *So kadej kieres? Jow amengie pomoginla!* – Dominika przyskoczyła do męża.

– *Jura kadej ejn, jow naści ten dikol!* – wrzasnął.

Zza budynku dobiegł ich hałas, Wichura obejrzał się nerwowo. Przybiegły do nich dzieci.

– Jesteś! – ucieszył się Ricky i pociągnął Gerarda za rękaw kurtki. – Pojeździmy na motorze?!

– Pojeździmy. – Gerard zmierzwił mu włosy. – Jak wujek pozwoli. – Popatrzył na Pawła.

– Wujku Gelart! – Daria podskoczyła, wyciągając do niego rączki. – A skąd wujek Jura ma muszelkę cioci Ani?

Gerard wstrzymał oddech.

– Muszelkę...?

– No... – Dziewczynka złapała łańcuszek na swojej szyi i pociągnęła.

Zrozumiał. Anka zgubiła wisiołek. Szukała w domu, ale nie znalazła. Bała się, że straciła go w tym barakowozie albo wcześniej w samochodzie, kiedy ją porwali. Było jej żal, bo wcześniej nosiła go bez przerwy.

A on pamiętał doskonale, jak znalazł ten paciorek na plaży na Kubie. Jak pokazał go potem kobiecie, u której wynajmował pokój. Staruszka wzięła go w palce i powiedziała, że to nie jest zwykłe świcidelko. Pół żartem, pół serio zapytał, czy przyniesie mu szczęście. *Orisha* nie są od tego, żeby przynosić szczęście, roześmiała się. One rządzą ludzkim przeznaczeniem. Biały i czerwony paciorek, muszelka – może w ten sposób *Shango* cię wybrał? – śmiała się kobieta, puszczając nosem dym z cygara. Gromowładny *Shango* da ci siłę, wolność i kontrolę nad życiem, mówiła dalej. Ale będzie domagał się poświęceń.

– Gdzie jest wujek Jura? – zapytał powoli.

– We wsi – zdążyła odpowiedzieć dziewczynka, zanim Paweł zasłonił jej usta.

Gerard obrócił się na pięcie i odszedł bez słowa, zaciskając pięści. Wichura skoczył do niego. Chłopak wyprostował ramię i odepchnął mężczyznę. Rom upadł na ziemię. Daria krzyknęła.

Tamten wychodził z chaty dwa domy dalej, a stara kobieta całowała go w rękę. Odprasowany, w butach w szpic i błyszczącej marynarce. Spod rękawów wystawały mu złoty zegarek i srebrna bransoleta. Gerard roztarł pięść w garści. Zdjął kurtkę i rzucił Ricky'emu, który biegł za nim. Szedł prosto na mężczyznę w marynarce. Wzrok zaszedł mu czerwienią, gdy w rozpiętym kołnierzyku koszuli Roma, między dwoma medalikami, zobaczył wisiołek Anki.

To jest facet, który chciał ją zabić. Który jej dotykał. Bił ją. Przez którego tak bardzo się bała i boi się do dzisiaj.

Napiął ramiona. Ludzie rozstępowali się przed nim.

Bastian zorientował się, że coś się dzieje, kiedy rozmawiający z nim Romowie zamilkli i odwrócili głowy. Wyjrzał zza ich pleców. I zaklął. Najpierw pomyślał, że ciekawe, jak się stąd wydostanie, gdy rozróżba się rozkręci. Potem, że obiecał Ance, że ten gówniarz nie zrobi nic głupiego. A wreszcie, że ten facet, któremu Gerard właśnie zerwał coś z szyi, wygląda zupełnie jak wielka czarna kropka na schemacie Sylwii.

Jak boss.

– Właśnie czekam na telefon od wojewody! – obwieściła radośnie Sylwia. – Dosłownie za kilka minut zapadnie decyzja w sprawie tytułu „Przyjaciela równości”. I wszystko wskazuje na to, że ten tytuł będzie przyznany panu, panie Przemysławie! Mój kolega, menadżer od social mediów – machnęła w stronę auta, w którym siedział skulony Marek – nadaje relację na żywo w internecie.

Marek pomachał osłupiałym kafarom, wskazał na wycelowany w nich obiektyw komórki i pokazał im wyprostowany kciuk.

Majer spojrział w popłochu na Słowaka. Ten natychmiast się odwrócił i zaczął udawać, że szuka czegoś wśród trocin zalegających na polanie, po czym wsiadł do ciężarówki z wesołym bobrem na plandece.

– Pani Sylwio, ja nie chcę rozgłosu – mruknął Majer. – I jestem teraz bardzo zajęty.

– Rozumiem, ale to zajmie dosłownie minutkę. Musimy tylko podpisać oświadczenie o zgodzie na wykorzystanie wizerunku – szczebiotała, kartkując zawartość teczek. – O, do diabła, zapomniałam formularza. Ale to nic, napisze pan ręcznie, ja podyktuję. Gdzie możemy usiąść?

– Pani Sylwio...

– Oglądają nas tysiące fanów naszej fundacji na Facebooku! – ogłosiła tonem dziekana kolegium kardynalskiego, które właśnie wybrało nowego papieża. Marek ze smartfonem nie spuszczał obiektywu z Majera. – Czekamy tylko na informację z województwa! – dodała, machając mu komórką przed nosem.

Jak na zawołanie, jej telefon zadzwonił.

Sylwia i Majer spojrzeli na ekran. Opadająca na czoło czupryna, dołączki w policzkach. Sebastian Strzygón.

Majer ryknął i pchnął Sylwię w ramię. Nie zdążyła zrobić uniku, poleciała w tył, przewrotem przez bark wylądowała między mężczyzną a samochodem.

– To gliny! – rozdarł się.

Otworzyły się drzwi słowackiej ciężarówki. Marek wyrwał broń spod polarowej bluzy.

– Na ziemię! – wrzasnął. – ABW!

Sylwia sięgnęła pod kurtkę. Majer natarł. Odkoczyła. Kopnęła nisko, celując w kolano. Trafiła go w goleń. Zachwiał się, ale wyprowadził mocny sierpowy. Walnął ją w skroń. Uderzyła całym ciałem o ziemię. Zamachnął się

nogą, żeby kopnąć ją w brzuch.

Skryty za uchylonymi drzwiami ciężarówka blondyn wystawił przez szparę lufę pistoletu. Marek strzelił. Zadudniła blacha, prysła szyba, bandzior cofnął rękę, schylił się na fotelu.

– Rzuć broń! – Funkcjonariuszowi tętno huczało w uszach. Był na otwartej przestrzeni. Skryć się. Za auto. Strzelać. Chryste Panie. Sylwia.

Przeturlała się, unikając kopniaka, złapała nogę Majera swoimi w nożyce. Ten krzyknął i upadł na kolana. Zerwała się, wyprowadziła uderzenie stopą w splot słoneczny. Majer zakaszłał i poczerwieniał. Obróciła się, wysunęła rozcapierzone palce, celując w oczy. Poprawiła nasadą dłoni w nos. Kwiknął, trzymając się za twarz, i runął na ziemię.

Ten z bródką wy dostał się z kabiny. Markowi mignął w oknie czubek jego głowy. Osłaniała go ciężarówka. A stojącą tyłem do niego Sylwię brodacz miał dokładnie przed sobą.

Marek skoczył.

– To tylko hipoteza – powiedziała Anka, ścierając tablicę. – Ale...

– Do rzeczy – rzucił Głód. Po jego prawej stronie siedział Sławek, po lewej Iza. Nie miało to zabrzmieć obcesowo. Po prostu nie mógł się doczekać.

Anka narysowała flamastrem na tablicy duży trójkąt.

– Zacznijmy od Golców. Mały Oskar choruje. Leczy go nieskutecznie Święta Mateczka ze Starego Sącza. Trudno się dziwić, bo kostniakomięsak to bardzo złośliwy nowotwór. Rodzice obwiniają się o śmierć dziecka, ukrywają jego ciało w kopalni i uciekają za granicę.

Przy górnym wierzchołku, oznaczonym nazwiskiem „Golcowie”, wypisała: „Aktorzy: Mateczka, rodzice. Choroba – nieskuteczne/szkodliwe leczenie – ukrycie ciała – zaginięcie”.

– Dalej mamy Gwiazdkę. Też leczy się u Mateczki, leczenie również jest nieskuteczne. Jeśli założyć, że Regina mówiła prawdę, mała była ledwie żywa. Skąd wzięła się w kościele? Stawiam odważną hipotezę – Anka była w swoim żywiole – że doszło tam do konfliktu. Jedno z rodziców chciało kontynuować terapię u Mateczki, a drugie obawiało się o życie córki. I chcąc ją ratować, zostawiło w kościele.

– Bez sensu – prychnął Głód. – Jaki rodzic robi coś takiego? To absurd!

– Niekoniecznie, Janusz – wtrąciła się Iza. Głód odwrócił się do niej, zaskoczony. – Czytałam akta sprawy. Matylda Wołoszyn nie pracowała, nie miała rodziny, była finansowo i zapewne również emocjonalnie zależna od męża, radcy prawnego. Mąż nalegał na leczenie u Mateczki, nie ufał lekarzom, ona mogła widzieć, co się dzieje z dzieckiem, ale czuć się całkowicie bezsilna. Nie miała się do kogo zwrócić. I w końcu zadziałała desperacko. Zobacz, po „zaginięciu” Bartosz szuka córki, nawet sprowadza jasnowidzów i prywatnych detektywów,

a Matylda? Pograża się w chorobie psychicznej. Jakby wiedziała więcej niż on.

Anka wróciła do tablicy. W lewym wierzchołku trójkąta napisała: „Wołoszynowie. Aktorzy: Mateczka, rodzice/matka. Choroba – nieskuteczne/szkodliwe leczenie – ukrycie dziecka – zaginięcie/porwanie”. Czerwonym pisakiem zaznaczyła słowa: „matka” i „ukrycie dziecka”.

– Te dwie rzeczy to hipoteza, trzeba je potwierdzić – powiedziała. – I wreszcie...

W prawym wierzchołku trójkąta wpisała nazwisko „Baranowie”.

– Tutaj wiemy najmniej. Że mały był chorowity. I że zniknął. Wiemy, że normalnie rodzice nie zaczynają od zgłaszania porwania. Tak jak mówiłam wcześniej, najprawdopodobniej to Baranowie ukryli gdzieś ciało.

Pisak zaskrzypiał o tablicę. „Aktorzy: rodzice. Choroba – nieskuteczne/szkodliwe leczenie – ukrycie zwłok – zaginięcie/porwanie”. Czerwonym pisakiem zakreśliła „nieskuteczne/szkodliwe leczenie” i „ukrycie zwłok”.

– To też hipoteza, że Kacper umarł, a rodzice ukryli ciało – dodała. – Ale kogo jeszcze brakuje na obrazku w tym rogu?

– Mateczki – powiedzieli wszyscy naraz.

Zdażył zerwać mu wisiołek z szyi, gdy śmignęła pięść. Sygnet rozciął skórę pod okiem. Gerard ryknął, zahaczył butem o stopę faceta i pociągnął, przewracając go w błoto. Nie zdołał do niego doskoczyć, żeby wcisnąć mu twarz w kałużę, bo ktoś złapał go za ramiona. Zrzucił te ręce, ale nagle zrobiło się ich więcej.

Tamten wstał, otarł bryzg błota z policzka i długim susem wylądował koło niego. Znowu śmignęła pięść. Gerard w ostatniej chwili zszedł nisko z linii ciosu, na ugiętych nogach, pochylając głowę w bok. Uderzenie ześlizgnęło się po przedramieniu, którym się zasłonił.

Wokół gęstniał tłum. Zobaczył kątem oka Bastiana, jak biegnie, przyciskając telefon do ucha. Tamten coś krzyczał, ale Gerard go nie słuchał. Skupił się na jego oczach. Zaatakował.

Bastian biegł, wciąż wybierając numer do Sylwii. Najpierw odrzuciła połączenie, teraz nie odbierała. Zaklął. *Boys jest w karmieniu* – napisał i wysłał, nie zważając na złośliwą autokorektę. Domyśli się.

Już miał dzwonić pod 112, gdy ktoś złapał go za ramię. Skulił się odruchowo i obrócił na pięcie, unosząc gardę.

– Co tu się dzieje? – To był Markus. – Dlaczego oni się biją?!

– Długa historia – sapnął Bastian, opuszczając ręce i opierając je na udach. – Ten facet to bandyta.

Markus nie wydawał się zaskoczony. Bastian usłyszał parę szyderczych parsknięć wokoło. Czyli to dla nich żadna nowość, pomyślał. Nagle poczuł się jak w klatce.

– On porwał i chciał zabić Ankę Serafin – dodał głośno.
– Dlaczego? – Rom rozłożył ręce.
– Bo się dowiedziała, kto zabił tego chłopca, którego zwłoki tu znalezione!
Obiecała wam to, prawda? Że się dowie, co się wydarzyło. Dotrzymała słowa.
I okazuje się, że to ten człowiek jest winny.

Bastian patrzył, jak wokół walczących robi się zbiegowisko. Jak ktoś próbuje ich rozdzielać, jak ktoś zbliża się od tyłu do Gerarda, dzierżąc kawałek rurki. Jak ludzie zaczynają się szarpać między sobą. Kobiety rwały się do bójki równie ochoczo, jak mężczyźni.

– Musimy go złapać! Oddać policji! – Bastian ruszył ku zgromadzonym.
Markus znów chwycił go za ramię. Strzygoń odwrócił się gwałtownie. Patrzył na marsową, nieprzenikniętą minę wójta. Zaciśnął zęby.

– Co, będziecie bronić zioma?! – wrzasnął, przekrzykując harmider gardłowych, wysokich głosów. – Zioma winnego śmierci dziecka, którego zwłoki podrzucił tutaj, żeby było na was? Będziesz go bronił? Wy też?

Rozejrzał się po twarzach mieszkańców Kamienia.

– Chcieliście prawdy? To ją macie! – krzyknął. – A co, może nie pasuje wam taka prawda?! Może wolicie wiecznie całować bandytę w rękę?!

Odpowiedziało mu kilka pomruków aprobaty. I kilka syknięć.

– Ale to nasz bandyta! – zawołał ktoś. – A tamten i jego kobieta to *gadzie!*

– Ale to są nasze *gadzie!* – wrzasnęła Dominika.

– Spokój! – Głos Markusa poniósł się po wiosce, gdy wójt podchodził do zbiegowiska. – *Odzian kadarik!*

Ludzie nagle popatrzyli po sobie i cofnęli się o krok. Ten, który ścisnął w rękę rurkę, opuścił ramię. Ta, która trzymała Jurę za poję marynarki, puściła go.

– *Kaja sprawa ejn Juraski he gadziengri!*

Niechętnie odsunęli się od walczących, tworząc wokół nich szczelny krąg. Krzyczeli dalej. Gerard poczuł, że ma więcej miejsca. Znowu natarł.

Zamaszyste kopnięcie z obrotu śmignęło przed twarzą faceta, który w ostatniej chwili odchylił się do tyłu. Gerard zaklął i rzucił się na niego. Obaj runęli w błoto. Zanim tamten zdążył zdzielić go w szczękę, Gerard kopnął przeciwnika kolanem w brzuch. Odskoczyli od siebie. Wstali.

Gerard przetarł twarz. Tamten otrzepał marynarkę, dyskretnym ruchem sięgając pod poję. Metaliczne szczęknięcie wydało się głośniejsze niż krzyki zgromadzonych wokół Romów. Tłum też nagle ucichł.

Serce zatłukło się w piersi, blizna na twarzy zapulsowała gorącem. Gerard powoli uniół ręce, patrząc prosto w lufę.

Dwa strzały huknęły, gdy Marek runął na Sylwię, obejmując ją mocno i spychając ku wiacie tartaku. Polecieli na drewniane wrota, które ustąpiły pod ich naporem. Wpadli do środka, wzniecając chmurę kurzu i trocin. Kule załomotały

o ściany, poleciały drzazgi, pocisk wizgnął jej nad uchem. Przypadła do ziemi, wydobyła glocka i podczołgała się do półotwartych wrót. Przyczajona za nimi, wyjrzała dołem. Bandyci, kryjąc się za ciężarówką, ostrzeliwali ich, żeby dać osłonę pełznącemu ku nim Majerowi. Gdy tylko wsiądzie, uciekną. Wyczekała, aż opróżnią magazynki. Gdy palba na moment ustała, pociągnęła dwa razy za spust. Pod podwoziem, dokładnie w ich nogi.

Wypadła na zewnątrz, ściskając glocka w obu dłoniach. W trzech susach znalazła się przed bandytami. Brodacz wił się na ziemi, trzymając się za łydkę. Blondyn podniósł się na łokciu i składał do strzału. Pociągnęła za spust. Słownik padł na plecy i znieruchomiał. Na wysokości barku jego czarny T-shirt szybko nasiąkał krwią.

– Gleba! Na ziemię! – ryknęła Sylwia. Skoczyła na brodatego, kopnęła go prosto pod zuchwę. Jego głowa odskoczyła jak bokserska gruszka. Majer, któremu krew buchała z nosa, padł płasko tam, gdzie stał, i posłusznie wtulił twarz w trociny. Funkcjonariuszka wyszarpnęła z kieszeni dwie pary plastikowych kajdanek taktycznych, wykręciła ręce najpierw jednemu, potem drugiemu, i mocno zacisnęła im na nadgarstkach elastyczne paski.

Wszystko ucichło. Słuchała tej ciszy i nagle zrozumiała.

Marek.

Wbiegła do mrocznej hali. Przypadła do niego. Leżał na boku. Polar na jego plecach był cały w trocinach rudziejących od krwi, która sączyła się z dwóch dziur wyrwanych na wysokości klatki piersiowej przez kule przeznaczone dla Sylwii.

Na klęczkach pochyliła się nad nim, ujęła jego głowę w dłonie. Zbliżyła twarz. Na jego wargach jeden po drugim pęczniały i rozpryskiwały się pęcherzyki jasnej krwi.

– Trzymaj się, trzymaj, Marek – powtarzała, łykając łzy.

Rozchylił powieki.

– Sylwia, ja... – szepnął.

Ostatni pęcherzyk krwi pękł na jego wargach.

– Nie wiem, kto ty jesteś ani czego chcesz, ale *hovno* mnie to obchodzi – wycedził Jura. – Koniec zabawy.

Bastian wstrzymał oddech i znowu sięgnął po telefon, gdy zobaczył, jak przez krąg ludzi przedziera się chłopiec. Ten sam, którego ratował sprzed płonącego domu, synek Reginy, Ricky.

– *Na!* – wrzasnął dzieciak i rzucił się do Jury. – *Muk tes!*

Gerard całkowicie skupił się na oczach mężczyzny. Ricky podskoczył. Złapał Jurę za rękę, w której tamten trzymał broń.

Jedna jedyna szansa.

Jest na treningu. Ten krąg, który go otacza, to tylko zwykłe *roda*. Pulsujący huk, który słyszy w uszach, to nie jego krew, lecz miarowy rytm bębna,

zapraszający do gry. Tamten trzyma w wyciągniętej ręce nie broń, lecz miękką paczkę do kopnięć. Mężczyzna spuścił go z oczu, kierując wzrok na dziecko uwieszone jego ramienia. Gerard zobaczył, że ręka przeciwnika zadrgała.

– *Widzia kadarik!* – huknął Jura do chłopca.

Gerard ocenił odległość. W ułamku sekundy zrobił pół kroku do przodu i kopnął wysoko, skręcając ciało w bok. Trafił idealnie, golenią w nadgarstek. Ramię mężczyzny poszybowało w górę. Przez wieś poniósł się strzał. Broń zatoczyła w powietrzu krąg i upadła w błoto.

Ktoś kopnął ją jeszcze dalej.

Jura ryknął, odepchnął chłopca i rzucił się na Gerarda. Ale ten był szybszy. Osadził go w miejscu ciosem w twarz i szybko wyprowadził kopniaka w brzuch. Facet podrobił kilka kroczków do tyłu, łapiąc oddech. Wtedy Gerard zaatakował jego stopę. Jura runął w błoto jak długi. Gerard błyskawicznie znalazł się na jego plecach.

– *So kawaka terdzion! Kieren soć! Pomoginem!* – krzyknął Jura. – Kto ty jesteś? Czego, kurwa, chcesz? – Szarpnął się. Nie był w stanie zrzucić go z siebie. – Zrobiłem ci coś? Nie przypomi... – Urwał z jękiem, gdy Gerard zdzielił go pięścią w ucho.

– A Ankę Serafin pamiętasz? – warknął i pchnął go w potylicę, wciskając mu twarz w sączącą się środkiem wioski strużkę szamba.

Jura zaklął, rzucił się, ale zwiotczał po ciosie pod żebra. Gerard złapał go za włosy i podniósł jego uwalaną błotem i gnojówką głowę.

– Wiesz, kim jestem, śmierdzielu? – syknął mu do ucha. – Wiesz, co o mnie mówią w moim mieście? Że jestem zboczeńcem. – Tamten szarpnął się rozpaczliwie, czując, jak Gerard drugą ręką rozpina sobie pasek od spodni. – Sadystą. Chcesz się przekonać?

– *Pomoginen! Kieren soś! Darinacha tumengie kała długi!*

Rozległy się podniesione męskie głosy i śmiechy kobiet.

Gerard wyszarpnął pasek ze szlufek. Nigdy nie przypuszczał, że wyniesie z piwnicy cokolwiek, co przyda mu się w życiu. A jednak. Umiejętność skrępowania człowieka paskiem od spodni tak, żeby nie mógł się ruszyć, okazała się całkiem praktyczna.

Obrócił Jurę na plecy. Popatrzył w jego szeroko otwarte oczy. Nabrał powietrza. I walnął go pięścią w szczękę. Pod oko. Znowu w szczękę. Jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze. Gdy metodycznie rozkwaszał mu nos i zamieniał twarz w krwisty pulpet, czuł, jak kłykcie pulsują mu bólem. I to był dobry ból.

Opamiętał się, gdy ktoś złapał go za ramię.

– Gerard, wystarczy – powiedział Bastian.

Wstał powoli, opierając stopę na piersi Jury. Otarł z twarzy błoto, pot i krew, która sączyła się z rozcięcia pod okiem. Wokół wszyscy milczeli. Nikt się nie

poruszył. Tylko cichy, płaczliwy jęk Jury mącił ciszę.

– ABW już tu jedzie. – Dziennikarz chwycił chłopaka za ramiona. Błyszczały mu oczy. – Dałem im znać, że złapaliśmy bossa!

Gerard sięgnął do kieszeni po papierosy. Poczęstował Bastiana, który podał mu ogień.

– Brawo, Strzygoń. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Aleśmy Bohuna usiekli.

Bastian zaciągnął się mocno. A potem zakrztusił się dymem, wybuchając wariackim śmiechem.

*

– W zasadzie nie powinniśmy się na to godzić – powiedziała siwowłosa lekarka, zza okularów przyglądając się to Izie, to Ance. – Ale odkąd jej córeczka się odnalazła, obserwujemy znaczną poprawę. Pani Wołoszyn niezwykle się zmobilizowała i rozważamy nawet wypisanie jej do domu. Ona bardzo tego pragnie.

Lekarka odeszła. Anka i policjantka usiadły w świetlicy. Na ścianach wisiały rysunki, na stole leżało pudełko woskowych kredek i kartki papieru. Byłoby tu prawie jak w przedszkolu, pomyślała Anka, gdyby te rysunki nie były takie niepokojące.

Drzwi się otworzyły. Pielęgniarka ruszyła przodem, a za nią weszła do sali drobna kobieta o blond włosach. Iza od razu zauważyła podobieństwo do Gwiazdki. Te same ruchy. To samo spojrzenie. Taki sam zadarty nos, który na przekór zmęczonym oczom i zmarszczkom wokół ust przydawał jej dziewczęcości.

– Dzień dobry, pani Matyldo – powitała ją aspirantka. – Jak się pani czuje?

– Dziękuję – odpowiedziała kobieta. Miała śpiwny, delikatny głos. – Coraz lepiej.

– To jest doktor Anna Serafin. Ja się nazywam Izabela Hulak. Jestem policjantką, badam okoliczności zaginięcia pani córeczki Leny.

– Ale Lena się odnalazła. – Matylda Wołoszyn zbladła.

– Tak – odparła łagodnie Iza. – Ale ciągle nie wiemy wszystkiego. Chciałybyśmy zadać pani kilka pytań.

Matka Leny skinęła głową. Iza obserwowała ją uważnie.

– Pani Matyldo – podjęła policjantka. – Na co leczyła się Lena u Świętej Mateczki ze Starego Sącza?

– A jakie to ma znaczenie? – zapytała Matylda. Łokcie oparła na stole, skubała skórę u kciuka lewej dłoni.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Miałam problemy z laktacją – powiedziała po chwili. – Bardzo mało pokarmu.

– Jak wyglądało leczenie? – zapytała Anka.

– Dostałam taki proszek – mówiła cicho kobieta. – Ona twierdziła, że to z Betlejem. I zabroniła mi nosić broszki, kolczyki, łańcuszki, gumki do włosów. Wszystko, co mogłoby mnie zamknąć. Tak mówiła.

Anka przytaknęła. Z punktu widzenia logiki symbolicznej miało to sens. Trzeba było usunąć wszystko, co blokowało. W kulturze ludowej przy trudnym porodzie rozplatano nawet włosy rodzącej i zabierano jej to, co było zamknięte, zawiązane. Jak agrafka. Albo supeł. Z kolei panna młoda, która nie chciała od razu dziecka, wpinała sobie agrafkę w suknię. Do tego jeszcze słynny proszek z Groty Mlecznej w Betlejem. Biały tuf, którego cudowne prorodzinne właściwości wywodzono od mleka Matki Boskiej. Jego kroplę miała uronić na skałę, gdy w pośpiechu karmiła małego Jezusa przed ucieczką do Egiptu.

– Czy to działało? – dociekała aspirantka.

– Chyba nie bardzo – odparła ostrożnie kobieta.

– Próbowaliście sztucznego pokarmu? – rzuciła Iza.

– Nie... – Matylda nagle zaczęła oddychać szybciej. – On mówił, że to sama chemia. A Lenie dla odmiany kazała wiązać supełki.

– Dlaczego? – spytała Anka. Domyślała się, że tu chodziło o zatrzymanie, odwrotnie niż u matki.

– Bo Lena ulewała. – Matylda objęła się ramionami. – Co zjadła, to ułała, nic nie mogła utrzymać w brzuszku. Mateczka zapisała te węzłki. I to, co odciągnęłam, kazała rozcieńczać wodą i karmić ją przez smoczek. To nawet pomagało. Ulewała mniej. Ale...

– Ale była coraz słabsza? – dokończyła Iza.

W oczach Matyldy zobaczyła odpowiedź. Wszystkie zamilkły na dłuższą chwilę.

– Co wtedy zrobiłaś?

– Nic nie zrobiłam! – zdenerwowała się kobieta. – Wysłałam z Leną do ogrodu, zostawiłam ją samą i Cyganka ją ukradła. Policja tak powiedziała. Że znalazła się u Cyganki!

– Ta Cyganka twierdzi co innego. – Iza nachyliła się do niej przez stół i popatrzyła jej głęboko w oczy. – Że znalazła ledwie żywą, wycieńczoną z głodu dziewczynkę w kościele w Zabrzeży. Zabrała ją do siebie i wykarmiła własną piersią.

– Ta Cyganka kłamie! – krzyknęła Matylda.

Ford focus zaparkował przed różowym domem z szyldem „Pantofle regionalne, Andrzej Baran” w Tylmanowej. Podkomisarz Głód wysiadł, poprawił spodnie i stanął przed furtką. Pod stodołą rzucał się na łańcuchu, szczerząc jak opętany, potężny owczarek niemiecki.

– Pies psa zawsze pozna – mruknął Głód do Sławka. Furtka była otwarta.

Weszli na schodki i podkomisarz zadudnił pięścią w drzwi. – Policja! – huknął. – Proszę otworzyć.

W drzwiach stanął mężczyzna we flanelowej koszuli w czerwoną kratę.

– Czego znowu? – burknął. Głód odsunął go ramieniem i wparadował do środka. Gaca podążył za nim, migając przed nosem osłupiałemu Andrzejowi Baranowi policyjną blachą.

W kuchni przy stole siedziała kobieta w swetrze. Blond włosy miała związane w kucyk. Przyglądała się gościom wyblakłymi oczami, które nagle zrobiły się większe. Sławkowi wydało się, że na moment w tych oczach pojawił się błysk. Jakby zrozumiała, po co przyszli. Potem na powrót zgasły pośród głębokich cieni.

– Ewa i Andrzej Baranowie. – Głód stanął z założonymi rękami na środku kuchni. – Musimy państwu zadać kilka pytań.

– Czego jeszcze od nas chcecie? – wycedził Andrzej, oparty pięścią o futrynę.

– Panie Baran. – Głód podszedł blisko niego. Za blisko. – To my zadajemy pytania, a nie pan, jasne? – rzucił mu w twarz.

Sławek tymczasem przysiadł na krześle obok Baranowej.

– Rozumiemy, że państwu jest ciężko – powiedział miękko. – Ale wszystkim nam zależy na ustaleniu, co się stało z Kacperkiem.

Kobieta odwróciła się do niego.

– Zabrali – wyszeptała.

– Pani Ewo, wiemy, że Kacperek chorował – zaczął aspirant. Twarz kobiety się wydłużyła. To nie było pytanie. Baranowa skinęła głową i wbiła spojrzenie w ślad od kubka na blacie. – Pominęliście to w zeznaniach.

– Nikt nas o to nie pytał. – Andrzej zadarł podbródek. – I co to w ogóle ma za znaczenie?

– A to już my ocenimy – warknął podkomisarz.

– Wszystko może mieć znaczenie – pospiesznie wtrącił Sławek.

– Dziecko wam chorowało, a wy nie poszliście do lekarza jak normalni ludzie, tylko chodziliście z nim do tej szarlatanki ze Starego Sącza – rzucił Głód chrapliwym głosem. – Świętej Mateczki.

– Co pan mi tu pieprzysz?! – krzyknął Baran. – Co ty pieprzysz, człowieku? Co...

– Siadaj! – wrzasnął na niego podkomisarz. Mężczyzna zamilkł i usiadł na krześle przy drzwiach. Sławek zaciskał szczęki. Głód mógł przeholować w każdej chwili. – No więc poszliście do babki zielarki. Jak dzikusy z Kamienia. A ona, zamiast leczyć dziecko, nafaszerowała je jakimś magicznym gównem.

– Nieprawda! – Zimny, niski głos Ewy Baranowej sprawił, że Głód na chwilę się zamknął. – Chodziliśmy do lekarzy! U nas w Tylmanowej i w Sączu,

i w Krakowie. I nic nie pomogli. Mówili tylko, że trzeba mu drogiej diety! A on ani chleba nie mógł, ani klusek, ani nawet naleśniczków! I rzygał ciągle, i biegunki straszne miał, i oczka zawsze podkrążone, mówili, że ma anemię, i krewka mu ciągle z nosa szła. Kazali mu kupować specjalne jedzenie, bezglutenowe, jakbym ja była jakaś modna pańcia z Warszawy! A za co, pytam się, ja miałam mu kupować to specjalne jedzenie?! I gdzie tu u nas je dostać?! Gdzie?!

W kuchni zawisła cisza. Sławek bez trudu pojął, na co cierpiał chłopczyk. To samo miała jego siostrzenica. Celiakię.

– A Mateczka mówiła, że go wyleczy – podjęła Baranowa zdartym altem. – Całkiem wyleczy.

Opadła z sił. Zwiesiła głowę nad złożonymi na stole dłońmi. Głód obserwował mężczyznę. Jego twarz była napięta, piwne oczy szeroko otwarte, grdyka poruszała się nerwowo, gdy spoglądał na żonę. Tak wyglądają bezradni mężowie, którzy – chociaż nie potrafią tego okazać – martwią się o stan swojej kobiety, o jej nerwy. O jej reakcje.

Głód uchwycił spojrzenie Gacy. Niepostrzeżenie kiwnął głową.

– Pani Ewo – powiedział Sławek. – Jak Mateczka leczyła Kacperka?

– Kazała mu parzyć ziółka. – Baran odezwał się pierwszy. Jego wzrok wędrował rytmicznie od żony przez podkomisarza do drzwi. – Sama je suszyła. Mówiła, że zbierała je o świcie, pod krzyżem na górze, gdzie czuwa jej Anioł Stróż. Pewnie to było tylko gadanie, ale Kacperek robił się po nich spokojniejszy. Zasypiał bez płaczu. Mądrość ludowa, tak mówią.

– Zasypiał bez płaczu po ziółkach, tak, pani Ewo? – Gaca zwrócił się do kobiety. – A czemu tak płakał?

Odpowiedziała mu spojrzeniem podkrążonych oczu.

– No bo brzusek go bolał! – wyjaśnił Andrzej Baran. – Mówimy przecież.

– Tak, pani Ewo? – zapytał Sławek.

– Tak – potwierdziła. – Bolał go brzusek. No i dziecko głodne było, to płakało. Ale po ziółkach mniej, to co Andrzej mówi.

– Głodne? A co Mateczka kazała mu dawać do jedzenia, żeby nie chorował? – dążył Sławek. Wiedział, że przy celiakii jest to kluczowe. Jeśli znachorka nie wyeliminowała z diety źródeł glutenu, nic by nie poprawiło stanu dziecka.

Andrzej Baran oblizał wargi. Jego żona ścisnęła splecione palce.

– Na koniec noża miodu, rozpuścić w szklance herbaty z kroplą święconej wody i dawać łyżeczkę – powiedziała.

– No bo panowie wiecie, że najlepiej na chory żołądek to się trochę przegłodzić, nie? – dodał jej mąż. – Pomagało, bo od razu sraczki przestał mieć i mniej wymiotował.

– Ale co chłopiec jadł? – przerwał mu aspirant. Nie był pewien, czy rozumie.
– I jak często?

Baranowie spojrzeli na siebie. Jego oczy błyskały jak burza na horyzoncie. Jej jak tafla wody na dnie studni.

– No mówiłam – szepnęła. – Miodu w herbacie. Łyżeczkę. Dwa razy na dzień.

– Matyldo – odezwała się aspirant Hulak – nie musisz się niczego bać. Zrobiłaś wszystko, żeby chronić swoje dziecko. Tylko ty jedna. Teraz my musimy zrobić wszystko, żeby chronić inne dzieci. Przed Mateczką. Opowiedz nam, jak było.

Iza i Anka obserwowały zmiany na twarzy kobiety. Najpierw jej rysy ściął strach. Walczył przez chwilę z narastającą w oczach złością, aż ustąpił. Wreszcie kobieta odetchnęła głęboko.

– Nie mam się czego... bać? – zapytała, przewiercając policjantkę spojrzeniem. Iza zaprzeczyła ruchem głowy. – Ja jedna... próbowałam ją chronić? – Matylda Wołoszyn położyła dłonie przed sobą na blacie. Anka przytaknęła.

Kobieta wydała krótki, urywany jęk, nie tyle żalu, ile zdziwienia. Złość ulotniła się z jej twarzy, pozostawiając skupienie. I determinację.

– Lena robiła się taka słabiutka, coraz słabsza – zaczęła powoli. – On mówił, że mamy słuchać Mateczki. Mateczka, że mamy się modlić i nie przerywać leczenia. Ale ja widziałam, co się dzieje. Lena stała się osowiała, nawet nie miała siły płakać. Nie wiedziałam, dokąd iść. Co robić. Chciałam uciec, wzięłam ją w nosidełko, wsiałam do auta... Jeździłam po okolicy. Kościół był przy drodze – mówiła coraz szybciej, wyrzucała z siebie słowa. – Trochę się modliłam. Trochę płakałam. W końcu pomyślałam, że co ze mnie za matka, skoro własnego dziecka nie umiem wykarmić. Że może lepiej, żeby kto inny zajął się moim dzieckiem. Uratował je przede mną. – Kołysała się na krześle. – Przed Mateczką. Że gdziekolwiek indziej będzie jej lepiej. Kto by pomyślał, że lepiej jej będzie u Cyganki...

Urwała.

– Potem już nie wiem, co się działo. Potem – głos uwiązł jej w krtani – była już tylko mgła.

Iza wstała, objęła ją za wątłe ramiona i przytuliła. Kobieta płakała cicho. Anka przeniosła spojrzenie na galerię obrazków na ścianie, na rodzinny portret: mama, tata i dziecko, dziewczynka o złotych jak u aniołka włosach. I wszystko byłoby pięknie, gdyby niebo nad ich głowami nie było zamazane czarną kredką.

O lampę objęła się tłusta mucha. Janusz Głód stał pośrodku kuchni z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Sławek Gaca siedział wyprostowany przy Ewie. Andrzej znieruchomiał, oparty o futrynę.

– Kacperka nikt nie porwał – powiedział podkomisarz. – Nie zabrali go Cyganie, gdy bawił się na podwórku. Nie było żadnego uprowadzenia. Chłopiec wam umarł.

– Panie, coś pan...! – krzyknął Andrzej Baran. Jego żona nawet nie drgnęła. Sławek usłyszał tylko cichszy od oddechu jęk.

– Kacperek zmarł z głodu. Tu, w tym domu – kontynuował podkomisarz. – A wy ukryliście ciało. Ty kopałeś dół, Andrzej, grób dla własnego synka. A ty, Ewa – Głód przypomniał sobie słowa Anki Serafin – zawinęłaś zwłoki w kocyk. Potem skłamaliście, że został porwany. Pokażcie – postąpił energicznie ku mężczyźnie – gdzie leży.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął tamten. Jego ręka wystrzeliła za drzwi.

Aspirant Gaca zerwał się z miejsca, widząc, że Andrzej sięga po siekiere.

– To ty kłamiesz! – ryknął Baran. Zamachnął się i runął na Głoda.

Policjant uskoczył, a Andrzej Baran stracił równowagę pod ciężarem siekiery, która wbiła się w podłogę. Głód złapał Barana za ramię, kopnął pod kolano. Ten runął jak długi. Sławek skoczył mu na plecy i wykręcił drugą rękę.

– Zagłodziliście własne dziecko! – przekrzykiwał mężczyznę podkomisarz. Zacisnął obręcze kajdanek na jego nadgarstkach. – I żyliście z tym przez cały czas?!

Gaca obrócił się ku Baranowej, która wciąż siedziała nieruchomo, milcząc. Przyciśnięta do podłogi twarz Andrzeja czerwieniała. A Sławek mówił gorączkowo:

– Pani Ewo, ja rozumiem, jak się pani czuła. Jak się pani czuje. Pani go kochała najbardziej na świecie, oboje go kochaliście! Chcieliście dobrze, chcieliście tylko pomóc. Teraz może pani pomóc sobie! To się może wreszcie skończyć. Dzisiaj, teraz. Pani Ewo...!

Kobieta wyprostowała się, ściągnęła usta.

– Ewa... Ewunia... – Andrzej Baran łkał. – Proszę, nie...

Zabrała dłonie ze stołu. Spojrzała na aspiranta.

– Ja już nie mogę. – Jej oczy zwęziły się, usta rozciągnęły w grymasie. – Ja już nie mogę tak dłużej, nie mogę, nie mogę...

– Ewa! Ewaaa! – zaszlochał jej mąż. Rzucił się, Sławek przycisnął go do podłogi.

Kobieta wstała.

– Ewunia, nie mów, nie mów, o Jezu miłosierny! – rozplakał się mężczyzna.

– Kacperek... – Przygryzła wargi. – Chodźmy do niego.

Wypastowane buty kapitana Łukasza Bożyka zachręściły na żwirze, by zatrzymać się na skraju kładki nad Dunajcem. Wiatr od rzeki szarpał mu krawat. Za nim stały dwie suki i pluton policjantów prewencji.

Za mostkiem ustawiła się murem gromada Romów. Mężczyźni z założonymi rękami, kilka kobiet, dwoje dzieciaków.

Nikt nie wymówił nawet słowa.

Romowie się rozstąpili. Kapitan Bożyk otworzył usta. Z tamtej strony

na kładkę weszli rośli chłopak z paskudną blizną na twarzy i redaktor Strzygoń we własnej, niezbyt imponującej osobie. Prowadzili pod rękę skrępowanego, słaniającego się człowieka, ubranego jak dyrektor cyrku, z brizolem zamiast twarzy. Za nimi kroczyło dwóch Romów. Starszy miał wytartą marynarkę, rękę na temblaku i posiwiące skronie. Ten młodszy, o włosach związanych w kitkę i posturze drwała, trzymał się z tyłu. Gdy dotarli do połowy mostka, obaj Romowie zawrócili do swoich.

Kapitan ABW dał znak. Dwóch policjantów natychmiast wbiegło na kładkę i w jej połowie przejęło aresztanta. Wszystko to zdawało się Bożykowi po części komiczne, a po części śmiertelnie poważne.

– Jest pan zatrzymany w związku z podejrzeniem zabójstwa, przemytu ludzi i działalności zagrażającej bezpieczeństwu Rzeczypospolitej Polskiej – wyrecytował, z niesmakiem spoglądając w brizol.

Przeszukał mu kieszenie i wyjął z nich wypchany portfel i dwa telefony. Jeden włączony, drugi wyłączony. Był gotów się założyć, że ten drugi odpowiada numerowi, który Sylwia dostała od Słowaków. Ten, na którego czekało puste miejsce w samym środku schematu.

Policjanci wciągnęli mężczyznę do jednego z wozów, trzasnęły przesuwne drzwi.

– Nie miał pan przypadkiem zajmować się czymś innym, panie redaktorze? – Łukasz podał Bastianowi rękę.

– Dobrze rozumiem, że służby specjalne chcą wpływać na przekaz medialny? – odparł Strzygoń. – Niech pan poczeka, tylko włączę dyktafon.

– Co tam się wydarzyło? – Kapitan wskazał podbródkiem na drugi brzeg Dunajca.

– Zatrzymanie obywatelskie – powiedział bez mrugnięcia okiem Bastian.

– A co z nim? – Bożyk wskazał za siebie.

– Stawiał opór przy zatrzymaniu. – Dziennikarzowi nie drgnął w twarzy ani jeden mięsień. – Przynajmniej tak na pewno napiszą pana koledzy w raporcie, prawda?

Przerwał im dźwięk wibrującego telefonu. Kapitan Bożyk uciszył Bastiana gestem dłoni i odebrał. Słuchał. Potem bez słowa odwrócił się na pięcie i pobiegł do czarnego passata zaparkowanego za policyjnymi sukami.

– Co się stało? – rzucił za nim zaskoczony dziennikarz.

– Sylwia.

W cywilnej kii zapadła cisza. A więc się nie myliła. Tylko że, pomyślała Anka, wciąż pamiętając płacz tej kobiety, czasem wcale nie jest fajnie mieć rację.

Telefon Izy zawibrował. Odebrała przez zestaw słuchawkowy.

– O kurde – jęknęła, wysłuchawszy długiej tyrady po drugiej stronie. – Ominęła nas rozróżba – powiedziała, gdy się rozłączyła. – Głód ściągnął techników

do Tylmy. Abwera, cebees i leśne dziadki powiadali do wozów i pojechali na bombach, obława na przemytników. Do tego strzały w Kamieniu. Dwa trupy. Jeden zbój i jeden nasz.

Anka zeszywniała w fotelu. Kamień. Dwa trupy. Sięgnęła do torebki, ale przypomniało jej się, że nie załatwiła sobie jeszcze zastępczego telefonu. Jęknęła, zacisnęła powieki.

– Wszystko okej? – zapytała Iza.

– Możemy... szybciej? – wydusiła Anka.

Policjantka wdepnęła pedał gazu. Nie pytała o nic, obserwując na zmianę to drogę, to śmiertelnie bladą twarz pasażerki.

Zajechały na parking przed komendą, prosto w sam środek zamieszania. Policjanci w czarnych uniformach, pełno radiowozów, podniesione głosy, szczeknięcia z krótkofalówek, niebieskie światła.

Drzwi jednego z wozów się otworzyły. Dwóch funkcjonariuszy wytargało z auta barczystego mężczyznę z brzuchem. Szybko zarzucili na niego kurtkę, ale Anka i tak poznała go po sylwetce.

Z drugiego auta podobni dwaj funkcjonariusze wyciągnęli ślaniającego się na nogach Roma. Miał wybrudzoną marynarkę, błyszczącą koszulę i paskudnie obitą twarz, ale rozpoznała go. Minęła się z nim kiedyś przed domem Wichurów. Przypomniały jej się jego palce.

Potem dostrzegła Bastiana. Tulił Sylwię Nowak i gładził ją po włosach. Podchodził do nich kapitan ABW, ten Łukasz, przełożony Sylwii.

Rozejrzała się bezradnie. Gdzieś w piersi kielkowało jej zimno. Dlaczego ta kobieta płacze? Co się stało? Strzały w Kamieniu. Dwa trupy. Kogo brakuje na tym obrazku?

Zakręciło jej się w głowie.

Szklistym wzrokiem powiodła po parkingu. Wypatrzyła czarny motor zaparkowany obok jakiegoś radiowozu. Chwiejnym krokiem weszła do budynku.

Bastian ścisnął ją mocno i powtarzał jakieś komunały. Że będzie dobrze, że już po wszystkim, chociaż wiedział, że dla niej to dopiero początek. Początek reszty jej życia z powtarzaniem codziennie „co by było, gdyby”.

– Dziecino. – Łukasz Bożyk położył jej dłoń na plecach.

Sylwia puściła Bastiana i pozwoliła się szefowi ująć pod łokieć. Odwróciła się powoli. Bastian odszedł kilka kroków dalej. Patrzył, jak jego najcenniejszy kontakt zbliża się do niej, jak dotyka jej twarzy, jak zamyka jej drobną postać w ramionach, jak szepcze jej coś do ucha.

– Dziecino, tak bardzo mi przykro – powtarzał Łukasz. Powinien powiedzieć jej co innego. Że nie wolno im było iść tam samym. Że to było karygodne narażanie ich obojga, złamanie podstawowych zasad obserwacji. Że nie powinna się dziwić takiemu zakończeniu.

Ale nic takiego nie powiedział. Przecież ona już wiedziała.

Wysunęła się z jego objęć. Zdjęła plecak. Wyjęła z niego służbowego glocka i legitymację ABW.

– Zabierz to. – Wcisnęła mu je w dłoń.

– Dziecino – powiedział łagodnie Łukasz – nie mów tak. Dostaniesz urlop. Pójdiesz na terapię. I wrócisz do służby...

– Nie, Łukasz – przerwała mu. Jej głos brzmiał tak spokojnie, że Bożyk zrozumiał. Nie było sensu nalegać. – Wiesz, ja nigdy tego nie chciałam.

– To dlaczego w ogóle...?

– Żeby być bliżej ciebie – szepnęła.

Kapitan rozładował glocka. Schował jej legitymację do kieszeni. Gdy odważył się spojrzeć na Sylwię, ona już szła w stronę jego samochodu.

Bastian patrzył, jak kobieta otwiera drzwi czarnego passata. Czekał na zgrany, kiczowaty gest, gdy ona odwróci się na moment i ich spojrzenia się spotkają.

Drzwi trzasnęły. Dziennikarz uśmiechnął się do siebie. Odszedł, zegnając w myślach Sylwię Nowak.

Anka wpadła do męskiej toalety. Gerard wyjmował właśnie głowę spod kranu. Jego ubłocony podkoszulek leżał na kaloryferze. Przypadła do Gerta i przywarła do jego nagiej piersi. Pocałował ją w przedziałek. Kropelki zimnej wody spadły na jej rozpaloną twarz, przynosząc ulgę.

Z kieszeni spodni wyjął wisiołek z muszelką na zerwanym łańcuszku.

– To twoje – powiedział i włożył jej go w dłoń.

– Jak ty wyglądasz... – Dotknęła czubkiem palca jego rozciętej skóry pod okiem i zaczerwienień, które dopiero dojrzeją w dorodne siniaki. Jak te na plecach.

– Tamten wygląda gorzej. – Uśmiechnął się kącikiem ust.

Wzięła do ręki kilka papierowych ręczników i wytarła mu włosy. Zaczął skubać poplamiony plaster z księżniczką Elszą.

– Pomożesz mi z tym?

– Co ci się właściwie stało w rękę? – zapytała.

– Pociąłem się – odparł niechętnie. – Żyletką.

Anka zerwała plaster i powoli przeniosła wzrok z trzech nowych blizn na jego twarz.

– Dlaczego?

– Bo jestem głupi.

– Nie mów tak o sobie. – Delikatnie zmywała mu z przedramienia przybrudzony klej. – Chociaż nie. To rzeczywiście było głupie. To przeze mnie? – dodała cicho.

– Poniekąd – mruknął.

Obrzuciła spojrzeniem jego ciało. Bliznę na brzuchu. Na twarzy. Sznyty

na przedramieniu. Miała nadzieję, że z tego rozcięcia pod okiem nie zrobi się kolejna blizna. Każda z tych blizn z osobna i wszystkie naraz były tam z jej powodu. Co mu dała oprócz tych ran? Co mu po niej zostanie oprócz blizn?

– Patrz, co dostałem. – Naciągnął na siebie czysty podkoszulek z napisem „ABW”. – Ale będzie lans na treningu.

Uśmiechnęła się z roztargnieniem i zamrużyła intensywnie.

– Hej, mała, to już koniec. – Uniósł jej twarz za podbródek. – Już po wszystkim.

Nie była pewna, czy się z tego cieszy. Bo to oznaczało, że muszą dokończyć rozmowę. Wiedziała, co powinna, co pragnie mu powiedzieć.

Tylko czy będzie miała siłę?

To już koniec, myślał podkomisarz Głód. Już po wszystkim.

Wnętrze piwnicy jaśniało światłem reflektorów, odbijającym się od rozścielonych wszędzie białych płacht. W powietrzu wirował pył. Nawet gdyby Ewa Baran nie wskazała im wczoraj tego miejsca, zauważyliby je z łatwością. W kącie klepisko było zapadnięte. Podłoga była goła, nic na niej nie stało, ani skrzynia z węglem, ani worki z ziemniakami, ani regał ze słoikami.

– Obrzydliwie to rozegraliśmy, Janusz – mruknął Sławek Gaca, gdy wychodzili z domu w Tylmanowej w ślad za wyprowadzanymi do radiowozu Baranami.

– Ale skutecznie – odburknął Głód, ciągle czując niesmak w ustach. Zagrali *va banque*. Mieli tylko hipotezę Anny Serafin i nadzieję, że jeśli Baranowie uwierzą, iż policja i tak wie już wszystko, to ich poczucie winy okaże się silniejsze od lęku.

Podkomisarzowi często wydawało się, że cała ta psychologia jest przereklamowana. A tymczasem technicy kryminalistyki właśnie pochylali się nad wykopem, rozłożywszy przed sobą arsenał łopatek, łyżek, ryłców i pędzli, miarek pomalowanych w szachownicę, worków i woreczków. Błyskał flesz.

Poprzedniego dnia Janusz Głód i Sławek Gaca na przemian z Izą Hulak spędzili w pokojach przesłuchań kilka godzin. Gdy nadjechały radiowozy, Andrzej Baran przestał stawiać opór, jakby coś w nim zgasło. W komendzie od razu zaczął mówić. Ewa Baran zasnęła po lekach uspokajających, przesłuchali ją dopiero nad ranem. Oboje opowiadali o wdzięczności dla Mateczki. O nadziei, gdy widzieli u chłopca poprawę. O tym, jak Mateczka ich wspierała, jak nakładała na chłopca ręce, sama omdlewając ze zmęczenia. A potem o bólu. I o lęku.

Bo Mateczka pytała surowo, czy robili wszystko tak, jak poleciła. A oni analizowali, czy dobrze przygotowali napar z ziół, roztrząsali każdy moment słabości, gdy litując się nad dzieckiem, Ewa dawała mu jeść więcej niż łyżeczkę. Obwiniali, że przecież musieli coś zrobić źle, chociaż byli konsekwentni. Do samego końca.

I kiedy małemu Kacperkowi już nie można było pomóc, trzeba było chronić Mateczkę. Ponieważ nikt – żaden lekarz, żadna pielęgniarzka, nawet żaden ksiądz – nie okazał ich synkowi tyle uwagi i troski, nie przyniósł tyle ulgi, co ona. Nie uratowała Kacperka, ale mogła pomóc jeszcze tylu ludziom. Sama tak mówiła. Więc zrobili to, co musieli zrobić.

Janusz Głód myślał o tym wszystkim, patrząc, jak technicy zdejmują płaskie kawały gliny, jak odkładają je do worków, żeby później w razie potrzeby przejrzeć i przesiać do ostatniego ziarna, jak sondują glinę, zdejmują, omiatają, znów sondują.

Jeden z techników odwrócił się i przywołał go gestem. Głód podszedł i patrzył, jak ten miotełką usuwa spyloną ziemię.

Drobne, ledwie widoczne kosteczki. Potem kawałek większej. I strzęp zbutwiałego koca, na którym dało się jeszcze dostrzec wesołą, czerwoną wyścigówkę.



ROZDZIAŁ 22

Aspirant Sławek Gaca mrużył oczy. Raziło go światło świtu mieniące się poblaskami w wodach Popradu, błędzące po kępach drzew, po polach soczyście zielonych od wschodzących upraw. Beskidzkie kopy w oddali niemal zlewały się z niebem.

Światło odbijało się ostrym błyskiem od karoserii radiowozów jadących w kolumnie.

Skrećwiwszy w drogę gruntową wiodącą ku rzece, dostrzegli pomalowaną na błękitno chatkę. Wyglądała, jakby garbiła się nad brzegiem, grzbiet jej dachu zapadał się pośrodku. Obok majaczył zarys przydrożnej kapliczki i kontury rozłożystych drzew o pękatych koronach.

Sławek się ożywił.

– Zobacz, Janusz. – Oderwał dłoń od kierownicy i wskazał na drzewa. –
Zobacz.

Głód przetarł oczy i wyprostował się na fotelu pasażera. Była za piętnaście szósta, a on od kilku dób prawie nie sypiał.

– Co? – burknął.

– Olchy – oznajmił aspirant Gaca, celując palcem w drzewa chylące się nad chatką.

– Jakie, kuźwa, Sławuś, olchy?

– Nieważne.

Gdy kolumna podjechała bliżej, obaj zakleli. O szóstej rano najgroźniejszych mafiosów, kurierów narkotykowych karteli, aferzystów, dilerów i upadłych prezesów spółek skarbu państwa wyciągało się z pieleszy, w slipach, prosto w obiektyw policyjnej kamery. To była pora, o której można zaskoczyć, uniknąć postronnych, wjechać na czysto. Tymczasem przed błękitną chatką stało już kilka aut – stary lanos na czarnych blachach, nowiutka toyota rav4 i biały bus marki Opel Vivaro. Zamknięte drzwi chatki otaczał wianuszek ludzi.

– No to będą atrakcje – skwitował Głód.

Thumek zafalował, gdy kolumna z wyciem syren, wzbijając tumany lessu, zatrzymała się przed chatą. Ludzie rozstępowali się przed policjantami. Głód nie mógł się nadziwić. Kobiety z niemowlętami na rękach i starcy wsparci na balkonikach. Z toyoty wysiadła para trzydziestolatków, o których można byłoby powiedzieć, że są świetnie ubrani, gdyby ich wymięte i przepocone ciuchy nie świadczyły o tym, że koczowali tu całą noc. Przy busie paliło papierosy czterech

mężczyzn. Żaden z nich nie miał włosów ani brwi. Ludzie zaczęli szemrać.

Głód odchrząknął. Z Izą i Sławkiem za plecami stanął w progu. Załomotał pięścią w drzwi. Wskazał je mundurowym. Ci bez słowa ruszyli naprzód.

Krzyk, protest, płacz dziecka, przekleństwo.

Głód ścisnął palcami nasadę nosa, zamykając oczy. Przez tłumek na podwórzu jakby przeszedł prąd.

W drzwiach chaty stanęli dwaj policjanci. Prowadzili skutą kajdankami kobietę w luźnej białej sukni z lnu, o siwych włosach upiętych w kok. Na jej szerokiej twarzy o obwisłych już policzkach znać było zmęczenie, za to oczy miały barwę i temperaturę gazowego płomienia.

– Jest pani zatrzymana w związku z podejrzeniem o sprawstwo kierownicze nieumyślnego spowodowania śmierci – wyrecytował podkomisarz, czując, jak bardzo słowa nie oddawały tego, co myślał.

Kobieta się wyprostowała. Spojrzała mu w oczy. Jej otoczone siatką zmarszczek usta wygięły się hardo w dół. Podkomisarz poczuł, jak strużka potu cieknie mu zygzakiem wzdłuż kręgosłupa.

– Patrzeć będziecie, a nie zobaczycie, bo stwardniało serce tego ludu – przemówiła dźwięcznym altem. Za policjantami narastał hałas. Najpierw pojedyncze protesty, potem krzyk, wreszcie tumult.

„Co robicie?! Precz! Zostawcie ją! Hańba! Rany boskie! Moje dziecko! Puście! Sprzedawczyki! Sługusy koncernów! A co ze mną?! Mamo! Prawo boże! Dlaczego?! Ręce precz od świętej kobiety!”

– Ich uszy stępsiały i oczy swe zamknęli – wołała coraz głośniejsze Mateczka – żeby swym sercem nie rozumieli i nie nawrócili się, aby ich uzdrowić! Lecz...

– *Palis roweja.*

Święta Mateczka ze Starego Sącza zamilkła. Głód i Gaca odwrócili się, zaskoczeni. Ludzie stojący najbliżej przestali krzyczeć.

– *Palis roweja* – powtórzyła aspirant Iza Hulak. – Powiedziała mi to pewna mała dziewczynka, której tylko cudem nie masz na sumieniu. To znaczy po romsku: potem ty będziesz płakać.

Święta Mateczka, prowadzona pod ręce, z dłońmi skutymi na plecach, szła przez obejście pośród krzyku, przekleństw, błagań i pomstowania. Choć wokół wrzało, ona sama nie odezwała się już ani razu.

Trzasnęły drzwi samochodów. Zawyły syreny. Radiowozy odjechały. Ludzie zostali sami.

Tytuł: Kamień na kamieniu

Autor: Sebastian Strzygoń

Choć wiele się zmieniło, pewne rytuały znaczyły więcej nawet niż poranna kawa. Bastian wciąż jako jedyny dziennikarz zaczynał artykuł od wpisania własnego imienia i nazwiska.

Za polską granicą miało być już dobrze. Miała ich tam czekać chwila wytchnienia, zapewniano, że będą żywność i schronienie. Jako to ostatnie miał zapewne służyć barakowóz ustawiony w lasach między Tylmanową a Łąckiem. Odegra on jeszcze rolę w tej opowieści.

Bastian, otworzywszy kolejnego red bulla, młócił palcami w klawiaturę. To był ten moment, kiedy sterty notatek, wydruków i schematów leżą wokół laptopa, ale są niepotrzebne, bo wszystkie i tak ma się już w głowie.

Arman cały czas płakał.

Obaj musieli kląć na czym świat stoi. Polak w koszulce z orłem i Rom obwieszony biżuterią, w biznesowym porozumieniu ponad podziałami. Przemysław M., przed laty przemytnik, dziś wzorowy obywatel i przedsiębiorca dający pracę bez uprzedzeń. I mężczyzna zwany Jurą – słowacki Rom ożeniony z Renatą W., polską Romką urodzoną w Kamieniu, jak drapieżny ptak krążący po obu stronach granicy. Człowiek, który – o czym informuje pragnące zachować anonimowość źródło w słowackich służbach specjalnych – zaczynał od drobnych przekrętów, a doszedł do współpracy z serbskimi handlarzami bronią.

Ci ostatni, gdy ruszyła fala uchodźców z południa, wyczuli nowy biznes.

Bo po co się narażać, szmuglując kałasznikowy, skoro w portach, na drogach i granicach czekają łatwe pieniądze i ludzie, którzy z pocałowaniem ręki oddadzą im uratowane z wojny resztki oszczędności życia za miejsce w ładowni ciężarówki, przepustkę do europejskiego raju? Serbowie zaproponowali Jurze spółkę, ponieważ ze swoimi kontaktami na północ od Tatr wydawał się znakomitym kontrahentem domykającym nowy, nieznany szlak: z Idomeni po Zgorzelec.

Tak oto drobny cwaniaczek spod Sącza i podrzędny mafioso ze Spiszu stali się aktorami w dramacie rozciągającym się poza granice Europy.

Nowy szlak organizatorzy procederu postanawiają przetrzeć sami. Dzięki temu nie muszą się dzielić dołą, a o sprawie poza nimi nie wie nikt. Dlatego to oni zasiądą w szoferce forda transita z żywym towarem w ładowni.

Tej nocy na drodze 969, koło Tylmanowej, na łuku, bmw na krakowskich tablicach uderza czołowo w miejscowego matiza. Ginie pięć osób, w tym dwoje dzieci. Droga długo pozostaje zablokowana. Więc obaj klną w żywy kamień. Bo nie dość, że po drugiej stronie blaszanej ściany za ich plecami łatwy towar zaczyna się niebezpiecznie psuć, to w dodatku prawie na ostatniej prostej dostrzegają migające wśród nocy policyjne koguty. Coraz więcej.

Sami jeszcze wtedy nie zdają sobie sprawy, że zaczynają działać w panice.

Chory Arman Kočer płacze. Zdenerwowani współpasażerowie krzyczą. A przemytnicy gorączkowo zastanawiają się, czy w korku, w którym utknęliby z powodu wypadku, policjanci, czy nawet ktokolwiek przypadkowy, nie usłyszeliby hałasu dobiegającego z paki auta.

Na szczęście dla nich jest inna droga.

Wystarczy przed Zabrzeżą przejechać przez Dunajec i skręcić za rzeką w drogę gruntową, która ciągnie się przez las aż do Zarzecza. Tam da się już wrócić na asfalt. Jura dobrze zna tę drogę. Wiedzie ona tyłami Kamienia, romskiej osady, z której pochodzi jego żona Renata W.

Może dlatego, że płacz i krzyki w lesie słyszeć głośniejszy. Może dochodzą do wniosku, że tylko odsuwają problem w czasie. A może kieruje nimi zwykły strach przed wpadką. Gdy znajdują się na tyłach romskiej wsi, postanawiają pozbyć się kłopotu.

Zeznania Rêwiego Koçera i samego Jury wskazują, że bezpośrednim sprawcą zabójstwa był Przemysław M. To on zabrał Armana od ojca, mówiąc, że weźmie chłopca do szpitala.

Obciążony w zeznaniach Przemysław M. przyznał się do zarzucanych mu czynów. Tłumaczył się, że to Jura kazał mu uciszyć chłopca na dobre. Odpowie teraz za zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Jura – za sprawstwo kierownicze.

Ciała porzucają na polanie przy osadzie, żeby wina spadła na Romów. O to akurat nietrudno. „Skąd my to znamy” – komentuje dr Anna Serafin, antropolożka kulturowa. „Drwal zawinił, a Cygana powiesili”.

Udało mi się dotrzeć do jeszcze jednego świadka. Zdzisław B., mieszkaniec domu położonego najbliżej Kamienia, przypomina sobie hałasy, które słyszał tamtej nocy. Krzyk dziecka, zawodzenie mężczyzny, trzaśnięcie drzwi auta.

– Panie, gdybym ja wiedział – mówi, trzęsą mu się dłonie – co to się wtedy stało...

– Dlaczego nie zadzwonił pan na policję? – pytam.

– Ja myślałem, że to znowu Cygany się żrą między sobą. A co mnie Cygany obchodzą. Ale gdybym ja wiedział...

Trzech mężczyzn stało pośrodku kładki na Dunajcu. Jeden w krawacie. Drugi w pomarańczowym polarze i z wystającym brzuchem. Trzeci o siwiejących włosach i z ręką na temblaku.

Radiowóz i czarna limuzyna czekały po lewej stronie rzeki. Dokładnie naprzeciwko tłumku po drugiej stronie. Szum Dunajca zagłuszał słowa, które padały na moście.

– Nie – powiedział Markus Drozd. – Nie będziemy zeznawać przeciwko Jurze.

– Dlaczego? – zapytał twardo oficer CBS w garniturze.

– Bo to Rom.

– Przecież my wszystko wiemy. Że was też wykorzystywał, pożyczał pieniądze na lichwiarski procent, wywoził dzieci na żebry, a dziewczyny na ulicę...

– Jak wiecie, to po co jeszcze mamy zeznawać? – przerwał mu wójt.

– Potrzebujemy dowodów. Na pewno zostanie mu postawiony zarzut zabójstwa i porwania. Ale zanim Słowacy wystąpią o ekstradycję, można jeszcze popracować nad zarzutami o udział w zorganizowanej grupie przestępczej, o wymuszenia...

– Nie rozumiem – wtrącił Głód. Wpatrywał się w nurt Dunajca, który buzował mu pod stopami. – Skurwiel trzyma was za jaja, a wy nie chcecie się go pozbyć? To dlaczego w ogóle pozwoliliście go dorwać?

– Jura to zły człowiek – powiedział poważnie Markus. – I dobrze, że pójdzie do więzienia. To bandyta, ale...

– Ale co? – parsknął podkomisarz. – Ale wasz? Będziecie go chronić, bo jest od was? I wy się dziwicie ludziom, którzy mówią, że u was to kryminal i patola?!

Rom zacisnął szczęki.

– To bandyta, ale... – zaczął od nowa. – Ale na jego miejsce przyjdzie trzech takich samych, a nawet jeszcze gorszych. Będą się mścić. I kto nas wtedy ochroni? Wy? Tak jak ochroniliście nas przed motłochem z kamieniami? I jak chroniliście nas za każdym razem, kiedy komuś od nas działa się krzywda? Ochronicie nas?!

Głód nie odrywał oczu od toni Dunajca.

– Nie wiem – odparł.

– Zdaje pan sobie sprawę, że wobec tego nic się nie zmieni – powiedział oficer CBS.

– To nam wystarcza. – Markus wzruszył ramionami. – Przynajmniej nie będzie gorzej. Bandyci to tylko jeden z naszych problemów. A praca? Domy? Kamery? Szambo?

– Szambo? – zdziwił się oficer.

– Tak – potwierdził wójt. – Szambo dalej płynie.

Jak dowiedziałem się ze źródeł w miejscowej policji – Bastian uwielbiał takie zdania, jak każdy dziennikarz – biorąc ślub z Renatą W., Jura rozszerzył strefę przestępczych wpływów wśród Bergitka Roma ze słowackiego Spiszu na polską stronę granicy. Dla Romów, którym nikt inny nie da pożyczki, pracy ani nie zapewni bezpieczeństwa, był niczym ojciec chrzestny. Troszczył się, rozumiał, ratował z tarapatów, pozwalał przetrwać jeszcze jeden dzień.

Ale gdy ktoś nie splacał pożyczki, Jura wysyłał go z rodziną na żebry do któregoś z zachodnich miast, gdzie miał swoje kontakty.

*

Sławek Gaca momentami nie wiedział, kto tu jest przesłuchiwany. Święta Mateczka oskarżała ich o działanie z polecenia tarnowskiej kurii, lekarzy, a nawet Polfy i Bayera. Że chcą ją zniszczyć, bo tylko ona prawdziwie leczy, inni to szatani. Krzyczała, że przez nich umrą ludzie, którym nie będzie mogła pomóc.

Aż nagle zamilkła, zwróciła się twarzą do aspiranta, zamknęła oczy, wciągnęła powietrze. Otworzyła gwałtownie powieki. Jej źrenice były rozszerzone

tak, że oczy wydawały się całkiem czarne.

– Masz raka – oświadczyła. – Raka jąder. Lekarze nie pomogą. Umrzesz. Już niedługo.

Sławek chciał coś powiedzieć, ale tylko otworzył usta. W sukurs przyszła mu Iza.

– Na jakiej podstawie wystawia pani tę diagnozę? – zapytała spokojnie.

– On ma raka. A ja wiem, jak mu pomóc. Tylko ja wiem.

– Skąd?

Kobieta złożyła dłonie na kolanach.

– Anioł mi mówi.

– Czy innym pacjentom też pani opowiadała, że mają raka albo inne choroby? – dociekała Iza.

– Oczywiście! – odparła Mateczka. – Anioł mi mówił...

– A potem wmawiała im pani, że tylko pani może im pomóc?

– Niczego nie wmawiałam! Mówiłam tak, bo taka jest prawda, bo to tylko ja mogłam, tylko do mnie przemawiał Anioł Boży!

Iza zanotowała to do protokołu. Poblądły Sławek zaczynał rozumieć, na czym polegała strategia zachorki. Co nieszczęśliwie pomagało mu się otrząsnąć.

Hol komendy okupowała grupa wyznawców Mateczki. Kobiety, starsze i zupełnie młode, w garsonkach, sukienkach, podkoszulkach. Mężczyźni w dziurawych swetrach, inni w garniturach. Kilkoro dzieci. Krzyczeli, żeby wypuścić świętą kobietę. Że to nie jej wina, widocznie rodziców tych dzieci pokarał Bóg, dlatego leczenie nie pomogło, bo im przecież pomogła – pomogła tyle razy.

Sławek przepchnął się przez ciżbę i wyszedł przed komendę. Odpinał rower od ogrodzenia, gdy kluczyk wypadł mu w żwir. Schylił się. Zobaczył nad sobą cień. Wyprostował się gwałtownie.

Stał przed nim Markus Drozd.

– Ależ mnie pan wystraszył, panie wójcie. – Uśmiechnął się.

– Już mówiłem, żaden ze mnie wójt. – Rom nie odwzajemnił uśmiechu. – Nie mogę nic rozkazać moim Cyganom.

Markus ukrył bujne włosy pod bejsbolówką, której daszek opuścił nisko na twarz. Widać starał się, żeby nikt go tu nie rozpoznał.

– Nie mogę nic rozkazać – powiedział – ale mogę prosić.

Wcisnął coś Sławkowi w dłoń. Dotknął daszka czapki i odszedł bez pożegnania.

To był pendrive, jeden z tych rozdawanych setkami jako gadżety. Aspirant porzucił rower i przedarłszy się przez awanturujący się tłum i kordon prewencji, wpadł do swojego pokoju. Komputer uruchamiał się całe wieki. Na pendrivie był

plik wideo. Gaca kliknął.

Dwoje ludzi. Śniady mężczyzna z rzadkim zarostem poprawiał nagrywającego smartfona. Gdy jego monstrualna dłoń się cofnęła, odsłoniła blondwłosą kobietę z czarnymi odrostami wzdłuż przedziałka. Za sobą mieli ścianę. Sławek wiedział już, co usłyszy, zanim rozbrzmiały ich słowa.

– *Jestem Dżejson Golec z Kamienia, a to moja żona Jagoda. Nie powiemy nic, gdzie teraz jesteśmy, ale Markus prosił, to musimy teraz powiedzieć, jak to wszystko było.*

Gaca słuchał. O chorobie Oskara. O tym, jak nie wiedzieli, co zrobić, bo przecież do lekarza nie mogli iść: nie mieli ubezpieczenia zdrowotnego, bo nie mieli pracy, a formalności w opiece społecznej nie potrafili załatwić. I o tym, jak w końcu pożyczili pieniądze, żeby leczyć chłopca. Nie wiedzieli, do jakiego lekarza czy szpitala mają iść, nie wiedzieli, jak się zarejestrować. Więc zdecydowali się pójść do Świętej Mateczki, która przecież leczy wszystkie choroby.

– *I my wszystko robili, co ona kazywała* – teraz mówiła do obiektywu Jagoda. – *Trzy razy w nocy, o zmierzchu, północy i świcie, wychodziliśmy z Oskarkiem na mostek na Dunajcu, odwracaliśmy się tyłem do północy i przykładaliśmy mu do guza na nóżce kamień, bo ona mówiła, że wtedy w niego choroba wejdzie. A potem tego kamienia my wyrzucali za siebie do rzeki.*

– *I robiliśmy zioła, co nie?* – wtrącił Dżejson. – *On po nich wreszcie spokojnie spał, to my myśleli, że mu te zioła pomagały. My na wszystkie modlitwy do niej uczęszczaliśmy, nawet jak Oskarek już nie mógł chodzić, to my go nosili.*

Sławek usiadł.

Mówili dalej. O tym, jak chłopiec umierał, gdy jechali z nim do Mateczki. Jak umarł na progu jej chaty. I o tym, jak Mateczka ich przeklinała, że musieli zrobić coś źle albo mają wielki grzech na sumieniu, że tak się diabeł na nich mści. Zabroniła mówić komukolwiek o śmierci dziecka. Nakazała ukryć zwłoki i mówić, że dziecko zniknęło. I żeby sami też najlepiej zniknęli.

– *A jażem się akurat najął przy robocie w lesie* – mówił Dżejson, patrząc na swoje dłonie. – *Na Jarmucie. A tam jest ta dziura z kratą. No i żem pomyślał, że jak go tam pogrzebiemy, to go nikt nie znajdzie, bo tam jest przepaść, no i ta krata. I że to będzie dla niego najpiękniejszy grób.* – Mężczyzna urwał.

– *Tak jakby dziecko włożyć z powrotem do brzucha* – podjęła szeptem Jagoda. – *Bo to i lepiej by było dla niego, żeby się nie był urodził.*

Jak poinformował rzecznik sądeckiej prokuratury, miejsce pobytu rodziców Oskara G. pozostaje nieznane. Grożą im zarzuty niewywiązywania się z obowiązku opieki nad dzieckiem i nieudzielenia pomocy. Rodzicom Kacpra B. prokurator postawił zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci. Jak poinformowano w oficjalnym komunikacie, „badania histologiczne i toksykologiczne szczątków

dziecka nie wykazały udziału osób trzecich ani urazowej bądź chorobowej przyczyny zgonu. W świetle zeznań przyjęto więc jako przyczynę śmierci zagłodzenie”.

Oboje podczas przesłuchań do ostatniej chwili bronili Mateczki.

Prokuratura rozważała też postawienie zarzutu spowodowania uszczerbku na zdrowiu Bartoszowi W., ojcu Leny, wszystko jednak wskazuje na to, że ten wątek zostanie umorzony. Jego żona Matylda W. korzysta z prawa odmowy składania zeznań przeciwko mężowi, a po latach dowodów brak. Regina K., jedyna osoba, która mogłaby zdać bezpośrednią relację o okolicznościach znalezienia Leny i o jej ówczesnym stanie, nie żyje. Bartosz W. właśnie dostaje od losu drugą szansę.

Bastian się zatrzymał. Pomyślał o Reginie.

Przy stoliku w kawiarni na tarnowskim rynku zapadła cisza. Zakola księdza Drzewickiego wydały jej się głębsze, niż kiedy go poznała. Zmarszczki wokół oczu, te od śmiechu, dzisiaj go tylko postarzały. Garbił się nad filiżanką kawy. Anka wyciągnęła z torby plik dziecięcych rysunków.

– To od dzieci z Kamienia – powiedziała. – Ten jest od Darii. A ten od Ricky’ego.

Ksiądz wyprostował się, wziął do ręki wymiętą laurkę.

– Myślałem, że poprowadzę je do pierwszej komunii – rzucił, patrząc na obrazek.

– Zawsze będzie ksiądz dla nich ich *Romano raszaj*. – Anka wypita łyk herbaty. – Cygańskim księdzem.

– Nawet pani nie wie, ile w tym prawdy – skrzywił się duchowny.

– Słucham?

– Kiedyś byłem księdzem wśród Cyganów – westchnął. – Teraz jestem Cyganem wśród księży.

– Jak to?

Ksiądz Drzewicki długo milczał. Mieszał kawę, przeglądając dziecięce rysunki.

– Przecież widzę, jak na mnie patrzą – zaczął. – Jak się odsuwają, kiedy mijają mnie na korytarzu, jakbym był – długo ważył słowo – skalany. Wtedy, w kurii, oni mieli rację. To się do człowieka przykleja, jak łajno do buta. Więc może to dobrze, że teraz przenieśli mnie do kurialnego archiwum.

Odetchnął, odłożył łyżeczkę.

– Na początku się załamałem – powiedział. – Że nie będę mógł więcej pracować z dziećmi. I z potrzebującymi. Że będę robił coś dokładnie odwrotnego niż moje powołanie. Myślałem, że to z ich strony akt zemsty. Ale – uśmiechnął się smutno – teraz sobie myślę, że to może akt łaski. Nie muszę patrzeć ludziom w oczy.

– Przecież nie ma się ksiądz czego wstydzić! – zdenerwowała się. –

Oczyszczono księdza ze wszystkich zarzutów!

– Nie, nie ze wszystkich. – Drzewicki popatrzył w okno. – Nie jestem mordercą. Nie jestem pedofilem. Nigdy nawet celibatu nie złamałem – dodał ciszej.

– Ale wciąż pozostaje moja orientacja.

– I co z tego?

– Proszę pani – uciął, wyciągając przed siebie dłoń. Patrzył na nią dobrotliwie. – Homoseksualnych księży nie ma.

Zrozumiała. Milczała.

– Wie pani, jak to jest, kiedy inni patrzą tylko jak na – znowu zważył słowo – odmieńca? Jedni się boją, inni brzydzą. To tak jak proboszcz Wątroba. On się mnie bał, stąd to wszystko. Nie mam do niego żalu. Więc może jeszcze niedawno bym się buntował. Ale teraz już nie. Każde takie spojrzenie traktuję jak pokutę.

Skulił się znowu, objął filiżankę dłońmi.

– Za Krzysia.

Ksiądz się zamyślił, gładząc się po czubku głowy. Anka czekała, czując, że jeszcze nie skończył.

– Wtedy, kiedy potrzebował mnie najbardziej... – podjął – ...myślałem tylko o sobie, przestraszyłem się, że mogę wszystko stracić. I dostosowałem się, skorzystałem z drogi ucieczki, którą mi wskazano, byle ta cała sprawa ucichła. Uciekłem, pani doktor. A prawdziwy pedofil krzywdził Krzysia dalej.

Nagle odchylił się na krześle, przetarł twarz dłonią.

– Nie, proszę, nie rozmawiajmy o tym... – Jego głos zabrzmiał szorstko. – Wie pani, że ma pani nowych fanów? U nas, w kurii. – Uśmiechnął się z wysiłkiem, zmieniając temat.

– Ja? – zdziwiła się Anka. – A dlaczego?

– Z powodu Świętej Mateczki. Wszyscy tam odetchnęli z ulgą, że zrobiliście porządek z tą szarlatanką. Od dawna pochylali się tam nad nią z troską, ale...

– ...ale nikt nic nie zrobił – odpowiedziała za niego.

– Bo ludzie przecież wierzyli. – Pokiwał głową.

– Tylko dzieci szkoda.

Wiedziała, że to zaledwie początek żmudnego śledztwa, które dopiero miało odkryć skalę działalności Mateczki. Głoda czekało teraz peregrynowanie po pacjentach, byłych i obecnych, godziny przesłuchań i analiz. Pewnie długo nie pójdzie na ryby. Chociaż przebąkiwał, że wybiera się na wakacje.

– Będzie ksiądz za nimi tęsknił? – zapytała.

– Oczywiście. Przerzucając papiery w archiwum, będę się zastanawiał, czy zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby im pomóc. Towarzyszyłem im przez chwilę, patrząc im w twarz. Tyle mogłem zrobić. Pewnie niedługo o mnie zapomną, rozplynę się w *oda sas tajsja*, jak wszystko, co przeszłe. Mam tylko nadzieję, że nie zostaną sami.

- Caritas chce tam zbudować świetlicę.
- To dobrze. A szambo? – zapytał po chwili.
- Szambo? – powtórzyła Anka. Zamyśliła się. – Szambo dalej płynie.

Wieczne ptaki świergotały tak kojąco, jakby nie wiedziały nic o tym, co się zdarzyło. Albo jakby wiedziały wszystko. Od pobliskiego sadu niósł się miodowy zapach kwitnących drzew. Bastian siedział na balkonie pensjonatu. Nogi trzymał oparte o balustradę, na kolanach miał laptopa. Sięgnął po smartfona. Wszedł na Twittera.

#Romowie. #Uchodźcy. Ci #inni. I tylko dzieci żal. Już niebawem reportaż #KamienObrazy.

Zgasił papierosa w zapchanej popielniczce. Otworzył butelkę cydru od Maurera. Pociągnął łyk.

Tylko jedna śmierć nie doczeka się sprawiedliwości. – Zabębnił palcami o klawiaturę. – Nie ma świadków, nie ma dowodów, nie ma nagrania z monitoringu. Prokurator umorzy śledztwo z powodu niewykrycia sprawcy. Sprawcy, który cisnął tamtej nocy o jeden kamień za dużo.

I to pytanie zostanie z nami: kto jest winny?

Lada dzień dziennikarze przestaną oblegać komendę i prokuraturę w Nowym Sączu. Wozy transmisyjne odjadą spod kładki na Dunajcu, a Romowie stracą okazję do zarobienia stówy za odpowiednio emocjonalną wypowiedź do kamery. Zaś historia Armana Koçera utonie w morzu miliona podobnych opowieści.

Zostanie Rêwî Koçer, któremu kolejne urzędy będą odmawiać zgody na ekshumację szczątków dziecka. I Romowie z Kamienia, którzy będą pytać, dlaczego mieliby się przesiedlać do Limanowej, Sącza albo Czchowa, skoro tam będzie tak samo. Zostaną też pacjenci Świętej Mateczki. I jeden ksiądz.

Strzygón zapalił l&m-a, zatrzymując dym w płucach, przyjrzał się tekstowi. Potem sięgnął po telefon. Gwizdnął przez zęby, widząc liczbę reakcji na jego tweeta.

@strzygon jak cie muslimy w dupe wyruchaja to tobie bedzie zal zjebie.

@strzygon ale pokaż mi roma, co pracuje na utrzymanie. To u nich w kulturze, że nie pracują i kradną. Nie jestem rasista, takie są fakty.

@strzygon A w Kamieniu zginęło BIAŁE dziecko i nagle media o tym zapomniały. Komu zależy na ukrywaniu PRAWDY?

@strzygon Na chamstwo nie ma zgody ale nie zamykajmy oczu na fakt że islam zagraża naszej tożsamości czy liberalne media tego nie widzą?

@strzygon Pomieszkaj sobie koło dziawesa a potem sie lituj. Uchodzcy zrobią nam taki sam syf jak cygany Niemcy już to wiedzą.

@strzygon LOL dobre Niemcy już wiedzą lepiej i wysiedlają cyganów do Kosowa mało kto o tym pisze bo to nie popr.polit.

@strzygon obrońca czarnuchów i ciapatych.

Dopalił. Dopił cydr. Pozwolił nikotynie i alkoholowi rozpląnąć się w ciele znieczulającym mrowieniem. Wrócił do klawiatury.

A szambo dalej płynie – dokończył.

Siedzieli naprzeciwko siebie, przy kuchennym stole. Anka położyła dłonie na blacie. Gerard w skupieniu zawijał sznureczek od herbaty ekspresowej wokół ucha kubka. Miał siniaka na skroni dokładnie w tym samym miejscu, co ona, rozcięcie pod okiem sklezione stripami, obtarte kłykcie. Podniósł dłoń do twarzy, przesunął palcami wzdłuż blizny. Ona chwyciła za wisiołek i bezwiednie pocierała go kciukiem.

– Musimy porozmawiać – powiedziała wreszcie.

– Wiem.

– Chciałabym, żebyś mi powiedział, co czujesz. Szczerze. Bez ściemy. Bez ukrywania czegokolwiek, co uznasz, że mogłoby mi się nie spodobać.

– Okej – zgodził się. – Ale pod warunkiem że ty też mi powiesz. Nie to, co ci się wydaje, że powinnaś. Nie to, co myślisz, że będzie dla nas lepsze. Nie to, co ma najwięcej sensu. Co czujesz.

Powoli kiwnęła głową. Milczeli. Kalwaryjską przejechał tramwaj, dzwoniąc jak na trwogę. Wibrował agregat lodówki. Gdzieś na klatce trzasnęły drzwi.

– No i...? – Nie wytrzymała. – Powiesz mi?

– Mam mówić pierwszy? Dlaczego ja?

– Bo... jesteś facetem. Podobno faceci są odważni.

– A starsi mają pierwszeństwo.

Zmrużyła oczy. Bezcelny, uparty gówniarz. Wstała od stołu, z ławy zabrała dwie kartki papieru i dwa długopisy.

– Dobra, skoro żadne z nas nie chce mówić pierwsze, to proponuję, żebyśmy to napisali.

– Anka... – Przewrócił oczami. – Kolokwium?

– I jakby co, nikt się niczego nie wyprze. – Puściła jego słowa mimo uszu. – Będzie dowód na piśmie.

Znowu zapadła cisza. Wpatrywała się w pustą kartkę. Nie swoją. Jego.

– Gdzie się gapisz? – Uśmiechnął się nerwowo kącikiem ust.

Zagięła arkusz w połowie i postawiła zagiętą część jak parawan. Zrobił to samo.

Napisała w życiu tyle słów. Referaty, artykuły, recenzje. Doktorat. Książkę non-fiction. Słowa były jej posłuszne. Żonglowała nimi, ugniatała je niczym glinę, trzymała przed sobą jak tarczę, ubierała się w nie jak w zbroję, wywijała nimi jak bronią. A teraz, wobec słów, które miała na końcu języka, czuła się zupełnie bezbronna. To nie były słowa jak woda, w której można rozpuścić, rozmyć wszystko, prześlizgnąć się przez nie i wywinąć. Ale słowa jak kamienie, ciężkie, jednoznaczne, bezkompromisowe. Słowa, które nie dadzą jej schronienia, ale

rozbiorą ją do naga. Które wytrącą jej z ręki ostatnią broń. Najtrudniejsze słowa na świecie.

Chwyciła długopis. Napisała, co miała napisać, i złożyła kartkę. Przesunęła ją powoli w jego stronę. On zrobił to samo. Jeszcze chwilę się wahała, przytrzymując kartkę, po czym puściła ją. Teraz w dłoniach trzymała jego wyznanie. Oblizwała wargi. On też był blady. Zaciskał szczęki.

Zupełnie irracjonalnie zakonotowała, że pisał na odwrocie przepisu na lewatywę z kawy. Rozłożyła arkusz.

Z początku nie zauważyła nic. Pusta biała strona. Przesunęła wzrok niżej. Znała dobrze te drobne, kanciaste litery, na które wkurzała się tyle razy, przeglądając swoje książki, wracające od niego wygniecione, poplamione, pobazgrane na marginesach.

Zasłoniła usta dłonią. Patrzyła na swoje słowa napisane jego ledwie czytelnym charakterem pisma. Wyrzyte tak głęboko, że w kartce zrobiła się dziura.

Wstali, obeszlili stół i stanęli naprzeciwko siebie, nagle onieśmieleni.

– Co teraz? – zapytał.

– Mieliśmy zrobić coś do jedzenia – powiedziała.

– A może jedźmy gdzieś? – rzucił.

– Gdzie?

– Nie wiem, gdziekolwiek. Na szynce do Wiednia. Na knedliki do Pragi. Na falafele do Berlina.

Już miała powiedzieć „nie”, ale ugryzła się w język. Bo w sumie dlaczego nie? Narzuciła kurtkę, zebrała włosy w koński ogon.

– A ty tak serio z tym dzieckiem? – zapytał, podnosząc się nagle znad do połowy zasznurowanego buta. – Bo skoro to dla ciebie takie ważne... Ale to naprawdę nie jest najlepszy moment i... *sorry*, ale ja nie...

– Gert, wystarczy – przerwała mu. – Nie musisz więcej przeproszać. Wystarczy mi to, co jest na tej kartce.

Zamknęli za sobą drzwi. Czarny motor pognał autostradą.

Naczelnny pochylał się nad wydrukiem. Jadzia Rajchert przysiadła z założonymi rękami na skraju jego biurka. Bastian stał pośrodku gabinetu. Przeszklona ściana oddzielała pomieszczenie od newsroomu jak w akwarium – niewidzialna granica dwóch różnych środowisk. Za plecami szefa było fantastyczne okno od podłogi do sufitu. Rozpościerał się z niego widok, który byłby wspaniały, gdyby nie to, że świat na zewnątrz był tak brzydki.

– No dobra, Strzygoń, napracowałeś się – sapnął naczelnny, a Bastian zastanawiał się, czy to komplement, czy zarzut. – To jest dobra robota. Naprawdę. Kawał oldskulowego dziennikarstwa. Na chwilę nawet zapomniałem, że zaczynałeś w tabloidzie. I ile nas te twoje eskapady kosztowały.

– Ale...? – uprzedził go Bastian.

Szef znowu westchnął.

– Bastian – odchrząknął – to wszystko jest cholernie... niewyraziste.

Dziennikarz uniósł brwi.

– Rozumiesz, my mamy misję. Nasz przekaz musi być krystaliczny, upominamy się o podstawowe zasady społeczeństwa obywatelskiego. A twój tekst, rozumiesz, rozjeżdża się w szarościach. Tu piszesz, jacy to Cyganie, przepraszam, Romowie są zepchnięci na margines i wykluczeni, a nagle wyjeżdżasz z cygańskim mafiosem.

– To nie ja wyjeżdżam, szefie, tylko tak zwany real. – Bastian przestąpił z nogi na nogę.

– A jaka jest w ogóle twoja teza? – wtrąciła Jadzia.

– Słucham? – Strzygoń przechylił głowę.

– Teza! Co się głupio pytasz? Ile lat jesteś w zawodzie? – Podniosła głos. – Pytam, co chcesz tym biednym czytelnikom powiedzieć. Ten twój real, Bastian, domaga się interpretacji w czytelnych kategoriach. Żyjemy w czasach, w których nie stać nas na niuanse, dzielenie włosa na czworo czy te twoje szarości.

– I próbujesz tu napisać o wszystkim naraz – włączył się naczelny. – Cyganie, przepraszam, Romowie, uchodźcy, pedofilia w Kościele, medycyna alternatywna i nawet, jeśli dobrze rozumiem, nietolerancja glutenu?

– Celiakia – poprawił go Bastian.

– No właśnie – zniecierpliwiał się szef. – Wszystko do jednego wora. Musisz się zdecydować, o czym to ma być.

– Szefie – zaczął dziennikarz, nadludzko spokojny – ale w tej sprawie krzyżują się...

– I pamiętajmy o kontekście – przerwał mu naczelny. – Skuteczne medium musi prezentować miks kontentowy, nie można ciągle o tym samym. A my tłuczemy temat tych nieszczęsnych uchodźców już któryś numer z rzędu, jakby nie było innych tematów.

– A dzieje się coś ważniejszego?

– Czy możesz mi nie przerywać? To samo z Cyganami. Temat się przegrzał. To żarło dwa tygodnie temu, kiedy Jadzia o tym pisała.

– Właśnie, kiedy ja o tym pisałam – podkreśliła publicystka. – A co w ogóle jest w twoim tekście nowego w stosunku do tego, co było u mnie?

Bastian zacisnął zęby.

– Wszystko, co Rajchert napisała – wycedził, nie patrząc na Jadzię – wiedziała ode mnie.

– No właśnie! – Naczelny klepnął dłonią w blat. – Bo to jest redakcja, tu się pracuje zespołowo, musisz się tego nauczyć, nie jesteś samotnym wilkiem. I jeszcze jedna kwestia.

Bastian zaczął wyłamywać palce.

– Musimy pamiętać, że naszym podstawowym punktem odniesienia jest czytelnik – wyrecytował szef. – To czytelnik wyznacza ramy naszej misji. Pamiętasz nasze motto? „Horyzontem jest czytelnik”!

– Co nie znaczy, że masz mieć ograniczone horyzonty – prychnęła Jadzia Rajchert. – Jak statystyczny Kowalski.

– Więc zrobiliśmy analizę statystyk i okazuje się – naczelny pochylił się nad biurkiem – że target negatywnie reaguje na tematy romskie.

– Słucham? – zdziwił się Bastian.

– Mówię, że nawet dla naszego targetu to dyskomfortowy temat, co rzutuje na słupki.

– To znaczy?

– Ja wiem, jak to brzmi, ale zwykli ludzie po prostu nie lubią Romów i nie chcą o nich czytać – wytłumaczyła mu Jadzia.

Bastian bez słowa podszedł do okna. Oparł się o nie przedramieniem. Poczł się, jakby stawał nad przepaścią, ale chłód szyby przywrócił mu poczucie bezpieczeństwa.

– Fajny macie stąd widok – rzucił, nie oglądając się. – Szeroki horyzont, naprawdę. Wszystko jak na dłoni. I gówna nie czuć.

– Słucham? – tym razem zdziwił się naczelny.

Bastian obrócił się i niespiesznie pomaszzerował przez gabinet.

– Chociaż czekaj, nie. – Spojrzał na nich, teatralnie marszcząc nos.

I wyszedł.

– Strzygoń! – usłyszał za sobą. Krzyk urwał się, gdy szczelne drzwi akwariium zamknęły się do końca.

Zszedł z miękkiej wykładziny newsroomu na kamienną podłogę korytarza, potem zjechał windą w dół, coraz szerzej się uśmiechając. Myślał o tym, że trzeba zrobić lifting bloga. Layout sprzed dwóch lat dawno się zestarzał. Miał już pomysł na nowe logo. Zamiast małego „Raport” i dużego „Strzygonia” zrobi odwrotnie: ciężkie litery „Raport” i drobna kursywa „Strzygonia” pod spodem.

I mniej kontrastów, więcej szarości. Zdecydowanie.

Collegium Novum zawsze ją stresowało. Stukała obcasami po czerwonym dywanie, bawiąc się wisiorciem. Nie miała pojęcia, czego chce od niej dziekan. Profesor dał jej jasno do zrozumienia, że jej zwolnienie lekarskie było mu nie na rękę. Przebąkiwał, że wyciągnie konsekwencje. Odparowała, że ma prawo do L4 jak każdy pracownik. Ale wiedziała aż za dobrze, że nieformalne sankcje środowiskowe mogły być dużo dotkliwsze niż nagana z wpisem do akt.

Dziekan przywitał się z nią serdecznie i zaprowadził do gabinetu, wskazując jej krzesło.

– Wie pani, dlaczego pani się tu znalazła, pani doktor?

– Nie – odpowiedziała. Przynajmniej nie mówił do niej „pani Aniu”.

– Proszę na to spojrzeć. – Podał jej dwa dokumenty. – Dostałem je równocześnie. I, szczerze mówiąc, nie wiem, co mam z nimi zrobić.

Anka wzięła do ręki pierwsze pismo. Profesor Gwizdałowski wnioskował o odebranie jej regulaminowej premii. Mogła sobie wyobrazić staruszkę, jak prycha i wznosi oczy ku niebu, pisząc, że realizowanie skądinąd ważnych społecznie pozauczelnianych projektów, nieskonsultowanych z kierownictwem katedry, nie uzasadnia braku zaangażowania i zaniedbania obowiązków służbowych.

Przełożyła kartkę. Przeczytała, jak bardzo komendant wojewódzki policji docenia jej pomoc oraz wkład merytoryczny i osobisty w prowadzone w Nowym Sączu dochodzenie. Jak wysoko ceni jej wiedzę, umiejętności, zaangażowanie i humanistyczną perspektywę. Jak wielką ma nadzieję na dalszą współpracę między światem nauki a organami ścigania. Uśmiechnęła się – zapewne musiał mu to napisać jakiś nadgorliwy stażysta po polonistyce. Poniżej podpisu komendanta widniały trzy inne parafki. „Iza Hulak”. „Gaca Sławomir”. I na samym dole zamaszty, gniewny zawijas: „podkom. Janusz Głód”.

– I co pani myśli, pani doktor? – zapytał dziekan. – Mam pani odebrać czy dać premię? Pogrozić palcem? Pogratulować? A może położyć jedno pismo na drugie i poczekać, aż anihilują?

– I jedno, i drugie to prawda – powiedziała powoli. – Bywało, że zaniedbywałam obowiązki, i rozumiem, że profesorowi się to nie podoba. A z drugiej strony to była sprawa życia i śmierci. Do tego konflikt międzykulturowy. I jeszcze znachorka... Nie mogłam stać z boku. Zwłaszcza jako naukowiec. Więc oba dokumenty powinny trafić do moich akt. A premia? To już pana decyzja, panie dziekanie.

Dzekan wziął dokumenty w ręce i się zamyślił. Anka rozglądała się po jego gabinecie. Książki w gablotkach, ciężkie, rzeźbione meble. Czerwone kotary, które miały w sobie coś teatralnego. Na biurku dziecięcy obrazek podpisany „Dla dziadka”, drogi zestaw piór i filiżanka kawy. Na ścianach kilka dyplomów, czarno-białe zdjęcia w antyramach. Wszyscy wiedzieli, że dziekan jest fanem fotografii, stąd ta galeryjka.

Anka znowu złapała za wisiołek. Poczula pod żakietem uderzenie gorąca.

Dzekan podniósł głowę znad papierów i powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem, na ścianę. Potem na nią. Potem znowu na ścianę. Zaczerwienił się.

– Piękne zdjęcie – bąknęła.

– Tak, piękny, artystyczny akt, dlatego tu wisi... Spodobały mi się te książki i to, że modelka... – Chrząknął. – Ale w każdej chwili mogę je zdjąć, jeśli pani... – Zakłopotany sięgnął po długopis i zaczął się nim bawić. – Gdybym wiedział, że to pani, a nie wiedziałem, bo tu nie widać dokładnie... to nie ośmieliłbym się go tu...

– Niech sobie wisi, skoro się panu podoba. – Wzruszyła ramionami. – Nikt

inny nie musi wiedzieć. A ja nie wstydzę się tego, kim jestem.

– Pozuje pani do takich zdjęć? – Ciekawość zwyciężyła i dziekan odważył się popatrzeć jej w oczy.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – To zdjęcie jest wyjątkowe. Zrobił je mój partner.

Przypomniało jej się, jak to się odbyło. Długo wiercił jej dziurę w brzuchu, żeby pozwoliła mu się sfotografować. Aż kiedyś wreszcie odparowała mu, że nie ma sprawy, jeśli on sam też się rozbierze. Nie odpowiedział, tylko rozebrał się do naga i zaczął rozstawiać oświetlenie.

– Pani partner jest zawodowym fotografikiem? – ożywił się dziekan.

– Nie. Studiuję architekturę.

Dziekan o ułamek sekundy za długo zwlekał z odpowiedzią, ale zaraz uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo zdolny... hm... młody człowiek – stwierdził.

– Więc co z tą premią? – zmieniła temat.

Dziekan znowu się zamyślił.

– Zróbmy tak. Nie dostanie pani teraz premii, ale wynagrodzę to pani innym razem. Nie będziemy stresować profesora na stare lata. Na przyszłość proszę się nim nie przejmować i w takich sytuacjach przychodzić prosto do mnie, dobrze?

– Rozumiem – powiedziała, wstając z krzesła. – Czego oczekuje pan w zamian?

– Proszę dać mi znać, kiedy będzie następny wernisaż.

Dziekan uściśnął jej dłoń i odprowadził ją do drzwi. Wrócił do biurka, poluzował krawat i popatrzył na zdjęcie.

Anka Serafin, kto by pomyślał.



EPILOG

Pisk niósł się po wodzie, zagłuszany tylko hurgotem ciężarówek na moście. Dunajec nabierał barwy nieba w popołudniowym słońcu, które podświetlało sylwetkę kościoła po drugiej stronie rzeki. Trzy garby mostu w Krościenku górowały nad soczystozieloną łączką na nadbrzeżu. Przyrządy gimnastyczne składające się na outdoorową siłownię i tak służyły głównie najmłodszym jako plac zabaw.

Troje dzieci goniło się z piskiem po trawie. Pięcioletnia dziewczynka o długich czarnych włosach i bez przedniego mleczaka próbowała dogonić siedmioletniego smągłego chłopca i czteroletnią blondwłosą dziewczynkę o jasnej karnacji. Dwoje czarnowłosych dzieci miało na sobie dresy, blondynka – granatową sukienkę w grochy. Właśnie straciła równowagę i z impetem gruchnęła na ziemię, gdy ta czarnowłosa złapała ją za ramię. Z ławki przy skarpie zerwał się mężczyzna w marynarce i sportowych butach. Uspokoił się i usiadł, zobaczywszy, że mała chichocze i tarza się w trawie. Wrócił do rozmowy z niewysokim facetem o starannie zmierzwionej fryzurze i z dołeczkami w kącikach ust.

Dwie ławki dalej na tę samą trójkę patrzyła kobieta o upiętych czarnych włosach, głęboko osadzonych oczach i ostrych rysach. Ubrana była w długą czarną spódnicę i bluzę z kapturem. Cyganka, oceniali inni rodzice bawiących się tu dzieci, przyglądając się jej nieufnie i pytając między sobą, co ona i te dzieci tu robią. Siedziała przy niej tylko jedna osoba. Rudowłosa kobieta w motocyklowej kurtce.

– Powiedz mi, Dominika... – zaczęła. – Wtedy, kiedy mi wróżyłaś... skąd ty to wszystko wiedziałaś?

– Co wiedziałam? – zdziwiła się Romka.

– Na przykład to o moich rodzicach. Mój ojciec rzeczywiście jest naukowcem, profesorem matematyki. A moja mama była jego studentką. Kiedy zaszła w ciążę, on zostawił dla niej żonę. Albo to o Gercie...

Dominika przyjrzała jej się zmrużonymi oczami.

– Anna, to wystarczy popatrzeć. Na ciebie. Na niego. Na was oboje.

– A to, że mam wroga? Że jestem w niebezpieczeństwie?

– Każdy ma wroga, którego się boi – zaśmiała się Dominika. – I bywałam w Kamieniu, a tam po prostu jest niebezpiecznie.

Wreszcie spojrzenia mężczyzny w marynarce i Romki się spotkały.

Bartosz Wołoszyn nabrał odwagi. Wstał. Podeszedł do niej.

– Dzień dobry, pani Dominiko – powiedział. – Jak się ładnie dzieci bawią – dodał, przewyciężając zażenowanie.

Spojrzała na niego z ukosa. Zobaczył błysk w jej oku.

– A co mają do roboty? To dzieci.

– Daria i Ricky, tak?

Była pod wrażeniem.

– Lenka mi o nich opowiadała – dorzucił. – Dużo.

Dominika zapatrzyła się w błękitny nurt.

– Daria i Ricky to dzieci Reginy. Gwiazdka to córka Reginy. A Lena to pańska córka.

Nic nie powiedział, kiwnął głową.

– Rodzeństwo z nich żadne – parsknęła, patrząc, jak trójka dzieci przerzuca do siebie piłkę.

– No – przytaknął. – Podobieństwa nie widać.

– Ale ładnie się bawią.

– Ładnie.

– Nie da się żyć w dwóch światach – rzuciła.

– My nie umiemy – zgodził się. – A one?

Tymczasem kobieta w skórzanej kurtce przysiadła się do faceta z dołeczkami.

– Niezależny bloger? Ostatni Bastian prawdziwego dziennikarstwa? – powiedziała. – Wracasz do Krakowa?

– Nie ma mowy – zaśmiał się. – Zresztą to nie ma znaczenia. Mój medialny kolektyw ma swoje macki wszędzie. W Krakowie czuwa pewna sfrustrowana dziennikarka z tabloidu. Jest jeszcze haker cięty na pedofilów. A w zanadrzu mam jednego wysoko postawionego funkcjonariusza ABW.

– I myślisz, że to ma sens? Pamiętasz, co się działo, kiedy puściłeś na blogu swój materiał o Kamieniu?

Dziennikarz zmrużył oczy, zamrugął, pewnie raziło go słońce.

– To tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że był potrzebny. Żeby skomplikować ludziom wizję świata. Tylko wtedy ta cała zabawa ma sens.

Anka pokręciła głową.

– Chyba nie najlepszy moment sobie wybrałeś, Bastian. Coś wisi w powietrzu. Świat tak się skomplikował, że ludzie przestali go rozumieć. Boimy się tego, czego nie rozumiemy, i nic w tym dziwnego. Ale czasem, kiedy człowiek się boi...

– Staje się agresywny – przypomniał sobie.

– Wtedy najprostsze, co można zrobić, to uciec, zabarykadować się w bezpiecznych granicach własnej wioski, gdzie wszystko jest oczywiste. Są swoi, są obcy. I gdzie jakaś święta mateczka oferuje magiczne lekarstwo na wszelkie

choroby.

– Aż ktoś w końcu zaczyna rzucać kamieniami – dokończył.

Zamilkli. Przyglądali się, jak Bartosz Wołoszyn unosi dłoń, macha do córki.

– Gwiazdko! – zawołał. – Pożegnaj się, musimy już iść!

Dziewczynka oderwała się od zabawy, zmarszczyła nos.

– Już? – jęknęła. – A kiedy znowu ja i Daria, i Ricky możemy się bawić?

Tajsa?

Wołoszyn spojrzał na Dominikę.

– Co to znaczy *tajsa*?

– Wczoraj. Albo jutro – odparła. – To zależy.

– Od czego?

– Od pana.

Anka na chwilę przymknęła powieki, wystawiając twarz do słońca. Potem rzuciła okiem na zegarek.

– Spieszysz się gdzieś? – zapytał dziennikarz.

– Pluto został sam w mieszkaniu. Boję się, że znowu będzie demolka.

– Czekaj, a ty masz w końcu psa czy kota?

– Kota – odparła, unosząc do góry kąćki ust.

– Tylko sadysta mógł nazwać kota Pluto. – Uśmiechnął się. Odpowiedziała mu uśmiechem. – A co w Kamieniu?

– Dominika mówiła, że mury rosną każdej nocy. Już niedługo dzieci będą miały drugi pokój.

– A szambo? – zapytał.

– Szambo dalej płynie.

OD AUTORÓW

Wszystkie postacie, wydarzenia i dialogi w tej książce są fikcyjne, a ich ewentualna zbieżność z autentycznymi postaciami, wydarzeniami i dialogami może być jedynie przypadkowa.

Nie znaczy to, że inspiracjami pewnych zdarzeń opisanych w tej powieści nie były historie, które wydarzyły się naprawdę. Gdy zbieraliśmy materiały do książki, raz za razem przekonywaliśmy się, że rzeczywistość potrafi przerastać fikcję literacką. Osada Kamień też jest fikcyjna, co nie znaczy, że takiego miejsca nie ma.

Przede wszystkim podziękowania od nas należą się tej części Sądecczyzny, która rozciąga się od Nowego Sącza przez Limanową po Szczawnicę, od stóp Gorców po podnóże Pienin, i wije się wraz z Dunajcem przez Łacko i Obidzę, i Tylmanową, i Krościenko. Za wielokrotną gościnę od tylu lat, za historie, i te piękne, i te trudne.

Chcemy bardzo podziękować Romom z jednej z sądeckich osad – której, niech to pozostanie między nami. To nie było łatwe spotkanie, ani dla Państwa, ani dla nas. Tym bardziej jesteśmy wdzięczni: za szczerłość, odwagę, otwartość, za to, że podzielili się Państwo z nami swoją opowieścią.

Dziękujemy także *gadziom* – przyjaciółom Romów z tej osady. Za to, że jesteście.

Szczególnie serdeczne podziękowania składamy dr Joannie Talewicz-Kwiatkowskiej – antropolożce kulturowej, badaczce kultury Romów, prezesce Fundacji Dialog-Pheniben, niestrudzonej działaczce i obrończyni praw człowieka, która przez cały czas pracy nad tą książką była naszą przewodniczką, tłumaczką i przyjaciółką. Za wszystkie spotkania i rozmowy, zaufanie, wtajemniczenie, wiedzę i pasję.

Pawłowi Leskiemu, wieloletniemu oficerowi CBS, naszemu niezawodnemu ekspertowi, konsultantowi i pierwszemu Czytelnikowi, za to, że jest z nami już przy trzeciej książce, za bezcenne rady, uwagi, drobiazgi, za rozmowy i anegdoty, za zarwane nad lekturą noce i za przyjaźń – dziękujemy!

Dr. Jackowi Pawlicy, doświadczonemu funkcjonariuszowi policji, a następnie jednej ze służb specjalnych, bardzo dziękujemy za konsultacje dotyczące praktyki wzajemnej współpracy policji i służb.

Dr Filip Bolechała, medyk sądowy z Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, niech zechce przyjąć wyrazy naszej wielkiej wdzięczności za długie rozmowy, wiedzę, fachowe rady, pomysły i uwagi. Podziękowania składamy również całemu zespołowi medyków sądowych i laborantów z Zakładu Medycyny Sądowej CMUJ.

Marcinowi Żyle, reporterowi „Tygodnika Powszechnego”, który pierwszy spośród polskich dziennikarzy był na Lampedusie i który podróżował śladami

uchodźców od Bałkanów po Berlin, ogromne dzięki za podzielenie się z nami swoją wiedzą i świadectwem.

Pani Teresie Mirdze, z której zbiorów pochodzi pieśń Romów spiskich *Bar barestar...*, składamy serdeczne podziękowania za jej udostępnienie – i za wszystkie inne pieśni.

Pani Soni Strykacz dziękujemy za pomoc przy przekładach na język romski w dialekcie Bergitka Roma.

Wassimowi Ibrahimowi dziękujemy pięknie za pomoc z językiem arabskim.

Joannie Porankiewicz-Asplund, Kentowi Asplundowi i Idzie ogromnie dziękujemy za gościnę w najcieplejszym domu na dalekiej północy Szwecji. Za to, że w najgorętszym czasie pisania mogliśmy u Was, wśród śniegów, znaleźć spokój i skupienie. Dzięki Wam nasz kryminał jest też po części skandynawski.

Justynie Górcie dziękujemy za lekturę i wszystkie uwagi.

Pani Agnieszce Zelek ze Szpitala Specjalistycznego im. Jędrzeja Śniadeckiego w Nowym Sączu dziękujemy za informacje dotyczące miejscowych procedur.

Wszyscy tu wymienieni podzielili się z nami swoją najlepszą ekspercką wiedzą. Za wszelkie ewentualne nieścisłości odpowiadamy wyłącznie my.

Fragmenty Pisma Świętego w przekładzie Biblii Tysiąclecia. Fragment pierwszej sury Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego. Baśń o Królu Mgieł podaliśmy za *Gałązką z Drzewa Słońca* Jerzego Ficowskiego.

Zdania w języku romskim, które padają w tej książce, oddane są w dialekcie Bergitka Roma. Ale przekładów nie zamieszczamy. Bo nasi bohaterowie też nie rozumieją tych słów. Jeśli jednak szukają Państwo wspólnego języka i chcieliby Państwo zrozumieć, może w tym choć trochę pomóc strona www.kuzminscy.com/romani.

Małgorzata i Michał Kuźmińscy

Kraków – Västansjö, 2016–2017

ŚLADY



ZBRODNI



KAMIEŃ

W rromskiej osadzie na Sądeczczyźnie znaleziono martwego chłopczyka o jasnej karnacji i włosach koloru pszenicy. Wkrótce policja odkrywa, że mieszka tam blondwłosa dziewczynka... Między Romami a ich sąsiadami od lat zbiera się na burzę. Teraz napięcie sięga zenitu.

Anka Serafin na prośbę policji próbuje nawiązać kontakt z Romami. Mierzy się z murem milczenia i własnymi wyobrażeniami o roli antropologa. Tymczasem dziennikarz śledczy Sebastian Strzygoń jednym kamieniem porusza medialną lawinę. Narastają lęk, niezrozumienie i wrogość.

Jakie jeszcze tajemnice kryje społeczność tej z pozoru sielskiej krainy? Co jest faktem, a co uprzedzeniem? I czy kogoś obchodzi jeszcze prawda, gdy rozkręca się spirala nienawiści?

CYKL ETNOKRYMINAŁÓW



Patronat medialny



Zdjęcia okładki: Lillian / Fotolia

WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE
www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5693-8

EAN 9788327156938

U.WD.KRW075.1.01.01

